

Wolfgang HOHLBEIN

Anubis

Tłumaczenie MARTA KSIĄZKIEWICZ

Profesor Mogens VanAndt nienawidził

swojego zawodu. Jednak nie zawsze

tak było. Jeszcze kilka lat wcześniej, czyli w osobistym odczuciu Mogensa - całe wieki temu, kochał swoje zajęcie. A nawet gdzieś w głębi duszy częśćka tej miłości wciąż żyła. No to może inaczej - profesor swój zawód nadal kochał, nienawidził tylko tego, co musiał robić.

Mogens VanAndt był z pochodzenia Belgiem, a dokładniej - jak już samo jego nazwisko zdradzało - Flamandczykiem, z wychowania jednak i stylu życia na wskroś Amerykaninem. Zapewne dlatego podejmował się nowych zajęć z godną pozazdroszczenia łatwością, a jak już coś zaczął, był skrupulatny, zacięty, nawet opętany obsesją. Każdy, kto znał go w czasach młodości, wróżył mu świetlaną przyszłość. Nauczyciele byli z niego niezmiernie zadowoleni, a gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z przewidywaniami profesorów

na uniwersytecie, najpóźniej po pięciu latach od uzyskania doktoratu wróciłby na swój wydział jako ich równoprawny kolega. Nazwisko VanAndta już teraz figurowałoby w niejednej książce specjalistycznej, a liczne artykuły byłyby ozdobą czasopism naukowych i innych publikacji. Los chciał jednak inaczej.

Jego nazwisko zdobiło tylko wizytówki w wysłużonym portfelu ze świńskiej skóry pamiętającym jeszcze lepsze czasy, a także niedbale wykonaną tabliczkę na drzwiach małej pracowni bez okien w piwnicy uniwersytetu w Thompson. Uniwersytetu, o którym nikt nie słyszał i który znajdował się w mieście również nieznanym prawie nikomu, kto mieszkał w odległości większej niż pięćdziesiąt mil. Bywały dni, kiedy Mogens miał całkiem poważne podejrzenia, że nawet nie wszyscy mieszkańcy Thompson wiedzą, jak nazywa się ich miasteczko, nie mówiąc już o studentach tutejszego tak zwanego uniwersytetu.

Pałące się w kominku drwa, które - jak mu się zdawało -dopiero co dołożył, znów wypaliły się prawie doszczętnie. VanAndt wstał, podszedł do małego wiklinowego kosza z drewnem na opał stojącego obok kominka i dorzucił do ognia nowe polano. Iskry wystrzeliły w górę, zmuszając Mogensa do przykucnięcia i wycofania się o dwa kroki, po czym spadły na miejscami wypaloną, jednak starannie wypastowaną podłogę. Profesor wyprostował plecy, cofnął się jeszcze o krok i rzucił okiem na staromodny zegar stojący przy drzwiach. Było po szóstej. Spodziewany gość spóźnił się.

Właściwie nie miało to żadnego znaczenia. VanAndt nie planował nic szczególnego na ten wieczór. W Thompson było to zresztą prawie niemożliwe. Ta licząca sobie trzy tysiące istnień miejscina nie miała do zaoferowania żadnych godnych uwagi rozrywek. Oczywiście była obowiązkowa knajpa, która zarówno pod względem wyglądu,

jak i odwiedzającej ją klienteli stanowiła istny relikwiarz przeszłości. Ale po pierwsze, profesor nie znosił alkoholu, a po drugie, w mieście był uważany za ekscentryka i dziwaka. Obydwie te cechy nie przemawiały za tym, by pokazywać się w przybytku odwiedzanym głównie przez robotników i prosty lud. Był jeszcze mały drugstore z przyległym barem mlecznym oraz kino, gdzie w weekendy wyświetlano filmy hollywoodzkie sprzed pół roku. Jednak obydwie te miejsca stały się punktem spotkań tamtejszej młodzieży, tak więc dla profesora również nie wchodziły w rachubę.

I w końcu był jeszcze pewien nocny lokal z czerwonymi lampami i dyskretnymi pokojkami, które nie były nawet w przybliżeniu tak dyskretne, jak być powinny, za to znacznie mniejsze, niż należałoby się spodziewać. Jednak pracujące w nich panie zupełnie nie odpowiadały wymaganiom Mogensa, więc rad nierad co miesiąc wybierał się do oddalonej o sto mil stolicy hrabstwa, by odwiedzić tamtejszy odpowiednik wspomnianej instytucji. Cóż, życie VanAndta toczyło się

utartymi, żeby nie powiedzieć nudnymi torami. Nic dziwnego, że telegram, który przyszedł przed dwoma dniami, stanowił najciekawszą przerwę w tej monotonii.

Gdy więc w końcu ktoś zapukał do drzwi, Mogens cofnął się i odwrócił od kominka jak oparzony. Serce biło mu szybciej; Jeszcze chwila, a skoczyłby w kierunku drzwi i otworzył je gwałtownym szarpnięciem. Był jednak profesorem, a nie dziesięcioletnim chłopcem, który w bożonarodzeniowy poranek niecierpliwie czeka, by znaleźć się w dużym pokoju i sprawdzić, co Święty Mikołaj zostawił na gzymsie kominka. W dodatku święta dawno minęły, a Mogens nie miał już dziesięciu lat, lecz zbliżał się do czterdziestki. No i nie miał najmniejszego zamiaru okazać swojemu gościowi, jak bardzo był ciekawy „oferty zawodowej”, o której ten pisał w telegramie. Tak więc nie tylko zmusił się wysiłkiem woli do zachowania spokoju, ale Panna Preussler opuściła prawą rękę, którą właśnie zamierzała kolejny raz zapukać, pogroziła mu kokieteryjnie palcem wskazującym i jak zwykle nie pytając o pozwolenie, prześliznęła się obok Mogensa do pokoju.

- Och? - spytała. - To tak się wita starą przyjaciółkę, drogi panie profesorze?

Mogens uznał, że lepiej w ogóle nie odpowiadać. Zawsze kosztowało go sporo wysiłku, by znieść natarczywość panny Preussler - którą ona najwyraźniej uważała za wyraz sympatii - dziś jednak przychodziło mu to z wyjątkowym trudem.

- Ależ skąd - zaprzeczył jednak pospiesznie i trochę niezręcznie. - Chodzi tylko o to, że...

- ...że się pan mnie nie spodziewał, wiem - przerwała mu panna Preussler.

Odwróciła się plecami, rzucając przy tym szybkie, baczne spojrzenie na pokój, co uwadze Mogensa w żadnym razie nie mogło umknąć. Panna Preussler była najbardziej schludnym i dbającym o czystość człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał, mimo że sam cenil sobie czystość ponad wszystko. Jej krytyczne spojrzenie najwyraźniej nie doszło-8 kało się choćby najdrobniejszego pyłku, bo gdyby tak było,

także odczekał cztery czy pięć sekund, zanim wyciągnął rękę w kierunku klamki.

Kiedy już otworzył, trudno mu było ukryć rozczarowanie. Przed drzwiami nie stał obcy człowiek, lecz panna Preussler, jego gospodyni. „Proszę mówić mi Betty, wszyscy tak się tu do mnie zwracają” - powiedziała już w pierwszym dniu, zaraz jak się tu wprowadził, jednak VanAndtowi poufała „Betty” nigdy nie przeszło przez gardło, ba, nawet w myślach jej tak nie nazywał. Zamiast wypowiedzieć starannie dobrane słowa, które przygotował sobie na powitanie gościa, bąknął tylko zaskoczony:

-Och?

z pewnością zmarszczyłaby czoło z dezaprobatą. Nic jednak dziwnego - Mogens ostatnie półtorej godziny spędził na sprzątaniu pokoju i polerowaniu sprzętów na taki połysk, jaki tylko był do uzyskania w przypadku mebli sprzed pół wieku, które stanowiły wyposażenie jego stacji.

- Spodziewa się pan wizyty, drogi panie profesorze? -ciągnęła dalej gospodyni, zupełnie jakby wcześniej sama na to nie wpadła.

- Tak - odpowiedział Mogens. - Dawny znajomy zapowiedział się niespodziewanie.

Oczywiście poinformowałbym panią o tej wizycie, ale wiadomość przyszła naprawdę niespodziewanie. Nie chciałem pani niepotrzebnie przeszkadzać, już i tak ma pani zawsze dużo zajęć.

Zwykle wystarczało tego rodzaju powołanie się na pracę, by na powrót usposobić ją przychylnie. No bo praca była jej żywiołem! Zwłaszcza że panna Preussler uważała za nią nie tylko prowadzenie pensjonatu, w którym tylko jeden z trzech pokoi był zajęty przez stałego gościa, ale również pogoń za najdrobniejszym pyłkiem, za każdą drobinką brudu, które śmiały wtargnąć do tej świątyni.

Jednak nie dziś. Wręcz przeciwnie, nagle wydała się nieco zirytowana lub nawet urażona. Oderwała na chwilę wzrok od twarzy profesora i zerknęła na telegram, który leżał na biurku wprawdzie otwarty, jednak zapisaną stroną do dołu. Przez tę krótką chwilę Mogens mógł wyczytać w jej oczach, że doskonale znała treść wiadomości.

Oczywiście, że ją znała. A czegoż się spodziewał? Prawdopodobnie znała ją już przed nim.

Thompson było niewielką miejscowością, w której wszyscy wiedzieli o wszystkim i w której nie zdarzało się nic, co by nie trafiło natychmiast do wiadomości ogółu. Mimo to zirytował się, gdy

uświadomił sobie, że panna Preussler nie uszanowała tajemnicy korespondencji. Musiał zebrać wszystkie swoje siły, by nie przywołać swojej gospodyni do porządku

1!

alt

AW

■

A.P9S

■

ilLi

i

■

II I

I

1

■nrz:.

Wfi

1

w ostrych słowach. Jednak uśmiechnął się tylko i uczynił znikomy ruch, który ona mogła odczytać jako wzruszenie ramionami albo co tam jeszcze chciała.

Po upływie następnej sekundy w oczach panny Preussler znów pojawił się drwiący uśmiech i znów uniosła palec wskazujący, by nim kokieteryjnie pogrozić. f

- Ależ drogi panie profesorze, czy okłamywanie starej przyjaciółki miałoby być dowodem dobrego wychowania?

Mogens już miał na końcu języka, że w całym tym przydługim zdaniu jedynym prawdziwym słowem było „stara”. Powstrzymał się jednak, bo rzeczywiście był dobrze wychowany. Poza tym nie byłoby zbyt rozsądnym narażać się pannie Preussler tak całkiem otwarcie, a przynajmniej zanim się dowie, kim właściwie jest tajemniczy gość i czego chce. Dlatego i nie odpowiedział.

Panna Preussler najwyraźniej nie była skłonna tak szybko się poddać, co Mogensa bynajmniej nie zdziwiło. Jeśli coś, nawet wbrew własnej woli, podziwiał w swojej gospodyni, to właśnie wytrwałość. Od pierwszego dnia panna Preussler nie pozostawiała wątpliwości, że spróbuje wszystkiego, by zwabić kiedyś tego przystojnego, dobrze zbudowanego pensjonariusza do swojego miękkiego łóżka i swoich zapewne jeszcze miększych objęć. Już sama myśl o tym przyprawiała Mogensa o zimne dreszcze. Ale miękkość objęcia, którą jej przypisywał, nie polegała bynajmniej na jej alabastrowej skórze czy łagodnym sposobie bycia, lecz raczej na tych kilku zbędnych kilogramach, które przez te lata zdążyły się nagromadzić. Mogens nigdy nie pytał ją o wiek, wiedząc, że doprowadziłoby to do wytworzenia między nimi poufałości, której chciał przecież uniknąć. Szacował jednak, że gdyby się w młodości dobrze postarała, mogłaby być jego matką. A jednak niezaprzeczalnie miało też swoje dobre stro-IO ny to, by nie odrzucać w sposób nazbyt zdecydowany

■ir :!;r j»»»Ś Zp J

9

zalotów panny Preussler. Czasami wprawdzie wyjątkowo działała mu na nerwy, z drugiej strony jednak matkowała mu w sposób niemalże wzruszający, co znajdowało wyraz w dodatkowym kawałku ciasta w niedzielę, w szczególnie dużej porcji mięsa na talerzu czy też zawsze napełnionym koszu z drewnem na opał koło kominka - a wszystko to były rzeczy, o których inni goście pensjonatu nie śmieli marzyć. Panna Preussler, mimo że sama gorliwa protestantka, pogodziła się nawet z jego radykalnym nastawieniem do Kościoła. Nie pochwałała ateusza, lecz milcząco akceptowała. Już sama ta okoliczność wskazywała jednoznacznie, że zagubiona w chaosie swoich uczuć panna Preussler beznadziejnie zakochała się w Mogensie.

On natomiast... Nie uważał może panny Preussler za odpychającą, jednak nie był od tego daleki.

Wiedział, że jej uczucia do niego są prawdziwe i nawet próbował raz czy dwa wzbudzić w sobie do

niej choć nutkę sympatii, lecz bez powodzenia. Z kolei fakt, że mimo wszystko czerpał korzyści z jej zalotów, doprowadzał profesora nie tylko do permanentnych wyrzutów sumienia, ale niekiedy i do tego, że sam sobą pogardzał. To z kolei tylko jeszcze potęgowało w nim niechęć do panny Preussler. Ludzie są doprawdy skomplikowanymi istotami...

- Panno Preussler - zaczął, zastanawiając się, jak wyprosić ją w możliwie najbardziej dyplomatyczny sposób, czyli taki, aby nie odbiło się to na jakości następnego posiłku. - Nie sędzę, żeby...

Gospodyni niespodziewanie dała mu nieco czasu do namysłu. Jej przenikliwy wzrok odkrył bowiem bezwstydnego intruza w świątyni czystości, w jaką zamieniła swój dom - resztki popiołu, które wcześniej wypadły z kominka. Nie zwracając zupełnie uwagi na rozpoczęte przez Mogensa zdanie, obróciła się wokół własnej osi i zrobiła skomplikowany, ocieęzaty piruet, równocześnie przykucając. W oczach

VanAndta wyglądało to tak, jakby nagle się rozplynęła, po czym zakrzepła ponownie w postaci małej, rozległej figury. Z ogromną zręcznością, którą można wytłumaczyć jedynie wytrwałymi ćwiczeniami praktykowanymi przez całe życie, wyciągnęła z kieszeni fartucha szmatkę do kurzu i w okamgnieniu starła mikroskopijny pyłek z podłogi, po czym obdarzyła Mogensa tak promiennym uśmiechem, że urwane w pół słowa nagany dosłownie uwięzły mu w gardle.

- Tak, drogi panie profesorze? - spytała. - Chciał pan coś powiedzieć?

- Nie - wymamrotał VanAndt. - Nie... nic.

- Nie wierzę panu - odpowiedziała jednak panna Preussler. Nagle, bez żadnego wcześniejszego sygnału, zrobiła się bardzo poważna. Postąpiła krok w stronę swego ulubionego gościa, cofnęła głowę, by móc spojrzeć na niego z większej perspektywy i... podeszła jeszcze bliżej. Jej oczy przybrały taki wyraz, że cała armia dzwonów w głowie Mogensa zaczęła bić na alarm. Wzniósł gorące modły do nieba, by panna Preussler nie obrała sobie właśnie tego momentu na zmianę taktyki i nie przypuściła ataku na jego twierdzą udawanej cnotliwości. Gdyby to tylko było możliwe, odsunąłby się od niej, ale stał już przyparty plecami do drzwi.

- Wiem, rzeczywiście może nie jest to odpowiedni moment na rozpoczęcie tej rozmowy, profesorze - zaczęła panna Preussler. Mogens w myślach mógł jej tylko przyznać rację. Ten moment rzeczywiście nie był odpowiedni bez względu na to, co chciała mu powiedzieć. - Niestety nie po to tu przyszedłem, by dowiedzieć się, co jest w tym telegramie. Jestem... trochę przestraszona, jeśli mam być szczerą.

- Tak? - spytał Mogens szorstko.

- Profesorze, będę z panem całkiem szczerą - ciągnęła gospodyni. Podeszła jeszcze bliżej. Jej ciężkie piersi prawie dotknęły Mogensa, teraz mógł poczuć, że dopiero co skropiła się perfumami. Ich zapach był duszący, na szczęście

lekką zwietrzały. - Mieszka pan u mnie ponad cztery lata. Już od pierwszego dnia był pan dla mnie kimś znacznie więcej, niż tylko zwykłym gościem. Przyznanie się do tego przychodzi mi z niejakim trudem, ale prawda jest taka, że czuję pewną... sympatię...

- Oczywiście zauważyłem to, panno Preussler - wszedł jej w słowo, pytając się równocześnie w duchu, czy nie popełnia właśnie poważnego błędu. - Chodzi tylko o to, że...

- Chyba nie zamierza pan opuścić naszego Thompsona? - przerwała mu gospodyni. Jej słowom towarzyszył ciężki oddech świadczący o tym, że zadanie pytania przyszło pannie Preussler z ogromnym trudem. - To znaczy oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że ktoś pańskiego pokroju i z pańskim wykształceniem nie może wiele osiągnąć na uniwersytecie takim jak nasz. To tylko mały wydział, na którym z pewnością nie prowadzi się badań na światowym poziomie. Jednak to miasteczko ma również swoje niezaprzeczone zalety. Życie biegnie utartymi ścieżkami, kobiety nawet po zmierzchu mogą same bez obaw wyjść na ulicę. <

Mogens zastanawiał się, ile jeszcze nonsensownych argumentów przytoczy panna Preussler na korzyść tej podłej dziury. Jedno było dla niego pewne - zaszło coś bardzo osobliwego, z czym panna Preussler z pewnością się nie liczyła, a co niezmiernie ją przestraszyło. Podczas gdy przytaczała najbardziej chybione argumenty na rzecz miasteczka Thompson, słowa jej miały skutek wręcz odwrotny do zamierzonego. W jednej chwili Mogens uświadomił sobie z dużo większą

wyrazistością niż kiedykolwiek wcześniej przez te cztery minione lata, jak beznadziejne położenie zgotował mu los. Do tej pory z większym lub mniejszym powodzeniem wmawiał sobie, że ma tutaj właściwie wszystko, co mu do życia potrzebne. Teraz jednak zdał sobie nagle sprawę, że przeżycie i prawdziwe życie to nie są jednak synonimy. Uświadomił sobie również, że właściwie był zdecydowany przyjąć ofertę z telegramu, cokolwiek by ona oznaczała.

Jego myśli powędrowały do tej zamierzchłej ery sprzed kilku lat, gdy jego świetlana przyszłość była widoczna jak na dłoni. Obronił tytuł doktora na Harvardzie jako jeden z trzech najlepszych na roku, co wówczas nikogo nie zdziwiło. Aż po wieczór, kiedy świętował obronę doktoratu, wydawało się jasne, że czeka go znakomita kariera. Lecz ten jeden jedyny wieczór, ba, jeden jedyny moment tego wieczoru zmienił wszystko. Mogensa kusilo, by winę za to przypisać tylko i wyłącznie losowi. Ale tak naprawdę to on popełnił błąd, poważny, niewybaczalny błąd, choć na pewno nie tak wielki, by pokutować całe wieki.

- ...wszystko to jest dla mnie jasne - powiedziała nagle panna Preussler. Mogens wystraszył się, a dopiero po chwili uświadomił sobie, że przez cały ten czas nie przestawała mówić, tylko on w ogóle nie słuchał. - Ale mam nadzieję... to znaczy, być może... mógłby pan rozważyć nadanie naszym stosunkom nieco... bardziej osobistego charakteru. Wiem, że jestem starsza od pana i oczywiście w sensie fizycznym nie mogę równać się z tymi młodymi damami, które odwiedza pan od czasu do czasu w stolicy naszego hrabstwa, ale być może warto byłoby jednak spróbować.

Zamilkła wyczerpana i równocześnie pełna obaw. W końcu zwierzyła mu się, w dodatku w sposób więcej niż jednoznaczny. Mogens nie mógł już więc udawać, że nie domyśla się prawdziwych uczuć swej gospodyni, i poczuł się z tym bardzo niepewnie. Zwłaszcza to, że panna Preussler wiedziała o jego sporadycznych wizytach w stolicy hrabstwa, jak również znała ich cel, wprowadziło go w wielkie zakłopotanie. Ale jeszcze bardziej zszokowała profesora reszta jej wypowiedzi. Jej słowa w sposób piorunujący i nieodwracalny przerwały mozolnie utrzymywane status quo ich stosunków.

W przyszłości wszystko stałoby się jeszcze bardziej skomplikowane, być może wręcz nie do zniesienia.

„Historia lubi się powtarzać” - pomyślał zasmucony. A jak mało kto wiedział, że kilka nieprzemyślanych słów czasem wystarcza, by jasno zaplanowana przyszłość stała się czarną otchłanią pełną niewiadomych...

- Jest pan zszokowany, prawda? - spytała panna Preussler, gdy nie odpowiadał przez dalszych kilka sekund. Sprawiała wrażenie przygnębionej i nie mniej zakłopotanej od Mogensa. - Nie powinnam była tego mówić. Proszę mi wybaczyć. Jestem starą, głupią kobietą, która...

- Panno Preussler - przerwał jej - to nie o to chodzi.

Włożył wiele wysiłku w to, by jego głos brzmiał możliwie spokojnie i łagodnie. Potem zaś zrobił coś, czego nie powinien był robić i czego unikał przez ostatnie cztery lata - wyciągnął rękę i delikatnie dotknął ramienia gospodyni. Pod wpływem dotyku przeszły ją ciarki, a Mogens stwierdził z niejakim zaskoczeniem, że skóra tej niemłodej kobiety rzeczywiście jest bardzo miękka i przyjemna w dotyku.

- Cieszę się, że pani to powiedziała - stwierdził. - Oczywiście pani uczucia nie były dla mnie tajemnicą. Zapewniam panią, że również pani nie jest mi obojętna. Chodzi tylko o to, że... że jest coś, czego pani o mnie nie wie.

- Ależ to dla mnie oczywiste, panie profesorze!

- Doprawdy? - spytał Mogens zaskoczony. Jego ręka prawie bezwiednie zsunęła się z ramienia panny Preussler.

- Naprawdę pan myślał, że nie wiedziałam, że człowiek z pańskim wykształceniem musi mieć jakiś ważki powód, by zaszyć się w miasteczku takim jak Thompson? - spytała gospodyni. - Z pewnością nie bez przyczyny nie naucza pan na którymś z większych uniwersytetów, gdzie moim zdaniem jest pana miejsce. Ale proszę się nie martwić. Jeśli nie chce pan na ten temat rozmawiać, zaakceptuję to. Nigdy nie będę poruszać tej kwestii.

Ledwie to powiedziała, przed dom zajechał samochód. Hałas nie był zbyt głośny, ponieważ Mogens

zamknął okna, by zatrzymać ciepło z kominka. Podniósł głowę i spojrzał w kierunku, z którego dochodził warkot. W tym samym momencie zgasły niespokojne ogniki w oczach panny Preussler. Pojęła chyba, że magia chwili przysła i taki moment może się już nigdy nie powtórzyć. Profesor odetchnął z ulgą, równocześnie jednak było mu ogromnie żal swojej gospodyni. Panna Preussler westchnęła, odwróciła się i podeszła do okna, by sprawdzić, co się dzieje.

- To zapewne pański gość - oznajmiła. Po chwili dodała lekko zmienionym głosem: - Trzeba przyznać, że jeździ dość kosztownym wozem. Otworzę mu drzwi. - Szybkim krokiem wyszła z pokoju, a Mogens zbliżył się do okna. Odległość, w jakiej się minęli, tym razem była aż przesadnie duża.

Mogens nie mógł dojrzeć mężczyzny, z którym rozmawiała panna Preussler, ponieważ właśnie w tym momencie zniknął mu z pola widzenia. Profesor zdążył jedynie dostrzec smukłą postać w eleganckim garniturze. Co do samochodu panna Preussler miała w zupełności rację - był bardzo duży, bardzo elegancki i przede wszystkim bardzo kosztowny. Granatowy buick z kremowym dachem, złożonym mimo niskiej temperatury, białymi paskami na oponach oraz skórzanymi siedzeniami. Taki wóz musiał kosztować więcej, niż Mogens zarobił przez ostatnie dwa lata. Nadawca tajemniczego telegramu zaczął go intrygować coraz bardziej.

Nic więc dziwnego, że z trudem się opanował, by nie wybiec swojemu gościowi naprzeciw. Zamiast tego tylko uchylił drzwi. Usłyszał, jak panna Preussler rozmawia z przybyszem na dole w sieni. Jak na jego gust mówiła z nim o wiele za długo i tonem zbyt poufałym. Potem rozległy się szybkie kroki na schodach. Mogens prędko i bezgłośnie domknął drzwi, po czym wrócił do swojego fotela. Ledwo usiadł, a już

1r -;n

rozległo się kołatanie. Założył nogę na nogę, jeszcze raz wygładził fałdy ubrania i zawołał pewnym głosem:

- Proszę.

Siedział tyłem do wejścia i na odgłos otwieranych drzwi świadomie nie od razu się odwrócił. Ktoś wszedł, po czym dziwnie Mogensowi znajomy głos zapytał:

- Profesor VanAndt? Mogens VanAndt?

- Tak, to ja - odpowiedział i powoli się odwrócił. -Czym mogę panu...

Poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Przez chwilę nie mógł złapać tchu.

- Jonathan!

Przed Mogensem stało jego przeznaczenie. Człowiek, z którego winy gnął w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze, zamiast prowadzić życie w uznaniu i dostatku, na jaki zasługiwał. Jego osobisty demon zemsty.

Zmienił się. Przez minione dziewięć lat trochę przytył, a czas odcisnął na jego twarzy swoje piętno. Był przedwcześnie postarzały, oczy miał podkrążone, a cerę na policzkach, mimo niedawnego golenia, wyraźnie poszarzała. Mimo drogiego garnituru sprawiał mizerne wrażenie.

Nie było jednak żadnych wątpliwości - stał przed nim człowiek, którym najbardziej w świecie pogardzał i którego twarzy miał nadzieję już nigdy nie ujrzeć: doktor Jonathan Graves.

- Miło, że pamiętasz jeszcze moje imię, Mogensie - odezwał się z uśmiechem. Zrobił krok do przodu i zatrzasnął nogą drzwi. - Obawiałem się, że mogłeś mnie zapomnieć, w końcu minęło sporo lat.

VanAndt wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma. Tak mocno zacisnął dłonie na poręczach leciwego fotela, że drewno aż jęknęło.

Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Poza tym w jego głowie panował taki chaos, że Mogensowi

■ .
j i
i I
I

rt
if»; ft-
i

kw

dosłownie brakowało słów. Widok Gravesa oszołomił go jak uderzenie w twarz.

Ten tymczasem podszedł bliżej, stanął przed fotelem profesora i uśmiechając się ironicznie, powiedział:

- Ależ bez przesady, mój drogi. Rozumiem, że cieszysz się na mój widok, ale twój entuzjazm jest prawie krepujący.

- Czego... czego chcesz? - zachrypiął Mogens, sam siebie strasząc barwą własnego głosu.

- Ależ Mogens, stary przyjacielu - uśmiechnął się szyderczo Graves - dostałeś chyba mój telegram, prawda? Inaczej mógłbyś być rzeczywiście niemile zaskoczony. Chociaż z drugiej strony nie ma to już żadnego znaczenia. Ważne, że zastałem cię w domu. - Cofnął się o krok, rozglądając bezceremonialnie po pokoju i przesadnie ostentacyjnym gestem sięgnął po leżący na stole telegram. - Najwyraźniej zapomniałeś tylko o godzinie. Ten sam roztrzępany naukowiec co dawniej.

- Czego... chcesz... Jonathanie? - ponownie wydusił z siebie Mogens. Wypowiedzenie każdego z tych słów stanowiło dla niego ogromny wysiłek. Nadal siedział bez ruchu, bolały go napięte mięśnie i nie był już nawet w stanie pojąć własnych reakcji. - Przyjechałeś tutaj, żeby rozkoszować się swoim tryumfem?

W tych słowach nie było gniewu ani rozgoryczenia. Nawet w jego własnych uszach zabrzmiały banalnie i tanio jak cytaty z którejś z powieści tak chętnie czytanych przez pannę Preussler. Kilka i on pobieżnie przewertował, starając się bezskutecznie rozgryźć tajemnicę fascynacji gospodyni.

Wolał jednak to, niż poufały ton swojego rozmówcy, do którego sam zniżać się nie zamierzał.

- Czyżbyś nie przeczytał mojego telegramu, profesorze? - spytał Graves, udając zdziwienie i unosząc brwi.

- Owszem, przeczytałem - odparł Mogens. - Pytam po 13 raz trzeci: czego chcesz?

, ilfei— ■ : 'i «i' ~

Itr

'•V

SfcO

P

m

dosłownie brakowało słów. Widok Gravesa oszołomił go jak uderzenie w twarz.

Ten tymczasem podszedł bliżej, stanął przed fotelem profesora i uśmiechając się ironicznie, powiedział:

- Ależ bez przesady, mój drogi. Rozumiem, że cieszysz się na mój widok, ale twój entuzjazm jest prawie krepujący.

- Czego... czego chcesz? - zachrypiął Mogens, sam siebie strasząc barwą własnego głosu.

- Ależ Mogens, stary przyjacielu - uśmiechnął się szyderczo Graves - dostałeś chyba mój telegram, prawda? Inaczej mógłbyś być rzeczywiście niemile zaskoczony. Chociaż z drugiej strony nie ma to już żadnego znaczenia. Ważne, że zastałem cię w domu. - Cofnął się o krok, rozglądając bezceremonialnie po pokoju i przesadnie ostentacyjnym gestem sięgnął po leżący na stole telegram. - Najwyraźniej zapomniałeś tylko o godzinie. Ten sam roztrzępany naukowiec co dawniej.

- Czego... chcesz... Jonathanie? - ponownie wydusił z siebie Mogens. Wypowiedzenie każdego z tych słów stanowiło dla niego ogromny wysiłek. Nadal siedział bez ruchu, bolały go napięte mięśnie i nie był już nawet w stanie pojąć własnych reakcji. - Przyjechałeś tutaj, żeby rozkoszować się swoim tryumfem?

W tych słowach nie było gniewu ani rozgoryczenia. Nawet w jego własnych uszach zabrzmiały banalnie i tanio jak cytaty z którejś z powieści tak chętnie czytanych przez pannę Preussler. Kilka i on pobieżnie przewertował, starając się bezskutecznie rozgryźć tajemnicę fascynacji gospodyni.

Wolał jednak to, niż poufały ton swojego rozmówcy, do którego sam zniżać się nie zamierzał.

- Czyżbyś nie przeczytał mojego telegramu, profesorze? - spytał Graves, udając zdziwienie i unosząc brwi.

- Owszem, przeczytałem - odparł Mogens. - Pytam po raz trzeci: czego chcesz?

it!

: • if.

4 i

Gość nagle stał się poważny. Przysunął sobie krzesło i usiadł nieproszony.

- Dobrze Mogens, skończmy z tym teatrzykiem. Potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz, i słowo ci daję, że ja również byłem pełen obaw, ale mamy to już za sobą, prawda?

Wcale niczego nie mieli za sobą! W myślach i uczuciach Mogensa nadal panował nieopisany chaos, jednak niewielka część jego świadomości pozostała zupełnie spokojna, i to właśnie ta część profesora VanAndta już zupełnie nie była w stanie pojąć jego własnych reakcji. Mogens ufał, że stopniowo znów odzyska równowagę ducha, gdy minie pierwszy strach spowodowany niespodziewanym pojawieniem się Gravesa. Jednak chaos w jego głowie nie ustępował, co więcej - zdawał się rosnąć, jakby w samym widoku najmniej oczekiwanego gościa było coś hipnotyzującego.

Mogens nigdy nie należał do ludzi agresywnych, wręcz brzydził się przemocą. Teraz jednak był szczęśliwy, że strach go sparaliżował - w przeciwnym razie pewnie rzuciłby się na Gravesa z gołymi rękami. I nie mógł zrobić nic innego, jak tylko siedzieć i wpatrywać się w człowieka, który zniszczył jego życie.

W normalnych okolicznościach widok przybysza zapewne by go ̇dziwił, ponieważ był nad wyraz osobliwy. Nosił eleganckie, żeby nie powiedzieć - wytworne ubranie. Same buty musiały kosztować więcej niż wszystko, co Mogens miał na sobie. Były wyglansowane na połysk, kanty spodni ostre niczym brzytwa, a na klapach jego modnej dwurzędowej marynarki nie spoczywał nawet najdrobniejszy pyłek. Kosztowny łańcuszek od zegarka zdobił kamizelkę. Miał na sobie drogi jedwabny krawat ze spinką przyozdobioną rubinem wielkości paznokcia, i to raczej prawdziwym.

Jednak nie sam garnitur zaskoczył profesora. Jonathan zawsze był nadętym lalusem i uwielbiał obnosić się ze swoim bogactwem. Mogensa przestraszył sam Graves. Nie potrafił ująć w słowa swoich emocji, ale gdyby to zrobił, powiedziałaby zapewne, że ma wrażenie, jakby patrzył na coś fałszywego, nienaturalnego i zwyrodniałego.

Starał się choć trochę uspokoić. Do jego duszy, obok sprzecznych uczuć wywołanych widokiem Gravesa, powoli wkradał się narastający gniew na siebie samego. Jego reakcja była nie tylko niestosowna, ale wręcz niegodną naukowca. Przecież nauczył się postrzegać rzeczy takimi, jakie są, i opierać swoje stanowisko na faktach, nie na emocjach. Natomiast widok Gravesa wywołał w nim jedynie emocje - głównie zaś wstręt i odrazę.

Gdy Mogens to sobie uświadomił, jego gniew natychmiast się ulotnił. Poczł, jak napięte mięśnie rozluźniają się, a szalejące tętno znów powraca do normy. Może dlatego, że pojał, co zaszło w jego wnętrzu. Jonathan Graves nigdy nie należał do osób przyjemnych, jednak reakcja profesora była krzywdząca nawet w stosunku do niego.

Najwyraźniej nie potrafił już obiektywnie spojrzeć na Gravesa. Przez ostatnie dziewięć lat z lepszym bądź gorszym skutkiem próbował wymazać z pamięci zarówno jego nazwisko, jak i sam fakt istnienia Gravesa. Teraz zdał sobie sprawę z marnego efektu tych prób. Nigdy nie zapomniał, nawet na chwilę. Wręcz przeciwnie. Jakaś jego część obwinała Gravesa za każde rozczarowanie, każdą chwilę frustracji, każdy dzień rozgoryczenia, z jakimi przyszło mu się zmierzyć w ciągu tej dziesięcioletniej wieczności. Dlatego nie potrafił w nim już dostrzec istoty ludzkiej.

Głośno zaczerpnął tchu, świadomie i bardzo powoli rozluźnił uścisk dłoni na poręczach i spojrzł Gravesowi prosto w oczy, czego jeszcze przed kilkoma sekundami nie był w stanie uczynić.

- Pytam cię jeszcze raz, Jonathanie: czego tu chcesz?

- To powoli staje się nudne, Mogensie - westchnął tam-20 ten. - Czytałeś przecież mój

telegram, prawda? Zdawało mi

«r

- Wrii.T.'ii •

się, że był dość jednoznaczny. Jestem tu po to, by zaproponować ci posadę.

-Ty?! - wykrzyknął Mogens, mimo że wcześniej zdawał się całkowicie nad sobą panować. Wprawdzie szczegóły umyślnie były w telegramie przedstawione dość mgliście, jednak jego wymowa nie pozostawiała wątpliwości. Ale że to Graves - właśnie Graves - proponował mu posadę, to było wręcz groteskowe!

- Dlaczego nie? - Gość musiał wyczuć histeryczny ton jego głosu, ale po prostu go zignorował. W tym względzie ani trochę się nie zmienił przez minione lata. Był i pozostał najbardziej beczelnym człowiekiem, jakiego Mogens znał. - Jeśli istnieje ktokolwiek, mój drogi, kto naprawdę zna twoje możliwości, to jestem to właśnie ja. Nie chcesz mi chyba wmówić, że w tym zapomnianym przez Boga i ludzi gniazdku znalazłeś posadę, która odpowiada twoim ambicjom?

- Ja już mam posadę - odpowiedział Mogens chłodno. -Dziękuję.

- Ależ przestań! - Graves wydał z siebie nieokreślony odgłos, który w uszach profesora zabrzmiał bardzo nieprzyjemnie. - Znamy się naprawdę wystarczająco długo. Doprawdy, nie musimy niczego przed sobą udawać! Miałem problemy z odnalezieniem tej dziury na mapie, a jeszcze więcej problemów z uwierzeniem, że istnieje tu uniwersytet!

- Zapewniam cię, że istnieje - odparł VanAndt.

- Tak, wiem, grożąca zawaleniem rudera, która niechybnie runie przy najbliższym podmuchu wiatru. - Graves ponownie wydał nieprzyjemny odgłos. - Najbardziej aktualna książka w bibliotece liczy sobie pół wieku, a niektórzy spośród twoich tak zwanych studentów są starsi od ciebie! - Potrząsnął głową rozgniewany. - Z trudem udaje ci się utrzymać z przeglądania zakurzonych papierów, które nikogo nie interesują. I to gdzie? W ciemnej piwnicy bez

22

okien. Twoja pensja ledwie starcza na opłacenie tego żałosnego mieszkania, w dodatku nie otrzymujesz jej regularnie. Jesteś tutaj pogrzebany żywcem, Mogensie. Czasami nawet zastanawiasz się, czy może nie zauważyłeś, że jesteś już martwy. - Znów wydał ten nieprzyjemny, nieprzyzwoity wręcz odgłos, po czym, sięgnąwszy ręką do kieszeni kurtki, wyjął z niej srebrną papierośnicę. Mogens dopiero teraz zauważył, że nadal miał na sobie obcisłe rękawiczki, z czarnej skóry. - Chyba niewiele minąłem się z prawdą? Czy może

0 czymś zapomniałem... Ach tak, zatrudnili cię, uczonego wielkiego kalibru, tylko dla podniesienia splendoru uniwersytetu. No i rzecz jasna, byłeś tani.

- Widzę, że dobrze cię poinformowano, Jonathanie -powiedział VanAndt pośepnie.

Zaprzeczenie tym słowom nie miało najmniejszego sensu. Byłoby wręcz śmieszne. Nie tylko ze względu na Gravesa, ale również samego siebie. Na tak precyzyjny i brutalny opis sytuacji Mogens sam nie potrafiłby się zdobyć.

Palce w rękawiczkach otworzyły papierośnicę, wyjęły z niej papierosa oraz kosztowną szylkretową cygarniczkę

1 na powrót zatrasnęły wieczko. Przez krótką chwilę Mogens miał kłopoty z nadążeniem za słowami swojego rozmówcy. Widok, który ukazał się jego oczom, zbił go z tropu, choć równocześnie zafascynował. Palce Gravesa poruszały się bardzo zwinnie, ba, nienaturalnie zwinnie, w sposób, którego nawet nie potrafiłby dokładnie opisać. Ruchy jego były szybkie, płynne, pozornie od siebie niezależne, jednak następowały po sobie według jakiegoś schematu. Profesor miał wrażenie, że ręce Gravesa nie są poddanymi jego ciała, a raczej niezależnymi myślącymi istotami, które nie do końca podlegały woli właściciela, lecz zdawały się uprzedzać jego zamiary.

- Oczywiście zasięgnąłem odpowiednich informacji - odpowiedział Graves drwiąco. Jego ręce umieściły

papierośnicę z powrotem w kieszeni kurtki i tym samym lekkim ruchem wyczarowały złotą zapalniczkę. - Nie zwykłem przemierzać dwóch i pół tysiąca mil bez wcześniejszego

przygotowania. - Otworzył zapalniczkę.

Mogens poczuł słaby zapach benzyny i powiedział szybko:

- Proszę, nie. Nie znoszę zapachu dymu.

Niewzruszony Graves zbliżył końcówkę papierosa do ognia i mocno się zaciągnął.

- Nie będziesz musiał go długo znosić - oznajmił, podczas gdy jego twarz powoli zniknęła za zasłoną gęstego siwego dymu, który wypuszczał ustami i przez nozdrza. - Jeśli dojdziemy do porozumienia, w co w gruncie rzeczy nie wątpię, jako że nadal uważam cię za bardzo mądrego człowieka, możesz już dziś opuścić tę nędzną dziurę i tutejszą tak zwaną uczelnię.

Mogens spoglądał z dezaprobatą na żarzącego się papierosa w kąciu ust rozmówcy - właściwie tylko po to, by nie musieć dłużej znosić widoku jego rąk. Po chwili jednak nie był wcale pewien, czy ręce nie byłyby jednak lepsze. Z ust i nozdrzy Gravesa wciąż buchał ciemnoszary dym o zawieszistej konsystencji, leniwie rozprzestrzeniając się i bardzo powoli opadając na podłogę, by tu - mniej więcej na wysokości kolan gościa - zostać zassanym przez ciąg powietrza z kominka.

Mogens zauważył, że dym nie ulatywał do góry i właściwie nie wyglądał jak dym z papierosa. Miał raczej wrażenie, że Graves wydziela dziwaczny śluz, który skapuje z jego ust i dziurek nosa.

- Zainteresowany? - spytał Graves.

- Tak jak powiedziałem: ja już mam posadę - odparł Mogens szorstko.

Gość chciał zacząć go przekonywać, ale w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi i zanim Mogens zdążył zareagować, do pokoju wkroczyła panna Preussler.

Szła niepewnym krokiem, zapewne dlatego, że balansowała z tacą, na której stał imbryk w towarzystwie delikatnych porcelanowych filiżanek. W dodatku gospodyni poruszała się w dość skomplikowanej pozie - pochylona do przodu i na bok, tak by móc łokciem nacisnąć klamkę. Porcelana na tacy zabrzęczała cicho. Mogens był zbyt daleko, aby w porę wstać i jej pomóc, natomiast Graves, który siedział bliżej, ani drgnął. Zmarszczył tylko czoło z dezaprobatą i śledził pannę Preussler, gdy ta, kuśtykając, przeszła obok niego. Wyglądała na szczęśliwą, że zaraz postawi tacę w nienaruszonym stanie na stole.

- Pomyślałam, że panowie życzyliby sobie czegoś orzeźwiającego - rzekła z ulgą. -

Doskonała angielska herbata oraz kilka placuszków cynamonowych własnej roboty. Pan za nimi tak przepada, nieprawdaż, profesorze?

Mogens ponownie rzucił okiem na tacę i zauważył najlepszy serwis panny Preussler - porcelana miśnieńska importowana z Europy, zapewne jedyna wartościowa rzecz w tym domu. Strzegła jej jak oka w głowie. Podawała w niej najwyżej w Boże Narodzenie i w dniu 4 Lipca. Obok filiżanek stał talerz z lukrowanymi placuszkami w kształcie gwiazdek. I jeszcze jedno - VanAndt zauważył swoją pomyłkę - na tacy były nie dwie, lecz trzy filiżanki.

- Lepiej rozmawia się przy dobrej herbacie - stwierdziła gospodyni.

- To bardzo miło z pani strony - powiedział Mogens, po czym, wskazując na Gravesa, dodał: -

Jeśli mogę przedstawić, doktor Jonathan Graves, dawny kolega. Panna Preussler, moja gospodyni.

Graves skinął głową bez słowa. Panna Preussler uśmiechnęła się, ale zaraz potem zamarła, gdy zobaczyła papierosa w kąciu ust gościa. W jej domu panował surowy zakaz palenia, bo popiół z papierosów należał do najbrudniejszych rzeczy, jakie tylko była w stanie sobie wyobrazić.

Już zamierzała grzecznie, jednak wyraźnie uświadomić gościowi Mogensa, że popełnia właśnie wielkie faux pas, gdy nagle stało się coś dziwnego. Podczas gdy Graves nadal wbijał w nią swoje zimne, nabiegłe krwią oczy, Mogens obserwował, jak topnieje gniew panny Preussler. W jej spojrzeniu pojawiło się coś, co uznałby za strach, gdyby umiał określić jego źródło. Nie odsunęła się od Gravesa, przybrała jednak taką pozę, jakby chciała to zrobić.

Niedomknięte przez gospodynię drzwi znów się poruszyły, jakby samoistnie, i do pokoju weszła smolście czarna, pełna wdzięku kotka - jedyne czworonożne stworzenie, które panna Preussler nie tylko tolerowała, ale wręcz ubóstwiała. Nie trzeba dodawać, że był to prawdopodobnie najczystszy kot w kraju, o ile nie na świecie, i że w całym swoim życiu nie widział ani jednej pchły.

- Ależ Kleopatro! - zawołała panna Preussler. Odwróciła się energicznie, szczęśliwa, że nie

musi patrzeć na osobliwego gościa Mogensa. - Kto ci pozwolił tu wchodzić? Wiesz przecież, że nie masz czego szukać w pokojach gości.

- Proszę ją wpuścić, panno Preussler - powiedział VanAndt. - Wcale mi nie przeszkadza. Istotnie, bardzo lubił Kleopatę. Często odwiedzała go, czego panna Preussler nie mogła nie wiedzieć. Gdy więc wyciągnął rękę do kotki, natychmiast do niego podeszła i mrużąc, zaczęła ocierać się o jego łydkę. Gospodyni zmarszczyła czoło zamyślona. Być może widok ten uświadomił jej coś, z czego do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Po kilku chwilach zmusiła się do oderwania wzroku od kotki i znów spojrzała niepewnie na Gravesa. Mogens zrozumiał, że miała trudności ze sklasyfikowaniem osobliwego gościa, pewne jednak było, że nie przypadł jej do gustu. Dlaczego właściwie miałyby mieć inne odczucia niż on sam?

- To bardzo miłe z pani strony, panno Preussler - po wiedział raz jeszcze. - Bardzo pani dziękuję.

r

■:f\h

Graves nadal milczał uparcie, podczas gdy spojrzenie gospodyni błędziło coraz niespokojniej między trzema filiżankami na tacy, jego twarzą a obliczem Mogensa. Czekwała na zaproszenie do pozostania, choć VanAndt jednoznacznie chciał się jej pozbyć. Przyzwoitość nakazywała więc zostawić obu uczonych samych, ale ciekawość brała górę, poza tym była zdecydowana walczyć o swojego profesora.

„Może by tak - pomyślał Mogens - pozostawić decyzję losowi i zdać się na pannę Preussler”. Nie miał najmniejszej ochoty odbywać rzeczowej rozmowy z Gravesem ani nawet zastanawiać się, z czym ten przyjechał.

Nieoczekiwanie to Kleopatra wzięła decyzję na siebie. Do tej pory ocierała się, mrużąc, o nogi Mogensa, lecz teraz odwróciła głowę i bardzo uważnie spojrzała w górę na Gravesa. Nagle jej zachowanie zmieniło się diametralnie. Wygięła grzbiet, nastroszyła sierść na karku, a ogon, który do tej pory sterczał przyjaźnie, zaczął kołysać się nerwowo. Jonathan Graves widocznie nie zaskarbił sobie sympatii zwierzęcia. Mogens jednak tylko przez moment odczuł z tego powodu satysfakcję, zaraz bowiem wbrew jednoznacznej mowie ciała kotka ostrożnie, lecz stanowczo podążyła w kierunku gościa. Zaczęła warczeć głębokim, gardłowym głosem, który przypominał raczej odgłos wydawany przez psa niż kota.

- Kleopatro? - zdziwiła się panna Preussler.

Kotka, inaczej niż zwykle, nie zareagowała na jej głos, lecz podeszła do Gravesa i zaczęła obwąchiwać jego starannie wypolerowane buty. Graves wypuścił w jej stronę chmurę gęstego, śmierdzącego dymu, ale nawet to jej nie spłoszyło. Znów zerknęła w górę, mrużąc załzawione oczy, rozsiała się w rozkroku na jego stopach i zanieczyściła eleganckie buty potężną porcją cuchnących kocich ekskrementów.

■m

Panna Preussler wydała z siebie brzmiący groteskowo, piskliwy dźwięk i podniosła rękę do ust, by stłumić krzyk, w który ów dźwięk mógłby się przerodzić. Również Mogens otworzył szeroko usta i oczy ze zdziwienia. Przez ułamek sekundy zupełnie nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Gdyby nie straszliwy odór kocich odchodów, który błyskawicznie wypełnił cały pokój, byłby uwierzył, że cała ta dziwaczna scena to tylko jego halucynacje.

Z ust gospodyni wymknął się wreszcie ledwie słyszalny, stłumiony okrzyk. Zamiast do ust, przycisnęła teraz rękę do serca, a jej twarz w jednej chwili zbladła. Lecz Graves nawet nie zmarszczył czoła, jakby takie rzeczy były u niego na porządku dziennym. Spokojnie zaciągnął się dymem z papierosa i wypuścił w powietrze zawieszoną chmurę dymu, strzepując przy tym popiół niby przypadkiem wprost na kotkę. Kleopatra fuknęła ze złością, uskoczyła w bok na sztywnych nogach i wybiegła z pokoju, miaucząc i kwicząc gniewnie. Panna Preussler po raz trzeci wydała przenikliwy okrzyk i wybiegła za nią.

- Niemożliwa osoba - powiedział Graves. - Próbowala już zaciągnąć cię do łóżka? Mogeris nie nadażał za jego słowami. Nadal wpatrywał się w brązową, wydającą przykrą woń maź, która powoli rozplływając się, skapywała z butów Gravesa na dywan. Doktor zdawał się tego nie zauważać.

„Gra swoją rolę” - pomyślał Mogens. Nie przychodziło mu do głowy żadne inne wytłumaczenie. Ale co to była za rola? I do czego on zmierzał?

- Co mówiłeś? - wymamrotał oszołomiony profesor. Kosztowało go sporo wysiłku, by oderwać wzrok od butów Jonathana i przenieść spojrzenie na jego twarz. Graves nadal wypuszczał siwy dym. Strużka śliny wyciekała mu z lewego kącika ust, pozostawiając śluzowaty ślad na brodzie, nie zwracał na to jednak uwagi.

- Nieważne - odpowiedział doktor. - Najwyraźniej nie jesteś w nastroju do wspomniania ze mną dawnych czasów, pomówmy więc o mojej propozycji. Zainteresowany czy nie?

Mogens na nowo zebrał wszystkie swoje siły, by powstrzymać narastające uczucie wstępu, jakie Graves w nim wywoływał, i skoncentrować się na powodzie jego wizyty.

- O ile dobrze sobie przypominam, jak do te) pory nie złożyłeś mi żadnej konkretnej oferty, którą mógłbym przyjąć lub odrzucić.

- Wciąż jesteś zwolennikiem okrężnych dróg, mam rację? - spytał Graves, kręcąc głową. -

Dobrze, jak chcesz. Jestem tu po to, by zaproponować ci niezwykle interesującą i, nawiasem mówiąc, bardzo lukratywną posadę. Z różnych powodów nie mogę ci teraz zdradzić żadnych szczegółów, ale zapewniam cię, że będziesz bardzo zadowolony. Chodzi o pracę, która stokroć bardziej odpowiada twoim możliwościom i ambicjom niż to, czym się zajmujesz w tej zapyziałej dziurze. No i, jak już wspomniałem, jest dobrze płatna. Wiem, że pieniądze nie mają dla ciebie większego znaczenia, ale nawet człowiek o tak niewielkich potrzebach jak ty na dłuższą metę pragnie czegoś więcej niż to tutaj.

Dwa ostatnie słowa wypowiedział dużo głośniejsze, z wyraźną odrazą. Wstał, zaciągnął się nerwowo papierosem i rozpoczął przechadzkę po pokoju. Jego ruchy sprawiały wrażenie nierealnych, gestykulował zamasyżycie obydwojma rękami, a jego buty zostawiały na dywanie brązowe, śmierdzące plamy.

- To zbyt mało informacji - powiedział Mogens, z trudem panując nad głosem. Coraz trudniej przychodziło mu znoszenie widoku Gravesa. Zapach papierosów zmieszany ze smrodem odchodów Kleopatry spowodował, że profesor zaczął odczuwać mdłości. Przełknął kilka razy ślinę, by po-28 zbyć się gorzkiego posmaku żółci, który czuł pod językiem, i-- i

fas i— ,

po czym ciągnął dalej: - W końcu oczekujesz ode mnie, żebym porzucił wszystko, co tutaj mam, i ci zaufał. Dlaczego, na miłość boską, miałbym to zrobić? Dlaczego miałbym zaufać właśnie tobie? Natychmiast pożałował swoich ostatnich słów. Nie chciał okazać Gravesowi, jak silne emocje w nim budził, choć tamten musiał to zauważyć.

Pytania Mogensa nie zbiły doktora z tropu, zaprzestał jedynie na chwilę wędrówki tam i z powrotem, by spojrzeć na VanAndta z politowaniem.

- Sprawiasz mi zawód, profesorze. Obrażasz mnie, prawdę powiedziawszy. Czy naprawdę sądzisz, że zadałem sobie trud wielomiesięcznych poszukiwań i przemierzyłem pół kraju tylko po to, by spłatać ci głupiego figla?

Pokręcił głową. Dłoń wetknęła w usta cygarniczkę, a twarz znikła za kłębowiskiem siwego, smolistego dymu. Mogens odniósł nieprzyjemne wrażenie, że także włosy Gravesa poruszały się w nienaturalny sposób niczym kłębowisko maleńkich węży.

- Nie wiem, co o tym sądzić - powiedział profesor. - Po tym wszystkim, co między nami zaszło, naprawdę oczekujesz, że ci zaufam?

- W takim razie twoje pytania o prawdziwość moich słów są zbyteczne - odparł Jonathan, uśmiechając się szyderczo. Jego zęby wydały się Mogensowi dużo bardziej krzywe niż do tej pory. Były pokryte żółtymi plamami i więziły coś czarnego, co zajęło miejsce języka i chciało teraz wydostać się z ust. - Mogę ci zdradzić niewiele. Jeśli przyjmiesz moją propozycję i będziesz mi

towarzyszył, zrozumiesz, dlaczego udzielam ci tak skąpych informacji. Teraz mogę tylko powiedzieć, że chodzi o projekt badawczy ogromnej wagi. Jeśli odniesiemy sukces, w co nie wątpię, staniesz się sławny i będziesz się cieszył niekwestionowanym uznaniem w kręgach naukowych. O czym tu dłużej

myśleć? Jeśli nawet nie zależy ci na tym, by wydostać się z tej dziury, pomyśl przynajmniej o możliwościach, jakie się przed tobą otwierają. Mówię o wielkim odkryciu naukowym. Być może o największym odkryciu od początków nowożytnej archeologii. Zostaniesz zrehabilitowany, gdy twoje nazwisko pojawi się w niezliczonych artykułach i książkach naukowych. Nie wspominając już o pracach historycznych. '

- Znalazłeś Arkę Noego? - spytał Mogens. Chciał się zaśmiać, ale głos uwiązł mu w gardle. Nieprzyjemny dźwięk, który wydał, zmroził atmosferę i nawet gdy już przebrzmiał, zdawał się wciąż wisieć w powietrzu.

- Nie - odpowiedział Graves poważnie. - Została znaleziona ponad pięć lat temu.

- To... to był żart.

Gość zignorował go.

- Jesteś zainteresowany? - spytał ponownie.

Mogens zastanawiał się. Długo. Intensywnie. Nie doszedł jednak do żadnych wniosków. Nie mógł przecież zaufać Gravesowi, nie po tym wszystkim, co ten mu zrobił. Z drugiej jednak strony słowa dawnego znajomego brzmiały niezwykle kusząco i Mogens czuł, że mimo wszystko były prawdziwe.

- Dlaczego ja? - spytał w końcu.

- Potrzebujemy najlepszego - odpowiedział doktor. - To, że zostałeś zepchnięty na boczny tor, woła o pomstę do nieba. Przeszłość nie ma żadnego znaczenia. Człowiek z twoimi możliwościami nie może zaszywać się w takim miejscu. Marnowanie takiego talentu to grzech!

- Twoje współczucie wzrusza mnie do łez - zakpił Mogens.

Lewa, odziana w rękawiczkę ręka Gravesa uczyniła gest wyrażający pogardę.

- Nie przyjechałem tu po to, by prosić cię o wybaczenie, Mogensie - odparł Jonathan. - Nie oczekuję, że jesteś do tego zdolny, nawet jeśli ja ze zrozumiałych względów trochę inaczej postrzegam wydarzenia tamtego wieczoru. Przyjechałem, ponieważ potrzebujemy do naszego projektu dobrego pracownika. Dobrze wiem, na co cię stać, Mogensie. Nie mam zbyt wiele czasu. Przemyśl moją propozycję i podejmij decyzję.

Sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągnął z niej kopertę i położył ją na stole przed profesorem. Jego rękawiczki zdawały się przy tym pulsować, jakby palce dłoni rozpląnęły się i szukając ujścia, próbowały rozsadzić czarną skórę.

- W tej kopercie jest bilet na pociąg pierwszej klasy do San Francisco. Ponadto pięćset dolarów w gotówce na pokrycie kosztów podróży oraz innych ewentualnych wydatków. Naturalnie jeśli odrzucisz moją propozycję, możesz zatrzymać te pieniądze. Jeśli ją jednak przyjmiesz, na co szczerze liczę, znajdziesz tu jeszcze numer telefonu, pod którym możesz mnie zastać. Gdy zadzwonisz z dworca, każe ci odebrać w ciągu godziny.

Wyjął niedopałek papierosa z cygarniczki, rzucił nim celnie w ogień kominka i ruszył bez słowa w stronę drzwi.

- Aha, jeszcze jedno - przypomniał sobie. - Nie będziesz musiał ściśle ze mną współpracować. Nie sądzę, żebyśmy się widywali częściej niż raz czy dwa razy w tygodniu.

Wyszedł, a Mogens wpatrywał się w kopertę jak zahipnotyzowany. Nie wątpił w szczerść Gravesa, nawet jeśli zupełnie nie pojmował motywów jego działania. Jonathan był co prawda najbezwzględniejszym człowiekiem, jakiego znał, ale nie głupcem. Tak infantylny żart po prostu by do niego nie pasował. Poza tym pięćset dolarów to zbyt duża suma, by inwestować ją w zwykły dowcip. To więcej, niż Mogens zarabiał w ciągu trzech miesięcy na tym tak zwanym uniwersytecie i prawie tyle, ile był w stanie odłożyć przez cztery lata dobrowolnego wygnania. Same pieniądze nie liczyły się jednak. Zaprzętały myśli profesora jedynie o tyle, że zdawały się być dowodem szczerych zamiarów Gravesa. O wiele większą wagę przykładał do koperty, która

wskazywała wyjście ze ślepego zaułka, w jaki zagnał go los.

Nagle ktoś otworzył drzwi. Mogens, nieco wystraszony, odwrócił się błyskawicznie. Jeśli kogokolwiek mógł oczekiwać, to tylko Gravesa, który oznajmi mu, że to wszystko było jednak kolejnym aktem zemsty i niczym więcej. Lecz zamiast niego do pokoju wkroczyła panna Preussler w fartuchu, z cynkowym wiadrem pełnym parujących mydlin i całym pęczkiem ścierek. Nie tracąc czasu na wyjaśnienia, minęła profesora, uklękła i zaczęła szorować jedną z plam, które Graves zostawił na dywanie. Choć odwróciła się plecami do Mogensa, mógł dojrzeć, że była czerwona jak burak ze wstydu.

- Nie ma pan pojęcia profesorze, jak krepująca jest dla mnie ta sytuacja - powiedziała nagle.

- Proszę się nie przejmować - odparł Mogens, ale panna Preussler jakby nie słyszała jego słów.

- Coś tak oburzającego nie spotkało mnie jeszcze nigdy w życiu. Zupełnie nie rozumiem, co się stało Kleopatrze. Proszę mi wierzyć, nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła.

W miarę jak panna Preussler szorowała plamy, smród stawał się coraz dotkliwszy. Dziwnym trafem Mogens poczuł nie tylko zapach kocich odchodów, ale i czegoś obcego i zarazem odrażającego, zupełnie jakby Graves pozostawił w pokoju wyziewy zatrujące powietrze. Panna Preussler wykrzywiła twarz ze wstrętem, zanurzyła ścierkę w wodzie i zanim zaczęła dalej szorować, wykręciła ją z przesadną starannością.

. u C

- Zupełnie nie rozumiem, co w tego kota wstąpiło - ciągnęła coraz bardziej nerwowo. Tarła plamy z narastającym zapałem, jakby chcąc w ten sposób zetrzeć hańbę, którą okryło jej dom oburzające zachowanie Kleopatry. - Zaraz z rana pójde z nią do weterynarza i każę gruntownie przebadac.

- Panno Preussler... - przerwał jej Mogens.

Gospodyni przestała zapamiętale szorować plamę, jednak jeszcze przez kilka sekund patrzyła tępo gdzieś w przestrzeń, zanim powoli uniosła głowę i spojrzała bojaźliwie na profesora.

- Proszę nie robić Kleopatrze wyrzutów - powiedział VanAndt. - Na jej miejscu prawdopodobnie zrobiłbym to samo.

Wstał, unikając skupionego spojrzenia panny Preussler, i szybkim krokiem podszedł do okna, by je otworzyć i pozbyć się z pokoju przykrego zapachu. Jego ręka zastygła w połowie drogi do klamki. Jonathan był teraz na ulicy i właśnie wsiadał do swojego kabrioletu. Nie zadał sobie trudu otwarcia drzwi. Niczym gad przepelzł ponad nimi wijącym ruchem i wśliznął się za kierownicę. Zapalił silnik i odjechał, nie zaszczycawszy Mogensa nawet spojrzeniem.

- Mógłby pan otworzyć okno, profesorze? - poprosiła panna Preussler. - Ten zapach jest nie do zniesienia. Dobry Boże, miną całe miesiące, nim uda mi się go pozbyć. Zupełnie nie rozumiem. Kleopatra musiała zjeść coś nieswieżego.

Mogens zacisnął rękę na klamce okna, nadal jednak ociągał się z jego otwarciem. Buick Gravesa dojechał tymczasem do końca ulicy i skręcił. Mimo to profesor miał wrażenie, że coś po nim pozostało, coś, co czyhało tam w dole na ulicy i natychmiast wtargnęłoby do pokoju, gdyby tylko popełnił ten błąd i odważył się uchylić wrota swej twierdzy.

Złudzenie to było jednak całkowicie niedorzeczne, więc Mogens zaraz odpędził dziwaczne wizje. Uświadomiwszy sobie, jaką głupotą jest rozumować w ten sposób,

■■fit',

- Zupełnie nie rozumiem, co w tego kota wstąpiło - ciągnęła coraz bardziej nerwowo. Tarła plamy z narastającym zapałem, jakby chcąc w ten sposób zetrzeć hańbę, którą okryło jej dom oburzające zachowanie Kleopatry. - Zaraz z rana pójde z nią do weterynarza i każę gruntownie przebadac.

- Panno Preussler... - przerwał jej Mogens.

Gospodyni przestała zapamiętale szorować plamę, jednak jeszcze przez kilka sekund patrzyła tępo gdzieś w przestrzeń, zanim powoli uniosła głowę i spojrzała bojaźliwie na profesora.

- Proszę nie robić Kleopatrze wyrzutów - powiedział VanAndt. - Na jej miejscu

prawdopodobnie zrobiłbym to samo.

Wstał, unikając skupionego spojrzenia panny Preussler, i szybkim krokiem podszedł do okna, by je otworzyć i pozbyć się z pokoju przykrego zapachu. Jego ręka zastygła w połowie drogi do klamki. Jonathan był teraz na ulicy i właśnie wsiadał do swojego kabrioletu. Nie zadał sobie trudu otwarcia drzwi. Niczym gad przepelzł ponad nimi wijącym ruchem i wśliznął się za kierownicę. Zapalił silnik i odjechał, nie zaszczycawszy Mogensa nawet spojrzeniem.

- Mógłby pan otworzyć okno, profesorze? - poprosiła panna Preussler. - Ten zapach jest nie do zniesienia. Dobry Boże, miną całe miesiące, nim uda mi się go pozbyć. Zupełnie nie rozumiem. Kleopatra musiała zjeść coś nieświeżego.

Mogens zacisnął rękę na klamce okna, nadal jednak ociągał się z jego otwarciem. Buick Gravesa dojechał tymczasem do końca ulicy i skręcił. Mimo to profesor miał wrażenie, że coś po nim pozostało, coś, co czyhało tam w dole na ulicy i natychmiast wtargnęłoby do pokoju, gdyby tylko popełnił ten błąd i odważył się uchylić wrota swej twierdzy.

Złudzenie to było jednak całkowicie niedorzeczne, więc Mogens zaraz odpędził dziwaczne wizje. Uświadomiwszy sobie, jaką głupotą jest rozumować w ten sposób, z przesadną siłą szarpnął za klamkę. Do pokoju nie wtargnęło nic poza zimnym powietrzem, najwyżej trochę wilgoci. Pod wpływem powiewu ogień w kominku z trzaskiem strzelił do góry i prawie natychmiast zrobiło się chłodniej. Lodowata fala powietrza wyparła również smród, a przynajmniej uczyniła go zdecydowanie znośniejszym.

Panna Preussler odetchnęła z wyraźną ulgą. Wsparta na dłoniach i kolanach przeczołgała się do następnej płamy.

- Naprawdę nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro z powodu tego incydentu - powiedziała. - Mam tylko nadzieję, że nie odbiło się to na pańskich pertraktacjach z panem Gravesem... Aczkolwiek, mówiąc szczerze, trudno mi sobie wyobrazić, by człowiek pańskiego pokroju choć przez chwilę poważnie rozważał współpracę z kimś takim jak ten Graves, do tego jeszcze w San Francisco! Proszę mi wierzyć profesorze, wiem, o czym mówię. Kuzynka mojego zmarłego męża pochodziła z Kalifornii. Tamtejsi ludzie są dziwni. Nie czułby się pan tam szczęśliwy.

Było jasne, że podsłuchiwała pod drzwiami, Mogens nie skomentował jednak tego faktu. Nie miał tego nawet za złe swojej gospodyni. Być może na jej miejscu zachowałby się podobnie.

- Dlaczego? - spytał.

- Ależ profesorze, błagam pana! - Panna Preussler wsparła dłonie na swych pulchnych udach, wyprostowała się i spojrzała na niego niemal z wyrzutem. - Ten... potwór naprawdę nie jest człowiekiem na pańskim poziomie! Trudno mi w ogóle uwierzyć, że był pan z nim kiedyś zaprzyjaźniony!

- Wcale nie byłem - odparł Mogens. - Studiowaliśmy razem, ale nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

- Nawet nie potrafiłabym sobie tego wyobrazić - powtórzyła panna Preussler z ulgą. - Nie rozważa pan chyba poważnie przyjęcia jego oferty, prawda?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji - odpowiedział VanAndt.

- Profesorze, błagam pana! - Panna Preussler była wyraźnie przestraszona. - Nie może pan przystać na tę propozycję! Ten człowiek nie jest dla pana... odpowiedni!

- Co ma pani na myśli? - spytał Mogens zirytowany. Nie było dla niego zaskoczeniem, że Graves nie zjednał sobie jej sympatii. Czy to jednak możliwe, żeby wywoływał tak samo negatywne uczucia jak u niego? A jeśli tak, to dlaczego? Przecież panna Preussler nie miała złych doświadczeń związanych z Gravesem. W momencie, gdy zadał sobie to pytanie, od razu znalazł odpowiedź. Biorąc pod uwagę uczucia, jakie gospodyni żywiła do Mogensa, Graves musiał być w jej oczach kimś w rodzaju rywala. Pojawił się znikąd i groził, że go jej odbierze.

- Właściwie... nie umiem tego sprecyzować - wymamrotała gospodyni. - Jest w nim coś, co mnie przeraża. Jest odpychający. Nie chciałam mówić tego wcześniej, w jego obecności, ale wyczuwam jakiś fałsz w tym doktorze Gravesie. Nie potrafię tego inaczej opisać. Źle się czuję w jego obecności, nie mówiąc o tym, że zachowanie tego człowieka było skandaliczne. Ten

mężczyzna to zwierzę!

- Chyba lekko pani przesadziła. - Mogens uśmiechnął się. Właśnie miał zamykać okno, jednak zrezygnował. Powietrze wewnątrz było teraz przyjemnie świeże, ale dokuczliwy zapach nadal unosił się w pokoju. Wolał marznąć, niż wdychać tę przykrą woń. Wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce koło kominka. - Graves z pewnością nie jest miłym człowiekiem, ale określenie go mianem zwierzęcia to chyba jednak zbyt wiele.

- Oczywiście - odpowiedziała panna Preussler skwapliwie. - Proszę mi wybaczyć. Nieodpowiednio się wyraziłam. Ten człowiek jest taki... - Przez chwilę szukała właściwego słowa, w końcu jednak wzruszyła ramionami i, chcąc ukryć zażenowanie, znów zaczęła zawzięcie pucować plamy na dywanie.

Mogens wpatrywał się zamyślony w kopertę leżącą przed nim na stole. Te pieniądze szydziły z niego, równocześnie jednak trudno było oprzeć się ich pokusie. Czy można odrzucić przepustkę do innego, lepszego życia, zwłaszcza że to obecne przypominało raczej powolną śmierć? Ale jakiś wewnętrzny głos ostrzegwał profesora przed Gravesem.

Wewnętrzny głos? Pokręcił milcząco głową. Jego własne zachowanie nie tyle go dziwiło, co wręcz przerażało, nie dało się go bowiem niczym wytłumaczyć. Mogens nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nienawidził Gravesa.

Nachylił się nad tacą, nalał do filiżanki herbaty, której tamten nawet nie tknął, i tym samym ruchem napełnił drugą.

- Proszę usiąść na chwilę koło mnie, panno Preussler... Betty - poprawił się. - Chciałbym z panią porozmawiać.

Gospodyni spojrzała na niego zaskoczona, ale natychmiast wstała i już miała zająć miejsce, na którym wcześniej siedział Graves, jednak w połowie drogi zrezygnowała i wybrała inne krzesło.

- Panno Preussler, mieszkam już cztery lata pod pani dachem i przez cały ten czas nie było dnia, w którym nie zdawałbym sobie sprawy, że darzy mnie pani szczególnymi względami - zaczął Mogens.

Spojrzenie gospodyni, choć uważne, wskazywało wyraźnie, że kobieta nie ma pojęcia, ku czemu zmierza jej gość. W jej oczach tliła się jednak iskierka nadziei, która uświadomiła Mogensowi, że być może nie najszczęśliwiej dobrał słowa. Naturalnie odczytała je błędnie, ponieważ chciała je błędnie odczytać. Profesor nie miał zamiaru deklarerować, że nie wyjedzie i przyjmuje jej zaloty - wręcz przeciwnie. By zyskać na czasie, sięgnął po placuszek cynamonowy i odgryzł kawałek. Zaraz jednak wypluł ów kęs, a ciastko

odrzucił szerokim łukiem. Całym wysiłkiem woli próbował powstrzymać mdłości, które wzbierały w jego żołądku. Wstrętny posmak wypełnił mu usta. Mogens zwinął się w swoim fotelu, poczuł bolesny ucisk w krtani, zaczął się dławić w mękach, w końcu przełknął gorzką żołąć, która zdążyła podejść mu do gardła. Nudności jeszcze się nasiliły, nadal jednak dzielnie zwalczał te sensacje - choćby z tego absurdałnego względu, by po wszystkich przejściach nie pogrążyć panny Preussler jeszcze bardziej, wymiotując na jej dywan.

A gospodyni wciąż wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczyma, z pobladłą twarzą.

- Ale co się dzieje?... - zaczęła, zaraz jednak zamilkła wstrząśnięta do głębi i sięgnęła po jedną z cynamonowych gwiazdek. Rozłamała ją szpiczastymi palcami na pół. Po chwili sama wydała z siebie zdławiony okrzyk. Mogens niepotrzebnie uniósł wzrok. Gdy zobaczył wnętrze ciastka, mdłości przybrały na sile.

Z cynamonowej gwiazdki wypłynęła kleisto-smolista masa, kipiąca i eksplodująca pęcherzykami niczym zawartość wulkanu błotnego. Mogens nigdy nie widział przy stole czegoś bardziej obrzydliwego. Starał się nie myśleć, że właśnie wgryzł się w takie ciastko.

- Ależ... to nie może być prawda - jęknęła panna Preussler. - To niemożliwe! Upiekłam te placuszki dziś rano ze świeżych składników!

- Widocznie któryś z nich był jednak zepsuty - powiedział Mogens z trudem. Nie odważył się nawet zająrzeć do swojej filiżanki w obawie, że i herbata nieprzyjemnie go zaskoczy. Jego żołądek mógłby tego nie wytrzymać.

- Nie... nie rozumiem, jak to się stało - wybełkotała gospodyni. - To jest... to jest... - urwała,

pokręciła bezradnie głową, potem ze wstrętem wrzuciła przełamany placek w ogień i wstała.

- Dziś chyba nie jest mój szczęśliwy dzień - zakończyła żartobliwym tonem, próbując rozluźnić atmosferę. - Zaraz to wyrzucę, a potem pójdę zamienić słówko ze sprzedawczynią ze sklepu naprzeciwko.

Chwyliła talerz z zepsutymi placuszkami, ale zanim wyszła, jeszcze raz odwróciła się w stronę profesora.

- Ostatnia godzina nie należała do najszcześniejszych. Mam nadzieję, że nie będzie ona miała wpływu na pańską decyzję, prawda?

- Oczywiście, że nie - zapewnił Mogens, z trudem przenosząc wzrok z trzymanego przez pannę Preussler talerza pełnego ciasteczek na pozostawioną przez Gravesa kopertę. - Niczego jeszcze nie postanowiłem, zapewnię jednak panią, że nie podejmę tej decyzji pochopnie. Cztery dni później wysiadł z pociągu na dworcu w San Francisco i zadzwonił pod numer, który podał mu Graves.

4

imo że tafla Pacyfiku była gładka niczym powierzchnia lustra, promienie zachodzącego słońca kładły się na niej drobnym, migocącym wzorem. Jednak jeśli kto chciał zbyt długo podziwiać to zjawisko, jaskrawe refleksy kłuły go pod powiekami jak drobne igielki, nawet gdy zamknęło się oczy i odwróciło wzrok. Te drobne cętki światła potęgowały wrażenie, że głębiny oceanu są w nieustannym ruchu.

Pacyfik powoli zniknął z oczu. Ku rozczarowaniu Mogensa nie przejechali sławnym mostem, lecz oddalali się od wybrzeża. Profesor przewidywał, że ocean zniknie za widnokretem, jeszcze zanim zajdzie słońce, a więc najpóźniej za pół godziny. Już teraz tafla wody po jego lewej stronie skurczyła się do rozmiarów wąskiego sierpa - coraz

mniejszego, w miarę jak ford jechał na wschód. VanAndt odczuł nieokreśloną, ale bardzo wyraźną ulgę. Może dlatego, że pod powierzchnią spokojnego z pozoru oceanu czyhało coś, czego wprawdzie nie widział, ale czego obecność instynktownie wyczuwał?

Zastanawiał się jeszcze przez chwilę nad tą osobliwą sprawą, wkrótce jednak odpędził od siebie natrętne myśli, lekko się wzdrygając. Podobne rozważania były nie tylko bezsensowne, ale i niegodne człowieka takiego jak on. Rzecz jasna, coś kryło się pod powierzchnią wody. Ocean wprost tętnił życiem, które opanowało przecież, choć w mniejszym stopniu niż ląd, również milczące, ciemne królestwo wód. Jednak wśród niezmiernego bogactwa nieznanego, często dziwnych czy śmiertelnie groźnych stworzeń, nie było ani jednego, którego musiałby się obawiać. A na pewno nie teraz, siedząc w samochodzie oddalającym się od Pacyfiku z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Nerwy zaczęły płatać mu figle, tym złośliwsze, im bliżej było do zapadnięcia nocy. Wiedział dokładnie, dlaczego tak się działo.

Bez wątpienia przede wszystkim chodziło o doktora Jonathana Gravesa, którego miał zobaczyć za niespełną godzinę. Przez ostatnie cztery dni myśli Mogensa uparcie krążyły wokół czekającego go spotkania z dawnym kolegą. W tym czasie emocje profesora zmieniały się jak w kalejdoskopie, częstokroć w tej samej chwili popadał z jednej skrajności w drugą. Zażarta nienawiść do człowieka, który zniszczył mu życie, ogarniała go na przemian z pogardą - również wobec samego siebie, jako że w ogóle rozważał przyjęcie niegodnej propozycji doktora. Pomiędzy te uczucia wkradała się czasem dziecięca przekora, czasem współczucie dla własnej osoby. Fakt, chwilami do głosu dochodził zdrowy rozsądek VanAndta, a przynajmniej próbował sobie wmówić, że tak jest. Koniec końców, to w jaki sposób znalazł się w obecnym położeniu, nie miało już teraz większego

mniejszego, w miarę jak ford jechał na wschód. VanAndt odczuł nieokreśloną, ale bardzo wyraźną ulgę. Może dlatego, że pod powierzchnią spokojnego z pozoru oceanu czyhało coś, czego wprawdzie nie widział, ale czego obecność instynktownie wyczuwał?

Zastanawiał się jeszcze przez chwilę nad tą osobliwą sprawą, wkrótce jednak odpędził od siebie natrętne myśli, lekko się wzdrygając. Podobne rozważania były nie tylko bezsensowne, ale i niegodne człowieka takiego jak on. Rzecz jasna, coś kryło się pod powierzchnią wody Ocean wprost tętnił życiem, które opanowało przecież, choć w mniejszym stopniu niż ląd, również milczące, ciemne królestwo wód. Jednak wśród niezmiernego bogactwa nieznanego, często

dziwacznych czy śmiertelnie groźnych stworzeń, nie było ani jednego, którego musiałby się obawiać. A na pewno nie teraz, siedząc w samochodzie oddalającym się od Pacyfiku z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Nerwy zaczęły płatać mu figle, tym złośliwsze, im bliżej było do zapadnięcia nocy. Wiedział dokładnie, dlaczego tak się działo.

Bez wątpienia przede wszystkim chodziło o doktora Jonathana Gravesa, którego miał zobaczyć za niespełna godzinę. Przez ostatnie cztery dni myśli Mogensa uparcie krążyły wokół czekającego go spotkania z dawnym kolegą. W tym czasie emocje profesora zmieniały się jak w kalejdoskopie, częstokroć w tej samej chwili popadał z jednej skrajności w drugą. Zażarta nienawiść do człowieka, który zniszczył mu życie, ogarniała go na przemian z pogardą - również wobec samego siebie, jako że w ogóle rozważał przyjęcie niegodnej propozycji doktora. Pomiędzy te uczucia wkradała się czasem dziecięca przekora, czasem współczucie dla własnej osoby. Fakt, chwilami do głosu dochodził zdrowy rozsądek VanAndta, a przynajmniej próbował sobie wmówić, że tak jest. Koniec końców, to w jaki sposób znalazł się w obecnym położeniu, nie miało już teraz większego

i- ,
c\ ■ "
;UŻŁ

znaczenia. Nie gryzie się przecież ręki, która karmi, nawet jeśli wcześniej ta sama ręka biła.

- Już niedługo, profesorze - głos młodego mężczyzny siedzącego za ogromną kierownicą fordą wyrwał go niezbyt delikatnie, choć przyjaźnie, ze świątyni posepnych myśli. Chłopak wyglądał przynajmniej na tak zagubionego i nieporadnego, jak czuł się sam Mogens. Najwyraźniej opacznie zrozumiał podenerwowanie swojego pasażera, gdyż zdjawszy prawą rękę z kierownicy, wskazał nią do przodu w kierunku, gdzie wąska droga odbijała od niewiele szerszej głównej szosy, by po kilku metrach zniknąć pomiędzy gęstymi krzewami a potężnym głazem. Była tak wąska, że gdyby nie gest młodocianego szofera, profesor najprawdopodobniej by jej nie zauważył. - Jeszcze niecała mila i będziemy na miejscu.

- Aha. - Odpowiedź ta, o czym VanAndt dobrze wiedział, musiała zabrzmieć dość niegrzecznie. Kierowca był jednak najwyraźniej na tyle młody, że nie potrafił ani nie chciał zauważyć ukrytej w niej obrazy. Wręcz przeciwnie, tym energiczniej wymachiwał ręką, manewrując jednocześnie stopami przy sprzęgle i hamulcu.

Mogens przez chwilę przyglądał się z niejakim zainteresowaniem pozornie bezładnym ruchom. Nigdy nie posiadał sztuki prowadzenia samochodu, ale i nie odczuwał takiej potrzeby. Wrodzony pragmatyzm pozwalał mu wprawdzie uznać użyteczność automobilu, profesor potrafił też docenić, że dzięki niemu odcinek drogi, który konno lub dorożką przebyłby w ciągu trzech czy czterech godzin, mógł pokonać w nieporównanie krótszym czasie. Mimo to żywił do samochodów nieufność, żeby nie powiedzieć: napawały go one grozą.

Być może nie bez znaczenia w tej kwestii były cztery ostatnie lata spędzone w Thompson. To okres nie dość długi, by postęp techniczny mógł go bardzo zaskoczyć, w końcu nawet do takiej dziury docierały gazety. Ale gdy tylko

Mogens wysiadł z pociągu w San Francisco, uświadomił sobie, że Thompson tkwiło nie tyle w przeszłości, ile w ogóle jakby poza czasem. Jeździły tam auta, rzecz jasna, lecz zawsze były postrzegane jako osobliwość, na widok której przystawało się i odwracało głowę z lekkim uśmieszkiem na myśl, że przecież to nowomodne wariactwo nie przetrwa długo. San Francisco stanowiło przeciwieństwo Thompson. Nawet teraz, gdy od pół godziny oddalali się coraz bardziej od miasta, a łagodne wzgórza wokół nie różniły się aż tak od tych, wśród których leżało Thompson, miał przecież wrażenie, że znajduje się nie tylko w innej okolicy, ale w innym świecie, żeby nie powiedzieć - w innej galaktyce.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że droga będzie trochę wyboista - odezwał się szofer. Mogens spojrzał na niego pytająco, na co chłopak z sięgającymi prawie ramion blond lokami uczynił ręką falisty ruch. Profesorowi przemknęło przez myśl, czy czasem ten nie miał dosłownie obrazować wyboistej trasy. - Droga prowadzi przez górę. Jest kilka nieprzyjemnych wybojów, ale proszę się nie obawiać, dobrze orientuję się w tej okolicy.

- A droga główna? - spytał Mogens z namysłem.

- Jedna prowadzi dwadzieścia mil wokół góry, druga przez nią - powiedział chłopak, jakby to wyczerpywało sprawę.

Profesor nawet nie próbował się więcej odzywać. Treść i ton wypowiedzi dobitnie świadczyły o młodym wieku kierowcy - zbyt krótkim, by mógł wiedzieć, jak nieprzyjemne niespodzianki przynosi czasem życie. Po krótkim wahaniu VanAndt jednak spytał:

- Czy aż tak się spieszymy?

- Ma pan za sobą męczący dzień, profesorze - odparł chłopak. - Myślałem, że będzie pan chciał dotrzeć jak najszybciej na miejsce. - Zaśmiał się, ale śmiech ten zabrzmiał trochę nerwowo. W jego jasnoniebieskich, przejrzystych

li »»

-•■ńó- ' Jł ' i..

4-1

ii

I

oczach Mogens po raz pierwszy dostrzegł cień niepewności. - Mogę oczywiście również...

- Nie, nie! - Profesor wszedł mu w słowo. - Proszę jechać tą drogą, którą miał pan zamiar. Zakładam, że wie pan, co robi, panie...?

- Nazywam się Tom - powiedział chłopak. - Proszę mi mówić na „ty”, po prostu Tom. Tak naprawdę mam na imię Thomas, ale nikt mnie tak nie nazywa. Nawet doktor Graves.

- Od dawna znasz doktora?

Tom zaprzeczył ruchem głowy.

- Wychowałem się tutaj.

Tymczasem przyhamował, tak że samochód zwolnił prawie do tempa chodu, w końcu prawie stanął. Rozległ się zgrzyt, gdy Tom przesunął dźwignię skrzyni biegów do przodu. Kosztowało go to sporo wysiłku. Następnie wykonał stopami cały szereg skomplikowanych ruchów i wreszcie ford skręcił pod kątem prostym z asfaltowej drogi głównej w boczną odnogę. Zanim jeszcze tylne koła samochodu zdążyły zjechać z twardego podłoża, prawe przednie z ogromnym impetem zapadło się w koleinę. Cały samochód podskoczył jak postrzelone zwierzę. Zęby Mogensa szczęknęły z taką siłą, że z trudem stłumił okrzyk bólu. Instynktownie spojrzął do przodu, przygotowany na widok koła, które jeszcze kawałek pędzi do przodu, chybocząc się coraz bardziej, by w końcu upaść na bok. Zamiast tego ford wydostał się z turkotem z rowu i już znów nabierał rozpędu.

- Przepraszam - powiedział Tom skwapliwie, gdy Mogens odwrócił głowę, by na niego spojrzeć. Wzruszył ramionami zakłopotany i próbował wyczarować na twarzy uśmiech proszący o przebaczenie, osiągnął jednak tylko tyle, że wyglądał jeszcze młodziej, zupełnie jak dziecko, które pożyczyło sobie od ojca samochód na zakazaną przejażdżkę. - Zawsze zapominam o tej przeklętej króliczej norze!

oczach Mogens po raz pierwszy dostrzegł cień niepewności. - Mogę oczywiście również...

- Nie, nie! - Profesor wszedł mu w słowo. - Proszę jechać tą drogą, którą miał pan zamiar. Zakładam, że wie pan, co robi, panie...?

- Nazywam się Tom - powiedział chłopak. - Proszę mi mówić na „ty”, po prostu Tom. Tak naprawdę mam na imię Thomas, ale nikt mnie tak nie nazywa. Nawet doktor Graves.

- Od dawna znasz doktora? Tom zaprzeczył ruchem głowy. f

- Wychowałem się tutaj.

Tymczasem przyhamował, tak że samochód zwolnił prawie do tempa chodu, w końcu prawie

stał. Rozległ się zgrzyt, gdy Tom przesunął dźwignię skrzyni biegów do przodu. Kosztowało go to sporo wysiłku. Następnie wykonał stopami cały szereg skomplikowanych ruchów i wreszcie ford skręcił pod kątem prostym z asfaltowej drogi głównej w boczną odnogę. Zanim jeszcze tylne koła samochodu zdążyły zjechać z twardego podłoża, prawe przednie z ogromnym impetem zapadło się w koleinę. Cały samochód podskoczył jak postrzelone zwierzę. Zęby Mogensa szczęknęły z taką siłą, że z trudem stłumił okrzyk bólu. Instynktownie spojrzął do przodu, przygotowany na widok koła, które jeszcze kawałek pędzi do przodu, chybocząc się coraz bardziej, by w końcu upaść na bok. Zamiast tego ford wy dostał się z turkotem z rowu i już znów nabierał rozpędu.

- Przepraszam - powiedział Tom skwapliwie, gdy Mogens odwrócił głowę, by na niego spojrzeć. Wzruszył ramionami zakłopotany i próbował wyczarować na twarzy uśmiech proszący o przebaczenie, osiągnął jednak tylko tyle, że wyglądał jeszcze młodziej, zupełnie jak dziecko, które pożyczyło sobie od ojca samochód na zakazaną przejażdżkę. - Zawsze zapo-
4-2 minam o tej przeklętej króliczej norze!

JTił..

lii'

U-.i r_

p t l> ifz:.

my

ll-i."

Mogens przejechał językiem po zębach, spodziewając się smaku krwi, ale z ulgą stwierdził, że jego wargi i zęby są nienaruszone. Dolna szczęka dzwoniła wprawdzie, jakby została rażona gromem, ale tylko tyle.

- Pierwszy odcinek jest najgorszy - zapewnił pospiesznie kierowca. Gdy nie otrzymał odpowiedzi - najwyraźniej odczytał uparte milczenie Mogensa jako zarzut, co nie było dalekie od prawdy - dodał prędko: - Gdy minimy ten głąz, będzie o wiele lepiej.

Tym razem profesor nie podążył wzrokiem we wskazanym przez Toma kierunku. Zamiast tego wykorzystał okazję, by po raz pierwszy od wyjazdu z San Francisco dokładnie przyjrzeć się swemu młodocianemu szoferowi. Poczł wyrzuty sumienia, gdy przyznał przed sobą, że dotąd postrzegał go tylko jako dodatek do forda, jedną z części auta, które z polecenia Gravesa miało go odebrać. Uświadomił sobie również, jak młody musiał być ten chłopak. Olbrzymia kierownica i ciężkie pedały, których naciskanie zdawało się pochłaniać wszystkie siły drobnego i kruchego Toma. Profesor ocenił go na siedemnaście lat. Sięgające do ramion, lekko kręcone włosy dodawały mu niemal kobiecej delikatności. Mogensa jeszcze bardziej ruszyło sumienie, gdy przypomniał sobie, jak chłopak bez słowa, skargi niósł z dworca, a potem wpakował do bagażnika forda jego dwie ciężkie walizki. Zawierały one cały dobytek profesora, a że składały się na niego głównie książki, było co dźwigać.

- Ile masz lat, Tom? - spytał wprost.

Zauważył, że wprawił tym szofera w zakłopotanie. Chłopak nie odpowiedział od razu, zwlekał, udając skoncentrowanego na rozjechanych koleinach, które wiły się przed nimi pośród krzaków, głązów i zeschniętej trawy. Mogens wołał nawet na to nie patrzeć. Było dla niego zagadką, jak Tom orientował się w terenie.

M

- Siedemnaście - odpowiedział w końcu chłopak. A po dłuższej chwili z wysiłkiem zrobił wdech i dodał: - Około.

- Około?

- Nie wiem, kiedy dokładnie się urodziłem - wyznał kierowca. - Moi rodzice zostawili mnie, chyba w koszyku, na schodach kościoła, gdy miałem około roku. Przygarnęli mnie miłośni ludzie i to oni ocenili mój wiek. - Twarz Toma przybrała taki wyraz, jakby to była jego wina, że go porzucono, i dodał jeszcze: - Takie rzeczy zdarzają się tu dość często. Szeryf Wilson kilka razy prowadził śledztwa w podobnych sprawach, ale bez skutku.

W pierwszej chwili wydało się to Mogensowi bardzo dziwne. Potem dopiero uświadomił sobie,

gdzie jest. Bliskość San Francisco rojącego się od tłumów, usianego fabrykami i centrami handlowymi dawała mylne wrażenie, że ta część kraju niesłusznie nosi miano Dzikiego Zachodu. Jednak kolej, auta i maszyny parowe nie czyniły jeszcze z tutejszych mieszkańców cywilizowanych ludzi. Przynajmniej nie ze wszystkich.

- A teraz pracujesz dla Gravesa - stwierdził profesor.

- Tak, już dość długo - odpowiedział Tom wyraźnie zadowolony, że pasażer zmienił temat. Chłopak znowu przerzucił bieg, a maszyna ukryta pod ich stopami wydała taki dźwięk, jakby usiłowała przebić się przez cienką blachę i wwiercić swoje zębatki w łydki pasażerów. - Jestem kimś w rodzaju chłopca na posyłki. Rąbię drewno, załatwiam sprawunki, pełnię rolę posłańca...

- I od czasu do czasu odbierasz z dworca gości, a ci jeszcze cię obrażają - pokiwał głową Mogens.

Z twarzy Toma wyczytał, że znów popełnił błąd. Najwyraźniej chłopak nie zrozumiał ukrytych w tych słowach przeprosin. Przez chwilę patrzył zirytowany na pasażera, po czym skoncentrował się znów na drodze i powiedział, ą-ą- wzruszając ramionami:

- Niezbyt często. Rzadko odwiedzają nas goście, a wszystkie rzeczy, których potrzebujemy, na polecenie doktora Gravesa przywozi nam firma dostawcza.

- A jakie to rzeczy?

- Nie jest tego za wiele - odpowiedział chłopak, znów wzruszając ramionami. - Jedzenie, od czasu do czasu jakieś narzędzia... W zeszłym tygodniu przysły duże skrzynie, ale były lekkie. Wydaje mi się, że puste.

- Puste skrzynie?

- To były bardzo dziwne skrzynie - przyznał Tom. - Trochę podobne do trumien, ale dużo większe. Doktor Graves osobiście nadzorował ich wyładowywanie i zatroszczył się o to, by zostały zniesione na dół.

- Na dół? - spytał zdziwiony Mogens.

- Do sanktuarium doktora.

- Wziął cię tam kiedyś ze sobą? Wiesz więc, co odkrył Graves?

Tom ociągał się chwilę z odpowiedzią. Wyraźnie unikał spojrzenia profesora, lecz ten milczał z zaciętym uporem, czekając odpowiedzi.

- Nie - powiedział w końcu młody kierowca. - Coś tam odkryli, w grocie, głęboko pod ziemią. To wszystko, co wiem. Oprócz doktora jedynie jego najbliżsi współpracownicy mają wstęp do wykopaliska.

- Ale z pewnością zaryzykowałaś chociaż rzut oka do groty, myślę się? - Mogens drażył temat lekko konspiracyjnym tonem.

Chłopak zaczął coraz wyraźniej wiercić się na siedzeniu, ale tym razem VanAndt wiedział, że uderzył w dobry ton. Młodymi ludźmi tak łatwo można manipulować...

- Nie mogłem wiele zobaczyć - przyznał Tom. - Raz doktor zapomniiał zamknąć drzwi na klucz i rzeczywiście zaryzykowałem rzut oka. Były tam posągi.

- Posągi?

- Duże figury wykute w skale - potwierdził chłopak. - I litery, być może również rysunki. -

Wzdrygnął się, jakby nagle przeszył go zimny dreszcz, choć w samochodzie było raczej za ciepło niż za zimno. Palce mocniej zacisnął na kierownicy. - Tak jak już powiedziałem, nie było za wiele widać, a ja nie mogłem tam zostać dłużej. Doktor Graves tego nie lubi. Nikt z osób pracujących w obozie nie może rozmawiać o pracy, nawet sami badacze.

Szczególnie ostatnie stwierdzenie wydało się Mogensowi mało prawdopodobne. Mimo że ostatnie lata swojego życia spędził na dobrowolnym wygnaniu, to jednak dobrze pamiętał, jacy są naukowcy. Uwielbiają chełpić się swoimi odkryciami i osiągnięciami, zanudzają tym każdego bez umiaru.

Tom jednak stanowczo przytaknął, widząc wątpiące spojrzenie pasażera, i dodał:

- Doktor surowo zabronił, i koniec. Nie mogę panu powiedzieć, o jakie odkrycie chodzi, jedynie że coś znaleźli i są na dobrej drodze, by to wykopać. - Obrzucił Mogensa nerwowym spojrzeniem. - Ale pan nie...

- Nie obawiaj się - uspokoił go profesor. - Nie zdradzę cię.

Na twarzy Toma odmalowała się wyraźna ulga.

- Dziękuję. Chodzi tylko o to... wydaje mi się, że doktor nie chciał zostać pozbawiony tej przyjemności, by osobiście pokazać panu swoje odkrycie. Jest z niego bardzo dumny. VanAndtowi z trudem przyszło pogodzenie słowa „przyjemność” z osobą Jonathana Gravesa. Powstrzymał się jednak od komentarza. Swoją drogą, podczas rozmowy na tyle poznał Toma, by nabrać pewności, że bez trudu mógłby wyciągnąć od niego dalsze informacje, ale nie chciał stawiać go w niezręcznej sytuacji. Zwłaszcza że chodziło A-b o Gravesa. Gdyby jemu lub Tomowi wymknęła się choćby

"u - ,

■IkjkJ*

najdrobniejsza uwaga na zakazany temat, chłopak z pewnością ucierpiałby z tego powodu.

- Dobrze pracuje ci się z doktorem Gravesem? - zmienił temat profesor.

Tom, nim odpowiedział, wyminął ogromny głaz leżący na środku drogi, zręcznie manewrując kierownicą. Mogens nie śledził trasy zbyt uważnie, jednak dałby sobie rękę uciąć, że jeszcze przed chwilą wcale go tam nie było.

- Nie mogę tego tak określić - mruknął w końcu Tom.

- Dlaczego? - zdziwił się VanAndt. - Skoro pracujesz z nim już dłuższy czas...?

- Nikt nie pracuje z doktorem - odpowiedział Tom. - W każdym razie nie bezpośrednio.

Większość dnia spędza w swoim sanktuarium, a przez resztę czasu przesiaduje w swym domku, do którego nikt nie ma prawa wstępu. -Odpowiedział również na następne pytanie Mogensa, którego ten nie zdążył jeszcze nawet zadać: - Byłem tam raz. Domek jest pełen książek i... dziwnych przedmiotów. Nie mam pojęcia, do czego służą.

W pierwszym momencie jego słowa, a raczej sposób, w jaki je wypowiedział, wywołał u Mogensa zimne dreszcze, lecz już po chwili rozbawiony uśmiech zaczął igrać na jego ustach. Mimo poufałości, jaką wytworzyła między nimi odbyta rozmowa, nie mógł zapominać, z kim rozmawiał. Dla wiejskiego chłopaka wszystko, co związane z nauką, musiało być niesamowite. Mogens postanowił uzbroić się w cierpliwość, tym bardziej że doskonale potrafił czytać między wierszami. Wiedział, że już pozyskał sobie sojusznika, zanim jeszcze zdążył ponownie zobaczyć Gravesa. Teraz musiał tylko postępować roztropnie.

Mogens wcisnął się głębiej w fotel i usiłował odpocząć, na ile pozwalała na to trudna do przebycia droga. Tom mówił jednak prawdę - jazda nie trwała zbyt długo. Powoli zaczynało się ściemniać, a gęstniejące cienie i nabierające

czerwonej barwy światło nadawały otoczeniu nierealny charakter. Droga, z pewnością nieprzystosowana do aut, a najwyżej do wozów zaprzężonych w woły czy do nawykłych do wspinaczki kopyt kóz, wiła się w górę pod coraz ostrzejszym kątem. Nawet Tom, choć znał trasę jak własną kieszeń, musiał raz czy dwa stanąć i wycofać samochód kawałek, by sforsować ostry zakręt.

W końcu dotarli na szczyt. Ford wspiął się na wąską grań, potem zjechał kilka stóp, w końcu stanął, gdy Tom wcisnął hamulec, przesuając równocześnie w przód dźwignię zmiany biegów. Profesor już miał pytać, co się dzieje, lecz gdy podążył wzrokiem za spojrzeniem chłopaka, zrozumiał, dlaczego stoją. Droga jeszcze spory kawałek biegła granią, lecz po drugiej stronie góry wiła się w dół pod jeszcze ostrzejszym kątem. Mogens nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał ostatni etap podróży.

Poniżej w odległości niespełna mili leżało małe miasteczko wtulone w zbocze góry jak nieregularny wachlarz. Profesor wprawdzie nigdy tu nie był, ale przez ostatnie dni zdobył tyle przydatnych informacji, na ile pozwalały ograniczone zasoby biblioteki w Thompson. Miejscowość na zboczu góry leżała przy jednej ulicy wpasowanej w nieregularną krzywiznę zbocza. Z dołu przypuszczalnie sprawiała wrażenie prostej jak kreska pociągnięta od linijki. Budynki były małe, w przeważającej części jednopiętrowe, jedynie w centrum wznosiło się kilka większych. Ich dobudowane fasady mogły zwieść przejezdnych, którzy obdarzali je jedynie przelotnym spojrzeniem, jednak widziane

ze szczytu tylko uwydatniały nędzę ukrytych za nimi przybudówek. Ku swojemu zaskoczeniu Mogens dopatrzył się również stacji kolejowej wraz z nieodzowną wieżą ciśnień. Szyn jednak nie było. Na pytanie Mogensa Tom wzruszył ramionami i wymusił na twarzy szydery uśmiech.

- Linia kolejowa prowadząca do San Francisco leży po drugiej stronie wzgórz w odległości kilku mil - wyjaśnił. - Być może ówczesny burmistrz myślał, że jak będzie stacja, to sprawa połączenia z główną linią kolejową sama się załatwi. Kiedyś podobno mieszkało tu wielu pracowników kolei. Niektórzy zostali, ale większość wyjechała, kiedy się okazało, że tory tu nie dotrą.

Wyjaśnienie Toma było dość mgliste, ale opisywało przecież czasy na długo przed jego przyjściem na świat i tym samym go nie dotyczyło. VanAndt przez chwilę czuł dziwny smutek, gdy tak patrzył z góry na miejscowość. Nie znał żyjących w niej ludzi. Nie dzielił ich doli ani nie mógł nic dla nich zrobić, mimo to ich los jakoś go poruszył. W pierwszym momencie nawet nie zdawał sobie sprawy ze źródła swoich emocji. Miasteczko umarło, zanim zdążyło rozkwitnąć, bo ktoś jednym pociągnięciem pióra zadecydował, że małe budynek stacji nie jest potrzebny. A przy tym jedno z największych miast w kraju leżało praktycznie na wyciągnięcie ręki. Zaskakujące, jak życie niekiedy tętni w sąsiedztwie powolnej śmierci.

Odpędził tę myśl i ruchem ręki dał Tomowi znać, by jechał dalej. Gdy dotarli do grani, znów wyprzedzili zapadający zmierzch, który jednak nieubłaganie pełził za nimi, grożąc, że dogoni ich, nim dotrą do miasta. Mogens chętnie obejrzałby wspomniane przez Toma wykopalisko jeszcze przy świetle dziennym, lecz zdawał sobie sprawę, że raczej mu się to już nie uda.

Chłopak ze zgrzytem przesunął do przodu dźwignię skrzyni biegów i samochód ruszył. Zanim zjechali z grani, Mogens jeszcze raz odwrócił głowę i spojrzał na zachód. Morze już prawie całkowicie znikło za widnokregiem. Nawet stąd, z góry, dojrzał już tylko smugę szerokości paznokcia, o miedzianym połysku, na tle coraz ciemniejszego horyzontu. Znów odczuł dziwną ulgę, której źródła - f

I ■ s

• fil: a r-

m

ztfim

w pierwszym momencie nie potrafił zrozumieć. Mimo że racjonalna część umysłu wzbraniała się przed przypisaniem tym odczuciom jakiegokolwiek znaczenia, w podświadomości nadal zachował obraz dziwnych stworzeń żyjących na dnie morza, wpatrujących się zachłannymi oczyma w nieskończoną czerń, która od zarania dziejów okrywała ich świat.

Musiał chodzić o Gravesa. Przez ostatnie cztery dni nie było godziny, w której nie pomyślałby przynajmniej raz o osobliwym spotkaniu z nim w Thompson. Zrewidował w tym czasie niektóre swoje poglądy na temat samego Jonathana oraz niepokojącej odmiany, jaka w nim zaszła. Doktor z pewnością nigdy nie należał do osób sympatycznych, nawet w czasach, gdy Mogens uważał go jeszcze za dobrego kolegę przestrzegającego przyjętych kanonów studenckiej przyjaźni. Ale to jeszcze nie czyni z nikogo potwora.

Nerwy płatały profesorowi figle, lecz wobec wszystkiego, przez co przeszedł, fakt ten zbytnio nie dziwił. Mogens udzielił sobie dyspensy w pierwszej chwili intelektualnego zamętu, ale zaraz przywołał się w myślach do porządku. Nie pozwoliłby na to, by Graves zawładnął jego uczuciami, a przez to i umysłem.

Odetchnął jednak z wyraźną ulgą, gdy samochód, turkocząc, zaczął zjeżdżać w dół zbocza, a ocean zniknął im

z oczu.

Tom, najwyraźniej źle interpretując westchnienie profesora, powiedział:

- Najgorsze zaraz będziemy mieć za sobą. Proszę się nie obawiać.

Mogens nie wypowiedział słów, które miał na końcu języka. Niech Tom myśli, że podróż przez ten trudny do pokonania teren była dla niego dużym wyzwaniem. Być może przyczyni się to trochę do zmniejszenia dystansu między

nimi. VanAndt nie dał się zwieść swobodnemu zachowaniu chłopaka. Zza zasłony udawanej pewności siebie wyzierała prawda wręcz przeciwna. Profesorowi nie umknęły nieznaczne zmiany

zabarwienia głosu kierowcy. Pod słowami wyrażającymi respekt przed Gravesem kryła się spora doza strachu, natomiast w pozornej swobodzie, z jaką szofer rozmawiał z Mogensem, dało się wyczuć podziw dla naukowca.

Mogens spotkał już wielu takich jak Tom, pracując na uniwersytecie w Thompson. Młodzi ludzie, którzy starali się robić wrażenie pewnych siebie lub wręcz aroganckich, w duchu jednak drżeli ze strachu już na sam widok cienia profesora. Ten chłopak z pewnością był szczęśliwy, że mógł na kilka godzin przerwać monotonię codziennej pracy i pojechać samochodem do miasta, ale bez wątpienia z bijącym sercem oczekiwał na spotkanie z prawdziwym profesorem. Dla niego to musiało być wydarzenie, które szybko błędnie w przypadku studentów - rok w rok w takich samych garniturach, z identycznie wyświechtanymi walizkami, tymi samymi żartami i niezmiennie tym samym nieporadnie tłumionym strachem w oczach.

Co prawda wśród swoich studentów VanAndt cieszył się ogromnym poważaniem, był dla nich jednak osobą, której status pewnego dnia przynajmniej niektórzy z nich mieli szansę osiągnąć. Natomiast prostemu chłopakowi ze wsi, nieznającemu daty własnych urodzin, który być może nie potrafił nawet czytać i pisać, musiał się wydawać wysłannikiem z innego świata - świata nieskończenie odległego, do którego nigdy nie uzyska prawa wstępu. Mogens zastanawiał się, ile kosztowało Toma, by przez całą podróż zachować zimną krew i nie szczekać zębami ze strachu. W obliczu spotkania z Gravesem każdy potencjalny sprzymierzeniec wydał mu się na wagę złota, starał się więc pozyskać zaufanie kierowcy..

i " "A ł"? ~ ' '

- Doskonale prowadzisz, Tom - zapewnił. - Muszę przyznać, że sam nie potrafiłbym z twoim spokojem, o ile w ogóle, pokonać tej okropnej drogi.

Chłopak spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Pan przesadza, profesorze.

- Ależ skąd! - Mogens pokręcił głową. - Obawiam się, że nigdy nie byłem szczególnie dobrym kierowcą. Przybywam z małego miasteczka, gdzie nie oplaca się posiadać samochodu. Nie jestem pewien, czy w ogóle bym jeszcze potrafił.

- Co potrafił? - spytał Tom.

- Prowadzić samochód - odpowiedział VanAndt.

- Pan chyba żartuje - zdziwił się chłopak. - Tego się nie zapomina.

Prawda była taka, że nigdy nie nauczył się jeździć, ale akurat do tego nie chciał się przyznać.

- Być może - odparł. - W każdym razie brakuje mi wprawy.

- Rozumiem. Na pewno ma pan ważniejsze sprawy na głowie.

- To też - westchnął Mogens. Pożałował, że w ogóle rozpoczął ten temat. Z drugiej strony wszystko wydawało mu się lepsze niż skupienie uwagi na niepokojących odczuciach, jakie budził w nim widok oceanu.

Nie chcąc dać Tomowi okazji do dalszych pytań na ten temat, demonstracyjnie odwrócił się w fotelu. Błądził teraz spojrzeniem po maleńkiej miejscowości w oddali, do której zdawali się nie przybliżyć ani na jotę, choć musiała minąć przynajmniej minuta, odkąd chłopak ruszył. Miasteczko nie przestało też sprawiać wrażenia niezwykle ponurego. Mogens zdał sobie sprawę, że do tej pory nie zaprzętał sobie myśli nowym miejscem pobytu. Mogło to wynikać z przekonania, że każde miejsce na ziemi będzie lepsze niż Thompson. Teraz powoli tracił pewność, czy zamiana była

ŁsT

- rzeczywiście korzystna. Jeśli jakkolwiek miejscowość dorównywała Thompson posepnością, to miał ją przed sobą.

Profesor odegnał również i tę myśl. Nic nie wiedział na temat tego miasteczka, nie znał nawet jego nazwy. Wydawanie tak krytycznych sądów na podstawie jednego rzutu oka było niegodne uczonego i zwyczajnie niesprawiedliwe. Mogens doznał w życiu zbyt wielu krzywd, by odpłacać tym samym, nawet jeśli chodziło o twór tak abstrakcyjny jak miasteczko.

Wtem zauważył coś, co przykuło jego uwagę - wzdłuż drogi, jakieś pięć czy sześć mil poza domami ciągnęło się zbiorowisko małych, równomiernie rozmieszczonych białych plam,

prawdopodobnie namiotów.

- Czy to obóz? - spytał.

Tom pokręcił głową. Pytanie Mogensa z jakichś powodów zdawało się go rozbawić.

- Nie. To są ci inni. Krety. Przynajmniej doktor Graves tak ich nazywa.

- Krety?

- Geolddzy. - Chłopak wskazał głową skupisko prostokątnych płatków na horyzoncie, tym razem, ku uldze Mogensa, nie zdejmując ręki z kierownicy. - Są tutaj od ponad roku. Nie wiem, co dokładnie robią. Raz słyszałem, jak doktor mówił, że stykają się tu dwie płyty kontynentalne. - Przez chwilę z namysłem marszczył czoło. - Chodzi

0 Uskok San Andreas, tak mi się wydaje.

- Tak... zgadza się - wymamrotał Mogens, zaskoczony, że takie słowa padły z ust Toma. Być może zbyt pochopnie

1 błędnie ocenił szofera o chłopięcym wyglądzie, tak jak i swój przyszły dom.

- A widziałeś ich przy pracy? - zapytał.

- Nie. - Chłopak wzruszył ramionami. - Nie mamy z nimi do czynienia. Raz jeden był w naszym obozie, by porozmawiać z doktorem, ale nie został długo. Nie wiem, o co chodziło, ale doktor Graves był potem bardzo rozgniewany.

- Nie przepadasz za doktorem Gravesem, prawda? - zapytał VanAndt wprost.

Tom nawet nie popatrzył na niego.

- Zbyt mało go znam, by pozwolić sobie na osąd.

Przez moment zapanowała między nimi niemiła cisza.

- Przepraszam cię, Tom. - Mogens chrząknął. - Nie chciałem stawiać cię w kłopotliwej sytuacji.

Chłopak zaśmiał się nerwowo.

- Wcale pan tego nie zrobił. Doktor Graves uprzedził mnie, że zada mi pan to pytanie. Nie przeszkadza mi to.

Profesor pomyślał, że najwyższy czas zupełnie zmienić temat.

- Ilu współpracowników ma doktor Graves? - spytał. - Oprócz ciebie.

- Trzech - odparł Tom. Gdy zauważył zdziwiony wzrok Mogensa, dodał, potakując głową: - Czasem najmujemy kilku pomocników z miasteczka, ale tylko gdy jest to konieczne. Doktor Graves nie toleruje obcych w obozie.

„Prawdopodobnie jest na odwrót” - pomyślał Mogens, nie potrafił bowiem sobie wyobrazić, żeby było wielu obcych, którzy długo wytrzymaliby z Gravesem. Nic jednak nie powiedział.

Rozklekotany ford jechał dalej po drodze pełnej króliczych nor i kamieni. Na ostatnim odcinku przed zjazdem na drogę kolejny wstrząs odebrał Mogensowi ochotę do zadawania dalszych pytań. Zresztą i tak nie byłby w stanie ich z siebie wydusić. W końcu samochód szarpnął po raz ostatni, tak że i kierowcy, i pasażerowi żołądek podszedł do gardła, podskoczył i wjechał z powrotem na asfaltową szosę. Mogens głośno odetchnął z ulgą.

- To by było na tyle - powiedział Tom, według profesora trochę zbyt wesołym tonem. - Zostało już tylko kilka mil.

- Czy nie mówiłeś już wcześniej, że została tylko mila? -

C": f

- Do granicy miasteczka - zauważył chłopak. - Ale z pewnością zaoszczędziliśmy dobre pół godziny. Główna droga okrąży górę sporym łukiem. Zaraz będziemy na miejscu.

Niefrasobliwość i szelmowski uśmieszek Toma nie były nawet dobrze udawane. Najwyraźniej zablądził, a przy tym dobrze wiedział, że i jego pasażer to wie. By nie zrazić do siebie jedyne, jak dotąd, sprzymierzeńca, profesor nic nie powiedział, tylko zaczął obserwować okolicę. Miejscowość z bliska wyglądała tak, jak zapowiadała się z daleka - proste, niekiedy wręcz nędzne domy stłoczone

jak stado przestraszonych zwierząt. W obliczu rozległego krajobrazu ciasnota, w jakiej upchnięto te budynki z drewna i cegieł, wydała mu się niepokojąca. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Zupełnie jakby to miasteczko czegoś się lękało.

Mogens znów odetchnął z ulgą, gdy w końcu opuścili miasteczko. Ostatnim mijanym budynkiem była staromodna stajnia do wynajmu, co wydało się Mogensowi dość nietypowe. O ile wiedział, tego typu budynki zwykło się stawiać w centrum miasta. Gdy przejeżdżali obok niej, doznał nieprzyjemnego wrażenia, że z wnętrza powiało lodowatym chłodem, chociaż okna w samochodzie były zamknięte. Próbował odegnąć tę nedorzeczną myśl, powracała jednak natrętnie. Gdy powoli oddalali się od przysadzistej budowli z poszarzałego ze starości drewna i profesor zerknął jeszcze przez ramię, znów przeszył go raptownie lodowaty chłód. Przez głowę przemknęła mu myśl równie absurdalna. Miał wrażenie, że stajnia go obserwuje, i to złośliwie.

- Słyszał pan tę historię? - spytał Tom.

- Jaka historię? - zaniepokoił się już na całego Mogens.

Chłopak wzruszył ramionami i zanim odpowiedział, spojrzął przelotnie do lusterka, jakby chciał się upewnić, czy nikt ich nie śledzi.

m

X-

m\

A' ■ Jtk.

'-rf-

- Pomyślałem tak, bo przyglądał się pan tej stajni... - Ponownie wzruszył ramionami. -

Nieprzyjemna historia. Pisali o niej nawet w gazecie w San Francisco. Było kilka ofiar śmiertelnych, ale nie wiem dokładnie, co się stało - uprzedził następne pytanie profesora. - Ludzie nie rozmawiają na ten temat.

VanAndt dobrze wiedział, co o tym myśleć. Tom, rzecz jasna, znał historię zbrodni, do której doszło w tym budynku, jak każdy tutejszy. Profesor dostatecznie długo mieszkał w małym miasteczku, by nabrać pewności, że nie ma w nich miejsca na tajemnice. Chłopak po prostu sam należał do osób, które o tym nie mówiły - cokolwiek to było...

- Tam przed nami już prawie widać cmentarz - powiedział nagle młody kierowca. - Obóz jest po jego drugiej stronie. Jeszcze kawałeczek i będziemy na miejscu.

- Koło cmentarza? - zdziwił się Mogens.

- Dosłownie tuż za nim. - Tom energicznie skinął głową. - Założę się, że nie widział pan jeszcze nigdy takiego cmentarza.

Nadal patrzył pozornie skoncentrowany przed siebie, ale profesorowi nie umknęło, że kątem oka bacznie go obserwował. Najwyraźniej jego słowa były nie tyle jedynie informacją, a hasłem, i teraz czekał na odpowiednią reakcję.

Zapadał zmierzch. Po prawej Mogens dostrzegł średniej wysokości kamienny mur, bujnie porośnięty chwastami i krzewami. Nic szczególnego nie rzuciło mu się w oczy, może tylko że cmentarz był zdecydowanie zbyt duży na potrzeby małego miasteczka. W końcu wyświadczył Tomowi przysługę i spytał:

- Dlaczego?

Chłopak zaśmiał się.

- Doktor mawia, że to jedyny cmentarz na świecie, który leży na dwóch kontynentach. - Ruchem głowy wskazał mur, który właśnie mijali po lewej. - Uskok San Andreas

r ■

-T

1P

m> i i>

agy

przebiega dokładnie pod nim. Słyszałem kiedyś, jak dwóch geologów z obozu rozmawiało na ten temat.

„To dziwne - pomyślał VanAndt. - Przecież nie rozmawiają z geologami z sąsiedniego obozu”.

Zwrócił też uwagę, z jaką swobodą Tom rzucał nazwy geograficzne, których nie znał niejedyn student w Thompson. Nadal milczał, postanowił jednak, że w najbliższych dniach dowie się o chłopaku czegoś więcej.

Za cmentarzem droga była coraz gorsza, a po pół mili przekształciła się ostatecznie w ścieżkę podobną do tej, którą jechali przez wzgórza. Profesor rzucił Tomowi kose spojrzenie, które tamten umyślnie zignorował. W końcu przed nimi rozciągał się tylko gąszcz krzewów. Chłopak konsekwentnie jechał w ich kierunku, nawet nie zwalniając.

- Hmm... Tom... - zaczął Mogens.

Kierowca uśmiechnął się, ale prędkości nie zmniejszył. Ford pędził w stronę krzaków, a profesor chwycił się kurczowo siedzenia i czekał na dźwięk druzgotanego w drobne kawałki drewna, a potem tłuczonego szkła.

Zamiast tego masywna chłodnica forda zmiotła tylko kilka gałązek i zaraz za nimi ukazał się podłużny asymetryczny plac, a na nim ścieśniona w kręgu garstka domków z drewnianych bali. Pośrodku placu stał niski, biały namiot. Nieco dalej na uboczu piętrzyły się belki, oheblowane deski i inne materiały budowlane. Za drewnianymi domkami Mogens dostrzegł trzy samochody, w tym ciężarówkę z otwartą skrzynią ładunkową wypełnioną podłużnymi drewnianymi skrzyniami. To zapewne te „trumny”, o których wspominał Tom. W obozie nie było żywej duszy.

Gdy chłopak z wprawą objeżdżał budynki i parkował forda obok innych samochodów, profesor jeszcze raz odwrócił się, by spojrzeć w tył. Przesmyk w krzakach znów był zasklepiony. Jak to powiedział Tom? Doktor Graves nie życzył sobie obcych w obozie.

- Jesteśmy na miejscu - zauważył kierowca, choć było to całkowicie zbyteczne, i wysiadł. Podczas gdy Mogens próbował rozpracowywać nieznaną mu mechanizm otwierania drzwi, Tom zdążył obejść auto i wypuścić pasażera. Profesor uśmiechnął się zmieszany, ale chłopak dyplomatycznie nie zrobił żadnej uwagi na temat nieporadności naukowca. Cofnąwszy się o dwa kroki, energicznym ruchem ręki wskazał najbardziej oddalony domek.

- Tam z tyłu jest pana kwatery - powiedział. - Może pan tam już iść. Zaraz przyniosę bagaż. Profesor pomyślał z lekkim wyrzutem sumienia o dwóch ciężkich, wypchanych po brzegi walizkach spoczywających w bagażniku, w końcu jednak tylko skinął głową, odwrócił się i skierował kroki w stronę wskazanego budynku. Mimo że droga, którą jechali, była bardzo sucha, a w powietrze wzbijały się tumany kurzu, tu podłoże zrobiło się tak bagniste, że grzęzły w nim buty, a przytłumiony odgłos kroków przypominał chłupot. VanAndta przeszył lekki dreszcz, gdy wyszedł z samochodu i poczuł lodowaty powiew. Czyż nie dało się wyczuć lekkiego drżenia pod stopami, jakby głęboko w sercu ziemi poruszyło się coś ogromnego, prastarego, co właśnie budziło się z bardzo długiego snu?...

Mogens pokręcił głową i śmiejąc się z własnych dziwacznych myśli, przyspieszył kroku.

Chłupoczący bulgot pod stopami zaczął go irytować, gdy pomyślał, że nowe skórzane buty zupełnie przemokną.

Z każdym kolejnym krokiem w stronę wskazanego domku humor pogarszał mu się jeszcze bardziej.

Budynek

ł-

wąskie okno z ciężkimi okiennicami. Również drzwi robiły : yg wrażenie niezwykle masywnych i tak samo jak okiennice

ł"

-i. t'. t •

■ ii i;

miały mniej więcej na wysokości oczu dwie szerokie na palec szczeliny niczym otwory strzelnicze. Razem z grubymi, starannie ze sobą spojenymi belkami, potężnym dachem i ciężkimi drzwiami tworzyły obraz, na widok którego Mogensowi mimowolnie nasuwało się porównanie z twierdzą. Ta chata, jak i wszystkie inne wokół placu, musiała być starsza, niż mu się zdawało na pierwszy rzut oka. Obóz mógł pochodzić jeszcze z czasów, gdy jego mieszkańcy musieli odpierać ataki rozjuszonych tubylców.

Profesor otworzył drzwi i wszedł przygarbiony, uważając, by nie zawadzić głową o niską framugę.

Gdy się wyprostował, po raz pierwszy doznał miłego zaskoczenia.

Pomieszczenie było o wiele obszerniejsze, a przede wszystkim jaśniejsze, niż mógł przypuszczać. U sufitu paliła się czteroramienna lampa elektryczna. Pokój wypełniał przyjemny zapach mydła i świeżo parzonej kawy. Umeblowanie było skromne, ale całkiem porządne. Szerokie łóżko dopiero co przykryto świeżą pościelą, zobaczył też stół, krzesła i regał pełen książek oraz mebel, który najbardziej go zdziwił - tuż przy regale stał ozdobny pulpit. Mogens już dawno nie widział takiego sprzętu, lecz w czasach studenckich lubił pracować na stojąco właśnie przy pulpicie. Graves musiał o tym dobrze pamiętać. Najwyraźniej starał się uprzyjemnić mu pobyt w obozie. Świadomość ta, zamiast poprawić, raczej pogorszyła Mogensowi humor. Nie był gotowy, by dać Jonathanowi Gravesowi choć cień szansy.

Poza tym miał przecież zupełnie zniszczone buty.

Spojrzał markotnie najpierw na brudne ślady, które pozostawił na świeżo wypastowanej podłodze, potem na swoje ubłocone obuwie. Widok ten przypominał mu o pewnym zdarzeniu sprzed czterech dni, związanym z Gravesem i Kleopatram, kotką panny Preussler.

- Proszę się nie przejmować, profesorze - powiedział głos za nim. - To się tu ciągle zdarza, zwłaszcza w środku

lata. Wszystkiemu winny jest tutejszy grunt. Lustro wody powierzchniowej jest tak wysoko, że praktycznie stoimy na gąbce.

Mogens odwrócił się wystraszony. Zobaczył około pięćdziesięcioletniego, siwowłosego mężczyznę, który sięgał mu najwyżej do brody, musiał jednak ważyć przynajmniej dwa razy tyle co on. Jednak wszedł do środka zupełnie bezgłośnie, tak że VanAndt nie usłyszał najmniejszego szmeru.

Nieznajomy stał dwa kroki od niego i przypatrywał mu się z promiennym uśmiechem. Wyglądał jak Święty Mikołaj, który niechcący zgolił sobie brodę. Wyciągnął do Mogensa mięsistą dłoń o krótkich, krępych palcach.

- Mercer - oznajmił wesoło. - Doktor Basil Mercer, ale „doktora” proszę śmiało pomijać. Pan jest z pewnością profesorem VanAndtem.

Mogens zwlekał ułamek sekundy, nim uściśnął dłoń Mercera. Nigdy nie lubił witać się w ten sposób. Uważał podawanie dłoni za niezbyt higieniczne, poza tym gest ten wprowadzał, jego zdaniem, niestosowną poufałość między zupełnie sobie obcymi ludźmi. Mercer jednak miał w sobie coś niezaprzeczalnie ujmującego.

- „Profesora” również proszę pomijać - powiedział, uśmiechając się. - Po prostu VanAndt. Mercer przesadnie wykrzywił twarz.

- Łatwiej już wypowiedzieć „profesor” - zauważył. - Holenderskie nazwisko?

- Nie, belgijskie - odparł Mogens. To był żart, którego nie praktykował już od czasów studenckich. Po tej stronie świata mało kto wiedział, że małą Belgię zamieszkują dwie grupy etniczne, które z zapalczywością strzegły swojej tożsamości kulturowej.

Mercer jednak ponownie go zaskoczył.

- Flamandczyk - powiedział wesoło. - Witamy w No-izO wym Świecie, profesorze! Tym razem to Mogens się skrzywił.

- Więc jednak woli pan „profesorze”... W Europie tylko się urodziłem. Moje pierwsze wspomnienia są związane z brudnym podwórkiem w Filadelfii.

- To właściwie powinniśmy się znać - stwierdził Mercer.

- Pan też pochodzi z Filadelfii? - spytał Mogens.

- Nie - uśmiechnął się złośliwie doktor. - Ale też nigdy nie byłem w Europie.

VanAndt zaśmiał się, ale śmiech ten musiał się wydać gościowi wymuszony, gdyż zanim puścił rękę Mogensa, chrząknął lekko zmieszany i cofnął się pół kroku.

- Dobrze - powiedział. - Skoro już dostatecznie zepsułem powitanie, możemy przejść do następnych atrakcji. Przedstawię panu resztę ekipy.

- Pańskich kolegów? - domyślił się Mogens.

Mercer wyciągnął w górę wyprostowany kciuk.

- Jednego kolegę - oznajmił. - I jedną koleżankę. Jesteśmy tu tylko w czwórkę, z panem w piątkę. - Ponaglił Mogensa ruchem dłoni. - Proszę za mną, profesorze. Jedyna dama w naszym

zespole nie może się już doczekać, kiedy pana pozna.

Mogens rozejrzył się niepewnie, ale Mercer uprzedził jego protest.

- Ten luksusowy apartament nigdzie panu nie ucieknie - powiedział. - Poza tym Tom na pewno nie rozpakuje pana walizek. To miły chłopak, ale prawdziwy mistrz w znajdowaniu wymówek, byle tylko nie splamić się pracą.

Profesor zrezygnował ze sprzeciwu, zwłaszcza że Mercer miał w zupełności rację. Kwatera mu nie ucieknie, a on sam też nie mógł się doczekać, by zobaczyć, kogo tu Graves jeszcze ściągnął. No i po co.

Podążył więc za Mercerem, który zaraz za progiem skręcił w lewo. VanAndt sądził, że jego przewodnik skieruje się

BFiflir

is»,

-

w stronę któregoś z pozostałych domków, które - prócz jednego stojącego nieco na uboczu, zdecydowanie większego od pozostałych - nie różniły się niczym od jego własnej kwatery. Poszedł jednak prosto do samotnego namiotu pośrodku placu.

Idąc za nim, Mogens znów zwrócił uwagę, jak dziwnie zachowywała się ziemia pod ciężarem stóp. I nie chodziło tylko o stłumiony dźwięk przy każdym kroku. Przyszły mu na myśl dopiero co wypowiedziane słowa Mercera - rzeczywiście miał wrażenie, jakby stąpał po olbrzymiej gąbce. To w żadnym razie go nie uspokajało.

Doktor wszedł do namiotu pierwszy, lewą ręką przytrzymał plandekę, prawą natomiast uniósł ostrzegawczo. Przestroga okazała się jak najbardziej uzasadniona - przed nimi widniała w ziemi okrągła dziura średnicy przynajmniej dwóch metrów, z której wystawał koniec wąskiej drewnianej drabiny. Nie było poręczy czy jakiegokolwiek innego zabezpieczenia. Mogens pochylił się do przodu. Spojrzawszy w dół, zauważył, że szyb schodzi przynajmniej trzydzieści stóp w głąb ziemi.

- Do tego można się przyzwyczaić - powiedział Mercer, któremu bynajmniej nie umknęło, że Mogensowi przeszły ciarki po plecach. - Mam nadzieję, że nie ma pan lęku wysokości.

- Nie wiem - odparł profesor zgodnie z prawdą. - Archeolog rzadko ma okazję pracować na wysokościach.

- Za kilka dni nie będzie to na panu robiło żadnego wrażenia - zapewnił Mercer. Chwytał się drabiny i skoczył z zadziwiającą lekkością. Jego olbrzymie ciało w jednej chwili znalazło się na pierwszym szczeblu. Zszedł kilka stopni, zanim rzucił Mogensowi zachęcające spojrzenie. - Proszę się nie obawiać, profesorze - rzucił drwiącym tonem. - Drabina jest stabilna. Porządna, amerykańska jakość.

VanAndt uśmiechnął się z poczucia obowiązku, ale nie ruszył nawet nogą, póki Mercer nie zszedł do połowy szybu. Dopiero wtedy, niepewnie przytrzymując się drabiny, namacał stopą pierwszy stopień. To, że drabina stękała pod ciężarem Mercera, nie miało nic do rzeczy.

Skłamał doktorowi co do lęku wysokości. Zazwyczaj już sam widok wysokiego budynku przyprawiał go o mdłości. Nie czuł się nawet zbyt pewnie, korzystając z trójstopniowego podestu do regałów w bibliotece uniwersyteckiej. Dlatego ogromnym wysiłkiem woli zmusił się, by wejść na drabinę i podążyć za Mercerem. Gdy dotarł na dół, drżały mu ręce i kolana, a oddech był tak przyspieszony, jakby przebiegł co najmniej milę. Stał na kilka sekund, zamknął oczy i czekał, aż serce przestanie kołatać.

- Do tego można się przyzwyczaić - powiedział Mercer jeszcze raz, gdy Mogens z bijącym sercem znów otworzył oczy. Słowa były te same, ale wypowiedziane innym tonem. Tym razem Mogens usłyszał prawdziwe współczucie w jego głosie, być może nawet cień troski.

- Byłem tylko... trochę zaskoczony - skłamał profesor. - Nie spodziewałem się czegoś takiego. Doktor jeszcze przez chwilę przyglądał mu się badawczo, po czym chrząknął nieprzyjemnie.

- Teraz już cały czas prosto. Proszę za mną.

Mogens, nim dołączył do swego przewodnika, raz jeszcze rzucił nieufne spojrzenie w stronę wyjścia. Szyb, na górze okrągły, o średnicy jakichś siedmiu stóp, tutaj rozszerzał się, tworząc dwa razy szerszą, nieregularną jaskinię. Część ścian zbudowana była z szarej, zwietrzałej skały. Konsystencji pozostałych nie dało się rozpoznać, gdyż obito je grubymi deskami. Spomiędzy nich tu i ówdzie sączyły się stróżki wody, tworząc na podłodze oleiście połyskujące kałuże. Mogens znów spojrzął na swoje nowe buty.

- Obawiam się, że to moja wina. - Mercer przepraszająco pokiwał głową. - Powinienem był pana uprzedzić, ale wszyscy tak się już do tego przyzwyczailiśmy, że zupełnie zapomniałem...

- Nic nie szkodzi - odparł Mogens, znów kłamliwie. Mniejsza już o lęk wysokości, ale nie miał innych butów! - Dokąd prowadzi ten korytarz? - spytał, wskazując wysoki prawie na pięć stóp tunel, który tuż obok Mercera wchodził w głąb ziemi. Był starannie wyłożony deskami i oheblowanymi belkami grubości ramienia. Na jego końcii majaczyło blade, żółtawe światło.

- Mamy tu wszędzie prąd elektryczny. - Doktor zauważył zdziwiony wzrok Mogensa. - Graves sprowadził generator, który zasila cały obóz zarówno na ziemi, jak i pod jej powierzchnią. - Kiwnął ociężale głową. - Przeciwno doktorowi można mówić, co się chce, ale za co się nie złapie, to robi dobrze.

- A co takiego można przeciw niemu powiedzieć? - zainteresował się Mogens.

Zamiast odpowiedzieć, Mercer uśmiechnął się tylko ironicznie i stękając, wszedł skulony do tunelu. Mogens musiał powstrzymać drwiący uśmiech, gdy zobaczył niezdarne człapanie towarzysza. Niski strop i tusza zupełnie do siebie nie pasują. Profesor podążył za nim, zachowując odpowiedni odstęp, choćby ze względów estetycznych, bo ogromne siedzenie Mercera wypełniło korytarz niczym księżyc w pełni, a zgięte plecy szurały o sufit. Doktor stękał przy tym i sapał jak rozklekotana lokomotywa wdrapująca się na zbyt dużą pochyłość. Co jakiś czas z częściowo tylko osłoniętego sufitu leciał pył, a nawet małe kamyczki, co również skłoniło VanAndta do zachowania bezpiecznego dystansu - miał na sobie nie tylko jedyną parę butów, ale i najlepszy garnitur. Dzięki Bogu tunel nie był zbyt długi. Już po kilkudziesięciu krokach Mercer wyprostował się, głośno dysząc. Po chwili również Mogens znalazł się w dużej grocie oświetlonej licznymi żarówkami, tak że było w niej jasno prawie jak za dnia.

W pierwszej chwili profesor zmrużył oczy osłepiony wyjątkowo ostrym światłem. Widział tylko rozmyte kontury, udało mu się jednak dostrzec dwie czy trzy osoby, prawdopodobnie kolegów, o których mówił Mercer.

- Prosimy do nas, profesorze! - Teraz doktor wymachiwał gwałtownie rękoma. - Przedstawię panu resztę ekipy!

VanAndt zamrugał jeszcze raz, dając oczom szansę, by przywykły się do intensywnego światła, potem wyprostował się do końca i przeciągnął dłońmi po wygniecionym garniturze. Pomogło to nieco jego poczuciu godności, bo ubraniu ani trochę.

Mercer podszedł do drewnianego stołu zastawionego przyrządami, książkami oraz wykopanymi przedmiotami, na które Mogens przelotnie rzucił okiem, nim skierował spojrzenie na dwie osoby stojące za stołem. Obie mu się przyglądały, każda jednak w odmienny sposób. Ascetycznie szczupły mężczyzna mniej więcej w wieku Mogensa po prostu na niego popatrzył, natomiast znacznie starsza siwowłosa kobieta o umęczonej twarzy zmierzyła profesora wrogim spojrzeniem.

- Pozwoli pan, że przedstawię - Mercer wskazał ręką na ascetycznego mężczyznę - doktor Henry McClure.

McClure ledwie zauważalnie skinął głową, przy czym usta jego ułożyły się w uśmiech równie niedostrzegalny, lecz sprawiający wrażenie szczerego. Mogens odpowiedział skinieniem głowy.

- Doktor Suzan Hyams - oznajmił Mercer, wskazując z kolei na siwowłosą kobietę. Jej reakcja w zupełności

- Dlatego właśnie zaproponowałem, że pana oprowadzę, profesorze - odrzekł Mercer. - To wiele wyjaśni i nie potrwa długo. Proszę mi zaufać.

VanAndt jeszcze raz obrzucił spojrzeniem twarze McClurea i Hyams, potem wzruszył tylko ramionami i zaczął oglądać drewniany stół, za którym stali obydwójce nowo poznani naukowcy. Stół

ście monstrualny - już same jego rozmiary skłoniły Mogensa do zastanowienia się, jak Graves z towarzyszami zdołali znieść to monstrum na dół. Błat był gruby niemal na cal i mierzył nie mniej niż trzy stopy na siedem. Mimo to ugiął się pod ciężarem zgromadzonych na nim książek, narzędzi, instrumentów naukowych i znalezisk. Chociaż światło było bardzo jasne, Mogens nie mógł na pierwszy rzut oka rozpoznać, co konkretnie leżało na stole, ponieważ większość obiektów po-ł przykrywano płótnem. Z kolei część kamiennych płyt - jak

- Doktor przeprasza - odparł skwapliwie McClure - ale dołączy do nas później. Suzan i ja możemy w tym czasie wszystko panu pokazać.

Mogens był zawiedziony. Nie dlatego, żeby tęsknił do ponownego spotkania z Gravesem, ale chciał już mieć je za sobą. Domyślał się, że zwłoka była częścią planu Jonathana, aby uświadomić Mogensowi jego bezsilność.

- Pokazać? - spytał. Rozejrzył się niepewnie dokoła. - Na początek wystarczyłoby mi wyjaśnienie, o co tu właściwie chodzi.

odpowiadała spojrzeniu, jakim lustrowała przybysza. Zrobiła grymas, którego znaczenie Mogens mógł interpretować jak chciał, z pewnością nie była to jednak przyjazna mina. Nie zdobyła się również choćby na lekkie kiwnięcie głową.

Profesor mimo to obdarował ją przyjaznym uśmiechem, po czym zwrócił się do Mercera z pytającym spojrzeniem.

- Graves...?

mw

się profesorowi zdawało, niefachowo odłupanych ze skał - była odwrócona spodnią stroną do góry. Mogens sięgnął po jedną z płyt, ale Mercer pokręcił gwałtownie głową i zrobił ręką gest, jakby chciał go powstrzymać.

- Proszę nam nie psuć przyjemności, drogi profesorze - poprosił z uśmiechem. - Tak rzadko mamy tu okazję pochwalić się naszymi odkryciami, że chcielibyśmy móc w pełni rozkoszować się tym momentem.

W pierwszym momencie Mogens zareagował złością, zaraz jednak ujrzał dziecinnie wesoły błysk w oczach Mercera. Jak na człowieka mogącego poszczycić się znacznymi osiągnięciami naukowymi brakowało mu stosownej powagi. Lecz jego serdeczność była zaraźliwa.

- No dobrze - powiedział Mogens. - O co chodzi?

McClure odsunął się o krok od stołu i odwrócił. Mercer wykonał w tym samym kierunku jeden z typowych dla siebie energicznych ruchów ręką. Gdy VanAndt podążył wzrokiem za gestem doktora, ku swojej uldze zobaczył po drugiej stronie grotu sztolnię prowadzącą zapewne jeszcze niżej w głąb ziemi. Wlot był zamknięty zbitymi z listew drzwiami, z wyglądu mało stabilnymi.

Nawet Mogens, choć raczej kruchej budowy, mógłby je, jak sądził, bez trudu wyważyć.

Mercer i McClure pospieszyli naprzód, natomiast Hyams ani drgnęła, powiodła tylko za nimi posępnym wzrokiem.

- Nie zechce nam pani towarzyszyć, moja droga? - spytał Mercer.

- Mam co robić - odparła lakonicznie, wskazując przeładowany stół. - Doktor Graves życzył sobie, by tłumaczenie było gotowe na dziś wieczór.

- Na pewno pani głowy nie ur... - zaczął Mercer, ale nie dokończył zdania, poprzestając na lekkim wzruszeniu ramionami i cichym westchnięciu. Potem znów się odwrócił i ruszył przed siebie. W milczeniu otworzył

drzwi - Mogensowi rzuciło się w oczy, że nie miały nawet zamka - wszedł do środka i czekał, aż Mogens i McClure do niego dołączą.

- Proszę nie mieć jej tego za złe - odezwał się McClure. - Suzan jest w gruncie rzeczy całkiem przyjazna. Tylko teraz właśnie... przechodzi trudny okres.

Profesor był pewien, że McClure właściwie chciał powiedzieć coś zupełnie innego, ale wzruszył tylko ramionami i odwrócił się, by dokładniej obejrzeć grotę, do której go wprowadzono. Również i to miejsce oświetlały lampy elektryczne, choć nie aż tak mocno jak dużą jaskinię, z której przyszli. U sufitu wisały w odstępach piętnastu czy dwudziestu kroków gołe żarówki, których żółtawy blask wylaniał z ciemności wprost niesamowity widok.

- Ależ to jest przecież... - jęknął Mogens. Wyminąwszy żwawym krokiem Mercera i McClure'a, znalazł się przy ścianie i z niedowierzaniem wodził wzrokiem po szarej skale. To, co zobaczył, było... niemożliwe!

- Wiedziałem, że się panu spodoba - powiedział Mercer wesoło.

Mogens w ogóle nie słyszał jego słów. Wpatrywał się w ścianę przed sobą, w nieprawdopodobne rzeczy, które na niej widniały; podniósł rękę, ale zaraz znów ją opuścił jakby w obawie, że obraz pryśnie niczym bańka mydlana, jeśli go dotknie. Zdezorientowany odwrócił głowę i wpatrywał się to w Mercera, to w McClure'a.

- To... to jest żart, prawda? - wymamrotał.

- Bynajmniej - odparł Mercer. Cały promieniał, a i McClure uśmiechał się z niezmierną dumą. Oczywiście, że nie był to dowcip. Pomijając fakt, że najbardziej infantylny żartowniś na świecie nie zadałby sobie tyle trudu, jedynie by spłatać komuś figla, nikt nie potrafiłby dokonać czegoś takiego. To, co zobaczył Mogens, było autentyczne.

Tak autentyczne, jak niemożliwe. Ściana przed nim pokryta była rysunkami. Niektóre z nich namalowano zapewne intensywnymi, jaskrawymi kolorami, jednak nikłe światło elektryczne odbierało im sporo blasku. Ale większość była wyryta głębokimi liniami w kamieniu - rysunki stworzone wieki temu i na wieki.

Zobaczył olbrzymią postać z głową psa, o czarnej jak smoła skórze i płonących oczach. Dalej Bastet o kociej głowie, Izyda, zaraz obok Sobek z twarzą krokodyla, Set, Aton i Amon-Ra. Na długim moście na dwadzieścia kroków fragmente ściany, który Mogens obejmował wzrokiem, płaśał cały korowód egipskich bóstw i faraonów. Niektóre spośród przedstawionych postaci były mu zupełnie nieznane, wiele sprawiało wrażenie nieprawdziwych, jakby przedstawiały jedną i tę samą istotę, ale zostały stworzone przez różnych artystów przynależących do różnych szkół o całkowicie odmiennych tradycjach. Sporo jednak było Mogensowi tak znajomych, że po plecach przebiegały mu raz po raz zimne dreszcze. Ponownie wyciągnął rękę, chcąc dotknąć reliefu, i znów, niezdobywszy się na to, cofnął palce.

- I jak? - uśmiechnął się ironicznie Mercer. - Udała się niespodzianka?

VanAndt milczał. Nie potrafił wydusić z siebie słowa. Skonsternowany wpatrywał się na przemian w Mercera, w reliefy i malowidła ściennie, w McClure'a i znów przenosił wzrok na niesamowite rysunki.

- To... to jest...

- ...wcale jeszcze nie najlepsze - wszedł mu w słowo Mercer. Zaczął nerwowo wymachiwać rękami w powietrzu, jakby chciał odegnać muchę. - Proszę pozwolić za mną, mój drogi. - Ścisnął ramię Mogensa i pociągnął go za sobą.

Profesor był zbyt osłupiały, by gniewać się za tę gru-biańską bezceremonialność. Bez słowa sprzeciwu podążył za nim, pozwalając się prowadzić za rękę jak dziecko.

Wszystko krzyczało w nim, że przecież ledwie rzucił okiem na ten relief, niemożliwy, a jednak namacalny, wyrzeźbiony w liczącym sobie miliony lat kamieniu i tak przeraźliwie realny. Chyba musiał śnić. To było coś, co nie mogło istnieć, nie miało prawa, nie tutaj, w Nowym Świecie.

A jednak istniało.

Tunel mierzył ze sto kroków i, łagodnie opadając, schodził coraz głębiej. Ponieważ żarówki rozwieszone były w znacznych odstępach, miejsca w miarę dobrze oświetlone rozdzielał pełen cieni półmrok, w którym Wyrzeźbione i namalowane figury zdawały się budzić do tajemnego życia.

Mogensowi zdawało się, że słyszy szepty i szmery, które stopniowo przybierały na sile, im niżej schodzili - bez wątplenia były jednak wytworem jego fantazji. Wyobraźnia płałała mu figle, o które nietrudno w podobnych okolicznościach.

Tunel kończył się następnymi drzwiami, tym razem z masywnych żelaznych prętów, wyposażonymi w solidną, zupełnie nową kłódkę. Te bez trudu mogłyby się oprzeć miotaczowi ognia, nie były jednak zatrzaśnięte. Gdy Mercer, chwyciwszy jeden z prętów kraty, pchnął ją lekko, otworzyła się płynnym ruchem, wydając przy tym ciche skrzypnięcie. Weszli do kolejnego pomieszczenia.

A zarazem do zupełnie innej epoki.

Sala była kwadratowa, jej bok mierzył przynajmniej sześćdziesiąt stóp, a wysokość przekraczała piętnaście stóp. Również i tu Mogens zobaczył ściany pokryte okazałymi rysunkami i reliefami przedstawiającymi motywy ze świata bogów i faraonów starożytnego Egiptu. Poświęcił im jednak tylko przelotne spojrzenie.

Bo to, co zobaczył w poprzedniej sali w postaci malowideł ściennych i płaskich reliefów, teraz stało przed nim w trójwymiarowej formie nadnaturalnej wielkości.

i ■--IUS&it

l o - ' l ' "

Na prawo i lewo od wejścia, przy którym się zatrzymali, wznosiły się dwa wielkie posągi Horusa wykute z gładkiego alabastru. Ich dzioby były połączane, a oczy zrobione z rubinów wielkości pięści, które w świetle lamp sprawiały wrażenie, jakby budziły się do życia. A tuż przed Mogensem wznosiła się zajmująca cały środek pomieszczenia olbrzymia barka żałobna z połyskliwego, czarnego drewna, całkowicie pokryta złotem i kunsztownymi malowidłami. Na dziobie i rufie odpychały ją dragami dwa wysokie na siedem stóp rzeźby Anubisa - pana i strażnika świata zmarłych o ludzkim ciele i głowie szakala, w których tkwiły oczy z klejnotów, jakby świecące od wewnątrz. Barka stała na olbrzymim cokole wyglądającym na czyste złoto. Po każdej jej stronie znajdował się rydwan z powożącym, zaprzęgnięty w konie przystrojone okazałymi uprzężami z gładkiego marmuru. Wzdłuż ścian wznosiły się dosłownie tuziny innych, już mniejszych posągów - wielkości człowieka, przedstawiających egipskich bogów oraz bajkowe stworzenia. Nie wszystkie Mogens rozpoznawał, jednak nie był egiptologiem, nawet jeśli żywo interesował się starożytnymi budowniczymi piramid.

Co do jednego nie mógł mieć w żadnym razie wątpliwości - stał w egipskiej komorze grobowej!

- I jak? - spytał Mercer. - Nie jest pan rozczarowany?

Mogens chciał przynajmniej pokręcić głową, ale nawet

to mu się nie udało. Stał bezradnie, niezdolny choćby do mrugnięcia powieką, nawet zaczerpięcie powietrza sprawiało mu trudność. McClure coś do niego mówił, ale nie rozumiał słów. Myślał tylko o jednym:

- To... to jest...

- Imponujące, nieprawdaz?

Nagle serce profesora zaczęło walić jak opętane z przerażenia, gdy jedna z postaci naturalnej wielkości, wyrwawszy się z wielowiekowego odrętwienia, sztywnym krokiem zeszła z cokołu. Światło lamp załamywało się w jej olbrzymich, pozbawionych ludzkich uczuć, błyszczących oczach, wylaniało z odwiecznego półmroku straszliwe pazury, grą posepnych cieni uwypuklało posuwiste kroki. Następnie przerażająca postać zrobiła kolejny krok i cała znalazła się w kręgu żółtego światła żarówek.

Wówczas Mogens dostrzegł swoją pomyłkę i w ostatniej chwili stłumił chrapliwy krzyk. Zamiast egipskiego demona sprzed wieków stał przed nim nikt inny, jak doktor Jonathan Graves. Wcale też nie zstąpił z cokołu, lecz wynurzył się z cienia wielkiego kamiennego posągu, za którym stał wcześniej niezauważony. Zamiast pazurów dzikiej bestii profesor ujrzał znajome rękawiczki z czarnej skóry, a oślepiający blask na twarzy okazał się światłem odbitym od okularów bez oprawek, przymocowanych na gumkach za uszami. Mimo to Mogens nie całkiem się uspokoił. Chimera była wprawdzie człowiekiem, lecz nie szła jak człowiek. Ten śliski gadzi ruch...

Mercer pierwszy przerwał milczenie.

- Doktorze - powiedział z naganą w głosie - z całym szacunkiem dla pana wyjątkowego talentu do dramatycznych występów, ale powinien pan wziąć pod uwagę, że niektórzy mają słabe serce!

Graves roześmiał się. Przenikliwy dźwięk rozbrzmiał odbity przez echo od malowanych ścian.

- Byłby pan, że tak powiem, w odpowiednim miejscu, drogi doktorze - zauważył. - W końcu jesteśmy w grobowcu.

Cóż, Graves też pasował tu idealnie - demon, który przybył z otchłani przeszłości, by zniszczyć VanAndta.

- Jonathan - jęknął wciąż sparaliżowany strachem Mogens. Nie było to specjalnie elokwentne,

ale nic lepszego nie mógł z siebie w tym momencie wykrzesać. Czuł się zdruzgotany. Logiczna część jego umysłu niezmiennie obstawała przy tym, że wszystko, co zobaczył, było niemożliwe, a jednak jego oczy mówiły mu coś wprost przeciwnego.

- Mogens! - Graves wyczarował minę, do której, w odczuciu Mogensa, jeszcze przed chwilą jego fizjonomia nie byłaby zdolna: szczerzy, naprawdę naturalny uśmiech. Nie poświęcając ani chwili uwagi Mercerowi, podszedł do profesora i wyciągnął w jego stronę obleczonej w rękawiczkę prawicę. - Cieszę się, że przyjechałeś. Właściwie nie wątpiłem, że się zdecydujesz, ale prawdę mówiąc, przez ostatni dzień czy dwa trochę się już niepokoiłem. Lecz oto jesteś.

VanAndt automatycznie chwycił wyciągniętą do niego dłoń, a maleńka, zdolna jeszcze do racjonalnego myślenia część jego świadomości zarejestrowała mimowolnie, że uścisk Gravesa był zupełnie inny, niż się spodziewał. Nie gąbczasty, złożony z krętych ruchów, jakby pod czarną warstwą rękawiczki zabrakło ludzkiego ciała, przeciwnie, był to zupełnie zwyczajny, wręcz przyjazny uścisk dłoni, silny i budzący zaufanie.

- Jestem... - zaczął niezręcznie Mogens, ale przerwał w pół zdania, ratując się bezradnym wzruszeniem ramion.

- Jesteś odrobinę zaskoczony, to dla mnie oczywiste - powiedział Graves. - I muszę przyznać, że byłbym ogromnie zawiedziony, gdyby tak nie było.

Profesor nadal nie był w stanie odpowiedzieć mu z sensem. Szok powinien już powoli mijać, ale było wręcz przeciwnie. Uczucie odrealnienia, które go ogarnęło, przybierało na sile. Odkąd Graves tak nagle znów pojawił się w jego życiu, wszystkie wydarzenia miały w sobie coś z sennego koszmaru. Teraz jednak sen ten zaczął przybierać absurdalne kształty. Znajdowali się w egipskiej świątyni głęboko pod ziemią, a wszystko to niecałe pięćdziesiąt mil od San Francisco!

- To jest... niewiarygodne - wypalił w końcu.

- A jednak prawdziwe, jak sam widzisz - uśmiechnął się Graves ironicznie. Uwolnił dłoń Mogensa, zrobił kilka kroków do tyłu i zatoczył szeroki łuk ręką. - Witam w moim królestwie, drogi profesorze.

W moim królestwie? Mogens mimochodem zwrócił uwagę na to osobliwe sformułowanie.

Próbował siłą oderwać wzrok od otaczających go wspaniałości i skupić się całkowicie na Gravesie, ale na próżno.

- Jestem... jestem zupełnie oszołomiony - wymamrotał. Nie to chciał usłyszeć Graves, ale w myślach VanAndta panował zbyt duży chaos, by mógł zdobyć się na coś więcej.

- Może powinienem wrócić po koniak, który Suzan schowała pod stołem - zaproponował Mercer. - Nasz drogi profesor wygląda, jakby potrzebował czegoś na wzmocnienie.

- To nie będzie konieczne - odpowiedział Mogens przeciągle. - Dziękuję.

- Nasz drogi profesor nie znosi alkoholu - wyjaśnił Graves. - Przynajmniej tak było dawniej i zakładam, że nic się w tym względzie nie zmieniło, prawda? - Próżno czekał przez chwilę na odpowiedź, więc w końcu wzruszył lekko ramionami i zwrócił się do Mercera: - Bardzo dziękuję, doktorze. Pan i doktor McClure możecie już wrócić do pracy. Ja zajmę się resztą.

Mercer zamierzał coś powiedzieć, ale poprzestał na zrezygnowanym westchnięciu, natomiast McClure odwrócił się i wyszedł bez słowa. Graves najwyraźniej trzymał swoich ludzi żelazną ręką. Odczekał, póki krata nie zatrzaśnie się za nimi, a kroki nie ucichną. Dopiero wtedy ponownie spojrzął na Mogensa - z tym samym szczerym uśmiechem, choć jego oczy przybrały nagle chytry wyraz.

Profesor przywołał się w myślach do porządku. To, co miał okazję zobaczyć, było zbyt imponujące, by jego uczucia mogły odgrywać jakąkolwiek rolę czy osłabić zdolność oceny sytuacji. Wziął głęboki oddech, wyprostował ramiona i zmusił się nie tylko do wytrzymania spojrzenia Gravesa, ale i do odwzajemnienia uśmiechu. Ku własnemu zaskoczeniu, był do tego zdolny.

- Jestem ci winien przeprosiny, Jonathanie - zaczął, chrząknawszy nieswojo. - Sam dobrze nie wiem, czego oczekiwałem, ale tego tutaj...

- Nie spodziewałeś się, wiem - dokończył Graves. - Byłbym bardzo zdumiony, gdyby tak nie

było. - Z miejsca spowaźniał. - Ja również muszę cię przeprosić za moje tajemnicze zachowanie. Teraz jednak, gdy już wiesz, o co chodzi, z pewnością rozumiesz, że nie mogłem sobie pozwolić choćby na najdrobniejszą aluzję a, wierz mi, przyszło mi to z ogromnym trudem.

Mogens skinął głową. Dalsze wyjaśnienia były właściwie zbędne, mimo to Graves ciągnął:

- Bez wątpienia potrafisz sobie wyobrazić, jak katastrofalne skutki mogłoby za sobą pociągnąć najdrobniejsze słówko, jeśli dostałoby się do wiadomości publicznej. Ale dosyć tegd, Mogensie! Chodź, oprowadzę cię. - Na jego twarzy jeszcze raz przelotnie zagościł szeroki uśmiech ucz-niaka. - Przypuszczam, że umierasz z ciekawości.

Graves miał rację i profesor tylko kiwnął głową. Wiedział, że minie sporo czasu, nim jego intelekt odpocznie po nagłej konfrontacji z rzeczami niemożliwymi. Równocześnie uczucie nierealności, które go ogarniało, z każdą chwilą przybierało na sile. Posłusznie podążył za doktorem, ale nadal z trudem koncentrował się na jego objaśnieniach i wywodach. Powoli zaczęły go one wciągać, tak że mimo zmęczenia podróżą nawet nie patrzył na zegarek,

76

gdy Graves pełen nieskrywanej dumy od dobrej godziny prezentował „swoje królestwo”. Podczas jego wykładu Mogens dowiedział się więcej na temat mitologii starożytnego Egiptu oraz poznał więcej imion bóstw, władców i demonów niż przez wszystkie lata spędzone na uniwersytecie. Nie zrozumiał połowy z tego, co doktor objaśniał mu z coraz większym entuzjazmem i dumą odkrywcy.

- Widzisz więc, Mogensie - zakończył Graves, gdy już przedstawił mu każdy posąg, objaśnił znaczenie każdego reliefu oraz sens wielu hieroglifów - bynajmniej nie przesadziłem, opowiadając ci o znaczeniu mojego - poprawił się - ...naszego odkrycia.

- Ale tutaj?! - Profesor pokręcił głową. - Na kontynencie północnoamerykańskim! To jest... Choć nie był specjalistą w tej dziedzinie, kręciło mu się w głowie na samą myśl, jak to odkrycie wstrząsnęłoby światem naukowym. A nie było tu mowy o żadnej mistyfikacji. To, co zobaczył, przekraczało i umiejętności, i możliwości finansowe najbardziej zwariowanego dowcipnisia na świecie. Fałszerstwo na taką skalę nie miałoby też najmniejszych szans powodzenia, gdyż zaraz cały świat naukowy rzuciłby się na nie, szukając z pedanterią najmniejszej choćby poszlaki przemawiającej przeciw jego wiarygodności. Ponadto Mogens wyczuwał wiekowość otaczających go ścian, tchnienie epok, które przemijały na oczach kamiennych posągów. Nic nie było fałszywe. Równocześnie wszystko było nierealne. Czuł też, że Graves nie powiedział mu jeszcze całej prawdy. Przy całej wylewności, z jaką prezentował swoje fantastyczne odkrycie, coś ważnego, być może coś najważniejszego, nadal ukrywał.

- Wiem, co chcesz powiedzieć i wierz mi, czułem się tak samo, gdy po raz pierwszy ujrzałem tę salę. - Mocno potrząsnął głową, jakby chciał zdusić w zarodku sprzeciw, którego Mogens wcale nie wyraził. - Ale jest jak najbardziej możliwe, że starożytni Egipcjanie dotarli do wybrzeży tego lądu. Nie zapominaj, że państwo faraonów istniało kilka tysięcy lat! Są teorie - przyznaję, iż kontrowersyjne, ale jednak istnieją -zgodnie z którymi kultura rodzimych mieszkańców Ameryki Południowej wywodzi się od dużo starszego ludu, którego pochodzenie pozostaje do tej pory nieznanne. Pomyśl tylko o podobieństwach między piramidami Majów a tymi ze starożytnego Egiptu. Meksyk nie jest przecież aż tak odległy. -Zaczął nerwowo gestykulować. - Ale co ja będę opowiadał! Suzan może ci to wszystko dużo lepiej objaśnić.

- Doktor Hyams?

Graves skinął głową tak energicznie, że okulary omal nie spadły mu z nosa. Dziwne, Mogens nie przypominał sobie, żeby Jonathan kiedykolwiek potrzebował tego przyrządu optycznego.

- Jest egiptologiem - ciągnął tamten. - W dodatku bardzo dobrym.

- To właśnie skłania mnie do zadania ci następnego pytania. Wszystko to jest niezwykle interesujące, żeby nie powiedzieć sensacyjne - Mogens wykonał szeroki ruch ręką - ale..', czego właściwie oczekujesz ode mnie? Jestem wprawdzie archeologiem, ale starożytny Egipt to naprawdę nie moja dziedzina, poza tym masz już jedną specjalistkę w tej dziedzinie.

- Koryfeusza, mówiąc ściślej - potwierdził Graves. -Doktor Hyams należy do ściślej czołówki.

„I zapewne - pomyślał Mogens - nie była zachwycona okolicznością, że Graves podjął współpracę

z jeszcze jednym specjalistą".

Profesor zaczynał powoli rozumieć pozornie bezpodstawną wrogość w oczach Hyams, jednak nie poczuł się przez to ani trochę lepiej.

- Oczywiście masz rację, Mogensie - ciągnął doktor. - Jest inny powód, dla którego tu jesteś. Bardzo doniosły powód. Ale teraz zrobiło się już późno. Masz za sobą z pewnością bardzo ciężki dzień i musisz być zmęczony i głodny. Mam ci jeszcze wiele do wyjaśnienia, ale jutro też jest dzień. Było już ciemno, gdy wrócili na powierzchnię ziemi. Mogens był tak oszołomiony nawalem wrażeń i myśli, że tak naprawdę doszedł do siebie, dopiero gdy otworzył drzwi swojego drewnianego domku. Tu czekała go nowa niespodzianka. Światło elektryczne było wyłączone, a zamiast niego lampa naftowa z żółtym kloszem oraz sześć świeczek paliło się ciepłym, przyjemnym płomieniem. Biała, płócienna serweta leżała na stole, który ktoś - prawdopodobnie Tom - zastawił porcelaną i kieliszkami. Mogens ledwo zdążył zdjąć płaszcz i marynarkę, gdy drzwi znów się otworzyły, a do środka wszedł Tom objuczony tacą, którą bez słowa postawił na stole. Prócz licznych dymiących półmisek VanAndt ujrzał dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

- Proszę usiąść, profesorze - powiedział chłopak. - Ja podam.

Mogens z rosnącym zdziwieniem obserwował, jak Tom ze zręcznością, której mógłby mu pozazdrościć starszy kelner w wykwintnej restauracji, nakładał posiłek. Gdy jednak chwycił za przyniesioną butelkę wina z zamiarem napełnienia kieliszka, VanAndt potrząsnął prędko głową.

- Nie, dziękuję.

W pierwszym momencie Tom wyglądał na zmieszanego, zaraz jednak pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ach tak, zapomniałem, pan przecież nie pije alkoholu. Proszę mi wybaczyć!

- Nic nie szkodzi. - Mogens wykonał gest ponad wystawnie zastawionym stołem. - Wspaniale wszystko przyrządziłeś. Masz doświadczenie w gastronomii?

Tom pokręcił przecząco głową i dalej nakładał na talerz mięso, sos i chrupiące, pieczone ziemniaki. Już sam zapach jedzenia wystarczył, by Mogensowi zaczęła cieknąć ślinka. Nagle poczuł, jak bardzo był głodny. W końcu śniadanie, które panna Preussler przygotowała mu rano, nawet jeśli bardzo obfite, było jedynym posiłkiem tego dnia. Tymczasem minęła już ósma. Musiał się opanować, by nie chwycić za nóż i widelec z gorączkowym pośpiechem. Burczenie własnego żołądka niezmiernie go krępowało, ale Tom tylko się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że będzie panu smakować.

- Jeśli kolacja jest w połowie tak smaczna, na jaką wygląda, będzie to z pewnością najlepszy posiłek, jaki jadłem od lat - odpowiedział Mogens.

Tom znów uśmiechnął się na to pochlebstwo, po czym wskazał pytająco na drzwi.

- Jeśli to już wszystko... Muszę zadbać również o innych.

- Zajmujesz się wszystkim sam? - Profesor miał nadzieję, że chłopak nie zauważy jego rozczarowania. Liczył na to, że podczas posiłku będzie mógł z nim porozmawiać i być może uzyskać odpowiedź na kilka pytań, których Graves nie dał mu okazji zadać.

- Nie jest tak źle - odparł Tom. - Ta praca naprawdę bardzo mi się podoba. Myślałem nawet, żeby otworzyć restaurację w mieście, gdy wykopaliska się skończą. Ale to potrwa jeszcze bardzo długo.

- Doktor Graves tak mówi? - zainteresował się Mogens. - Że to jeszcze długo potrwa?

Gdy tylko skończył, ogarnęło go błogie zmęczenie. Wzrok zawiesił na chwilę na wąskim, świeżo powleczonego łóżku i już sam ten widok wystarczył, by uczucie błogiego odprężenia przerodziło się w ołowianą ciężkość. Musiał użyć całej siły woli, by nie zasnąć natychmiast na krześle.

Jak najbardziej miał prawo być zmęczony. W końcu przeżył wyjątkowo męczący i długi dzień, nie mówiąc 80 o tym, ile sił kosztowało go poradzenie sobie z szokiem,

Pytanie nie miało w sobie nic podchwytliwego, ewidentnie jednak wprawiło Toma w zakłopotanie. Ociągał się przez chwilę, lecz w końcu powiedział:

- Proszę mi wybaczyć, profesorze, ale doktor Graves zabronił nam poza podziemiami mówić o czymkolwiek, co jest związane z naszą pracą.

- Już dobrze - pokiwał głową VanAndt. - Nie chciałem postawić cię w kłopotliwej sytuacji.

Chłopak nerwowo potaknął.

- Później... przyjdę jeszcze raz pozbierać talerze. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę po prostu otworzyć drzwi i mnie zawołać.

Odszedł szybko, by nie dać Mogensowi sposobności do zadawania dalszych pytań. Profesor natomiast otrząsnął się z ostatniej myśli o Jonathanie Gravesie oraz jego sensacyjnym, wręcz budzącym grozę odkryciu, i skoncentrował się na jedzeniu.

Już po pierwszym kęsie było dla niego jasne, że rzeczywiście jadł najlepszy posiłek od lat.

Dorównywał zaletom kulinarnym panny Preussler; wytrzymałby też porównanie z kuchnią wykwinnych restauracji hotelowych. Tom, oprócz umiejętności prowadzenia samochodu, posiadał najwyraźniej jeszcze wiele innych ukrytych talentów. Mimo że chłopak nałożył mu kopiastą porcję, VanAndt zjadł wszystko, a ostatnią kroplę sosu wytarł kawałkiem chleba.

jakiego doznał pod wpływem odkrycia Gravesa. Zrozumiałym i nad wyraz rozsądnym byłoby ulec pokusie, wyciągnąć się w łóżku i zasnąć jak kamień.

Ale tego nie chciał.

Nie tylko było to sprzeczne z jego przyzwyczajeniami, by kłaść się spać tak wczesną porą, ale zdawało mu się niemal grzechem w obliczu przeżyć minionego dnia. Nawet jeśli doskonale zdawał sobie sprawę, że jeszcze długo nie będzie potrafił ogarnąć umysłem znaczenia tego niesamowitego odkrycia, jednak co do jednego nie miał żadnych wątpliwości - dobiegał końca nie tylko najważniejszy dzień w jego życiu, ale i dzień, który przejdzie do historii, dzień, o którym naukowcy, a być może i cały świat będzie rozprawiać jeszcze przez wieki. Co odpowiedziałby na pytanie, jak spędził dzień, który zmienił bieg świata? Że trochę rozejrzał się po wykopalisku, potem zjadł wyśmienity posiłek i poszedł spać jakby nigdy nic?!

Pokonał znużenie, nalał sobie drugą, a zaraz potem trzecią filiżankę kawy i wciąż walczył z ogarniającą go sennością, czekając, aż kofeina zacznie działać.

Reszta kawy w dzbanku jeszcze nie wystygła, a już ołowiany ciężar opadł z ciała. Profesor nie czuł się jeszcze orzeźwiony, ale wołał nie ryzykować kolejnej filiżanki. Gdyby przesadził, prawdopodobnie nie zasnąłby całą noc, za to jutro byłby od rana wykończony. Wstał, ruchem tyleż bezwiednym, co pozbawionym sensu wygładził ubranie, po czym rozpoczął pierwszą gruntowniejszą inspekcję pomieszczenia, które przez następne tygodnie bądź nawet miesiące miało być jego domem.

Oględziny nie były jednak efektywniejsze od poprzednich. Pomijając miejsce na łóżko, stół i pulpit, pozostała przestrzeń ledwo starczała, by przyjąć jednego gościa, nie narażając się przy tym na klaustrofobię. Tom, nie otwierając walizek, zostawił je koło łóżka, co Mercer z pewnością zinterpretowałby jako kolejny dowód lenistwa chłopaka, dla Mogensa natomiast było dowodem dyskrecji.

VanAndt podszedł do pulpitu, który Graves postawił tu specjalnie dla niego i rozłożył blat. W małej szufladzie pod spodem znalazł podstawkę na pióro, kałamarz oraz obitą skórą teczkę z około stu stronicami bielusińskiego papieru. Ale czegoż się spodziewał? Że Graves zostawi w niej ręczną notatkę, w której wyjawi swoją wielką tajemnicę?

Mogens spojrzął na biblioteczkę. Liczbę książek, które piętrzyły się na surowych, drewnianych półkach oszacował na znacznie ponad dwieście. Graves z pewnością nie upchnął ich tu po to, by VanAndt wieczory spędzał przy rozrywkowych lekturach. Może przynajmniej dobór tytułów pomoże mu choć o krok przybliżyć się do tajemnicy swojego pobytu w tym miejscu?

Profesor zrobił krok w stronę regału, ale zatrzymał się. Światło nie było najlepsze. Lampa naftowa i migocące świece roztaczały wprawdzie przyjemną aurę, niewystarczającą jednak do czytania.

Zamiast podejść do półki, spojrzął na lampę elektryczną zawieszoną u sufitu i powędrował wzrokiem wzdłuż czarnego, grubego na palec kabla aż do drzwi, gdzie przewód zniknął w pokrętle włącznika. Mogens przekręcił go. Usłyszał ciężkie szcęknięcie, ale lampa się nie zapaliła.

Spróbował jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Potem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, ponowił próbę po raz trzeci. Najwyraźniej nie było prądu.

VanAndt podszedł do drzwi, ponieważ nie zapomniał słów Toma, że może go wezwać, jeśli będzie czegokolwiek potrzebował. Być może była to okazja, by zamienić jeszcze kilka słów z chłopakiem

na posyłki Gravesa.

Wyszedłszy przed domek, przez moment nosił się z zamiarem wrócenia po płaszc, gdyż wiatr, który smagnął go po twarzy, był zaskakująco chłodny. Ostatecznie jednak zinterpretowałby jako kolejny dowód lenistwa chłopaka, dla Mogensa natomiast było dowodem dyskrecji.

VanAndt podszedł do pulpitu, który Graves postawił tu specjalnie dla niego i rozłożył blat. W małej szufladzie pod spodem znalazł podstawkę na pióro, kałamarz oraz obitą skórą teczkę z około stu stronicami bielusińskiego papieru. Ale czegoż się spodziewał? Że Graves zostawi w niej ręczną notatkę, w której wyjawi swoją wielką tajemnicę?

Mogens spojrzął na biblioteczkę. Liczbę książek, które piętrzyły się na surowych, drewnianych półkach oszacował na znacznie ponad dwieście. Graves z pewnością nie upchnął ich tu po to, by VanAndt wieczory spędzał przy rozrywkowych lekturach. Może przynajmniej dobór tytułów pomoże mu choć o krok przybliżyć się do tajemnicy swojego pobytu w tym miejscu?

Profesor zrobił krok w stronę regału, ale zatrzymał się. Światło nie było najlepsze. Lampa naftowa i migocące świece roztaczały wprawdzie przyjemną aurę, niewystarczającą jednak do czytania.

Zamiast podejść do półki, spojrzął na lampę elektryczną zawieszoną u sufitu i powędrował wzrokiem wzdłuż czarnego, grubego na palec kabla aż do drzwi, gdzie przewód zniknął w pokrętle włącznika. Mogens przekreślił go. Usłyszał ciężkie szczęknięcie, ale lampa się nie zapaliła.

Spróbował jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Potem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, ponowił próbę po raz trzeci. Najwyraźniej nie było prądu.

VanAndt podszedł do drzwi, ponieważ nie zapomniał słów Toma, że może go wezwać, jeśli będzie czegokolwiek potrzebował. Być może była to okazja, by zamienić jeszcze kilka słów z chłopakiem na posyłki Gravesa.

Wyszedłszy przed domek, przez moment nosił się z zamiarem wrócenia po płaszc, gdyż wiatr, który smagnął go po twarzy, był zaskakująco chłodny. Ostatecznie jednak

if f-

i

Jn

•.ix!

l«fc

31

U .

zinterpretowałby jako kolejny dowód lenistwa chłopaka, dla Mogensa natomiast było dowodem dyskrecji.

VanAndt podszedł do pulpitu, który Graves postawił tu specjalnie dla niego i rozłożył blat. W małej szufladzie pod spodem znalazł podstawkę na pióro, kałamarz oraz obitą skórą teczkę z około stu stronicami bielusińskiego papieru. Ale czegoż się spodziewał? Że Graves zostawi w niej ręczną notatkę, w której wyjawi swoją wielką tajemnicę?

Mogens spojrzął na biblioteczkę. Liczbę książek, które piętrzyły się na surowych, drewnianych półkach oszacował na znacznie ponad dwieście. Graves z pewnością nie upchnął ich tu po to, by VanAndt wieczory spędzał przy rozrywkowych lekturach. Może przynajmniej dobór tytułów pomoże mu choć o krok przybliżyć się do tajemnicy swojego pobytu w tym miejscu?

Profesor zrobił krok w stronę regału, ale zatrzymał się. Światło nie było najlepsze. Lampa naftowa i migocące świece roztaczały wprawdzie przyjemną aurę, niewystarczającą jednak do czytania.

Zamiast podejść do półki, spojrzął na lampę elektryczną zawieszoną u sufitu i powędrował wzrokiem wzdłuż czarnego, grubego na palec kabla aż do drzwi, gdzie przewód zniknął w pokrętle włącznika. Mogens przekreślił go. Usłyszał ciężkie szczęknięcie, ale lampa się nie zapaliła.

Spróbował jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Potem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, ponowił próbę po raz trzeci. Najwyraźniej nie było prądu.

VanAndt podszedł do drzwi, ponieważ nie zapomniał słów Toma, że może go wezwać, jeśli będzie

czegokolwiek potrzebował. Być może była to okazja, by zamienić jeszcze kilka słów z chłopakiem na posyłki Gravesa.

Wyszedłszy przed domek, przez moment nosił się z zamiarem wrócenia po płaszczy, gdyż wiatr, który smagnął go po twarzy, był zaskakująco chłodny. Ostatecznie jednak zrezygnował. Od pozostałych domków dzieliło go tylko kilka kroków. Trochę chłodnego powietrza mu nie zaszkodzi. Szybko przeszedł plac, kierując się na oślep do następnego budynku i już podniósł rękę, by zapukać, lecz opuścił ją i spojrzał wkoło, marszcząc czoło. Usłyszał jakiś odgłos, w pierwszym momencie nie wiedział jednak ani z której strony dobiegł, ani kto lub co mogło go wydać. Sprawiał jednak wrażenie groźnego.

Mogens rozejrzył się z bijącym sercem. Słońce już zaszło i było niemal całkowicie ciemno. Nawet jego domek stał się już tylko przysadzistym, czarnym zarysem, choć był oddalony nie więcej niż kilkanaście kroków. Za nim panował absolutny mrok. Rozum podpowiadał profesorowi, że nie krył on w sobie nic podejrzanego, ale nagle drugi głos w głowie zaczął mu szeptać o strasznych postaciach i budzących grozę stworzeniach, które bezszelestnie przemykały pod osłoną nocy i wpatrywały się w niego chciwymi, czarnymi oczyma.

VanAndtowi z wysiłkiem udało się odegnąć wytwory własnej wyobraźni, ale choć czyhające w mroku cienie być może sobie wymyślił, jednak szeleszczący dźwięk na pewno był realny. Może człowiek, może wałęsające się zwierzę, niegroźny kot albo dziki drapieżnik! Naprawdę nie powinien tu tak stać, lecz wrócić do swojej kwatery albo przynajmniej poszukać Toma i poinformować go, że jakieś stworzenie włóczy się po obozie.

Profesor właśnie zamierzał wprowadzić swój zamiar w czyn, gdy odgłos stał się wyrazistszy i łatwy do zidentyfikowania. To były kroki. Nie ostrożne przemykanie dzikiego kota czy bezpańskiego psa, lecz bardzo wyraźne kroki człowieka, który po prostu nie chciał robić zbyt wiele hałasu. Mogens nie mógł uczynić nic innego, jak odwrócić się i z bijącym sercem ruszyć w stronę, skąd dochodziły niepokojące szmery. Niewtajemniczonemu obserwatorowi 53

zachowanie profesora bez wątpienia wydałoby się odważne, ale w rzeczywistości było zupełnie odwrotnie - Mogens po prostu bał się wrócić do domu, nie wiedząc, co było źródłem tajemniczych szelestów. Miał za sobą zbyt wiele nocy wypełnionych piekielnymi wizjami i koszmarami sennymi, kiedy to budził się zlany potem, a serce waliło mu jak młot.

Niczego nie zobaczył, ale gdy przechodził obok domku Gravesa, po raz trzeci usłyszał odgłos cichych kroków, a gdzieś przed nim w ciemności zdawało się coś poruszać - dostrzegł cień niewiele wyrazistszy od innych, dostatecznie jednak wyraźny, by nie mógł być omamem. Rozum Mogensa próbował po raz ostatni odwieść go od szaleńczego zamiaru, lecz strach przed nieznanym był silniejszy. Podążył z bijącym sercem w kierunku, skąd dochodziły szelesty. Po kilku chwilach dotarł do kolein wyłobionych w miękkim podłożu przez opony samochodu Toma. Łatwo było je dostrzec mimo nikłego oświetlenia - w równoległych rowkach zebrała się woda, która teraz odbijała blade światło gwiazd niczym dwa leżące obok siebie wąskie lustra.

Mogens z trudem powstrzymał się od krzyku grozy, gdy coś bez ostrzeżenia smagnęło go po twarzy. Poczł ostry ból, który jednak szybko ustąpił. Instynktownie uniół ręce w obronie przed następnym atakiem, ale poczuł tylko dotyk wiotkich gałązek i mokrych od rosy liści. Przelotne wspomnienie przebiegło mu przez myśl - ciemnozielone gałęzie, które zmiotła na bok chłodnica forda. Bo cóżby innego? Podążył śladem kolein i dotarł do początku drogi, która biegła wzdłuż muru cmentarnego.

Zastanawiał się teraz, czy iść dalej. Już gdy wjeżdżał na teren obozu, stało się dla niego jasne, że ktoś - prawdopodobnie Tom i równie prawdopodobnie na wyraźne polecenie Gravesa - zadał sobie wiele trudu, by ukryć wjazd

na polanę. Być może Gravesowi nie chodziło tylko o to, by ukryć wykopalisko przed ciekawskimi spojrzzeniami?

Myśl ta zakrawała na paranoję, Mogens odpędził ją zirytowany. Gniewnym ruchem odsunął gałęzie na bok i ruszył dalej.

Gdy przekroczył barierę z żywopłotu, nagle widoczność znacznie się poprawiła. Przystanął

zaskoczony i spojrzął w niebo. Księżyc przez ostatni tydzień stawał się coraz węższy i teraz był już tylko sierpem szerokim ledwo na palec, ale jednocześnie olbrzymi diadem mrugających gwiazd rozjaśniał bezchmurną noc. Dlaczego więc po drugiej stronie, w obozie Gravesa, zalegał taki mrok, jakby coś odstraszało światło?

Znów zaszeleściły kroki, potem rozległ się hałas i stukanie dobiegające spoza muru. Mogens zrobił krok i przystanął. Serce zaczęło mu mocniej bić. Wcześniej, gdy jechał tędy razem z Tomem, skutecznie sobie wmówił, że zamiast cmentarnego ogrodzenia widzi jedynie trochę nieregularnych kamieni. Teraz ta sztuczka za nic nie chciała się udać. Od tamtej pamiętnej nocy sprzed dziewięciu lat noga Mogensa nie stanęła na żadnym cmentarzu i poprzysiął sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi. Ale dźwięk dobiegał ewidentnie stamtąd, a im rozpaczliwiej Mogens próbował opanować demony wyzwalające się w jego podświadomości, tym bardziej rosło w nim przekonanie, że musi, po prostu musi ustalić źródło odgłosów. Po kilku krokach dotarł do muru cmentarnego i zatrzymał się z bijącym sercem. Czy nadal było słychać ten dźwięk? Krew tak głośno szumiała mu w uszach, że nie był już tego pewien.

Zwlekał jeszcze przez moment, potem jednak ostrożnie położył dłonie na kruszącym się szczycie muru, oparł prawą stopę na jednej z szerokich na palec szczelin w zwietrzałej konstrukcji i odepchnąwszy się mocno, przeskoczył na

if

-M iT1 v

r

drugą stronę. Zręczność, z jaką pokonał przeszkodę, a warto dodać, że nie był przyzwyczajony do wysiłku fizycznego, zaskoczyła nawet jego samego - zwłaszcza że poziom gruntu cmentarza był sporo niższy niż drogi i źle wymierzony sus łatwo mógł zakończyć się upadkiem. Mogens w ostatniej chwili wyciągnął ręce i zdążył je oprzeć o prastary, krzywo stojący nagrobek, który pod jego ciężarem powoli, z ohydny mlaśnięciem pochylił się na bok.

Profesor przez chwilę zastygł jakby w groteskowym ukłonie, w końcu podjął jedyną słuszną decyzję i zdecydowanym ruchem odepchnął się od nagrobka. Tablica straciła ostatecznie równowagę i wpadła do bagna, zatapiając się prawie do połowy. Mogens, wymachując na oślep rękami, w końcu złapał równowagę. Tego jeszcze brakowało, żeby wpadł cały do błota i wrócił do obozu umorusany od stóp do głów!

Przynajmniej pół minuty stał jeszcze bez ruchu, czekając, aż ręce i kolana przestaną mu się trząść. Równocześnie w zadumie patrzył na tonący w błocie nagrobek. Z samym Mogensem było podobnie, co skonstatował markotnie, patrząc na swoje buty. Stopniowo pogrązał się, ziemi, choć nie tak szybko jak ciężka kamienna płyta. Gdyby jeszcze trochę pozostał tu bez ruchu, niebawem tkwiłby aż po łydki w błocie.

Mogens nie zamierzał jednak dopuścić, by sprawy zaszły tak daleko. Z lekkim wysiłkiem wyciągnął stopy z bagna, nie gubiąc przy tym żadnego z butów, co było nie lada wyczynem. Widok całkiem zniszczonej skóry pogorszył mu humor, poza tym zwycięstwo nad błotem nie trwało długo, bo natychmiast zaczął pogrązać się na nowo. Musiał odstawić krótki taniec, zanim znalazł miejsce, gdzie ziemia była zdolna choć chwilę udźwignąć jego ciężar.

Rozejrzał się dokoła zdezorientowany. Nagrobek, który przewrócił, nie był jedynym odchylonym od pionu. Wręcz 86 przeciwnie, większość z tych, które zobaczył w bladym

I ; J" i ' - • -

sacH* " .3 i s

Sr Ł

i

świecie księżycy, nie stała prosto. Były poprzechylane na różne strony, niektóre przewrócone i częściowo lub całkowicie zatopione w bagnie. Światło gwiazd załamywało się w stojącej wodzie, tam gdzie wilgoć wypływała z gąbczastej ziemi i tworzyła kałuże. Cmentarz sprawiał wrażenie

usianego milionem małych odłamków luster.

Mogens zmarszczył brwi zaniepokojony, gdy uświadomił sobie znaczenie tego spostrzeżenia. Kto, na Boga, był tak szalony, że zbudował cmentarz pośrodku bagna?!

Przypomniał sobie, dlaczego się tutaj znalazł, powoli zrobił trzy czwarte obrotu i próbował przeniknąć wzrokiem ciemności. Na cmentarzu było znacznie jaśniej niż w obozie Gravesa, ale i tak Mogens nie widział dalej niż na piętnaście czy dwadzieścia kroków przed sobą - noc to jednak noc. Mimo to po chwili zdało mu się, że gdzieś na lewo coś się poruszało. Ruch był ledwie dostrzegalny i nie wiedzieć czemu - dziwnie nieprawdziwy. Jednocześnie profesor znów odniósł wrażenie, że słyszy głosy.

Rozsądek cicho mu podpowiadał, że nieodwołalnie nadszedł czas, by skończyć z tą dziecinną próbą odwagi i zawrócić, zanim zniszczy więcej niż tylko parę skórzanych butów. Zamiast jednak usłuchać, Mogens skierował się ku tajemniczemu cieniowi. Ostatecznie stawiał już czoła największemu demonowi swojego życia, a nawet przekonał samego siebie, że Graves nie jest zesłanym przez Boga aniołem zemsty, a tylko mało sympatycznym facetem. VanAndt tym bardziej nie zamierzał skapitulować przed o ileż mniejszym wyzwaniem i uciekać z opuszczonego cmentarza przed byle cieniem. Podążył za znikającym kształtem, usiłując nie stracić go z oczu, a przy tym nie narazić się na zgubienie buta lub na upadek.

Powinien być na to przygotowany, jednak doznał srogiego zawodu, gdy w którymś momencie, podniósłszy wzrok, nie zobaczył już tajemniczej mary. Przeszedł jeszcze kilka kroków, zanim ostatecznie zrozumiał, że dalsza wędrówka byłaby bezcelowa. Jeśli wcześniej w ogóle coś przed nim majaczyło, teraz znalazło sobie coś lepszego do roboty. Przy odrobinie szczęścia zdąży nawet wrócić do swojej kwatery, przebrać się i umyć, zanim Tom przyjdzie po naczynia. Może nikt nie zauważy jego krótkiej nieobecności.

Nie miał zamiaru wracać tą samą drogą, którą przyszedł, lecz skierował kroki na lewo, gdzie miał bliżej do cmentarnego muru. Wydawał się wprawdzie nieco wyższy, niż w miejscu, gdzie go po raz pierwszy sforsował, ale perspektywa powrotu w miarę suchą stopą była warta wspinaczki.

Obszedł pochylony nagrobek wielkości człowieka, przesadził długim krokiem wyjątkowo dużą błotną kałużę i uniósł wzrok.

W tym momencie spojrział w twarz swojej przeszłości.

Ostatnie dziewięć lat jego życia ulotniło się w ułamku sekundy. Stał już nie na bagnistym cmentarzu czterdzieści mil na wschód od San Francisco, lecz jako dwudziesto-ośmiolatek, od prawie tygodnia z tytułem doktora, waleśał się upojony miłością i drogim porto po małym cmentarzu, rzut kamieniem od campusu. Odwiedzali go nie tylko żałobnicy oplakujący bliskich, ale też, nawet liczniej, pary studenckie, przede wszystkim przeciwnych płci, które ceniły sobie to ustronne miejsce.

Znów był razem z Janice, słyszał jej dźwięczny śmiech, jej lekkie, zwiewne kroki i teatralne, krótkie okrzyki strachu, gdy bała się, że zabłądzą w ciemnościach nocy.

Nie byli na cmentarzu sami. Świętowanie w akademiku trwało do późnego wieczora, a z każdą godziną, z każdym kieliszkiem ponczu atmosfera stawała się coraz luźniejsza, żarty zaś bardziej infantylne. Północ jeszcze nie wybiła, ale była blisko, gdy pojawił się stary stróż akademika odziany je-8 s dynie w wytarty szlafrok i filcowe kapcie, z rozczochranymi

Jf.Å

■ V !{f

włosami i twarzą świadcząca o tym, że przez długie godziny daremnie próbował zignorować hałas dochodzący z górnego piętra. Oświadczył ponuro, że niniejszym ogłasza imprezę za zamkniętą. Nie był bardzo rozgniewany. Wszystkie te lata, podczas których musiał znosić wiele podobnych imprez na zakończenie roku, nauczyły go, że denerwowanie się ponad miarę nie miało najmniejszego sensu - szczególnie w przypadku studentów, którzy ukończyli ostatni semestr i zdali już wszystkie egzaminy, a tym samym byli bezkarni, bo i tak lada moment zamierzali się wyprowadzić.

Także Mogens miał już w portfelu bilet do Nowego Orleanu, gdzie dzięki poparciu promotora VanAndt miał widoki na posadę w małym, ale renomowanym instytucie badawczym. Nic szczególnego - przynajmniej według jego profesora - pensja niewielka, jednak to miejsce posiadało

dwie niezaprzeczalne zalety: było doskonałym przygotowaniem do rozpoczęcia kariery naukowej, a oprócz pracy czekało tam niewielkie, ale oddzielne mieszkanie, które jeśli się trochę ścieśnić, w zupełności wystarczyłoby dla dwójki. Janice miała przed sobą jeszcze rok studiów, ale rok, nawet jeśli im męgl się wydawać wiecznością, kiedyś dobiegnie końca. Wyniki Janice nie były tak doskonałe jak Mogensa, jednak dostatecznie dobre, by nie pozostawiać żadnych wątpliwości, że najpóźniej za rok dołączy do niego. Rodzice obojga nie byli w stanie łożyć na utrzymanie swojego dziecka nic ponad konieczne minimum, a nowa praca Mogensa zapewniałaby jako taki stały zarobek. Przy oszczędnym i gospodarnym zarządzaniu pieniędzmi mógłby sobie pozwolić na zakup biletu dla Janice do Nowego Orleanu na święta i w przerwie semestralnej.

„Z tym ścieśnianiem się jakoś damy radę” - pomyślał Mogens, gdy usłyszał ciche kroki gdzieś po prawej.

Nie żeby miał zamiar czekać cały rok na Janice. Poznali się w dniu jej przybycia do Harvardu i byli już ze sobą od

JM

dobrych trzech lat. Nie poszli jeszcze na całość, ale Mogens był zdrowym, młodym mężczyzną z normalnymi potrzebami, a Janice nowoczesną, otwartą młodą kobietą. Nie przekraczała wprawdzie nigdy pewnych granic, jednak niekiedy robiła i mówiła rzeczy, które wywołałyby rumieniec wstydu na twarzy głęboko wierzącej matki VanAndta. Nie rozmawiali o tym wprost, jednak pewne uwagi, a przede wszystkim spojrzenia pozwoliły się Mogensowi domyślać, że otrzyma ten ostateczny podarunek jeszcze przed wyjazdem dla przypieczerowania obietnicy wierności na nadchodzący rok rozłąki. Czyli tamtego dnia albo następnego, zanim opuści Harvard.

Znów gdzieś przed nim rozległy się kroki, które wyrwały go z rozmyślań. Mogens, nie chcąc zostać zauważonym, schował się za starym nagrobkiem, jakich było wiele w tej części cmentarza. Nie było to prawdopodobnie konieczne, ponieważ wtedy niebo spowijała gęsta warstwa chmur. Nie padało, ale panowały ciemności, choć oko wykol. Te egipskie ciemności nie sprzyjały kokieterijnej zabawie w chowanego z Janice, jednak dla tego, co umyślili sobie z Jonathanem, były wprost idealne.

Gdy tak czekał skoncentrowany, nasłuchując lekkich kroków i próbując ocenić ich oddalenie i kierunek, z którego dochodziły, po raz ostatni naszły go wątpliwości. Nie to, żeby miał skrupuły. Zarówno Marc, jak i ta straszliwa Ellen - niemożliwa osoba, z którą Marc był już od roku, czego absolutnie nikt nie mógł pojąć - już dawno, zarówno w mniemaniu złośliwych, jak i samego Mogensa, zasłużyli sobie na nauczkę. Wszelkie przygotowania zostały poczynione, Jonathan, Beth i przede wszystkim Janice dobrze poinstruowani, a plan tak długo i szczegółowo omawiany, że musiał się powieść.

Wszystko zaczęło się niewinnie. Jonathan Graves, Marc Devlin i on sam, Mogens, przez dobre sześć lat dzielili pokój

w akademiku towarzystwa studenckiego, więc siłą rzeczy wiedzieli o sobie nawzajem prawie wszystko. Mogensowi nigdy to specjalnie nie przeszkadzało. Prowadził zwyczajne życie studenckie i nie miał żadnych tajemnic, których nie mieliby inni studenci w jego wieku. Jonathan, Marc i on nie byli przyjaciółmi, byli jednak współlokatorami i kolegami, co oznaczało, że szanowali się oraz że każdy przymykał oko na pewne słabości i niedociągnięcia pozostałych. Przez pierwsze pięć z tych sześciu lat ta niepisana umowa świetnie funkcjonowała. Potem Marc poznał Ellen i już nic nie było takie jak dawniej.

Ellen była dziwną dziewczyną i nie tylko Mogens zapytywał się ze zdumieniem, co Marc w niej widział. Ani nie była specjalnie atrakcyjna, ani nie odznaczała się wyjątkową inteligencją czy krasomówstwem. Niewątpliwie jednak wywierała zły wpływ na Marca. Stał się egoistyczny i niecierpliw, a co za tym idzie - arogancki. O wszystko miał pretensje, ciągle narzekał na kolegów, bezlitośnie i złośliwie wykpiwał każdą drobną słabość. Z początku zarówno Jonathan, jak i Mogens próbowali ignorować jego zachowanie, przychodziło im to jednak z coraz większym trudem, aż w końcu stało się zupełnie niemożliwe.

Dlatego powstał plan, by w ten ostatni wieczór odplacić się Marcowi i jego rudowłosej harpii.

Pomysł narodził się szybko, w końcu i Marc, i Ellen byli niestrudzeni w dostarczaniu odpowiedniej

pożywki.

Jedną z kwestii, którą Marc wałkował do upadłego, była fascynacja Mogensa zjawiskami nadprzyrodzonymi. Rzeczywiście, przyszedł profesor miał obsesję na tym punkcie, wszyscy jednak wiedzieli, że patrzył na podobne kwestie z czysto naukowego, racjonalnego punktu widzenia. Im bardziej podejrzana wydawała mu się jakaś historia, im bardziej niewytłumaczalny był jakiś przypadek, z tym większym zapałem poszukiwał sedna danej legendy, wytłumaczenia tego, co niewytłumaczalne. Mogens stał się myśliwym okultyzmu i wiedział o tym każdy, włączając Marca, co jednak nie przeszkadzało mu coraz złośliwiej drwić z „tych rzeczy”, przede wszystkim w obecności Ellen i przy jej wyraźnym wsparciu. Dosłownie przy każdej okazji podkreślał, że tylko człowiek niespełna rozumu może wierzyć w podobne bzdury.

Tak więc było jasne, że należy odplacić mu w ten sam sposób. Chociaż Mogens nie gustował w infantylnych żartach, w ostatnich miesiącach Marc do tego stopnia go zirytował, że sam zasłużył sobie na porządną nauczkę.

Przez chwilę nie był już jednak pewien, czy to, co w fazie planowania wydawało im się doskonałą koncepcją, w rzeczywistości nie było wyjątkowo głupim pomysłem. Bez wątplenia należało poskromić arogancję Marca i Ellen, ale teraz coś powstrzymywało go przed sięgnięciem do kieszeni po kauczukową maskę, przy której Jonathan, Janice i on majsterkowali przez tydzień.

Pomyślał o niemej obietnicy, jaką wyczytał w oczach Janice, i po jego ciele rozeszła się fala mrowiącego ciepła. No tak, znajdowali się na cmentarzu, w miejscu otaczanym szacunkiem, ale i bardzo ponurym. W końcu jednak nie byli średniowiecznymi żakami, lecz postępowymi studentami rozpoczynającego się dwudziestego wieku, którym zostały już tylko dwa dni, by nacieszyć się sobą. Potem przecież nastąpią długie miesiące rozłąki...

Cmentarz, nie cmentarz, było tu dostatecznie dużo zacisznych zakątków, a miniony wieczór i porto, do którego nie przywykli, zrobiło swoje. Mogens dostatecznie często odwiedzał ten cmentarz za dnia, by dobrze orientować się w terenie.

Nie tak daleko od miejsca, w którym stał, był cały szereg małych, od wieków zapomnianych mauzoleów, które wiele par obierało sobie na ustronne miejsce spotkań. Pracownicy

u=>

wytłumaczenia tego, co niewytłumaczalne. Mogens stał się myśliwym okultyzmu i wiedział o tym każdy, włączając Marca, co jednak nie przeszkadzało mu coraz złośliwiej drwić z „tych rzeczy”, przede wszystkim w obecności Ellen i przy jej wyraźnym wsparciu. Dosłownie przy każdej okazji podkreślał, że tylko człowiek niespełna rozumu może wierzyć w podobne bzdury.

Tak więc było jasne, że należy odplacić mu w ten sam sposób. Chociaż Mogens nie gustował w infantylnych żartach, w ostatnich miesiącach Marc do tego stopnia go zirytował, że sam zasłużył sobie na porządną nauczkę.

Przez chwilę nie był już jednak pewien, czy to, co w fazie planowania wydawało im się doskonałą koncepcją, w rzeczywistości nie było wyjątkowo głupim pomysłem. Bez wątplenia należało poskromić arogancję Marca i Ellen, ale teraz coś powstrzymywało go przed sięgnięciem do kieszeni po kauczukową maskę, przy której Jonathan, Janice i on majsterkowali przez tydzień.

Pomyślał o niemej obietnicy, jaką wyczytał w oczach Janice, i po jego ciele rozeszła się fala mrowiącego ciepła. No tak, znajdowali się na cmentarzu, w miejscu otaczanym szacunkiem, ale i bardzo ponurym. W końcu jednak nie byli średniowiecznymi żakami, lecz postępowymi studentami rozpoczynającego się dwudziestego wieku, którym zostały już tylko dwa dni, by nacieszyć się sobą. Potem przecież nastąpią długie miesiące rozłąki...

Cmentarz, nie cmentarz, było tu dostatecznie dużo zacisznych zakątków, a miniony wieczór i porto, do którego nie przywykli, zrobiło swoje. Mogens dostatecznie często odwiedzał ten cmentarz za dnia, by dobrze orientować się w terenie.

Nie tak daleko od miejsca, w którym stał, był cały szereg małych, od wieków zapomnianych mauzoleów, które wiele par obierało sobie na ustronne miejsce spotkań. Pracownicy

jf

cmentarza już dawno zrezygnowali z zakładania nowych kłódek, ponieważ i tak co noc były zrywane. Również Mogens był tam wcześniej kilka razy z różnymi dziewczynami, jednak ani razu,

odkąd platoniczna przyjaźń z Janice przerodziła się w miłość. Wiedział, że dzieliło go tylko kilka kroków od najbliższego z tych zacisznych mauzoleów, tak samo jak był pewien, że tej wyjątkowej nocy wystarczyłyby tylko dyskretny sygnał z jego strony, by Janice poszła za nim.

O ile kroki, które nadal słyszał przed sobą, rzeczywiście należały do Janice... Mogens nie był tego już tak pewien, jak jeszcze przed chwilą. Jonathan i on podążyli za resztą w pewnym odstępnie, ale stracili się z oczu, gdy Janice - co należało do planu - nagle uciekła, rozpoczynając tym samym nocną grę w chowanym. Ustalili, że ona i Beth zadbają o to, by ich ofiary nie oddaliły się zbyt od Jonathana i Mogensa, ale ciemność, która przeszkadzała jemu samemu, mogła zmylić również ją. Właściwie to nie był już pewien, czy oprócz Gravesa, jego samego, towarzyszących im dziewczyn i dwóch ofiar zaplanowanego figla, na cmentarz nie przyszedł przypadkiem ktoś jeszcze. A nie chciał zaskoczyć obcych ludzi, do tego być może w krępującej sytuacji.

A może wcale nie miał przed sobą człowieka?

Mogens wystraszył się swoich własnych myśli. A któżby inny miał to być?! W tej części kraju już od pięćdziesięciu lat nie spotykało się wolno żyjących zwierząt, a przynajmniej nie na tyle dużych, by mogły stawiać tak duże i ciężkie kroki. Dzięki zainteresowaniu okultyzmem był chyba największym realistą, jakiego znał. Wyprostował się za swoją cmentarną kryjówką i wyjął rękę z kieszeni...

Gdyby na tym poprzestał i niezwłocznie zaczął szukać Janice, wówczas nie tylko ten wieczór, ale i całe jego późniejsze życie wyglądałyby zupełnie inaczej. Jednak w tym samym momencie powtórzyło się dziwne człapanie i gdy

lik ? '

Mogens wyteżył wzrok, ujrzał przysadzistą postać, a jego myśli znów zaczęły oscylować wokół wątlej granicy, gdzie rzeczywistość splata się z wytworami fantazji pobudzanej strachem. Co w tej postaci było nie takie, jakie powinno być?

Mogens tak wyteżał wzrok, że oczy zaczęły mu łzawić. Wiatr najwyraźniej zaczął wiać w innym kierunku, gdyż człapiące kroki stały się o wiele wyraźniejsze. VanAndt wyszedł ostrożnie zza swojej kryjówki, przemknął za następny, trochę mniejszy nagrobek i kucnął, zachowując odstęp dwudziestu kroków od czarnego, kosmatego cienia, lecz nie spuszczał go z oczu. Nie widział wiele w mroku, upewnił się jednak, że postać była zdecydowanie człekokształtna. Człekokształtna, choć nie ludzka. Była wysoka, dało się wyróżnić ręce, nogi oraz głowę, ale coś w tej postaci było... nieprawdziwe. Zbyt długie ręce dyndały jak u wyprostowanych naczelnych, czaszka była zbyt pękata i jakby zdeformowana.

Gdy cień na chwilę stanął nieruchomo, Mogens znów pomyślał o dziwnych, człapiących krokach, które wcześniej słyszał. Po plecach przeszedł mu dreszcz, bo z pewnością nie orzeźwiający podmuch wiatru.

Jaką istotę miał przed sobą? Bo przecież nie był to człowiek. Nie słyszał jednak o zwierzętach tej wielkości i kształtu i...

Mało brakowało, a roześmiałyby się w głos, gdy sobie uświadomił, że z całą pewnością nigdzie na świecie nie istniało zwierzę o podobnej posturze. Przed nim stał nie kto inny jak Jonathan Graves, któremu najwyraźniej nie wystarczyła zrobiona przez nich wspólnie kauczukowa maska, by napędzić należytego strachu Marcowi i jego dziewczynie. Mogens nie miał pojęcia, skąd Graves wytrzasnął ten dziwaczny kostium i co on miał przedstawiać, ale - przy-04 najmniej w panującym tu półmroku i z odległości dobrych

dwudziestu kroków - widok rzeczywiście przyprawiał

0 palpitacje serca. Przez chwilę nawet VanAndt dał się nabrać, a przecież powinien dobrze wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Jonathan? - Zniżył głos do cichego szeptu, który niósł się na odległość najwyżej dwudziestu kroków. Nie chciał zepsuć Jonathanowi zabawy.

Graves obrócił się gwałtownie, wydając przy tym warczący dźwięk i przybrał skuloną, przyczajoną pozę. Świetnie grał - w jego ruchach nie było nic ludzkiego. Mogens wynurzył się już do połowy ze

swojego ukrycia, zamarł jednak ponownie i spojrzął w stronę kosmatego cienia tyle zdezorientowany, co zaniepokojony. Zauważył szpiczaste lisie uszy i straszliwe pazury, a w zdradliwie iskrzących się oczach odbite srebrne światło gwiazd.

- Jonathan? - spytał raz jeszcze. Serce zaczęło mu bić mocniej. W myślach sam siebie nazywał głupcem. Marc śmiałyby się do łez, gdyby mógł go w tej chwili zobaczyć.

Gwałtownie postawił wciąż uniesioną stopę i wyszedł zza nagrobka zamaszystym krokiem. Postać o lisich uszach znikła w jednej chwili.

- Jonathan? - spytał po raz trzeci i tym razem wiedział, że drżenia jego głosu nie można było wytłumaczyć zaskoczeniem, zimnem czy wysiłkiem. Tak jak i wcześniej nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ale przez ułamek sekundy zdawało mu się, że znów słyszy dziwaczne, człapiące kroki, teraz coraz dalsze.

Serce waliło Mogensowi tak mocno, że czuł krew pulsującą aż w koniuszkach palców. Musiał się przełamać, by pójść dalej. VanAndt miał rację - plan zemsty wcale nie był dobrym pomysłem, skoro nawet jego przeraziło niespodziewane spotkanie z przebranym Gravesem. Chcieli Marcowi

1 Ellen dać nauczkę, ale nie przstraszyć ich na śmierć. Trzeba przerwać tę błazenadę, zanim rzeczywiście ktoś ucierpi!

Dotarł do miejsca, w którym stał Graves i rozejrzał się uważnie, nie wiedząc dokładnie, czego szuka. Tej postaci, Gravesa! Musiał uważać, co myśli. Nazywając zjawę nie tym, czym była w rzeczywistości, uznawał ją za niebezpieczną i kierował swój umysł w niewłaściwą stronę!

Jonathan zniknął bez śladu, jakby się rozpułynał. Chociaż Mogens był już zdecydowany przerwać tę dziecinadę, nim będzie za późno, miał jeszcze opory, by głośno krzyknąć. Ale w końcu wiedział dość dokładnie, w którą stronę odszedł Graves. Zrobił dwa kroki w tamtym kierunku, znów jednak stanął i spojrzął na ziemię.

Trawa i gleba były mokre od wilgoci, która wisiała w powietrzu. Wyraźnie widział świeże ślady, krzyżujące się z jego własnymi. Z Mogensa nie był wprawdzie żaden Winnetou, ale każdy by się zorientował, że są świeże, a w dodatku zbyt duże i zbyt głębokie jak na ludzkie. Stworzenie, które je odcisnęło, musiało ważyć przynajmniej trzy cetna-ry. Nawet jeśli Graves, czego Mogens przy najszczęśliwszych chęciach nie potrafił sobie wyobrazić, zadałby sobie trud włożenia jako elementu przebrania za dużych butów, po co miałby wlec ze sobą hantle albo odważniki?

Mogens był teraz znacznie bardziej wystraszony niż zdumiony. Wyprostował się ponownie i próbował przeniknąć ciemności wzrokiem. O ile było to w ogóle możliwe, zrobiło się jeszcze ciemniej, tak że prawdopodobnie nie zobaczyłby Gravesa - Gravesa? - nawet gdyby ten przebiegł w odległości dziesięciu kroków. Wiedział w każdym razie, w którym kierunku się oddalił. Cmentarz wyglądał jak geometryczny wzór z różnej wielkości sześciennych cieni i tylko kilka brył wyłamywało się z tego systemu - przysadzista budowla nieopodal zakończona równoramiennym trójkątem, który przekornie wskazywał niebo. Było to mauzoleum, które Ja-nice, Beth, Graves i on obrali na miejsce spotkania. Mogens yć, szybkim krokiem ruszył w kierunku budowli.

Towarzyszyły

r

J>

Dotarł do miejsca, w którym stał Graves i rozejrzał się uważnie, nie wiedząc dokładnie, czego szuka. Tej postaci, Gravesa! Musiał uważać, co myśli. Nazywając zjawę nie tym, czym była w rzeczywistości, uznawał ją za niebezpieczną i kierował swój umysł w niewłaściwą stronę!

Jonathan zniknął bez śladu, jakby się rozpułynał. Chociaż Mogens był już zdecydowany przerwać tę dziecinadę, nim będzie za późno, miał jeszcze opory, by głośno krzyknąć. Ale w końcu wiedział dość dokładnie, w którą stronę odszedł Graves. Zrobił dwa kroki w tamtym kierunku, znów jednak stanął i spojrzął na ziemię.

Trawa i gleba były mokre od wilgoci, która wisiała w powietrzu. Wyraźnie widział świeże ślady, krzyżujące się z jego własnymi. Z Mogensa nie był wprawdzie żaden Winnetou, ale każdy by się zorientował, że są świeże, a w dodatku zbyt duże i zbyt głębokie jak na ludzkie. Stworzenie, które je odcisnęło, musiało ważyć przynajmniej trzy cetna-ry. Nawet jeśli Graves, czego Mogens przy najszczęśliwszych chęciach nie potrafił sobie wyobrazić, zadałby sobie trud włożenia jako elementu

przebrania za dużych butów, po co miałyby wlec ze sobą hantle albo odważniki?

Mogens był teraz znacznie bardziej wystraszony niż zdumiony. Wyprostował się ponownie i próbował przeniknąć ciemności wzrokiem. O ile było to w ogóle możliwe, zrobiło się jeszcze ciemniej, tak że prawdopodobnie nie zobaczyłby Gravesa - Gravesa? - nawet gdyby ten przebiegł w odległości dziesięciu kroków. Wiedział w każdym razie, w którym kierunku się oddalił. Cmentarz wyglądał jak geometryczny wzór z różnej wielkości sześciennych cieni i tylko kilka brył wyłamywało się z tego systemu - przysadzista budowla nieopodal zakończona równoramienne trójkątem, który przekornie wskazywał niebo. Było to mauzoleum, które Janice, Beth, Graves i on obrali na miejsce spotkania. Mogens szybkim krokiem ruszył w kierunku budowli. Towarzyszyły

mu bezgłośnie przemykające cienie. Poczul strach. Im bliżej był mauzoleum, tym mocniej biło mu serce. Na myśl o znalezionym przez siebie odcisku stopy zasychało mu w ustach. Może Devlin i jego dziewczyna mieli rację? Może istnieją rzeczy, którymi lepiej się nie zajmować?

Gdy podszedł bliżej, zauważył, że wewnątrz mauzoleum paliło się światło - bladeżółte, starannie osłonięte, którego z odległości dziesięciu kroków prawdopodobnie by nie zauważył, gdyby nie wiedział dokładnie, czego ma szukać. Przyspieszył jeszcze kroku, otworzył lewą ręką kratę i instynktownie schylił głowę, by nie uderzyć się o niską framugę pochodzącą z czasów, gdy ludzie byli o wiele niżsi. Pomieszczenie zastał puste. Lampa naftowa, której poświata go zwabiła, stała na podłodze. Wtem dobiegł go skądś przytłumiony, szeleszczący odgłos.

- Jonathan?

Przez niekończącą się sekundę nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, potem przytłumiony, dźwięczny głos zawołał:

- Mogens?

Janice! VanAndt odetchnął z ulgą, ale tylko na chwilę. Słyszał Janice, jednak nie widział. Pomieszczenie nie mierzyło nawet pięciu kroków długości i było zupełnie puste! Prócz wejścia po drugiej stronie miało jeszcze okratowane drzwi, za którymi wąskie, kamienne schody prowadziły stromo w dół. Odkąd Mogens pamiętał, drzwi te były zamknięte i zabezpieczone wiekową, zardzewiałą kłódką. Teraz ktoś je uchylił na szerokość dłoni, a kłódka leżała pęknięta na podłodze.

- Janice! - zawołał głośniejszym głosem. - Jesteś tam?

- Mogens? - dobiegł go głuchy, zniekształcony głos dziewczyny, jakby mówiła z dna studni. - Mogens, chodź tutaj! Musisz to zobaczyć! Coś fantastycznego!

Z ociąganiem zbliżył się do otwartych drzwi. Teraz, gdy podszedł bliżej, zobaczył w dole żółtawe, jeszcze bledsze

o

i bardziej migoczące światło. Świadomość, że Janice zeszła na dół, zaniepokoiła go bardziej, niż nakazywałby rozsądek. Coś... było nie tak. Właściwie wiedział, o co chodziło, ale wyjaśnienie było zbyt groteskowe, aby mógł się do niego przyznać. Gdy przelotnie musnął wzrokiem pękniętą kłódkę, zaniepokojenie wzrosło - nikt jej nie wyłamał, ale dosłownie zmiądzzył. Ciężkie, żelazne ucho kłódki było wygięte niczym cienka blacha puszkii po konserwie.

Otworzył szerzej drzwi, ale zawrócił jeszcze po lampę. Cienie zachwiały się niespokojnie, gdy ją unióś. fPrzez ułamek sekundy miał wrażenie, że coś snuje się w powietrzu, jakby bezcielesne stworzenia usiłowały przekroczyć cienką granicę między światłem a ciemnością. Poczul dziwny, mdły posmak w ustach. Nie powinien był tu przychodzić. Cały ten szalony pomysł dawno przekroczył granice studenckiego żartu. Mogens mimo wszystko nie był jeszcze gotów uwierzyć w siły nadprzyrodzone czy choćby w to, że na zewnątrz naprawdę widział stworzenie, które przypominało nieco człowieka, ale nim nie było.

Jednak z każdą sekundą coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, po jak kruchym lodzie stapał. W końcu nie miało to znaczenia, czy zostanie pożarty przez wilkołaka, czy też nabawi się ciężkiej nerwicy. Postanowił zabrać Janice i jak najszybciej się stąd ulotnić.

Biegiem pokonał schody. Przemierzywszy kilkanaście stopni znalazł się w niskiej piwnicy o wypukłym sklepieniu, pośrodku której stał olbrzymi kamienny sarkofag. Jego ciemnoszara bryła

oddzielała Mogensa od Janice. Dziewczyna stała wyprostowana, trzymając w prawej dłoni wypaloną do połowy świecę. Drugą uniosła lekko, by ochronić oczy przed jaskrawym światłem lampy naftowej wniesionej przez VanAndta.

- Mogensie, chodź zobacz! - krzyknęła podekscytowana. - Podejdź tu!

i \$>■ i 'A. i »Cvi:

U'. 7R';

Nie ruszył się z miejsca, tylko uniosł wyżej lampę. To, czego doświadczył już na górze, zdawało się teraz powtarzać. Przez chwilę miał wrażenie, że przed światłem uciekały w rozproszeniu bezcielesne istoty, a lodowate tchnienie przeniknęło go na wskroś. Jakby przywłókł ze sobą z góry coś, co teraz tu na dole zastygło w cieniach. Mogens ode-gnał tę myśl, stał się jednak czujniejszy.

- Co ty tu robisz? - spytał szorstko. Janice jednak zdawała się nie zauważyć nieprzyjemnego tonu jego głosu. Postawiła świeczkę na brzegu kamiennego sarkofagu, a drugą ręką wymachiwała podekscytowana, przywołując go do siebie.

- Chodź, musisz to zobaczyć - powiedziała. - Coś niesamowitego! Nigdy bym nie przypuszczała, że jest tu coś takiego!

- Sarkofag? - spytał Mogens. - Cóż w tym takiego dziwnego, że sarkofag znajduje się w mauzoleum?

- Nie sarkofag, głuptasie - zbesztła go Janice. - To tutaj!

Mogens niechętnie uniosł lampę jeszcze trochę wyżej i obszedł sarkofag, by zbliżyć się do Janice. W pierwszej chwili nie zauważył nic szczególnego, potem jednak spostrzegł, że wąska wnęka, przed którą stała dziewczyna, nie była wcale wnęką. Tam, gdzie spodziewał się zobaczyć wiekowy mur lub masywny kamień, majaczył początek ciasnego, schodzącego lekko w dół tunelu. Jego ściany nie były nawet murowane, lecz z ziemi i gliny.

Przez chwilę ciekawość naukowca znów wzięła górę nad irracjonalnym strachem, który go ogarniał. W milczeniu przeszedł koło Janice i wyciągnął lampę, by oświetlić tunel. Krąg światła rozjaśniał podziemny korytarz tylko na kilka kroków w głąb, dalej panowała smolista ciemność. Mogens i to wrażenie przypisał zdenerwowaniu, nie mógł jednak opanować ponownego dreszczu. Tunel nie był specjalnie wysoki - miał może pięć stóp i to nie we wszystkich miejscach - i tylko na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie, jakby miał regularne kształty. Ściany i podłoga nie wyglądały na wydrążone narzędziami. Raczej jakby rozorano i wydarto ziemię w tym miejscu. Gdyby nie świadomość, że było to niemożliwe, przysięgłby, że tu i ówdzie można się było dopatrzeć śladów ogromnych pazurów.

- Co to jest, Mogensie? - wyszeptła Janice trwożnym tonem.

- Nie wiem - odpowiedział. Prawda była taka, że wcale nie chciał wiedzieć. Coś czyhało w tej smolistej ciemności na końcu korytarza, coś niewyobrażalnie obcego i złego, co wpatrywało się w Janice i w niego chciwymi oczyma. Czuł, że to coś powoli, ale nieubłaganie sunie w ich kierunku.

- Chodźmy stąd - powiedział. - Proszę! Janice odwróciła głowę i spojrzała na niego z irytacją.

- Ale... nie interesuje cię to? Nikt nie wie o tym korytarzu! Może biegnie on pod całym cmentarzem albo...

- Tak, być może - przerwał jej Mogens. Nie silił się już nawet na bycie miłym. Ręka, w której trzymał latarnię, drżała tak mocno, że światło padające na wejście do tunelu rozkołysało się. Cienie znów zaczęły odstawiać groteskowy taniec. - Chodź!

Janice była zupełnie zdezorientowana, ale w jej wzburzenie zaczął się wkradać strach.

Automatycznie zrobiła krok w tył, potem jednak znów zajrzała do tunelu. Cienie zaczęły kołysać się gwałtowniej, skakały z prawa na lewo, tam i z powrotem, jakby coś chciało się wyrwać z ciemności i pokonać ochronną barierę, jakiej używało im światło. Mogens próbował sobie wmówić, że było to tylko coraz silniejsze drżenie jego ręki, ale wiedział, że to nieprawda. Coś tam czyhało, jakaś bezimienna istota, której imienia wcale i o nie był ciekaw.

r

za.

I

CL? »

S' f ') 4

MMŁ£

-

M

—
Potem zrobił coś, czego do końca życia miał sobie nie wybaczyć - odwrócił się gwałtownie, prześliznął między Janice a kamiennym sarkofagiem i w kilku susach dopadł schodów. Dziewczyna wciągnęła powietrze przez zęby i odwróciła się profilem w jego stronę, jednak wyraźnie nie miała zamiaru podążyć za Mogensem. Nie widział wyrazu jej twarzy, bo Janice zanurzyła się w ciemność. Cienie świecy płasły po jej twarzy niczym małe, ruchliwe chochliki. Coś zbliżało się do niej z ciemności tunelu.

- Mogens? Janice? - Zardzewiałe żelazo zgrzytnęło, a VanAndt zdążył jeszcze zdusić przerażony krzyk. Ponad nim rozległy się kroki, po stopniach zaczął skakać nieregularny krąg żółtego światła lampy. - Jesteście tam na dole? Nie żeby mnie to interesowało, ale co wy tam robicie, gołąbeczki? - Graves zaśmiał się złośliwie. Rozmyty zarys podążający za blaskiem lampy przybierał stopniowo ludzkie kształty. - Schodzę na dół. Skończcie to, czym jesteście zajęci, i ubierzcie się.

Mogens odetchnął z ulgą, jednocześnie odwrócił się prędko w stronę dziewczyny.

- Stój, Jonathanie!... Janice!

Ostatnie słowo wykrzyknął, jednak ona nie zareagowała. Stała nieruchomo niczym sparalizowana i przyglądała mu się szeroko otwartymi oczyma. VanAndt słyszał szuranie kroków Gravesa na schodach. Blask jego latarni zaczął mieszać się z poświatą lampy Mogensa, Jonathan mruczał też coś drwiącym tonem.

- Janice - powiedział błagalnie Mogens. - Proszę.

- Ale, Mogensie... co...? - urwała, wstrzymując oddech ze strachu i zasłoniła ręką usta, gdy rozległ się budzący grozę szurający dźwięk. VanAndt mylił się, dźwięk nie dobiegał z tunelu. Szuranie dochodziło z sarkofagu!

Świeczka, którą Janice zostawiła na jego brzegu, zaczęła drzeć. Światło migotało teraz gwałtowniej i coraz więcej

r> •

drobnych chochlików przemykało po twarzy Janice. Znow rozległo się szuranie, tym razem głośniejsze i cięższe, po czym przeszło w zgrzytliwe tarcie kamienia o kamień. Świeca zaczęła drzeć jeszcze intensywniej, przechyliła się na bok, w końcu spadła. Na ułamek sekundy postać dziewczyny pograżyła się w mroku, dopóki Mogens nie podniósł znow lampy i nie rozerwał dławiącego uścisku ciemności. Janice odeszła dwa kroki od sarkofagu. W jasnym, tańczącym świetle lampy naftowej jej twarz była trupio blada, a rozszerzone ze strachu źrenice przypominały dwa węgielki.

- A cóż tu się dzieje? - Graves przystanął na ostatnim stopniu schodów i podniósł rękę, tak że blask jego latarni zlał się ze światłem lampy Mogensa. Szuranie było coraz głośniejsze, a wieko sarkofagu zadrzętało! Jonathan głośno sapnął ze strachu, a Janice krzyknęła i także drugą dłonią zasłoniła usta. Najpierw pojawiła się cieniuteńka rysa, która z każdą chwilą rosła. W szparze zobaczyli trójpalczastą rękę oblepioną zeschniętym błotem, która mocno chwyciła się brzegu kamiennego sarkofagu i zaczęła poszerzać szczelinę.

Janice pisnęła. Graves wydał z siebie jeszcze głośniejsze sapnięcie. Szpara stawała się coraz szersza. Mogens poczuł przeszywający go dreszcz, gdy wyraźniej zobaczył rękę. Nie była to ludzka dłoń, lecz olbrzymia, pokryta sierścią łapa wielkości łopaty uzbrojona w straszliwe pazury. Następnie wynurzyło się muskularne, długie ramię. Cisnęło ciężkie wieko sarkofagu na bok z taką mocą, że uderzywszy w ścianę, roztrzaskało się na drobne kawałeczki.

To był senny koszmar, tyle że na jawie.

Mogens nie wiedział, czy to on, ktoś w każdym razie krzyknął, światło zaczęło płasnąć w obłąkanym tańcu, w którym ruchy tego... czegoś stały się pasmem błyskawicznie po sobie następujących obrazów oblędu. VanAndt zobaczył obrzydliwą, pokrytą sierścią, zdeformowaną postać

tylko nieco większą od człowieka, lecz o wiele masywniej-szą. Klatkę piersiową stworzył miał nieforemną, beczkowatą, od tułowia odchodziły długie, podobne do biczów ramiona oraz muskularne nogi, których stawy kolanowe wydawały się wygięte pod niewłaściwym kątem. Straszliwe pazury wyzierały z sierści na rękach i stopach. Najgorsza była jednak czaszka. O ile od stóp po szyję stworzenie rzeczywiście bardzo przypominało postać ludzką, o tyle to, co znajdowało się powyżej, było istnym koszmarem - groteskowa głowa trochę podobna do psiej, jednak szersza. Miała duże, szpiczaste uszy, z których wyrastały nastroszone kosmyki futra. Pysk był zbyt długi, jednak pod szerokim psim nosem prosty niczym ucięty brzytwą, a za ohydny, błyszczącymi różowym mięsem wargami połyskiwały tuziny krzywych, ostrych jak sztylety zębów zdolnych bez wysiłku odgryźć człowiekowi ramię. Jakkolwiek jednak koszmarna była głowa, istniało jeszcze coś gorszego.

Oczy! To groteskowe stworzenie wcale nie miało zwierzęcych oczu ani też czerwono żarzących się ślepi demona, lecz takie, które Mogens uznałby za ludzkie, gdyby nie bijąca z nich bezgraniczna złość i żądza.

To wszystko VanAndt zobaczył w ciągu jednej trwającej wieczność sekundy. Światło nadal tańczyło. Potwór wydał z siebie rzeżący charkot, nim rzucił się na Janice.

Mogens cisnął w niego latarnią. Lampa naftowa przeokołowała dwa razy w powietrzu, trafiła stworza dokładnie między łopatki i rozsypała się z brzękiem. Płonąca nafta oblała plecy i ramiona stworzenia, podpaliła mu sierść, ale kilka ognistych kropeł padło również na włosy i sukienkę Janice, a jej krzyki stały się jeszcze bardziej przeraźliwe. Mogens w rozpaczy przeskoczył przez otwarty sarkofag i skoczył z pięściami na plecy bestii.

Zupełnie jakby uderzył w kamień. Mięśnie ukryte pod utyłanym w błocie futrem były twarde niczym głaz.

i 05

,f.a A

xi o

Mogens wrzasnął z bólu, gdy płonąca nafta przypaliła mu dłonie. Potwór odwrócił się, wściekle warcząc, zamarł na chwilę, po czym zamachnął się na VanAndta. Ten spróbował uniknąć ciosu i równocześnie odwzajemnić uderzenie, ale na unik było za późno, a cios, jak się okazało, nie przyniósł żadnych efektów. Zamachnął się wprawdzie pięścią i trafił w pysk potwora, poczuł jednak tylko, jak skóra pęka mu na kłykciach, zupełnie jakby wałnął w cegłę. W tym samym momencie dosięgło go ramię poczwary.

Cios był tak mocny, że Mogensa ścięło z nóg i poleciał do tyłu. Przeraźliwy krzyk przekształcił się w przyduszo-ne rzeżenie, gdy powietrze uleciało mu z płuc, a on sam poczuł, jak pękają mu żebra. Bezradnie wymachując rękoma, wpadł wprost do otwartego sarkofagu. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był płonący potwór, który, rycząc z wściekłości i bólu, ponownie zwrócił się w stronę Janice, by chwycić ją w objęcia i powlec za sobą do tunelu. Mogens uderzył głową o kamienną krawędź sarkofagu i stracił przytomność.

A

cknąłem się dopiero następnego ranka - zakończył swoją relację wyczerpany Mogens. Przez ostatnie minuty głos jego cichł coraz bardziej, a ostatnie słowa wypowiedział już prawie szeptem. Bolało go gardło i chociaż Tom zdjął z niego mokre ubrania i owinał go od razu w trzy ciepłe wełniane koce, nadal cały trzął się z zimna. - To było dziewięć lat temu, ale nigdy nie zapomniałem widoku tego straszliwego stworzenia. A tej nocy znów je zobaczyłem.

Chłopak nalał kolejny kubek kawy, trzeci już, jeśli ■f Mogens dobrze policzył, albo może czwarty, i podał go

profesorowi, usiadłszy na brzegu łóżka. VanAndt złapał obydwoma rękami blaszany kubek i pociągnął duży łyk, lecz wcale nie poczuł ciepła. Coś w nim zdawało się kostnieć, ostatecznie i nieodwołalnie.

- Na cmentarzu - domyślił się Tom.

Mogens skinął głową. Wypił kolejny łyk. Kawa była tak gorąca, że prawie sparzył sobie język, ale uczucie narastającego chłodu tylko się spotęgowało.

- Tak - odpowiedział. - Przez wszystkie te lata próbowałem sobie wmówić, że była to jedynie koszmarna halucynacja. Szok z powodu śmierci Janice albo może wywołany uderzeniem w głowę. Takie rzeczy się zdarzają, wiesz? Ludzie tracą pamięć albo wydaje im się, że pamiętają zdarzenia, których nigdy nie przeżyli.

- Słyszałem, że to się zdarza - potaknął chłopak.

- Ale wczoraj w nocy widziałem to stworzenie! - Głos Mogensa stał się przenikliwy. - Stałem naprzeciw niego, Tom, oko w oko! I przysięgam ci, to była ta sama istota, którą widziałem wtedy na cmentarzu i którą wziąłem za Gravesa, i która... Janice... - Nie był w stanie wykrztusić już ani słowa, ale Tom i tak go zrozumiał. Nic nie powiedział, lecz w jego oczach pojawiło się szczere współczucie.

- Co było potem? - spytał po chwili. - Wtedy, w Harvardzie. Czy pańska dziewczyna została odnaleziona?

- Nie - odparł Mogens. Znow pociągnął mały łyk, tym razem ostrożniej, i przełknął z trudem.

- Tak samo jak Marc i Ellen. Gdy się obudziłem, powiedziano mi, że tunel, do którego to... coś zaciągnęło Janice, zawalił się. Ja sam nigdy już nie poszedłem do mauzoleum, ale słyszałem, że kopali nawet kilka jardów dalej. W końcu musieli przerwać prace, bo tunel groził całkowitym zawaleniem i było to po prostu zbyt niebezpieczne. Nie znaleźli żadnego śladu. Ani po Janice, ani po pozostałej dwójce.

- A pan? - zapytał Tom ze współczuciem.

W

- A jak myślisz? - Mogens uśmiechnął się gorzko. - Dla policji przypadek był jednoznaczny. Rozwalony zamek i otwarty sarkofag. Dwoje młodych ludzi, którzy spotykają się nocą na cmentarzu, a w dodatku jedno z nich ma szczególne upodobanie do wszystkiego, co podejrzane i tajemnicze... - Wzruszył ramionami i westchnął cicho. - I do tego ta nieszczęsna maska kauczukowa, którą znaleziono w kieszeni mojej kurtki. Nie, Tom, dla funkcjonariusza policji prowadzącego śledztwo sprawa była wyjaśniona, zanim jeszcze odzyskałem przytomność.

- I nikomu nie opowiedział pan o tym... stworzeniu? Mogens westchnął głośnie.

- To był mój największy błąd, Tom. Owszem, opowiedziałem, ale to tylko pogorszyło sprawę. Nikt mi nie uwierzył. Ani policja, ani moi koledzy i profesorowie, ani nawet ci, których uważałem za swoich... przyjaciół. - Wydał cichy, przepełniony goryczą dźwięk. Nie wiedział sam, czy był to śmiech, czy raczej szloch. - Większość uważała moje słowa za głupią wymówkę. Niektórzy uznali, że postradałem zmysły. Nikt mi nie uwierzył. Myślę, że na ich miejscu też bym nie uwierzył.

- Ale Graves!... - wyrwało się Tomowi. - To znaczy... doktor! On przecież musiał widzieć to monstrum?

- Też tak myślałem - powiedział Mogens cicho - ale najwyraźniej się myliłem.

Chłopak spojrział na niego z powątpiewaniem. Profesor widział wyraźnie, że trudno mu uwierzyć w ostatnie słowa. Bo niby dlaczego miałby w nie uwierzyć? Przecież to było kłamstwo. Graves przecież zaprzeczył, jakoby w ogóle był tej nocy na cmentarzu. Natomiast szczegółowo opowiedział policji o obsesji VanAndta na punkcie okultyzmu i spraw nadprzyrodzonych, przez co Mogens spędził cztery miesiące w więziennej celi. Fakt, że nie został pozbawiony wszyst-i oś kich tytułów akademickich i nie zasiadł ponownie na ławie oskarżonych, zawdzięczał tylko interwencji uniwersytetu, który chciał uniknąć skandalu. Tydzień później to Graves jechał pociągiem do Nowego Orleanu, by objąć stanowisko czekające na Mogensa i by wprowadzić się do mieszkania, które czekało na niego i Janice. Później VanAndt przekonał się na własnej skórze, że czarne listy nie tylko istnieją, ale też najwyraźniej należą do najbardziej poczytnych pism w kraju.

To jednak zatrzymał dla siebie. Zdradził Tomowi już i tak o wiele więcej, niż komukolwiek innemu. Tak naprawdę od czasu, gdy opuścił Harvard, z nikim nie rozmawiał na temat wydarzeń tamtej strasznej nocy.

Spojrzenie chłopaka uzmysłowiło mu jednak, że odgadł większość myśli, których Mogens nie ubrał w słowa - nawet jeśli nie ze wszystkimi szczegółami, to przynajmniej ogólny sens. Mogens od początku nie robił tajemnicy z faktu, że Graves i on nie byli przyjaciółmi. Miał wrażenie, że Tom

chce coś na ten temat powiedzieć, jednak w tym samym momencie z zewnątrz dobiegły ich donośne głosy. Chłopak wstał, marszcząc czoło, podszedł do drzwi i otworzył je, by zobaczyć, co się dzieje. Również Mogens próbował rzucić okiem na zewnątrz, ale Tom zasłaniał mu widok własnym ciałem. ,

- Zaraz wracam, profesorze - powiedział, nim szybkim krokiem wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Mogens zdążył tylko dostrzec majaczący na horyzoncie szary świt, jednak przynajmniej przez chwilę wyraźniej słyszał rozmowę. Nie tylko rozpoznał głos Gravesa, ale i wyczuł w nim zdenerwowanie. Na dworze najwyraźniej toczyła się ostra kłótnia. Profesora zbytnio to nie zaskoczyło, nie potrafił sobie wyobrazić, by ktokolwiek prędzej czy później nie popadł w konflikt z Jonathanem Gravesem.

Jego myśli były jednak zaprzątnięte Tomem i zdarzeniami minionego wieczoru. Nie mógł sobie przypomnieć, co

się stało na cmentarzu ani w jaki sposób wrócił do swojej kwatery. Chłopak powiedział, że odszukał go i przyniósł tutaj. Mogens nie miał żadnych powodów, by wątpić w prawdziwość tych słów, choć trudno mu było wyobrazić sobie, że ten drobny chłopak sam przeniósł go przez mierzący ponad pięć stóp mur cmentarza, a następnie przytaszczył aż tutaj. Z drugiej strony dlaczego miałyby kłamać? Zresztą profesor rzadko spotykał ludzi, którzy by od razu wzbudzili w nim takie zaufanie, jak ten delikatny chłopak o niemal dziewczęcej urodzie. Powierzenie mu swojej tajemnicy nawet go nie skrępowało. Jako człowiek wykształcony zdawał sobie oczywiście sprawę, że znajdował się w szczególnej sytuacji - musiał z kimś porozmawiać, by złagodzić strach. Zwierzyłby się prawdopodobnie każdemu, kogo po przebudzeniu zobaczyłby przy swoim łóżku, nawet jeśli byłaby to panna Preussler.

Wcześniej jednak - okryty hańbą i wygnany z Harvar-du - nikomu nie opowiedział tej historii.

Jeszcze poprzedniego dnia przysięgłby, że zabierze tę tajemnicę do grobu. A mimo to czuł się lżej, choć w przypadku każdej innej osoby żałowałby swoich wyznań i najprawdopodobniej niezwłocznie by wyjechał. Lecz jeśli chodziło o Toma - czuł to - tajemnica jego spoczywała w dobrych rękach. Minionej nocy chłopak prawdopodobnie uratował mu życie. Gdyby nie pojawił się w porę... Mogensowi przeszły ciarki po plecach na samą myśl, że byłby tam sam, bezbronny, zdany na łaskę i niełaskę strasznej bestii z głową psa.

Gdyby mógł sobie chociaż przypomnieć, co nastąpiło, gdy odwrócił się i stanął nagle twarzą w twarz z koszmarem z przeszłości! Miał pustkę w głowie. Jego wspomnienia urywały się na widoku tej straszliwej, wilczej twarzy, a następnym obrazem, jaki pamiętał, był Tom siedzący na taborecie koło jego łóżka i cierpliwie czekający, aż profesor otworzy oczy.

Ali.,

\rf

m •fi;

MM

mEn

Drzwi otworzyły się i chłopak wszedł z powrotem do środka. Mogens przypomniał sobie o głośniejszej kłótni.

- Co się tam działo? - spytał. Gdy Tom odpowiedział tylko wzruszeniem ramion, dodał: - Mam nadzieję, że nie masz przeze mnie kłopotów z Gravesem?

- Nie - odpowiedział chłopak. - To jeden z kretów.

W pierwszym momencie Mogens patrzył na niego bez zrozumienia, ale potem przypomniała mu się wczorajsza rozmowa w samochodzie.

- Jeden z geologów?

- Stale włączą się wokół obozu i po cmentarzu - potwierdził Tom. - Doktor Graves bardzo się o to gniewa. Raz groził nawet, że następnym razem, gdy przyłapie kogoś przy wykopalisku, to go zastrzeli. - Wzruszył ramionami. - Wprawdzie nie sądzę, żeby rzeczywiście to zrobił, ale brzmiało to przekonująco.

Przynajmniej w tym punkcie Mogens zgadzał się z Tomem. Nie przypuszczał, by pogroźki Gravesa

w stosunku do geologów były wypowiedziane na poważnie. Jonathan uciekał się do bardziej wyrafinowanych środków w osiągnięciu swych celów.

- Dolac'panu jeszcze kawy, profesorze? - spytał chłopak. VanAndt podał mu wprawdzie pusty kubek, ale równocześnie potrząsnął przecząco głową i ruchem ręki dał do zrozumienia, by odstawił naczynie na stół. - Chyba nie podziękowałem ci jeszcze, Tom - powiedział. - Bez twojej pomocy już bym nie żył.

- Bzdura! - zaprzeczył impulsywnie chłopak, na jego twarzy na chwilę zagościł strach, a potem pełen zakłopotania uśmiech. - To znaczy... skąd panu to przyszło do głowy?

- Przecież gdyby mnie ten potwór...

- Ale tam nie było żadnego potwora, profesorze! - Tom wszedł mu w słowo.

tfm.

■ i r, ill

il

no

£

- Co to znaczy, że nie było żadnego potwora? Przecież go widziałem!

Chłopak nie odpowiedział od razu, a gdy w końcu się na to zdobył, mówił przyciszonym, zmienionym głosem, nie patrząc Mogensowi w twarz.

- Obawiam się, że to ja muszę pana przeprosić, profesorze. Wczoraj wieczorem nie widział pan potwora, lecz mnie.

- Ciebie? - VanAndt zaprzeczył gwałtownie potrząsnieniem głowy. - Na pewno nie, Tom. Wiem, co widziałem. Chciałem zapalić światło, ale nie działało i wówczas przypomniałem sobie, jak powiedziałaś, że bym cię zawołał, jeśli będę czegoś potrzebował. Wszedłem więc na zewnątrz, by cię odszukać. Usłyszałem kroki i zobaczyłem cię; ktoś snuł się po obozie.

- Wyłączamy generator, jak tylko ostatnia osoba opuści świątynię - oznajmił Tom. - Zużywa mnóstwo paliwa, a paliwo musi być sprowadzane specjalnie z San Francisco. - Wzruszył ramionami. - Powiniennem był to panu powiedzieć, proszę mi wybaczyć.

Jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie!

- Widziałem kogoś - upierał się Mogens. - Poszedłem za nim. Przemknął przez obóz i skierował się w stronę starego cmentarza!

- To byłem ja - powtórzył Tom.

Mogens wpatrywał się w niego.

-Ty?!

- Każdego wieczoru robię obchód obozu - potwierdził chłopak. - Niekiedy nawet jeszcze raz dodatkowo w nocy. Czasem kręcą się tu ciekawscy. Dzieci z miasteczka albo Indianie, którzy kradną wszystko, co nie jest przytwierdzone nitami lub gwoździami, by później wymienić na wódkę. I jeszcze inni ludzie... o nie tak niewinnych zamiarach. Od czasu do czasu idę również na stary cmentarz

- Co to znaczy, że nie było żadnego potwora? Przecież go widziałem!

Chłopak nie odpowiedział od razu, a gdy w końcu się na to zdobył, mówił przyciszonym, zmienionym głosem, nie patrząc Mogensowi w twarz.

- Obawiam się, że to ja muszę pana przeprosić, profesorze. Wczoraj wieczorem nie widział pan potwora, lecz mnie.

- Ciebie? - VanAndt zaprzeczył gwałtownie potrząsnieniem głowy. - Na pewno nie, Tom. Wiem, co widziałem. Chciałem zapalić światło, ale nie działało i wówczas przypomniałem sobie, jak powiedziałaś, że bym cię zawołał, jeśli będę czegoś potrzebował. Wszedłem więc na zewnątrz, by cię odszukać. Usłyszałem kroki i zobaczyłem cię; ktoś snuł się po obozie.

- Wyłączamy generator, jak tylko ostatnia osoba opuści świątynię - oznajmił Tom. - Zużywa mnóstwo paliwa, a paliwo musi być sprowadzane specjalnie z San Francisco. - Wzruszył ramionami. - Powiniennem był to panu powiedzieć, proszę mi wybaczyć.

Jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie!

- Widziałem kogoś - upierał się Mogens. - Poszedłem za nim. Przemknął przez obóz i skierował się w stronę starego cmentarza!
 - To byłem ja - powtórzył Tom. Mogens wpatrywał się w niego. -Ty?!
 - Każdego wieczoru robię obchód obozu - potwierdził chłopak. - Niekiedy nawet jeszcze raz dodatkowo w nocy. Czasem kręcą się tu ciekawscy. Dzieci z miasteczka albo Indianie, którzy kradną wszystko, co nie jest przytwierdzone nitami lub gwoździami, by później wymienić na wódkę. I jeszcze inni ludzie... o nie tak niewinnych zamiarach. Od czasu do czasu idę również na stary cmentarz.
- .JTi
fitfi

zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Wczoraj wieczorem również tam byłem. Cały czas miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi, więc schowałem się za nagrobkiem i czekałem. I gdy podszedł pan bliżej... - Na jego twarzy odmalowała się skrucha. Przymusił się, by spojrzeć Mogensowi w oczy. - Bardzo mi przykro, profesorze. Gdybym wiedział, że tak pana przestraszę, ujawniłbym się wcześniej.

- To śmieszne! - krzyknął VanAndt. Głos mu zadrżał. -Dlaczego to robisz, Tom? Żeby mnie uspokoić? Nie musisz. Wiem, co widziałem!
Ale czy rzeczywiście wiedział? A jeśli chłopak miał rację? Wówczas musiałby przyznać, że przestraszył się jak histeryczna stara panna i zemdlął w sposób równie niegodny racjonalnego naukowca.

- Wiem, co widziałem - obstawał jednak przy swoim. Nawet w jego własnych uszach słowa te nie zabrzmiały przekonująco, a tylko przekornie.

- Przeżył pan straszną historię - odparł Tom - prawie dziesięć lat temu. Doktor Graves nie jest pana przyjacielem i sam fakt, że zobaczył go pan ponownie, musiał w panu obudzić najgorsze wspomnienia. Na to nałożyły się jeszcze te wszystkie dziwy, które znajdują się tam na dole, w świątyni, i od których zwykłemu człowiekowi śnią się po nocach koszmary.

- Za kogo ty się właściwie masz? - spytał Mogens rozgniewany. - Za psychiatrę?

- Usłyszał pan kroki i zaczął się za mną skradać. W dodatku na cmentarzu - ciągnął Tom niewzruszenie - i nagle wszystkie wspomnienia ożyły. Nie dziwię się, to miejsce nawet u mnie wywołuje niekiedy dreszcze. - Westchnął i pokręcił głową. - Jak ostatni głupek wynurzyłem się nagle przed panem, wówczas musiał pan zobaczyć to... coś. Ja tam nie wiem, ale to chyba normalne.

Mogens wpatrywał się w chłopaka szeroko otwartymi oczyma. Nie potrafił powiedzieć, co bardziej go zszokowało - żelazna logika jego wypowiedzi, czy łatwość, z jaką Tom zdiagnozował i przeanalizował sytuację. Niewykształcony sierota ze wsi, co nawet nie wiedział, ile ma lat? Śmieszne! Kim, do diabła, był ten chłopak?

- Pochlebia mi pan, profesorze - odparł Tom, gdy VanAndt zapytał go o to. - Ale tym razem myli się pan. Nie jestem specjalnie mądry. Ale chyba znam się na ludziach i mam dużo czasu na myślenie.

- I uwielbiasz prowadzić gierki - dodał Mogens ponuro. Co jednak dziwne, nie potrafił być zły na tego chłopaka. Nawet teraz. A może tylko bardzo chciał, aby racja była po stronie Toma.

- Nie! - odpowiedział ten ze śmiechem. VanAndt nie potrafiłby nazwać tej przemiany, ale Tom w jednej chwili znów stał się nieśmiałym, zwykłym chłopakiem, którego znacznie więcej lat dzieliło od bycia mężczyzną niż dzieckiem i który patrzył na świat swymi dużymi, ufnymi oczyma.
- Ja tylko martwię się o pana, profesorze. Wiem, nie mam do tego prawa, ale... - Przez chwilę daremnie szukał odpowiednich słów, w końcu poratował się wzruszeniem ramion. - Pan jest inny niż doktor Graves i pozostali.

- Inny?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Jonathan. Twarz miał purpurową ze złości. Zatrzasnął za sobą drzwi z takim impetem, że Tom wzdrygnął się przestraszony i aż podskoczył na krześle.

- Przekłete błotne gryzonie! - wykrzykiwał doktor. - Nawet nie... - Zatrzymał się w pół zdania i w pół kroku. Powiódł szybko oczyma z prawa na lewo i z powrotem. Dla Mogensa stało się jasne, że jednym spojrzeniem ogarnął nie tylko cały pokój, ale i sytuację. Na koniec wzrok jego spoczął na oblepionych błotem butach VanAndta oraz brudnych ubraniach, które piętrzyły się w nieładzie na podłodze przy łóżku.

- Mogensie, czy opuszczasz obóz? - spytał. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się nagle do Toma. Złość w jego oczach właściwie nie wzrosła, ale nabrała innego zabarwienia.

- Tom! - warknął. - Poleciałem ci poinformować profesora, że nikomu bez mojej wyraźnej zgody nie wolno opuszczać obozu!

- Poinformował mnie o tym - powiedział VanAndt szybko, zanim chłopak zaczął się bronić. Graves ściągnął brwi w zadumie. Tom patrzył na niego zakłopotany, co doktorowi bynajmniej nie umknęło.

- To nie jego wina - ciągnął Mogens pewnym, donośniejszym głosem. - Już podczas jazdy samochodem powiadomił mnie o twoim życzeniu. - Profesor wyprostował się i oparł pokusie, by mocniej naciągnąć koc na ramiona, gdy kolejny zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Zdawało się, że wraz z Gravesem do pokoju wpadła fala lodowatego powietrza. W każdym razie spojrzenie, którym mierzył go doktor, mogłoby zamrozić wodę w szklance.

- Najwyraźniej niewystarczająco dobitnie - powiedział w końcu Graves tonem niepozostawiającym wątpliwości, że nie dawał wiary jego słowom.

- Przeciwnie, Tom wyraził się wystarczająco jasno - odrzekł chłodno Mogens. - Wciąż tylko nie wiem, w jakim charakterze tu właściwie jestem, Jonathanie. Jako współpracownik czy może więzień?

Graves zmarszczył czoło jeszcze bardziej. Nic nie powiedział.

- A więc? - Mogens wstał i wyzywająco spojrzał mu w oczy. - Kim dokładnie jestem? Usta Jonathana ułożyły się w wąską, prawie bezkrwi-stą linię. Energicznym ruchem głowy wskazał na stertę

.' n , j 'j

brudnych ubrań pod swoimi nogami, ani na chwilę nie spuszczał Mogensa z oczu.

- Co się stało?

- Trochę się ubrudziłem - odpowiedział VanAndt. - Gdyby nie Tom, cała ta historia mogła się źle skończyć. Powinieneś być mu wdzięczny, zamiast robić wymówki.

- To powinno ci uświadomić, że mój nakaz nie jest pozbawiony sensu - odparował Graves. - Tutejsza okolica nie jest bezpieczna, przede wszystkim dla kogoś, kto nie zna terenu. Niejeden już zniknął na tych bagnach. - Wzruszył ramionami, jakby uznał, że już wszystko zostało powiedziane, po czym zwrócił się bezpośrednio do Toma: - Nie masz nic do roboty?

Chłopak natychmiast zniknął, zdążył jednak rzucić Mogensowi na odchodnym krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie, które znów nie umknęło Gravesowi.

- Dlaczego go chronisz? - spytał doktor, gdy tylko zostali sami. Ponieważ Mogens nie odpowiadał, znów wzruszył ramionami i westchnąwszy cicho, ciągnął dalej: - Polubiłeś tego chłopaka, co mogę zrozumieć. Wszyscy go lubią. To mądry dzieciak i do tego bardzo miły. Ale potrzebuje silnej ręki. Poza tym nie podoba mi się, gdy ktoś brata się z pracownikami. - Uniósł rękę obleczoną rękawiczką, nie dopuszczając Mogensa do głosu. - Najpóźniej za godzinę zrozumiesz, dlaczego nalegam na przestrzeganie przepisów bezpieczeństwa. - Rozejrzał się po pokoju, jakby czegoś szukając. - Masz jeszcze trochę kawy dla dawnego kolegi ze studiów?

VanAndt zignorował pojednawczy ton w głosie Gravesa, tak samo jak jego próbę wykrzesania uśmiechu na twarzy. Skończyło się zresztą na próbie. Twarz Jonathana Gravesa była z rodzaju tych, które nie są zdolne do uśmiechu.

- Jest na stole - powiedział Mogens, wskazując głową w tamtym kierunku. Zsunął z siebie pled, schylił się do walizki i otworzył ją, by wyjąć czyste ubrania.

- Nie zakładaj najlepszego stroju niedzielnego - doradził mu Graves, który gdzieś za jego plecami głośno pobrzękiwał dzbankiem i filiżankami. - Mamy przed sobą dość... trudną drogę. Profesor wychwycił krótkie zająknięcie w jego głosie, wiedział również, że miało ono służyć

wyłącznie sprowokowaniu go do zadania odpowiedniego pytania. Mimo to VanAndt nie zrobił mu tej przyjemności, lecz milczał uparcie. Posłuchał jednak rady i wybrał najgorsze ubrania, jakie posiadał w swojej i tak skromnej garderobie.

Wkładając koszulę, słyszał, jak Graves nalewa sobie kubek kawy i zasiada na krześle. Wciąż czekał na pytanie albo jakąkolwiek reakcję. Mogens może nawet wyświadczyłby mu tę uprzejmość, gdyby podczas krzątania nie rzucił kątem oka krótkiego, niezamierzonego spojrzenia na twarz doktora. Ucieleśniła się przed nim kolejna nieprzyjemna wizja - to, co przelotnie zobaczył w tej krótkiej chwili, nie było twarzą Gravesa, lecz koszmarną larwą tylko z pozoru podobną do ludzkiego oblicza. Z twarzy Jonathana wyłoniło się coś drapieżnego, dzikiego, co na co dzień kryło się za ludzkimi rysami, ale niekiedy przebijało przez zewnętrzną powłokę.

A może profesor zobaczył tylko swój własny obraz doktora Jonathana Gravesa, ukształtowany w ciągu minionych dziewięciu lat, esencję nienawiści, urażonej dumy i miazdzącej samokrytyki. Mogens wiedział o tym doskonale, wiedział też, że będąc tak uprzedzonym, wyrządza krzywdę tylko i wyłącznie sobie. Mroczna wizja jednak tak zbiła go z tropu, że ubierał się znacznie dłużej, niż to było konieczne. W końcu, pokonując śmieszny, dziecinny strach, z trudem przełknął ślinę, wyprostował się i odwrócił.

Graves siedział na krześle okrakiem. Sączyl kawe, równocześnie mierząc VanAndta zimnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

- Jeden cent za twoje myśli, Mogensie - powiedział.
- Lepiej nie - odparł profesor. - Chciałeś mi coś pokazać?

Graves wyglądał na lekko urażonego.

- Nie mieliśmy dobrego startu, prawda? - mruknął. - Inaczej to sobie wyobrażałem po tylu latach. Być może wszystko uprościłem. Mój błąd. Przykro mi.

- Tobie jest przykro? - Mogens podniósł lewą brew. - Trochę trudno mi w to uwierzyć.
- Daj mi szansę.

- Taką samą, jaką ty mi dałeś? - Profesor daremnie szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego właściwie wdaje się w tę dyskusję. Był zaskoczony, gdy usłyszał własny głos, który ciągnął: - Dlaczego nic wtedy nie powiedziałeś? Jedno słowo, Jonathanie, i...

- ...nic by to nie dało - wszedł mu w słowo Graves. - Mnie również by nie uwierzyli, tak jak i tobie. Obydwaj zostalibyśmy uznani za obłąkanych, to by była jedyna różnica, i prawdopodobnie obydwaj trafilibyśmy do więzienia.

- Jasne. Lepiej, że trafiłem tylko ja - westchnął ciężko Mogens.

Doktor pociągnął duży łyk kawy, bacznie obserwując Mogensa znad brzegu filiżanki. Potem powiedział bardzo spokojnie:

-Tak.

Gdyby wstał i bez ostrzeżenia uderzył Mogensa w twarz, szok nie byłby większy.

- Co proszę?! - wykrzyknął Mogens skrzeczącym głosem.
- Jesteś zdziwiony? - spytał Jonathan. - Ja na twoim miejscu też bym był.

Trwało to kilka sekund, nim Mogens zrozumiał prawdziwy sens wyznania.

- Czyli... czyli ty też to widziałeś? - Serce mu waliło. Bał się odpowiedzi Gravesa, panicznie się bał.

Doktor znów pociągnął łyk kawy, zanim odpowiedział. Jego obojętne oczy zimno mierzyły Mogensa przez tę przeciągającą się chwilę, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z katuszy, na które wystawiał profesora, i umyślnie zwlekał z odpowiedzią. Później wzruszył ramionami i powiedział cichym, zamyślonym głosem:

- Nie wiem, co widziałem. Coś widziałem, to prawda, ale nie wiem, co to było. A ty wiesz? Tak, jakby mógł zapomnieć ten moment! Nigdy - nawet jeśli dożyłby setki! Tamten obraz wyrył się w jego pamięci, pozostawiając ranę, która miała nigdy się nie zabiścić i która nie przestawała boleć - Janice ciągnięta przez potwora z płonącymi ramionami i głową, daremnie wołająca o pomoc, i to pożegnalne ostatnie spojrzenie, jakie rzuciła Mogensowi. Nie był to paniczny strach, którego się spodziewał. Z pewnością również i on ogarniał Janice, ale to, co wyczytał Mogens w jej oczach było rozpaczliwym żądaniem spełnienia obietnicy. Przysięczenia, którego jej

nigdy nie dał, które jednak złożył jej w duchu, a teraz nie mógł dotrzymać. Obietnica, że zawsze i wszędzie będzie dla niej

1 będzie ją chronił przed niebezpieczeństwem, nawet jeśli miałby za to zapłacić własnym życiem. Nie dotrzymał tej obietnicy i nie miało to żadnego znaczenia, dlaczego tego nie zrobił.

- Daj mi szansę, Mogensie - powtórzył Graves. - Proszę cię.

- Tobie?! - prychnął VanAndt.

- Ach, rozumiem! - Nagle głos doktora przybrał drwiącą, nieprzyjemną barwę, a w oczach pojawił się błysk. - Nie musisz nikomu dawać drugiej szansy, prawda? Bo niby dlaczego? Ty zostałeś zraniony. Ty doznałeś straty, to przede wszystkim tobie stała się krzywda. I dlatego uważasz, że przez resztę życia możesz sobie rościć prawo do wszystkich nieszczęść świata. - Przechylił się do przodu, a jego usta

przybrały wyraz, który Mogens w pierwszym momencie uznał za pogardliwy, zaraz potem zdał sobie jednak sprawę z pomyłki. - Uważasz, że jestem potworem, prawda? Wydaje ci się, że jedynie ty masz prawo do bólu i cierpienia? - parsknął. - Co ty sobie właściwie wyobrażasz, VanAndt?!

- Ja? - stęknął Mogens. To, co usłyszał, zupełnie zbiło go z tropu. Był gotowy dosłownie na wszystko, ale nie na to, że Jonathan przejdzie do ataku i zacznie jemu robić wyrzuty. To było... absurdalne.

- Tak, ty! - podchwycił Graves. Jego ręka zacisnęła się w nagłym, silnym uścisku na emaliowanym kubku, tak że miazdżony metal tylko jęknął. Kawa trysnęła i spłynęła po palcach doktora okrytych czarnymi rękawiczkami, czego on nawet nie zauważył. - Jak myślisz, jakie było dla mnie tych dziewięć ostatnich lat? Jak sądzisz, dlaczego jesteś tutaj?

Mogens patrzył na niego wstrząśnięty.

- Myślisz - ciągnął Jonathan - że zapomniałem tamtą noc? - Pokręcił energicznie głową. - Oczywiście że nie. Ani na jeden dzień przez te wszystkie lata. Ja też, tak jak ty, Mogensie, lubiłem Janice. Tyją być może kochałeś, ale była również moją przyjaciółką. Wiem, przez co przeszedłeś.

- Wątpię - wyszeptał VanAndt.

- Och, proszę mi wybaczyć, jeśli pana uraziłem, szanowny profesorze! - rozżłościł się Graves, znów uderzając w formalny ton. - W żadnym razie nie chciałem narazić na uszczerbek pańskiej sławy jako największego męczennika tego kontynentu. Wiem, przez co pan przeszedł. Ale panu przynajmniej pozostała jeszcze nienawiść do mnie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że...

- Wiem, że mnie nienawidzisz - przerwał mu Graves. - Sam siebie nienawidzę za to, co zrobiłem. Nie zwykłem jednak przeproszać za błędy, których nie da się cofnąć. I nadal twierdzę: nic by to nie zmieniło. Wręcz przeciwnie.

Obydwoj zostalibyśmy uznani za obłąkanych. - Zatoczył łuk ręką. - Prawdopodobnie nie odkryłbym tego wszystkiego. Nie byłoby mnie tutaj. Ciebie by tutaj nie było.

- No to dlaczego tu jestem? - spytał Mogens.

- Oczywiście dlatego, że jesteś dobry - odparł doktor. Uniósł do ust pocięty kubek z kawą i już miał się napić, gdy znieruchomiał zdumiony. Dobrą sekundę przyglądał się naczyniu, po czym lekko wzruszył ramionami i odstawił je na stół. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale uważam cię za najlepszego naukowca w twojej dziedzinie. Z tego właśnie powodu zaprosiłem cię tutaj. - Zawahał się na moment. - Oczywiście jest to też zadośćuczynienie.

- Zadośćuczynienie? Za co?

- Za to, za krzywdę, jaką ci wyrządziłem. - Graves władczy gestem powstrzymał Mogensa, gdy ten chciał zaoponować. - Zaoszczędź sobie zarzutów, że robię to tylko dla uspokojenia własnego sumienia. Jeśli chcesz w to wierzyć, trudno. Gdy świat dowie się o tym wszystkim tutaj - a dowie się, wierz mi - nikt się nie będzie troszczył o to, co zrobiłeś, a czego nie.

- Jak na to wpadłeś, że miałbym przyjmować jałmużnę od ciebie? - spytał cierpko Mogens.

Głos mu drżał, ale sam już nie wiedział, z jakiego powodu.

- Dlaczego nie poczekaasz, aż pokażę ci to, na co naprawdę natrafiliśmy? - spytał Jonathan.

- Na co... - Mogens urwał zdezorientowany. - Myślałem, że świątynia...?

- Tak, też tak myślałem - powiedział Graves. Wstał. - I na początku tak było. Nie zrozum mnie

źle, świątynia jest sensacyjnym odkryciem, być może największą archeologiczną sensacją tego stulecia. A jednak to jeszcze nie wszystko.

- Co to znaczy? - spytał profesor zmieszany. - Co odkryłeś?

Graves pokręcił głową, na jego twarzy pojawił się szeroki, drwiący uśmiech.

- O nie, nie w ten sposób - powiedział. - Zrób mi tę przysługę i pozwól mi jeszcze chwilę potrzymać cię w niepewności. Poza tym będzie dużo prośbiej, jeśli ci to pokażę. Chodźmy. Zbliżył się do drzwi, otworzył je i ponaglił zniecierpliwionym gestem Mogensa, który wahał się, czy pójść za nim. Światło słoneczne przeobraziło jego postać w czarny, jednowymiarowy zarys. VanAndta znów przeszył lodowaty dreszcz. Widok ten przypomniawszy mu obraz, który wcześniej zobaczył kątem oka. Był równie nierealny jak tamten i równie szybko zniknął.

Z wysiłkiem odpędził tamto wspomnienie i opuścił kwaterę, podążając za Gravesem.

o do lęku wysokości Mercer miał wczoraj rację. Mogens wprawdzie nadal nie czuł się komfortowo, schodząc po wąskiej drabinie, jednak nie ogarniała go już taka panika jak za pierwszym razem. Na pewno częściowo wynikało to z faktu, że nigdy nie okazałby nerwowości przy Gravesie, ale i duma nie mogła tłumaczyć wszystkiego.

Pewną rolę odgrywała również ciekawość. Po tym wszystkim, co między nimi zaszło, Mogens prawie wstydził się swoich uczuć, nie potrafił jednak ukryć, że był ciekaw, co Graves chciał mu pokazać. Jakże jeszcze cuda chował w zanadrzu?

Po drodze w dół i przez tunel pokryty malowidłami ściennymi i reliefami kilkakrotnie próbował wydobyć od 2o doktora choćby najdrobniejszą informację, za każdym

• jFłelig »ii

' w'i

w f

(tffi'j 'W

razem jednak zamiast odpowiedzi otrzymywał tylko tajemniczy uśmiech. Mimo że irytowało to Mogensa, równocześnie rozumiał doktora. Na jego miejscu postąpiłby zapewne podobnie. Ale cóż takiego mógł odkryć Graves, co usuwało w cień to wszystko?

VanAndt, chcąc nie chcąc, uzbroidł się w cierpliwość i brnął dalej przez słabo oświetlony tunel.

Wczoraj był zbyt oszołomiony tym, co zobaczył, by zwracać uwagę na szczegóły, teraz jednak tym dokładniej przyglądał się mijanym malowidłom i reliefom. Dostrzegł pewne różnice, gdy porównywał malunki ze sztuką egipską, którą znał. Nie był znawcą tej epoki, jednak podczas studiów zajmował się, rzecz jasna, również sztuką i kulturą starożytnego Egiptu. To, czego domyślał się już wczoraj, teraz zdawało się potwierdzać - te portrety i reliefy nie pasowały do żadnej konkretnej epoki. Ale jak podpowiadała Mogensowi dusza naukowca, to o niczym nie musiało świadczyć. Bez wątpienia znajdowali się w świątyni egipskiej, jednak nie w Egipcie. Królestwo faraonów upadło ponad dwa tysiące lat temu, ale ta budowla mogła być równie dobrze dużo starsza bądź też młodsza. Jak powiedział wczoraj Graves, starożytne państwo faraonów istniało wiele tysięcy lat - dla człowieka to czas niewyobrażalnie długi, w którym dosłownie wszystko mogło się wydarzyć.

Mogensowi zakręciło się w głowie, gdy wyobraził sobie, jakie trzęsienie ziemi w świecie nauki, i nie tylko, wywołałoby to odkrycie. Odezwały się w nim również wyrzuty sumienia. Jakkolwiek nadal był wściekły na Gravesa, to jednak wyobrażenia podsuwała myśl, której próżno starał się oprzeć - gdyby przeszedł do historii jako współautor wielkiego odkrycia, to mogłoby wiele zmienić.

- W jaki sposób znalazłeś to wszystko? - spytał tylko po to, by coś powiedzieć. Nie mógł dłużej znieść podążania za Jonathanem w milczeniu.

i

Wt

A

li • V S3

- Dokładniej rzecz biorąc, Tom to zrobił - odparł Graves, jednak dopiero gdy opuścili tunel i

znów weszli do komory grobowej. Rubinowe oczy obydwu posągów Horusa, stojących na prawo i lewo od wejścia, zdawały się patrzeć na nich z dezaprobatą. Przez głowę Mogensa przemknęła absurdalna myśl, że w tym świętym miejscu nie godzi się rozmawiać o takich banałach. - To jemu zawdzięczamy to wszystko.

- Tomowi?

- Tak, to on odkrył podziemia. Z pewnością też nie zdawał sobie sprawy, na co właściwie natrafił. - Graves ruchem głowy wskazał sufit. - Jesteśmy teraz prawie dokładnie pod południowym krańcem starego cmentarza. Tom otworzył jeden ze starych grobów i natrafił na pustą wnękę. Ponieważ wydało mu się to dziwne, przyszedł do mnie po radę.

- Dlaczego? - spytał Mogens wystraszony.

- Znamy się już od wielu lat - odpowiedział doktor. - Gdy bywałem w San Francisco, regularnie go odwiedzałem, a podczas mojej ostatniej wizyty...

- Nie o to mi chodzi! - przerwał mu niecierpliwie Mogens. - Powiedziałeś wcześniej, że Tom otworzył stary grób? Dlaczego to zrobił?

Jonathan właśnie miał odpowiedzieć, poprzestał jednak na zirytowanym spojrzeniu i lekkim wzruszeniu ramionami.

- Prawdę mówiąc, nigdy go o to nie pytałem - wyznał. - Byłem zbyt podekscytowany, gdy zdałem sobie sprawę, jakie znaczenie ma jego odkrycie. - Pokręcił kilka razy głową. - Wyobraź to sobie: tysiące badaczy od stu lat przeczesuje glob w poszukiwaniu rozwiązania zagadki naszej przeszłości, ponosząc przy tym ogromne koszty, a tu prosty chłopak ze wsi, który nawet nie potrafi dobrze czytać i pisać, natrafia na największą sensację wszech czasów.

Mogens z trudem koncentrował się na jego słowach. To nie mógł być przypadek! Tom otworzył grób? Dlaczego? I to

c . ;

na cmentarzu, który od pokoleń nie był użytkowany? Nagle zaniepokoił się, że nie minęła godzina, odkąd opowiedział Tomowi - właśnie Tomowi - swoją historię!

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Nawet nie samo pytanie, lecz raczej ostry, zirytowany ton, jakim zostało zadane, wyrwał Mogensa z zamyślenia. Podniósł wzrok rozdrażniony, ale i lekko zakłopotany. Poratował się nic niemówiącym uśmiechem, ale zdał sobie również sprawę, że zniecierpliwiony ton Gravesa był uzasadniony. Rzeczywiście, nie mógł sobie przypomnieć ostatnich słów doktora.

- Przepraszam - powiedział. - Trochę... się zamyśliłem.

- Tak, też mi się tak wydaje. - Jonathan pokręcił głową, wzdychając. - Mój Boże, człowieku, ja przedstawiam ci najważniejszy wykład naukowy tego stulecia, a ty mnie nawet nie słuchasz! Zmieszany Mogens dostrzegł ironię w oczach Gravesa i zdał sobie sprawę, że doktor uważa swoją uwagę za dowcipną.

- Przepraszam - powtórzył. - Mówisz, że jesteśmy teraz dokładnie pod cmentarzem, tak?

- Niedokładnie - odpowiedział doktor. Nadal spoglądał na VanAndta z lekkim wyrzutem. - Tom odkrył wtedy tylko początek na w pół zasypanego tunelu. Szyb, którym właśnie zeszliśmy, wykopaliliśmy później. Chodź. Mamy jeszcze spory kawałek do przejścia. Możemy porozmawiać po drodze.

„Jeszcze spory kawałek?” - pomyślał Mogens zdziwiony. Znajdowali się przecież w sercu podziemnej budowli. Ani dziś, ani wczoraj nie zadał sobie trudu, by policzyć kroki, ale odkąd zeszli z drabiny, pokonali już z pewnością ponad sto metrów. Spojrzał na Gravesa pytająco, podążył za nim jednak posłusznie, gdy ten ruszył naprzód, niewielkim łukiem okrążając baręk żałobną. W przypadku Mogensa ten

łuk był o wiele szerszy, mimo to miał nieprzyjemne wrażenie, że rzeźbione oczy dorównujących mu wielkością posągów Anubisa na dziobie i rufie statku obserwowały każdy jego krok.

Odpędził tę myśl, choć nie przyszło mu to z łatwością. Im bardziej zagłębiali się w podziemną świątynię, tym trudniej przychodziło mu podporządkowanie własnych myśli żelaznym prawom logiki, jak przystało na naukowca.

Graves zniknął pod rozpostartymi ramionami nadludzkiej wielkości posągu boga z głową byka,

wyprostował się ponownie i niecierpliwie gestykulując, dał profesorowi znak, by się pospieszył. Mogens usłuchał, jednak coraz silniej ogarniały go złe przecucia. Gdy za przykładem doktora prześlizgiwał się pod rozłożonymi ramionami olbrzymiej granitowej figury, musiał walczyć z absurdalnym wrażeniem, że kamienne bóstwo zaraz złapie go w śmiertelny uścisk. Z trudem stłumił głośne westchnienie ulgi, gdy znalazł się obok Gravesa i mógł się wyprostować.

Jonathan znów spojrział na niego pytająco, lecz Mogens unikał jego wzroku, próbując zamiast tego wykrzesać z siebie uśmiech.

- I co dalej? - zapytał.

Doktor podszedł do wąskiej, wyższej od człowieka wnęki, w której stał biały, marmurowy posąg przedstawiający dumnie siedzącego kota. Zamiast odpowiedzieć na pytanie Mogensa, chwycił dłońmi głowę rzeźby, jakby chciał ją ukreślić. Nastąpiło krótkie, ciche zgrzytnięcie, potem dłuższe chrobotanie i szuranie, jakby ocierały się o siebie dwa olbrzymie koła młyńskie. Z triumfalnym uśmiechem na twarzy Graves uniósł ręce w teatralnym geście. Mogens właśnie miał zrobić odpowiednią uwagę, gdy szuranie stało się głośniejsze, a ziemia pod ich stopami lekko drgnęła. W ścianie na wprost nich powstała szeroka na dwa pal-124- ce szczelina, która szybko poszerzyła się, tworząc otwór

iJp "

■j■Kii m * • • • i * - <•'
te'

- * I

wystarczająco szeroki, by z niejakim trudem przez niego przejść.

Jonathan spojrział na kolegę wzrokiem domagającym się oklasków.

- Imponujące - przyznał Mogens. Był pod wrażeniem, jednak nie tego przedstawienia na poziomie teatrzyku amatorskiego. - Jak to odkryłeś?

- Z pomocą najstarszego i najwierniejszego sprzymierzeńca nauki - odpowiedział Graves wesoło - przypadku.

„To musi być miejsce, które Tom nazywał sanktuarium Gravesa” - pomyślał Mogens. Z trudem powstrzymał się od komentarza. Tymczasem zaczęła go dręczyć inna kwestia: -Gdzie jest Mercer i reszta?

- Mają wolny dzień - odpowiedział doktor. - Dziś niedziela. Wyjechali jeszcze przed wschodem słońca spędzić dzień w San Francisco. Myślałem, że nie zależy ci ani na towarzystwie nowych kolegów, ani na uciechach, jakim się oddają.

VanAndt nie odpowiedział, zamiast tego uczynił zachęcający gest, który Graves zignorował.

Profesor ani myślał przeciskać się przez wąską szczelinę do ciemnego korytarza. Nawet coraz silniejsza ciekawość naukowca nie mogła go do tego zmusić. Był badaczem, archeologiem i nie powinien bać się wejść do nieznanego pomieszczenia. A jednak odczuwał strach.

W końcu jednak wziął głęboki wdech i przekroczył próg. Graves pospieszył tuż za nim - był tak blisko, że Mogens czuł na karku oddech kolegi - po czym precyzyjnie się koło niego w korytarzu.

- Poczekaj chwilę.

Profesor stanął posłusznie, próbując rozpoznać więcej szczegółów w swoim nowym otoczeniu.

Graves oddalił się w tym czasie kilka kroków i zaczął przy czymś majstrować, głośno hałasując.

VanAndt usłyszał trzask zapalanej

zapalki. Zaraz potem rozblysnęło nieprzyjemnie jaskrawe światło lampy karbidowej.

W jej świetle ujrzał ścianę z metrowych, szczelnie ze sobą połączonych kamiennych bloków.

Inaczej niż w komorze grobowej, tutaj nie zobaczył żadnych malowideł ani reliefów. Korytarz mierzył dobrych sześć stóp, lecz był niezwykle wąski. Mogensa nurtowało pytanie, jak przeciskał się wtedy Mercer przy jego ogromnej tuszy. W końcu zadał to pytanie głośno.

- Mogensie, jesteś pierwszą osobą, która widzi ten korytarz - odpowiedział Graves. Ruszył wąskim tunelem, wymachując lampą. Światło wyprzedzało ich o jakieś trzydzieści kroków, nim zupełnie nikt. Z ciemności wyłaniały się tylko jednakowe, szarobrazowe kamienne bloki.

- Nie pokazałeś tego Mercerowi i pozostałym? - zdziwił się Mogens. - Dlaczego?

- Uzbrój się jeszcze na chwilę w cierpliwość. Wówczas mnie zrozumiesz. Profesor skrzywił się, ale zrezygnował z dalszych pytań. Graves najwyraźniej był zdecydowany doprowadzić do końca tę głupkowatą grę. Przynajmniej znał już odpowiedź na pytanie, które nurtowało go od chwili poznania Mercera, Hyams i McClurea. A przede wszystkim rozumiał, z czego wynikała nieskrywana niechęć Hyams. Skoro zamiast przed nią - znanym egiptologiem - Graves postanowił odkryć największą tajemnicę świątyni przed jakimś podrzędnym profesorkiem, to była śmiertelna obraza. Przecież naukowcy zawsze stanowili szczególną kategorię, skupiającą osobniki niezwykle drażliwe i próżne.

- Uważaj! - Graves wskazał lampą. - Tam zaraz będzie nierówno. Przed nimi musiał kiedyś odpaść fragment sufitu, a oderwane i połamane kamienne bloki utworzyły rumo-11b wisko skalnych okruchów, gruzu i ostrych odłamków, na pierwszy rzut oka - nie do przebycia. Graves jednak szybkim krokiem wszedł na tę stertę i zręcznie prześliznął się pod ukośnie sterczącym ze stropu fragmentem skały. Pewność ruchów zdradzała, że bywał tu często. Chwilę później nagle zniknął, a wraz z nim światło.

Mogens poczuł krótki, ale silny atak paniki, gdy ciemność spłynęła na niego niczym fala lepkiej czerni, lecz światło znów się pojawiło, nim lęk zdążył całkowicie nim zawładnąć.

- Chodź już! - Głos Gravesa był lekko przytłumiony. - Tylko uważaj, gdzie stawiasz stopy. VanAndt prześliznął się pod kamiennym blokiem. Musiał zmrużyć oczy przed ostrym światłem, które prze-błyskiwało przez nieregularną szczelinę w stercie gruzu blokującej tunel. Mercer - jeśli jakimś cudem weisnąłby się do korytarza - tu już by utknął. Szczelina była tak wąska, że Mogens nie rozumiał, jak Graves, sporo od niego wyższy i szerszy w ramionach, zdołał się tędy przeczołgać.

Gdyby był sam, prawdopodobnie zawróciłby w tym momencie. Przed Jonathanem nie mógł jednak okazać słabości, podparłszy się łokciami, na kolanach podążył za swoim przewodnikiem.

Szczelina była jeszcze węższa, niż się obawiał, w dodatku Graves cały czas świecił mu latarnią prosto w oczy, tak że prawie nic nie widział. Mozolnie wymacał przed sobą każdy cal tunelu. Twarda skała raniła mu tył głowy i ramiona, ale już po chwili Mogens mógł się podnieść. Jednak gdy to zrobił, zobaczył, że nie tylko ręce miał pokiereszowane. Koszula wisiała w strzępach, a prawa nogawka spodni była przetarta na kolanie.

- Nie przejmuj się - powiedział wesoło doktor. - Gdy to się skończy, będziesz mógł sobie pozwolić na najlepszego krawca w kraju. - W końcu opuścił lampę, tak że profesor nie musiał już mrużyć oczu i walczyć ze łzami, a następnie

zaczął gestykulować, wskazując w głąb tunelu. - Chodź, to już niedaleko. Nie mogę ci jednak oszczędzić jeszcze krótkiej wspinaczki.

Tunel stał się coraz trudniejszy do przebycia. Hałdy gruzu oraz olbrzymie bloki skalne, częściowo połamane, częściowo zachowane w całości, tarasowały drogę. Wszędzie leżały kamienie lub czyhały pułapki, niektóre głębokie na metr, inne płytsze, lecz wdepnąwszy w nie, łatwo byłoby skrócić stopę. Tu na dole mogło to mieć fatalne skutki. Nie musieli już przeciskać się przez klaustrofobiczne szczeliny, ale na przemian to pełzli na łokciach i kolanach, to znów podejmowali karkołomne wspinaczki. W tym ęsobliwym otoczeniu Mogens nie był w stanie ocenić odległości, jaką przebyli. Prawdopodobnie niewiele ponad pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt jardów, lecz gdy w końcu znów stanęli, czuł się, jakby pokonał całe mile.

- Jeszcze trochę i będziemy na miejscu. - Dotarli do hałdy gruzu, która prawie całkowicie wypełniała tunel, a ożywiony Graves rozkołysał lampę. Światło skakało nerwowo tam i z powrotem, wreszcie Mogens dojrzał wąską szczelinę między hałdą a stropem tunelu. - Potrzymaj! Profesor automatycznie chwycił karbidową lampę. Jonathan zaczął się wspinać na stertę gruzu szybkimi, pajęczymi ruchami, podczas gdy Mogens próbował utrzymać jego sylwetkę w kręgu drżącego światła. Małe kamyczki spadały mu pod nogi, a dziwnie zniekształcone echo długo niosło się w pustce tunelu. Wśród tych odgłosów Mogens odniósł wrażenie, że dosłyszał jeszcze inny, dużo bardziej niepokojący dźwięk - coś na kształt szurania dużych, zrogowaciałych stóp, które tarły o twarde kamienie.

Wystraszony odwrócił się raptownie i skierował światło lampy na usiany kamiennymi blokami i gruzem tunel. Serce zaczęło mu bić mocniej. Czy nie kryło się tam gdzieś 128 przed światłem wielkie, włochate stworzenie?

- Mogensie, wchodź! - Graves znikł już do połowy w wąskiej szczelinie między szczytem usypiska a stropem. - To ostatnia przeszkoda. A opłaca się, przyrzekam!

Profesor jeszcze przez chwilę patrzył z bijącym sercem w mrok, ale teraz w tunelu nic już nie było. Szczur? No bo co innego?! Ścisnął kurczowo lampę, odwrócił się zamasyżycie i podążył za Gravesem. Zadanie wcale nie było łatwe, zwłaszcza że musiał pilnować, by nie upuścić lampy i nie spaść w dół wraz z lawiną kamieni.

Doktor nie czekał na niego, lecz zaczął czołgać się dalej. Mogens słyszał, jak szamotał się gdzieś w ciemnościach, ale nawet gdy podniósł lampę i skierował snop światła w tym kierunku, niczego nie dojrzał. Po drugiej stronie hałdy musiało być duże, puste pomieszczenie, ponieważ białe światło karbidowej lampy ginęło w ciemnościach, nie natrafiając na żadną przeszkodę.

- Zostań na górze - dobiegł go z ciemności głos Gravesa. - Zapalę drugą lampę.

Mogens słyszał, jak przez chwilę krzątał się na dole w gęstym mroku, a po chwili jeszcze odgłos, który wywołał przelotny, ale złośliwy uśmiech na jego ustach - było to niewątpliwie uderzenie głową o ścianę, po którym nastąpiło stłumione przekleństwo. Zaraz potem rozległ się trzask zapalanej zapałki i zobaczył Gravesa w ciepłym świetle lampy naftowej. Doktor podkręcił powoli knot. Mogens ujrzał ociosane bloki kamienne podobne do tych w tunelu, znów jednak pokryte malowidłami i reliefami. Gdy Jonathan odwrócił się w jego stronę, doznał przelotnego wrażenia, że tuż obok w ciemnościach stoi druga, masywna postać.

- Lampę zostaw na górze - poradził Graves. - I zgaś ją. Karbidu nie starczy na długo, a potrzebujemy jej jeszcze na drogę powrotną.

Mogens zrobił jak kazał, Jonathan natomiast zapalił kolejną lampę. Krag światła, w którym stał, był teraz

jaśniejszy, ale prawie się nie powiększył. Jedną z lamp podał Mogensowi, gdy ten dotarł na miejsce, drugą wziął sam. Potem odwrócił się bez słowa i poszedł dalej.

Profesor ruszył za nim wprawiony w coraz większe zdumienie, które tym bardziej mieszało się z niedowierzaniem, im głębiej wchodzili do pomieszczenia i im bardziej jego oczy przywykły do ciemności.

Na pierwszy rzut oka wydało mu się, że są w kolejnej komorze grobowej, takiej jak na górze, ale wrażenie to zaraz prysło. Pomieszczenie było o wiele większe, jednak w znacznie gorszym stanie. Niektóre z kolumn wspierających strop, w obwodzie grubości mężczyzny, leżały przewrócone i popękane. Nawet sufit, przynajmniej w jednym miejscu, był zerwany - pod nim usypała się olbrzymia hałda z kamieni, skalnych bloków i obsuniętej ziemi. Również malowidła ścienne i reliefy były zniszczone. Kolory tak wyblakły, że znaczenia większości obrazów można się było tylko domyślać. Linie wyryte w kamieniu zniekształciły pęknięcia. Tu również stały liczne posągi przedstawiające ludzi oraz bóstwa egipskie, większość strącona z cokołów. Coś w tej scenerii wydało mu się... nieprawdziwe, choć VanAndt nie potrafił sprecyzować swojego odczucia. Najdziwniejszy był kształt pomieszczenia. Obydwu latarni nie wystarczało, by je całkowicie oświetlić, mimo to Mogens dostrzegł po chwili, że komnata jest zbudowana na planie ośmiokąta - zupełnie nietypowo dla Egipcjan.

- I jak? - spytał Graves, gdy byli w połowie pomieszczenia. - Czy zbyt dużo naobiecowałem?

- Niesamowite - wymamrotał Mogens. - Ale dlaczego zachowałeś to dla mnie? Dobry Boże, Jonathanie, przecież doktor Hyams zaprzedałaby duszę, żeby móc na to choć rzucić okiem!

- Tu na dole Suzan nie jest mi potrzebna - odpowiedział 30 Jonathan. - Tak jak i reszta.

- A ja? - dziwił się profesor. - Dlaczego ja?

Zamiast odpowiedzieć, Graves rzucił mu spojrzenie, od którego VanAndtowi przeszły ciarki po plecach, po czym ruszył szybkim krokiem w kierunku najbliższej ściany. Nadal nic nie mówił, czekając z wyraźną niecierpliwością, aż Mogens do niego dołączy. Potem tylko uniósł wyżej latarnię.

Profesora, który już miał powtórzyć swoje pytanie, dosłownie zatkało i tylko nerwowo badał ścianę

niedowierzającym wzrokiem. Również ta ściana była pokryta rysunkami oraz malowanymi reliefami. Przedstawiały one, rzecz jasna, bogów i faraonów, sceny bitew, były też kartusze pokryte hieroglifami, ale pośród dobrze mu znanych wizerunków Horusa, Seta i Anubisa na ścianie widniały również inne. Te mroczne kontury dziwacznych postaci napełniały Mogensa tak dojmującym strachem, że czym prędzej odwrócił wzrok. Pomiędzy nimi widniały znaki graficzne, bezładnie przecinające się linie niepodporządkowane regułom żadnego rozpoznawalnego schematu. Profesorowi zdawało się, że są w ruchu, właściwie niezauważalnym, ale jednak w ruchu.

- Co... co to jest? - wymamrotał.

- Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz - wzruszył ramionami Graves. Mogens miał wrażenie, że była to od dawna przygotowana odpowiedź na pytanie, które spodziewał się usłyszeć. Już nie po raz pierwszy pojął, że doktor nadal prowadzi z nim grę.

Jonathan nie pozwolił jednak, by kolega wyraził swoje rozgoryczenie, ponieważ odstąpiwszy od ściany, ruszył dalej. Idąc za nim, Mogens świadomie unikał spojrzeń w stronę wizerunków na ścianach, ale to nic nie pomogło - i tak wciąż miał je przed oczami. Pozostało w nim coś, czego nie mógł się pozbyć, jak nieprzyjemny posmak na języku po nadgryzieniu zepsutego jabłka. Podobne odczucia wywołały w nim niektóre z przewróconych posągów, które mijali.

Aby zająć czymś myśli, spojrzał w innym kierunku. Próbował rozgryźć nietypową symetrię podziemnej sali rytualnej. I to mu się nie udawało. Nie był już wcale pewien, czy jego pierwsza ocena była prawidłowa. Kształt komnaty zdawał się wymykać wszelkim próbom klasyfikacji, jakby podlegał zasadom jakiejś innej niż ludzka geometrii.

Graves podążył w kierunku szerokich, kilkustopniowych schodów. Stopnie nie tylko były różnej wysokości, ale też dziwnie powykęcane i zdeformowane niczym te oszukujące wzrok rysunki, które po dłuższym patrzeniu zdają się tracić proporcje albo same odwracać. Prowadziły do stalowoszarej bramy sięgającej niemal sufitu. Mogens struchlał, gdy nieopatrznie spojrzał na mroczne linie i symbole wygrawerowane na starym metalu.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale szedł coraz wolniej, a na schodach poczuł lekkie zawroty głowy. Czarne kamienie pod jego stopami zdawały się prawdziwe, jednak nie wyglądały, jakby były stworzone dla ludzkich stóp czy stóp jakiegokolwiek stworzenia, które potrafił sobie wyobrazić.

Jonathan nie okazał niecierpliwości, którą Mogens jednak wyczuł. Doktor czekał w milczeniu, aż VanAndt dołączy do niego. Wtedy uniósł latarnię, by oświetlić jeden z dwóch posągów, które stały po bokach dwuskrzydłowej bramy.

Mogens o mało nie krzyknął.

Posąg mierzył około siedmiu stóp, a zrobiony był z czarnego kamienia, który mimo upływu wieków błyszczał jak starannie wyszlifowany marmur. Przedstawiał masywną dwunożną postać przykucniętą na nieforemnym, pokrytym obrazkami i symbolami sześcianie - zdeformowane, rozdęte cielsko jak u żaby, przysadziste nogi zakończone płetwowatymi stopami oraz muskularne ramiona z rękoma również podobnymi do płetw. Były one uzbrojone w strasz-

się macek oplatał masywną głowę, z której patrzyło na Mogensa dwoje wytrzeszczonych oczu wielkości pięści, osadzonych nad okropnym papuzim dziobem.

- O Boże! - wyszeptał profesor.

Graves podniósł latarnię nieco wyżej, tak że posąg po drugiej stronie bramy też wynurzył się na chwilę z cienia. Postać na cokole tkwiła w innej pozycji, jednak był to taki sam potwór.

- Bóg? - Doktor pokręcił głową. - Być może. Pytanie tylko jaki.

Słowa te ponownie wywołały u Mogensa zimny dreszcz. W zamierzeniu były prawdopodobnie jedynie trafny dowcipem lub sposobem na rozładowanie napięcia, wywołały jednak efekt wręcz przeciwny. O ile do tej pory na widok kamiennych kolosów profesor czuł się nieswojo, teraz napawały go one rosnącym strachem. Coraz trudniej przychodziło mu odpędzić absurdalne wrażenie, że te milczące demony groźnie się w niego wpatrują. Mimo że wykonane były, choć z wielkim kunsztem, jednak z niewątpliwie martwego kamienia, coś jednak mówiło VanAndtowi, że tylko czekają na sposobność, na najdrobniejszy błąd z jego strony, by zbudzić się z wiekowego snu i zaatakować.

Udało mu się z wysiłkiem chwilowo odegnąć tę dziecinną wizję, jednak pozostała ona ukryta głęboko gdzieś w najdalszym zakamarku mózgu, czekając niczym pajak w swej sieci na okazję do ataku na niczego nieprzeczuwa-jącą ofiarę.

- Pytałeś, dlaczego nie pokazałem tego innym - przerwał ciszę szept Gravesa. Urwał, ale właściwie nie musiał mówić nic więcej. Mogens i tak już znał odpowiedź. To wszystko nie było tym, na co w pierwszej chwili wyglądało. Komnatę niewątpliwie pokrywało starożytne pismo egipskie, jednak nie byli tu czczeni tylko Ra i Bastet, Izyda i Ozyrys. Nie chodziło też o osobliwe malowidła i reliefy

i

ani nawet o monstualnych strażników bramy. Czczono tu starsze bóstwa, a wynaturzone rytuały i ceremonie odcisnęły swoje piętno, które jak nieprzyjemne echo wisiało od wieków w powietrzu.

- Ale dlaczego... ja tutaj jestem? - spytał profesor ochrypłym głosem.

- Myślałem, że już wiesz - odpowiedział cicho Jonathan. Patrzył chwilę na VanAndta świdrującym wzrokiem, po czym odwrócił się i podszedł do olbrzymiej bramy. Migoczące światło lampy zbudziło ogromne posągi strażników. Mogens miał wrażenie, że rzeźbione macki wiją się niczym gniazdo węży.

Graves podniósł dłoń. Wahał się przez chwilę, nim nabożnym ruchem dotknął matowego metalu bramy. Światło jego latarni zaczęło migotać silniej, a drzwi pograżyły się w morzu małych, płasających cieni oraz w czymś, co nie zbudziło się jeszcze do życia, ale wyraźnie miało taki zamiar.

- To tam - powiedział doktor. Jego głos był ledwie szeptem, delikatnym tchnieniem, które zmieszało się z echem jakichś dawno przebrzmiałych, perwersyjnych modlitw i egzorcyzmów. - Za tymi drzwiami. Nie czujesz? Ja czuję. To jest tam i czeka na nas.

Mogens nie mógł odpowiedzieć, gdyż strach ścisnął mu gardło. Czuł jednak, że Graves mówił prawdę. Coś było za tymi drzwiami, coś prastarego i niewyobrażalnie władczego, co od wieków tkwiło tam zamknięte i spętane, ale nie bezsilne. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że można otworzyć bramę i uwolnić to, co tam czyhało.

- Chcesz... chcesz te drzwi... otworzyć? - wyszeptał z niedowierzaniem.

- Próbowałem - odparł doktor. Zdawał się nie zauważać przerażenia w głosie Mogensa albo też wcale go nie obchodziło. Jego palce okryte czarną rękawiczką prze-
1154- ślizgiwały się nadal po mrocznych obrazach i glifach

• t *

liM

wygrawerowanych w szarej, metalowej kracie czy raczej bramie do zakazanego świata obłędu i śmierci. Światło zaczęło migotać intensywniej, a Mogens odniósł dziwne wrażenie, że pod czarną skórą rękawiczki doktora coś na nie reagowało. - Próbowałem na wszystkie sposoby, ale mi się nie udało. - Opuścił w końcu dłoń, cofnął się o krok i wzdychając, spojrzał na profesora.

- Mogensie, ten metal nie został wykonany ręką ludzką - powiedział. - I żadne narzędzie stworzone przez człowieka nie jest w stanie go zniszczyć.

- A co... - VanAndt nerwowo zwilżył wargi językiem. - A na co ja mogę się tu przydać? - Jednak znał odpowiedź na to pytanie. Od dłuższego czasu wiedział, dlaczego Graves sprowadził go tu na dół. Wiedział to już w chwili przestąpienia progu tej komnaty.

- Mogensie, istnieją inne sposoby otwarcia tej bramy, bez pomocy dłuta i materiału wybuchowego - oznajmił Jonathan łagodnym tonem.

- Wiesz, że... nie zajmuję się już takimi rzeczami - wyjąkał profesor. Chciał powiedzieć coś zupełnie innego, chciał krzyknąć, 'uciec, bić się pięściami w twarz. Zamiast tego stał jak sparaliżowany. Nie był nawet w stanie myśleć.

- Nie tknąłeś swoich książek od czasu tamtej strasznej nocy, wiem - ciągnął Graves. - Od tamtego dnia wypierasz się wszystkiego, czego wcześniej, słusznie zresztą, z takim zapalem broniłeś. - Pokręcił głową. - Gdzieś głęboko w sercu czujesz, że to błąd.

- Czego ty ode mnie oczekujesz?! - Głos Mogensa zabrzmiał jak zachrypnięty, przyduszony skrzek, jednak w jego uszach był rozpaczliwym krzykiem. - Że odczaruję te drzwi?
- Jeśli chcesz to tak nazwać - potwierdził doktor bez ogródek. - Chociaż tak jak ja dobrze wiesz, że to bzdura. - Podniósł rękę, gdy VanAndt chciał zaoponować, i ciągnął dalej lekko podniesionym, ostrym tonem: - Mam ci zrobić taki sam wykład, jaki ty mnie i wielu innym robiłeś tysiące razy?
- Nie - odparł profesor sucho. - Nie chcę już słyszeć o tych bzdurach. Nigdy więcej.
- Bzdurach?! - Graves potrząsnął głową ruchem zdradzającym irytację lub nawet gniew. - Dlaczego nagle zaprzeczasz wszystkiemu, w co wierzyłeś? To jest tutaj. Czujesz to tak samo wyraźnie jak ja. Każdy, kto by wszedł do tej sali, z pewnością odczułby to samo. Nie zaprzeczaj!
- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! - Teraz VanAndt naprawdę krzyknął. - Nigdy więcej! Wyrządziłem już wystarczająco dużo szkód!
- Mogensie, nie zadręczaj się wyrzutami sumienia, to nie przywróci życia Janice - powiedział cicho Jonathan. - Nie ponosisz winy za to, co się wtedy stało. Jeśli ktokolwiek jest winny, to ja. Profesor nie zaprzeczył. Jeśli Graves sprowadził go tu na dół, by otrzymać rozgrzeszenie, to na próżno pokonał tę drogę.
- I myślisz, że z wdzięczności pomogę ci, za sprawą tego tutaj, stać się sławnym?! - spytał rozgniewany Mogens. - Nie mów mi, Jonathanie, że jesteś tu z powodów czysto naukowych. Strzegłeś tego odkrycia zazdrośnie jak skarbu! Przemilczałeś je przed Hyams, Mercerem i McClure'em nie dlatego, że nie jest to ich specjalność, a dlatego, że nie chcesz się z nikim dzielić! Chcesz to mieć wyłącznie dla siebie! Na Boga, jestem pewien, że gdyby to była zwykła komora grobowa gdzieś na egipskiej pustyni, nie miałbyś żadnych skrupułów, by ją splądrować, a znalezione skarby sprzedać! Kiedy zdecydowałeś się poprosić mnie o pomoc? Jak uświadomiłeś sobie, że nigdy sam nie otworzysz tej bramy?
- A jeśli nawet by tak było? - spytał Graves niewzruszony.
- dalej lekko podniesionym, ostrym tonem: - Mam ci zrobić taki sam wykład, jaki ty mnie i wielu innym robiłeś tysiące razy?
- Nie - odparł profesor sucho. - Nie chcę już słyszeć o tych bzdurach. Nigdy więcej.
- Bzdurach?! - Graves potrząsnął głową ruchem zdradzającym irytację lub nawet gniew. - Dlaczego nagle zaprzeczasz wszystkiemu, w co wierzyłeś? To jest tutaj. Czujesz to tak samo wyraźnie jak ja. Każdy, kto by wszedł do tej sali, z pewnością odczułby to samo. Nie zaprzeczaj!
- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! - Teraz VanAndt naprawdę krzyknął. - Nigdy więcej! Wyrządziłem już wystarczająco dużo szkód!
- Mogensie, nie zadręczaj się wyrzutami sumienia, to nie przywróci życia Janice - powiedział cicho Jonathan. - Nie ponosisz winy za to, co się wtedy stało. Jeśli ktokolwiek jest winny, to ja. Profesor nie zaprzeczył. Jeśli Graves sprowadził go tu na dół, by otrzymać rozgrzeszenie, to na próżno pokonał tę drogę.
- I myślisz, że z wdzięczności pomogę ci, za sprawą tego tutaj, stać się sławnym?! - spytał rozgniewany Mogens. - Nie mów mi, Jonathanie, że jesteś tu z powodów czysto naukowych. Strzegłeś tego odkrycia zazdrośnie jak skarbu! Przemilczałeś je przed Hyams, Mercerem i McClure'em nie dlatego, że nie jest to ich specjalność, a dlatego, że nie chcesz się z nikim dzielić! Chcesz to mieć wyłącznie dla siebie! Na Boga, jestem pewien, że gdyby to była zwykła komora grobowa gdzieś na egipskiej pustyni, nie miałbyś żadnych skrupułów, by ją splądrować, a znalezione skarby sprzedać! Kiedy zdecydowałeś się poprosić mnie o pomoc? Jak uświadomiłeś sobie, że nigdy sam nie otworzysz tej bramy?
- A jeśli nawet by tak było? - spytał Graves niewzruszony.
- Skąd przyszło ci do głowy, że ci pomogę, nawet jeśli potrafiłbym?
- Ponieważ jest to dla ciebie szansa, by się zrehabilitować, Mogensie. Nikt ci nie zwróci Janice, a i tamta dwójka z pewnością nie ożyje, mógłbyś natomiast odzyskać honor. Żaden z tych tak zwanych poważnych naukowców, którzy cię wtedy wyśmiali, nie odważy ci się sprzeciwić, gdy zobaczą to tutaj. Wszyscy, którzy wtedy nazwali cię wariatem, będą cię prosić o przebaczenie! Będą ci się kłaniać, będą się przed tobą płaszczyć i ci schlebiać, by móc choćby rzucić na to okiem! -

Głos mu przycichł, aż przeszedł w uwodzicielski szept. - Będziesz pierwszy, Mogensie. Będziesz pierwszym naukowcem na świecie, który udowodni, że magia naprawdę istnieje.

Gdyby Mogens mógł bez pomocy Gravesa wydostać się z podziemnego labiryntu, przebiegłby całą drogę sam i zatrzymał się dopiero w swoim drewnianym domku. Chociażby dlatego, by nie musieć dłużej przebywać z dawnym kolegą. Nienawidził go. Nienawidził teraz tak bardzo, że nie mógł już znieść jego towarzystwa. Nienawidził Gravesa, ponieważ wszystko odżyło, ponieważ przez spotkanie z nim powrócił ból, odżyła każda chwila rozpaczy, każda noc pełna wyrzutów sumienia. I ponieważ tamten miał rację.

Jedno było pewne - Mogens wiedział, że mu pomoże. Był jeszcze daleki od przyznania tego przed samym sobą, ale nie miał wątpliwości, że Graves ostatecznie zwycięży. Bo jakkolwiek głupio by to zabrzmiało - prawda zawsze zwycięża.

Zły rzucił się na niezastłane łóżko i spędził następną godzinę na patrzeniu w sufit i daremnych próbach zaprowadzenia porządku w chaosie własnych myśli.

Prawdopodobnie leżałby tak jeszcze długo, gdyby nie rozległo się pukanie do drzwi i do środka nie wszedł Tom.

Mogens uniósł się na łokciach i patrzył przez chwilę zmieszany na jasnowłosego chłopaka. Raz, że nie przypominał sobie, by powiedział „proszę”. A dwa, z jakiegoś powodu czuł się niezmiernie skrępowany, że Tom zastał go leżącego na łóżku w środku dnia. Wyprostował się pospiesznie i spuścił nogi na podłogę.

- Tom?

- Profesorze? - Chłopak zamknął za sobą drzwi i przez chwilę zdawało się, że nie wie, co zrobić z rękoma. Przestępował zakłopotany z nogi na nogę.

- Tak? - Mogens wstał ostatecznie i podszedł do stołu. Zawrócił jednak, by ponownie usiąść na brzegu łóżka. Jedynym krzesłem w jego kwaterze było to, na którym siedział wcześniej Graves, a VanAndt nie mógł się przemóc, by zająć to samo miejsce.

- Był... był pan z doktorem na dole? - zaczął Tom niepewnym głosem. Nawet nie patrzył na Mogensa.

-Tak.

- I pokazał panu wszystko? Tajemne przejście i...

- Nic mu nie powiedziałem, jeśli tego się obawiasz - pospieszył z wyjaśnieniem profesor, gdy chłopak nerwowo przygryzł wargi. - On nie wie, że znasz jego tajemnicę.

Tom odetchnął z wyraźną ulgą, niepokój jednak pozostał.

- Korytarz i... pomieszczenie za nim?

- Byłeś w komnacie? - wykrzyknął Mogens zaskoczony.

- Tylko raz - odpowiedział chłopak pospiesznie. - I tylko przez chwilę. Czuję się tam nieswojo. Niczego nie dotykałem, przysięgam!

- Wierzę ci - rzekł profesor. Nawet on nie dotknąłby niczego w tej komnacie dobrowolnie. - Nie martw się, Tom,

135 nic nie powiedziałam i nic nie powiem. Ale ja też mam do

Mit

I.,4

** r

ciebie pytanie - dodał szybko, widząc, że chłopak zmierza ku drzwiom.

Ułga, która na chwilę pojawiła się w oczach Toma, ustąpiła teraz miejsca lękowi zmieszanemu z nieufnością.

-Tak?

Mogens wskazał mu krzesło, na którym przed chwilą sam prawie usiadł. Chłopak, zanim zajął miejsce, odwrócił krzesło oparciem do tyłu. Wiercił się jak na szpilkach. Profesor zdawał sobie jednak sprawę, że nie chodziło o Gravesa, nie o to, że doktor skalał krzesło swoim dotykiem. To raczej on był winny niezręcznej sytuacji. Z niewinnej rozmowy zrobił przesłuchanie.

- Doktor Graves opowiadał, że to właściwie ty odkryłeś to wszystko - zaczął.

Tom wyglądał na zakłopotanego.

- To był tylko przypadek - powiedział skromnie. - Byłem...

- Na cmentarzu, wiem, ale co tam robiłeś? - wszedł mu w słowo Mogens.

- Co robiłem? - Chłopak zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc.

- To jest cmentarz - przypomniał profesor. - Graves mówił, że otworzyłeś grób, tak? Ale dlaczego?

- Nie z tych powodów, które być może przychodzą panu na myśl - niemal wykrzyknął chłopak. - Wtedy jeszcze pracowałem dla geologów.

- Dla kretów?

Tom ściągnął przekornie usta.

- To były dobre pieniądze za łatwą pracę. Poza tym nie zrobiłem nic złego.

- Nikt tego nie twierdzi - odparł skwapliwie VanAndt. Nie umknął mu ostry ton w głosie młodego kierowcy. Tom potrafił zaskoczyć, jednak w gruncie rzeczy był prostym człowiekiem. A prości ludzie reagują czasem bardzo

bezpośrednio, gdy czują się atakowani. - Byłem tylko zaskoczony. Ta kłótnia dziś rano... - pokazał głową w stronę drzwi - ...to też był jeden z geologów, prawda? Chłopak skinął głową.

- Nie była to pierwsza kłótnia między nimi a doktorem - dodał niechętnie, zaciskając szczęki.

- A o co poszło?

- O to co zawsze. - Tom wzruszył ramionami. - Doktor Graves nie rozmawia ze mną o tych sprawach, ale słyszałem to i owo. Nie są zadowoleni, że tu jesteśmy. Uważają, że prace wykopaliskowe doktora przeszkadzają im w badaniach.

- W badaniach zespołu geologów?

- Ja tych rzeczy nie rozumiem. Wiem tylko, że wcześniej często tu bywali. Ale odkąd doktor kupił ten teren, nikogo nie wpuszcza.

- Graves kupił to wszystko? - upewnił się Mogens.

- Już rok temu - przytaknął Tom. - Zaraz po tym, jak zobaczył, co znalazłem. Wszyscy uważali, że zwariował. - Uśmiechnął się przelotnie. - Teren jest zupełnie bezwartościowy. Coraz większe bagno i stary cmentarz stopniowo pogrążający się w ziemi, czemu nikt nie potrafi zaradzić. Coś w tej informacji przykuło uwagę Mogensa, ale w pierwszym momencie nie potrafił ocenić co. Na razie odsunął tę myśl od siebie, ale postanowił w wolnej chwili raz jeszcze przemyśleć odpowiedź Toma.

- Na czym polegała twoja praca dla geologów?

- Nic szczególnego. - Chłopak znów wzruszył ramionami. Najwyraźniej był to u niego dobrze wytrenowany gest. - Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego mi za to płacą. Miałem ich informować na bieżąco, jak szybko groby zapadają się w ziemi, to wszystko. - Skrępowany zaczął splatać i rozplatać ręce, i znów wydawało się, że nie wie, gdzie podziać oczy.

r, i4o b,

>

i.-

bezpośrednio, gdy czują się atakowani. - Byłem tylko zaskoczony. Ta kłótnia dziś rano... - pokazał głową w stronę drzwi - ...to też był jeden z geologów, prawda?

Chłopak skinął głową.

- Nie była to pierwsza kłótnia między nimi a doktorem - dodał niechętnie, zaciskając szczęki.

- A o co poszło?

- O to co zawsze. - Tom wzruszył ramionami. - Doktor Graves nie rozmawia ze mną o tych sprawach, ale słyszałem to i owo. Nie są zadowoleni, że tu jesteśmy. Uważają, że prace wykopaliskowe doktora przeszkadzają im w badaniach.

- W badaniach zespołu geologów?

- Ja tych rzeczy nie rozumiem. Wiem tylko, że wcześniej często tu bywali. Ale odkąd doktor kupił ten teren, nikogo nie wpuszcza.

- Graves kupił to wszystko? - upewnił się Mogens.

- Już rok temu - przytaknął Tom. - Zaraz po tym, jak zobaczył, co znalazłem. Wszyscy uważali, że zwariował. - Uśmiechnął się przelotnie. - Teren jest zupełnie bezwartościowy. Coraz większe bagno i stary cmentarz stopniowo pogrążający się w ziemi, czemu nikt nie potrafi zaradzić. Coś w tej informacji przykuło uwagę Mogensa, ale w pierwszym momencie nie potrafił ocenić co. Na razie odsunął tę myśl od siebie, ale postanowił w wolnej chwili raz jeszcze przemyśleć odpowiedź Toma.

- Na czym polegała twoja praca dla geologów?

- Nic szczególnego. - Chłopak znów wzruszył ramionami. Najwyraźniej był to u niego dobrze wytrenowany gest. - Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego mi za to płacą. Miałem ich informować na bieżąco, jak szybko groby zapadają się w ziemi, to wszystko. - Skrępowany zaczął splatać i rozplatać ręce, i znów wydawało się, że nie wie, gdzie podziać oczy.

Nadal jednak nie rozumiem, kto zakłada cmentarz na środku bagna? - Znów przypomniały mu się słowa Mercera: „ziemia tutaj to jedna wielka gąbka”.

- Nie zawsze tak było - odpowiedział Tom. - Bagno się powiększa.

- Powiększa się? - powtórzył Mogens niedowierzająco. Nie był geologiem, jednak nigdy wcześniej nie słyszał, żeby bagno mogło się powiększać.

Chłopak jednak skinął głową.

- Poszerza się. Pamiętam jeszcze, jak było kiedyś. Jako dzieci czasem bawiliśmy się na starym cmentarzu. Wówczas bagno kończyło się po drugiej stronie obozu. Ale od tego czasu.. Sam pan widział. Niektórzy martwią się nawet, że któregoś dnia może dotrzeć do miasteczka, ale ja w to nie wierzę.

Tak, dla geologów takie bagno to mogła być niewiele mniejsza sensacja niż dla archeologa znalezisko Gravesa. Tom opowiadał o swoich dziecięcych zabawach na cmentarzu, jakby miały miejsce dawno temu, jednak on sam miał przecież zaledwie siedemnaście lat! Czyli bagno rozprzestrzeniło się przez polanę aż do cmentarza w niewiele ponad dziesięć lat. Mogens nie był specjalistą w tej dziedzinie, ale nigdy o czymś podobnym nie słyszał.

- Dziękuję ci - powiedział. - Bardzo mi pomogłeś. I nie martw się - dodał, gdy zobaczył niespokojne błyski w oczach chłopaka. - Doktor Graves nie dowie się o naszych małych tajemnicach.

- Dziękuję - powiedział Tom. - Ja... - Zamilkł, jeszcze przez jedną, niekończącą się chwilę spoglądał na profesora z ulgą, ale i z niedowierzaniem, po czym dosłownie wybiegł na zewnątrz.

Li: if •

r?

Iif. ■i'

lAT

■fe

Mogens patrzył za nim uspokojony, ale i z dziwnym uczuciem zamętu w głowie. Rozmowa z chłopakiem wprawiła go w dziwny nastrój. Nie miał żadnych powodów, by mu nie ufać. To, co od niego usłyszał, brzmiało logicznie i przekonująco. Co więcej, czuł, że Tom mówił prawdę. Dlaczego więc nadal nie do końca mu ufał? Proste - ponieważ nikomu już nie ufał. Ani Tomowi, ani Gravesowi, a już najmniej sobie samemu... >

Wstał energicznie. Nic to przecież nie dawało, że tak siedział, robiąc sobie wyrzuty. Był przecież naukowcem, człowiekiem, który ocenia fakty, a nie uczucia. „Skupiać się na istocie rzeczy”, jak to ujmował jego promotor na Harvardzie.

Mogens o mało nie roześmiał się w głos, gdy sobie uświadomił, o czym właśnie myślał. Jedynym

powodem, dla którego znalazł się tutaj, była burza uczuć, jakie wywołała w nim wizyta Gravesa w Thompson. Jedynie to, co czuł, pchnęło go do przyjęcia propozycji Gravesa, do pozostania tutaj, ba, nawet udzielenia mu pomocy w rozwiązaniu przytłaczającej tajemnicy podziemnej świątyni. Bo gdyby posłuchał rozsądku, zaczęłyby się pakować, i to szybko.

Tylko po to, by zająć czymś ręce, zaczął sprzątać ze stołu zastawionego jeszcze z rana przez Toma. Niczego wtedy nie tknął oprócz mocnej kawy, ale teraz już sam widok zimnego, nieapetycznego jedzenia - jajecznicy, boczku i posmarowanych masłem tostów - przypomniał mu, że nie jadł nic od poprzedniego wieczoru. Tymczasem dochodziło południe i burzało mu w brzuchu. W dzbanku pozostała jeszcze resztką kawy, co prawda zimnej, ale Mogens zawsze wołał zimną kawę od gorącej. Chwycił zgnieciony kubek, ale znieruchomiał, gdy przypomniał sobie, że pił z niego Graves. Pędzej umarłby z pragnienia, niż choćby dotknął 142 ustami tego samego naczynia co on. Nagle zamarł, twarz wykrzywiło mu obrzydzenie. Wcale nie był już pewien, czy rzeczywiście trzymał w ręku kubek, z którego pił Graves. Na jego dnie pozostał - jak sądził przez chwilę - łyk kawy, tyle że wyglądał on raczej jak roztopiony zeszłoroczny śnieg. Emalia naczynia była porysowana i poobłupywana, a wyzierający spod niej metal zardzewiał i zniszczony. Gdy Mogens wykonał nieuważny ruch, uchwyt prawie odpadł. Resztką kawy na dnie połyskiwała oleisticie. Na jej powierzchni pływały małe, zielone grudki, na których zgromadził się ohydny osad przypominający coś zepsutego, co kiedyś żyło, a teraz zaczynało się rozkładać.

Ostrożnie odstawił kubek na stół i ze wstrętem odsunął go jak najdalej od siebie, uważając jednak, żeby nie spadł. Musiał kilka razy przełknąć ślinę, by powstrzymać wzbierające mdłości.

Skrupulatnie skontrolował pozostałe naczynia przygotowane na dalsze odrażające widoki, ale nie doznał już żadnej przykrej niespodzianki. Były czyste i stały w nienagannym porządku. Mimo to postanowił zamienić słówko z Tomem. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby przez przypadek napił się z tego kubka!

Sprzątnąwszy ze stołu, podszedł do łóżka, gdzie stały też jego dwie walizki. Chłopak zabrał już ubłocone ubrania z wczorajszej nocy, najprawdopodobniej chcąc je wyprać. Mogens pochował resztę marnej garderoby do szuflad szafy. Pozostałą część jego skromnego dobytku stanowiły papiery i książki. Dokumenty porozkładał na biurku i pulpicie, po czym zaczął się rozglądać po regale za wolnym miejscem dla swych książek.

Humor Mogensa, który dzięki tej powszedniej czynności zdążył się nieco poprawić, znów zniknął, gdy prześlizgnął się wzrokiem po grzbietach stojących już na półce tomów. Większości tytułów mógł się spodziewać po tym, co zobaczył przez ostatnie półtora dnia. Kilka tomów

*

I

tmji

*

if

o pierwotnych mieszkańcach kontynentu południowoamerykańskiego, Majach, Inkach i Aztekach, cały szereg książek dotyczących historii starożytnego Egiptu oraz jego bogów i faraonów, którzy często w tajemniczy sposób przeistaczali się jedni w drugich, oraz kilka klasycznych dzieł z zakresu archeologii, których widok wywołał na twarzy profesora drwiący uśmiezek. Większość z nich znał na pamięć jeszcze w czasach studiów. Zawierały niejedną dawno obaloną teorię. Czy Graves miał go za idiotę?

Były tam jednak i książki, których widok bynajmniej profesora nie rozbawił. Książki, które również znał bardzo dobrze, ale dawno ich nie widział, ponieważ należały do definitywnie zamkniętego rozdziału jego życia. Traktowały o prastarych kultach, magii i okultyzmie, o dawno zapomnianych mitach i upadłych kulturach obecnych już jedynie w legendach, o zakazanej wiedzy i śmiercionośnych tajemnicach. Przez chwilę zdawało mu się, że znów słyszy głos Gravesa: „Pierwszy naukowiec na świecie, który udowodni, że magia naprawdę istnieje”. Czy to było możliwe? Czy rzeczywiście mieli szansę udowodnić to, z czego wyśmiewała się większość ich kolegów? Potwierdzić naukowo rzeczywistość uważaną za przesady i mrzonki naiwnych

szaleńców?

Mogens zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie pociągało za sobą już samo postawienie takiego pytania. Łatwo jest przekonać samego siebie do czegoś, w co chce się wierzyć - na taką pokusę wystawiony był także naukowiec.

Nie znał wszystkich książek, które stały na półce. Niektóre tytuły nic mu nie mówiły, inne sobie przypominał, a dwie czy trzy spośród nich były z pewnością jedynie kopią okrytych legendą oryginałów. Tytuły jeszcze innych wymawiało się wyłącznie szeptem.

Po chwili wahania sięgnął po ciężki foliał oprawny w chropowatą, czarną skórę. Ważył tak dużo, że

profesor

IF

musiał go chwycić obydwoma rękami. Wryty na okładce złotymi, łuszczącymi się ze starości literami tytuł brzmiał: De Vermis Mysteriis. Nic on Mogensowi nie mówił, wywołał jednak nieprzyjemny dreszcz na plecach. Bardzo ostrożnie otworzył książkę. Kartki zrobiono z pożółkłego pergaminu, tak starego, że przy przewracaniu kartek nie tylko wyraźnie szeleścił, ale wręcz zdawał się rozsypywać. Stronice pokrywało drobne kaligraficzne pismo, a między liniami tekstu widniały kabalistyczne symbole.

- Ostrożnie z tą książką - odezwał się głos za nim.

VanAndt odwrócił się gwałtownie wystraszony, prawie upuszczając przy tym stare tomiszcze.

- Jonathan?!

Graves zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej. Uważnym spojrzeniem zlustrował stół.

- Część z tego to niezastąpione oryginały - ciągnął. - Naprawdę bardzo wartościowe.

- Oryginały? - Mogens bezwiednie zacisnął mocniej palce na książce, co wywołało przelotny uśmiech na twarzy doktora. <

- To książka użyczona mi przez niewielki uniwersytet w Massachusetts - potwierdził tamten. - Nie masz pojęcia, ile zachodu mnie kosztowało, żeby ją dostać. Musiałem zastawić własną duszę, żeby kurator zgodził się ją wydać. - Jego twarz wykrzywił ironiczny uśmiech.

Mogens miał wątpliwości, czy Graves kiedykolwiek posiadał coś takiego jak dusza, lecz zachował to spostrzeżenie dla siebie. Odstawił dzieło na półkę.

- Musiałeś być chyba pewien, że się zgodzę.

- Powiedzmy, że byłem optymistycznie nastawiony - odpowiedział Jonathan. - Mam nadzieję, że ta niewielka biblioteczka ci pomoże. Kilka tytułów pamiętałem z dawnych czasów, ale że nie jestem specjalistą w tych kwestiach, musiałem zdać się na rady kuratora. Jednak zgodnie z tym,

W

v . . _

•

Bp: '

■fi J • via a KF

i

Bf I

k'* 1

co słyszałem, Uniwersytet Miskatonic jest jednym z najlepszych w tej dziedzinie. Jego biblioteka cieszy się ogromną sławą.

Mogens nigdy jeszcze nie słyszał o takiej uczelni ani też o mieście, w którym się znajdowała, ale wybór książek na półkach zdawał się potwierdzać opinię Gravesa. Nawet jeśli nie wszystkie były

oryginałami. Bo i nie mogły nimi być, jako że niektóre spośród tych owianych tajemnicą ksiąg, o których nie wspominało się na głos, w rzeczywistości nigdy nie istniały. No ale żeby stworzyć taki falsyfikat, trzeba wiele wiedzieć...

- I nie boisz się tak po prostu zostawiać ich tutaj? - spytał VanAndt. - W niezamykanym domu, gdzie każdy może wejść i wyjść, kiedy mu się żywnie podoba? '

- Och, nie obawiaj się, mamy zapewnione bezpieczeństwo! - uspokoił go Graves. - Nasze rzeczy również. -Podszedł dwa kroki bliżej i zaczął znów uważnie badać wzrokiem stół, który Mogens dopiero co uprzątnął. - Ale nie przyszedłem tutaj, żeby rozprawać o książkach. Czy zdecydowałeś się już?

- Zdecydowałem? - Profesor nie od razu zrozumiał, co Jonathan miał na myśli.

- Co do mojej propozycji. - Doktor uczynił wyjaśniający gest i poprawił się: - Mojej prośby. Pomożesz mi?

- Nie minęły nawet dwie godziny! - wykrzyknął Mogens. - Powinieneś dać mi trochę więcej czasu na podjęcie tak ważnej decyzji.

- Obawiam się właśnie, że nie mamy go za wiele. - Graves smutno pokiwał głową.

- Skąd ten pośpiech? - spytał VanAndt. - Jesteś tutaj od roku. Jakie znaczenie ma kilka godzin czy dni?

- Duże, obawiam się. Za trochę ponad tydzień będzie pełnia księżyca. Do tego czasu musimy zakończyć przygo-

łowania. Hf

_h

co słyszałem, Uniwersytet Miskatonic jest jednym z najlepszych w tej dziedzinie. Jego biblioteka cieszy się ogromną sławą.

Mogens nigdy jeszcze nie słyszał o takiej uczelni ani też o mieście, w którym się znajdowała, ale wybór książek na półkach zdawał się potwierdzać opinię Gravesa. Nawet jeśli nie wszystkie były oryginałami. Bo i nie mogły nimi być, jako że niektóre spośród tych owianych tajemnicą ksiąg, o których nie wspominało się na głos, w rzeczywistości nigdy nie istniały. No ale żeby stworzyć taki falsyfikat, trzeba wiele wiedzieć...

- I nie boisz się tak po prostu zostawiać ich tutaj? - spytał VanAndt. - W niezamykanym domu, gdzie każdy może wejść i wyjść, kiedy mu się żywnie podoba? '

- Och, nie obawiaj się, mamy zapewnione bezpieczeństwo! - uspokoił go Graves. - Nasze rzeczy również. -Podszedł dwa kroki bliżej i zaczął znów uważnie badać wzrokiem stół, który Mogens dopiero co uprzątnął. - Ale nie przyszedłem tutaj, żeby rozprawać o książkach. Czy zdecydowałeś się już?

- Zdecydowałem? - Profesor nie od razu zrozumiał, co Jonathan miał na myśli.

- Co do mojej propozycji. - Doktor uczynił wyjaśniający gest i poprawił się: - Mojej prośby. Pomożesz mi?

- Nie minęły nawet dwie godziny! - wykrzyknął Mogens. - Powinieneś dać mi trochę więcej czasu na podjęcie tak ważnej decyzji.

- Obawiam się właśnie, że nie mamy go za wiele. - Graves smutno pokiwał głową.

- Skąd ten pośpiech? - spytał VanAndt. - Jesteś tutaj od roku. Jakie znaczenie ma kilka godzin czy dni?

- Duże, obawiam się. Za trochę ponad tydzień będzie pełnia księżyca. Do tego czasu musimy zakończyć przygodowanie.

-j ; ->

* • _

Mogens zerknął na Gravesa zdeorientowany.

- Pełnia?

- Czy pełnia nie odgrywa ważnej roli w wielu magicznych rytuałach? - spytał doktor.

Uśmiechnął się niemal nieśmiało. - Bo mówimy przecież o tym, co nasi powszechnie szanowani

koledzy nazywają magią, prawda?

- Ale to nie oznacza, że będziemy teraz czekać nocą na rozstaju dróg na pełnię, zaciskając w ręce talizman i paląc skrzydła nietoperza, prawda? - parsknął VanAndt.

- Jeśli to pomoże... - Graves był śmiertelnie poważny. Ruchem głowy wskazał drzwi. - Reszta niedługo wróci. Byłbym ci zobowiązany, jeśli przemilczysz sprawę komnaty. Przynajmniej do momentu, gdy się zdecydujesz.

- Oczywiście - odpowiedział Mogens lekko urażonym tonem. - Później też nic nie powiem niezależnie od podjętej decyzji.

- Och, jestem pewien, że się zdecydujesz! - Na twarz doktora powrócił uśmiech. - Ale nie myśl za długo. Po kolacji wstąpię jeszcze raz dowiedzieć się, co postanowiłeś.

Profesor spojrział na niego przenikliwie. Czy tylko mu się zdawało, czy w głosie Gravesa pobrzmiwała nuta groźby?

- Przemyślę to. - Odwrócił się gwałtownie.

- Zrób to - zakończył rozmowę Jonathan.

Mogens spokojnie czekał, aż rozlegnie się trzask zamykanych drzwi. Jednak gdy przez kolejne sekundy panowała cisza, bezwiednie zacisnął pięści. Spojrzął za siebie, jednak Gravesa już nie było.

VanAndt w pierwszej chwili zdębiał, ale zaraz sam sobie wydał się śmieszny. No i co z tego, że ktoś nie trzaska drzwiami?! Może Graves i nie jest sympatyczny, ale nie najgorzej wychowany!

Aby się czymś zająć, zaczął czytać tytuły na grzbietach książek, ale to nie pomagało. Jego myśli wciąż powracały do Gravesa i tajemniczej komnaty pod cmentarzem, aż

- -' - M 4 i
■ . > ■■ ■ 'i' f -■yęS
mtz* :■ ■ aa* A" —<* ..i.lv

ercer i pozostali wrócili dopiero dużo po zachodzie słońca. Już od dłuższej chwili słychać było warkot samochodu, zanim jeszcze zderzak wyłonił się z krzaków, a reflektory wydarły ciemności fragment błotnistej drogi. Mimo że Mogens nie znał się na samochodach, zdawało mu się, że rozpoznał dźwięk fordą, którym Tom odebrał go z San Francisco. Samochód jechał wolno i nie trzymał się linii prostej, światło reflektorów tak chaotycznie błędziło po placu, że Mogensa nie zdziwiłoby, gdyby auto wjechało w jeden z drewnianych domków. Jakimś cudem jednak ominęło wszystkie przeszkody, by zniknąć za budynkiem, za którym Tom zaparkował również inne samochody. Chwilę później profesora dobiegł dźwięk zatrzaskiwanych drzwiczek oraz zmieszane głosy i perlisty kobiecy śmiech. Śmiech Hyams.

Wewnętrzny głos doradził mu wejść z powrotem do domu. Nie miał nic przeciwko Hyams i reszcie zespołu, j4-,s ale nie sądził, by ich towarzystwo pomogło mu w podjęciu

w końcu poddał się i odszedł od regału. Niestety porządkowanie i sortowanie papierów też mu nie szło. Tylko zamiast porządku zrobił bałagan, a bałaganu nienawidził. Nie, potrzebował czegoś znacznie prostszego, by móc oderwać myśli od prośby doktora!

Może powinien pójść do Toma i poprosić go, żeby zaparzył mu kawy, a przy okazji zażądać wyjaśnień w sprawie zniszczonego kubka. Obszedł stół dookoła, żeby go zabrać, ale zgniecione emaliowanego naczynia już tam nie było.

Zmarszczył czoło zaskoczony. Wbrew zdrowemu rozsądkowi przeszukał wzrokiem cały stół, przykucnął nawet, by sprawdzić na podłodze, ale kubek po prostu zniknął.

"r- -r •{
'W'» -Vc
.-.if
I i;A

decyzji. Wtem trzy czarne sylwetki wynurzyły się zza domu i nagle zamarły w pół kroku. Głosy

zamilkły, tak jak i dźwięczny śmiech Hyams, a Mogens wiedział już, że było za późno. Zaraz po przerwie obiadowej Tom wyłączył generator, więc jak wczoraj był skazany na nikłe światło świeczek. Mimo to, gdy tak stał w otwartych drzwiach, trudno było go nie zauważyć.

- Drogi profesorze! - zawołał Mercer, podchodząc bliżej. - Tak późno jeszcze na nogach? Mogens oparł się pokusie demonstracyjnego spojrzenia na swój kieszonkowy zegarek. I tak wiedział, że nie było nawet dziewiątej. Niecałą godzinę temu Tom, nic nie mówiąc, przyniósł jedzenie. Mimo wcześniejszych zapowiedzi, Graves wciąż się nie zjawiał.

VanAndt nic nie odpowiedział, ale nie umknęło mu, że głos Mercera jest lekko bełkotliwy. Mogens łamał sobie głowę, jak splawić kolegów w możliwie grzeczny sposób, tak by nie pogorszyć ich i tak nie najlepszych stosunków. Ale nic nie wymyślił. Zresztą gdy tylko zobaczył twarz Mercera, uświadomił sobie, że i tak nic by to nie dało. Policzki kolegi były jeszcze bardziej różowe niż zwykle, a oczy połyskiwały wodniście. Kołysał się na boki przynajmniej tak mocno, jak przed chwilą ford, którym przyjechali. Mogens miał tylko nadzieję, że to nie pijany naukowiec siedział za kierownicą.

- Brakowało nam pana, profesorze - ciągnął Mercer wesołym tonem. - San Francisco to wspaniałe miasto! Następnym razem musi nam pan koniecznie towarzyszyć. Mogens nadal nic nie mówił, ale na jego rozmówcy nie robiło to żadnego wrażenia.

- Możemy wstąpić na małą pogawędkę w gronie kolegów, prawda? - Sapiąc, wtoczył swoje ogromne ciało na schody, a VanAndt pospiesznie ustąpił na bok.

- Oczywiście. - Mogens cofnął się jeszcze o krok i uczynił zachęcający gest w stronę pozostałej dwójki. McClure

■ ■

1

3

4:

ó

■ I

obrzucał go krótkim, proszącym o wyrozumiałość uśmiechem, natomiast z twarzy Hyams daremnie próbował coś wyczytać. Wyczuwał jedynie jej silną niechęć do siebie.

Mercer przemaszerował koło niego zadowolony i bez zaproszenia usiadł na jedynym krześle w pokoju.

- Następnym razem musi nam pan koniecznie towarzyszyć, profesorze - zachęcił ponownie, jeszcze bardziej bełkocząc. - Oczywiście jeśli nasz cerber panu pozwoli.

- Cerber?

- Graves - wyjaśnił McClure. - Mercer uwielbia tak nazywać doktora Gravesa, szczególnie gdy za dużo wypije, jak dziś. I oczywiście gdy Graves tego nie słyszy.

Mercer w odpowiedzi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Pan mi psuje zabawę, McClure - powiedział. - Dlaczego żałuje pan biednemu, staremu człowiekowi odrobiny rozrywki?

Mogens pomyślał, że była to wysokoprocentowa rozrywka.

- Nie chcemy panu oczywiście przeszkadzać. - Ponownie na twarzy paleontologa McClure'a dostrzegł wyrozumiały, ale i nieco współczujący uśmiech. - Na pewno ma pan za sobą męczący dzień.

- Zupełnie państwo nie przeszkadzacie, doktorze - skłamał profesor. - Obawiam się tylko, że nie mam czym państwa ugościć, najwyżej kubkiem zimnej kawy.

- Nic nie szkodzi - zapewnił Mercer, sapiąc i sięgając równocześnie po dzbanek. Na stole stała tylko jedna filiżanka, z której przed chwilą pił Mogens, co jednak zupełnie nie przeszkadzało pijanemu doktorowi. Nie bacząc na dawno już wystygłą resztkę kawy na jej dnie, dolał sobie świeżej z dzbanka. Zaraz potem sięgnął pod płaszcz, wyciągnął butelkę wódki i dolał sporą jej

porcję do napoju. McClure zmarszczył czoło z dezaprobatą, ale nic nie powiedział.

1.-.

1

Tii?

-i

- Jak spędził pan pierwszy dzień u nas, profesorze? -zwrócił się do Mogensa z lekko zakłopotanym uśmiechem.

- Prawdopodobnie tak jak państwo - odparł VanAndt. -Doktor Graves oprowadził mnie i wszystko pokazał.

Nie spojrział w tamtym kierunku, jednak kątem oka zarejestrował przenikliwe, wrogie spojrzenie, jakie rzuciła mu Hyams. Zaraz odwróciła się i podeszła do regału z książkami. Mogensowi to się nie spodobało, jednak nie znalazł żadnego przekonującego argumentu, by odciągnąć ją od biblioteczki.

- Państwa też oprowadzał, prawda? - spytał Mogens McClure'a.

- Poza terenem wykopaliska nie rozmawiamy o naszej pracy - odparł po chwili milczenia, nie patrząc mu w oczy. -Doktor Graves sobie tego nie życzy.

- A państwo postępujecie zawsze zgodnie z życzeniem doktora Gravesa - dodał Mogens. Natychmiast pożałował zjadliwej drwiny, tym bardziej że oczy McClure'a przybrały jeszcze bardziej zakłopotany wyraz. Hyams jednak odpowiedziała:

- Pod tym względem całkowicie zgadzamy się z doktorem Gravesem, profesorze. Dopóki nie zakończymy prac, absolutna dyskrecja jest najważniejsza. Prawdopodobnie nie zauważył pan tego jeszcze, ale nie wszyscy patrzą przychylnym okiem na to, co tu robimy. Jesteśmy bacznie obserwowani. Kto wie, może nawet podsłuchiwani? Chciałby pan, żeby ktoś ukradł owoce pańskiej pracy?

Mogensowi zdało się, że ostatnie zdanie wypowiedziała szczególnie dobitnie. Jeszcze bardziej nieprzyjemne było spojrzenie, jakim go obrzuciła.

- Oczywiście, że nie - odparł tak spokojnie, jak tylko potrafił. - Ja sam również nigdy nie zrobiłbym czegoś podobnego.

- No widzi pan, profesorze, my to samo możemy powiedzieć o sobie - chłodno podsumowała Hyams. Potem wskazała na regał. - Czy to pana książki?

- Tylko niektóre - rzekł Mogens. - Większość z nich dostarczył Graves.

- Osobliwy wybór. - Uczona pogrzyżyła się całkowicie w studiowaniu tytułów. - Jak pan mówił, kim pan jest z zawodu?

- Archeologiem - powiedział VanAndt, choć był pewien, że Hyams wiedziała o tym równie dobrze, jak pozostała dwójka i on sam.

Ona tymczasem wyjęła kilka książek, spojrzała na tytuły, raczej pobieżnie przewertowała, po czym odstawiła je na miejsce.

- Księga martwych imion? - Uniosła brwi. - I Atlantyda: świat przed potopem. - Zmierzyła Mogensa trudnym do odszyfrowania, ale niezbyt przyjemnym wzrokiem. - Cóż to ma być? Czy takie rzeczy potrzebne są w dzisiejszej archeologii?

- Nie. - Profesor zapanował nad sobą z największym trudem. - Interesuję się tą tematyką czysto prywatnie.

- Czarami?

- Okultyzmem - poprawił ją Mogens.

- Co to za różnica? - Hyams zmarszczyła brwi z pogardą. - Musi mi pan to wyjaśnić, profesorze.

Mogensowi zdawało się, że słowo „profesor" wypowiedziała jak zniewagę.

- Interesuje mnie naukowy aspekt tych zagadnień, pani doktor - zaczął, próbując być spokojny i rzeczowy. - Prawie każdy przesąd ma swoje źródło w rzeczywistości. Medycyna właśnie zaczyna odkrywać, że wiele tradycyjnych środków leczniczych to nie żadne hokus-pokus, tylko

substancje, które rzeczywiście mogą uzdrawiać.

li>2

* 'A

- Być może tak jest, być może nie. - Hyams wzruszyła ramionami, co jeszcze bardziej go zirytowało. - Ale przecież nie o tym mówimy i nie o to chodzi w tych książkach. Co z wiarą w demony i pogańskie bóstwa? Czy istnieje naukowy dowód na skuteczność zaklęć?

- Nie istnieje - przyznał otwarcie Mogens. - Jak również nie istnieje dowód na to, że nie są one skuteczne.

- Nie mówi pan chyba poważnie - jęknęła Hyams. - Czy bezsensowny bełkot może...

- Kto pani powiedział, że to bezsensowny bełkot? -przerwał jej VanAndt. - Nie wiem, co pani chce powiedzieć, pani doktor, ale proszę mnie przez moment posłuchać.

Uniosła pogardliwie lewą brew, ale milczała.

- Uważam, że w przyrodzie działa o wiele więcej sił, których nie rozumiemy, niż takich, które rozumiemy - zaczął Mogens. - Mam na myśli siły przyrody. Energię, pola sił, prądy.

Wodził pytającym wzrokiem od jednego słuchacza do drugiego. McClure przytaknął po chwili wahania, Mercer pociągnął jeszcze łyk kawy z wódką, natomiast Hyams nadal wpatrywała się w niego oczami bez wyrazu.

- Niektóre z tych sił rozumiemy, nad niektórymi potrafimy nawet zapanować - ciągnął VanAndt. - Modyfikujemy fale radiowe, by móc nadawać alfabetem Morse'a. Wytwarzamy prąd elektryczny, by oświetlać nasze domy, i ogrzewamy wodę, by napędzić jej parą maszyny.

- Mówi pan o energii, profesorze - zauważył McClure. -Nie o słowach.

- A czym innym są słowa, jak nie falami akustycznymi? - spytał Mogens tryumfującym tonem. - A jeśli wywołują one coś, o czym nie mamy pojęcia? Jeśli mają związek z siłami przyrody, istnienia których być może w ogóle się nie domyślamy?

- Oczywiście - powiedziała Hyams z kpiną w głosie. -Ale jacyś tam celtyccy druidzi sprzed pięciu tysięcy lat wiedzieli o nich.

- Być może - podchwycił VanAndt. - Oczywiście nie mieli pojęcia o istnieniu energii elektrycznej, o promieniowaniu i polach sił. Ale może potrafili zaobserwować pewne zjawiska. Może odkryli, że pewne dźwięki pociągają za sobą określone zdarzenia. To, co zaobserwowali, ułożyli w słowa, nie domyślając się, że to nie słowa, a układ fal dźwiękowych wywołuje określoną reakcję.

- To jakieś bzdury - machnęła ręką Hyams. Mogens wzruszył ramionami.

- Nie mówię, że tak było, ale że mogło tak być.

- No tak, oczywiście - odparła ironicznie uczona. -I z pewnością istnieje także diabeł, wilkołaki i latające demony.

- Żyły już na tej planecie stworzenia, które nawet nam wydałyby się podobne do demonów - odpowiedział profesor spokojnie. - Być może istnieje coś takiego jak pamięć zbiorowa, bo dlaczego pewne archetypy pojawiają się we wszystkich epokach i kulturach? Wszyscy mamy te same pierwotne lęki, pani doktor. Obojętne w jakiej części świata urodziliśmy się czy w jakim kręgu kulturowym dorastaliśmy. Może to, co czujemy, to wspomnienia naszych przodków od milionów lat zapisane w naszej zbiorowej pamięci.

Hyams zaśmiała się sucho.

- I pan siebie nazywa naukowcem?

- Nie postawiłem żadnych tez - zauważył Mogens delikatnie. - Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego interesuję się tą tematyką.

- Jako naukowiec rozumiem. - Znow zaśmiała się drwiąco, ale nagle w jej wzroku coś się zmieniło. Uśmiech

15-4- zniknął, oczy wyglądały teraz jak wąskie szparki. Wpatry-

3uł- il

\ 5 '

wała się w Mogensa z zupełnie innym wyrazem wrogości na twarzy.

- VanAndt - wymamrotała. Gwałtownym ruchem odwróciła głowę, przez chwilę wpatrywała się w regał z książkami, potem znów przeniosła wzrok na profesora. - Ależ oczywiście! Wiedziałam, że gdzieś już słyszałam pana nazwisko.

- Co to ma znaczyć, moja droga? - spytał McClure.

Oczy Hyams stały się lodowate, ich spojrzenie paraliżowało Mogensa.

- Powinien sam pan o to spytać naszego nowego kolegę - powiedziała. - Dobranoc, profesorze!

Po tych słowach wyszła. Mogens chciał ją zatrzymać, w ostatniej chwili pojął jednak bezsensowność zamierzenia i opuścił uniesioną dłoń. Hyams zostawiła za sobą otwarte drzwi, bo - jak domyślał się Mogens - prawdopodobnie były po prostu za ciężkie, by mogła nimi trzasnąć. Na chwilę zapanowała krepująca cisza, którą w końcu przerwało nieprzyjemne chrząknięcie McClurea.

- My też już pójdziemy - powiedział. - To był męczący dzień. Chodźmy, doktorze. Jestem pewien, że profesor Van-Andt również potrzebuje spokoju. - Począł, aż Mercer, ociągając się, wstanie z krzesła, potem zmusił się jeszcze raz do spojrzenia Mogensowi w oczy. - Dobranoc. Profesor skinął tylko sztywno głową w jego stronę. Minęło dobre pół minuty po ich wyjściu, nim Mogens wyrwał się z odrętwienia, podszedł do drzwi i zamknął je za swoimi gośćmi. Tak więc wyglądała jego pierwsza poważniejsza rozmowa z nowymi kolegami - jednym słowem katastrofa. „Sytuacja ma przynajmniej jedną dobrą stronę - pomyślał - gorzej już być nie może”.

A jednak miał się mylić.

Jonathan Graves nie przyszedł już tego wieczora. Mogens nosił się z zamiarem wstąpienia do niego, w końcu ich domki dzieliło zaledwie kilka kroków, ostatecznie jednak zrezygnował i położył się wcześniej spać. Ku własnemu zaskoczeniu zasnął momentalnie i obudził się dopiero następnego ranka, odprężony i wypoczęty.

Nie obudził się sam, ze snu wytrąciła go cicha krzątanina i szuranie gdzieś tuż obok niego. Zanim jeszcze otworzył oczy, do jego nozdrzy doszedł zapach świeżo parzonej kawy.

Mogens uniósł głowę i zobaczył Toma. Zapach kawy mieszał się z wonią smażonego boczku i jajek. Profesorowi zaburzało głośno w brzuchu, a wtedy chłopak odwrócił gwałtownie głowę. W pierwszym momencie popatrzył na VanAndta zaskoczony, potem jednak się uśmiechnął.

- Dzień dobry, profesorze. Mam nadzieję, że pana nie zbudziłem.

Profesor podniósł się wyżej, spuścił nogi z łóżka i na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Niby czuł się wypoczęty i świeży, ale w pierwszym momencie tak rozespany, że z trudem powstrzymał ziewanie.

- Owszem, obudziłeś mnie - powiedział. - Nie ma sensu przygotowywać tak pysznego śniadania, po to żeby wystygło. - Opuścił ręce, wciągnął ostentacyjnie powietrze nosem i spojrzał na nakryty stół. - Czy Graves kazał ci dać mi coś delikatnie do zrozumienia?

- Co pan ma na myśli? - spytał Tom zdezorientowany.

- To porcja jak dla robotnika - objaśnił Mogens, śmiejąc się. - Czyżby zapomniał mi wspomnieć, że mam całkiem sam odkopać świątynię kilofem?

- O ile dobrze sobie przypominam, mowa była raczej o łyżce - odpowiedział Tom śmiertelnie poważnie, zaraz potem potrząsnął jednak głową i ciągnął dalej z uśmiechem na twarzy: - Prawdę mówiąc, dostał pan podwójną porcję.

Doktor Mercer nie chciał dziś śniadania, a szkoda było wyrzucić. - Uśmiech chłopaka nabrał ironicznego wyrazu. - Wydaje mi się, że nie czuje się dziś najlepiej.

- Wczoraj wieczorem w każdym razie czuł się doskonale. - Profesor wstał, wygrzebał zegarek kieszonkowy z kurtki, którą z braku wieszaka przewiesił przez oparcie krzesła, i otworzył kłapkę. Dopiero dochodziła szósta, co nawet dla Mogensa, który nie należał do śpiochów, było porą wyjątkowo wczesną.

- Mam nadzieję, że nie wejdzie ci w krew naganny zwyczaj budzenia mnie w środku nocy - powiedział, ziewając.

Tom zamrugał oczami.

- Wcześniej?

Mogens wykrzywił twarz.

- Już dobrze - westchnął. Sięgnął po dzbanek, by nalać sobie kawy, zawahał się jednak i najpierw poddał filiżankę wnikliwym oględzinom. Usatysfakcjonowany ich wynikiem napełnił naczynie i wypił kawę jednym haustem.

- Proszę usiąść, profesorze - powiedział Tom. - Ja to zrobię.

- Dziękuję - odpowiedział Mogens, jednak zamiast spocząć, odstąpił krok od stołu i trochę zakłopotany wskazał głową w stronę drzwi. Ponieważ dopiero co wstał, odczuwał potrzebę fizjologiczną, jednak krępował się o tym powiedzieć. - Zaraz wracam.

Odpowiednie ustronne miejsce znajdowało się niedaleko domków, w połowie drogi do krzaków, które oddzielały obóz od cmentarza. VanAndt szybkim krokiem skierował się w tamtą stronę. Słońce jeszcze nie wzeszło i panował dotkliwy chłód. Pomyślał z utęsknieniem o smakowitym śniadaniu, które przyrządził Tom i zaraz przyspieszył kroku, by jak najszybciej wrócić do kwatery. Nie przeszedł jeszcze pół drogi, gdy usłyszał warkot silnika. Zatrzymał się zaskoczony.

Za żywoplotem rozbłysła para reflektorów, a po chwili spomiędzy gałęzi wyłonił się samochód. Mogens instynktownie uskoczył na bok, by nie wpaść pod koła. Nie było to konieczne, gdyż auto przejechało wprawdzie z dużą prędkością, ale i w znacznej odległości od niego. Mimo to profesor przestraszył się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

Zresztą prawdziwy złodziej też by się pewnie przestraszył, bo był to samochód policyjny.

Zamiast wrócić do swojego domku i czekającego na niego śniadania, Mogens szybkim krokiem podążył za wozem. Samochód przejechał tak blisko namiotu rozbitego pośrodku obozu, że cienki materiał niczym żagiel zatrzepotał na wietrze. Następnie wóz skierował się w stronę domku Gravesa i zahamował tak gwałtownie, że bagnista ziemia przysła spod kół. Mogens znów przyspieszył kroku, tak że prawie biegł.

Z auta wysiadł krępy mężczyzna w absurdalnie dużym kapeluszu. Praktycznie w tym samym momencie otworzyły się drzwi i z drewnianego domku wyszedł Graves. Profesor był jeszcze zbyt daleko, aby dojrzeć twarze obydwu mężczyzn, jednak mimo odległości wyczuł panujące między nimi napięcie. Przyspieszył jeszcze kroku. Dotarł do Gravesa i jego umundurowanego gościa, gdy ten właśnie uchylił swojego ogromnego kowbojskiego kapelusza.

- Mogens! - Doktor nie ukrywał, że nie jest zachwycony pojawieniem się kolegi. - Tak wcześnie na nogach?

Profesor aż się wystraszył wyglądu Gravesa. Nie minęła jeszcze doba, odkąd go widział, a doktor sprawiał wrażenie starszego o kilkadziesiąt lat. Jego twarz była zapadnięta, policzki poszarzały, lecz z oczu wyzierała taka dzikość, że VanAndt musiał zapanować nad sobą, by na jego widok nie cofnąć się mimowolnie. Doktor Graves ewidentnie nie miał za sobą dobrej nocy.

v.ri filipyJ&:

- Nie mogłem już spać - odpowiedział Mogens i dodał, wskazując głową na wóz policyjny: - Ostatnio ruch samochodowy jest coraz dokuczliwszy. A przecież specjalnie wyprowadziłem się na wieś, żeby mieć spokój. - Uśmiechnął się ironicznie, jednak poczuł, że ten i tak kiepski żart nie odniósł spodziewanego skutku. Graves wykrzywił usta, a policjant spojrzał na nieznanego wesołka tak zdumiony, jakby potraktował jego słowa poważnie.

- Profesor Mogens VanAndt - przedstawił go doktor. -Mój nowy współpracownik. A to szeryf Wilson.

- Miło mi. - Wilson skinął lekko głową raczej nieprzychylnie niż neutralnie i właśnie miał coś dodać, ale Graves go uprzedził.

- Co pana do nas sprowadza o tak wczesnej porze, szeryfie? - spytał. - Wie pan, że nie lubię, gdy obcy wchodzą na mój teren.

Policjant odwrócił się w stronę naukowca, a z jego twarzy ulotnił się ostatni ślad życzliwości.

- Mam tylko kilka pytań, doktorze - wyjaśnił chłodno. -Chodzi o członka zespołu geologów, który ma obóz po przeciwnej stronie. Dokładniej rzecz biorąc, o doktora Phillipsa.

- Phillips? - Graves spochmurniał jeszcze bardziej. -Nie wiem, kto to taki.

- Mam jeszcze coś do załatwienia - powiedział Mogens, chcąc natychmiast odejść, ale Wilson zatrzymał go nieznacznym ruchem ręki.

- Nie, proszę zaczekać, profesorze - powiedział. - Być może również do pana będę miał kilka

pytań.

- Ale ja tu jestem dopiero od wczoraj!

Wilson zignorował jego odpowiedź i zwrócił się ponownie do Gravesa:

- Trochę mnie to dziwi. Twierdzi pan, iż nie zna doktora Phillipsa, doktorze. Przecież rozmawiał pan z nim wczorajszego ranka. > „

- Ja? - Graves zrobił wielkie oczy.

- Są świadkowie, którzy widzieli ostrą kłótnię pomiędzy doktorem Phillipsem a panem - stwierdził Wilson. - Tutaj.

Przez ułamek sekundy Graves nie patrzył na Wilsona, lecz zmierzył Mogensa wzrokiem prawie nienawistnym. Zapanował jednak nad sobą i zwrócił się do szeryfa.

- Ach, to ten! - Wydał pogardliwie usta. - Tak, to prawda, nie wiedziałem tylko, że nazywa się Phillips. Był tutaj, rzeczywiście.

- Przyznaje pan więc, że doszło tutaj do kłótni? - upewnił się Wilson.

- Cały ten obszar to teren prywatny, szeryfie - powiedział Graves chłodno. - Już pół roku temu zabroniłem szanownym kolegom geologom wchodzić na moją posiadłość. Jak sam pan wie, permanentnie łamią ten zakaz. Przyłapałem na mojej ziemi obcego, który nie miał tu czego szukać. Nie byłem tym zachwycony. - Zarówno jego spojrzenie, jak i ton głosu stawały się coraz bardziej zuchwałe. - Warto zaznaczyć, że zadaniem władz jest czuwanie nad przestrzeganiem moich praw jako obywatela i posiadacza ziemskiego.

- Przynajmniej Phillipsa nie musi się pan już obawiać, doktorze - odparł Wilson. - Zapewniam, że nie będzie się już panu naprzykrzał. Dziś w nocy niedaleko stąd znaleziono jego ciało.

- Nie żyje? - wypalił Mogens mimowolnie, czym zwrócił na siebie uwagę nie tylko Gravesa, ale też Wilsona. Najchętniej ugryzłby się w język.

- Można tak założyć, skoro znaleziono jego ciało - zauważył Jonathan rozgniewany. - Co się stało? - spytał Wilsona. - Wypadek?

- Nie wiemy jeszcze dokładnie - przyznał policjant. - Trwa obdukcja ciała, jest w straszliwym stanie, jakby rozszarpało go dzikie zwierzę. Chociaż trudno mi sobie wyobrazić drapieżnika, który byłby w stanie zrobić coś takiego.

- I teraz myśli pan, że to ja go zabiłem? - spytał Graves szyderczo.

- Pan był ostatnią osobą, która rozmawiała z doktorem Phillipsem - odpowiedział spokojnie Wilson. - Później nikt więcej już go nie widział. Muszę zadać to pytanie.

- Co z pewnością sprawia panu ogromną przykrość - podchwycił Jonathan. Pokręcił gniewnie głową. - Muszę pana rozczarować, szeryfie. Może postrzeliłbym bliźniego, który bezprawnie postawi stopę na mojej ziemi, ale nigdy nie posunąłbym się do morderstwa. Nie mam również w zwyczaju rozszarpać intruzów na strzepy. - Machnął ręką zniecierpliwiony. - Jeśli to już wszystkie pytania, to przykro mi, że nie mogę panu pomóc, szeryfie.

Wilson odwrócił się w stronę Mogensa i poprawił swój za duży kapelusz, co jednak nie dodało mu powagi, raczej śmieszności.

- A pan, doktorze...?

- VanAndt - przyszedł mu z pomocą Mogens. - Profesor VanAndt.

i

Wilson wzruszył ramionami, dając tym samym do zrozumienia, jak mało obchodził go tytuł naukowy Mogensa.

- Więc, profesorze VanAndt, widział pan wczoraj doktora Phillipsa?

- Nie - odparł ten zgodnie z prawdą.

- Wielka szkoda - westchnął szeryf. - Jeśli przypomniałby pan sobie, profesorze, coś, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu tej straszliwej historii, proszę mnie niezwłocznie powiadomić. Ta sama prośba do pana, doktorze. - Palcem wskazującym i środkowym dotknął krawędzi swojego śmiesznego kowbojskiego kapelusza, wsiadł do wozu i odjechał.

*

161

- a

9

M

*u l * *,

igp

im

Graves patrzył posepnie za odjeżdżającym bardzo powoli samochodem. Potem odwrócił się z nie mniej ponurym wyrazem twarzy do Mogensa.

- Mały głupi człowieczek - powiedział. - Wydaje mu się, że jest Sherlockiem Holmesem i Wyattem Earpem w jednej osobie, tylko dlatego że już kiedyś usłyszał słowo blef. Co on sobie wyobraża, że kim jest?

- Nie sądzisz więc, że ja...? - zaczął Mogens, jednak Jonathan przerwał mu momentalnie.

- Że mogłeś coś usłyszeć albo zobaczyć, c© zainteresowałoby tego półgłówka? - Uśmiechnął się wilczo i, jak się wydało Mogensowi, bynajmniej nie w sensie przenośnym. W nikłym świetle wstającego dopiero poranka jego twarz rzeczywiście przypominała Mogensowi wilka, który z wyszczerzonymi zębami mierzył wzrokiem swoją ofiarę. - O czym ty myślisz? Oczywiście, że nie! Ten zakłamaný strażnik prawa robi mi trudności, odkąd tu jestem, ale nie można mu odmówić pewnego sprytu. Wie, że jesteś tu nowy i próbuje zasiać między nami niezgodę. Właśnie dlatego tacy ludzie są niebezpieczni. Być może nie są specjalnie inteligentni, ale nie można ich zupełnie lekceważyć.

VanAndt z trudnością skupiał się na jego słowach. Z twarzą Gravesa było coś nie tak. Zdawała się... zmieniać. Była coraz bardziej wilcza, chociaż nie chodziło wcale o przemianę fizyczną. Po prostu przez wymęczoną, ale wciąż ludzką twarz Jonathana coraz wyraźniej przebijało drapieżne zwierzę ukryte pod zewnętrzną powłoką.

- Ale dlaczego szeryf miałby to robić? - spytał Mogens. Nie żeby koniecznie chciał znać odpowiedź, ale było to pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy. Musiał przestać wpatrywać się w Gravesa. A nie potrafił.

- Ponieważ mu za to płacą - odszczeknął doktor. - Te przeklęte krety próbują mnie stąd wypędzić, odkąd się

zjawiłem. Ale nie uda im się to! - Gniew w jego ciemnych, teraz jakby głębiej osadzonych oczach przerodził się w dziką nienawiść. Cienka strużka śliny spłynęła mu po brodzie, czego najwyraźniej nie zauważył.

- Ale jaki powód mogliby mieć geolodzy, żeby cię stąd wyrzucać? - spytał profesor. - Przecież są naukowcami, tak samo jak my!

- Nigdy więcej nie porównuj mnie z tymi... dyletantami! - Graves warknął, i to wcale nie w sensie przenośnym, jak pomyślał VanAndt, wzdrygając się. - A teraz Mogensie, idź zjeść śniadanie. Mamy przed sobą długi, męczący dzień. Za pół godziny będę na ciebie czekał na dole w świątyni.

4

Mogens zjawił się na swoim nowym miejscu pracy z ponadgodzinnym spóźnieniem, choć nie kierowała nim przekora. W każdym razie nie tylko. Główną przyczyną był strach przed ponownym spotkaniem z Gravesem.

Na próżno próbował zwalczyć w sobie to bezpodstawne uczucie. Nie miał przecież żadnych powodów, by bać się Jonathana. Jeszcze tydzień temu miałby ich tysiące, ale teraz było już po wszystkim - stanął oko w oko ze swoim demonem z przeszłości. Nie powinien drzeć przed Gravesem. Mógł go nienawidzić, pogardzać nim i brzydzić się do głębi - ale nie musiał się go już bać.

A jednak się bał.

Gdy schodził po drabinie, jego ruchy stawały się coraz powolniejsze. Idąc korytarzem do pierwszej groty, próbował sobie uświadomić własne uczucia. Wiedział, rzecz jasna, że twarz Gravesa tak

naprawdę wcale się nie zmieniła.

Jakaś dziwna gra promieni dopiero co wstającego słońca, własne zaspanie i nerwowość albo mieszanka wszystkich tych czynników... Ludzie, nawet tak wstrętni jak Jonathan, nie przeobrażają się w straszliwe postaci. Problem polegał na tym, że Mogens był gotowy uwierzyć w każdą bzdurę, która stawiałaby Gravesa w złym świetle.

Później uświadomił sobie, że rzeczywiście jakaś jego cząstka niecierpliwie czekała, aż Wilson wyrazi coś więcej niż tylko ostrożne podejrzenie w stosunku do doktora. Pragnął, żeby okazało się ono prawdziwe. Być może tak naprawdę nie o Gravesa, a raczej o siebie powinien się zatroszczyć. To, że nigdy nie wybaczy Jonathanowi i przez całe życie będzie go nienawidził, a przynajmniej nim pogardzał, było dla niego jasne, tak samo jak musiało być oczywiste dla samego Gravesa. Mogens był jednak przestraszony intensywnością swojej nienawiści. Może prawdą było, co mówią psychologowie, że pewna dawka myśli o zemście jest zdrowa i pomocna przy radzeniu sobie z traumatycznymi przeżyciami. Jednak uczucie, które nim zawładnęło, z pewnością wykraczało poza zdrowe granice.

Gdy doszedł już prawie do końca tunelu, ciągle zwalniając kroku, nagle usłyszał przed sobą głos Gravesa, zaraz potem głos doktor Hyams, który brzmiał krzykliwie, prawie histerycznie. Profesor zrobił jeszcze dwa kroki naprzód, po czym zatrzymał się, gdy zrozumiał, że trafił na kulminacyjny moment ząartej kłótni.

- ...prawdę mówiąc, nie do końca rozumiem pani zdenerwowanie - mówił Graves. - Brakuje pani czegoś? Potrzebuje pani jakichś materiałów? Więcej pieniędzy? Większej samodzielności w podejmowaniu decyzji?

- Nie o to chodzi i, do diabła, dobrze pan o tym wie! - odszczeknęła Hyams. - Od roku harujemy dla pana niczym

żą niewolnicy! Prawie nie widzimy światła dziennego i nie możemy uronić ani słówka na temat naszej pracy, mimo że być może mamy do czynienia z najbardziej sensacyjnym odkryciem tego wieku!

- „Ponieważ”, moja droga! - przerwał jej Jonathan. - „Ponieważ”, nie „mimo że”.

- Tere-fere - fuknęła Hyams. - Chodzi o to, że od roku staramy się prowadzić poważne badania naukowe, a tu pan ściąga tu tego... tego czarnoksiężnika!

Mogens usłyszał już dostatecznie dużo. Było dla niego jasne, że nadszedł w najgorszej z możliwych chwil, ale nawet to nagle stało mu się obojętne. Skradanie się na palcach przez skład porcelany, przez który wcześniej przeleciał huragan, nie miało zbytniego sensu. Ruszył dalej, kierując się energicznym krokiem w stronę Gravesa i Hyams. Zarejestrował mimochodem, że pozostała dwójka również jest obecna. McClure wyraźnie czuł się nieswojo, a gdy zobaczył VanAndta, jego skrepowanie jeszcze się wzmogło. Mercer wyglądał tylko na zmęczonego i musiał niezmiernie wysilać umysł, by w ogóle nadążyć za tokiem rozmowy.

- Długo już pan tam stoi i podsłuchuje? - wrogo powitała profesora Hyams.

- Podsłuchiwanie nie było konieczne - odpowiedział Mogens. - Mówiła pani dostatecznie głośno.

Obrzucił Gravesa krótkim, badawczym spojrzeniem i spojrzał ponownie na wściekłą doktor archeologii. Musiał się opanować, by nie powiedzieć ani nie uczynić czegoś, co by ją mogło sprowokować. „Czarnoksiężnik” bynajmniej nie należało do najgorszych słów, jakim określono go w ostatnich latach, jednak i tak było irytujące.

- Przykro mi niezmiernie, że myśli pani o mnie w ten sposób, pani doktor - powiedział z wymuszonym spokojem. - Naprawdę sądziłem, że wczoraj wieczorem zrozumiała pani to, co próbowałem wyjaśnić. Nie mam nic

wspólnego z czarną magią i czarami. Jestem naukowcem tak samo jak pani!

- I to jednym z najlepszych, jakich znam - wtrącił Graves. Hyams wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć, ale Jonathan zgasił ją władcym gestem i ciągnął podniesionym głosem: - Dosyć tego! Nie będę tolerował dziecinnych scen zazdrości! Nie mamy na to czasu! Mogę panią zapewnić, Suzan, że profesor VanAndt nie jest tu po to, by kwestionować pani w pełni zasłużoną sławę ani również panów, drodzy koledzy. Za kilka dni zrozumieją państwo, dlaczego poprosiłem profesora o

pomoc. I do tego czasu bardzo proszę o odrobinę dyscypliny, jakiej mogę chyba oczekiwać od badaczy z państwa prestiżem!

Ku zaskoczeniu Mogensa nikt się nie sprzeciwił. Nawet Hyams rzuciła mu tylko wyzywające spojrzenie i odwróciwszy się, przekornie wykrzywiła usta. McClure i Mercer udawali, że są bardzo zajęci, choć stali z pustymi rękoma.

- Chodź, Mogensie. - Graves uczynił w jego stronę gest nie mniej władczy niż ten, którym uciszył Hyams. - Czekają nas sporo pracy!

Profesor ruszył za nim zupełnie automatycznie, gdy ten podszedł do drewnianych drzwi zamykających korytarz pokryty hieroglifami. Zerknął jeszcze na Hyams i pozostałą dwójkę. Ponieważ należał do tego samego gatunku co oni, dobrze wiedział, jak alergicznie naukowcy reagują na despotów. Dlatego tym bardziej nieprawdopodobne było dla niego, że Hyams, Mercer i McClure dali się zbesztać Gravesowi jak zastraszeni uczniacy. Nawet on sam zupełnie instynktownie usłuchał władczego tonu doktora.

Przebyli korytarz w tak szybkim tempie, że zanim Mogens zdążył poukładać myśli, już stali przy kracie po drugiej stronie tunelu. Była otwarta, ale gdy tylko Mogens przeszedł obok Gravesa, ten zatrzasnął kłódkę i przekręcił klucz, po czym schował go do kieszeni kamizelki. Profesor spojrzał na niego pytająco, ale i z pewnym niepokojem w oczach. Nigdy nie lubił przebywać w zamknięciu.

- Chcę mieć pewność, że nikt nam nie będzie przeszkadzać - wyjaśnił Jonathan. - Normalnie otwieram te drzwi tylko w niedzielę, gdy Hyams i reszta są w mieście.

- I ty się dziwisz, że są coraz bardziej nieufni? - spytał Mogens.

Graves w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i poszedł dalej. Najwyraźniej nie był gotów, by kontynuować ten temat.

Skierowali się w stronę tajemnych drzwi, tak jak tego oczekiwał profesor. Ku jego zaskoczeniu były szeroko otwarte. Dopiero teraz, gdy stanął tuż przy nich, zauważył gruby kabel wijący się po podłodze. Zniknął w korytarzu za drzwiami.

Kolejnym, dużo większym zaskoczeniem była smukła postać, która wyszła im naprzeciw, kiedy tylko zrobili kilka kroków w głąb tunelu.

- Tom?! - wykrzyknął Mogens.

Chłopak skinął przelotnie głową w jego stronę, nim zwrócił się do Gravesa:

- Prawie skończyłem, doktorze. Muszę jeszcze tylko przynieść kilka lamp i je podłączyć.

- Instalacja musi być gotowa dopiero na dzisiejszą noc - odpowiedział Jonathan. - Możesz to zrobić po podaniu kolacji. Teraz idź i odpocznij kilka godzin.

Tom skinął głową z wdzięcznością i oddalił się szybko. Doktor patrzył za nim, dopóki nie opuścił korytarza, a jego kroki nie ucichły całkowicie.

- Chłopak pracował całą noc - dodał cicho, lekko kręcąc głową.

_ 33»

- Sądziłem, że zależy ci, by nikt się nie dowiedział o tym przejściu - zauważył VanAndt.

- To prawda - potwierdził Graves. - Nikt, kto i tak nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia i z tego, dokąd prowadzi. - Uśmiechnął się przelotnie. - Nie lekceważ nigdy ciekawości dziecka, Mogensie. Hyams i pozostała dwójka być może spekulują, co tu znalazłem, ale Tom wiedział o tym już krótko po mnie. - Wzruszył ramionami. - Potrzebujemy światła do naszej pracy. Mnie nie uśmiechało się kłaść kabli i montować lamp, nie mówiąc już o tym, że nie potrafiłbym tego zrobić. A ty byś potrafił?

Profesor pokręcił przecząco głową.

- Ufasz Tomowi? - spytał.

- A czy mam inne wyjście? - zaśmiał się Graves, jednak natychmiast spoważniał. - Ufam Tomowi. Być może jest tu jedyną osobą, której naprawdę mogę zaufać. Oczywiście nie licząc ciebie - dodał, uśmiechając się subtelnie.

- Oczywiście - powtórzył Mogens.

Jonathan znów wyjął karbidową lampę z wnęki w ścianie i zapalił ją. Poszli dalej. Czarny kabel, gruby jak ręka Mogensa w nadgarstku, leżał w ciemnościach niczym sploty węża i wskazywał drogę, jednak kończył się przed stertą gruzu, która oddzielała korytarz od sali rytualnej. Tak jak dzień wcześniej Graves pierwszy wszedł na przeszkodę. Tym razem postawił zapaloną lampę na szczycie sterty w taki sposób, że jej jaskrawe światło przynajmniej nie wyciskało łez z oczu Mogensa.

Gdy profesor wszedł, Graves właśnie zapalał lampy naftowe, tym razem aż cztery. Dzięki temu światło było dwa razy jaśniejsze niż poprzednio, lecz mimo to nie rozpraszało tej jakby zbyt lepkiej ciemności, jedynie przez kontrast podkreślało czerń poza swym kręgiem. Mogens znów miał wrażenie, że widzi duże, dziwacznie poruszające się

PT •. •

cienie, podchodzące do światła - ciekawe, a jednocześnie zaniepokojone.

- Skoro tu jesteś, zakładam, że nie muszę już pytać

0 twoją decyzję - powiedział Graves, podając VanAndtowi dwie z czterech lamp. -

Zaczynamy więc. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Mogens wziął posłusznie latarnie i podążył za doktorem w stronę niekształtnych schodów prowadzących do olbrzymiej bramy z dwoma strzegącymi jej wartownikami. Migoczące światło zdawało się potęgować osobliwą grę cieni

1 złudzenie, że się poruszają. Nie powinni tam iść. Olbrzymia brama nie bez powodu wykonana z metalu posiadała swój sens, a i obydwaj przypominający ośmiornice, demoniczni strażnicy nie stali tam na górze jedynie z powodu fantazji starożytnego artysty.

- Czego dokładnie oczekujesz teraz ode mnie? - Profesor czuł się bezsilny. Gorzej nawet: czuł się zupełnie nie na swoim miejscu, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie powinno go tu być. Graves <dotąd wyprzedzał Mogensa o kilka kroków, teraz jednak zatrzymał się, zanim snop światła jego lampy całkowicie wyrwał monstrualne posągi ciemnościom, w których spały - czekały? - od tysięcy lat.

- Gdybym wiedział, czego oczekuję, nie byłoby cię tutaj - odparł.

Podniósł jedną z latarni, ale mimo to jej światło wciąż nie docierało do olbrzymich stworzeń z głową ośmiornicy przycupniętych na czarnych piedestałach. W ostatnim momencie odbijało się, cofało jak ręka, która zbliżywszy się zbyt blisko do ognia, chce uniknąć oparzenia. Z kolei osobliwa kamienna postać, podobnie jak cienie, zdawała się zbliżać do światła, nie mogąc jednak przekroczyć migoczącej bariery. Cienie na granicy rozmytej promieniami lampy,

starające się je pochłonać, tak jak od zarania dziejów mrok oblega jasność, tocząc z nią wieczną wojnę, której ostateczny wynik jest przesądzony.

Zamiast wejść po schodach, Mogens odwrócił się w stronę najbliższej ściany, by poddać widniejące na niej malowidła i hieroglify gruntowniejszym oględzinom.

rzez następne dwa czy trzy dni Mogens prawie nie widywał swoich nowych kolegów, w znacznej mierze

dlatego, że McClure i Hyams unikali go, a on z kolei unikał towarzystwa Mercera. O ile w pierwszej chwili otyły pijaczyna wydał mu się sympatyczny, o tyle już po krótkim czasie odczuł nieprzewidywany wstręt do jego sposobu bycia.

Taka sytuacja nie przeszkadzała mu jednak. VanAndt przez całe życie był odludkiem, a w minionych latach przyzwyczał się wręcz do samotności. Poza tym praca pochłonięła go wkrótce bezgranicznie.

Tom jednak już nie wrócił, by położyć kabel i zainstalować lampy, ale Mogensa zbytnio to nie zmartwiło. Wręcz przeciwnie, myśl o doprowadzeniu do podziemnych katakumb sztucznego światła napawała go niepokojem. Było coś jeszcze - im więcej odnajdywał symboli i wizerunków ściennych, tym mniej chciał na nie patrzeć. Paradoksalnie im bardziej pragnął rozwiązać tajemnicę

prastarego pisma obrazkowego, im większa była jego fascynacja, tym silniejszy odczuwał lęk. Wkrótce zaczął traktować ciemność -która za pierwszą jego bytnością w tym miejscu sprawiła, że poczuł się nieswojo - jak przyjaciela, ponieważ litościwie kryła przed jego wzrokiem budzące dreszcze obrazki i rzeźbione posągi bóstw. Gdy był sam w komnacie, oświetlenie ograniczał do minimum i częstokroć pracował tylko przy jednej lampie naftowej. Jednak większość czasu spędzał w swojej kwaterze, siedząc samotnie nad książkami, które sprowadził dla niego Graves. Szybko zdał sobie sprawę, jak bezsensowna jest praca bez wyznaczonego celu, na chybił trafił. Jeśli chcieli trafić na trop o wiele większej, mroczniejszej tajemnicy komnaty, musiał najpierw rozwiązać zagadkę prastarego pisma, gdyż tu, jego zdaniem, tkwiło sedno.

Nie oznaczało to nic innego, jak to, że Mogens podjął się rozszyfrowania zupełnie nieznanego języka, którego korzenie nie tylko sięgały być może tysięcy lat wstecz, ale którego nie dało się również porównać z niczym, co kiedykolwiek wcześniej widział. Każdy inny na miejscu VanAndta zapewne skapitulowałby wobec takiego zadania, on jednak podjął wyzwanie - co prawda bez przekonania, jednak z ogromnym zapałem.

Bez wątplenia przydałaby mu się pomoc Hyams. Od razu sobie uświadomił, że malowidła ściennie stanowiły mieszankę egipskich hieroglifów oraz innego, o wiele starszego pisma. Hyams z pewnością nie miałaby kłopotów z rozróżnieniem już na pierwszy rzut oka tych dwóch tak odmiennych rodzajów znaków. Przygotowanie ogólnego schematu, na podstawie którego mógł próbować rozgryźć to pismo, zabrało Mogensowi cały dzień. Mimo to w jego głowie nawet nie powstała myśl, by poprosić Hyams o radę. Pomijając już, że zapewne odmówiłaby pomocy przy jego „czarach”, Graves z pewnością nie pozwoliłby na to, by kolejna osoba poznała tajemnicę sanktuarium.

Mimo wszystko bardzo powoli profesor posuwał się naprzód. Drugiego dnia wieczorem skończył opracowywać rodzaj uproszczonego alfabetu, który zresztą w niemałej części odgadł, po czym zabrał się za szukanie podobnych symboli w dostępnych mu materiałach.

■ ■ sń.'

■ f W*

Zajął mu to kolejny dzień, nim w końcu w jednej z książek natknął się na symbol skądś jakby znajomy. Nie był on identyczny z tymi, które widział pod ziemią, nawet nie bardzo do nich podobny. Kto inny prawdopodobnie nawet nie zauważyłby podobieństwa. Było jednak w tym znaku coś, co przypominało Mogensowi malowidła ściennie w komnacie. Symbol, który znalazł w prastarej, pisanej ręcznie książce, emanował taką samą mocą, wywoływał w jego duszy taki sam zamęt jak rysunki w katakumbach.

Wkrótce odnalazł kolejny symbol, i jeszcze następny, aż w jego umyśle jakby otworzyły się wrota, ?a którymi zrozumienie, do tej pory nieuchwytnie, leżało starannie poukładane w stosiki, czekając tylko, by zrobić z niego użytek. Niejeden raz poczuł się nieswojo, gdy zdał sobie sprawę, z jaką łatwością wgryzał się w tajemnice języka, który wymarł na długo przed tym, zanim zbudowano piramidy. Ale tak właśnie było. Gdy Mogens przekroczył raz tajemne drzwi wiedzy, nie tylko coraz łatwiej było mu odgadnąć powykręcane litery i symbole. Pojmował również coraz lepiej, czym był ów język. Nie ograniczał się on do słów i informacji przekazujących dziedzictwo jego użytkowników; w pewnym sensie był również częścią samych jego twórców. Istniała fundamentalna różnica między tym językiem a wszystkimi innymi, z którymi Mogens miał do tej pory styczność - ten miał duszę.

Wieczorem trzeciego dnia Graves wezwał go przez Toma do sali rytualnej, co wydało się VanAndtowi bardzo dziwne. Zwykle wszyscy opuszczali podziemną świątynię wraz z nastaniem ciemności. Jonathan nie tolerował, by ktoś sam, jak stwierdził: „szwendał się tam na dole”. Jeszcze dziwniejsze wydało się Mogensowi, że generator nadal pracował. Idąc za Tomem w stronę namiotu, znów poczuł lekkie drganie pod stopami. I choć wiedział już, że wibracje ,172 spowodowane są pracą urządzenia, zimny dreszcz przebiegł

mu po plecach. Odniósł przemożne wrażenie, że pod jego nogami poruszyło się olbrzymie stworzenie.

Przyspieszył kroku chociażby po to, by pozbyć się tej dziwacznej myśli. Dołączył do chłopaka, jeszcze zanim dotarli do namiotu z drabiną prowadzącą do świątyni.

- Czy Graves powiedział, czego ode mnie chce? - spytał.

Tom wzruszył ramionami i chwycił drabinę.

- Nie, powiedział tylko, że mam pana przyprowadzić. - Zszedł dwa stopnie niżej i dodał: - Był dość zniecierpliwiony.

„To nic nowego” - pomyślał Mogens. Graves był zawsze zniecierpliwiony i opryskliwy. Uwagę profesora zwróciło jednak lekkie drżenie w głosie chłopaka, jakby mówił o czymś, o czym nie chciał mówić. Mogens odgadł, że między Tomem a Jonathanem coś się wydarzyło, ale postanowił nie zadawać żadnych pytań.

Od owej nocy na cmentarzu dystans między nim a chłopakiem zdecydowanie się zwiększył, czego Mogens nie rozumiał i bardzo żałował. Postanowił jednak nie naciskać, by nie przstraszyć Toma jeszcze bardziej. Prędzej czy później - taką przynajmniej żywił nadzieję - on znów mu zaufa. W milczeniu podążył więc za chłopakiem na dół, a potem przez szeroko otwarte tajemne drzwi. Tom szedł tak szybko, że VanAndt nawet bez pytania zrozumiał, że nie miał ochoty na rozmowę.

Przez ostatnie dni chłopak na tyle uprzątnął gruz na końcu korytarza, że nie trzeba było już uprawiać karkołomnej wspinaczki, by przedostać się do komnaty. Mimo to zatrzymał się dwa kroki przed hałdą i nerwowym ruchem wskazał głową przed siebie.

- Doktor Graves oczekuje tam pana.

- Nie idziesz ze mną?

- Nie... nie lubię tam wchodzić - odparł Tom. - Jeśli to panu nie przeszkadza, wolałbym poczekać na zewnątrz.

Mogens skinął tylko głową. Rozumiał go lepiej, niż on sam zapewne przypuszczał. Za drzwiami czaiła się nie tylko ciemność i kamienni strażnicy, ale i o wiele mroczniejsza, być może śmiertelna zagadka ukryta za kolejnymi wrotami.

- Nie musisz na mnie czekać - powiedział profesor. - Trafię sam. Jest już późno.

- Nic nie szkodzi - usłyszał na to. - Zresztą muszę dolać paliwa do generatora.

Ta część Mogensa, która nie chciała wejść do komnaty, chętnie podyskutowałaby z Tomem jeszcze. Przedostał się jednak na drugą stronę hałdy.

Ku jego zaskoczeniu w sali, choć Tom doprowadził już prąd, było prawie ciemno. Graves zapalił tylko jedną z wielu żarówek, tak że w olbrzymiej, bezkształtnej komnacie jedynie gdzieś na końcu majaczyła samotna wysepka żółtawego światła. Ale samego doktora nigdzie nie było.

- Jonathan! - zawołał Mogens. Nie otrzymał odpowiedzi, usłyszał jedynie delikatne szeleszczenie gdzieś w ciemnościach, co jednak równie dobrze mogło być wytworem jego fantazji. W końcu wzruszył ramionami i próbował namacać włącznik światła, który chłopak na pewno zainstalował gdzieś tuż przy wejściu.

- Nie rób tego, proszę.

Profesor odwrócił się zdrętwiały z przerażenia. Mimo że rozpoznał głos Gravesa, serce podeszło mu do gardła. Wpatrywał się w ciemność szeroko otwartymi oczyma. Usłyszał kolejny szelest - a więc to nie były urojenia. Na skraju jasnej plamy światła poruszył się cień.

- Boli mnie trochę głowa - ciągnął Graves. - Światło źle robi mi na oczy.

Mogens wzruszył ramionami. Nie zachwycała go perspektywa przedzierania się w zupełnych ciemnościach przez salę usianą gruzem i potłuczonymi posągami, jednak z jakichś powodów nie potrafił się sprzeciwić. Zamiast zapalić światło, podszedł do wnęki, w której Jonathan zostawił lampy naftowe, i zapalił jedną z nich.

- Co jest aż tak pilne, że wzywasz mnie o tej późnej porze? - spytał.

- Chciałem mieć pewność, że będziemy sami - odpowiedział Graves. - Ktoś się dobrał do kłódki. Są coraz bardziej podejrzliwi.

- Hyams?
- Być może. Chociaż Mercerowi też nie ufam, on pije.
- To nic nowego. - Mogens na próżno próbował w zbliżającej się postaci rozpoznać Jonathana. Coś go irytowało, ale nie potrafił określić co. Graves, jakby czytając w jego myślach, cofnął się w ciemności, tak że profesor dojrzał jedynie rozmyty zarys postaci.
- Nie obchodzi mnie, co robi w wolnym czasie - odparł doktor. - Ale gdy rozmawiałem z nim dziś w południe, czuć było od niego alkoholem. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to on tu węszył. VanAndtowi wydało się, że również z głosem jego rozmówcy było coś nie tak. Niewątpliwie był to głos Jonathana Gravesa, towarzyszył mu jednak nieprzyjemny, świszczący dźwięk, jakby nie tylko mówienie, ale nawet samo oddychanie sprawiało mu trudność. Zastanawiał się, czy doktor nie jest chory.
- Ale nie dlatego poprosiłem Toma, żeby cię przyprowadził - ciągnął Graves. - Na jakim etapie jest twoja praca?
- Dopiero zacząłem - powiedział Mogens. - Przecież wiesz.
- Muszę cię jednak prosić, żebyś się trochę pospieszył. Nie mamy wiele czasu, dziś jest już trzydziesty.
- I co z tego?
- Za kilka dni będzie pełnia księżyca - przypomniał Jonathan. Podeszedł ociężałym krokiem do metalowych drzwi. Mogens spostrzegł, że bardzo uważał, by nie zbliżyć

■ Lb I,

■ ...•t'

§f>

Efe •

a >

I !

Cz

się do światła. - Jeśli nie otworzymy bramy do tego czasu, musimy czekać kolejny miesiąc.

- A jeśli nawet masz rację? - wzruszył ramionami VanAndt. - Przecież już od roku próbujesz otworzyć te drzwi. Jaką różnicę stanowiłby jeszcze jeden miesiąc?

- Być może żadną - odpowiedział Graves. - A być może taką jak między zwycięstwem a porażką, Mogensie. Między sukcesem a klęską.

- Od kiedy to jesteś skłonny do melodramatyzmu?

- Mówię całkiem poważnie - rzekł Graves. - Nie wiem, jak długo to wszystko będzie jeszcze istniało, przynajmniej w obecnej formie.

- Co masz na myśli? - spytał Mogens zdezorientowany.

- Dokładnie to, co powiedziałem - oznajmił Graves. Odstąpił o krok od olbrzymich, metalowych drzwi, odwrócił się do profesora i westchnął. Dźwięk ten, głęboki i świszczący, wywołał u VanAndta zimne dreszcze. - Pamiętasz, co Tom opowiadał ci o bagnie i o cmentarzu, który powoli się zapada?

Mogens skinął głową.

- Nie tylko cmentarz pograża się w ziemi - dokończył Jonathan.

Profesor dopiero po chwili zrozumiał, co chciał przez to powiedzieć.

- To znaczy...

- Wszystko, co nas otacza, powoli zapada się w ziemię - powiedział cicho Graves. - Nigdy nie postawiłeś sobie pytania, dlaczego budowniczowie tej świątyni wykuli ją tak głęboko pod ziemią?

Przecież to ogromnie skomplikowane przedsięwzięcie. Wydaje mi się, że kiedyś budowla znajdowała się na powierzchni. Może była to piramida podobna do tych wznoszonych przez Azteków czy Inków? Przez tysiąclecia pograżała się coraz bardziej, powoli, ale nieubła-
176 ganię. Aż w końcu zniknęła całkowicie pod powierzchnią

f

, '77

ziemi, a ludzie o niej zapomnieli. - Zaśmiał się cicho. - Gdy nasi przodkowie osiedlili się na tych terenach i założyli cmentarz, nawet się nie domyślali, co kryje się w głębi. Bo niby na jakiej podstawie?

- Nawet gdyby tak było... - zaczął Mogens, jednak Graves natychmiast mu przerwał.

- Proces jest coraz szybszy - powiedział. - Nie wiem jednak dlaczego. Bagno potrzebowało tysięcy lat, by wchłonąć świątynię, oraz niespełna wieku, by ogarnąć cmentarz. Gdy byłem tu po raz pierwszy, drabina prowadząca do świątyni była krótsza o dwa szczeble.

- Ale jak to możliwe?

- Nie wiem - odpowiedział Jonathan. - Wiem jedynie, że nie zostało nam zbyt wiele czasu. Nie jestem pewien, czy możemy czekać do następnej pełni.

- Nie zdajesz sobie sprawy, czego ode mnie wymagasz - niemal wykrzyknął Mogens. - To pismo jest zupełnie nieznaną nauce. Może rzeczywiście jesteśmy pierwszymi ludźmi od tysięcy lat, którzy je zobaczyli. Bez względu na to, jaka kultura je stworzyła, upadła już dawno temu.

- Wieip - odparł Graves.

- Najwyraźniej jednak nie wiesz! - Teraz to profesor wszedł mu w słowo. - Nikt nigdy nie widział czegoś podobnego. Nie istnieje żadna literatura na ten temat, brak jakichkolwiek wskazówek. Nie ma nikogo, kogo mógłbym poprosić o konsultację.

- A mimo to udało ci się rozszyfrować znaczenie pisma - uciał Graves.

Mogens wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Skąd wiesz?

- Ale nie jest tak?

- Odgadłem kilka słów i symboli, to prawda - przyznał YanAndt. Był zaskoczony i zdezorientowany, ale zarazem

... ;,

M

fls': ■ ■»: r; .

rwł

czuł, jak wzbiera w nim złość. Z nikim nie rozmawiał na temat postępów swojej pracy, nawet z Jonathanem. A więc doktor kazał go szpiegować! Nietrudno było odgadnąć, komu zlecił to zadanie...

- Nie urwij głowy biednemu Tomowi - powiedział Graves, najwyraźniej odgadłszy myśli profesora. - Musiałem bardzo na niego naciskać, by czegoś się dowiedzieć. Chłopak ewidentnie bardzo cię polubił. Doszedłeś więc do czegoś?

- Nie obiecuj sobie za wiele - zgasił go Mogejsis. - Odszyfrowałem znaczenie kilku symboli, ale to nie oznacza jeszcze, że potrafię odczytać cały język, jeśli w ogóle jest to język. Nawet jeśli byłbym w stanie to zrobić - dodał szybko podniesionym głosem, zanim Graves się wtrąci - to jeszcze nic nie oznacza.

- Dlaczego? - podchwycił doktor.

- Weźmy dla porównania starożytnych Greków i Rzymian. Ich języki są znane od dawna, dziś uczą się ich w szkole. A jednak nie odgadnięto wszystkich tajemnic tych dwóch wielkich kultur. Istnieją alfabety z początków ich istnienia, których do dziś nie jesteśmy w stanie odszyfrować. To... to jest coś zupełnie innego. Setki naukowców potrzebowałyby całych wieków, by odszyfrować znaczenie napisów choćby tylko w tej jednej sali. Ty zaś oczekujesz, że ja tego dokonam w cztery czy pięć dni? - Pokręcił głową. - Nie, Jonathanie, to, czego ode mnie żądasz, jest niemożliwe.

- Bzdura! - Głos Gravesa stał się szczekliwy, a Mogens czuł, że dławi go złość.

Jonathan milczał przez parę sekund, zanim powiedział bardziej opanowanym tonem:

- Dobrze, skoro już mi wyjaśniłeś, czego nie potrafisz, dlaczego nie pokażesz mi po prostu, co potrafisz? - Zatoczył

P-

<<Ti
w

-ft

szeroki łuk ręką. - Nie obawiaj się, wierzę w twoje możliwości. O ile dobrze mi się wydaje, bardziej niż ty sam.

VanAndt miał ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść. Zamiast tego zrobił gwałtowny obrót i podszedł do wąskiego pasa ściany oświetlonego przez jedyną zapaloną lampę.

Wówczas stało się coś bardzo dziwnego. Ledwo spojrział na powykręcane symbole, zaczął rozumieć ich znaczenie.

Było inaczej niż w poprzednich dwóch dniach, kiedy to stał przy swoim pulpicie i porównywał notatki zrobione tu na dole z rysunkami z ksiąg Gravesa. Uczucie, które go teraz ogarnęło, było o wiele intensywniejsze niż wszystko, co do tej pory przeżył. Nie rozumiał słów, które te mroczne symbole oznaczały, to było niemożliwe. Żaden człowiek nie byłby w stanie ich zrozumieć czy choćby wymówić.

A mimo to zrozumiał historię, którą te niewymawialne słowa miały do przekazania...

- To nie byli Egipcjanie - wymamrotał. - Graves, to miejsce jest o wiele starsze, czujesz to? Nie spojrział w jego stronę, ale wiedział, że tamten skinął głową.

- Byli tutaj, zanim na ziemi pojawili się ludzie - ciągnął Mogens. - ' Co więcej, będą tu nadal, gdy po ludziach nie pozostanie na ziemi żaden ślad. Oni są tymi, którzy byli, są i zawsze będą. Są martwi, a mimo to żywi. Śpią w swoich lochach głęboko w sercu ziemi i w odmętach oceanów i czekają na dzień, w którym będą mogli wyzwolić się z okowów i ponownie zawładnąć tym światem.

Nie zdawał sobie sprawy, że jego głos przeszedł w monotony śpiew, to głośniejszy, to cichszy, jakby nie opowiadał historii ukrytej w widzianych przed sobą obrazkach, lecz recytował prastarą litanię, zupełnie nieprzystosowaną do ludzkich strun głosowych. Prędko zaczęło go boleć

4

w.

'Y I.HP t'

gardło od wydawania tych dziwnych, chrapliwych odgłosów, które nie brzmiały nawet podobnie do słów, które oznaczały. To, co ludzkie w duszy Mogensa, na dźwięk każdej wyduszonej sylaby zakazanego języka truchlało jak zaszczute zwierzę.

Mimo to nie mógł przerwać. Gdy słowa zaczęły płynąć z jego ust, nie był w stanie powstrzymać ich potoku. Niczym wyklute w jego wnętrzu larwy pasożytniczego owada torowały sobie drogę do wolności, wylewały się z niego, przedzierały przez poranione od strasznych dźwięków i bluźnierczych sylab gardło i zakrwawione usta. Układały się w historię o tych, którzy przybyli z gwiazd, gdy świat był jeszcze bardzo młody i zamieszany przez równie obce ludziom stworzenia. O tych, którzy czekali na dzień, kiedy ich mroczny bóg śpiący w swoim pałacu na dnie oceanu wyrwie się z żelaznego uścisku śmierci i znów obejmie panowanie nad swoim królestwem.

Opowiadał o innych olbrzymich stworzeniach, które przybyły z galaktyki, by odebrać władzę starszym bogom, i o wielkich wojnach, które tak spustoszyły planetę, że zamieniła się w końcu w rozżarzoną kulę magmy, w której odrodziło się życie i zamieszkały stworzenia tak niewyobrażalnie obce i złe, że już sam ich widok przynosił śmierć.

W końcu było po wszystkim. Słowa przebrzmiały, a Mogens czuł w gardle gorycz żółci i metaliczny posmak krwi. Słaniał się z wycieńczenia.

A jednak nie był to koniec. Gdy słowa przebrzmiały, w sali rytualnej zapanowała głucha cisza, cisza, która była tak bezkresna i wszechogarniająca, że huczała w uszach. Pod jej osłoną czaiło się

coś prastarego i złego - zbudzonego przez jego słowa.

Graves przerwał to zakłęte milczenie. - Odszyfrowałeś więc tylko kilka słów, tak? - zapytał iSO drwiąco. - Powinienem się chyba cieszyć, że tylko tyle.

. :-ł

oiMmr

1 ;

P ♦•H

iR3

iff

JTf ,

h\

•1 i l

Gdybyś przetłumaczył więcej, pewnie nie starczyłoby nam czasu do następnej pełni.

Mogens cały czas na próżno starał się zrozumieć, co właściwie przed chwilą przeżył. Ironiczna uwaga Gravesa wcale nie zdołała rozładować napięcia, raczej jeszcze bardziej pogorszyła atmosferę.

- Ja tego nie przetłumaczyłem - powiedział z trudem. Chciał pokręcić głową, ale był zbyt słaby na wykonanie nawet tak nieznacznego ruchu.

- Rzeczywiście, te słowa nie brzmiały, jakby były twojego autorstwa - przyznał Graves. - Dobry Boże, Mogensie, co to było? Czegoś takiego jeszcze nie słyszałem!

Profesor nie odpowiedział od razu. Nie dlatego, że bolało go poranione gardło. To coś, cokolwiek to było, przywołane przez jego słowa, nadal snuło się po komnacie.

- Nie wiem - wymamrotał. - Nie jestem nawet pewien, Jonathanie, czy to byłem ja. To było...

- Głos odmówił mu posłuszeństwa, poczuł, że cały się trzęsie. Na próżno próbował zapanować nad drżeniem rąk i kolan. Coś go dotknęło i jakaś część Mogensa skostniała na lód.

- Nie wiem, co to było. Coś... - Szukał odpowiedniego słowa, na próżno. Być może dlatego, że słowa ludzkiego języka nie były w stanie oddać bezgranicznego przerażenia, które nim zawładnęło i wciąż nie chciało go opuścić.

- ...zapanowało nad tobą? - podsunął Graves, widząc, że VanAndt zamilkł.

- Dlaczego... dlaczego mówisz coś takiego? - spytał Mogens urywanym głosem.

- A czyż nie jest to prawda? - odparł doktor. Przekrzywił głowę. Profesor cały czas nie widział jego twarzy, ponieważ Jonathan z jakichś powodów bacznie uważał, by nie wejść w krąg światła.

Głos miał rozgorączkowany.

- Bzdura! - zaprzeczył VanAndt. Nie brzmiało to jednak wiarygodnie. Kogo chciał przekonać tym zapewnieniem?

Graves w każdym razie nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Zaczął gestykulować, a głos jego stał się nagle nieco bardziej krzykliwy.

- Nie rozumiesz? Sam powiedziałaś, że nikt nie mógłby się nauczyć zupełnie nieznanego języka w trzy dni! A tobie się to udało! Nie uważasz, że coś się tu nie zgadza?

- Co? - Od dawna wiedział, do czego zmierza Jonathan. Wiedział to, jeszcze zanim tamten wymówił pierwsze słowo.

- Mogensie, nie rozumiesz? To jest dowód, którego szukałeś przez całe życie! Tego, co stało się przed chwilą, nie da się wyjaśnić naukowo! Miałeś rację, Mogensie! Cały czas miałaś rację i to inni byli głupcami, nie ty! Jeśli to, co przeżyliśmy przed chwilą, nie jest magią, to naprawdę nie wiem, co nią jest!

- Nie chcę tego słuchać - odpowiedział profesor. Graves roześmiał się, jednak ten dźwięk w uszach Van-

Andta zabrzmiał raczej jak szczekanie.

- Nie rozumiem cię Mogensie. Przypominasz mi człowieka, który całe życie spędził na pocieraniu krzesiwa o kamień, by wykrzesać ogień. Gdy w końcu mu się to udało, wpatruje się w

ogień i nie chce uwierzyć w to, co widzi. Uważaj, żebyś się nie sparzył!

- Tak, może masz rację Jonathanie - wymamrotał profesor. A może już się sparzył?

Doktor wciągnął powietrze przez zęby, wydając przy tym głośny świst. Gdy odezwał się ponownie, mówił tonem człowieka, który chce coś wytłumaczyć niesfornemu dziecku, powoli jednak zaczyna rozumieć, że wszelkie próby skazane są na niepowodzenie.

- Zrozum wreszcie! Wygrałeś! Obydwa wygraliśmy! Jesteśmy prawie u celu!

„Ale być może nie powinniśmy osiągnąć tego celu - po-f 82 myślał Mogens. - Może nie wolno nam tego robić”.

- Uda nam się, Mogensie! - ciągnął Graves. - Czuję to. Chodźmy! Chodźmy! - Uczynił ruch, jakby chciał chwycić profesora i pociągnąć go za sobą, w ostatnim momencie opuścił jednak rękę, jakby uświadomił sobie w porę, że w tym celu musiałby wejść w krąg światła. Obrócił się na pięcie i znów podszedł do bramy.

Mogens zdrętwiał, gdy jego wzrok spoczął na olbrzymich posągach strażników. Być może przyczyną było niespokojne drganie światła albo jego rozstrojone nerwy, w każdym razie zdało mu się, że macki okalające głowy posągów chciały pochwytać bezczelnego intruza.

- Klucz tkwi tutaj - powiedział Graves podekscytowany. - Wiem to na pewno! Jest tu, Mogensie, dokładnie przed nami! Wystarczy, że wyciągniemy po niego rękę.

Ale VanAndt wcale nie miał zamiaru tego robić. Znów wydało mu się, że zobaczył kątem oka jakiś ruch. Drżenie, falowanie, kołysanie, jakby coś próbowało przedrzeć się z tamtego świata do ziemskiej rzeczywistości. Od wewnątrz drażnił go jakby wielki pazur. Był jednak zbyt zmęczony, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Musi gdzieś tu być! - Głos doktora zaczął drżeć. - Czuję to i ty też to czujesz, Mogensie! Wiem o tym! Powiedz, że tak jest!

Profesor zebrał wszystkie siły, by odpowiedzieć:

- Jonathanie, proszę! Nie możemy działać pochopnie. Wróćmy i przemyślmy wszystko.

- Nie! - wrzasnął Graves. - Ty to wiesz! Ty wiesz, jak otworzyć tę bramę! Ale nie chcesz mi powiedzieć!

Mogens spojrział na niego przerażony nie na żarty. W głosie doktora zabrzmiała nuta groźby.

- Gdzie to jest? - dyszał Jonathan. - Jakie słowo otwiera te drzwi?

- Abrakadabra - odpowiedział Mogens, kręcąc głową. - Oszalałeś?

•i.'Ä» i äimt

Graves syknął, ruszył w jego stronę, wygrażając rękoma, i znów, gdy już prawie wynurzył się z cienia, w ostatnim momencie raptownie uskokzył.

O mgnienie oka za późno.

Mogens zdążył jednak zobaczyć coś tak straszliwego, że przerażenie ścisnęło mu gardło i nie mógł nawet krzyknąć. Nie chodziło nawet o twarz Gravesa, lecz o rękę, która pojawiła się na ułamek sekundy w blasku zdradzieckiego światła. Ale czy rzeczywiście była to dłoń Jonathana Gravesa?

Czy w ogóle była to ręka ludzka?

Oczom VanAndta ukazała się zrogowaciała łapa większa od ludzkiej dłoni, uzbrojona w straszliwe pazury. Jej wierzch porośnięty był grubymi, szczecinowatymi włosami, które pokrywały również nadgarstek i zlewały się z zarysem postaci stojącej w ciemnościach.

Mogens mrugnął oczami, a gdy znów uniósł powieki, Graves - Graves? - zdążył już schować rękę i z powrotem ukryć straszliwe pazury w litościwym cieniu. Serce kołatało profesorowi jak oszalałe.

- Powiedz mi! - zaskrzeczał Jonathan. - Jesteś mi to winien!

Właściwie nie krzyczał, lecz... bulgotał rozwścieczony. Jego głos stał się mokrym, spienionym bełkotem, skrzekiem wściekłej bestii z włochatymi łapami i pazurami. Znów podszedł bliżej i znów się cofnął.

Mogens prawie bezwiednie zrobił kilka kroków w tył. Serce skoczyło mu do gardła. Próbował sobie wmówić, że to tylko własne zszargane nerwy płatały mu figle, do czego dołożyło się jeszcze

zmęczenie oraz złudna gra światła z ciemnością. Bardzo chciał w to wierzyć, prawie rozpaczliwie uczepił się tej myśli. Gdyby było inaczej, zupełnie straciłby poczucie rzeczywistości. Jakaś jego część wiedziała jednak, że nie była to prawda. To, co stało przed nim, nie było już Gravesem.

Gdy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, uczynił jedyną rzecz, do jakiej był zdolny w tym momencie. Obrócił się na pięcie i zaczął biec, najszybciej jak potrafił.

- VanAndt! - skrzeczał za nim głośny, gardłowy głos. - Wracaj! Rozkazuję ci! Jesteś mi to winien! Mogens tylko przyspieszył. Lampa naftowa przeszkadzała mu w biegu, więc cisnął ją na bok.

Przeleciała trzy czy cztery metry, nim rozsypała się w drobne szklane igiełki. Z wnętrza buchnęła płonąca nafta. Czerwonożółty ogień na chwilę rozświetlił ciemności. Wówczas profesor uczynił coś, czego zaraz potem gorzko pożałował - na moment odwrócił głowę w stronę Gravesa.

Ten w końcu przestał wykrzykiwać groźby, stanął pod bramą i olbrzymimi kamiennymi posągami, po czym uniósł ręce. Przywodził na myśl kapłana jakiegoś prastarego kultu wznoszącego modły do pogańskich bogów. W migoczącym świetle płonącej nafty Mogens zobaczył, tym razem bardzo wyraźnie, ruch macek olbrzymich posągów. Miał wrażenie, że potwory usiłowały wyrwać się z odrętwienia i podnieść z cokołów. Również Graves zdawał się przechodzić nową, jeszcze straszliwszą przemianę, ponieważ...

Stopa VanAndta uwięzła w szczelinie. Przeszył go ostry ból, a siła rozpędu szarpnęła nim do przodu. Próbował jeszcze rozpaczliwie zapobiec upadkowi, wymachując rękami na wszystkie strony, ale na próżno.

Runął na posadzkę z ogromną siłą. Miał wrażenie, jakby został uderzony młotkiem prosto w twarz, i poczuł smak krwi. Szarpnął nogą z ogromnym impetem, ale tym rozpaczliwym odruchem tylko wszystko pogorszył - skręcił ją w kostce. Znowu poczuł ból, dotkliwy, ale też jakby nierealny, nie dotyczący jego osoby.

Nie stracił przytomności, lecz wszystko stało się nagle proste i nierealne, nawet śmiertelne przerażenie

135

słabło, pozostawiając jedynie niewyraźne echo na obrzeżach nikszej świadomości Mogensa. Krew z rozoranej wargi, a może i wybitych zębów zalała mu gardło. Podłoga zdawała się pod nim falować, a bicie serca huczało mu w uszach jak arytmiczne uderzenia młotem.

Zebrał resztki sił, by nie zemdleć, wsparł dłonie o podłogę i podniósł się. Po raz kolejny poczuł w stopie przeszywający ból. Zagryzł zęby, opuścił się trochę na rękach i próbował uwolnić nogę z kamiennej pułapki. W końcu mu się udało, ale tym razem ból nie był nierealny, lecz tak ostry, że poczuł mdłości. Poczuł się bezradny, uwięziony w kamiennym grobowcu głęboko pod ziemią, i to razem z Gravesem, który stopniowo przemieniał się w potwora.

Mogens powstrzymał atak paniki. Stękając, przetoczył się na plecy. Z sufitu odpadł co najmniej półmetrowy kamienny blok i roztrzaskał się tuż obok niego w drobne kawałeczki. Na twarzy poczuł grad maleńkich, ale ostrych jak brzytwa odłamków skalnych, które wbijały się w skórę niczym rozżarzone do czerwoności igiełki. VanAndt zawył z bólu i odruchowo przysłonił twarz rękoma. Dobiegał go głuchy, dudniący huk. Wreszcie pojął, że nie był to łomot jego kołającego serca. Z sufitu zaczęły sypać się kamienie, spadając dookoła niego. Cała komnata została wprawiona w drgania jak statek szarpany przez fale na wzburzonym morzu. Z głębi ziemi dobiegał straszliwy łoskot, w powietrzu unosiły się takie ilości pyłu, że każdy oddech był niewypowiedzianą męką. Trzęsienie ziemi! Może Graves miał rację?! Cała świątynia nieprzerwanie się zapada. I to nie za miesiąc czy tydzień, nie powoli, tylko teraz, w tym momencie!

Śmiertelny strach dodał mu na tyle sił, że mimo dojmującego bólu w stopie pokuśtykał w stronę wyjścia. Podłoga drżała tak mocno, że chwilę później znowu się przewrócił. Nie miał odwagi spojrzeć w stronę Gravesa.

- Jonathanie! - krzyknął. - Trzęsienie ziemi! Uciekaj!

Wątpił, czy doktor go usłyszał. Dudnienie przerodziło

się tymczasem w piekielny huk zagłuszający wszelkie inne dźwięki. Ziemia drgała silniej, a coraz

gęstsze uderzenia mieszały się z nowym, jeszcze straszniejszym dźwiękiem -skrzypieniem i zgrzytaniem, jakby głęboko w sercu ziemi rosło ciśnienie, które w końcu miało ją rozsadzić.

- Jonathanie! - wrzasnął rozpaczliwie. - Biegnij!

Znów jakiś kamień spadł tuż koło niego i roztrzaskał się z hukiem. Tym razem odłamki nie zraniły go, ale ten grad niebezpiecznych odprysków uświadomił mu ogrom zagrożenia. Chyba nawet kątem oka zobaczył, jak jeden z filarów podtrzymujących powałę zaczął się uginać. Trzaski i zgrzytanie były coraz głośniejsze. Coś uderzyło go w ramię, a chwilę później niewidzialny pazur zadrasnął mu plecy. Ziemia nie drżała już, lecz falowała jak grzbiet rozwścieczonego byka.

Mogens kilkakrotnie upadał na kolana, nieraz ledwo uszedł z życiem przed spadającymi z sufitu kamiennymi blokami. Zagryzł zęby i dalej przedzierał się przez gruzy w stronę wyjścia, które było teraz naprzeciwko niego. W komnacie za nim panowała zupełna ciemność - deszcz spadających kamieni przysłonił nie tylko blask lampy Gravesa, ale i'płonącą naftę. W korytarzu jednak nadal paliły się lampy elektryczne, które zainstalował Tom. Mogens, na wpół oślepy z bólu i strachu, brnął dalej, zanosząc się kaszlem. Był przekonany, że nie ma szans, że ledwie poczuje już przedsmak wolności, strop rozgniecie go na miazgę.

Los okazał się jednak litościwy. Huk za plecami Mogensa wzmógł się jeszcze bardziej, jakby komnata zaczęła się sypać w gruzy. Uderzyły go jeszcze dwa spadające z sufitu kamienie. Jednak żaden go nie zmiażdżył, nie rozstąpiła się też przed nim ziemia. Pełzną, pokonał metrową stertę gruzy. W duchu dziękował Tomowi, że przez ostatnie dwa dni nieco tu posprzątał. Gdyby hałda nadal sięgała prawie do stropu, nie miałby odwagi przeciskać się w tym stanie przez wąską szczelinę.

Dopiero gdy był już pod żarówką, stanął, ciężko dysząc. Ogarnął wzrokiem rumowisko, przez które właśnie zdołał się przedrzeć, jednak wszystko, co było choć pół kroku za nim, jakby przestało istnieć. Nie widział nic prócz chaosu buchającego pyłem i kamiennymi odłamkami. Wydało mu się absurdalne, że zdołał wyjść z tego piekła. Graves był zgubiony, co do tego nie mogło być wątpliwości.

Ale i on nie był jeszcze bezpieczny. Tu, w korytarzu, również trzęsły się ściany. Wprawdzie strop do tej pory wytrzymał ogromne wstrząsy, ale Mogensowi zdawało się, że z daleka dochodziło straszliwe zgrzytanie i skrzypienie zwiastujące ostateczne zawalenie się komnaty. Żarówka dygotała na kablu jak oszalała, wypełniając korytarz migoczącym światłem. Tajemnicze cienie czmychały przed jego blaskiem. Wszędzie sypał się proch, gdzieś spadły fragmenty skały. Tunel z pewnością także musiał się zawalić, więc Mogens był ostatecznie zgubiony. W wąskim korytarzu nie miał szans ucieczki.

Graves tym bardziej.

VanAndt rzucił się do szaleńczej ucieczki. Przez chwilę słyszał, jak drgania i wibracje ziemi oddalają się, potem poczuł jednak, jak wstrząsy zaatakowały z nową siłą. Lampy u sufitu kołysały się coraz silniej. Gdzieś tuż za Mogensem coś spadło z wielkim hukiem, po czym eksplodowały kolejne trzy żarówki oświetlające mu drogę. Posypał się jaskrawy snop iskier, a Mogensa ogarnęły zupełne ciemności. Mimo to oszalały ze strachu pędził dalej.

Widział już otwarte na oścież drzwi do sanktuarium. Świątynia leżąca za nimi była w nienaruszonym stanie, nadal jasno oświetlona. Mogens jeszcze raz zebrał wszystkie siły i rzucił się rozpaczliwie w tamtą stronę.

W tym momencie potężne uderzenie w pierś wyparło mu powietrze z płuc i cisnęło nim z taką mocą, że uderzył w przeciwległą ścianę, po czym osunął się na ziemię.

Tym razem uderzenie było tak silne, że stracił na chwilę przytomność. Musiało to trwać bardzo krótko, ponieważ gdy otworzył oczy, dopiero zsuwał się po ścianie. Wszystko wokół niego huczało i wyginało się, słyszał skrzypienie i zgrzytanie skalnych bloków. Właściwie bardziej je czuł, niż słyszał. Korytarz zawałał się.

Teraz. Już.

Mogens podniósł się, dysząc. Coś było nie tak z czasem, jakby drgania uszkodziły również jego strukturę. Śmiertelny strach znów dodał mu sił do podźwignięcia się w górę. Zrobił to szybko,

mimo to każdy ruch wydawał się wręcz groteskowo długi, jakby wydarzenia nieubłaganie wyprzedzały go niczym cień. Ściana zaczęła się nagle wyginać i drgać jak sztuczny, trójwymiarowy obrazek z cienkiego papieru. Mogens pojął, że korytarz - straszliwa pułapka z setek ton gładów i ziemi - zawali się lada moment. Od zbawiennych drzwi dzieliły go ledwie trzy kroki. Jeszcze chwila... Nogi jednak odmawiały mu posłuszeństwa, siedł tak powoli, jakby grzął w na wpół zastygłej smole.

Nagle ujrzał przed sobą postać. Była zbyt daleko, by zdążyć go uratować i nie na tyle silna, by powstrzymać bezlitośnie uderzające gładzy. Jednak już sam jej widok dodał VanAndtowi odwagi, obudził w nim niedorzeczną nadzieję opartą jedynie na poczuciu, że nie był sam, że blisko niego był drugi człowiek.

Tyle że to wcale nie był człowiek.

Profesor zamarł w połowie ruchu, marnując być może ostatnią sekundę, jaką podarował mu los. Wpatrywał się w karykaturalnie wręcz pokurczoną, włochatą istotę. Był to ten sam straszliwy potwór z jego koszmarów sennych, który porwał Janice, a teraz przyszedł zobaczyć, jak umiera on sam. Był znacznie większy, niż go zapamiętał, miał straszliwe pazury, głowę szakala i długi pysk pełen krwiożerczych zębów. Oczy niczym żarzące się węgliki pełne były zła, ale też iskrzyła w nich przepojona złośliwością inteligencja. Z pyska toczył pianę, a straszliwe pazury nieustannie wysuwały się i chowały, jakby potwór chciał już zaraz zacisnąć szczęki na ciele Mogensa i rozszarpać go na kawałki.

Zamiast postąpić do przodu o jeden ostatni krok, który mógł mu uratować życie, VanAndt cofnął się. Mimo że ogarnęła go panika, decyzję tę podjął zupełnie świadomie. Wolał zginąć przygnieciony gładem, niż dostać się w łapy potwora.

Ponowny, jeszcze mocniejszy wstrząs zwałił go z nóg. Uderzył o kamienny blok, który wysunął się ze ściany niczym strażnik chcący powstrzymać desperacką ucieczkę swego więźnia. Szeroko otwartymi z przerażenia oczyma Mogens obserwował, jak wygina się i przemieszcza nad nim sufit. Na głowę nadal sypały mu się kamyki i grudki ziemi, nie na tyle duże, by go zabić, jednak wystarczającej wielkości, by ostatnie chwile życia zamienić w ciąg niewysłowio-nych męczarni. To nie strach przed śmiercią jeszcze raz dodał Mogensowi sił, by zerwać się i skryć pod tym samym kamiennym blokiem, który nieomal stał się przyczyną jego zguby. Bardziej bał się bólu, który by tę śmierć poprzedził. Skulony pod półmetrowym sztucznym występem skalnym patrzył, jak strop ugina się coraz bardziej niczym mokre płótno namiotu podczas ulewy. Zaczynały się odrywać kolejne kamienne odłamki, coraz większe...

Nagle złapała go czyjaś ręka. Nie była to dłoń ludzka, lecz włochata, uzbrojona w pazury łapa, która oplotła jego nadgarstek żelaznym uściskiem i szarpnęła tak mocno, że Mogens wrzasnął z bólu. Miał wrażenie, że ramię wyskoczyło mu ze stawu. Podniósł wzrok i przez zasłonę bólu

i strachu ujrzał niewiarygodny widok. Monstrum chwyciło go i ciągnęło za sobą bez najmniejszego wysiłku zupełnie jak olbrzym taszczący krnąbrne dziecko.

Drugą ręką potwór podtrzymywał strop. VanAndt nie mógł uwierzyć własnym oczom. To dziwaczne stworzenie miało tyle siły, by podtrzymać walące się skały? Przynajmniej do momentu znalezienia bezpiecznej kryjówki?

Bezpiecznej?

Mogens wyprężył się i zaparł nogami, rozpaczliwie próbując uwolnić rękę z uścisku bestii. Potwór odwrócił się gwałtownie, uderzył go i na wpół zamroczonego z powrotem opuścił na ziemię. Pazury rozszarpały Mogensowi koszulę i pozostawiły na torsie cztery piekące rysy. Profesor niczym w transie widział, jak bestia brutalnie wywleka go z tunelu, a tunel chwilę później zawala się z ogromnym hukiem. Na wpół świadomy próbował kopnąć stwora i nawet mu się to udało, jednak potwór nawet nie poczuł ciosu. Pochylony do przodu, utykając, ciągnął go, aż dotarli do środka komnaty. Tutaj zrzucił Mogensa na ziemię obok rzeźbionej barki i warcząc, spojrzął na niego.

Zimne oczy bezlitośnie wpatrywały się w profesora, a straszliwy pysk - psi czy wilczy - pochyliwszy się, zaczął go obwąchiwać.

Mogens uderzył bestię ze wszystkich sił.

Ta zawyła z wściekłości i bólu, cofnęła pysk i z kolei wymierzyła Mogensowi cios, po którym definitywnie stracił przytomność.

•vi.

Dedwie Mogens otworzył oczy, wrzasnął przeraźliwie. Gęba potwora wisiała centymetr nad jego twarzą. Czuł nawet jego śmierdzący padliną oddech. Okrutne oczy lustrowały go lodowatym wzrokiem. Pysk był na wpół

otwarty, tak że VanAndt mógł dojrzeć spróchniałe, rosnące we wszystkich kierunkach, ostre jak igły zęby. Odwrócił się gwałtownie i próbował uderzyć potwora pięściami w krtań. Był jednak zbyt powolny. Stworzenie bez najmniejszego wysiłku uniknęło ciosu, a po chwili chwyciło Mogensa za nadgarstki i przytrzymało je tylko jedną łapą. Mogens podciągnął kolana, by kopnąć potwora, ten jednak - jakby to przewidział - drugą łapą przytrzymał również nogi uczonego.

- Profesorze?

Potwór trzymał go w żelaznym uścisku. Mogens czuł, że nie ma najmniejszych szans, by się uwolnić, lecz zaciekle walczył, rzucał się na wszystkie strony, krzyczał, wił się i próbował kopać.

- Profesorze! Proszę przestać! Niech się pan uspokoi!

VanAndt bynajmniej się nie uspokoił, wręcz przeciwnie, zaczął walczyć z większą zaciętością. Czyjaś ręka uderzyła go w twarz. Jego głowa odchyliła się z taką siłą w tył, że zabrakło mu tchu. Spojrzał znów w górę. Dopiero po dłuższej, męczącej chwili potwór rozplątał się w powietrzu, a przed nim pojawił się chłopak o delikatnych, prawie dziewczęcych rysach i opadających do ramion jasnych włosach. Jedyne, co się nie zmieniło, to żelazny uścisk, w którym trzymał nadgarstki Mogensa.

- Wszystko w porządku, profesorze? - spytał Tom.

- Tom? - wymamrotał VanAndt. - To ty?

Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się do rozluźnienia

mięśni. Chwilę później, gdy chłopak poczuł, że Mogens przestał się opierać, uwolnił jego nadgarstki. Zaraz cofnął również rękę, którą przytrzymywał kolana VanAndta.

- Czy już wszystko w porządku, profesorze? - spytał z wahaniem w głosie.

Oczywiście, że nie w porządku. Gdyby tylko miał siłę, roześmiałby się na takie pytanie..,

- Tom, przepraszam - powiedział. - Nie gniewaj się. Miałem chyba... zły sen.

- Nic dziwnego, Mogensie. - To nie Tom wypowiedział te słowa. Mogens poznał ten głos już po pierwszej sylabie. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, dopiero po dłuższej chwili zebrał się w sobie i odwrócił głowę.

- Jonathan? - wyszeptał z niedowierzaniem.

- Bądź co bądź pamiętasz jeszcze, jak mam na imię - mruknął Graves z drwiną w głosie. Oparł się o ścianę z założonymi rękami i spojrzał na Mogensa z trudnym do przejrzenia, w każdym razie na pewno nieprzyjaznym wyrazem twarzy. - Jest więc nadzieja. Może jednak nie wszystkie kamienie spadły akurat na twoją głowę.

VanAndt wsparł się na łokciach.

- Ty... ty żyjesz? - wymamrotał.

Jonathan spojrzał na niego w taki sposób, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że musi dobrze się zastanowić nad odpowiedzią. Rozplótł ręce, podciągnął rękaw koszuli i uszczypnął się w rękę.

- Au! J zawołał, po czym zwrócił się do Mogensa z ironicznym uśmiechem na twarzy. - Tak, wydaje mi się, że żyję. - Uśmiech zaraz zniknął z jego twarzy. - Ty natomiast ledwo uszedłeś z życiem. Gdyby nie Tom, nie rozmawialibyśmy teraz. A ja musiałbym znowu mieć do czynienia z tym półgłówkiem szeryfem.

Profesor spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc. Graves wskazał czarną, błyszczącą rękawiczką na chłopaka.

- Tom uratował ci życie. Uważaj, żeby nie stało się to normą.

Mogens wodził wzrokiem od jednego do drugiego, nadał nic nie pojmując. Graves znów uśmiechnął się drwiąco, natomiast Tom sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- To był czysty przypadek - powiedział i zawiesił głos. - Zjawiłem się w odpowiednim momencie, to wszystko.

- Tak, a gdyby nie głupie szczęście, byłbyś już martwy, Mogensie - dodał Graves. Pokręcił głową. - Tom, jesteś zbyt skromny.

- Mało pamiętam z tego, co się wydarzyło - skłamał VanAndt. Tak naprawdę pamiętał każdy szczegół minionej, straszliwej nocy. Nie potrafił tylko oddzielić faktów od koszmarnych halucynacji.

Usiadł, przy czym poczuł ostry, rwący ból w kostce. Syknął mimowolnie. Najwyraźniej nie wszystko, co zapamiętał, było wytworem jego wyobraźni.

- Co się wydarzyło? - spytał.

- Było trzęsienie ziemi - odparł Graves i wzruszył ramionami, czyniąc równocześnie lekceważący ruch ręką. - Niespecjalnie silne. W mieście najwyżej pospadało ludziom trochę talerzy z półek, ale nawet w to wątpię.

Lecz jego wzrok mówił coś zupełnie innego. Mogens wytrzymał przez chwilę to spojrzenie, w odpowiedzi nieznacznie skinął głową, po czym zwrócił się do chłopaka:

- Napiłbym się twojej wyśmienitej kawy, Tom.

Ten zawahał się. Przez chwilę wyglądał na bardzo zagubionego. Rzucił w stronę Gravesa krótkie, szukające pomocy spojrzenie. W końcu wstał i wyszedł z domu szybkim krokiem.

- Chłopak uratował ci życie, Mogensie - powiedział Graves poważnie. - Chyba powinienes mu okazać trochę więcej wdzięczności.

- Wiem - wymamrotał Mogens. Jonathan miał rację. Profesora ruszyło sumienie, był jednak zbyt zdezorientowany, by sformułować jakąkolwiek sensowną myśl.

- A ty?

Graves spojrzał na niego pytająco.

- Jak ty się wydostałeś - sprecyzował Mogens. - Myślałem, że... nie żyjesz. Dobry Boże, przecież jak to wszystko

- Jak na człowieka, który uważa się za zagorzałego agnostyka, dość często wzywasz imienia Pana - zauważył Graves z drwiną. Pokręcił głową i lekko wzruszył ramionami. - Nie było tak źle, jak się w pierwszym momencie wydawało. Bardziej bałem się o ciebie, Mogensie, niż o siebie. Powinienes być dołączyć do mnie, zamiast uciekać. Gdy zobaczyłem, jak biegiesz tunelem, myślałem, że już po tobie. Nie było to zbyt mądre. Gdyby Tom cię nie znalazł, już byś nie żył. Tom... W uszach Mogensa imię to brzmiało jakoś... nieprawdziwie. Próbował odtworzyć w pamięci wydarzenia zeszłej nocy, jednak w głowie miał zupełny chaos myśli i obrazów. Coś kołatało mu się po głowie, jednak wspomnienia nie chciały nabrać konkretnych kształtów. Okropna głowa z psim pyskiem i żarzącymi się czerwono oczami. Pazury rozdzierające nie tylko jego koszulę, ale i skórę...

Profesor spojrzał na siebie. Koszula była cała ubłocona i poszarpana na torsie i ramionach. Na nie mniej ubłoconym ciele cztery cienkie, ale głębokie zadrapania piekły palącym bólem.

- Chyba nie masz mu tego za złe, prawda? - spytał Graves. - Biedny chłopak i tak ma wyrzuty sumienia, że zostawił cię samego, zamiast czekać przed komnatą w korytarzu, tak jak obiecał. Mogens milczał. Oczywiście zdawał sobie sprawę z niedorzeczności tej myśli, jednak dla niego zadrapania wciąż były śladami pazurów potwora...

Odpędził tę dziwną myśl.

- Co się stało tam, pod ziemią? - wymamrotał. - Czy to... my to sprowokowaliśmy?

- Trzęsienie ziemi? - zaśmiał się Graves. - Raczej nie. Mam nadzieję, że teraz wierzysz mi trochę bardziej. Cała świątynia zapada się coraz głębiej. Zostało nam niewiele czasu.

.If

fi

imt;f

* v m

- Jak na człowieka, który uważa się za zagorzałego agnostyka, dość często wzywasz imienia Pana - zauważył Graves z drwiną. Pokręcił głową i lekko wzruszył ramionami. - Nie było tak źle, jak się w pierwszym momencie wydawało. Bardziej bałem się o ciebie, Mogensie, niż o siebie.

Powinieneś być dołączyć do mnie, zamiast uciekać. Gdy zobaczyłem, jak biegiesz tunelem, myślałem, że już po tobie. Nie było to zbyt mądre. Gdyby Tom cię nie znalazł, już byś nie żył. Tom... W uszach Mogensa imię to brzmiało jakoś... nieprawdziwie. Próbował odtworzyć w pamięci wydarzenia zeszłej nocy, jednak w głowie miał zupełny chaos myśli i obrazów. Coś kołatało mu się po głowie, jednak wspomnienia nie chciały nabrać konkretnych kształtów. Okropna głowa z psim pyskiem i żarzącymi się czerwono oczami. Pazury rozdierające nie tylko jego koszulę, ale i skórę...

Profesor spojrzął na siebie. Koszula była cała ubłocona i poszarpana na torsie i ramionach. Na nie mniej ubłoconym ciele cztery cienkie, ale głębokie zadrapania piekły palącym bólem.

- Chyba nie masz mu tego za złe, prawda? - spytał Graves. - Biedny chłopak i tak ma wyrzuty sumienia, że zostawił cię samego, zamiast czekać przed komnatą w korytarzu, tak jak obiecał. Mogens milczał. Oczywiście zdawał sobie sprawę z niedorzeczności tej myśli, jednak dla niego zadrapania wciąż były śladami pazurów potwora...

Odpędził tę dziwną myśl.

- Co się stało tam, pod ziemią? - wymamrotał. - Czy to... my to sprowokowaliśmy?

- Trzęsienie ziemi? - zaśmiał się Graves. - Raczej nie. Mam nadzieję, że teraz wierzysz mi trochę bardziej. Cała świątynia zapada się coraz głębiej. Zostało nam niewiele czasu.

Minęła dłuższa chwila zanim VanAndt zrozumiał, co Graves chciał przez to powiedzieć. Wyrężył się jak struna.

- Chcesz... chcesz tam iść jeszcze raz? - Już na samą myśl o ponownym zejściu do budzącej grozę komnaty ścisnął mu się żołądek.

- A jak ty myślałeś? - odpowiedział Jonathan. - Mogensie, chyba nie zapomniłeś, co przeżyliśmy wczoraj? - Zaczął wymachiwać rękoma zdenerwowany. - Udało nam się, Mogensie! Tobie się udało! Mamy dowód.

- Chcesz jeszcze raz tam pójść? - powtórzył profesor. Głos jego zabrzmiał jak przytłumiony skrzek. - Chcesz... chcesz otworzyć te drzwi?

- A ty nie?

- Nie możemy tego zrobić - odpowiedział VanAndt. - Jonathanie, też musiałeś to czuć!

- Czuć?! - Oczy Gravesa zmieniły się w dwie szparki. Ręce przestały nerwowo gestykulować i nagle zastygły w powietrzu w pół ruchu.

Mogens zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Było już jednak za późno, żeby go naprawić.

- A więc jest coś jeszcze - stwierdził doktor po chwili. - Miałem rację! Ta komnata to tylko przedsiónek! Prawdziwa tajemnica dopiero czeka na odkrycie!

Mogensowi mimo woli stanęły przed oczyma olbrzymie posągi bożków strzegących bramy. Poczul, jak wzbiera w nim strach. Wiedział, że popełnia kolejny błąd, ale ciągnął:

- Masz rację, Graves. Coś jest za tymi drzwiami. Jednak nie bez powodu są one zamknięte. - Przeszedł go dreszcz. - Nie przyszło ci do głowy, że cokolwiek się za nimi znajduje, zostało tam umyślnie ukryte?

- Bzdury opowiadasz! - wykrzyknął Jonathan.

- Nie! - Mogens zerwał się na równe nogi, zaraz jednak, jęcząc, z powrotem opadł na łóżko, bo zakręciło mu się w głowie. Dokończył rozpaczliwym, niemal błagalnym głosem: - Dobry Boże, Graves, czy naprawdę nie wystarczy ci to, co wydarzyło się tam na dole?

- Tam na dole? - Doktor otworzył szeroko oczy ze zdumienia. - Mogensie, doprawdy, chyba nie uważasz, że to my doprowadziliśmy do katastrofy?

- A ty nie?

- To było trzęsienie ziemi, nic więcej. - Głos Jonathana nagle złagodniał. - Zwykle trzęsienie ziemi. W tych okolicach nie jest to niczym dziwnym. Nie wierzysz chyba, że to my jesteśmy mu winni.

Rzeczywiście, z wiarą nie miało to nic wspólnego. VanAndt po prostu wiedział. Rozbudzili coś, co od zarania dziejów tkwiło za tamtymi kratami i teraz reagowało już na samą ich obecność. To, co poczuli, było być może jedynie nieznacznym chrząknięciem, ledwie drgnieniem na wpeł śpiącego giganta. A jednak ziemia się trzęsła i pękały głązy. Cóż dopiero, gdyby kolos się zbudził?

- Nie pójdę tam już, Jonathanie - powiedział bardzo cicho, ale z nieugiętą stanowczością. - Nigdy więcej.

Graves westchnął.

- Nie myślisz teraz trzeźwo, Mogensie. O mały włos nie straciłeś życia. Może nie powinienem zbyt dużo od ciebie wymagać. - Skierował się w stronę drzwi. - Tom zaparzy ci mocnej kawy, a potem opatrzy ci rany. Porozmawiamy później, gdy przyjdiesz do siebie.

om nie przyszedł z obiecaną kawą, Mogens nie miał mu tego jednak za złe. Chociaż bał się teraz być sam, to jednak nie chciał widzieć chłopaka. Nie chddziło o wyrzuty sumienia z powodu rażącej niesprawiedliwości, jakiej dopuścił się w stosunku do swojego wybawcy. Wspomnienie, które narzucała mu jego wybujała wyobraźnia, było tak przerażające, że nie potrafiłby teraz zachowywać się przy Tomie swobodnie.

Zamknął drzwi, rozebrał się i pobieżnie umył w zimnej wodzie. Nie miał nic do opatrzenia ran, jednak okazało się, że było to właściwie zbędne. Co prawda potłuczenia bolały, ale oprócz czterech szram ciągnących się od lewego barku przez całą klatkę piersiową nie doznał większego szwanku. Nawet kostka była tylko lekko spuchnięta. Nie wyglądała na złamaną, nawet nie na skręconą. Czy to również, jak wszystko, co dotyczyło przeżyć w podziemnej komnacie, było jego własną fantazją? Gdy opatrzył prowizorycznie zadrapania, stwierdził, że nie były tak głębokie, jak mu się zdawało. Piekły jak ogień, jednak wyglądały na ślady po ludzkich paznokciach, a nie po pazurach mitycznego potwora. Mogens ubrał się, co nie było łatwe, ponieważ zapas czystej i niezniszczonej garderoby szybko się kurczył. Spróbował wymyślić pretekst, pod jakim mógłby pójść do Toma, żeby go przeprosić, a przede wszystkim ponownie podziękować za uratowanie życia. Wtem usłyszał warkot silnika.

Podszedł do okna i zmarszczył czoło zaskoczony. Na plac zajechał samochód, wprawdzie nie w tak zawrotnym tempie jak poprzednio, był to jednak bez wątpienia wóz szeryfa Wilsona. Policjant i tym razem podjechał wprost pod dom Gravesa. Mogensowi zdawało się, że oprócz szeryfa za ubłoconą szybą widniała również druga postać.

VanAndt miał świadomość, że nie spodoba się to Grave-sowi, mimo to opuścił dom i szybkim krokiem skierował się w stronę przybyszów. Było mu obojętne, co powie na to Jonathan. W głębi duszy wiedział od dawna, że długo tu już nie zabawi. Żałował, że w ogóle przyjechał, a jeszcze bardziej, że zaufał Gravesowi. Rozpaczliwie pragnąc odmienić swój los, uwierzył w to, co chciał uwierzyć. Zapomniał jednak o tym,

co tak naprawdę wiedział z niezachwianą pewnością - Jonathan Graves musiał zepsuć wszystko, czego się dotknął.

Nie mylił się - Wilson nie przybył sam. Gdy wysiadał z samochodu, zakładając swój zbyt duży kapelusz, otworzyły się również drzwi pasażera. Po chwili Mogens ujrzał krępego, lekko łysawego mężczyznę. Był elegancko ubrany i nosił okulary. Mogensowi nie spodobało się, że spoglądał dookoła wzrokiem pełnym z trudem skrywanej nienawiści.

- Szeryfie. - VanAndt skinął głową.

- Profesorze. - Wilson dotknął dwoma palcami brzegu swojego kowbojskiego kapelusza i obdarował Mogensa krótkim, lecz wyraźnie szczerym uśmiechem. Jego towarzysz obrócił się i spojrzął na VanAndta nieco zaskoczony, prawdopodobnie tytułem naukowym. Nic nie powiedział, ale gniew w jego oczach zdawał się wzmóc jeszcze bardziej.

Nim Mogens zdążył zapytać, o co chodzi, drzwi za nimi otworzyły się z takim impetem, że uderzyły w ścianę. Po chwili wybiegł Graves.

- Steffen! - wrzasnął. Twarz miał czerwona ze złości. - Ile razy mam panu powtarzać, że... Urwał w pół słowa, gdy zauważył VanAndta, westchnął głośno i odwrócił się z wymuszonym spokojem w stronę Wilsona.,

- Szeryfie, wzywam pana do usunięcia tego człowieka z mojej posiadłości. Wyraźnie zabroniłem doktorowi Stef-fenowi i jego współpracownikom wchodzenia na moją ziemię. Wzburzony Steffen zamierzał właśnie odpowiedzieć, jednak Wilson zamknął mu usta jednym krótkim spojrzeniem i zwrócił się do Gravesa:

- Jestem tego świadom, doktorze. Proszę jednak, żeby pan przynajmniej wysłuchał doktora Steffena. To, co chce powiedzieć, jest sprawą wysokiej wagi, która może mieć znaczenie również dla pana i pańskich współpracowników.

Twarz Jonathana spochmurniała jeszcze bardziej, lecz powstrzymał się od złośliwej odpowiedzi, którą miał na końcu języka. Skinął głową.

- Doktorze... - Wilson spojrział na Steffena. W jego głosie słychać było gorącą prośbę, by zapanował nad sobą i nie dolewał oliwy do ognia. A więc Graves nie był w tym towarzystwie jedyną osobą skłoną do wybuchów wściekłości.

Steffen wziął głęboki oddech, co najwyraźniej pomogło, bo zaczął spokojnie i rzeczowo: »

- Dzisiejszej nocy było trzęsienie ziemi, doktorze. Dość silne trzęsienie ziemi.

- Tak? - spytał Graves. - Nic nie wiem na ten temat. Spałem.

Mogens wzdygnął się, lecz na szczęście ani Wilson, ani jego towarzysz nie spojrzeli na niego w tym momencie. Ale Jonathan zwrócił się wprost do VanAndta:

- Czy pan coś zauważył, profesorze?

Był tak osłupiały, że zupełnie automatycznie pokręcił głową. Steffen obrzucił go krótkim, badawczym spojrzeniem, ale z jego wzroku nie można jednak było wyczytać, do jakich doszedł wniosków. Po chwili spojrział ponownie na Gravesa.

- Dziwi mnie to niezmiernie, doktorze. Tak, jak już wspomniałem, trzęsienie było dość silne, odczuwalne nawet w miasteczku. Opierając się na pomiarach naszych przyrządów mierniczych, epicentrum tych wstrząsów znajdowało się dokładnie pod tym placem.

- Powinni państwo zatem poddać swoje przyrządy gruntownej kontroli - rzucił chłodno Jonathan. - Nikt tu nie zauważył nic takiego.

- Komu chce pan to wmówić?! - wykrzyknął zdenerwowany Steffen.

- Panu - uśmiechnął się Graves.

Geologowi już puściły nerwy.

"TTT

'f'

iBS:

w

: f ■> v i

l I

« J;

;rrr!.,

:},M

- Graves, niech mnie pan nie okłamuje! - warknął. - Chcę się w końcu dowiedzieć, co pan i pana tak zwani koledzy wyprawiacie tam na dole!

- Obawiam się, że nie do końca rozumiem, o czym pan mówi, drogi kolego. - Jonathan był zadziwiająco spokojny. Tym spokojniejszy, im bardziej Steffen zaczynał się gorączkować.

- Szeryfie, żądam, żeby pan coś zrobił. Natychmiast! - wykrzyknął geolog.

- Obawiam się, że w tej kwestii muszę się zgodzić z doktorem Gravesem - powiedział bezradnie Wilson. - Ja również nie do końca rozumiem, czego pan żąda.

Steffen zaczął wymachiwać rękami w stronę Jonathana.

- Musi pan podjąć jakieś kroki, szeryfie - sapał. - Ci... ci ludzie, to nie żadni naukowcy! Nie wiem, co oni tutaj robią, jednak cokolwiek by to nie było, jest to niebezpieczne! Chcę natychmiast zobaczyć, co się tam na dole dzieje!

Wilson wyglądał na jeszcze bardziej bezradnego niż wcześniej. Twarz Gravesa promieniała w szerokim uśmiechu. Mogens pojął, że geolog już przegrał, obojętne jakie jeszcze argumenty

przytoczyłby. Graves wyprowadził go z równowagi i tym samym wygrał.

W końcu Wilson westchnął zrezygnowany i zwrócił się do VanAndta:

- A pan, profesorze? Jest pan pewien, że niczego pan nie zauważył?

Mogens nie odpowiedział od razu. Nie mógł przecież zapominać, że rozmawiał z policjantem, człowiekiem, który zawodowo zajmował się rozróżnianiem prawdy od kłamstwa i który nauczył się dostrzegać więcej, niż jest widoczne na pierwszy rzut oka. Nawet jeśli Graves najwyraźniej pogardzał Wilsonem, Mogens czuł jednak, że szeryf znał się na swojej robocie. Profesor przebrał się wprawdzie, a jedyna pozostałość nocnych wydarzeń - rana na klatce piersiowej - była ukryta pod koszulą. Mimo to z pewnością nie wyglądał na człowieka, który przespał całą noc twardym snem. Wilson musiał przynajmniej wyczuwać, że słowa Gravesa nie do końca pokrywały się z prawdą. A jednak Mogens po chwili wahania wzruszył ramionami.

- Przykro mi, niczego nie zauważyłem.

- A czego pan się spodziewał? - parsknął pogardliwie geolog. - Oni wszyscy są przecież w znowie.

- Steffen, proszę się opanować - powiedział Graves chłodno. - Nie pozwolę, by obrażał pan moich współpracowników. - Z przyklejonym do twarzy uśmiechem obrócił się w kierunku Wilsona.

- Szeryfie, jestem cierpliwym człowiekiem, jednak to wszystko powoli robi się nie do wytrzymania. Odkąd zaczęliśmy tu pracować, doktor Steffen na wszelkie sposoby próbuje wtargnąć do naszego wykopaliska. Nie wiem dlaczego i nie mam zamiaru tego dochodzić, jednak to wszystko zakrawa już na absurd!

Steffen zaczął ostrym tonem:

- Żądam...

- Pan - wszedł mu w słowo Graves - nie ma tu nic do żądania. Proszę się cieszyć, że nie oskarżyłem pana o naruszenie miru domowego lub oszczerstwa!

- Nie wiem, co pan robi tam pod ziemią - syknął Steffen - ale dowiem się, przyrzekam to panu!

Graves zaśmiał się cicho.

- Dziś jest pierwszy kwietnia, doktorze. Zakładam, że przypomniał pan sobie stary dobry zwyczaj robienia innym w tym dniu kawałów. Czy może naprawdę twierdzi pan, że nasza praca doprowadziła do trzęsienia ziemi?

Nawet w uszach Mogensa zabrzmiało to absurdalnie, choć kto jak kto, ale on dobrze wiedział, jak było naprawdę.

Wściekły geolog tylko zagryzł usta i świdrował Gravesa wzrokiem. Wilson nagle ogromnie się spieszył, jak dziecko 202 przyłapano na wyjadaniu cukru.

rji

ŁfC

W

- Chcę zobaczyć to rzekome wykopalisko - upierał się Steffen.

- Domyślam się - odparł Graves. - Steffen, kto panu płaci? Jakiś uniwersytet? Gazeta?

- Lepiej spytać, kto panu płaci - odparł geolog opryskliwie. - Dowiedziałem się kilku rzeczy na pana temat, Graves. Ten tak zwany uniwersytet, który finansuje pańskie prace wykopaliskowe, cieszy się wątpliwą reputacją i...

- Dosyć tego! - przerwał mu Jonathan. - Bardzo dziękuję za wizytę.

Steffen wpatrywał się w niego skonsternowany. Wilson nie dał mu jednak okazji, by powiedział coś jeszcze.

- Przepraszam za to najście, doktorze. - Podniósł dłoń do kapelusza. - Czy jeśli będę miał jeszcze pytania, mogę zgłosić się do pana ponownie?

- Oczywiście, szeryfie, do widzenia.

Steffen i Wilson wsiedli do samochodu. Graves patrzył na nich z kamienną twarzą, dopóki nie odjechali.

- Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, Mogensie? - spytał. - Naprawdę nie pozostało nam wiele czasu.

- Na co? Boisz się, że Steffen dojdzie do tego, co naprawdę robiliśmy na dole?

- A co .takiego robiliśmy? - zaśmiał się Jonathan. - No już, Mogens, idź do obozu Steffena i porozmawiaj z nim! Nawet nie będę próbował cię powstrzymać. Idź i opowiedz, że wywołaliśmy demona z przeszłości i w ten sposób spowodowaliśmy trzęsienie ziemi! - Zrobił głęboki wdech, cofnął się pół kroku. Widać było, że walczy ze sobą. - Przepraszam. To było trochę nie fair. Jestem... i ja, i Steffen jesteśmy trochę porywczy.

- Rzeczywiście - zauważył VanAndt. - Też tak mi się wydaje. - Wskazał ręką w kierunku, w którym odjechał wóz policyjny - Dlaczego nie pokażesz po prostu Steffeno-wi, co odkryłeś? Mogens nie miał zamiaru usłuchać rady Gravesa, jednak gdy tylko wrócił do kwatery, ogarnęło go nagłe znużenie, tak że zaraz położył się do łóżka. Nie zamierzał spać, lecz tylko poukładać myśli. Ale gdy tylko położył głowę na poduszce, momentalnie zapadł w głęboki sen. Obudził się dopiero po południu

- Czy ty mnie nie słuchałeś, Jonathanie?! - zawołał Mogens. - Ja tam już więcej nie zejść.

- Owszem, zejdziesz. - Graves uśmiechnął się.

- Chcesz mnie zmusić?

- Jemu?! - sapnął Graves. - Zwariowałeś?!

- Wcale nie - odpowiedział Mogens. - Znam ten typ ludzi, Jonathanie, tak jak i ty go znasz. Steffen nie podda się, dopóki nie osiągnie celu.

- Może masz nawet rację - odparł doktor po krótkim namyśle. - Twój pomysł jest jednak szalony. Nie możemy mu wszystkiego pokazać. On nie podda się, więc tym bardziej powinniśmy się pośpieszyć. - Wskazał głową w stronę namiotu. - Tom był dopiero co w tunelu. Nie jest najlepiej, jednak daj radę. Poprosiłem go, by podparł belkami najbardziej uszkodzone części korytarza. Skończy pracę po południu. Wykorzystaj ten czas na odpoczynek. Ja w każdym razie na pewno to zrobię. Obawiam się, że nie będziemy już mieli za wiele czasu na sen.

- Nawet nie wiedziałbym, w jaki sposób - przyznał szczerze Jonathan - ale nie będzie to konieczne. Zbyt dobrze cię znam, Mogens. Cokolwiek myślę o tobie inni, jesteś badaczem z krwi i kości. Nie spoczniiesz, dopóki nie odkryjesz tajemnicy tych drzwi. A teraz idź i spróbuj się przespać. Dziś w nocy musisz mieć dużo sił.

Musisz być rzeźki i wypoczęty. Był Jednak także zły na samego siebie. To, że zmęczenie go pokonało, odbierał jak osobistą porażkę.

Był głodny. Rzucił okiem na zegarek - Tom spóźnił się z obiadem już dobrą godzinę. Fakt ten rozgniewał go jeszcze bardziej, ale zrezygnował z wyjścia i odszukania chłopaka. Napił się wody, po czym zaczął szperać w książkach, by odwrócić myśli od zdarzeń ostatniej nocy.

Coś było jednak nie tak.

Ale to nie burczenie w brzuchu ani wewnętrzny niepokój sprawił, że Mogensowi trudno się było skupić na pracy. Zaszło coś innego. Rysunki, symbole i szkice, do tej pory tak przystępne, nagle stały się zupełnie niezrozumiałe niczym pismo klinowe. Jeszcze poprzedniego dnia z zadziwiającą łatwością odszyfrowywał książki, które Graves pożyczył z biblioteki Uniwersytetu Miskatonic. Teraz nie chciały uronić nawet rąbka swojej tajemnicy, zupełnie jakby wiedza, którą w ciągu ostatnich trzech dni bez trudu sobie przyswoił, była tylko narzędziem powierzonym mu w celu wykonania jakiejś pracy, po czym znów odebrany. Frustrowało to Mogensa, ale równocześnie napawało lękiem. Stracił wprawdzie zdolność rozumienia tego pisma, jednak pozostała w nim świadomość przyprawiająca o dreszcze - dotknął czegoś, czego nie wolno mu było naruszać. Wertował książki jeszcze dobre dwie godziny, aż w końcu podjął decyzję. Obojętne, co się stanie, co zaproponuje mu Graves i czym będzie mu groził, nigdy więcej nie zejdzie na dół, lecz opuści to przeklęte miejsce, i to jeszcze dziś.

Zamknął ostatnią z przeglądanych książek, odstawił starannie na półkę i wyszedł z zamiarem udania się do Jonathanana i powiadomienia go o podjętej decyzji.

Trafił w sam środek zażartej kłótni. Graves nie był sam. Drzwi jego domu stały otwarte na oścież, co było bardzo nietypowe, a krzyki VanAndt słyszał z daleka.

Rozpoznał głos Hyams, co wcale go nie zdziwiło, jak również McClure'a. Mogens zastanawiał się przez chwilę, czy wejść do środka. Już pierwszego dnia zauważył, że Graves nie był w najlepszych stosunkach ze swoimi współpracownikami, jednak do tej pory profesorowi udawało się nie brać udziału w ich kłótniach. Tym razem było już jednak za późno. Bezwrotnie minął czas, kiedy mógł trzymać się z daleka od wszystkiego związanego z tym budzącym grozę wykopaliskiem. Wszedł, nie pukając, rzucił krótkie spojrzenie na pokój, po czym odwrócił się do zgromadzonych. Nigdy tu jeszcze nie był, jednak opis, jakiego dostarczył mu Tom podczas jazdy samochodem, okazał się tak trafny, że miał wrażenie, jakby znał to miejsce od dawna. Całą jedną ścianę zajmował ogromny regał wypełniony książkami i zwojami pergaminu. Na masywnym stole, za którym siedział Graves, piętrzyły się szklane kolby i rurki, palniki laboratoryjne i tygle. Cały ten widok przypominał Mogensowi raczej laboratorium średniowiecznego alchemika niż miejsce pracy poważnego naukowca rozpoczynającego się dwudziestego wieku.

Profesor tylko przelotnie popatrzył na to wszystko. Nie tylko trafił na ostrą kłótnię, poczuł też wyraźnie, że jest tu wyjątkowo niemile widziany. McClure mówił coś do Gravesa podniesionym głosem, gestykulując przy tym żywo, jednak na widok Mogensa urwał w pół słowa i spojrzał na niego zmieszany. Hyams natomiast obrzuciła go wrogim, wojowniczym spojrzeniem. Mercer odwrócił wzrok.

- Czy przychodzę nie w porę? - spytał VanAndt.

- Ależ skąd! - odpowiedział Graves. Mercer i McClure starali się na niego nie patrzeć, natomiast wzrok Hyams jednoznacznie mówił: „tak”.

- Wejdziesz, profesorze. - Na ustach Jonathana pojawił się lekki uśmiech. - Twoi szanowni koledzy właśnie o tobie

rozmawiają. Ale zakładam, że zamiast o tobie, wolą porozmawiać z tobą.

Mogens nie był w nastroju do prowadzenia dwuznacznych gier słownych.

- O co tutaj chodzi? - spytał ostro.

- Przecież już powiedziałem, profesorze - odparł Graves. - Chodzi o ciebie.

Po raz trzeci zwrócił się do niego, używając tytułu naukowego - albo chciał w ten sposób zaznaczyć autorytet Mogensa, albo go osłabić. Niezależnie, co miał na myśli, wyszło na to drugie.

- Bzdura! - powiedziała Hyams, zanim ten zdążył odpowiedzieć. - Nie chodzi o pana, profesorze. - W jej ustach słowo „profesor” zabrzmiało pogardliwie, co podkreślił jeszcze złośliwy uśmiech wykrzywiający wąskie usta. Odwróciła się demonstracyjnie w stronę Gravesa. - Jak więc brzmi pańska odpowiedź?

- Wychowanie nie pozwala mi udzielić pani odpowiedzi, na którą pani zasługuje, moja droga.

- Jonathan pokręcił głową. - Chociaż zakładam, że z pewnością ją pani zna. Nie dam się szantażować. Nie uda się to nawet tak atrakcyjnej kobiecie jak pani.

- Szantażować? - Hyams zastanawiała się chwilę, po czym wzruszyła ramionami. - Skoro tak pan chce to nazwać... - Rzuciła Mogensowi krótkie, lodowate spojrzenie. - Daję panu godzinę na przemyślenie tego, co powiedziałam, doktorze. Proszę się zdecydować.

- To samo radziłbym pani - odpowiedział Graves zimno. - Mamy podpisaną umowę.

- Niech mnie pan więc zaskarzy. - Hyams jeszcze chwilę świdrowała go wzrokiem wyzywająco, jednak gdy Graves nie wypowiedział ani słowa sprzeciwu, odwróciła się gwałtownie i wyszła pospiesznym krokiem. McClure wybiegł tuż za nią, natomiast Mercer wyraźnie się wahał. Widać

było, że jest ogromnie skrępowany. W końcu też wyszedł, wcześniej rzuciwszy Mogensowi spojrzenie błagające o wyrozumiałość.

- Durnie! - zagrzmiał Graves. - Jakbyś nie wiedział, jak wygląda sawantka, wystarczy, że spojrzysz na Hyams.

- Co to ma znaczyć? - spytał Mogens. - Co tu się działo?

Jonathan westchnął.

- Coś, czego spodziewałem się już od dłuższego czasu - przyznał. - Panna Hyams nie jest raczej przyjemnym człowiekiem, natomiast na pewno nie jest głupia. Od początku podejrzewała, że

na dole jest coś jeszcze oprócz świątyni wzniesionej przez potomków egipskich marynarzy. - Westchnął - Trzęsienie ziemi, Mogensie. Ona coś znalazła. Nie wiem co. Zabroniłem wszystkim schodzić na dół, ale mogłem się domyślić, że Hyams złamie zakaz. - Wzruszył ramionami. - Dobrze więc, chcesz wiedzieć, czego żądała? Postawiła mi ultimatum. Ale ja tego bardzo nie lubię.

- Jakie ultimatum?

- Albo pokażę jej, co naprawdę odkryliśmy, albo ona i pozostali przerwą pracę i odejdą.

- I co zdecydowałaś?

- Niech odejdą - powiedział zimno doktor. - Już ich nie potrzebujemy. - Wstał, obszedł stół i wyciągnął rękę, jakby chciał ją położyć Mogensowi na ramieniu. Zrezygnował jednak, gdy VanAndt cofnął się instynktownie. Nie zniósłby dotyku tej... rękawiczki.

Profesor chrząknął niespokojnie.

- Jonathanie, ty...

- Jesteśmy prawie u celu, Mogensie! - Graves wszedł mu w słowo. - Nie rozumiesz? Nie potrzebujemy już tych durni!

- Z pewnością rozpowiedzą o tym, co tu widzieli - stwierdził VanAndt.

- I co z tego? - Jonathan machnął lekceważąco ręką. - Niech rozpowiadają. Jakie to ma znaczenie? Niech opowiedzą wszystko. Jak dla mnie, mogą biec do Wilsona i wszystko mu wyjawić. Nawet do tego półgłówka Steffena. Nie przeszkadza mi to. Teraz już nie.

- Kilka godzin temu mówiłeś jeszcze coś zupełnie innego - przypomniał mu Mogens.

- Wtedy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, jak blisko celu jesteśmy. - Graves nagle zrobił się nerwowy. Nie mógł ustać spokojnie ani opanować drżenia rąk. - Tom prawie skończył. Za godzinę możemy zejść na dół.

Profesor popatrzył na niego zdziwiony.

- Ile razy mam ci powtarzać?! Już nigdy więcej nie zejść do tego przeklętego miejsca! Za żadne skarby!

Cofnął się ostentacyjnie o krok. Graves patrzył na niego z twarzą bez wyrazu, jednak w jego oczach zaczął się tlić ten sam gniew, który wcześniej płonął podczas rozmowy z Hyams i pozostałą dwójką.

- Powinieneś to dobrze przemyśleć, Mogensie - powiedział zimno.

Coś zdawało się poruszać pod powłoką jego twarzy. Zmieniał się w ledwo zauważalny, ale budzący grozę sposób. VanAndt ledwie wytrzymał jego spojrzenie. Mówił jednak dalej:

- Już to przemyślałem, Jonathanie. Moja decyzja jest nieodwołalna. Wyjeżdżam jeszcze dziś. W ogóle nie powinienem był tu przyjeżdżać.

- Ty nędzny głupcze! - syknął Graves. - Jedź sobie! Biegnij do pozostałych, tylko pospiesz się, może mają dla ciebie jeszcze miejsce w samochodzie!

Mogens chciał coś odpowiedzieć, ale nie był w stanie dłużej znieść wzroku Gravesa i widoku jego nadal przeobrażającej się twarzy. Zresztą Jonathan należał do ludzi,

■■< 'i'

do których nie trafiały żadne argumenty, gdy już raz wbili sobie coś do głowy.

Odwrócił się więc bez słowa i udał do swojej kwatery, by spakować rzeczy.

ml

f _____

fi« i s.

» U,

1 ĩ 10

pakowanie ubrań do wyświechtanych walizek nie zajęło Mogensowi wiele czasu. W ciągu pobytu w obozie i tak skromny dobytek profesora jeszcze się skurczył. Wczorajsze spodnie i koszula nadawały się już tylko do wyrzucenia, podobnie jak ubrania, które miał na sobie pierwszej nocy - na cmentarzu. Skierował się w stronę regału, by wyjąć swoje książki.

Drzwi otworzyły się, ale VanAndt nawet nie spojrzął na wchodzącego.

- Bez obaw - powiedział. - Biorę tylko moje książki. Twoim cennym oryginałom nic się nie

stanie.

- Ależ wiem, drogi panie profesorze - powiedział głos za nim, który jednak z całą pewnością nie należał do Gravesa. - Pan nigdy nie wzięłby cudzej własności.

Mogens odwrócił się gwałtownie i zamarł w bezruchu na dobre pięć sekund. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Panna Preussler?

- Miło, że poznaje mnie pan jeszcze po tak długim czasie - powiedziała gospodyni z drwiną w głosie. To było zupełnie niemożliwe, wykluczone i absolutnie niedorzeczne, a jednak panna Preussler - osoba, która chlubiła się tym, że nigdy nie opuszczała Thompson - stała dwa kroki od drzwi, w lewej dłoni trzymając zniszczoną walizkę, w prawej mały wiklinowy koszyk. Z koszyka patrzyła na Mogensa para pomarańczowych lśniących oczu.

- Panna Preussler - wymamrotał profesor raz jeszcze.

- Tak, już pan to powiedział - odparła gospodyni, wykrzywiając usta. - Zaraz się pogniewam, profesorze. To w ten sposób wita się starą przyjaciółkę?

Postawiła koszyk z Kleopatrami, walizkę po prostu upuściła na podłogę i rozłożyła ramiona, jakby rzeczywiście oczekiwała, że VanAndt rzuci jej się na szyję z radości.

Mogens nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

- Ale skąd... to znaczy, jak pani się tu znalazła? - wyjąkał.

Panna Preussler opuściła ręce rozczarowana. Na chwilę straciła kontrolę nad mimiką i już wyglądało, że zacznie płakać. Zapanowała jednak nad sobą i zmusiła się do uśmiechu.

- To rzeczywiście była długa i uciążliwa podróż, przynajmniej - powiedziała. - Ale chętnie ją podjęłam, ponieważ chciałam pana zobaczyć, mój drogi panie profesorze.

- Ach tak - kiwnął głową Mogens. Z pewnością odpowiedź nie należała do wyszukanych, a nawet nie była specjalnie grzeczna. Nie zdołał jednak wykrztusić z siebie nic więcej. Myśli krążyły mu bezładnie po głowie. Panna Preussler? Tutaj? Ale dlaczego?

- Widzę, że obezwładniła pana radość z naszego ponownego spotkania - westchnęła gospodyni. - Powinna była pana uprzedzić. Ale mam nadzieję, że nie każe mi pan wrócić do miasta i wysłać stamtąd telegramu. Może wystarczy, jeśli wyjdę i zapukam do drzwi?

- Nie... nie trzeba. - Mogens zebrał się w sobie i rozłożył ręce w geście przeprosin, po czym chrząknął trochę zakłopotany i w końcu powiedział: - Proszę mi wybaczyć moje zachowanie, panno Preussler. Jestem tylko ogromnie zaskoczony pani przybyciem.

W końcu otrząsnął się z odrętwienia, okrążył stół i podszedł do gospodyni. Zatrzymał się jednak przezornie w odległości dwóch kroków od niej, żeby przypadkiem nie zinterpretowała błędnie jego zamiarów i nie zaprzęgnęła wziąć go w objęcia.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć - wyznał. - Witam serdecznie. Ale jak się tu pani znalazła? Na Boga, dlaczego zdecydowała się pani na tę długą i męczącą podróż?

Panna Preussler zmierzyła go drwiącym, ale i strofującym spojrzeniem. Rozejrzała się uważnie po pokoju, marszcząc przy tym czoło. Na jej twarzy widać było coraz większą dezaprobatę.

- No tak... - mamrotała. - Dobrze, że przyjechałam. W tym... - urwała, jakby zastanawiając się, czy może użyć słowa „pokój” w odniesieniu do tego, co zobaczyła - ...w tym pomieszczeniu zdecydowanie brakuje kobiecej ręki.

Potem uczyniła coś, co wprawiło Mogensa w osłupienie. Nie zdjawszy nawet płaszcza, przeszła obok niego i schyliła się nad stertą podartych ubrań leżących na podłodze obok łóżka. Mogens nie był pewien, ale zdawało mu się, że wymamrotała pod nosem coś na kształt: „ci mężczyźni...”.

- Ależ panno Preussler, błagam panią! Co pani robi? Proszę to odłożyć.

Wyprostowała się, sapiąc. W prawej ręce trzymała podarte spodnie, w lewej rozdartą koszulę jak trofea zdobyte na polowaniu.

- Chętnie bym to zrobiła, ale obawiam się, że najpierw muszę wygospodarować trochę miejsca - powiedziała. - Dziwi mnie to, profesorze. Zawsze ceniał pan sobie porządek!

Mogens podszedł do niej, wyjął jej z rąk podarte ubrania i rzucił na podłogę dokładnie w to miejsce, z którego jej podniosła.

- Właśnie się pakowałam - oznajmił.

Gospodyni zamrugła oczami.

- Pakował się pan?

- Wyjeżdżam - potwierdził. - Przykro mi, ale obawiam się, że na próżno przebyła pani tyle mil.

- Jak to pan wyjeżdża? - nie dowierzała panna Preussler, choć w jej głosie nie było rozczarowania ani gniewu.

- Po prostu. - Wzruszył ramionami. - Ta praca... jest inna, niż sobie wyobrażałem. Obawiam się, że w ogóle niepotrzebnie tu przyjeżdżałem.

Panna Preussler tylko zrobiła minę „a nie mówiłam?”.

- Czy mimo to mogę usiąść? - spytała.

VanAndt odwrócił się pospiesznie i przysunął jedyne krzesło w pokoju. Leżała na nim jednak sterta papierów. Podniósł ją i przez chwilę stał bezradnie, w końcu położył notatki na pochyłym blacie pulpitu. Papiery zsunęły się i rozsypały po podłodze. Panna Preussler uniosła brwi, nie powiedziała jednak nic, tylko czekała, aż Mogens pomoże jej ściągnąć płaszcz. W końcu usiadła. Zlustrowała wzrokiem obładowany stół, jednak ku zaskoczeniu Mogensa, nie skomentowała bałaganu ani słowem.

- Nie podoba się więc panu ta praca - zagadnęła z nutką zadowolenia.

- Tak... znaczy nie - odparł Mogens. - Jest inna, niż się spodziewałem.

- Chodzi o tego okropnego człowieka, prawda? Tego doktora Gravesa? - Panna Preussler sama odpowiedziała sobie na pytanie stanowczym skinieniem głowy. - W takim razie dobrze zrobiłam, nie wynajmując nikomu pańskiego pokoju.

Minęła dłuższa chwila, nim Mogens pojął, co miała na myśli.

- Pani?...

- Ależ przecież wiedziałam, że pan wróci, mój drogi panie profesorze - odparła z uśmiechem.

- Człowiek na pańskim poziomie nie wytrzyma długo w towarzystwie

- Wyjeżdżam - potwierdził. - Przykro mi, ale obawiam się, że na próżno przebyła pani tyle mil.

- Jak to pan wyjeżdża? - nie dowierzała panna Preussler, choć w jej głosie nie było rozczarowania ani gniewu.

- Po prostu. - Wzruszył ramionami. - Ta praca... jest inna, niż sobie wyobrażałem. Obawiam się, że w ogóle niepotrzebnie tu przyjeżdżałem.

Panna Preussler tylko zrobiła minę „a nie mówiłam?”.

- Czy mimo to mogę usiąść? - spytała.

VanAndt odwrócił się pospiesznie i przysunął jedyne krzesło w pokoju. Leżała na nim jednak sterta papierów. Podniósł ją i przez chwilę stał bezradnie, w końcu położył notatki na pochyłym blacie pulpitu. Papiery zsunęły się i rozsypały po podłodze. Panna Preussler uniosła brwi, nie powiedziała jednak nic, tylko czekała, aż Mogens pomoże jej ściągnąć płaszcz. W końcu usiadła. Zlustrowała wzrokiem obładowany stół, jednak ku zaskoczeniu Mogensa, nie skomentowała bałaganu ani słowem.

- Nie podoba się więc panu ta praca - zagadnęła z nutką zadowolenia.

- Tak... znaczy nie - odparł Mogens. - Jest inna, niż się spodziewałem.

- Chodzi o tego okropnego człowieka, prawda? Tego doktora Gravesa? - Panna Preussler sama odpowiedziała sobie na pytanie stanowczym skinieniem głowy. - W takim razie dobrze zrobiłam, nie wynajmując nikomu pańskiego pokoju.

Minęła dłuższa chwila, nim Mogens pojął, co miała na myśli.

- Pani?...

- Ależ przecież wiedziałam, że pan wróci, mój drogi panie profesorze - odparła z uśmiechem.

- Człowiek na pańskim poziomie nie wytrzyma długo w towarzystwie

I Utif >

|J4

takiego gburą jak Graves. I do tego jeszcze to otoczenie. -Demonstracyjnie powiodła wzrokiem po pokoju, po czym znów ostentacyjnie pokręciła głową. - To nie dla pana. Wiedziałałam, że pan wróci.

Jednak - dodała po chwili - nie podejrzewałam, że stanie się to tak szybko.

Najwyraźniej oczekiwała reakcji ze strony Mogensa. On jednak nic nie powiedział. Dopiero przyjazd dawnej gospodyni uświadomił mu, że nie zastanawiał się jeszcze, dokąd pojedzie. Z powrotem do Thompson? Już sama myśl o tym napawała go przerażeniem niewiele mniejszym niż myśl o Gravesie.

- Wróci pan, prawda? - spytała wreszcie panna Preussler. - Proszę się nie martwić, profesorze. Rozmawiałam z dziekanem. Może pan znów objąć swoje stanowisko. Potrąca panu z wynagrodzenia za tydzień, ale to wszystko. Początkowo dziekan nie był zachwycony, muszę przyznać, ale zdołałam go przekonać. - Uśmiechnęła się przebiegle. - Dysponuję pewnymi informacjami na temat jego synowej. Zależało mu najwyraźniej, by nie dostały się one do ogólnej wiadomości.

Mogens nadal milczał. Oczywiście, że wróci do Thompson. Nie był jeszcze gotowy przyznać tego przed samym sobą, lecz w głębi duszy wiedział już, że tak właśnie zrobi. Wróci do Thompson i znów obejmie tę zniechęconą posadę, znów zagrzebie się w małym biurze bez okien w piwnicy uniwersytetu i zamieszka u panny Preussler w pokoju z dziurami w podłodze wypalonymi przez iskry z kominka. Jego życie potoczy się dalej, jakby jego monotonia nigdy nie została przerwana.

Na myśl o tym wszystkim ciarki przeszły mu po plecach. Wiedział jednak, że decyzja o przyłączeniu się do Gravesa była tylko rozpaczliwą próbą ucieczki przed nędzną vegetacją. Próba się nie powiodła i czuł, że nie starczy mu już sił na podjęcie kolejnej.

- Tak - wyszeptał raczej do siebie niż do panny Preussler. - Wracam z panią.

Gospodyni promieniała. Ale zanim zdążyła coś powiedzieć, z koszyka, który postawiła koło drzwi, dobiegło ciche miauczenie, a zaraz potem niecierpliwe drapanie.

- Kleopatra! - Panna Preussler popatrzyła z przestachem w stronę koszyka. - Jaka ze mnie głupia, stara baba! Bidulka od wielu godzin siedzi zamknięta w koszyku.

Chciała ją zaraz uwolnić, jednak Mogens pokręcił szybko głową.

- Proszę nie wstawać, panno Preussler. Ja się tym zajmę. Ona na pewno chce wyjść. Nie chcemy przecież, żeby doszło do katastrofy.

Właścicielka kotki nic nie odpowiedziała, a Mogens za późno zdał sobie sprawę, jak nieroztropne były jego słowa, które mogły przypomnieć pannie Preussler o jakże dla niej przykrym incydencie związanym z Kleopatrami. Kucnął obok koszyka i otworzył drzwiczki.

Kotka wyskoczyła, fukając gniewnie i niczym czarna błyskawica czmychnęła na dwór. Panna Preussler głośno wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Proszę się nie martwić - powiedział Mogens pospiesznie. - Nic jej nie będzie, w końcu to kot.

Mimo swego optymistycznego zapewnienia wyprostował się i wyrzwał na zewnątrz, by zobaczyć, w którym kierunku pobiegła Kleopatra. Nie dostrzegł jej, za to usłyszał zdenerwowane głosy. Spojrzał w stronę, skąd dochodziły. Przed jednym z domków stali Graves i Hyams. Kłócili się, żywo przy tym gestykując. Wyglądało to tak, jakby niebawem miało dojść do rękoczynów.

Zastanawiał się właśnie, czy nie podejść do nich i nie spróbować załagodzić sytuacji, gdy nagle z za rogu wyjechał ford - ten sam, którym przywiózł go Tom. Za kierownicą siedział Mercer, obok niego McClure. Samochód zatrzymał

21?

się z cichym piskiem tuż obok Gravesa i jego rozmówczyni. Mercer, postępując, przechylił się ponad siedzeniem McClure'a i otworzył drzwi. Ale Jonathan zatrzasnął je gniewnie z powrotem. Hyams natychmiast znów je otworzyła i skarciła doktora tak opryskliwie, że cofnął się o krok i nie próbował jej więcej powstrzymywać. Chwilę później wsiadła do samochodu, a Mercer ruszył tak gwałtownie, że spod kół trysnęły dwie wysokie na metr fontanny błota, przed którymi Graves spieszenie uskokzył. Plan Mogensa, aby ulotnić się z obozu z Mercerem i resztą, był więc nieaktualny.'

VanAndt wrócił do kwatery i zamknął za sobą drzwi. Panna Preussler pochłonięta była sprzątaniami bałaganu ze stołu.

- Papiery proszę samemu posprzątać, profesorze - powiedziała. - Boję się, że mogłabym je pomieszać.

- Proszę to wszystko zostawić - machnął ręką Mogens.

Panna Preussler jednak nie przerwała swojej krucjaty czystości. Odwróciła jedynie głowę w jego stronę i spojrzała pytająco.

- Z Kleopatrami wszystko w porządku, prawda? Wygląda pan na zatroskanego.

- Z Kleopatrami wszystko w porządku - potwierdził. - Obawiam się jednak, że mamy mały problem.

- Problem?

- Wygląda na to, że właśnie umknęła nam ostatnia okazja wyjechania stąd - odparł. I sam spojrzał na gospodynię pytającym wzrokiem. - A pani jak tu dotarła, jeśli mogę spytać?

- Pewien uprzejmy kierowca ciężarówki przywiózł mnie tu z San Francisco - wyjaśniła. - Dowiózł mnie do miasteczka, stamtąd przyszedłam już pieszo.

- Ale to jakieś trzy mile!

- Co też pan nie powie! - westchnęła panna Preussler. - Spacer podobno dobrze robi od czasu do czasu.

Mogens zmarszczył brwi. Ford był jedynym z tutejszych pojazdów, który odważyłby się poprowadzić, bo podpatrzył u Toma, jak to się robi. No ale nie dalej niż do miasteczka, na pewno nie! Lecz brać którąś z tych niezdarnych ciężarówek? Nie pozostawało mu więc nic innego, jak poprosić Toma, by odwiózł jego i pannę Preussler.

- Proszę już przestać sprzątać - powiedział łagodnie. - Tom się tym zajmie.

- Czy to właśnie ów Tom troszczy się tu o porządek? - spytała gospodyni, kręcąc głową z dezaprobatą. - Mam nadzieję, że resztę swoich obowiązków wypełnia nieco sumiennie.

Drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wtargnął z hukiem Graves.

- Te półgłówki!... - wykrzykiwał zdenerwowany - Nie mogą pojąć, że... - Urwał w pół słowa i otworzył szeroko oczy ze zdumienia, gdy zobaczył pannę Preussler. - To pani! - zaskrzeczał.

- Dzień dobry, doktorze - odpowiedziała mu chłodno.

Graves wpatrywał się w nią, nie mogąc wykrztusić słowa, w końcu wbił spojrzenie w Mogensa.

- Czego ta pani tutaj szuka?

- Panna Preussler - wyjaśnił VanAndt z naciskiem - nie zabawi długo, bez obaw, Jonathanie.

Panna Preussler była tak uprzejma złożyć mi wizytę.

- Słowo „uprzejmość” jest panu chyba nieco obce - dodała gospodyni z czarującym uśmiechem na ustach, bynajmniej nie przerywając porządkowania stołu. - Prawdziwy džentelmen powinien najpierw spytać damę o jej samopoczucie, a potem dopiero o powód wizyty.

Doktor wyglądał, jakby miał zaraz pęknąć ze złości. Spojrzenie, którym mierzył to Mogensa, to pannę Preussler, ziało nienawiścią. W końcu skinął głową z przymusem.

- Proszę mi wybaczyć panno Preussler - powiedział sztywno. - Byłem tylko... - Wzruszył ramionami. - Obcy nie mają prawa wstępu na ten teren. Nasza praca jest ściśle tajna. Dla pani jednak chętnie zrobię wyjątek. - Wreszcie rzeczowo poinformował Mogensa: - Hyams, Mercer i McClure właśnie odjechali.

- Widziałem - odparł ten chłodno. - Nie mieli przypadkiem odjechać za godzinę?

- Najwyraźniej zmienili zdanie.

- Wielka szkoda. - Profesor wskazał na swoją w połowie spakowaną walizkę. - Miałem nadzieję, że zabiorę się z nimi do San Francisco. Teraz muszę poprosić Tęma o odwiezienie mnie i panny Preussler ciężarówką do miasta. Nie masz nic przeciwko temu?

- W zasadzie nie - całkiem uprzejmie oznajmił Graves. - Niestety Tom wyjechał pół godziny temu i obawiam się, że nie wróci przed zachodem słońca. Ja natomiast nigdy nie prowadziłem ciężarówki i prawdę mówiąc, nie odważyłbym się na to w tym trudnym terenie. - Uśmiechnął się przelotnie do panny Preussler. - Nie chciałbym zakończyć naszej krótkiej znajomości w przydrożnym rowie.

- Czy to oznacza, że dopiero wieczorem będziemy mogli odjechać? - spytał Mogens.

Jonathan skinął głową.

- Chyba że chcesz iść z bagażami trzy mile do miasta -powiedział.
 - Czy tam jest jakiś pensjonat? - chciała wiedzieć panna Preussler.
- Graves skinął głową, zaraz jednak potrząsnął nią energicznie.
- Owszem, jest, lecz tego przybytku z pewnością nie poleciłbym damie. Dlaczego nie zostanie pani tutaj?
- Tutaj?
- s

W

- Co stoi na przeszkodzie? - zdziwił się doktor. Odzyskał już ostatecznie panowanie nad sobą. - Mamy dużo miejsca, zwłaszcza że doktor Hyams i pozostała dwójka odjechali. Jutro rano Tom odwiezie panią i profesora VanAndta do San Francisco. - Uśmiechnął się. - A ja będę miał okazję zaprosić panią i profesora na kolację i wynagrodzić pani w ten sposób moje okropne zachowanie. Anna Preussler raz jeszcze poprosiła Mogensa, by poszedł odszukać Kleopatę, na co zresztą z chęcią przystał. Kotki jednak nie znalazł. Właściwie wcale na to nie liczył. Kota nie da się odnaleźć, jeśli on sam nie chce być odnaleziony.

Mogens zresztą tak naprawdę wcale nie poszedł szukać kota. Był to jedynie pretekst, by wyjść z domu, przejść na drugą stronę obozu i rzucić okiem na zaparkowane tam samochody. Jeśli siedemnastoletni chłopak ze wsi potrafił kierować takim pojazdem, to właściwie dlaczego jemu miałyby się to nie udać?

Jego zapał ostygł, gdy zajrzał do kabiny pierwszej z ciężarówek. Poza olbrzymią kierownicą, która wielkością przypominała raczej ster, nie doszukał się zbyt wielu podobieństw z fordem. Zauważył dwa drążki skrzyni biegów, a pedały zdawały się pozamieniane miejscami. Mogens nie mógł nawet dociec, jak ten pojazd uruchomić. Teraz nie był już tak pewien jak przed chwilą, że odmowa Gravesa wynikała z wrodzonej nieuprzejmości. Może rzeczywiście niedoświadczony kierowca mógł łatwo wylądować tym kolosem w rowie. Obejrawszy drugi samochód, doszedł do tych samych wniosków.

siUftjtj. f •

- Nawet nie próbuj, Mogensie - powiedział głos za nim. - Wiem, że nie potrafisz prowadzić. Nawet nie wiedziałbyś, jak zapalić silnik... tak samo zresztą jak ja.

Mogens odwrócił się specjalnie bardzo powoli i zmierzył Gravesa lodowatym wzrokiem od stóp do głów.

- Szpiegujesz mnie?

- Równie dobrze ja mogę spytać, dlaczego ty tu się kręcisz, Mogensie - odpowiedział Jonathan.

- Szukam Kleopatry - powiedział VanAndt.

- Kleopatry?

- Kotki panny Preussler - wyjaśnił Mogens. - Wybiegła z domu i do tej pory nie wróciła.

Panna Preussler martwi się o nią. W końcu to dla niej nieznaną okolicą.

- Zabrała ze sobą kota? - zdumiał się Graves. - Przyjechała z kotem złożyć ci wizytę? Dziwna osoba. - Zaśmiał się. - Czego ona tutaj szuka tak naprawdę, Mogensie? Nikt nie przemierza dwóch tysięcy mil tylko po to, by się przywitać.

- Panna Preussler bywa uparta. Gdy raz wbije sobie coś do głowy, nie spocznie, póki nie wprowadzi zamiaru w czyn.

- A teraz wbiła sobie do głowy, żeby cię stąd zabrać -domyślił się doktor. Pokręcił głową. - I co? Wrócisz z nią?

- Co cię to obchodzi? - wypalił VanAndt.

Graves wzruszył ramionami.

- Nie mogę tylko pojąć, jak człowiek z twoimi możliwościami może woleć zaszyć się w jakiejś dziurze na końcu świata, zamiast wykorzystać szansę na zrehabilitowanie się, a nawet przejście do historii. - Ponownie pokręcił głową. -Większość naukowców, których znam,

zaprzedałaby duszę, żeby tylko móc rzucić okiem na tę komnatę.

- Być może - powiedział Mogens. - A ty, Jonathanie? Ty już zaprzedałeś swoją duszę? I komu?

4 .■ 'u J*

Widać było, że pytanie rozgniewało Gravesa. Już miał odpowiedzieć, lecz zacisnął usta.

- To nie ma sensu - westchnął. - Właściwie przyszedłem, żeby cię przeprosić, Mogensie. Dziś rano zachowałem się bardzo nietaktownie. Byłem wściekły przez Hyams i pozostałą dwójkę. Niezmiernie mi przykro.

- Wierzę ci nawet - powiedział profesor. - Nie zmieni to jednak mojego postanowienia.

Wyjeżdżam tak czy owak.

- Nie mam żadnych szans, żeby cię przekonać?

- Nie. - Mogens wskazał głową na ciężarówkę. - Jeśli mnie okłamałeś, to na marne.

- Okłamałem?

- Obydwa samochody stoją tutaj - odpowiedział VanAndt. - Trzecim odjechała Hyams z kolegami. O ile nie wysłałeś Toma do miasta pieszo, zakładam, że nadal jest na terenie obozu.

- Nie ma sensu dłużej cię zwodzić. - Graves znów westchnął. - Masz rację, Tom jest w tunelu. Ale wyjaśnij mi, skąd ta nagła odmowa, Mogensie. Czy rzeczywiście nie interesuje cię, co tak naprawdę znaleźliśmy na dole?

- Nadal nic nie rozumiesz, Jonathanie - odpowiedział profesor. - Odchodzę, bo wiem, co tam jest. Rozbudziliśmy coś, co nie bez powodu zostało uwięzione. Już i tak za dużo wyrządziliśmy szkód. To cud, że nikt z nas nie doznał większego uszczerbku!

- Naprawdę w to wierzysz? - spytał doktor. - Rzeczywiście myślisz, że to my spowodowaliśmy trzęsienie ziemi?

- Nie - pokręcił głową VanAndt. - Nie wierzę, ja to wiem. Nie wysilaj się. Obojętne, co powiesz czy zrobisz, nie będę ci już dłużej pomagał.

Chciał odwrócić się i odejść, ale Graves przytrzymał go za ramię. Jego dotyk był tak nieprzyjemny, że Mogens

A

znieruchomiał w pół kroku. Zaskoczyła go też siła Jonathana - jakby ktoś złapał go w kleszcze. W dodatku miał wrażenie, jakby wcale nie dotknęła go ludzka ręka. Pod czarną rękawiczką coś pulsowało, miał wrażenie, że kłębi się tam płatanina oślizgłych robaków, które próbowały rozsadzić swoje więzienie.

Graves, jakby czytając w myślach VanAndta, puścił go i cofnął się o dwa kroki.

- Przepraszam. Proszę cię jednak, żebyś mnie wysłuchał. Ten ostatni raz.

Mogens nie mógł się skupić na słowach doktora. Spojrzał na ramię, w miejsce, którego przed chwilą dotykał Jonathan. Nadal czuł tam uścisk, jakby pokryte czarną skórą palce odcisnęły piętno. Miał wrażenie, jakby zbrukało go coś złego, nieludzkiego, coś... na wskroś nierealnego.

- Proszę cię, żebyś zszedł ze mną na dół jeszcze jeden, jedyny raz - ciągnął Graves. - Tom odgruzował korytarz i wzmocnił uszkodzone miejsca. Wykonał naprawdę kawał dobrej roboty, nie grozi nam więc żadne niebezpieczeństwo. Nie będziesz musiał odzywać się ani słowem, jeśli nie chcesz!

- Dlaczego chcesz, żebym ci towarzyszył? - spytał profesor. - Nie pomogę ci, Jonathanie.

- Bez twojej pomocy nie mam najmniejszych szans na otwarcie drzwi - wyjaśnił doktor. -

Widzisz więc, że nie masz się czego obawiać. Ja nie potrafię nawet odczytać tamtego pisma.

VanAndt miał na końcu języka, że on też już nie potrafi, ale Graves na pewno uznałby to za zwykłą wymówkę.

- Po co w takim razie twoje starania? - spytał ponownie.

- Ponieważ jesteś mi coś winien, do diabła - odpowiedział Graves. - Uważasz, że na dole kryje się coś niebez-

222 pieznego. Ja w to nie wierzę. Cóż w tym dziwnego? Dwóch

naukowców jest odmiennego zdania na temat znaleziska! Przekonaj mnie!

4 - Jesteś szalony - westchnął Mogens. - Daj wreszcie spokój, Jonathanie! Nie pójdę z tobą. -

Wskazał ręką w kierunku swojej kwatery. - Pójdę teraz do panny Preussler i zaproponuję jej mały spacer. Po nasze bagaże przyślemy kogoś jutro.

- Czego się boisz, Mogensie? - dopytywał doktor. - Że tam na dole napadnę na ciebie i coś ci zrobię? - Zaśmiał się złośliwie. - Czy może boisz się przyznać, że może mam rację?

Szczera odpowiedź brzmiałaby „tak”, i to na oba pytania. VanAndt jednak obrzucił go tylko wzgardliwym spojrzeniem, odwrócił się i odszedł.

imo że profesora nie było zaledwie dziesięć minut, panna Preussler zdążyła dokonać w tym czasie małego cudu. Pokój jeszcze nigdy nie był tak wysprzątnięty i przede wszystkim czysty. Nawet w dniu przyjazdu nie wyglądał równie schludnie. Pannie Preussler udało się złamać jedno z podstawowych praw fizyki, że pokój nie może być większy wewnątrz, niż na zewnątrz. Tymczasem gdy starannie poukładała rzeczy na swoje miejsca, przestrzeń powiększyła się w magiczny sposób. Mogens po raz pierwszy mógł swobodnie chodzić po pomieszczeniu, nie obawiając się na każdym kroku, że w coś wejdzie lub coś przewróci.

- Znalazł pan Kleopatę? - spytała gospodyni.

Stała przed regałem z książkami plecami do niego, nie widział więc dobrze, co robi. W każdym razie ewidentnie dobrała się do książek. Nie spodobało się to profesorowi, nawet jeśli miał świadomość, że prawdopodobnie tylko je odkurzała i starannie ustawiała na półkach.

- Niestety nie - odpowiedział po chwili. - Ale proszę się nie martwić. Kleopatra na pewno się nie zgubi. Okolica jest bezpieczna, nie ma tu groźnych zwierząt. - W myślach jednak dodał: „Jeśli nie liczyć bagna za obozem i nie przejmować się tym, co powiedział szeryf Wilson na temat zwłok geologa”. Czuł się nieswojo, okłamując pannę Preussler, ale nie chciał jej niepotrzebnie niepokoić. Wiedział, jak bardzo była przywiązana do Kleopatry. Pocieszał się, że ta - jak przystało na kota - zapewne ma jeszcze kilka żyć w zapasie.

Jednak gospodyni nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej, przeciwnie, uśmiechnęła się najmilej, jak potrafiła.

- Och, nie martwię się o Kleopatę! Lubi powłóczyć się trochę, ale zawsze wraca do domu. Musimy jej dać trochę asu.

Zdaniem Mogensa, akurat czasu właśnie nie mieli. Nie potrafił wytłumaczyć tego racjonalnie, jednak z pozorów niewinna rozmowa z Gravesem przekonała go, że trzeba wyjechać stąd jak najszybciej. Jonathan nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają.

Z drugiej strony, gospodyni z pewnością nie wyjechałaby stąd bez kotki.

- Jeśli chodzi o książki, panno Preussler - powiedział - wolałbym... żeby ich pani nie ruszała. Wyglądała przez chwilę na urażoną.

- Tylko je wyrównałam. I trochę odkurzyłam. Nie wezmę przecież niczego ani nie poprzekładam!

- Oczywiście - westchnął Mogens z rezygnacją. Jak miał jej wytłumaczyć, że samo dotyknięcie niektórych z tych książek było niebezpieczne? A może niebezpieczne było nawet przebywanie w ich pobliżu? - Proszę mi wybaczyć.

- Oczywiście, że panu wybaczam, mój drogi panie pro-22+ fesorze! - niemal zawołała panna Preussler. - Niech mi

- ■!*! > ■ -

1;-.*<!

■' 's

-.ajsi

i ?

pan jednak obieca, że przestanie pan w końcu ciągle prosić o wybaczenie.

Weruszył tylko ramionami.

- Niestety nie udało mi się załatwić transportu - oznajmił. - Będziemy musieli iść do miasta pieszo.

- Pieszko? - Gospodyni zamrugnęła oczami. - A co z zaproszeniem pańskiego przyjaciela?
- Gravesa? - Mogens potrząsnął energicznie głową. - Graves nie jest moim przyjacielem.
- Tak się domyślałam - przyznała panna Preussler. - Ale czy rzeczywiście chce go pan urazić?
Wygląda na człowieka, któremu trudno byłoby pogodzić się z tak szorstkim traktowaniem.

- Mimo wszystko wolałbym przenocować w mieście - odparł z naciskiem VanAndt. - Wiem, że czeka nas długa droga, możemy jednak zostawić bagaże. Jutro kogoś po nie wyślę.

Sam słyszał, jak dziwnie zabrzmiały jego słowa. Lecz panna Preussler po raz kolejny go zaskoczyła. Nie skomentowała ani słowem wątpliwej argumentacji, skinęła tylko głową.

- Jeśli tak pan sobie życzy. Ale możemy chyba poczekać, aż wróci {Cleopatra? Coś podpowiedziało Mogensowi, że gdyby nalegał, by zostawić kota i natychmiast wyruszyć, panna Preussler przystałaby i na to. Na wszystko by się zgodziła, a to „wszystko” wcale się profesorowi nie spodobało.

- Oczywiście - powiedział. - Jest jeszcze wcześniej. Pół godziny nas nie zbawi.

Nie był to pierwszy błąd, jaki popełnił, odkąd Jonathan Graves ponownie pojawił się w jego życiu. Jednak być może najpoważniejszy.

Minęło pół godziny, a Kleopatra nie wróciła. Niebo zaczęło się chmurzyć. Z początku pokryły je pojedyncze puszyste chmurki rozsiane niczym kłaczki wełny. Było ich jednak coraz więcej, a gdy Mogens spojrział przypadkiem przez okno, doznał osobliwego wrażenia, jakby niebo lekko falowało. Chmury zdawały się płynąć w kierunku jednego wspólnego punktu gdzieś niedaleko za obozem. Dwadzieścia minut później rozległ się pierwszy, odległy jeszcze grzmot. Po kolejnych dwudziestu niebo zasnuwały już czarne gęste chmury. Zaczęło padać.

- Będziemy musieli zrezygnować ze spaceru - zmartwiła się panna Preussler.

Mogens nic nie odpowiedział. Co prawda na razie deszcz dopiero delikatnie dzwonił o szyby, ale grzmoty stawały się coraz częstsze i głośniejsze. A marsz w burzy na dystansie trzech mil z pewnością nie był dobrym pomysłem.

Wkrótce chmury przykryły słońce, a deszczyk zmienił się w oberwanie chmury. Dudnienie strug wody zagłuszało nawet huk grzmotów. Gwałtowny wiatr łomotał okiennicami, nawet ciężkie drzwi zaczęły drgać.

Profesor zapalił światło i zaczął przeglądać swoje notatki. Nie dlatego, żeby rzeczywiście miał ochotę pracować. Chodziło raczej o to, że dzięki nim nie musiał rozmawiać z panną Preussler. Jej obecność wcale nie była przykra, ale wszystko komplikowała. Gdyby nie ona, być może poszedłby do miasta pomimo szalejącej burzy. Coś się zmieniło, odkąd wyjechała Hyams i reszta. Albo na odwrót - dlatego że coś się zmieniło, tamci wyjechali, wyczuwając niebezpieczeństwo, które powoli wypełzało spod ziemi.

- Wprawdzie to nie moja sprawa, wiem - powiedziała panna Preussler - i prawdopodobnie nie jestem w stanie tego zrozumieć, zapytam jednak, na czym właściwie polegała pańska praca tutaj?

Mogens niechętnie oderwał wzrok od notatek i równie niechętnie zwrócił się do swojej byłej, jak i zapewne przyszłej gospodyni. Zdawał sobie sprawę, że chciała po prostu pogadać. Było ciemno, strugi deszczu bębniły o dach, w powietrzu wisiała nuda. W dodatku pokój był tak mały, że panna Preussler szybko posprzątała, co tylko mogła i nie znalazła już ani odrobiny bałaganu więcej. Nie miał jednak ochoty na rozmowę. A już na pewno nie na ten temat.

- To dość skomplikowane, panno Preussler - odparł wymijająco. - Poza tym nie rozmawiamy o naszej pracy.

- Czyżby ten nieznośny doktor Graves panu zabronił? - domyśliła się gospodyni.

Mogens potrząsnął głową.

- Nie. - Zaraz jednak poprawił się: - Tak.

Gospodyni zmarszczyła znacząco brwi. Mogens poddał

się - zamknął teczkę z notatkami i usiadł przodem do panny Preussler. Dopięła swego, ale VanAndt zauważył zaskoczony, że wcale mu to nie przeszkadzało. Może potrzebował teraz dźwięku ludzkiego głosu, żeby przepędzić duchy, które wypełzały spomiędzy wierszy notatek, by zatruwać mu myśli?

- Doktor Graves rzeczywiście zabronił nam rozmawiać o pracy poza terenem wykopaliska.

Ale to, co mówi Jonathan Graves, już mnie nie interesuje.

Panna Preussler skinęła nieznacznie głową. Milczała.

- Chodzi tylko o to, że nie chcę o tym rozmawiać - dodał po dłuższej chwili. Pomiędzy ściągniętymi brwiami gospodyni zarysowała się pytająca zmarszczka. Mogens poczuł się zmuszony do złożenia jakiegokolwiek wyjaśnienia. - Są rzeczy, o których lepiej nie rozmawiać, panno Preussler. Chcę jak najszybciej stąd wyjechać i nigdy więcej o tym nie myśleć.

- Ale chyba nie zajmuje się pan sprawami bezbożnymi, profesorze? - Zmarszczka pogłębiła się jeszcze.

- Nie! - odparł pospiesznie VanAndt. Może trochę zbyt pospiesznie, ponieważ oprócz zmarszczki na twarzy gospodyni pojawił się wyraz nieufności i dezaprobaty. Pomyślał, że może rzeczywiście nie powiedział jej prawdy. Nie wierzył w Boga, więc nie bardzo mógł go obrazić. Jednak wiele zależy od tego, w jaki sposób definiuje się słowo „Bóg”.

- Proszę powiedzieć mi prawdę, profesorze. - Panna Preussler uniosła dłoń, żeby pogrozić mu palcem. - Od początku wiedziałam, że temu człowiekowi nie można ufać.

- To nie ma nic wspólnego z Gravesem -t wyjaśnił szybko Mogens. Pożałował, że w ogóle poruszył ten temat. Niewinna pogawędka przekształciła się w poważną rozmowę, która w dodatku zmuszała go do składania wyjaśnień. - Znaleźliśmy coś, co właściwie nie powinno zostać odkryte, panno Preussler. To wszystko, co mogę pani powiedzieć.

- Niektóre sprawy chyba słusznie popadły w niepamięć - zauważyła sentencjonalnie gospodyni, ale przenikliwość tego zdania ogromnie zaskoczyła Mogensa. Jeszcze mniej spodziewał się, że gospodyni doda po chwili: - Jeśli pan chce, możemy iść. Trochę deszczu mi nie zaszkodzi, nie jestem przecież z cukru.

- Nie, nie, to nie jest najlepszy pomysł! - usłyszeli.

Do pokoju wpadł Graves, a wraz z nim z tryumfalnym świstem wtargnął gwałtowny podmuch wiatru, który momentalnie rzucił się na papiery Mogensa. Wzleciawszy w górę niczym płatki śniegu, zaczęły opadać na podłogę. Graves z wyraźnym trudem domknął drzwi i kilkakrotnie tupnął nogami, żeby otrząsnąć wodę, która dosłownie strumieniami ściekała mu po czarnym sztormiaku.

- Poza tym, ja bym na to nie pozwolił, droga panno Preussler - wysapał. - Obawiam się, że burza rozpęta się zaraz na dobre. Spacer w taką pogodę mogłaby pani przypłacić życiem. Panna Preussler spojrzała na niego z wyrzutem, nie rzekła jednak ani słowa, tylko wstała, żeby pozbierać rozrzucone przez wiatr papiery. Również Mogens patrzył uważnie na Gravesa, chociaż z zupełnie innego powodu. Doktor odpowiedział na propozycję gospodyni profesora, choć zza masywnych drzwi, w ulewnym deszczu i pośród szalejącej burzy nie mógł usłyszeć, co mówiła.

- W taką pogodę nie wygania się nawet przysłowiowego psa. - Jonathan podszedł bliżej i spojrzał na pannę Preussler, która przykucnąwszy, czekała, aż wszystkie kartki opadną na podłogę. - Och! Bardzo przepraszam...

Nie była na tyle uprzejma, żeby powiedzieć: „nic nie szkodzi”, lecz obrzuciła go chłodnym spojrzeniem i kontynuowała zbieranie papierów. Graves jeszcze przez chwilę daremnie czekał na rozgrzeszenie, lecz gdy nie zostało mu ono udzielone, wzruszył ramionami i usiadł bez pytania na krześle, z którego przed chwilą zmuszona była wstać panna Preussler.

- Sprawa nie wygląda dobrze - ciągnął, wskazując głową drzwi. - Takiej burzy jeszcze tu nie widziałem. Mam nadzieję, że do jutrzejszego poranka pogoda się ustabilizuje. - Po tych słowach zwrócił się do panny Preussler. - Tom przyszykował dla pani kwatere, którą do tej pory zajmowała doktor" Hyams. Pomyślałem, że będzie pani wolała spać w łóżku, które wcześniej zajmowała kobieta.

Gospodyni i tym razem nie zareagowała, ale Mogens, który widział jej profil, uśmiechnął się przelotnie z zadowoleniem. Graves znów jej się naraził, używając w jednym zdaniu słów „kobieta” i „łóżko”.

- Rozumiem, że na kolację jesteśmy umówieni, prawda? - zapytał.

- Nie jestem specjalnie głodna. - Panna Preussler wyprostowała się na kolanach i położyła pierwszą partię papierów na stole przed Mogensem. - Poza tym czułabym się

i

skrepowana, że zadaje pan sobie tyle trudu z mojego powodu.

- Ależ błagam panią! - Graves machnął obydwoma rękami. - Będzie to dla mnie przyjemność, zwłaszcza że tak rzadko mamy gości. Nie mówiąc już o tym - dodał po chwili, uśmiechając się lekko - że nie będzie to dla mnie żaden problem, najwyżej udzielię Tomowi bardziej szczegółowych wskazówek niż zwykle. Tom doskonale gotuje, sama się pani przekona.

Panna Preussler ciągle jeszcze nie zaszczyciła swego rozmówcy odpowiedzią, jednak na chwilę przerwała krzątaniu i rozejrzała się wymownie wokoło. Profesor dobrze wiedział, co to miało znaczyć: „Jeśli ten Tom równie kiepsko gotuje, jak sprząta...”.

- Dobrze więc. - Graves wstał, nie ukrywając rozczarowania. - Umowa stoi, za dwie godziny w moim domu. - Zrobił dwa kroki w kierunku drzwi i jeszcze raz zwrócił się do panny Preussler: - Aha, proszę się nie martwić o kotkę. Zdażyła się skryć przed ulewą. Tom się o nią zatroszczył.

- Kleopatra jest u pana? - spytała panna Preussler z niedowierzaniem.

- Obawiam się, że pani czworonożna przyjaciółka nie polubiła mnie zbyt - przyznał Graves - natomiast zupełnie znikowała na punkcie Toma. Powiem mu, żeby przyprzewodził ją na kolację.

4

urza szalała z coraz większą siłą przez następne pół godziny, w końcu jednak przycichła. Zamiast nawałnicy wiał już lekki wiatr, a ulewa zmieniła się w zwykły deszcz. Mogens kilka razy otwierał drzwi, żeby wyjrzeć na zewnątrz i za każdym razem deszcz był coraz słabszy.

J

fy.: <■ : fit* J; ' ' »

Niespodziewanie tuż przed godziną wyznaczoną przez Gravesa na porę kolacji przestał padać, zupełnie jakby nie chciał dać profesorowi i jego gospodyni pretekstu do odrzucenia zaproszenia. Wiatr również zelżał.

Chmury co prawda zupełnie ustąpiły, jednak zaczął zapadać zmierzch. Gdy wyszli z domu, udając się na kolację do Gravesa, było już ciemno.

Na zewnątrz czekała ich miła niespodzianka. Mimo że ulewa zamieniła plac w istne bagno, dotarli suchą stopą do celu, ponieważ ktoś, zapewne Tom, zadał sobie trud wyłożenia drogi balami.

Stąpając po nich, musieli wprowadzić nieco balansować, ale przynajmniej nie groziło im ugrzęźnięcie w błocie po kostki. Panna Preussler zdawała się być ujęta tym udogodnieniem, w Mogensie natomiast wzbudziło ono złość, zmieszaną z dziecinną przekorą. Choć mało interesował się sprawami organizacyjnymi, było dla niego jasne, że Tom wykonywał praktycznie wszystkie prace sam. Przytасzczenie i poukładanie ogromnej ilości ciężkich belek wymagało z pewnością nie lada wysiłku, całkiem zresztą niepotrzebnego. U panny Preussler Graves tak czy owak od początku nie miał żadnych szans. Jeśli zaś chodziło o niego, Mogensa, Jonathan mógłby wybrukować drogę nawet sztab-kami złota - i tak nie zmieniłoby to decyzji o wyjeździe.

Dom'doktora rozświetlały ciepłym światłem liczne świece. Ale nie tylko to było nowością. W pokoju zaszła prawie tak radykalna zmiana, jak ta w domu Mogensa, tyle że Graves nie miał do pomocy panny Preussler. Pokój był wysprzątnięty aż po najciemniejszy zakamarek. Duży blat, na którym jeszcze kilka godzin temu panował jeden wielki chaos, przeistoczył się w odświeżone nakryty stół dla trojga niczym w wykwintnej restauracji. Zastawiony był kosztowną porcelaną, kryształowymi kieliszkami i ciężkimi sztucami ze srebra ze złotymi wstawkami. W powietrzu unosił się przyjemny zapach, od którego Mogens szybko

• "Tij .

zgłodniał. Największym zaskoczeniem był jednak sam Jonathan Graves. Miał na sobie frak, śnieżnobiałą koszulę i muszkę, a do tego wyglansowane buty ze sztylpami. Za tą przesadną dbałością o strój Mogens węszył jakąś złośliwość. On sam, ze względu na planowaną podróż, był ubrany bardziej praktycznie. Teraz sam sobie wydawał się niechlujny, co spotęgowało złość na Gravesa.

Jonathan podniósł się, gdy weszli, pospieszył w stronę panny Preussler i złożył na jej dłoni subtelny

pocałunek. Gospodyni profesora była tak osłupiała, że wpatrywała się w Gravesa bez ruchu. Jej zaskoczenie, jak zauważył Mogens z przykrością, było raczej pozytywne.

- Droga panno Preussler! - zaczął Graves. - Mogensie! Witam w moich skromnych progach! - Wyprostował się, zrobił krok do tyłu i wykonał zapraszający gest w kierunku stołu. - Proszę usiąść. Tom zaraz poda aperitif.

Zdumiona panna Preussler natychmiast skorzystała z zaproszenia, VanAndt natomiast potrzebował ponownej zachęty. Był nie mniej zdziwiony od panny Preussler, może nawet bardziej, gdyż miał okazję widzieć pokój kilka godzin wcześniej w zupełnie innym stanie. Nie mógł pojąć, jak Tom zdołał dokonać cudu metamorfozy w tak krótkim czasie i do tego jeszcze przyrządzić smakowicie pachnący posiłek. Nie wspominając już o tym, że według słów Gravesa, zabezpieczył też groźący runięciem tunel i wyniósł największe głązy.

Graves usiadł i zwrócił się do panny Preussler z przepraszającym uśmiechem:

- Muszę się przed panią usprawiedliwić, moja droga. Jestem oczywiście świadomy, że to wszystko jest dalekie od standardów, do jakich przywykła kobieta pani pokroju, jednak w tej dziczcy nieczęsto przyjmujemy gości.

- Ależ błagam pana, doktorze - odparła zaskoczona gospodyni. - Przecież to wszystko wygląda wspaniale. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć!

- Bardzo dziękuję. - Graves skłonił się szarmancko. -Komplement należy się jednak Tomowi. Muszę przyznać, że to on jest w głównej mierze odpowiedzialny za ten mały cud.

- Ach, tak, Tom. - Panna Preussler skinęła głową. - Profesor już mi o nim wspominał. Chętnie poznam tego niezwykłego młodzieńca.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem, łaskawa pani -zgodził się Graves.

Z pewnością nie było sprawą przypadku, że niemal w tym samym momencie drzwi się otworzyły, a do środka wszedł Tom, niosąc srebrną tacę z kryształową karafką i trzema kieliszkami do kompletu. Czarny cień o ognistych pomarańczowych oczach przecisnął się między jego nogami i jednym susem wskoczył na kolana panny Preussler, by tam zmienić się w mruczący z zadowolenia kłębek.

- Kleopatro, jesteś w końcu! - wykrzyknęła panna Preussler z radością. - Gdzie byłaś cały ten czas, ty mała włóczęgo? - Podrapała kotkę za uszami.

Mruczenie Kleopatry było coraz głośniejsze, nagle się jednak urwało. Kotka podniosła się, wygięła grzbiet i odwróciła głowę w kierunku Gravesa. Jej oczy zamieniły się w dwie wąskie szparki, zaczęła fukać, błyskając przy tym drobnymi, ostrymi jak igiełki zębami.

- Ależ Kleopatro, co to ma znaczyć? - upomniała kotkę właścicielka. - Zachowuj się przyzwoicie!

Kleopatra, jakby rozumiejąc jej słowa, znów zwinęła się w kłębek. Przestała fukać, ale zamiast mruczeć, skupiła się na baczny obserwowaniu Gravesa.

- Cóż, chyba nie mam żadnych szans u tej czarnej piękności - westchnął Jonathan.

Panna Preussler zamarła. Ręka, którą głaskała łeb Kleopatry, również zastygła w bezruchu, a uśmiech zniknął z twarzy. W jej oczach wyczytać można było zakłopotanie graniczące z paniką. Dopiero po chwili zebrała się na odpowiedź.

- Doktorze - zaczęła niepewnie - chciałabym bardzo przeprosić za... za ten karygodny postępek Kleopatry... wtedy...

Graves zamrugał oczyma.

- Obawiam się, że nie za bardzo wiem, o czym pani mówi.

- Z pewnością pamięta pan... jak Kleopatra... - i gospodyni zamilkła. Nie była w stanie nic z siebie wykrztusić. Z przejścia na policzkach wystąpiły jej rumieńce.

- Cokolwiek to było, panno Preussler - ciągnął Jonathan - jestem pewien, że Kleopatra miała ku temu swoje powody. Nigdy nie miałem podejścia do kotów. Wolę psy, chociaż charakter mojej pracy nie pozwala mi na opiekę nad zwierzęciem.

Panna Preussler z niedowierzaniem spojrzała na Mogensa, on jednak zbity z tropu wzruszył tylko ramionami. Graves okazał się mistrzem gry aktorskiej. Bo czyż było możliwe, żeby zapomniał już o przykrym incydencie, jaki miał miejsce, bądź co bądź, niewiele ponad tydzień wcześniej?

W pokoju zapanowała krepująca cisza. Chyba głównie po to, żeby ją przerwać, doktor skinął na Toma. Chłopak otworzył karafkę ze złotawobrazowym płynem i nalał pannie Preussler. Gdy podszedł do Mogensa, ten prędko pokręcił głową.

- Szanowny profesor nie pije alkoholu, Tom - przypomniał Graves lekko rozbawionym tonem. Sam zaś niezwłocznie chwycił napełniony kieliszek, wypił go jednym haustem i dał Tomowi do zrozumienia, żeby nalał mu drugi.

- Widzę, że to, czego ja nie wypiję, na pewno się nie zmarnuje. - Mogens rzucił mu złośliwe spojrzenie, ale Jonathan uśmiechnął się tylko i wzniosł pełny kieliszek w jego stronę. Nie wypił z niego jednak.

- Moi panowie - powiedziała panna Preussler. - Nie będziecie się chyba kłócić.

- Ależ nie kłócimy się - zapewnił Graves z uśmiechem. - Czy Mogens nie zdradził pani, że jesteśmy dawnymi kolegami ze studiów? Nasz sposób komunikacji jest czasem nieco szorstki. Proszę nam wybaczyć.

- Panowie byliście kolegami? - zdziwiła się panna Preussler.

- Przez długie lata. Dzieliliśmy nawet jeden pokój. - Doktor westchnął. - Tym większa to dla mnie strata, że drogi profesor zdecydował się przerwać współpracę ze mną. W dodatku teraz, gdy jesteśmy już tak blisko celu. - Uniósł szybko rękę, kiedy zauważył, że VanAndt chce coś powiedzieć. - Ale proszę wybaczyć. Nie będziemy przecież rozmawiać o przykrych sprawach. Tom, byłbyś tak miły i podał jedzenie? Jestem pewien, że nasi goście są głodni.

Chłopak oddalił się szybko. Graves znów uniósł kieliszek i pociągnął łyk. Powróciła nieprzyjemna cisza.

- Czy mogę zadać panu być może nieco niedyskretne pytanie, doktorze? - spytała nagle panna Preussler.

- Śmiało - zachęcił Jonathan, uśmiechając się. - Chociaż trudno mi sobie wyobrazić, żeby taka dama jak pani znała znaczenie słowa „niedyskretny”.

Gospodyni nie zareagowała na to tanie pochlebstwo, lecz wskazała ruchem głowy na dłonie doktora.

- Dlaczego zawsze pan nosi te okropne rękawiczki, nawet przy jedzeniu?

- Zauważyła pani? Jest pani świetnym obserwatorem, panno Preussler, moje uznanie. -

Westchnął. - Robię to przez wzgląd na osoby w moim otoczeniu. Moje dłonie nie przedstawiają przyjemnego widoku.

- Co takiego się panu przydarzyło?

Wzrok Gravesa spochmurniał, jakby pytanie przywołało jakieś przykre wspomnienie.

- Z najlepszymi - zapewnił Jonathan. - Ale porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Jak minęła pani podróż?

- To niezbyt miła historia - zaczął. - Nawet jeśli przytoczę ją w kilku słowach. Rzecz miała miejsce na jednej z moich wypraw do południowoamerykańskiej dżungli. Miałem styczność z substancją, której nie powinienem był dotykać...

- Nabawił się pan zatrucia?

- Można tak to nazwać - skinął głową Graves. - Skutki w każdym razie były fatalne. Jednym z nich jest bardzo nieprzyjemna wysypka, której od tamtego czasu nie mogę się pozbyć. Bogu dzięki objęła tylko dłonie, ale wygląda to naprawdę okropnie.

- Konsultował się pan z lekarzem? - spytała panna Preussler.

Sądząc z wyrazu twarzy zagadniętej gospodyni, temat ten wcale nie należał do przyjemniejszych.

- Bardzo źle - odpowiedziała. - Kolej jest tak hałaśliwa i do tego niewygodna. Według mnie to zupełnie niecywilizowany sposób podróżowania.

- Nie przeczę - zgodził się Graves. - Jednak bardzo efektywny. Wiele osób twierdzi, że dopiero dzięki kolei ten kraj stał się duży.

- Być może - przytaknęła bez przekonania panna Preussler. - Ale czy duży oznacza od razu lepszy?

- Jeden zero dla pani. - Doktor znów się uśmiechnął. - Przy pani trzeba się mieć na baczności.

Jest pani żywą odpowiedzią na pytanie, dlaczego kobiet nie dopuszcza się do klubów dyskusyjnych.

Tom wrócił, żeby podać jedzenie. Nawet odświętnie nakryty stół oraz kuszący zapach nie zdradzały, że potrawy będą aż tak wyśmienite. Już na sam widok poustawianych na stole półmisek Mogens znowu poczuł głód i burczenie w brzuchu. Nie mógł się doczekać, kiedy skosztuje smakowicie wyglądających potraw. Tom obsłużył najpierw gospodynię profesora, potem jego.

Najwyraźniej nie zamierzał jednak nakładać Gravesowi. Życzył wszystkim smacznego, po czym wyszedł, a panna Preussler zwróciła się zdezorientowana do Jonathana:

- Pan nie będzie jadł?

- Niestety nie - odpowiedział ten. - To również konsekwencja owej nieprzyjemnej choroby, której nabawiłem się wówczas. - Uniósł demonstracyjnie dłonie. - Reaguję alergicznie na większość potraw. Mogę przyjmować jedynie określone pokarmy. Smakowite dania przyrządzone przez Toma prawdopodobnie by mnie zabiły

- Ależ to straszne! - wykrzyknęła panna Preussler.

- Nie jest aż tak źle, jak to brzmi - odpowiedział Graves. - Można znaleźć inne przyjemności, jeśli człowiekowi nie jest dane korzystać z codziennych uciech życia.

- Na przykład jakie? - spytał Mogens.

- Na przykład pracę. - Mimo że pytanie zadał VanAndt, Graves w dalszym ciągu zwracał się do panny Preussler. - Albo od czasu do czasu dobry papieros. - Uczynił energiczny ruch ręką. - Ale nie mówmy już o tym. Szkoda pysznego jedzenia, zaraz wystygnie. Tom byłby niepokieszony. Jedzenie smakowało wyśmienicie. Mogens już wcześniej miał okazję przekonać się o zdolnościach kulinarnych Toma, ale tym razem chłopak przeszedł samego siebie. Ku zaskoczeniu profesora Graves okazał się nie tylko wzorowym gospodarzem, ale i niezwykle elokwentnym partnerem w rozmowie, pełnym humoru i polotu. Z każdą chwilą VanAndt był bardziej zdezorientowany. Ten Jonathan, który siedział z nimi przy stole, wykazywał małe podobieństwo z człowiekiem, którego znał z dawnych czasów, jak i z tym, z którym spędził ostatnie dni. A już na pewno nie miał nic wspólnego z prymitywnym, nieokrzesanym jegomościami, 257 - •

ł ŹMk

. • y* „. •• w'

który odwiedził go w Thompson. Ten Jonathan Graves był inteligentny, dobrze wychowany, szarmancki. Do tego stopnia, że nawet niechęć Mogensa do niego powoli topniała. Podczas posiłku doktor wypił trzy kieliszki koniaku. Czekał cierpliwie, aż Mogens i panna Preussler skończą kolację, dopiero wtedy otworzył srebrne etui i zapalił papierosa.

- Jedna z niewielu uciech, jakie mi jeszcze pozostały - przypomniał, spostrzegłszy pełen wyrzutu wzrok panny Preussler. Zaciągnął się głęboko, po czym poprosił Toma: - Czy mógłbyś nam przynieść kawy?

Chłopak wyszedł. Graves rzucił okiem na papierosa w bogato zdobionej, szylkretowej cygarnicze, potem na pannę Preussler i znów na żarzącego się papierosa, zupełnie jakby na jego widok coś mu się przypomniało.

- Jest jeszcze coś, co ciąży mi cały czas, panno Preussler - zaczął z wahaniem w głosie.

- Chodzi o... o nasze pierwsze spotkanie w Thompson - ciągnął. - Obawiam się, że nie należało ono do najszcześniejszych. Chciałbym panią najmocniej za to przeprosić, panno Preussler. I ciebie, Mogensie, również. - Zamilkł na chwilę. Gdy znów zaczął mówić, widać było, że przychodzi mu to z ogromnym trudem. - Zachowałem się chyba okropnie.

- Cóż, profesor i ja byliśmy... trochę zdziwieni - przyznała gospodyni.

- Wyobrażam sobie - przyznał Graves. - Bardzo proszę, żeby nie poczytała mi pani tego za tanią wymówkę, ale również tamto moje zachowanie ma związek z nieszczęśliwym wypadkiem, jaki mi się przytrafił.

- Że zachowujesz się jak zwierzę? - spytał Mogens wprost.

Panna Preussler spojrzała na profesora przestraszona,

23 s ale Jonathan, zaciągnąwszy się dymem, skinął głową.

Tak?

■Fi

- Obawiam się - powiedział - że zachowałem się bardzo niegrzecznie. Od czasu owego incydentu w pewnych okolicznościach nie myślę całkiem trzeźwo. Czasem nawet tracę kontrolę nad sobą. Byłem wyczerpany długą podróżą, głodny i do tego zdenerwowany, ponieważ nie wiedziałem, jak zareagujesz, Mogensie. To był mój błąd. Poza tym bardzo mi się spieszyło. - Odetchnął z ulgą. - Bardzo pragnąłem wyjaśnić tę sytuację.

- Mimo to jutro rano opuszczę to miejsce, Jonathanie. -Mogens być może zepsuł dobry nastrój, ale wyjaśnienia Gravesa rozzłościły go, tym bardziej że brzmiały bardzo przekonująco. - Możesz się nie wysilać.

- Dobrze - odpowiedział doktor. - Wiem, że przegrałem.

- Ale co to za podejrzana praca, z powodu której tak się panowie poróżniliście? - spytała panna Preussler.

Przez chwilę VanAndtowi zdawało się, że dostrzegł tryumfalny błysk w oczach Gravesa. A może się mylił, bo zaraz Graves już w pełni nad sobą panował.

- Interesuje panią nasza praca? - spytał.

- Owszem, ale nie wiem, czy ma pan ochotę rozmawiać na ten temat. Profesor wspominał, że niechętnie pan o niej mówi.

Tym razem Mogens był pewien, że doktor rzucił mu przelotne, "ale zdecydowanie tryumfalne spojrzenie, i to nie dlatego, że nie zapanował nad sobą w porę.

- Rzeczywiście - przyznał. - Do tej pory nie chciałem, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszym odkryciu. I to był błąd.

- Co proszę? - wypalił VanAndt.

- Miałeś rację, Mogensie - powiedział Graves. - Byłem tak opętany myślą, że trzeba pokazać światu nasze odkrycie w tryumfalnym momencie, że chyba straciłem poczucie rzeczywistości.

Przykro mi. - Zwrócił się do panny

25?

.f.t

fes

-f r

I

4fi

.flf [jj

-II

M

tó !! IA

£9§

Preussler. - Jeśli to panią interesuje, z przyjemnością pokażę pani nasze odkrycie.

Nie tylko ona była zaskoczona tą propozycją. Również Mogens wpatrywał się w Gravesa zupełnie zszokowany. Na chwilę zabrakło mu tchu. We wzroku Jonathana, gdzieś głęboko, nadal tliły się iskry tryumfu niewidoczne dla panny Preussler, ale dla profesora owszem. Czuł się osaczony. Ale nawet teraz, gdy niemal słyszał zgrzyt zatraskującej się pułapki, wciąż nie wiedział, na czym właściwie polegała.

- Mówi pan... poważnie? - spytała pannjf Preussler z niedowierzaniem. Spojrzała bezradnie na Mogensa, on jednak nie przyszedł jej z pomocą. Graves natomiast zaczął usilnie namawiać:

- Oczywiście. Profesorowi VanAndtowi udało się mnie przekonać, nawet jeśli, jak widzę, trudno mu w to uwierzyć. Jaki sens ma posiadanie najcenniejszego skarbu na świecie, jeśli nie ma się nikogo, z kim można by go dzielić?

- Chcesz... pokazać pani Preussler to, co znaleźliśmy? - upewnił się Mogens.
 - Tak - odpowiedział Jonathan. - Jeśli ma ochotę, nawet teraz.
 - Teraz? - powtórzył profesor z niedowierzaniem.
 - Dlaczego nie? - wzruszył ramionami Graves. - Tom uprzątnął gruz, oświetlenie działa bez zarzutu, a zniszczenia nie są tak rozległe, jak się wydawało. - Wykonał zachęcający ruch w kierunku drzwi. - Jeśli pani sobie życzy, możemy zaraz iść, panno Preussler. Nie jest jeszcze późno, a pani z pewnością bardzo jest ciekawa, co odkryliśmy.
 - Może... odłożmy to do jutra rano - powiedziała gospodyni urywanym głosem. Wyglądała na zmieszaną i zupełnie bezradną, tak że Mogensowi zrobiło się jej naprawdę żal, a do Gravesa poczuł jeszcze większą złość.
 - Jak pani sobie życzy, panno Preussler. - Graves nie 2-f o krył rozczarowania. - Chodzi tylko o to, że...
- mJRP 1 •

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i Tom wpadł z impetem do środka. Nie przyniósł jednak kawy,

0 którą prosił doktor. Nie spojrzawszy nawet na Mogensa

1 pannę Preussler, podszedł do Gravesa i zaczął szeptać mu coś do ucha. Profesor nie słyszał, co mówił, jednak zauważył, że Jonathan zmarszczył czoło niemile zaskoczony, po chwili zaś wstał, zanim jeszcze chłopak skończył.

- Przepraszam bardzo na moment. - Skłonił się. - Zaraz wrócę.

Wyszedł. Ku rozczarowaniu Mogensa Tom opuścił pokój wraz z doktorem. Zanim drzwi się zamknęły, VanAndt zdążył zobaczyć światło reflektorów. Na plac zajechał samochód.

- Co się dzieje? - spytała panna Preussler.

Mogens wzruszył tylko ramionami. Nie wiedział i w tym momencie wcale go to nie interesowało.

- Panno Preussler, błagam! - zaczął ją zaklinać. - Proszę nie ufać temu człowiekowi! Nie wie pani, kim jest naprawdę!

Sprawiała wrażenie nieco zirytowanej. Spojrzała niepewnie w stronę drzwi, za którymi zniknęli Graves z Tomem. Usiłowała się uśmiechnąć, nie wyszło jej to jednak, a twarz przybrała raczej bezradny wyraz.

- Uważam, że jest całkiem miłym człowiekiem - powiedziała posoli, ważąc słowa. - Trzeba mu przynajmniej dać szansę, nie uważa pan?

- Jeszcze tydzień temu, w Thompson, mówiła pani coś zupełnie innego - przypomniał jej Mogens.

- Wówczas nie miałam jeszcze pojęcia o nieszczęściu, jakie go dotknęło. - Zniżywszy głos, dodała: - Nie wiedziałam, że pański zawód jest tak niebezpieczny.

Profesor ściągnął brwi. Oszczędził sobie komentarza do historii, którą zaserwował im Graves, nie oznaczało to jednak, że w nią wierzył. Nigdy jeszcze nie słyszał o chorobie

I

m ■ ■ 'i

irffl

J*

" a!" «:-

z symptomami opisanymi przez Jonathana ani o truciznie, która działałaby w podobny sposób. Poza tym wiedział przecież, że dziwna metamorfoza, którą czasami zdawał się przechodzić doktor, bynajmniej nie ograniczała się do wysypki. Tak czy owak historia Gravesa najwyraźniej spełniła swoje zadanie - wywołała współczucie gospodyni. A kto raz zagościł w sercu Betty Preussler, ten pozostawał tam na zawsze.

- Proszę panią tylko, żeby mu pani nie ufała - poprosił. - Panno Preussler, lepiej znam Jonathana Gravesa niż pani. Ten człowiek jest... - daremnie szukał odpowiedniego słowa, w końcu

wzruszając ramionami, zakończył: - ...zły.

Nie było to trafne określenie, nie istniało jednak słowo, które oddałoby w pełni odczucia Mogensa w stosunku do osoby Jonathana Gravesa.

- Ale co jest strasznego w tym, co odkryli państwo na dole?
- Nie mogę pani tego zdradzić - odparł Mogens. - Dlaczego mi pani po prostu nie uwierzy?
- Ponieważ nie powinno się atakować człowieka, nie dając mu możliwości obrony - powiedziała z przekonaniem gospodyni.

Rozmawiali ze sobą w ten sposób jeszcze jakiś czas. Mogens był tak zaskoczony nagłą zmianą nastawienia panny Preussler, że musiał się pilnować, by nie wybuchnąć złością. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale Graves zdołał przeciągnąć ją na swoją stronę w jednej chwili, i to na oczach profesora.

Dyskutowali dobre pięć minut podniesionymi głosami. Absurdalnie Mogens poczuł ulgę, gdy w końcu wrócił Graves.

Doktor był błądy. Unikał wzroku gości. Podeszedł do swojego miejsca i usiadł.

- Czy... coś się stało? - spytała panna Preussler z wahaniem.

Jonathan nalał sobie kieliszek koniaku, zanim odpowiedział. Ręce lekko mu drżały, tak że korek ze szlifowanego kryształu brzęczał głośno, gdy zatykał karafkę.

- To był szeryf Wilson - powiedział.
- Czego chciał? - Mogens wyprostował się jak struna. Ogarnęło go złe przeczucie.
- Był wypadek - mruknął Graves. Wychylił zawartość kieliszka jednym haustem i wykonał ruch, jakby chciał nalać sobie następny, ostatecznie jednak sięgnął po kolejnego papierosa.
- Wypadek? Jaki wypadek? - Profesor pochylił się do przodu zdenerwowany. - Jonathanie, czy muszę wyciągać od ciebie każde słowo?
- Mercer - powiedział Graves cicho. - I McClure. - Chciwie zaciągnął się papierosem. - Nie żyją. Hyams prawdopodobnie też.

VanAndt wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, a przerażona panna Preussler przysłoniła ręką usta, jakby chciała stłumić krzyk.

- Koledzy panów? - wyszeptała. - Ależ to straszne!
- Jak to się stało? - spytał Mogens, tym razem ostrym, niemal gniewnym tonem.

Graves wzruszył lekko ramionami.

- Wilson nie zna jeszcze szczegółów. Wiem tylko tyle, że zjechali z drogi i spadli ze skarpy, a samochód się zapalił. Niedaleko stąd. Dotarli zaledwie do przeciwległego krańca cmentarza. Mercer i McClure spłonęli żywcem.

- A doktor Hyams? - spytał Mogens.
- Szeryf Wilson podejrzewa, że wypadła z samochodu - wyjaśnił doktor. - Twierdzi jednak, sądząc z wyglądu wraku, że nie miała żadnych szans na przeżycie.

m

r-Y-J

* ii K • '

ty

tr

Ufv

- Nie znaleziono jej więc do tej pory? - spytała gospodyni.

Już sam sposób, w jaki Graves zaprzeczył ruchem głowy, rozwiął wątłą nadzieję, która obudziła się w Mogensie.

• y-i

† 'S X. '

II •

- Nie. Musieli przerwać poszukiwania z powodu burzy i nadchodzącego zmierzchu.
- A jeśli ta biedna kobieta wciąż żyje i leży gdzieś tam ciężko ranna? - spytała panna Preussler.
- Znam miejsce, gdzie doszło do wypadku - powiedział Graves. - Proszę mi wierzyć, nikt, kto spadnie aę skarpy, nie ma najmniejszych szans. Nawet za dnia jazda tamtą drogą jest niebezpieczna. Dlatego też Wilson kazał wracać swoim ludziom. Ale gdy tylko wszędzie słońce, wznowią poszukiwania. - Nagle bez żadnego ostrzeżenia uderzył otwartą dłonią w stół, tak że Mogens wzdrygnął się przestraszony. - Mercer, ten przeklęty idiota! Tysiąc razy mu powtarzałem, żeby trzymał się z daleka od wódki!
- Myślisz, że był pijany? - spytał Mogens.
- Mercer zawsze był pijany - potwierdził Jonathan. - Gdyby nie był przy tym znakomitym naukowcem, już dawno bym go wyrzucił!
- O Boże, to straszne! - szepnęła panna Preussler. Kleopatra podniosła głowę, spojrzała na Gravesa i prychnęła. Doktor, rzuciwszy kotce przeszywające spojrzenie, nalał sobie kolejną porcję koniaku i zaczął obracać kieliszek w palcach, nie wypił jednak ani kropli. Po chwili podniósł się gwałtownym ruchem.
- Obawiam się, że będziecie państwo musieli wyjechać nieco później - powiedział zmienionym głosem, zwracając się bezpośrednio do Mogensa. - Szeryf Wilson prosi, żebyśmy byli jutro przed południem do jego dyspozycji. Ma do nas kilka pytań.
- Oczywiście. - VanAndt skinął głową.

r—' a noc z pewnością nie należała do spokojnych. Mogens wraz z Tomem, równie bladym i małym jak Graves, odprowadzili pannę Preussler do dawnego domku doktor Hyams. Tom posprzątał go wprawdzie, ale tylko z grubsza, co normalnie nie spełniłoby wymagań pedantycznej gospodyni, dziś jednak skinęła tylko głową i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Mogens, bąknąwszy kilka słów, pożegnał się pospiesznie, szczęśliwy, że znalazł ku temu pretekst. Choć było jeszcze wcześnie, położył się i próbował zasnąć. Jednak dobrą godzinę rzucał się niespokojnie, a sen nie przychodził. W końcu zapadł w lekką, urywaną i wypełnioną dziwnymi majakami drzemkę.

Wreszcie rozbudził się zupełnie, i to nie bez powodu. Ktoś stał obok jego łóżka. Mogens poderwał się wystraszony i w oszołomieniu patrzył na masywną postać. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznał, kogo miał przed sobą.

To, co zobaczył, było w pewnym sensie przedłużeniem nocnego koszmaru. Przy jego łóżku stała panna Preussler odziana w bordowy szlafrok, który wyraźnie pamiętał lepsze czasy. W prawej ręce trzymała zapaloną świecę, lewą przytrzymała szlafrok na piersi. Mogens nie wiedział, czy uważała, że ta część jej ciała stanowi niestosowny widok, czy raczej obawiała się, że zawartość szlafroka w sposób niekontrolowany wydostanie się na zewnątrz. Najwyraźniej nie miała na sobie gorsetu, przez co jej ciało, bynajmniej nie filigranowe, zdawało się rozpływać na

- Przykro mi, że tak miły wieczór musiał się skończyć tak nieprzyjemnie. - Jonathan skinął głową pannie Preussler. - Tom pokaże pani kwatere.

«

w

gaś

wszystkie strony. Włosy gospodyni sterczały we wszystkich kierunkach, twarz miała bladą i nieco opuchniętą, również z zębami coś było nie w porządku. Gdy otworzyła usta, VanAndt zauważył, że brakowało kilku z nich.

- Panna Preussler - wymamrotał, siadając.
- Bardzo... przepraszam... że nachodzę pana o tak późnej porze - powiedziała z wahaniem.

Widać było, że krepowała się stać tak przed nim w środku nocy, do tego w tym stroju. - Ale nie mogę znaleźć Kleopatry. »

- Kleopatry?

- Mojej kotki, profesorze.

- Tak, wiem kto to jest Kleopatra, panno Preussler - odpowiedział Mogens spokojnie.

- Nie mogę jej znaleźć, profesorze. Zniknęła. Nadal nieco oszołomiony usiadł i sięgnął niezdarnie po

kamizelkę, by rzucić okiem na zegarek kieszonkowy. Mimo że spał niespokojnie, teraz nie mógł się do końca rozbudzić. Otworzył bogato zdobione wieczko zegarka i wpatrywał się dobrą chwilę w cyferblat, nim dotarło do niego, która godzina. Było już dobrze po północy.

- Zniknęła - powtórzył zmęczony. Panna Preussler kilkakrotnie skinęła głową. Świeczka w jej ręce zaczęła drżeć. Wokoło rozpląsały się cienie.

- Była tak niespokojna, że w końcu wypuściłam ją na dwór. Ale ona nie wróciła. Czekałam ponad godzinę i ciągle wołałam, ale nie wróciła. Boję się, że przytrafiło jej się coś złego.

Mogens nadal patrzył na cyferblat. W dalszym ciągu nie mógł poukładać myśli, z coraz większym trudem zachowywał też spokój. Co prawda dla gospodyni kotka była najbliższą istotą na świecie, mimo to złość profesora rosła, im bardziej przytomniał.

- Panno Preussler - zaczął, z trudem panując nad sobą -2.Ą-6 Kleopatra jest kotem, a koty to zwierzęta aktywne przede

K

wszystkim nocą. Sądzę, że nie powinna się pani zbyt

0 nią martwić, tylko dlatego że zapragnęła trochę się po-wałęsać.

- Ale to dla Kleopatry zupełnie obcy teren, poza tym nigdy jeszcze nie wyszła na tak długo! - wykrzyknęła gospodyni. - Zawsze przychodzi, gdy ją wołam!

- Co pani zdaniem powinienem więc teraz zrobić? - spytał.

- Pomyślałam, że... może... mógłby pan... do Toma - zaczęła panna Preussler. - Wcześniej też była u niego, a... a ja nawet nie wiem, gdzie można go znaleźć. Poza tym nie mogę iść do niego w środku nocy, w dodatku w tym stroju.

Mogens zamknął zegarek i spojrzał ostentacyjnie na gospodynię.

„Nie - pomyślał - nie mogę tego zrobić temu biednemu chłopakowi”.

- Dobrze więc - westchnął. - Pójdę do Toma i spytam go, czy nie widział Kleopatry.

Panna Preussler promieniała.

- To naprawdę miło z pana strony, profesorze.

Najwyraźniej czekała, aż VanAndt wyskoczy z łóżka

1 wybiegnie z domu, on jednak ani drgnął. Spoglądał na nią tylko wojowniczo. Tkwił w tej pozycji jeszcze dobrych pięć sekund, w końcu chrząknął, wskazując głową drzwi.

- Profesorze?

- Chętnie bym się ubrał - powiedział łagodnie.

- Och! - Gospodyni cofnęła się gwałtownie z wyrazem zmieszania na twarzy. - Oczywiście, proszę mi wybaczyć, profesorze. Czasem jestem trochę... - Ku uldze Mogensa nie dokończyła zdania, odwróciła się i wyszła.

Gdy otworzyła drzwi, podmuch wiatru zgasił płomień świeszki. Jednak przez ułamek sekundy, zanim ciemność definitywnie zapanowała nad światłem, cienie zdawały się zmieniać konsystencję, jakby gęstniały i przeobrażały się

w stworzenia wyposażone w kły, pazury i wijące się macki zakończone obrzydliwymi przyssawkami, które próbowały dosięgnąć VanAndta. Tym razem jednak ciemność okazała się sprzymierzeńcem Mogensa - gdy tylko zniknął ostatni promień światła, zniknęły również groteskowe płasy. Pozostawiły jednak uczucie obezwładniającego strachu.

Mogens odegnał natrętne myśli, wstał i zaczął po omacku szukać ubrań. Pocieszał się, że to co zobaczył, było jedynie reminiscencją koszmaru, który nękał gQ we śnie. Przecież nie mogło to być nic innego.

Dlatego jednak w takim razie ubrał się w zupełnych ciemnościach, nie zapalając światła, i również

po omacku dotarł do drzwi?

Wyszedł z domu. Zaskoczyła go panująca na zewnątrz jasność. Księżyc nie dawał prawie światła, na horyzoncie widniał tylko jego wąziutki, sierpowaty zarys. Jednak niedawna burza przegnała chmury, tak że na niebie majaczyły miliony gwiazd rozsiewające blade światło pochłaniające barwy. Ponadto po deszczu pozostało mnóstwo kałuż, których tafle odbijały teraz każdy promień jak lustra. Zmieniło się coś jeszcze, Mogens jednak dopiero po chwili uświadomił sobie co. Zniknęła ścieżka z bali ułożona przez Toma. Chłopak nie marnował czasu. I najwyraźniej nie potrzebował snu.

Spojrzawszy przelotnie na dom Gravesa, profesor zauważył, że za wąskimi oknami nadal pali się światło, co właściwie go nie zdziwiło. Jonathana z pewnością nie czekała spokojna noc. Mogens współczuł mu trochę, ale nie aż tak, żeby pójść z nim porozmawiać. Skierował się w przeciwną stronę, chcąc odszukać Toma. Nie sądził, żeby Kleopatra była u niego, prawdopodobnie włóczyła się gdzieś po lesie albo przetrząsała krzaki w poszukiwaniu tłustej myszy. VanAndt nie był też wcale pewien - wbrew temu, co powiedział pannie Preussler - że Kleopatra sama wróci.

'fti

'W-, w

-Ir

i>

m

l

Gospodyni w ogóle nie powinna była zabierać kotki w podróż. Mogens nie znał się zbyt na kotach, ale wiedział, że nawet zupełnie udomowione zwierzęta czasem ponownie dziczeją, raz posmakowawszy wolności. Zwłaszcza gdy znajdą się na obcym terenie.

Gdyby był kotem, z pewnością skorzystałby z pierwszej okazji, by opuścić Thompson. Uśmiechnął się do własnych myśli, lecz zaraz spróbował je odgonić - takie głupoty do niego nie pasowały. Ale może nie powinien być dziś dla siebie zbyt surowy? Miniony dzień przyniósł cały szereg dziwnych zdarzeń. Wiadomość o nieszczęściu, jakie przytrafiło się Mercerowi i jego towarzyszom, również nie była dla profesora obojętna. Jak więc mógł oczekiwać, że będzie myślał równie trzeźwo i logicznie jak zwykle?

Czuł coraz wyraźniej, że tej nocy już nie zaśnie, więc właściwie co mu szkodziło sprawdzić, czy i Tom przypadkiem też nie śpi? Odwrócił się tyłem do kwatery Gravesa i skierował kroki w stronę domku chłopaka. Szedł karkołomnym slalomem, starając się omijać kałuże. Skutek był jednak mizerny. Ziemia nie była już jak gąbka - wedle słów Mercera - lecz miała raczej konsystencję budynku. Z każdym krokiem VanAndt zapadał się w niej prawie do kostek.

Również w domku Toma paliło się jeszcze światło, nie był to jednak ciepły blask świeczki czy lampy naftowej, lecz rażące promienie lampy elektrycznej. Najwyraźniej tej nocy chłopak nie wyłączył generatora.

Mogens zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. Może Tom po prostu zasnął przy zapalonym świetle? Profesor absolutnie nie chciał budzić chłopaka. Graves obarczał go takim ogromem pracy, że naprawdę zasłużył sobie na spokojny sen.

Mimo to zapukał jeszcze raz, a w końcu przesunął rygiel.

- Tom? - spytał cicho. - Nie śpisz jeszcze?

Wciąż nie otrzymawszy odpowiedzi, otworzył do końca drzwi i cicho wszedł. Tom nie spał, a przynajmniej nie w swoim łóżku. Nie było go. VanAndt zrobił jeszcze krok, stanął i zaczął rozglądać się zdezorientowany. Nagle otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Nigdy wcześniej tu nie był, ponieważ nie miał ku temu okazji, poza tym do jego zasad należało szanowanie sfery prywatności innych.

Byłoby może lepiej, gdyby również tej nocy nie łamał owej zasady.

Pokój przedstawiał jeden wielki chaos. Mogens nigdy wcześniej nie widział takiego bałaganu i brudu. Na stołach, regałach, krzesłach i pulpitych piętrzyły się sterty książek, papierów, narzędzi, ubrań, przyrządów naukowych i map, worków, skrzynek i kartonów, garnków i naczyń, butów, pojemników, kamieni. Nad tym wszystkim unosił się stęchły zapach zgnilizny zmieszany z inną wonią, trudną do określenia, o wiele starszą i bardziej przykrą.

Profesor był zszokowany. Mało wiedział o Tomie, ale to, co tu zobaczył, zupełnie nie pasowało do jego obrazu chłopaka.

Najgorszy był brud. Nie chodziło tylko o zastarzały fetor, dojmujący i coraz bardziej uciążliwy. Stały tu również talerze ze spleśniałymi resztkami jedzenia, przypalone garnki i brudne sztuce. W dzbanku widniała oleista ciecz, na sam widok której Mogens poczuł cierpką żółć pod językiem. Mimowolnie stanął mu przed oczami kubek, z którego pił Graves.

VanAndt odwrócił się gwałtownie, gdy usłyszał dźwięk dobiegający z zewnątrz. Pospieszenie opuścił domek, zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem usunął się na bok w cień budynku. Po tym, co właśnie zobaczył, za nic nie chciałby zdradzić chłopakowi, że był w jego kwaterze.

mmmmm

- Tom? - spytał cicho. - Nie śpisz jeszcze?

Wciąż nie otrzymawszy odpowiedzi, otworzył do końca drzwi i cicho wszedł. Tom nie spał, a przynajmniej nie w swoim łóżku. Nie było go. VanAndt zrobił jeszcze krok, stanął i zaczął rozglądać się zdezorientowany. Nagle otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Nigdy wcześniej tu nie był, ponieważ nie miał ku temu okazji, poza tym do jego zasad należało szanowanie sfery prywatności innych.

Byłoby może lepiej, gdyby również tej nocy nie łamał owej zasady.

Pokój przedstawiał jeden wielki chaos. Mogens nigdy wcześniej nie widział takiego bałaganu i brudu. Na stołach, regałach, krzesłach i pulpitych piętrzyły się sterty książek, papierów, narzędzi, ubrań, przyrządów naukowych i map, worków, skrzynek i kartonów, garnków i naczyń, butów, pojemników, kamieni. Nad tym wszystkim unosił się stęchły zapach zgnilizny zmieszany z inną wonią, trudną do określenia, o wiele starszą i bardziej przykrą.

Profesor był zszokowany. Mało wiedział o Tomie, ale to, co tu zobaczył, zupełnie nie pasowało do jego obrazu chłopaka.

Najgorszy był brud. Nie chodziło tylko o zastarzały fetor, dojmujący i coraz bardziej uciążliwy. Stały tu również talerze ze spleśniałymi resztkami jedzenia, przypalone garnki i brudne sztuce. W dzbanku widniała oleista ciecz, na sam widok której Mogens poczuł cierpką żółć pod językiem. Mimowolnie stanął mu przed oczami kubek, z którego pił Graves.

VanAndt odwrócił się gwałtownie, gdy usłyszał dźwięk dobiegający z zewnątrz. Pospieszenie opuścił domek, zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem usunął się na bok w cień budynku. Po tym, co właśnie zobaczył, za nic nie chciałby zdradzić chłopakowi, że był w jego kwaterze.

' 40

.te '

W

Dźwięk się powtórzył. Tym razem był na tyle wyraźny, że Mogens mógł stwierdzić, z jakiego kierunku dobiegał. Ostrożnie spojrzął w tamtą stronę i rzeczywiście ujrzał cień, który przemknął skulony i zniknął w krzakach za namiotem. Cień był jednak zbyt mały, aby mógł należeć do człowieka.

Już pędź do kota.

Profesor przez chwilę bił się z myślami, w końcu wyszedł jednak z cienia drewnianego domku i podążył w tym samym kierunku. Nie był zbyt dobrej myśli. Nawet jeśli przemknęła mu przed oczami Kleopatra, miał nikłe szanse, żeby ją odnaleźć, a co dopiero złapać. Jednak co miał do

stracenia? Buty tak czy owak nadawały się tylko do wyrzucenia, a może dobrze mu zrobi zajęcie myśli czymś konkretnym? Próbował uświadomić sobie, w którym dokładnie miejscu cień zniknął w krzakach. Przyspieszył kroku.

I zaraz ugrzązł w błocie po kostki. Wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo, z trudem wyciągając nogę. Usłyszał odgłos zasysanego buta i w tym samym momencie poczuł, jak zsuwa mu się on z nogi. Na kolanach obydwojema rękami zaczął rozgrzebać błoto. To była jego jedyna para butów!

Wreszcie wyciągnął swój trzewik z bajora, odwrócił go podeszwą do góry, by wylać wodę z błotem, i włożył z powrotem, wykrzywiając przy tym twarz. Gdy podniósł wzrok, zobaczył w krzakach parę żarzących się żółto oczu. Gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, przysiągłby, że kot wyszczerzył się do niego ze złośliwą satysfakcją. Gdy wstał, Kleopatra zniknęła z szelestem. Mogens podążył za nią najszybciej jak potrafił. Nie było to jednak zawrotne tempo, gdyż nie uśmiechała mu się perspektywa jutrzejszej rozmowy z szeryfem Wilsonem w samych skarpetkach. Trochę lepiej było między krzewami. Tu też mokra ziemia pod jego ciężarem wydawała ciche, chlupoczące dźwięki, ale przynajmniej nie zapadał się w niej z każdym

251
A: '; ' . ' , • ' '

krokiem. Za to gałęzie i liście smagały go po twarzy i szarpały mu ubranie.

Mogens stanął, rozglądając się bezradnie w ciemnościach. Co on tu jeszcze robił? Nie miał żadnych szans na złapanie Kleopatry, a że nic jej nie jest, już się przekonał. Jeśli kotka ma ochotę použíwać na wolności, to proszę bardzo, on w każdym razie powinien już wracać.

Nagle usłyszał szelest gdzieś po lewej, a zaraz potem gniewne fukanie i odgłos łamanych gałęzi.

Potein kolejne fuknięcie, tym razem wyraźnie trwożliwe.

- Kleopatra?! - zawołał.

Fukanie i trzask gałęzi ciągle się powtarzały. Mogens poszedł pospiesznie w tym kierunku. Sądząc po odgłosach, kotka trafiła na przeciwnika dużo większego niż mysz. VanAndt czuł się w obowiązku jej pomóc. W końcu przez ostatnie lata była jedyną istotą, z którą łączyło go coś w rodzaju przyjaźni.

Teraz hałas dobiegający z krzaków ewidentnie przekształcił się w odgłos walki. Kleopatra już nie fukała, lecz zaczęła prychać i pisać, Mogensa dobiegł również dźwięk darcia czegoś pazurami. Zdawało mu się także, że z zarośli dochodzi również warczenie, tak niskie i wibrujące, że raczej je wyczuł, niż usłyszał.

Instynktownie zatrzymał się na moment, zaraz jednak ruszył jeszcze szybciej. Kleopatra najwyraźniej nie była już myśliwym, tylko ofiarą. Na co mogła się natknąć? Może borsuk, może puma - a to zwierzęta w pewnych okolicznościach niebezpieczne nawet dla ludzi. Profesor liczył jednak na to, że dzikie zwierzę ucieknie na jego widok.

Pisk i prychanie wzmagaly się. W końcu usłyszał przenikliwy skowyt, po którym zapadła głucha cisza.

VanAndt zatrzymał się i rozejrzał nerwowo dookoła. Otaczała go nieprzenikniona ciemność, która zdawała się napierać zewsząd. Miał wrażenie, że pod jej osłoną czai się

coś odwiecznego, łypiącego zimnymi ślepiami, uzbrojonego w pazury i kłapiące szczęki. Serce waliło mu tak głośno, że niemal zagłuszało inne dźwięki. Coś nadchodziło. Coś ogromnego, przed czym nie zdołałby uciec, nawet biegnąc najszybciej jak potrafił. Ziścił się prześladowający go od zawsze koszmarny sen, w którym biegł i biegł, wciąż czując prześladowcę tuż za plecami.

Prześladowcę, który dogoni go natychmiast, gdy tylko Mogens spojrzy przez ramię. Może wcale nie była to senna zmora, tylko przecucie spotkania z okropnymi stworzeniami, które czyhały na granicy życia i śmierci, a każdego, kto tę granicę przekroczył, zamykały w śmiertelnym uścisku?

Ogromnym wysiłkiem woli udało się Mogensowi odgonić te męczące myśli. Nadal panowała grobowa cisza. Profesor próbował stłumić w sobie złe przecucia, w głębi serca wiedział jednak, że taka straszliwa cisza mogła oznaczać tylko jedno.

- Kleopatra?

Nawet dźwięk własnego głosu wydał mu się w tym momencie groźny. Mimo to zawołał kotkę jeszcze dwa razy. Bez żadnego odzewu.

W końcu jego oczy na tyle przywykły do ciemności, że zaczął dostrzegać prześwitujące spomiędzy krzaków zbląkane smugi światła, które odbijały się od kałuż i mokrego podłoża. Zeschnięte gałązki tworzyły wokół Mogensa sieć cieni. Poprzez szum wiatru i szelest liści przebijał jeszcze jakiś inny dźwięk, coś jak ciężki, rzeżący oddech.

VanAndt zauważył, że jego myśli znów schodzą na niebezpieczne tory. Znów z wysiłkiem przywołał się do porządku. Wyteżył wzrok, a w odpowiedzi cienie ponownie zbudziły się do życia. Chciał jeszcze raz zawołać Kleopatę. Rozum wprawdzie natarczywie przekonywał, że nie ma się czego bać, jednak inny głos uparcie powtarzał, że koszmar czyha w mroku.

coś odwiecznego, łypiącego zimnymi ślepiami, uzbrojonego w pazury i kłapiące szczęki. Serce waliło mu tak głośno, że niemal zagłuszało inne dźwięki. Coś nadchodziło. Coś ogromnego, przed czym nie zdołałby uciec, nawet biegnąc najszybciej jak potrafił. Ziścił się prześladowający go od zawsze koszmarny sen, w którym biegł i biegł, wciąż czując prześladowcę tuż za plecami.

Prześladowcę, który dogoni go natychmiast, gdy tylko Mogens spojrzy przez ramię. Może wcale nie była to senna zmora, tylko przecucie spotkania z okropnymi stworzeniami, które czyhały na granicy życia i śmierci, a każdego, kto tę granicę przekroczył, zamykały w śmiertelnym uścisku? Ogromnym wysiłkiem woli udało się Mogensowi odgonić te męczące myśli. Nadal panowała grobowa cisza. Profesor próbował stłumić w sobie złe przecucia, w głębi serca wiedział jednak, że taka straszliwa cisza mogła oznaczać tylko jedno.

- Kleopatra?

Nawet dźwięk własnego głosu wydał mu się w tym momencie groźny. Mimo to zawołał kotkę jeszcze dwa razy. Bez żadnego odzewu.

W końcu jego oczy na tyle przywykły do ciemności, że zaczął dostrzegać prześwitujące spomiędzy krzaków zbląkane smugi światła, które odbijały się od kałuż i mokrego podłoża. Zeschnięte gałązki tworzyły wokół Mogensa sieć cieni. Poprzez szum wiatru i szelest liści przebijał jeszcze jakiś inny dźwięk, coś jak ciężki, rzeżący oddech.

VanAndt zauważył, że jego myśli znów schodzą na niebezpieczne tory. Znów z wysiłkiem przywołał się do porządku. Wyteżył wzrok, a w odpowiedzi cienie ponownie zbudziły się do życia. Chciał jeszcze raz zawołać Kleopatę. Rozum wprawdzie natarczywie przekonywał, że nie ma się czego bać, jednak inny głos uparcie powtarzał, że koszmar czyha w mroku.

coś odwiecznego, łypiącego zimnymi ślepiami, uzbrojonego w pazury i kłapiące szczęki. Serce waliło mu tak głośno, że niemal zagłuszało inne dźwięki. Coś nadchodziło. Coś ogromnego, przed czym nie zdołałby uciec, nawet biegnąc najszybciej jak potrafił. Ziścił się prześladowający go od zawsze koszmarny sen, w którym biegł i biegł, wciąż czując prześladowcę tuż za plecami.

Prześladowcę, który dogoni go natychmiast, gdy tylko Mogens spojrzy przez ramię. Może wcale nie była to senna zmora, tylko przecucie spotkania z okropnymi stworzeniami, które czyhały na granicy życia i śmierci, a każdego, kto tę granicę przekroczył, zamykały w śmiertelnym uścisku? Ogromnym wysiłkiem woli udało się Mogensowi odgonić te męczące myśli. Nadal panowała grobowa cisza. Profesor próbował stłumić w sobie złe przecucia, w głębi serca wiedział jednak, że taka straszliwa cisza mogła oznaczać tylko jedno.

- Kleopatra?

Nawet dźwięk własnego głosu wydał mu się w tym momencie groźny. Mimo to zawołał kotkę jeszcze dwa razy. Bez żadnego odzewu.

W końcu jego oczy na tyle przywykły do ciemności, że zaczął dostrzegać prześwitujące spomiędzy krzaków zbląkane smugi światła, które odbijały się od kałuż i mokrego podłoża. Zeschnięte gałązki tworzyły wokół Mogensa sieć cieni. Poprzez szum wiatru i szelest liści przebijał jeszcze jakiś inny dźwięk, coś jak ciężki, rzeżący oddech.

VanAndt zauważył, że jego myśli znów schodzą na niebezpieczne tory. Znów z wysiłkiem przywołał się do porządku. Wyteżył wzrok, a w odpowiedzi cienie ponownie zbudziły się do życia. Chciał jeszcze raz zawołać Kleopatę. Rozum wprawdzie natarczywie przekonywał, że nie ma się czego bać, jednak inny głos uparcie powtarzał, że koszmar czyha w mroku.

coś odwiecznego, łypiącego zimnymi ślepiami, uzbrojonego w pazury i kłapiące szczęki. Serce waliło mu tak głośno, że niemal zagłuszało inne dźwięki. Coś nadchodziło. Coś ogromnego, przed

czym nie zdołałby uciec, nawet biegnąc najszybciej jak potrafił. Ziścił się prześladowający go od zawsze koszmarny sen, w którym biegł i biegł, wciąż czując prześladowcę tuż za plecami. Prześladowcę, który dogoni go natychmiast, gdy tylko Mogens spojrzy przez ramię. Może wcale nie była to senna zmora, tylko przecucie spotkania z okropnymi stworzeniami, które czyhały na granicy życia i śmierci, a każdego, kto tę granicę przekroczył, zamykały w śmiertelnym uścisku? Ogromnym wysiłkiem woli udało się Mogensowi odgonić te męczące myśli. Nadal panowała grobowa cisza. Profesor próbował stłumić w sobie złe przecucia, w głębi serca wiedział jednak, że taka straszliwa cisza mogła oznaczać tylko jedno.

- Kleopatra?

Nawet dźwięk własnego głosu wydał mu się w tym momencie groźny. Mimo to zawołał kotkę jeszcze dwa razy. Bez żadnego odzewu.

W końcu jego oczy na tyle przywykły do ciemności, że zaczął dostrzegać prześwitujące spomiędzy krzaków zblakane smugi światła, które odbijały się od kałuż i mokrego podłoża. Zeschnięte gałązki tworzyły wokół Mogensa sieć cieni. Poprzez szum wiatru i szelest liści przebijał jeszcze jakiś inny dźwięk, coś jak ciężki, rzęzący oddech.

VanAndt zauważył, że jego myśli znów schodzą na niebezpieczne tory. Znów z wysiłkiem przywołał się do porządku. Wytężył wzrok, a w odpowiedzi cienie ponownie zbudziły się do życia. Chciał jeszcze raz zawołać Kleopatrze. Rozum wprawdzie natarczywie przekonywał, że nie ma się czego bać, jednak inny głos uparcie powtarzał, że koszmarny czyha w mroku.

4'

»5\$ w

tw

Mogens przekornie poszedł jednak dalej. Suche gałązki muskały go po twarzy, miał wrażenie, że to oblażą go pająki. Szmer w wierzchołkach drzew stał się głośniejszy. Zrobił kolejny krok. Wzrokiem uważnie przeczesał ziemię. Po chwili zdało mu się, że rozpoznał jakiś kształt. Jeden z cieni przed nim był większy od pozostałych.

Mimo że profesor zdołał wyrzesać z siebie jeszcze odrobinę nadziei, stanął w dużo większej odległości od zarysu, niż to było konieczne. Przykucnąwszy, wyciągnął rękę, by go dotknąć. Poczł ciepłe, szczeniaste futerko. To była Kleopatra. Leżała bez ruchu.

Absurdalnie, pierwszą jego myślą było, jak powie o tym pannie Preussler, a nie, czy przypadkiem sam nie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Zignorował ostrzegawczy głos wewnętrzny i chwycił za tylne nogi Kleopatry. Kotka nie zareagowała i nie stawiając żadnego oporu, pozwoliła się wyciągnąć z krzaków. Była jeszcze ciepła, ale tak bezwładna, że Mogens nie miał już wątpliwości co ujrzy, gdy zobaczy ją przy świetle. Wydała mu się też lżejsza niż zwykle.

Prawdopodobnie dlatego, że nie miała już głowy.

Przerażenie ścisnęło VanAndtowi serce. Zdawało mu się, że za chwilę przestanie bić ze strachu, że już teraz z trudem pompuje do żył krew gęstą niczym lepka smoła. Zastygł w bezruchu i wpatrywał się w okaleczone ciało Kleopatry, nie mogąc pojąć, co się stało. Kotka nie tylko nie miała głowy, ale i prawego barku wraz z łapą. Straszliwa rana powinna mocno krwawić, ale - przynajmniej w bladym świetle gwiazd, które zdołało się przedrzeć przez kopułę liści - Mogens dostrzegł na ziemi tylko kilka brunatnych kropel. Wszystkie te szczegóły obserwował ze skrupulatnością badacza nauczonego przyjmować fakty, nie oceniając ich, jednak gdzieś głęboko w podświadomości nadal czuł

I,

Mogens przekornie poszedł jednak dalej. Suche gałązki muskały go po twarzy, miał wrażenie, że to oblażą go pająki. Szmer w wierzchołkach drzew stał się głośniejszy. Zrobił kolejny krok. Wzrokiem

uważnie przeczesywał ziemię. Po chwili zdało mu się, że rozpoznał jakiś kształt. Jeden z cieni przed nim był większy od pozostałych.

Mimo że profesor zdołał wykrzesać z siebie jeszcze odrobinę nadziei, stanął w dużo większej odległości od zarysu, niż to było konieczne. Przykucnąwszy, wyciągnął rękę, by go dotknąć. Poczul ciepłe, szczeciniaste futerko. To była Kleopatra. Leżała bez ruchu.

Absurdalnie, pierwszą jego myślą było, jak powie o tym pannie Preussler, a nie, czy przypadkiem sam nie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Zignorował ostrzegawczy głos wewnętrzny i chwycił za tylne nogi Kleopatry. Kotka nie zareagowała i nie stawiając żadnego oporu, pozwoliła się wyciągnąć z krzaków. Była jeszcze ciepła, ale tak bezwładna, że Mogens nie miał już wątpliwości co ujrzy, gdy zobaczy ją przy świetle. Wydała mu się też lżejsza niż zwykle.

Prawdopodobnie dlatego, że nie miała już głowy.

Przerażenie ścisnęło VanAndtowi serce. Zdawało mu się, że za chwilę przestanie bić ze strachu, że już teraz z trudem pompuje do żył krew gęstą niczym lepka smoła. Zastygł w bezruchu i wpatrywał się w okaleczone ciało Kleopatry, nie mogąc pojąć, co się stało. Kotka nie tylko nie miała głowy, ale i prawego barku wraz z łapą. Straszliwa rana powinna mocno krwawić, ale - przynajmniej w bladym świetle gwiazd, które zdołało się przedrzeć przez kopułę liści - Mogens dostrzegł na ziemi tylko kilka brunatnych kropeł. Wszystkie te szczegóły obserwował ze skrupulatnością badacza nauczonego przyjmować fakty, nie oceniając ich, jednak gdzieś głęboko w podświadomości nadal czuł

paraliżujące przerażenie, które nie pozwalało mu poruszyć żadnym mięśniem. Z trudem oddychał. I być może właśnie strach uratował mu życie.

Gdy tak tkwił w bezruchu, tuż przed nim ożył olbrzymi cień. To, co uznał wcześniej za krzak, okazało się włochatą postacią o szpiczastych, lisich uszach i szerokich ramionach. Istota wyprostowała się przed nim powoli. Znów rozległo się warczenie, tym razem Mogens był jednak pewien, że właściwie go nie usłyszał, lecz odczuł każdym włóknem swojego ciała. Przerażające oczy wpatrywały się w niego z wysokości ponad sześciu stóp. Mogensa uderzył odór będący mieszaniną zapachu krwi, rozkładu i jeszcze czegoś o wiele ohydniejszego.

Potwór uważnie mu się przypatrywał. Wstrętny smród przybrał na sile, gdy bestia nachyliła się do przodu, otwierając przy tym pysk. W blasku gwiazd błysnął las ostrych jak igły zębów.

VanAndt był pewien, że to koniec. Został odkryty przez potwora, który dopiero co zmasakrował Kleopatrę. Mała kotka mogła stanowić dla kolosa jedynie przystawkę. Mogens nie miał wątpliwości, co nastąpi za chwilę. Był trochę zaskoczony, że przestał odczuwać lęk, ale ogarnęło go absurdalne uczucie wdzięczności z tego powodu. Zamknąwszy oczy, pokornie czekał na śmierć. Śmierć jednak nie przychodziła. Nie poczuł rozdzierającego bólu, na który czekał. Złowieszcze warczenie powtórzyło się i na chwilę wzmoгло, lecz następnymi odgłosami, jakie doszły uszu Mogensa, był głośny trzask łamanych gałęzi oraz oddalające się człapiące kroki. Gdy otworzył oczy, cienia już nie było.

Mogens poczuł, jak rozluźnia palce i wypuszcza z rąk ciało martwego kota. Serce szalało jak opętane, chwilę później zaczął drzeć na całym ciele, gdy tłumiony do tej pory strach zawładnął nim ze zdwojoną siłą. Na czoło nagle wystąpił mu zimny pot, a trzewia zbiły się w bolesną kulę, tak że musiał skulić się pod wpływem skurczów.

Profesor nigdy nie należał do ludzi szukających wyzwania czy dzielnie stawiających czoła niebezpieczeństwom. Teraz jednak miał wrażenie, że dojmujący strach, który odczuwał każdą cząstką swojego ciała, nie był jego własnym strachem. Co więcej, miał wrażenie, jakby Mogens VanAndt istniał w dwóch wcieleniach zamkniętych w jednym ciele. Jedno z nich drętwiało i nie uciekało tylko z powodu obezwładniającej paniki, drugie, zupełnie nowe wcielenie, wyzbyło się wszelkiego lęku.

Był zupełnie pewien, że zobaczył tego samego potwora, który dziewięć lat wcześniej porwał Janice. Mimo to nie czuł przed nim lęku. Zupełnie jakby spojrzawszy śmierci w oczy, przekroczył tym samym pewną granicę. Teraz wiedział już, że nie musi bać się dziwnych stworzeń czyhających na progu rzeczywistości. Nie miało to żadnego znaczenia, czy żył, czy nie. Nikt go nie potrzebował.

Nikt by za nim nie tęsknił. Jego życie skończyło się dziewięć lat temu i od tego momentu jedynie egzystował. Przed tym nie było ucieczki. Nigdy.

Wstał, wyszedł z krzaków i udał się na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

Imo ciemności bez trudu odnalazł ślady potwora. Jego stopy pozostawiły głębokie odciski w rozmokłym podłożu i już zaczęła się zbierać w nich woda. I bez tego nie zgubiłby kierunku. Podążał nie tyle za śladami bestii, co za tropem jej bytności, zupełnie jakby samo jej przejście zadało światu ranę, która teraz goiła się powoli.

Odciski stóp prowadziły z obozu na zachód. Mogensa, do tej pory zdecydowanego i stanowczego w działaniach, znów naszyły wątpliwości, gdy uświadomił sobie, że trop podąża prosto w kierunku cmentarza. Nie był pewien, czy starczy mu odwagi, by pójść tam za bestią. Przejście przez mur oznaczałoby spotkanie oko w oko z potworem na jego własnym terenie. W miejscu, gdzie miał spotkać wszystkie lęki z przeszłości.

Los zdecydował jednak za niego. Tuż przed murem cmentarnym, w tym miejscu do połowy zniszczonym, ślady skręcały ostro w lewo. Idąc za nimi, Mogens po kilkunastu krokach dotarł do drogi wiodącej wzdłuż ogrodzenia. Tu urywały się ślady stóp, jednak ten drugi, niewidzialny trop bestii nadal dało się wyczuć. Prowadził w kierunku przeciwnym do obozu.

Profesor zwlekał jeszcze chwilę. Panika, z którą wygrał walkę, nie wróciła, ale w jego serce zaczął się wkradać strach znacznie bardziej racjonalny. Zaczął się zastanawiać, czy potwór specjalnie nie wywabia go z obozu, by napaść w miejscu, gdzie już na żadną pomoc VanAndt nie mógłby liczyć. Równocześnie zdał sobie jednak sprawę, jak niepoważna była ta myśl. Przecież bestia mogła z nim zrobić, co jej się żywnie podobało i przede wszystkim gdzie jej się podobało. Gdyby zamierzała go zabić, już by nie żył.

Ale być może istniały rzeczy gorsze od śmierci...

Mogens jednak poszedł dalej. Nie zadawał sobie pytania, co właściwie zrobiłby, gdyby rzeczywiście zdołał dogonić potwora. Czego by użył jako broni? Zresztą sama myśl o zaatakowaniu bestii byłaby nedorzeczna. Mimo to nawet przyspieszył, a co kilka kroków przystawał, nasłuchując. Nie dochodził go żaden dźwięk, jednak nadal czuł, że potwór jest gdzieś niedaleko przed nim. Zimny dreszcz przeszedł profesora na myśl, że tamten również przystawał co jakiś czas i patrzył w tył swoimi rozżarzonymi oczyma,

m

W">\ :

by przekonać się, czy zachowuje odpowiedni dystans i czy Mogens nie zgubił jego śladu. VanAndt brnął jednak dalej, nie będąc pewnym, czy w ogóle mógłby jeszcze zawrócić, nawet gdyby chciał. Czuł się jak człowiek, który lekkomyślnie zaczął zbiegać ze stromego zbocza i teraz nie może się już zatrzymać.

Droga zdawała mu się o wiele dłuższa niż pierwszego dnia, gdy jechał nią z Tomem. Zapewne miały na to wpływ panująca ciemność i dojmujące zimno. Całkowicie zatracił poczucie czasu, miał wrażenie, że już kilka godzin maszeruje wzdłuż zniszczonego muru. W rzeczywistości przeszedł około pół mili. Nie wiedział, że cmentarz był tak duży. Właściwie o wiele za duży na tak małe miasteczko nieopodal.

Mogens zatrzymał się, gdy usłyszał jakiś dźwięk. Nie było to warczenie bestii. Tego odgłosu nie potrafił zidentyfikować. VanAndt z całych sił starał się przeniknąć wzrokiem ciemność. Wąska asfaltowa droga wznosiła się przed nim stromo, po czym przechodziła w niewiele szerszą drogę główną ostro skręcającą kilka metrów dalej. W Mogensie odżyło niemiłe wspomnienie, gdyż było to miejsce, w którym najadł się strachu już podczas jazdy z Tomem.

Po chwili uświadomił sobie, że to właśnie o tym odcinku drogi mówił Graves przy kolacji. To tu ford spadł w przepaść.

Profesor zawahał się, czy iść dalej, tym razem już z zupełnie innych powodów. Nigdy nie należał do ludzi, którzy z chorobliwą fascynacją przyglądają się miejscu wypadku czy stojącemu w

plamieniach domostwu. W dodatku, choć nie było ku temu żadnego powodu, czuł się współodpowiedzialny za nieszczęście, które spotkało trójkę naukowców. Zastanawiał się w duchu, czy aby nie to straszne zdarzenie przywiodło go tutaj, a potwór o lisich uszach i żarzących się oczach nie był tylko wytworem jego wyobraźni, który miał go zwabić. Już sama myśl, że nieznaną dotąd część jego świadomości była zdolna do chorobliwych fantazji, tak go przerażała, że zawróciłby natychmiast, gdyby w tym samym momencie nie usłyszał znów osobliwego, żalostnego dźwięku. Tym razem był on na tyle głośny, że nie mógł być omamem. Zawodzący jęk, jakby lament wiatru, tyle że bardziej bolesny. Bez wątpienia głos ludzki.

Mogensa przeszły ciarki, a w uszach zabrzmiały mu słowa panny Preussler: „A jeśli ta biedna kobieta jeszcze żyje i leży gdzieś tam ciężko ranna?”. To nie mogła być prawda. Los nie bywa aż tak okrutny.

Wiatr, jakby chcąc z niego zakpić, zaczął wiać w drugą stronę, a ciche stękanie stało się wyraźniejsze. Może zadziałała wyobraźnia, ale Mogens był teraz pewien, że słyszy rozdierające serce błaganie kobiety. Podeszedł ostrożnie do przepaści i wychylił się z bijącym sercem.

Wbrew wszelkiemu rozsądkowi ludził się jeszcze, że pomylił miejsce, ale już po chwili dostrzegł samochód. Mimo wątpiego światła i sporej odległości było go widać wyraźnie. Leżał na boku, pogruchotany i spalony. Przepaść nie była tak głęboka, jak ją zapamiętał - pięćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt stóp - jednak bardzo stroma i usiana głazami. Prawdopodobnie właśnie z powodu głazów upadek skończył się katastrofą. W mokrej trawie wszędzie połyskiwały odłamki szkła i fragmenty zgniecionego metalu. Mimo niedawnego deszczu powietrze nadal było przesycone zapachem spalenizny.

Gdyby samochód tylko zsunął się po skarpie, najpewniej nie przewróciłby się na dach, albo najwyżej przekoziółkowałby o ciężale kilka razy, co - jak Mogens wiedział - wyglądało spektakularnie, jednak nie było aż tak niebezpieczne. Lecz ostre głazy niczym ogromne pięści tak zdruzgotały samochód, że w końcu rozpadł się i stanął w plamieniach.

Serce profesora znów zaczęło bić mocniej. Lustrował wzrokiem strome zbocze, zastanawiając się, jak zejść na dół, nie łamiąc sobie przy tym karku.

A zejść musiał. Jęków nie było już wprawdzie słycać, ale to tylko pogarszało sytuację. Nawet gdyby nigdy nie odnaleziono ciała Hyams albo znalazłszy je, stwierdzono, że zginęła od razu, żalostny jęk prześladowałby go do końca życia.

Zaczął schodzić. W uszach wyraźnie brzmiały mu jeszcze słowa Gravesa, gdy mówił, że teren ten jest niebezpieczny nawet w biały dzień. Już po pierwszych kilku krokach pojał, że Jonathan miał całkowitą rację. Zbocze było jeszcze bardziej strome, niż się wydawało i do tego porośnięte gęstą trawą, po deszczu śliską niczym mydło. Mogens raczej zjechał po skarpie, niż zszedł. Kilka razy prawie się przewrócił, ale w ostatnim momencie udawało mu się przytrzymać kamienia lub jakiegoś karłowatego krzaka. Na domiar złego koziółkujący samochód pozostawił głębokie bruzdy, odsłaniając błotnistą, rozmokłą ziemię, na której profesor ślizgał się jeszcze bardziej. Z podłoża sterczały również liczne ostre odłamki karoserii. Gdy VanAndt dotarł do podnóża zbocza, wydawało się to nieprawdopodobne, że się nie zranił. Na razie wolał nie myśleć, jak wejdzie z powrotem.

Wrak wypalonego samochodu miał teraz niemal na wyciągnięcie ręki. To, co z niego zostało, już mało przypominało auto. Mimo że plamienie wygasły kilka godzin wcześniej, od wypalonej sterty żelastwa nadal biło ciepło. Nawet ziemia pod stopami Mogensa była sucha.

Profesor oderwał wreszcie wzrok od wraku forda, odsunął się o krok i rozejrzał dokoła, mrużąc oczy. Ucieszyłby się, gdyby jeszcze raz usłyszał rozdierający jęk, jednak było zupełnie cicho, nawet szum wiatru ustał.

- Hyams?! - zawołał.

Oczywiście nie otrzymał odpowiedzi. Postąpił niepewnie dwa kroki, zatrzymał się i znów zaczął iść, instynktownie

TFT 'i,.

if - r

si-

u

omijając samochód przesadnie dużym łukiem. Nie chodziło

o bijące od wraku ciepło. Pojazd stał się grobem dwojga lub trojga osób i nawet sama jego bliskość napawała VanAndta strachem. Jak każdy cmentarz...

Wtem natrafił stopą na coś szeleszczącego. Zatrzymał się. Rozpoznał niewyraźny, podłużny kształt przykryty czarną plandeką. Przykucnąwszy ostrożnie, wyciągnął rękę, by odsunąć płachtę.

Cofnął się przerażony, tak gwałtownie, że stracił równowagę, runął do tyłu i uderzył głową o kamień. Przeszył go ostry ból, na chwilę zrobiło mu się niedobrze. Nie stracił przytomności, jednak pod zamkniętymi powiekami wszystko wirowało. Nie otwierał przez jakiś czas oczu w obawie, że gdy tylko to zrobi, natychmiast zwymiotuje. Długo zbierał się w sobie, nim znów spojrzął na straszny widok, który do tej pory litościwie skrywała czarna plandeka.

Były to dwa spalone trupy, zmienione nie do poznania. Mogens nie potrafił powiedzieć, który to Mercer, a który McClure. Płomienie spaliły ich ubrania, włosy i brwi, a twarze pozbawiły znajomych rysów. Ich ciała zdawały się o wiele drobniejsze, jakby ogromny żar nie tylko zwęglił skórę, ale również pomarszczył i przykurczył członki. Zatarła się nawet różnica między ascetycznym McClure'm a otyłym Mercerem, jakby tłuszcz stopił się w ogniu niczym masło nagorącej patelni.

Profesor zapanował nad buntującym się żołądkiem

I patrzył na ciała długo, chociażby po to, by w ten sposób wyzbyć się strachu. Oburzył się, gdy uświadomił sobie, że Wilson tak po prostu zostawił tu zwłoki obydwu naukowców, potraktował je jak kawałki złomu. Po chwili przypomniał sobie jednak, jak trudno było jemu samemu zejść ze skarpy. A wciągnąć dwa ciała? Wilson i jego ludzie przykryli je, by następnego dnia zabrać już bez ryzyka dla zdrowia i życia.

!•,- > S'

•' *■ -.i'3 ■t'

Były to jednak tylko dwa ciała. Ale co z Hyams?

Mogens z powrotem przykrył zwłoki plandeką, wstał, rozejrzał się, próbując odgadnąć sens płątaniny cieni i szarych, rozmytych kształtów. Nawet nie wyobrażał sobie, jak wyglądało to miejsce w jeszcze głębszych ciemnościach, podczas ulewy i szalejącej burzy. Policjanci nie mieli łatwego zadania, przeszukując teren. Jednak Mogens, choć prawie nie znał szeryfa Wilsona, uważał go za człowieka sumiennego. Był pewien, że starannie przeszukał przynajmniej najbliższe otoczenie samochodu, nawet jeśli nie mógł wiedzieć, że w aucie jechała jeszcze jedna osoba. Chcąc ją znaleźć, VanAndt mógł więc zrezygnować z przetrząsania najbliższej okolicy.

To właśnie dało mu do myślenia. Samochód zatrzymał się na stosunkowo płaskim terenie ograniczonym przez ostre głązy. Niektóre z nich były niewiele większe od psiej budy, inne wielkości połowy domu, wszystkie jednak niebezpieczne. Nawet jeśli Hyams wypadła z auta, zanim stanęło w płomieniach, nie miała żadnych szans, jeżeli spadła na te kamienie.

Mimo to Mogens zaczął przeszukiwać teren między porozrzucanymi głazami. Błagalne jęki nie były przecież wytworem jego wyobraźni.

Jak daleko mogło przelecieć ciało, które wypadło z koziołkującego samochodu? Na pewno niedaleko, dwadzieścia pięć, może trzydzieści stóp. Jeśli Hyams gdzieś tu była, to prawdopodobnie blisko. W przeciwnym razie nie usłyszałby z drogi jej wołania o pomoc.

VanAndt przeszukał okolicę w promieniu trzydziestu kroków. Nikogo wprawdzie nie znalazł, lecz za spalonym samochodem w odległości około dziesięciu kroków głązy piętrzyły się, tworząc rodzaj kamiennej altany, która osłoniła trójkątną powierzchnię przed deszczem. Mimo to w tym właśnie miejscu widniała na ziemi ciemna plama. Mogens

nachylił się i dotknął jej. Była wilgotna i ciepła. Gdy podniósł rękę, w blasku gwiazd jego dłoń

wyglądała na czarną. Wiedział jednak, że w rzeczywistości była czerwona, a do tego czuł charakterystyczny żelazisty zapach. Krew, ciepła krew. Więc Hyams jeszcze żyła! I choć ciężko ranna, najwyraźniej mogła się jeszcze poruszać. Niestety deszcz oszczędził jedynie tę małą plamę, przed którą klęczał, wszędzie indziej zalegało gęste błoto, w którym ślady mogły się utrzymać najwyżej kilka chwil.

Profesor zaczął gorączkowo myśleć, jak zachowuje się człowiek z tak ciężkimi obrażeniami. Na pewno nie kieruje nim rozsądek. Reaguje raczej jak śmiertelnie ranne zwierzę, które szuka bezpiecznej kryjówki, by tam spokojnie umrzeć. Z drugiej strony wiedział, że czasem właśnie ciężko ranni są zdolni do nadludzkiego wysiłku. Nie pozostało mu nic innego, jak szukać dalej na chybił trafił w nadziei, że odnajdzie Hyams, nim będzie za późno.

Nawołując ją po imieniu, zataczał coraz większe kręgi wokół miejsca wypadku. Nie otrzymał odpowiedzi ani też nie trafił na dalsze krwawe ślady. Zaglądał do każdej szczeliny skalnej, sprawdzał każdy cień i obchodził każdy kamień, nawet taki, który nie byłby w stanie skryć człowieka. W końcu jednak poddał się. Dalsze poszukiwania nie miały sensu. Mimo poczucia, że zostawia Hyams na pastwę losu, tak naprawdę mógł dla niej zrobić już tylko jedno - wrócić do obozu, by zaalarmować Gravesa i Toma. Za kilka godzin zrobi się jasno, wówczas chłopak pojedzie do miasta i sprowadzi Wilsona z jak największą liczbą ludzi, którzy będą kontynuować poszukiwania w lepszych warunkach, przy świetle dziennym.

Tylko czy Hyams przeżyje do rana...

Przygnębiony ruszył w drogę powrotną. Zabrało mu to dużo więcej czasu, niż się spodziewał. Nie wiedział, że

odszedł tak daleko od wraku. Na szczęście zrobiło się już jaśniej, nie obawiał się więc, że wpadnie przypadkiem na kamień. Musiało minąć ponad pół godziny zanim dotarł do spalonego samochodu i zatrzymał się zdumiony.

Obydwa ciała zniknęły.

Mogens zaczął się rozglądać wśród głazów. Niemal od razu dojrzał plandekę, którą tak starannie przykrył obydwie zwęglone ciała. Była rozszarpana na strzępy. Profesor stanął jak rażony piorunem, patrząc na rozerwany czarny materiał. Nie pojmował, co się stało. Powolnym krokiem podszedł do resztek płachty i przykucnął. Niepewnie wyciągnął rękę, ale zamarł w pół ruchu. Palce zaczęły mu drżeć.

Nie chodziło tylko o podartą plandekę. Od miejsca, gdzie wcześniej leżały spalone ciała, prowadziły dwa głębokie ślady, które następnie zniknęły między głazami. Tuż obok Mogens dostrzegł głęboki, wykrzywiony odcisk stopy. Na pierwszy rzut oka można było go wziąć za ślad wysokiego, potężnie zbudowanego człowieka, jednak Mogens dobrze wiedział, jakie stworzenie go pozostawiło. Cały drżał. Starając się stłumić strach, podniósł głowę i powiódł wzrokiem za tropem. Choć po kilku krokach ślad zniknął między głazami, potem znów się pojawiał. W nikłym świetle sierpowatego księżyca VanAndt dojrzał dwa kolejne olbrzymie odciski stóp.

Obrócił się i wstał. W tym samym momencie na jego twarz padło ostre, oślepiające światło.

Wystraszony podniósł rękę, by przysłonić oczy.

- Stać! - rozkazał gniewny głos.

Profesor nie mógłby się ruszyć z miejsca, nawet gdyby chciał. Przenikliwe światło dosłownie paraliżowało go i kłuło boleśnie w oczy, tak że omal nie stęknął głośno. Pospieszenie uniósł do oczu również drugą rękę. Patrzył na snop światła, mrugając załzawionymi oczami. Widać było poruszające się cienie. Do pierwszego reflektora dołączył drugi, przez co światło oślepiało go coraz dokuczliwiej.

- Co pan tu, u diabła, robi, profesorze?! - wrzasnął szeryf Wilson.

Jeszcze kawy, czy może czegoś mocniejszego, profesorze? - Szeryf Wilson przybrał pytający wyraz twarzy. Mogens pokręcił głową. Wilson wzruszył obojętnie ramionami i nalał sobie kolejny kubek parującej cieczy, która nie tylko wyglądała jak stopiona smoła, ale zdaniem VanAndta również tak smakowała.

- Jak pan sobie życzy, profesorze - powiedział szeryf. - Proszę to jednak przemyśleć. Obawiam się, że mamy przed sobą dość długą rozmowę.

Mogens nic nie odpowiedział. Miał już pewne doświadczenie w kontaktach ze strażnikami prawa - na tyle duże, by wiedzieć, że każde wypowiedziane słowo byłoby zbędne. Nie potrafił powiedzieć, czy Wilson go o coś podejrzewał, wiedział jednak z całą pewnością, że policjant wyrobił sobie zdanie na temat tego, co zobaczył przy wraku forda. Próba przekonania go, że się myli, byłaby stratą czasu. Mogens dobrze znał sposób, w jaki Wilson stawiał pytania, słuchał odpowiedzi, w jaki na niego patrzył. Niemal mógłby odgadnąć, co szeryf myślał, gdy pozornie nic nie robił. Dla Wilsona sprawa była jasna.

- Więc jeszcze raz od początku - zaproponował szeryf. To nie był rozkaz, w jego głosie pobrzmiwała błagalna nuta, prośba o wyjawienie prawdy. Mogens widział po oczach policjanta, jak bardzo jest zmęczony zadawaniem wciąż tych samych pytań i otrzymywaniem tych samych odpowiedzi, nie takich jednak, jakie chciał usłyszeć. Ale wyczytał też w jego wzroku, że gotów był ciągnąć rozmowę jeszcze kilka godzin, a jeśli okazałoby się to konieczne, nawet kilka dni.

Profesor naciągnął na ramiona cienki bawełniany koc, mimo to przeszył go kolejny dreszcz wywołany zmęczeniem i zimnem. Pod kocem, który drapał jak papier ścierny, VanAndt był całkiem nagi. Wilson zabrał jego brudne ubrania, rzekomo by je oczyścić, Mogens domyślał się jednak, że chciał zbadać, czy nie są poplamione krwią lub nie noszą innych charakterystycznych śladów.

- Błagam pana, szeryfie - powiedział profesor zmęczonym głosem. - Nie mogę panu powiedzieć nic ponad to, co już wielokrotnie powtórzyłem. Nie zmuszę pana, żeby mi pan uwierzył, ale nie usłyszysz pan ode mnie nic innego, nawet jeśli będziemy tak siedzieć jeszcze cały dzień. Starał się wypowiedzieć te słowa zrezygnowanym głosem, unikając najmniejszego tonu prowokacji czy wyniosłości. Próby te jednak najwyraźniej nie odniosły pożądanego skutku, ponieważ Mogens dostrzegł pewną subtelną zmianę w pozornie obojętnym wzroku Wilsona. Stał się więc czujny. Policjant prawdopodobnie nie tego oczekiwał - był jednak prostym człowiekiem i jak wielu podchodził do ludzi wykształconych z mieszaniną respektu oraz wynikającej z niepewności agresji.

- Szeryfie, czego pan ode mnie właściwie oczekuje? - spytał VanAndt po dłuższej chwili. - Nie mogę panu nic więcej powiedzieć. Wyszedłem na dwór, ponieważ chciałem odszukać kota.

- I znalazł go pan, niestety martwego - westchnął Wilson. - Jakieś drapieżne zwierzę rozszarpało go na kawałki. Zamiast wrócić i sprowadzić pomoc, a przynajmniej zaopatrzyć się w broń, zaczął pan samotnie, z pustymi rękoma śledzić dzikie zwierzę, które, jak sam pan powiedział, zabiło sporych rozmiarów kota. - Pokręcił głową. - Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jakie zwierzę mogłoby być zdolne do czegoś takiego, profesorze?

ssra

Mogens milczał. Nie musiał sobie tego zwierzęcia wyobrażać, ponieważ je widział, Wilsonowi jednak nic nie powiedział o potworze z rozżarzonymi ślepiami. Taki błąd popełnił już raz dziewięć lat temu i z pewnością już go więcej nie powtórzy.

- Jest pan albo bardzo odważny, profesorze, albo bardzo głupi - ciągnął Wilson, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Profesor VanAndt byłby głupi - dobiegło od strony drzwi - gdyby odpowiedział na którekolwiek z pańskich pytań, szeryfie.

Wilson podniósł wzrok, a Mogens dostrzegł, jak nagle zbladł, a w oczach jego pojawił się strach i gniew. Mogens również obrócił się gwałtownie w stronę nieproszonego gościa.

- Jonathan! - wykrzyknął.

Graves pospiesznie skinął głową w jego stronę, zatrzasnął drzwi, po czym podszedł do biurka Wilsona.

- Co tu się dzieje?! - niemal wrzasnął.

W pierwszym momencie wydawało się, że apodyktyczny ton głosu Gravesa wystarczy, by złamać opór Wilsona, po chwili jednak szeryf najwyraźniej uświadomił sobie, gdzie się znajdowali.

Pozostał na swoim miejscu, spojrzał bystro na Jonathana i świadomie odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział:

- Dzień dobry, doktorze. Mam kilka pytań do profesora VanAndta i nie wydaje mi się, żeby

mogło pana obchodzić, co...

- Och, nie wydaje się panu! - podchwycił szyderczo Graves, wchodząc mu w słowo. - To ja panu powiem, co mnie się wydaje, szeryfie. - Energicznym ruchem wskazał na Mogensa, ani na moment nie spuszczając przy tym wzroku z Wilsona. - Jak najbardziej obchodzi mnie, że przesłuchuje pan jednego z moich współpracowników, szeryfie!

P'

f

i m

- Nikt tu nie mówi o przesłuchaniu - odpowiedział policjant. Starał się robić wrażenie pewnego siebie, ale Mogens pojął, że Wilson już przegrał. - Zadałem profesorowi VanAndtowi tylko kilka pytań.

- I w tym celu profesor musiał się rozebrać, i siedzi teraz przed panem na wpół nago?

- To nie ma nic do rzeczy - wyjaśnił VanAndt pośpiesznie. - Moje ubrania są brudne, szeryf Wilson był tak miły i oddał je do czyszczenia.

Graves rzucił mu krótkie, chłodne spojrzenie, po czym znów odwrócił głowę do Wilsona.

- Co się stało?

- Zatrzymaliśmy pańskiego... - wskazał na Mogensa - ...współpracownika w pobliżu spalonego samochodu. Manipulował przy nim.

Jonathan wzruszył ramionami.

- Co chyba nie jest karalne, prawda? Ściśle rzecz biorąc, samochód jest nadal moją własnością i nie mam nic przeciwko temu, żeby profesor VanAndt go oglądał.

W oczach Wilsona pojawił się błysk.

- Proszę nie przebierać miary, doktorze! Być może to zapadłe miasteczko, a ja jestem prostym gliną, jednak nawet tutaj wiemy, co jest zgodne z prawem, a co nie. Przyczyny wypadku nadal nie są wyjaśnione. Zginęło dwoje ludzi, być może nawet troje. Przyłapaliśmy profesora VanAndta w środku nocy, gdy włóczył się w okolicy wraku. - Odczekał krótką chwilę, po czym dodał tryumfalnie: - A ciała doktora McClure'a i doktora Mercera zniknęły.

- I co? - spytał Graves spokojnie, jakby ta wiadomość nie była niczym szczególnym. - Uważa pan może, że to profesor VanAndt je usunął?

- W każdym razie miał krew na rękach - powiedział Wilson.

- Tak, krew doktor Hyams! - uniósł się Mogens.

"ił"

- Doktor Hyams? - Przynajmniej na chwilę profesorowi udało się zwrócić na siebie uwagę Gravesa. - Dlaczego Hyams? Czy to oznacza...?

- Ona nadal żyje - stwierdził z przekonaniem VanAndt. - W każdym razie myślę, że żyła, gdy szeryf mnie aresztował - dodał już mniej pewnie.

Graves odwrócił się gwałtownie do Wilsona z gniewem w oczach. Tym razem jednak policjant go ubiegł.

- Oczywiście traktuję poważnie to oświadczenie profesora - powiedział. - Nawet jeśli, szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć. Wysłałem pięciu ludzi na miejsce wypadku, by jeszcze raz dokładnie przeczesał teren. Proszę mi wierzyć, jeśli doktor Hyams jeszcze żyje, moi ludzie z pewnością ją odnajdą.

- Jeśli natomiast już nie żyje, szeryfie... - Graves pochylił się prowokacyjnie do przodu i oparł palce o biurko Wilsona - ...wówczas moi ludzie ustalą, kiedy doktor Hyams zmarła. Jeśli okaże się, że zmarła, ponieważ nie posłuchał pan profesora VanAndta i za późno rozpoczął poszukiwania, wówczas nie chciałbym być na pańskim miejscu! - Resztki krwi odpłynęły z twarzy Wilsona. A

Jonathan ciągnął: - Czy mogę więc liczyć, że pozwoli mi pan zabrać profesora VanAndta do obozu? Mamy przed sobą sporo pracy.

- Oczywiście - odparł niechętnie policjant. Rzucił w stronę Mogensa badawcze spojrzenie. - Nie nosimy wprawdzie dokładnie tego samego rozmiaru, ale na drogę powrotną mogę panu zaproponować mój zapasowy mundur.

- I oczywiście będzie pan łaskaw sam go później odebrać, prawda? - spytał Graves drwiąco. - Najlepiej jeszcze dziś po południu.

Twarz szeryfa spochmurniała jeszcze bardziej, ale powstrzymał się od gniewnej odpowiedzi, którą miał na końcu języka, i wyszedł. Jonathan odczekał, aż opuści pokój i zamknie za sobą drzwi, po czym odwrócił się energicznie

i

do Mogensa, a pozorne opanowanie zniknęło z jego twarzy niczym zdjęta nagle maska.

- Cóż, na miłość boską... - zaczął.

- Ono wróciło, Jonathanie! - wszedł mu w słowo Mogens.

Graves przekrzywił głowę.

- Co wróciło?

- To... to stworzenie - ciągnął VanAndt. Głos drżał mu tak bardzo, że z trudem mówił dalej. - Potwór z cmentarza, który porwał Janice.

- Co ty wygadujesz, Mogensie?! - Doktor chciał się zaśmiać, ale nie był w stanie. - To jakiś nonsens!

- Widziałem go - ciągnął profesor prawie szeptem. - Zabił Kleopatę i... i wydaje mi się, że porwał Hyams. - Wziął głęboki oddech. - Kilka dni temu widziałem go po raz pierwszy, wtedy na cmentarzu. To był na pewno potwór z mauzoleum, ten sam, który porwał Janice i pozostałą dwójkę. On tutaj jest, Jonathanie!

Liczył się z tym, że Graves go wyśmieje, a w najlepszym razie wyrazi powątpiewanie. Jednak doktor popatrzył na niego w zamyśleniu, po czym spytał bardzo poważnym głosem:

- Jesteś pewien?

- Tak - odparł Mogens. - Zupełnie pewien.

Jonathan milczał dłuższą chwilę. Wyglądał na bardzo zamyślonego, ale i mocno wystraszonego.

- Ale dlaczego? - wymamrotał. - Dlaczego teraz? Dlaczego tutaj?

- Być może śledził nas przez cały czas - zauważył VanAndt. - Może przez wszystkie te lata czekał na okazję, by dopaść nas razem.

- Bzdura! - zachnął się Graves i wybuchnął nerwowym śmiechem. - To przecież... zupełnie nie ma sensu. Dlaczego miałby... Ja przecież nic...

- To ja go zraniłem - przypomniał cicho Mogens. - Ale ty przy tym byłeś, Jonathanie. Być może chce nas obu. - Wzruszył ramionami. - To nie może być przypadek, że po tak długim czasie pojawia się właśnie teraz. Od tamtej nocy nie spotkaliśmy się ani razu, Jonathanie. - Przesunął końcem języka po wargach i niepewnie rzucił okiem w stronę drzwi, za którymi zniknął Wilson. - Jest coś jeszcze.

- Co takiego?

- Tom - powiedział profesor. - Czy on jest u ciebie?

Graves również spojrzął przelotnie na drzwi, przez które dopiero co sam wszedł.

- Nie, przyjechałem buickiem. Dlaczego pytasz?

- Wydaje mi się, że... że on ma z tym wszystkim coś wspólnego - odparł Mogens niepewnie.

- Tom?!

VanAndt kiwnął głową. Nagle wszystko zaczęło układać się w sensowną, choć trudną do uwierzenia całość. Tom, który wszystko wiedział, który wszystko potrafił i zdawał się nie potrzebować snu. Który zawsze był pod ręką. Który na wszystko miał gotową odpowiedź. W końcu Mogens powiedział cichym, urywanym głosem:

- Tej nocy na cmentarzu, Jonathanie, gdy widziałem potwora po raz pierwszy... Tom też tam

był. Przyniósł mnie do obozu, gdy straciłem przytomność. To znaczy... on twierdzi, że to właśnie jego widziałem, nie żadną bestię... Wmawiał mi, że sam nie zauważył niczego niezwykłego.

Graves zrobił się jeszcze bledszy.

- Co ci jest? - spytał Mogens.

- Tom... - odpowiedział Jonathan. - Panna Preussler poprosiła go, żeby jej pokazał wykopalisko. Gdy wyjeżdżałem, właśnie wybierali się na dół.

4

- To ja go zraniłem - przypomniał cicho Mogens. - Ale ty przy tym byłeś, Jonathanie. Być może chce nas obu. - Wzruszył ramionami. - To nie może być przypadek, że po tak długim czasie pojawia się właśnie teraz. Od tamtej nocy nie spotkaliśmy się ani razu, Jonathanie. - Przesunął końcem języka po wargach i niepewnie rzucił okiem w stronę drzwi, za którymi zniknął Wilson. - Jest coś jeszcze.

- Co takiego?

- Tom - powiedział profesor. - Czy on jest u ciebie?

Graves również spojrzął przelotnie na drzwi, przez które dopiero co sam wszedł.

- Nie, przyjechałem buickiem. Dlaczego pytasz?

- Wydaje mi się, że... że on ma z tym wszystkim coś wspólnego - odparł Mogens niepewnie.

- Tom?!

VanAndt kiwnął głową. Nagle wszystko zaczęło układać się w sensowną, choć trudną do uwierzenia całość. Tom, który wszystko wiedział, który wszystko potrafił i zdawał się nie potrzebować snu. Który zawsze był pod ręką. Który na wszystko miał gotową odpowiedź. W końcu Mogens powiedział cichym, urywanym głosem:

- Tej nocy na cmentarzu, Jonathanie, gdy widziałem potwora po raz pierwszy... Tom też tam był. Przyniósł mnie do obozu, gdy straciłem przytomność. To znaczy... on twierdzi, że to właśnie jego widziałem, nie żadną bestię... Wmawiał mi, że sam nie zauważył niczego niezwykłego.

Graves zrobił się jeszcze bledszy.

- Co ci jest? - spytał Mogens.

- Tom... - odpowiedział Jonathan. - Panna Preussler poprosiła go, żeby jej pokazał wykopalisko. Gdy wyjeżdżałem, właśnie wybierali się na dół.

zas oczekiwania na Wilsona z obiecany ubrania-| mi dłużył się niemiłosiernie, a kilka chwil, których Mogens potrzebował na wciągnięcie spodni i zapięcie guzików, było dla niego wiecznością. Wilson wskazał ledwo zauważalnym ruchem na sąsiedni pokój, jednak profesor bez namysłu zsunął koc z ramion i ubrał się pospiesznie na oczach szeryfa, chociaż miał świadomość, że wzbudzi to jego większą nieufność. Wybiegł z biura i z trudem opanował chęć przebiegnięcia na drugą stronę ulicy, gdzie Graves zaparkował buicka.

Jonathan zmarszczył czoło z dezaprobatą, nie powiedział jednak ani słowa, tylko zapalił silnik.

Ruszył tak gwałtownie, że VanAndt chwycił się kurczowo siedzenia. Nie potrafił ocenić, czy Graves jeździł pewniej niż Tom, na pewno jednak szybciej. W ciągu kilku minut znaleźli się za miastem na rozwidleniu dróg, z których jedna prowadziła do cmentarza i obozu. Serce zaczęło Mogensowi szybciej bić, gdy zbliżali się do miejsca, w którym ford runął w przepaść. Teraz, w świetle dziennym, dostrzegł na drodze czarne ślady hamowania, których nie zdołał rozmyć deszcz. Graves tak mocno wcisnął hamulec, że profesor całym ciałem poleciał do przodu. Wyciągnął ręce, by wesprzeć się na desce rozdzielczej. Poczuł ostry ból w nadgarstkach i bezwiednie jęknął.

Jonathan pokręcił pogardliwie głową i wyciągnął rękę w kierunku klamki.

- Co robisz? - spytał Mogens wystraszony. - Nie mamy czasu!

- To może mieć duże znaczenie. - Doktor wysiadł.

- Jakie znaczenie? Jonathanie! - VanAndt z trudem otworzył drzwi.

Graves jak zwykle zignorował profesora. Z oczami utkwionymi w ziemię obszedł samochód, po czym podążył za czarnymi śladami opon.

- W tamtym miejscu zjechał z drogi, widzisz?

- Jonathanie, czy naprawdę uważasz, że to jest teraz takie ważne?

- Tak - odparł pospiesznie doktor. - Może ważniejsze, niż ci się wydaje. Mogens jeszcze przez chwilę patrzył na niego rozgniewany, czuł jednak, że dalsze ponaganie nie ma sensu. Odwrócił się niechętnie w kierunku, który wskazywała obleczone w czarną rękawiczkę ręka doktora. Ślad zanikał co kawałek w chwastach i rozpadlinach w asfalcie, gdzie natura rozsadziła sztuczną powłokę stworzoną ludzką ręką. VanAndt zrozumiał nagle, na co Graves chciał zwrócić jego uwagę. Teraz podążył za nim bez słowa protestu.

- Zakładałem, że Mercer był pijany i dlatego stracił kontrolę nad samochodem - westchnął zamyślony Jonathan. - Nawet jeśli, nie miało to znaczenia. Popatrz, tuż przed końcem cmentarnego muru zahamował tak ostro, że samochód wpadł w poślizg. Musiał coś wymijać. Coś, co wyszło stamtąd.

Wskazał mur dokładnie w miejscu, gdzie był on częściowo zwalony. Zniszczenia z pewnością dokonano niedawno, skoro kamieni nie pokrył jeszcze mech. Niektóre leżały na drodze w sporej odległości od muru, jakby coś z nadludzką siłą przebiło się od strony cmentarza. Nie trzeba było wiele fantazji, aby sobie wyobrazić, co się tu wydarzyło. Mercer może jechał zbyt szybko, mógł też być pijany, jednak nie to ostatecznie przesądziło o tragedii. Coś wyszło z głębi cmentarza i przebiło mur. Przestraszony Mercer gwałtownie skręcił, tracąc kontrolę nad samochodem.

- Teraz naprawdę już musimy jechać, Jonathanie - ponaglił profesor. - Panna Preussler może być w niebezpieczeństwie.

Graves jakby w ogóle nie usłyszał jego słów. Patrzył jeszcze przez chwilę na przerywany ślad, po czym odwrócił się i podszedł do przepaści. Stał tak blisko krawędzi, że spod stóp osunęła mu się garstka kamyczków i stoczyła w dół, wydając przy tym odgłos podobny do stukotu szklanych kulek.

- To moja wina, Mogensie - szepnął doktor. - Nie powinienem był pozwolić im odjechać.

- Jonathanie, panna Preussler! Jest na dole całkiem sama z Tomem!

Doktor nie zareagował. Stał dłuższą chwilę jak odrętwiały i patrzył na zmiądzony samochód. Nawet z tej odległości Mogens dostrzegł ślady opon, które zniknęły między głazami. Zauważył też, że na dole nikt nie szukał Hyams.

- Myślałem, że tylko w nocy jest niebezpiecznie - mamrotał Graves. - Sądziłem, że w dzień...

- Wyciągnął z kieszeni kurtki cygarniczkę i próbował zapalić papierosa, jednak ręce zbyt mu się trzęsły. - Popełniłem straszliwy błąd, Mogensie. To moja wina.

- Bzdura! - zaprotestował VanAndt. - Przecież nie mogłeś przewidzieć, co się stanie!

- Myślisz, że Hyams i pozostała dwójka opuścili nas z twojego powodu, prawda? - Jonathan zaśmiał się głośno. - To ja ich sprowokowałem. - W końcu zdołał zapalić papierosa. Nie patrzył na Mogensa, tylko przez chmurę siwego dymu obserwował zdruzgotany samochód. Teraz mówił ciszej. - Powinienem był ich zatrzymać. Wystarczyłoby jedno słowo. Ale ja chciałem, żeby odjechali. Myślałem, że tak będzie dla nich bezpieczniej. Zabiłem ich, ponieważ chciałem ich uratować.

- Nie... nie rozumiem, co... - zaczął Mogens.

- Oczywiście, że nie rozumiesz - przerwał mu Graves. - Jak miałbyś to pojąć? To mój kolejny błąd. Być może tego właśnie zawsze najbardziej w tobie nie znoś. Uświadamiasz mi moją niedoskonałość.

- Jonathanie, czy ty oszalałeś? - zaniepokoił się profesor. - Panna Preussler jest na dole z Tomem, a ty...

- Pannie Preussler nic nie będzie! - przerwał mu Jonathan.

Mogens z niedowierzaniem zamrugał oczami.

- Jest na dole z Tomem - przypomniał.

- I tym samym jest prawdopodobnie bezpieczniejsza, niż gdyby była tu z nami. - Graves zaśmiał się smutno.

- Nie rozumiałeś, co powiedziałem ci o Tomie?

- Co do joty. Jest jednak coś, co ja muszę ci o nim powiedzieć. Masz rację, Mogensie. Tom... rzeczywiście widział potwora na cmentarzu. Bestia nie jest twoim wymysłem.

Wyznanie Gravesa uderzyło w profesora jak piorun. Próbował zrozumieć sens jego słów, na próżno.

Może przeczuwał, że za tym wyznaniem kryje się jeszcze większa i straszniejsza tajemnica. Nie był pewien, czy chciał ją poznać.

- Jedźmy. - Graves rzucił papierosa na ziemię i starannie zgasił go obcasem. Ruszył natychmiast, ledwo Mogens zdążył wsiąść i zatrzasnąć drzwi. Teraz jednak prowadził dużo wolniej niż wcześniej.

Mogens bezwiednie wbił wzrok w nieforemną dziurę w murze. Serce znów zaczęło mu bić szybciej, drżące dłonie splótł na kolanach. Teraz, gdy widział cmentarz w świetle dziennym, nie dostrzegał w nim nic, czego mógłby się obawiać. Zapewne tak samo myślał Mercer, gdy zbliżali się do tego miejsca...

- Nie miej tego Tomowi za złe, Mogensie - zaczął doktor, gdy zostawili już miejsce wypadku spory kawałek za sobą. - Nie chciał cię okłamywać. Prawdę mówiąc, musiałem go zmusić, żeby przedstawił ci tę drugą, mało prawdopodobną wersję wydarzeń.

- Był bardzo przekonujący. - Głos profesora zabrzmiał tak beznamiętnie, że sam się go wystraszył.

- Chłopak cię lubi - powiedział Graves. - Dlatego nie chciał cię okłamywać. urywanym głosem. - Chcesz powiedzieć, że Tom... wie o wszystkim?

- Nie przyjechałem tu z powodu świątyni - odparł Graves. - Jestem tu z ich powodu. - Wskazał głową w kierunku cmentarnego muru. - Świątynię odkryliśmy raczej przez przypadek.

- A Tom?...

- Och, jeśli chodzi o jego odkrycie, powiedział ci prawdę - zapewnił pospiesznie Jonathan. - Istotnie przez przypadek natrafił na wejście do świątyni. Ale przez ostatnie pięć lat - dodał po chwili przerwy - towarzyszył mi w większości moich podróży. Wiele z tego, co odkryłem, zawdzięczam Tomowi. Gdyby nie on, być może już bym nie żył, Mogensie, a na pewno nie byłoby mnie tutaj.

- Pięć lat? - zdziwił się profesor. - Ale wtedy musiał mieć...

- Dwanaście - potwierdził Graves. - Miał około dwunastu, może trzynastu lat, nikt nie wie dokładnie. Jednak od razu zauważyłem, że to bystry chłopiec. Już tamtej nocy, gdy przyłapałem go na szperaniu w moim namiocie - dodał z lekkim uśmiechem.

- Na czym go przyłapałeś?

Graves uśmiechnął się szerzej.

- Próbował mnie okraść, tak. - Podniósł szybko rękę, gdy Mogens chciał coś odpowiedzieć. - Jednak nie oceniaj go zbyt pochopnie. Nie jesteśmy w San Francisco, a już na pewno nie na Harvardzie, czy nawet w twoim ukochanym Thompson. Tutaj jest dzicz. To surowa ziemia zamieszkała przez twardych ludzi. Jeśli myślisz, że znają słowo litość, to jesteś jeszcze większym romantycznym głupcem, niż sądziłem. - Pokręcił głową, chociaż profesor nie protestował. - Jakie widoki na przyszłość ma sierota,

- Do czego... zmierzasz, Jonathanie? - spytał VanAndt urywanym głosem. - Chcesz powiedzieć, że Tom... wie o wszystkim?

- Nie przyjechałem tu z powodu świątyni - odparł Graves. - Jestem tu z ich powodu. - Wskazał głową w kierunku cmentarnego muru. - Świątynię odkryliśmy raczej przez przypadek.

- A Tom?...

- Och, jeśli chodzi o jego odkrycie, powiedział ci prawdę - zapewnił pospiesznie Jonathan. - Istotnie przez przypadek natrafił na wejście do świątyni. Ale przez ostatnie pięć lat - dodał po chwili przerwy - towarzyszył mi w większości moich podróży. Wiele z tego, co odkryłem, zawdzięczam Tomowi. Gdyby nie on, być może już bym nie żył, Mogensie, a na pewno nie byłoby mnie tutaj.

- Pięć lat? - zdziwił się profesor. - Ale wtedy musiał mieć..

- Dwanaście - potwierdził Graves. - Miał około dwunastu, może trzynastu lat, nikt nie wie dokładnie. Jednak od razu zauważyłem, że to bystry chłopiec. Już tamtej nocy, gdy przyłapałem go na szperaniu w moim namiocie - dodał z lekkim uśmiechem.

- Na czym go przyłapałeś?

Graves uśmiechnął się szerzej.

- Próbował mnie okraść, tak. - Podniósł szybko rękę, gdy Mogens chciał coś odpowiedzieć. - Jednak nie oceniaj go zbyt pochopnie. Nie jesteśmy w San Francisco, a już na pewno nie na Harvardzie, czy nawet w twoim ukochanym Thompson. Tutaj jest dzicz. To surowa ziemia zamieszkała przez twardych ludzi. Jeśli myślisz, że znają słowo litość, to jesteś jeszcze większym romantycznym głupcem, niż sądziłem. - Pokręcił głową, chociaż profesor nie protestował. - Jakie widoki na przyszłość ma sierota,

-
który nie potrafi nawet czytać i pisać? Dziecko, za które nikt nie czuje się odpowiedzialny? Może zostać albo złodziejem, albo prezydentem Stanów Zjednoczonych. Tom wybrał kradzież. - Zaśmiał się, jakby powiedział właśnie doskonały dowcip.

- Mówił mi, że ma rodziców adopcyjnych - powiedział z powagą profesor.

- Owszem, miał - potwierdził Graves. - Ale zostali zabici. Przez bestie.

Dojechali do końca asfaltowej drogi. Doktor zdjął nogę z gazu i buick łagodnie prześliznął się między gałęziami. Najwyraźniej doktor dbał, by nie porysować lakieru swojego kosztownego samochodu.

- Tak jak wielu innych - dodał.

- Obawiam się, że nie nadażam... - powiedział profesor, choć domyślał się już od dłuższej chwili, co zaraz usłyszy.

Graves znów nieco przyspieszył, jadąc przez błotnisty plac w stronę swojego domku.

- Myślałeś, że cię zdradziłem, Mogensie - rzekł poważnie Jonathan i uczynił gniewny, choć zrezygnowany gest, na wypadek gdyby VanAndt chciał mu przerwać. - Nie zaprzeczaj. Widziałem, jak na mnie patrzyłeś. Uważasz, że zostawiłem cię na lodzie. Byłem twoim przyjacielem, potrzebowałeś mnie, a ja się ciebie wyparłem. Musisz mnie nienawidzić. Na twoim miejscu na pewno czułbym to samo.

Urwał, by zatrzymać samochód i otworzyć drzwi, czekając jednocześnie na odpowiedź Mogensa. On jednak uparcie milczał. Słowa Gravesa wystraszyły go, a zarazem zmieszały, lecz cokolwiek dawny kolega by wyznał, profesor nie potrafiłby mu przebaczyć. Nie potrafił i nie chciał.

- Być może stchórzyłem, ale na swój sposób próbowałem to odpokutować - ciągnął Jonathan.

Ł
Mogens wysiadł, nadal milcząc. Tymczasem głos Gravesa stał się ostrzejszy, krzykliwy.

Najwyraźniej uznał, że skoro VanAndt milczy, on musi się bronić, co dało profesorowi niejaką satysfakcję.

- Podczas gdy ty rozczulałeś się nad sobą, ja próbowałem rozwiązać zagadkę! Szukałem, Mogensie, i znalazłem rozwiązanie. - Rozgniewał się nagle i wskazał w stronę cmentarza. - Są nie tylko tutaj - powiedział jeszcze głośniejszym głosem. - Są wszędzie! Nie tylko na Harvardzie, ale na całym świecie. Tam, gdzie chowa się ludzie, są i one. Żywią się zmarłymi. Nasze cmentarze to ich jadalnie! Nie wiem jeszcze dokładnie, kim są i skąd pochodzą, ale myślę, że istnieją tak długo jak ludzkość. To sępy żerujące na ciałach zmarłych.

- Jesteś szalony - pokręcił głową VanAndt. Jednak ten protest nawet w jego własnych uszach nie zabrzmiał przekonująco.

- Ludzie wiedzą o nich. Zawsze wiedzieli. Żyją w naszych legendach, Mogensie. Wilkołaki, wampiry, ghule i zombi. - Graves pokręcił głową zirytowany. - Zawsze o tym wiedziałeś, nie chciałeś jednak przyjąć do wiadomości. Zaprzeczasz ich istnieniu, bo nie jesteś w stanie znieść myśli, że to prawda.

- To... to jakiś absurd - bąknął niepewnie profesor. Sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego zaprzeczał oczywistym faktom, ale Graves odpowiedział za niego:

- Nie chcesz się do tego przyznać, ponieważ umniejszyłoby to śmierć Janice. Ponieważ oznaczałoby to, że nie była ona niczym szczególnym.

- Przestań! - nakazał Mogens drżącym głosem.

Jonathan mówił jednak dalej. Jego głos stał się ostry, pobrzmiewała w nim nuta gorzkości.

- Zapewniam cię, że nie było to nic szczególnego. Tropię potwory od dziewięciu lat, od dnia, w którym opuściłem Harvard! Ty zaszyłeś się w dziurze jak ranione zwierzę, by lizać rany, a ja szukałem tych bestii, Mogensie! I znalazłem w wielu miejscach na całym świecie! Tutaj! W Europie! Na pustyniach Azji i w dżunglach Ameryki Południowej, na lodowych zboczach Himalajów, na sawannach Afryki! Są wszędzie, Mogensie, i zapewniam cię, że to, co przytrafiło się tobie, nie jest niczym nadzwyczajnym. Myślisz, że sam diabeł wypełził z piekieł, by cię ukarać? - Roześmiał się gniewnie.

- Bzdura, Mogensie! Nie jesteś aż tak ważny. Podobne rzeczy zdarzały się wcześniej i będą się powtarzać w przyszłości. Po prostu... - pstryknął palcami, a dźwięk ten z powodu skórzanych rękawiczek zabrzmiał dziwnie miękko i płynnie - ...tak.

- Przestań, Jonathanie! - jęknął profesor. - Nie wiesz, co mówisz! Co ty możesz wiedzieć o stracie?!

- Och, myślisz, że ja za to nie zapłaciłem? - podchwycił Graves. Rozgniewany uniósł ręce i pokazał Mogensowi rozcapierzone palce. W jego oczach pojawił się mroczny błysk. Mogens instynktownie zrobił pół kroku do tyłu. - Mylisz się! Zapłaciłem więcej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Widziałem rzeczy, których ludzkie oko nie powinno w ogóle oglądać. Zapłaciłem więcej, niż jakikolwiek inny człowiek. - Opuścił ręce i pokręcił głową. - Ale czy poddałem się? Nie! Nie zaszywałem się obrażony w kącie i nie złorzeczę na swój los, Mogensie. Ty również powinieneś wreszcie z tym skończyć!

- Dlaczego mi to robisz, Jonathanie? - jęknął VanAndt, dygocąc na całym ciele. Postać Gravesa zaczęła się rozmywać, gdy gorące łzy napłynęły mu do oczu. Nie próbował ich już nawet powstrzymać. - Dlaczego mi to robisz?

- Żebyś przestał się zadreć, Mogensie. - Głos doktora złagodniał. - Z całym szacunkiem dla Janice, dziewięć lat żałoby to już dosyć. Nie wyświadczysz jej tym przysługi.

h
-
'U-,
S-M.
¿»a
|Ł
li
' i t
Lfc

Jeśli chcesz coś dla niej zrobić, pomóż mi rozwiązać zagadkę potworów. Gdy świat dowie się o ich istnieniu, będziemy mogli je zwalczyć.

- Czy nie powiedziałeś sam przed chwilą, że ludzie wcale nie chcą o nich wiedzieć? - spytał profesor gorzko.

- Więc pomóż mi ich do tego zmusić! - nalegał Graves. - Jeśli udowodnimy światu, że one istnieją, nie będzie mógł dłużej zamykać oczu na prawdę!

Mogens milczał bardzo długo. Nie potrafił powiedzieć, o czym myśli i co się z nim dzieje. Coś w nim pękło. Ostatecznie. Jonathan miał rację. Każde jego słowo było prawdziwe. Właśnie tak, jak ranne zwierzę ukrywa się w zacisznym miejscu, by umrzeć, podobnie on zaszył się w zakurzonej piwnicy w Thompson, by pielęgnować swój ból. I tak spędził ostatnie dziewięć lat. Użalanie się nad sobą było jedynym bodźcem dającym mu siłę do dalszego życia. Teraz Graves odebrał mu nawet to. Nie pozostało nic więcej. VanAndt czuł się pusty.

- Czego oczekujesz ode mnie? - Wypowiedzenie nawet tych kilku słów kosztowało go wiele wysiłku. Tego najbardziej konkretnego fizycznego wysiłku. Poczul się tak zmęczony, że musiał wyciągnąć ręce i oprzeć je o samochód, żeby nie upaść.

- Oczekuję, że się zdecydujesz, Mogensie - odpowiedział Graves. - Teraz. Wiem, że to nie fair, że wszystko dzieje się za szybko i nie do końca masz wybór. Ale ja też nie mam wyboru. Jeśli powiesz „nie”, jeszcze dziś każe Tomowi odwieźć cię na dworzec. Szeryfem Wilsonem się nie przejmuj, załatwię to. Dam ci na bilet powrotny do Thompson czy dokądkolwiek indziej będziesz

chciał się udać. Dostaniesz też roczne wynagrodzenie. Albo zejdziesz ze mną na dół i uwolnimy w końcu biednego Toma od towarzystwa twojej uroczej gospodyni.

Znów zapadło na dłuższą chwilę krępujące milczenie, w końcu jednak Mogens odwrócił się demonstracyjnie w stronę namiotu na środku placu i wciągnął głośno powietrze.

- Chodźmy uratować Toma - powiedział. - A być może i resztę świata.

Mogens szybko uświadomił sobie, że przynajmniej w tym momencie ważniejsze było uratowanie Toma niż świata. Chociaż generator głośno buczał, usłyszeli głos panny Preussler, gdy tylko zeszli z drabiny. Graves nic nie powiedział, jednak Mogensowi nie umknęło, że zmarszczył czoło, gniewnie przyspieszając równocześnie kroku.

- O tym nie było mowy, do diabła! - warknął. - Miał jej pokazać tylko tunel!

- Jesteś zbyt surowy dla Toma. - Profesor z trudem powstrzymał się od złośliwego uśmiechu.

- Już ci mówiłem, gdy panna Preussler wbije sobie coś do głowy, to zazwyczaj dopnie swego.

Jonathan szedł coraz szybciej, tak że już po minucie dotarli do komnaty jasno oświetlonej światłem elektrycznym. W pierwszym momencie nie dostrzegli panny Preussler, chociaż słysząc ją było bardzo dobrze. Jej głos dochodził zza czarnej barki żałobnej.

- Mam nadzieję, że tajemne drzwi są... - Zaniepokoił się VanAndt.

- ...zamknięte, nie obawiaj się - wszedł mu w słowo Graves. Mogens miał wrażenie, że wypowiedział te słowa zbyt pewnym głosem, jakby nie chcąc dopuścić do siebie myśli,

' m

, iŁ

ń..«.; - - • s:*

że mogłoby być inaczej. Przyspieszył jeszcze bardziej, tak że chcąc dotrzymać doktorowi kroku, Mogens musiałby biec.

Okazało się, że niepotrzebnie się martwili, przynajmniej

0 wrota. Niewielka figurka kota, jak od wieków, stała na swoim miejscu we wnęce, a ukryte za nią drzwi były zamknięte. Nawet Mogens, który dobrze wiedział o ich istnieniu, nie dostrzegł niczego, prócz litego kamienia.

Tom wyglądał na wielce nieszczęśliwego. Odwrócił się do przybyłych w momencie, gdy przechodzili schyleni pod rufą barki. Na jego twarzy malowało się poczucie winy, ale

1 ulga. Ta ostatnia, przynajmniej w pierwszym momencie, zdawała się brać górę.

Spostrzegłszy na Mogensie mundur policyjny, wyraźnie się zdziwił.

- Thomasie, naprawdę, musisz wymyślić coś bardziej przekonującego, jeśli chcesz nabrać taką starą biedną kobietę jak ja - mówiła właśnie panna Preussler. - Nawet, jeśli... - Urwała w pół słowa, gdy odwróciła się i zobaczyła VanAndta wraz z Gravesem. - Profesorze! Doktorze! - zawołała uradowana. - Wrócili panowie! To wspaniale! - Zamilkła i zmarszczyła czoło. - Profesorze, czy objął pan nową posadę?

W pierwszym momencie Mogens nie zrozumiał pytania, po chwili zauważył jednak rozbawienie we wzroku panny Preussler. Istotnie, w spranym mundurze policyjnym musiał wyglądać śmiesznie. W dodatku zarówno nogawki, jak i rękawy były przykrótkie, za to o kilka numerów za szerokie.

- Moje własne ubranie nieco się zniszczyło - powiedział z zakłopotaniem. - Szeryf Wilson był tak miły i pożyczył mi swoje. Wydawało mi się, że stosowniej będzie wrócić w tym przebraniu niż owiniętym tylko w koc.

Słowa te miały zabrzmieć beztrąsko, ale nie wywołały chyba zamierzonego skutku, ponieważ uśmiech nagle znik-2 81 nął z oblicza gospodyni.

w

- Ale wszystko w porządku, prawda? - spytała zatroskana.

Graves uprzedził Mogensa.

- Oczywiście - powiedział pospiesznie. - Nasz drogi profesor był tylko trochę nieuważny.

Najwyraźniej zapomniał, że nie jesteśmy na uniwersytecie w Thompson ani w pani przytulnym domu, lecz w środku dziczy. Ale proszę się nie martwić, on sam nie ucierpiał tak, jak jego

garderoba. - Spojrzał VanAndtowi w oczy. W jego z pozoru złośliwym uśmiechu kryło się błaganie,

by pozostać przy tej wersji.

- Cieszę się, że nic się panu nie stało - powiedziała panna Preussler. - Miałam ogromne wyrzuty sumienia, że wygnałam pana w środku nocy do lasu tylko z powodu kota!
„Tylko z powodu kota?” - powtórzył Mogens w myślach, zaskoczony. Kleopatra była dla niej czymś więcej niż tylko kotem!

- Wszystko w porządku - odparł niepewnie. - Tylko że Kleopatra...

- Na pewno się znajdzie, proszę się nie martwić, panno Preussler - wtrącił Graves. - Tom później jej poszuka. Mam nadzieję, że podobało się pani to, co dotychczas pokazał. Na krótką chwilę oczy gospodyni przybrały nieufny wyraz. Mogens był przekonany, że zamiar Jonathana, by odwrócić jej uwagę od kota, spalił na panewce. Jednak panna Preussler po chwili przytaknęła ochoczo:

- Och, na pewno! Pana asystent jest doskonałym przewodnikiem. Ale też strasznym kpiarzem, muszę panu powiedzieć.

- Tak? - Graves uśmiechnął się, ale równocześnie zmroził Toma spojrzeniem. Gospodyni skinęła głową skwapliwie.

- Tak. Proszę sobie tylko wyobrazić, chciał mi wmówić, że ta pogańska świątynia liczy sobie ponad pięć tysięcy lat.

- Ale wszystko w porządku, prawda? - spytała zatroskana. Graves uprzedził Mogensa.

- Oczywiście - powiedział pospiesznie. - Nasz drogi profesor był tylko trochę nieuważny. Najwyraźniej zapomniał, że nie jesteśmy na uniwersytecie w Thompson ani w pani przytulnym domu, lecz w środku dziczy. Ale proszę się nie martwić, on sam nie ucierpiał tak, jak jego garderoba. - Spojrzał VanAndtowi w oczy. W jego z pozoru złośliwym uśmiechu kryło się błaganie, by pozostać przy tej wersji.

- Cieszę się, że nic się panu nie stało - powiedziała panna Preussler. - Miałam ogromne wyrzuty sumienia, że wygnałam pana w środku nocy do lasu tylko z powodu kota!
„Tylko z powodu kota?” - powtórzył Mogens w myślach, zaskoczony. Kleopatra była dla niej czymś więcej niż tylko kotem!

- Wszystko w porządku - odparł niepewnie. - Tylko że Kleopatra...

- Na pewno się znajdzie, proszę się nie martwić, panno Preussler - wtrącił Graves. - Tom później jej poszuka. Mam nadzieję, że podobało się pani to, co dotychczas pokazał. Na krótką chwilę oczy gospodyni przybrały nieufny wyraz. Mogens był przekonany, że zamiar Jonathana, by odwrócić jej uwagę od kota, spalił na panewce. Jednak panna Preussler po chwili przytaknęła ochoczo:

- Och, na pewno! Pana asystent jest doskonałym przewodnikiem. Ale też strasznym kpiarzem, muszę panu powiedzieć.

- Tak? - Graves uśmiechnął się, ale równocześnie zmroził Toma spojrzeniem. Gospodyni skinęła głową skwapliwie.

- Tak. Proszę sobie tylko wyobrazić, chciał mi wmówić, że ta pogańska świątynia liczy sobie ponad pięć tysięcy lat.

Był bardzo przekonujący, muszę przyznać, w końcu jednak zorientowałam się, że ze mnie zażartował. - Kokieteryjnie pogroziła Tomowi palcem. - Pięć tysięcy lat! Przecież każdy wie, że świat ma dopiero cztery tysiące!

Jonathan spojrzał na profesora zaskoczony. Ten próbował go ostrzec, żeby nie ciągnął tego tematu, ale Graves nie rozumiał jego min.

- Cztery tysiące lat, panno Preussler? - Pokręcił głową. - Obawiam się, że jest pani niesprawiedliwa w stosunku do biednego Toma. Wcale nie chciał pani nabrać. Nie skończyliśmy wprawdzie jeszcze naszych prac, ale bardzo możliwe, że świątynia ma więcej niż pięć tysięcy lat. Prawdopodobnie dwa razy tyle.

- Bujda! - Gospodyni rzuciła Gravesowi gniewne spojrzenie. - Świat nie ma ani dnia więcej niż cztery tysiące lat! Być może jest pan dobrym naukowcem, doktorze, ale wydaje mi się, że powinien pan poświęcić trochę więcej czasu na studiowanie Pisma.

- Pisma? - powtórzył Jonathan.
- Biblii, doktorze - wyjaśniła panna Preussler. - Gdyby pan ją czytał, wiedziałby pan, jakie banialuki pan wygaduje. Pastor Fredericks wszystko mi dokładnie wyjaśnił.
- Pastor Fredericks?

Mogens zauważył zdeorientowany wzrok Toma, jednak tylko odwrócił pospiesznie głowę, aby chłopak i Jonathan nie dostrzegli złośliwego uśmiechu, który zagościł na jego twarzy. Profesor doskonale wiedział, co teraz nastąpi.

- Pastor Fredericks! - potwierdziła bojowo gospodyni. - Wszystko jest zapisane, doktorze. Wystarczy prześledzić drzewa genealogiczne ludzi, którzy żyli w czasach naszego Zbawiciela, a otrzyma pan dokładnie taką liczbę. To bardzo prosty rachunek. Trzeba tylko wszystko uważnie przestudiować. - Jej spojrzenie i ton głosu były tryumfujące. -

Jak sędzę, również w pana pojęciu jest to czysto naukowa metoda.

Graves nie sprawiał wrażenia przekonanego, jednak był na tyle mądry, aby nie sprzeciwić się więcej pannie Preussler.

- Cóż, to bardzo... interesująca teoria - odparł z wahaniem. - Może powinniśmy w odpowiednim czasie uwzględnić ją w naszej pracy.

- A kiedy nastąpi odpowiedni czas, by uwzględnić w pracy Słowo Boże? - spytała uszczypliwie gospodyni.

- Z pewnością niedługo - zapewnił ją za doktora Mogens. - Teraz jednak mamy kilka innych spraw do omówienia. - Zdawał sobie sprawę, że tą wypowiedzią rozgniewa pannę Preussler, musiał jednak brutalnie urwać temat, by gospodyni nie uwikłała Gravesa w ciągnącą się godzinami dyskusję teologiczną. Instynkt łowcy nie pozwalał jej wprowadzić na zamęczenie takimi kwestiami VanAndta, dlatego z tym większym zapałem prowadziła działalność misyjną wśród innych. Może właśnie po to, by odpokutować zaniedbanie w stosunku do Mogensa.

- Inne sprawy? - spytała panna Preussler pospiesznie.

- Musimy omówić naszą dalszą pracę - wtrącił się Graves. Wskazał na profesora. - Teraz, gdy nieszczęsna panna Hyams i jej towarzysze nas opuścili, musimy sami zająć się dalszymi badaniami. Trzeba wszystko dobrze przemyśleć, starannie zaplanować i zorganizować. Z pewnością rozumie to pani.

Gospodyni zamrugnęła niepewnie.

- Profesorze, jeszcze pan nie powiedział doktorowi?

- Zmieniłem zdanie - rzucił szybko. - Zostaję. Przynajmniej jeszcze kilka dni.

- Cieszę się! - niemal wykrzyknęła panna Preussler. - Prawdę mówiąc, miałam już wyrzuty sumienia wobec

doktora Gravesa. Obawiałam się, że chce pan wyjechać z mojego powodu.

- Moja poprzednia decyzja nie miała z panią zupełnie nic wspólnego - zapewnił ją niezbyt grzecznie Mogens. - Zaważyły powody osobiste. Rozmówiłem się jednak z doktorem Gravesem, który przekonał mnie do pozostania. Nie mogę go teraz zostawić samego na lodzie, na pewno to pani rozumie.

- Czy odnaleziono już biedną pannę Hyams? - spytała panna Preussler.

- Jeszcze nie - pokręcił głową VanAndt.

- Szeryf Wilson to zdolny policjant - dodał Jonathan. - Jeśli doktor Hyams jeszcze żyje, na pewno ją znajdzie.

- Myślałam, że nie przepada pan za szeryfem.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, to prawda - powiedział Graves. - Nie oznacza to jednak, że wątpię w jego kompetencje. Wilson zrobi wszystko, co w jego mocy. - Wciągnął głośno powietrze.

- Ale teraz musimy już iść. Później Tom chętnie panią jeszcze oprowadzi, lecz teraz czas nas nagli.

- Oczywiście. - Panna Preussler poczuła się nieco urażona, jednak starała się nie dać tego po sobie poznać.

- Tom odprowadzi panią - ciągnął doktor. - Profesor VanAndt i ja mamy kilka spraw do omówienia. Wrócimy najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Oczywiście - powtórzyła chłodno gospodyni. - Thomasie?

Jonathan bez słowa patrzył za odchodzącymi, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Potem odwrócił się znów do Mogensa i pokręcił głową.

- Cofam wszystko, co o tobie powiedziałem. Nie zaszyłeś się w norze. Byłeś w samym piekle.
- Panna Preussler posiada też zalety - mruknął profesor.
- Tylko ukryte? - podsunął Graves z drwiną w głosie.

kir-;

Mogens zignorował go.

- Musimy ją stąd odesłać - powiedział. - Nie chcę, żeby coś jej się stało.
- Dlaczego tak ci zależy na tej kobiecie? - spytał doktor zdeorientowany. - Z tego co widzę, nie jesteś jej nic winien.
- Być może - odparł profesor. - Mimo wszystko nie wybaczyłbym sobie, jeśli jej się coś stało.

Graves znów milczał dłuższą chwilę, patrząc podejrzliwie na swojego rozmówcę.

- Chodziło ci tylko o to, by uwolnić się od panny Preussler, czy rzeczywiście chcesz ze mną omówić jakąś sprawę? - zapytał VanAndt.

Jonathan podszedł do wnęki i przekręcił głowę figurki kota. Kamienna płyta odsunęła się na bok ze zgrzytem. Mogens oczekiwał, że w korytarzu będzie panował gęsty mrok, ale ku jego zaskoczeniu z przejścia biło światło.

- Poprosiłem Toma, żeby zainstalował kilka dodatkowych lamp - wyjaśnił Graves.
- Po co?
- Odniosłem wrażenie, że nie lubisz ciemności - odpowiedział doktor. - Teraz jest też bezpieczniej. Tom starannie zabezpieczył tunel, bez obaw. Ale na ziemi leży jeszcze trochę gruzu. Więc patrz pod nogi.

- Nie masz się czego obawiać - zapewnił go Mogens. Spojrzał na Gravesa rozgniewany. - Nie masz się czego obawiać, bo tam nie pójde.

- Myślałem, że doszliśmy do porozumienia - powiedział zaskoczony Jonathan.
- Tak, zgodziłem się ci pomóc - potwierdził profesor, wskazując znacząco głową w stronę korytarza. - Ale nie przy tym.

Doktor wyglądał teraz na jeszcze bardziej zdeorientowanego.

~ Ot i -jSfi W *

MS1 S

i\

- Ale... - Urwał, pokręcił lekko głową i zaraz potem nią skinął. - Och, teraz rozumiem! Ale obawiam się, że jedno nie jest możliwe bez drugiego. Najwyraźniej nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Sądzę, że jesteśmy blisko rozwiązania zagadki. Potrzebujemy dowodów, Mogensie. - Wskazał ręką w stronę tajemnego przejścia. - One są właśnie tam. A ty jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc je odszukać.

- Nie - upierał się VanAndt.

Graves zawrzał z gniewu. Opanował się jednak, choć kosztowało go to sporo wysiłku.

- Mam nadzieję, że przemyślisz raz jeszcze swoją decyzję - rzekł chłodno. '
- Wątpię - odparł Mogens. - A teraz byłbym ci wdzięczny, gdybyśmy już stąd poszli. Chcę w końcu zmienić to żalosne ubranie.

Mogens przywykł do obfitych śniadań i kolacji, które Tom zanosił każdemu do jego kwatery. Jednak tego ranka na cały posiłek VanAndta składały się tylko dwie filiżanki letniego, gorzkiego wywaru, który Wilson błędnie nazywał kawą. Nic dziwnego, że już koło południa profesorowi burczało w brzuchu, a głód pogorszył mu humor. Siedział właśnie nad książkami, gdy z zewnątrz dobiegło go metaliczne pobrzękiwanie, jakby uderzenie w gong.

VanAndt uniósł głowę znad lektury, by spojrzeć w stronę drzwi. Nie potrafił sprecyzować źródła dźwięku. Rozdrażniło go nie to, że ktoś go rozprasza. Był zły, bo siedział od dobrych dwóch godzin nad książkami i na próżno próbo- _Z88 wał doszukać się sensu zawartych w nich liter i rysunków.

Oczywiście rozumiał same słowa. Potrafił również ułożyć je w zdania i wyjaśnić ich znaczenie, wymykała mu się jednak głębsza treść tkwiąca w pozornie niewinnych sylabach pełnego grozy przesłania. Mroczna tajemnica, którą wcześniej rozwikłał, zniknęła bez śladu. Przestał rozumieć te książki.

Może dlatego, że już się w nie nie wsłuchiwał.

Mogens nie zdecydował się jeszcze do końca, ale z każdą chwilą był bardziej przekonany, że źle zrobił, słuchając Gravesa i zostając tutaj. Argumenty doktora opierały się na żelaznej logice. Wszystko przemawiało za tym, by podjąć się rozwiązania zagadki strasznych potworów, które zabiły Janice i złamały życie profesorowi. Mimo to cichy wewnętrzny głos podpowiadał mu uporczywie, że powinien wyjechać. Miał wrażenie, że Jonathan nie powiedział mu całej prawdy i że istniała inna, jeszcze straszniejsza tajemnica. Odnosił wrażenie, że jest w niebezpieczeństwie, które rosło z każdą chwilą. A nawet nie wrażenie, lecz absolutna pewność niewymagająca uzasadnienia. Coś czyhało tam na dole za zamkniętymi wrotami.

Z drugiej strony Mogens wiedział, że nie potrafił obiektywnie spojrzeć na Gravesa. Kolega zaskoczył go porannym wyznaniem, jednak Mogens z każdą chwilą nabierał do niego coraz większej nieufności bez względu na to, czy uważał postępowanie doktora za uczciwe, czy nie. Równocześnie bał się nadejścia chwili, w której będzie musiał przyznać, że był w błędzie. W jednym punkcie Graves się pomylił - przez ostatnie dziewięć lat żył nie tylko bólem po utracie Janice, ale w równym stopniu nienawiścią do Jonathana.

Ponownie rozległ się brzęk. Tym razem brzmiał, jakby ktoś uderzał ze zniecierpliwieniem. Mogens rzucił ostatnie spojrzenie na otwarty foliał. Nie potrafił już nawet złożyć liter w sensowne zdanie. Jawiły mu się jak łańcuch rozmytych znaków i symboli. Gdy zbyt długo na nie patrzył, odnosił wrażenie, że się poruszają. W końcu zamknął książkę. Może zbyt dużo od siebie wymagał. Przecież dowiedział się dziś o sprawach, które nie tylko rzuciły nowe światło na ostatnie dziewięć lat jego życia, ale i zburzyły dotychczasowy obraz świata uczonego. Czy miał nad tym wszystkim przejść do porządku dziennego, jakby nic się nie stało?

Odpowiedź zdecydowanie brzmiała „tak”, ale jednocześnie była tak absurdalna, że pokręcił tylko głową. Odstawił książkę na miejsce i ruszył w kierunku drzwi.

Pobrzękiwanie właśnie rozległo się po raz trzeci. Mogens otworzył drzwi i przysłonił oczy dłonią. Po kilimu godzinach wyteżonego czytania w półmroku światło słoneczne mocno go raziło. Jego oczom ukazał się jednak widok tyleż zdumiewający, co komiczny. Panna Preussler w fartuchu i czepku stała na schodach swojego domku. W prawej dłoni trzymała pokaźnych rozmiarów pokrywkę od garnka, w drugiej dużą chochlę, którą wesoło dzwoniła.

Hałas zaciekawił nie tylko Mogensa. Prawie w tym samym momencie z domu wyszedł Graves. Nawet z tej odległości wydał się VanAndtowi poirytowany.

- Co tu się dzieje?! - zawołał. - Co ma znaczyć ten piekielny hałas, panno Preussler?

Gospodyni profesora jeszcze dwa razy uderzyła wesoło w swój prowizoryczny gong.

- Jedzenie gotowe - oznajmiła. - Gdzie się panowie po-dziewają?

- Jedzenie? - powtórzył Graves, jakby pierwszy raz słyszał to słowo.

- Jest pora obiadu, doktorze - rzekła z godnością panna Preussler. - Proszę przyjść, zanim wystygnie.

Zniknęła w środku, zatraskując drzwi za sobą. Jonathan spojrział bezradnie na Mogensa, ten jednak tylko wzruszył ramionami i wszedł z powrotem do domu, by umyć ręce i założyć świeżą koszulę. Ostatnią, jaką miał w walizce. Znów zaburczało mu w brzuchu, ale nawet się uśmiechnął. Zaproszenie swojej gospodyni przyjąłby tak czy owak. Wiedział, że sprzeciwianie się jej w takim wypadku byłoby nader ryzykowną decyzją. Rzucił jeszcze okiem w poplamione lustro wiszące nad umywalką, by upewnić się, że jego wygląd sprostą surowym wymaganiom panny Preussler.

Widok własnej twarzy przestraszył go. Zadrapania i liczne rysy na lustrze sprawiły, że patrzył na niego ktoś obcy. Nie tyle nawet inny człowiek, co inna istota tylko z pozoru przypominająca człowieka. Mogensowi mimowolnie przyszła na myśl poranna opowieść Gravesa o rzeczach, których ludzkie oko nie powinno oglądać. Serce zaczęło mu bić szybciej. Nawet nie był zdziwiony, gdy cienie za jego odbiciem zbudziły się do życia.

Profesor świadomie odpędził wizję. Opuścił dom szybkim krokiem. Gdy przechodził obok miejsca, w którym lustro ukazało mu płaszące cienie, poczuł lodowaty powiew. Po plecach VanAndta przeszedł lekki dreszcz, zaraz jednak skarcił się w myślach. To, co go spotkało tej nocy i poranka, nie upoważniało jeszcze fantazji do płatania głupich żartów. '

Mimo że się spieszył, przyszedł na obiad ostatni. Tom siedział już przy stole, natomiast Graves stał dwa kroki od niego. Wyglądał bezradnie, żeby nie powiedzieć - na kompletnie zagubionego. Podobnie jak Tom miał na sobie to samo ubranie, co rano. Mogens jedyny przebrał się do posiłku, co panna Preussler skomentowała pełnym wdzięczności uśmiechem. Mimo to spytała profilaktycznie: - Umył pan ręce, profesorze, prawda? VanAndtowi nie umknęło skrywane rozbawienie w oczach gospodyni, postanowił jednak podjąć grę i posłusznie wystawił ręce, by mogła skontrolować stan paznokci.

. -'i i l A,-i

'W -

m

i A :

- i

- No, dobrze - mruknęła zadowolona. - Nie wiadomo, kto wcześniej dotykał tych wszystkich starych książek i jakie zarazki mogą na nich czyhać! - Wskazała stół. - Proszę siadać, profesorze. A co z panem, doktorze?

Mogens omal nie roześmiał się głośno, gdy zobaczył, że Graves automatycznie spojrzał na swoje czarne rękawiczki i poratował się wymuszonym uśmiechem.

- Panno Preussler, nie jadamy tu właściwie obiadów.

- Tego się właśnie obawiałam - pokręciła głową gospodyni - ale od dziś koniec z męskim gospodarowaniem. Najwyższy czas, żeby kobieca ręka zadbała o wszystko. Nie wie pan, że regularne posiłki są bardzo ważne, doktorze? >

- Z całym szacunkiem dla pani troski, panno Preussler, ale na takie rzeczy nie mamy czasu.

- Bzdura - odpowiedziała ostro. - Jedzenie i picie karmią zarówno ciało, jak i ducha. Z pustym żołądkiem źle się pracuje, czyż nie mam racji? - Zirytowana wykonała zamaszty gest w stronę stołu. - Proszę wreszcie usiąść i zacząć jeść. Czy może chce mi pan sprawić przykrość?

Profesor czuł, że cierpliwość Gravesa powoli się kończy. VanAndt przysunął sobie talerz, wziął sztucce, wreszcie westchnął po chwili mściwego wahania:

- Ale panno Preussler! Zapomniała pani, że doktor Graves może spożywać tylko wybrane artykuły?

- Och! - zmieszana się gospodyni, ale tylko na chwilę. - Jeśli poda mi pan składniki pańskiej diety, chętnie zajmę się również posiłkami dla pana.

- Nie trzeba, dziękuję. - Graves chłodno skinął jej głową. - Wracam do pracy i będę wdzięczny, jeśli wy również się pospieszycie, moi panowie.

Wyszedł. Tom chciał wstać i podążyć za nim, zastygł jednak w pół ruchu, gdy jego oczy spotkały mroźne spoj- " * 292 rzenie panny Preussler.

- Broń Boże nie przełykaj za szybko, Thomasie - ostrzegła go surowo. - Zbyt pospiesznie zjedzony posiłek może bardziej zaszkodzić niż jego brak.

Chłopak wyrócił oczami, ale był na tyle roztropany, aby się nie sprzeciwić. Mogens uśmiechnął się, korzystając z tego, że gospodyni nie patrzyła w jego stronę.

Posiłek wart był zniesienia całego tego rytuału panny Preussler. Profesor zawsze cenił swoją gospodynię za świetną kuchnię, dziś jednak przeszła samą siebie. Zjadł całą porcję, po czym dołożył sobie następną. Chętnie wziąłby również drugą repete, gdyby nie zauważył rosnącego

zakłopotania Toma. Chłopak niechętnie pogrzebał w talerzu i mało co zjadł.

- Tom, nie miej mi za złe... - powiedział Mogens z pełnymi ustami. - Cenię twoje zdolności kulinarne, ale kuchnia panny Preussler jest naprawdę wyjątkowa.

Urażony chłopak zmarszczył czoło. Profesor poprzestał ostatecznie na dwóch porcjach, na koniec wypił jeszcze filiżankę mocnej kawy. Wreszcie wstał od stołu.

- Obiad był wyśmienity, panno Preussler. Teraz muszę jednak panią pożegnać. Obawiam się, że doktor Graves ma rację. Mamy naprawdę dużo pracy.

- Oczywiście, proszę iść, profesorze - odparła gospodyni. Rozejrzała się ostentacyjnie dookoła i dodała, wzdychając: - Ja również mam tu sporo roboty.

VanAndt zastanawiał się, co miała na myśli. Oprócz śladów po przyrządzeniu posiłku w domu było tak czysto, że można by dosłownie jeść z podłogi. Na wszelki wypadek nie poruszył jednak tego tematu. W odpowiedzi usłyszałby na pewno uszczypliwą uwagę albo wręcz cały wykład na temat nieprzystawalności pojęć „mężczyzna” i „porządek”. Skinął na Toma i wyszli razem.

Chłopak chciał się oddalić do swojej kwatery, ale Mogens zatrzymał go szybkim ruchem.

- Zaczekaj chwilę, Tom.

- Tak? - Stał posłusznie, choć z wyraźną niechęcią, i spojrzał z wyrzutem na dłoń, która go chwyciła. Mogens cofnął ją pospiesznie.

- Tom, nie bierz do siebie tego, co wcześniej powiedziałem. Ja najbardziej z nas wszystkich odetchnąłbym z ulgą, gdyby wreszcie stąd wyjechała. Ale wierz mi, lepiej nie wprowadzać panny Preussler w zły nastrój.

Tom skinął głową, ale nic nie odpowiedział. W pierwszej chwili jego zacięta mina wydała się Mogensowi dziecinna, ale uświadomił sobie, że ten chłopak właściwie był jeszcze dzieckiem.

- Musimy ją stąd odesłać - stwierdził. - Najlepiej jeszcze dzisiaj.

- To niemożliwe - odpowiedział Tom. - Szeryf Wilson zabronił komukolwiek opuszczać obóz, do czasu aż sprawa wypadku zostanie wyjaśniona.

- Ale przecież została już wyjaśniona. - Profesor udał zdziwionego. - Czy może nie mam racji?

Zagryzając wargę, chłopak uporczywie unikał jego wzroku. Milczał.

- To znaczy dla szeryfa sprawa powinna być już jasna - ciągnął Mogens. - Mercer był pijany.

Wszyscy wiedzą, że praktycznie zawsze był pijany. Do tego ta okropna pogoda. Przy tak gwałtownej burzy nawet trzeźwy kierowca musiałby bardzo uważać, by nie zjechać z drogi. Nic dziwnego, że Mercer stracił panowanie nad kierownicą.

- Tak właśnie musiało być - potwierdził Tom, nadal nie patrząc na profesora.

- Przynajmniej dla Wilsona.

Chłopak rzucił VanAndtowi wystraszone spojrzenie i znów pospiesznie opuścił wzrok.

- Tyle że tym razem Mercer wcale nie był pijany - ciągnął Mogens. - Poza tym odjechali przynajmniej godzinę przed

burzą, a droga do tego miejsca, gdzie mieli wypadek, zajmuje najwyżej pięć minut. - Mówiąc to, cały czas uważnie przyglądał się chłopcu, ten jednak nadal patrzył w pustkę.

- Graves o wszystkim mi opowiedział - powiedział VanAndt już bez ogródek.

Tom drgnął przestraszony, ale profesor pokręcił uspokajająco głową i dodał:

- Nie jestem na ciebie zły. Na pewno nie okłamałeś mnie dobrowolnie.

- Doktor Graves zażądał tego ode mnie - powiedział cicho chłopak. Wciąż unikał wzroku Mogensa, choć teraz już z innego powodu.

- Wiem - odpowiedział profesor. - O tym również mi powiedział. - Uśmiechnął się, by rozluźnić nieco atmosferę. - Muszę powiedzieć, że twoje wyjaśnienie było bardzo przekonujące. Rzeczywiście ci uwierzyłem.

- To nie ja je wymyśliłem! - Chłopak na moment spojrzał mu w oczy.

- Graves?

Tom skinął głową, a Mogens poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Mimo wszystko byłeś dobry - powiedział po krótkiej chwili bez przekonania. - Powtórzę jeszcze raz, nie mam do ciebie żalu. Znam doktora Gravesa nieco dłużej niż ty i wiem, że potrafi

być bardzo... przekonywający, gdy usilnie do czegoś dąży. - Wskazał głową na drugi koniec obozu.

-Chodź, przejdziemy się kawałek.

- Doktor Graves... - zaczął niepewnie chłopak.

- O niczym się nie dowie - przerwał mu VanAndt. -Chcę, żebyś mi trochę o sobie opowiedział.

- O mnie? - Tom wyglądał na przestraszonego.

Mogens skinął głową i zaczął iść powoli, więc chłopak,

chcąc nie chcąc, musiał podążyć za nim, by mu odpowiedzieć.

i> ''

- Doktor Graves opowiedział mi, jak się poznaliście -mruknął profesor.

Tym razem Tom nie tyle się przestraszył, co wpadł w istną panikę.

- Doktor?...

- Te... potwory zabiły twoich rodziców, prawda? - spytał Mogens prędko. - To znaczy rodziców adopcyjnych - poprawił się.

- Oni byli moimi rodzicami - odparł Tom. Wyglądał na zdezorientowanego, roztrzęsionego, jakby spodziewał się zupełnie innego przebiegu tej rozmowy. - Przynajmniej dla mnie.

- Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz - powiedział Mogens. - Potrafię sobie wyobrazić, jakie to dla ciebie trudne.

Przeszli jakieś pięć kroków, zanim Tom zaczął mówić. Głos miał zmieniony. Patrzył to na Mogensa, to na barierę z gęstych krzaków, do której powoli zmierzali, ale jego oczy zdawały się widzieć coś zupełnie innego.

- Nikt mi nie wierzył. Widziałem je i opowiadałem o nich wszystkim, ale nikt mi nie wierzył.

- VanAndt nie wiedział, czy był to gorzki śmiech, czy tłumiony szloch, który ścisnął chłopca za gardło na samo wspomnienie. Miał wyrzuty, że sprawia młodemu człowiekowi ból, ale czuł, że musi dowiedzieć się wszystkiego, nie tylko tego, co zechce mu zdradzić Graves.

- Opowiedz mi o tym, Tom - poprosił. - Przerwiesz, jeśli będzie to dla ciebie zbyt trudne...

Tak jakby można było przerwać takie długo skrywane wyznanie! Mogens miał duże doświadczenie w opowiadaniu własnych, bolesnych wspomnień. Wiedział, że gdy już raz człowiek zdobędzie się na opowiedzenie swojej historii, nie jest w stanie zamilknąć, póki nie skończy.

- Zmarła? - upewnił się Mogens.

- Zaraz pierwszej zimy. Na zapalenie płuc. Nawet jej dobrze nie poznałem. Była wiecznie chora. Gdy nie płakała, spała. A pierwszej zimy zmarła. Ojciec pochował ją na cmentarzu. Ale to była wyjątkowo sroga zima, ziemia twarda jak skała i nie dało się wykopać grobu.

- Złożył jej ciało w starym grobie - domyślił się profesor.

- Grób był niczyj - powiedział Tom pospiesznie, jakby broniąc ojca przed niewypowiedzianym oskarżeniem. -Stał pusty od co najmniej pół wieku i nikt się o niego nie troszczył. Zresztą miał być tylko tymczasowym grobem dla siostry, dopóki rodzice nie uzbierają pieniędzy na prawdziwy pogrzeb i póki nie nadejdzie wiosna, a z nią odwilż...

- Mieszkaliśmy bardzo niedaleko stąd - zaczął Tom. -Po drugiej stronie cmentarza. Moi rodzice mieli tam małe gospodarstwo. Dziś już go nie ma. Podupadło, ponieważ nikt w nim potem nie mieszkał, aż któregoś dnia wybuchł pożar i spłonęło, a zgliszcza pochłonęło bagno. Ale gdy tu mieszkaliśmy, dom był w bardzo dobrym stanie. - Wskazał ręką na wschód. Mogens zastanawiał się, co można uprawiać na tak nieurodzajnej glebie, ale nie przerywał. - Mój ojciec dorabiał, pilnując starego cmentarza. Nikt się nie pchał do tego zajęcia. Ludzie opowiadali dziwne historie związane z cmentarzem. Nie płacili dużo, ale potrzebowaliśmy jakichkolwiek pieniędzy.

Gospodarstwo niewiele ich przynosiło. A było przecież jeszcze niemowlę...

VanAndt wyminął kolejną kałużę po wczorajszym deszczu. By pomóc chłopakowi, podchwycił wątek:

- Niemowlę?

- Siostra - potwierdził Tom. - Miałem osiem lat, gdy przyszła na świat. - Uśmiechnął się

nieśmiało. - Albo dziewięć. Od początku była chora i nie dożyła pierwszych urodzin.

- Już dobrze - przerwał mu VanAndt. - Rozumiem. Ale co miałeś na myśli, mówiąc, że grób stał pusty? Groby przecież nigdy nie są puste. Czy to było mauzoleum?

- Tak - odpowiedział Tom. - Puste mauzoleum. Dlatego właśnie ojciec tam ją pochował.

- Ale gdy chciał ją zabrać, nie odnalazł już zwłok - domyślił się Mogens.

Tom skinął głową. Profesor chciał zadać kolejne pytanie, ale słowa uwieźły mu w gardle. Jeszcze przed chwilą zastanawiał się, czy może prosić Toma o opowiedzenie

o strasznych wydarzeniach z przeszłości, a tymczasem jemu samemu przykre wspomnienia stanęły przed oczyma.

Opuścili obóz i szli teraz wzdłuż gęstego żywopłotu, za którym był mur cmentarza. VanAndt w końcu zebrał siły

1 spytał:

- I co było dalej?

- Przyjechał szeryf Wilson, a nawet detektyw z miasta - odparł Tom. - Przeszukali cały cmentarz, ale nic nie znaleźli.

Jak dobrze znał tę historię!

„Bo i nie mogli nic znaleźć” - pomyślał profesor.

- Wtedy jeszcze o niczym nie wiedziałem - ciągnął chłopak. Jego głos stał się szorstki, pobrzmiwała w nim nuta zaciętego gniewu skierowanego przeciw wszystkiemu i wszystkim, włącznie z samym sobą. - Nikt nie wierzył mojemu ojcu, nawet ja sam.

- Ale mówił prawdę.

- Od tego czasu czatował każdej nocy - mówił dalej Tom cichym, beznamietnym głosem. - Codziennie, tygodniami, miesiącami... Ludzie z miasta mówili, że zwariował.

-A ty?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Którejś nocy usłyszałem strzały. Dwa czy trzy, nie pamiętam dokładnie. Matkę i mnie ogarnął strach. Chwilę

później strzał się powtórzył, tym razem pojedynczy. I jeszcze pamiętam krzyk mojego ojca. Nigdy wcześniej nie słyszałem tak rozdzierającego krzyku. Czekałem na ponowny strzał, ale zapadła głucha cisza. Więcej już nie strzelił.

Mogens aż poczuł dreszcz, słysząc, jak spokojny stał się teraz głos Toma. Nie było już w jego słowach bólu i gniewu, jakby opowiadał o nieszczęściu, które spotkało kogoś innego.

- Moja matka bardzo się bała. Starła się to ukryć, ale ja to widziałem. Wyjęła z szafki drugą strzelbę myśliwską ojca, a mnie kazała iść na strych i się schować. Nie chciałem tego zrobić, chciałem jej bronić, ale w końcu usłuchałem.

„I prawdopodobnie tego właśnie nigdy sobie nie wybaczył - pomyślał profesor. - Dziewięcioletni chłopiec, który słyszał, jak umiera jego ojciec i nie był w stanie uratować matki. Jak mógł sobie to wybaczyć?”

- A potem przyszły - ciągnął Tom. - Nic nie widziałem. W deskach podłogi było kilka szczelin, ale niczego nie mogłem dojrzeć, a matka zamknęła mnie na klucz. Usłyszałem z dołu strzały i... te ciężkie, człapiące kroki. A potem ten straszny oddech.

- Nie widziałeś ich?

- W końcu udało mi się otworzyć klapę. Mojej matki nie było, wszystko tonęło we krwi. I wtedy ujrzałem go. Tylko przez chwilę. Zobaczyłem cień. To nie był cień człowieka.

- A twoja matka? - spytał VanAndt. Głupie pytanie, zupełnie zbędne, ale czuł, że Tom był bliski utraty panowania nad sobą. Na nowo przeżywał tę chwilę, gdy jako dziewięcioletek pojął, że nie może nic zrobić, tylko bezradnie patrzeć, jak potwór ciągnie po ziemi jego matkę. Przez chwilę zdawało się Mogensowi, że rozpaczliwa próba uspokojenia Toma spełznie na niczym, jednak nagle obojętność z powrotem zagościła na twarzy chłopaka.

ł

-ja.«.

i O

»--!'■łT; -l

uwm i

w

r.

- Nigdy jej nie odnaleziono. Ojca również.

-l nikt ci nie wierzył - powiedział Mogens cicho. -Opowiadałeś o tym każdemu, ale nikt ci nie wierzył. Nawet nie chcieli cię słuchać, czy mam rację?

Tom pokręcił głową bez słowa.

- Szeryf Wilson pozwolił mi na jakiś czas zamieszkać u siebie. Stawiał mi wciąż te same pytania. Koniecznie chciał ustalić, co wydarzyło się naprawdę. W końcu doszli do wniosku, że moich rodziców porwały dzikie zwierzęta.

- Aż tak dalecy od prawdy wcale nie byli - zauważył profesor.

- To nie są zwierzęta! - odparł chłopak gniewnie. - Nie wiem, czym są, ale na pewno to nie zwierzęta! - Głos mu drżał, oczy przybrały wyraz, który przyprawił Mogensa o dreszcz. Tak młody człowiek nie powinien odczuwać równie głębokiej nienawiści. I to właśnie było największą krzywdą, jaką wyrządziły mu podziemne potwory. - Potem przyjechali ludzie z miasta, którzy powtórzyli dochodzenie. Oni również zadawali wiele pytań.

- Ale nikt ci nie wierzył - powtórzył cicho VanAndt. Przestraszył się, gdy sobie uświadomił, jak gorzko zabrzmiały jego słowa. Naraz wrócił do własnej przeszłości, a bezsilny ból tego sieroty stał się jego własnym. Jak dobrze rozumiał Toma! Zastanawiał się, ile ludzkich istnień zostało zgładzonych w podobny sposób. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co naprawdę znaczy współczucie. Dwóch ludzi dzielących to samo cierpienie...

- Zabrali mnie ze sobą do San Francisco - ciągnął Tom. - Trafiłem do sierocińca, ale ciągle z niego uciekałem. Po trzeciej czy czwartej ucieczce szeryf zdecydował, że mogę tu zostać.

Mogens spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Ale wtedy mogłeś mieć najwyżej dziesięć lat.

-# m

r 'W!!!

! <-'

M

""-firry

- Wystarczająco dużo, by o siebie zadbać - odpowiedział chłopak przekornym tonem. - Zawsze znajdzie się praca dla kogoś, kto nie boi się brudzić rąk.

„Albo ukraść to czy owo” - dodał VanAndt w duchu. Pomyślał to jednak dobrodusznie i ciepło, z sympatią, która jego samego zaskoczyła. Co więcej, musiał się powstrzymać, by nie wziąć Toma w ramiona i nie przycisnąć do serca. Jednak chłopak mógłby źle zinterpretować ten gest, a przede wszystkim profesor dążył do zrozumienia, że potrzebuje pocieszenia nie mniej niż Tom. Chrząknął kilka razy, by pokryć zmieszanie. Nieświadomie cofnął się dwa kroki, by zwiększyć dystans.

- I dlatego pilnujesz teraz cmentarza...

Tom skinął głową. Doszli do rozjeżdżonych kolein, które prowadziły z obozu w stronę cmentarza. Brudna biel muru prześwitywała przez liście jak kość z zepsutego mięsa.

- Szeryf Wilson powierzył mi posadę mojego ojca. Twierdził, że chce mi dać szansę na

zarobek, poza tym nikt inny nie wzięby tej roboty. Szeryf wie, profesorze. Wie tak jak wszyscy inni. Nie ma przecież potrzeby strzec pustego cmentarza, na którym nie grzebie się ludzi od dwudziestu lat. Jest tak, jak powiedział doktor Graves. Wszyscy wiedzą, ale woleliby nie wiedzieć i nie chcą, żeby im ktoś o tym przypominał. - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Czeka tylko, aż przyjdą również po mnie.

Mogens znów przestraszył się goryczy pobrzmiewającej w głosie Toma. Może miał rację. Może te wszystkie prastare, mroczne historie nie bez powodu towarzyszyły cmentarzom, nie tylko tutaj, ale wszędzie na świecie. Być może ludzie gdzieś w głębi duszy od dawna wiedzieli o panach nocy i nie przypadkiem aż roi się od cmentarnych duchów w legendach i opowieściach grozy. Czy najbardziej przekonujące kłamstwa to właśnie nie te, które zasłaniają się prawdą?

I

V

W jednej chwili zdał sobie sprawę, jak ogromnym wyzwaniem było zadanie, którego podjęli się Graves, Tom i on sam. Przez całe pokolenia ludzie, wiedząc o mrocznej tajemnicy, wsadzali ją między bajki, legendy i mity. Jakich teraz potrzebują dowodów, by uznać za prawdę to, czym od tysięcy lat straszili swoje dzieci?

- Może szeryf chciał ci tylko wyświadczyć przysługę - powiedział bez przekonania VanAndt. Tom spojrzał na niego niemal ze wzgardą.

- Być może.

Odwrócił się gwałtownie, ale Mogens jeszcze raz zatrzymał chłopaka, tym razem tylko gestem. ,

- Pokażesz mi go? - spytał.

- Ale co?

- Ten grób. Mauzoleum, w którym twoja siostra...

Urwał w połowie zdania, ale Tom zrozumiał i skinął głową. Nie ruszył się jednak z miejsca.

- Jest pan pewien, profesorze, że chce pan tam pójść?

- To ja raczej powinienem spytać, czy ty na pewno chcesz? - odparł VanAndt łagodnie.

Jego taktyka poskutkowałą. Połechtą dumę chłopaka i najwyraźniej tędy właśnie prowadziła droga do sukcesu. Tom obrzucił go gniewnym spojrzeniem, odwrócił się raptownie i odgarnął cienkie gałązki z taką złością, że Mogens musiał zasłonić się rękoma, by nie smagneły go w twarz.

Profesor nie był nawet w połowie tak pewny siebie, jak okazywał to przed Tomem. Chłopak przejrzał go na wylot, pytając, czy naprawdę chce iść na cmentarz. Wcale nie był przekonany, więcej nawet, panicznie się bał demonów przeszłości - i tych Toma, i swoich własnych. Im bliżej byli muru, tym mocniej biło mu serce. Musiał jednak dokończyć, co rozpoczął. Wiedział, że jeśli teraz zrezygnuje, nigdy więcej nie zbierze się na odwagę, by tu wrócić. Powtarzał sobie, że można opanować każdy strach, raz zmusiwszy się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

Mimo to pozostawał coraz bardziej w tyle za Tomem. Chłopak w końcu zatrzymał się, by zaczekać, aż Mogens przejdzie przez mur. Gramolił się długo, za długo. Nawet jak na uczonego, który całe życie więcej uwagi poświęcał wysiłkowi umysłowemu niż fizycznemu.

Nawet za dnia cmentarz przedstawiał niepokojący widok, może nawet bardziej niż w nocy. Wtedy każdy cień ożywał, ale równocześnie mrok skrywał wszelkie kontury, zaś światło dzienne odsłaniało bezlitośnie ruinę powoli zapadającego się cmentarza. Większość nagrobków była po-przechylana, niektóre leżały całkiem przewrócone lub do połowy pograżone w ziemi - to jednak profesor zauważył już wcześniej. Teraz zaniepokoił go zwłaszcza grunt - nieprzyjemnie miękkie bagno, ale zarazem dziwnie sprężyste. Idąc po nim, miało się wrażenie stąpania po jakiejś napiętej błonie, która w każdej chwili może pęknąć.

- Tam, z tyłu. - Tom wskazał na środek cmentarza.

Mogens skinął głową. Chłopak ruszył pierwszy, znów tak szybko, że profesor musiał się spieszyć, by nie stracić go z oczu.

Od połowy cmentarza nagrobki były coraz większe - jak w średniowiecznym mieście, gdzie najokazalsze domy okalały centralny rynek. Ale na tej nekropolii stało tylko jedno mauzoleum, nawet w połowie nie tak okazałe jak to z koszmarów VanAndta. A jednak przystanął, gdy zbliżyli

się do kanciastej budowli ze zwietrzałego piaskowca. Nawet jeśli podobieństwo było powierzchowne, czuł się jak przeniesiony w czasie ku najstraszliwszej chwili w swoim życiu. Ruszył jednak dalej. Miał wrażenie, że musi pokonywać jakiś opór, że coś rozpaczliwie trzyma go z całej siły. Zbliżał się do mauzoleum bardzo powoli, dzięki czemu miał sposobność dokładnie je obejrzeć.

E t , '

BI

f.

KI

Mauzoleum było znacznie mniejsze niż tamto na cmentarzu harwardzkim i nie tak bogato zdobione. Jednak nie to decydowało o mizernym wyglądzie budynku. Piaskowiec zwietrzył, znaczyły go brązowe ślady, ale kiedyś grobowiec musiał być znacznie większy, tylko zapadł się w ziemię podobnie jak reszta cmentarza. Trzy stopnie, które niegdyś prowadziły do drzwi wysokich na jakieś sześć stóp, były nie tylko krzywe, ale i popękane. Tworzyły mozaikę złożoną z niezliczonej ilości kamiennych odłamków i z pewnością pierwszy schodek znajdował się już dobre dwie stopy pod ziemią.

Mogens wahał się chwilę, nim wszedł do środka, mimo że był słoneczny dzień. We wnętrzu panowała jednak nieprzenikniona ciemność, ale to nie ona przyprawiła Mogensa o dreszcze. Chodziło o brak wyraźnej granicy pomiędzy ciemnością a światłem. Zdawało mu się - czy też po prostu to widział - że mrok wypuszczał cieniste macki, które jak mikroskopijne, smagające czułki chciały wnikać do rzeczywistości.

Profesor zamknął oczy i pewnym krokiem wszedł do środka. Oczywiście nic się nie wydarzyło. Tom czekał już na niego z zapaloną lampą naftową. Mogens rozejrzał się zaniepokojony. Nie wiedział właściwie, czego oczekiwał, z pewnością niczego konkretnego, ale jednak. Pomieszczenie było zupełnie puste, mimo to struchlał na jego widok. Podążając za Tomem, cofnął się do początku własnej historii. Może chciał zamknąć błędne koło?

Odegnął tę myśl i zmusił się do poddania małego pomieszczenia bardziej wnikliwym oględzinom. Było niskie, zbudowane na planie czworokąta mierzącego najwyżej trzy na pięć kroków. Na ziemi widniał niewielki jasny prostokąt, w przeszłości zapewne miejsce sarkofagu lub podestu pod drewnianą trumnę. Ściany pokrywały liczne plamy, które mogły być resztkami malowideł lub tylko brudem. A jednak Mogens wyczuwał, że coś tu było. Coś tak intensywnego, że niemal czuł to dotykiem. Zjawy z jego przeszłości zdawały się ucieleśniać.

- Tutaj? - spytał.

Chłopak wskazał głową jasny prostokąt na ziemi. Nie zdawali sobie sprawy, że obydwaj przyciskali się do szarych ścian, aby tylko ominąć tę plamę.

- Tu postawiliśmy trumnę - powiedział drżącym głosem Tom. - Właściwie nie była to prawdziwa trumna, moich rodziców nie było na nią stać, tylko zwykła drewniana skrzynka. Przykryliśmy ją kamieniami, a matka uplotła wieniec z gałązek jodły.

- Tutaj je widziałeś? - spytał pospiesznie VanAndt, nie dając czasu na rozpamiętywanie ani chłopakowi, ani sobie. - Te... potwory?

- Na początku tu na nie czekałem - odparł Tom. - Tutaj zabiły mojego ojca. Szeryf Wilson znalazł w tym miejscu jego strzelbę. Wszędzie dokoła była krew. Miałem nadzieję, że wrócą. Na początku nawet tu spałem. Ze strzelbą.

- Ale nie przyszły.

- Chyba wiedzą, że tu jesteśmy - wymamrotał chłopak. - Obserwują nas. Wiedzą o nas wszystko, dużo więcej niż my o nich.

Mogens przełamał instynktowny strach. Przekroczył widniejący na podłodze prostokąt, by zbadać

dokładniej ścianę, przy której stał Tom. Coś na niej przykuło jego uwagę, choć nie potrafił właściwie określić, co to dokładnie było. Może układ plam z brudu i zacieków wodnych, których regularność, o ile w ogóle istniała, umykała czujnemu oku obserwatora.

- Może pan sobie zaoszczędzić trudu, profesorze - powiedział Tom. - Nic tu nie ma.

Mogens spojrział na niego pytająco. Chłopak ciągnął, skinąwszy twierdząco głową:

- Doktor Graves wszystko dokładnie przeszukał. Powiedział, że one nie potrzebują żadnych tajemnych drzwi, by przyjść lub odejść. Ziemia ich nie powstrzymuje, ponieważ są jej wytworami. Mogens już miał wzruszyć ramionami, ale w porę przypomniał sobie, że ten niepozorny chłopak ostatnie pięć lat, czyli prawie jedną trzecią swojego życia, spędził z Jonathanem. Wiedział o tych stworzeniach więcej niż VanAndt.

- Zapewne Graves usłyszał o historii twoich rodziców i dlatego tu przyjechał - domyślił się profesor.

Tom przytaknął. W głębi jego oczu znów pojawił się cień strachu. Mogens mówił dalej prędko, świadomie przybierając swobodny ton:

- Musisz mi koniecznie opowiedzieć, czego dowiedziałeś się podczas podróży. Doktor Graves udzielił mi bardzo skąpych informacji.

- Doktor Graves zabronił mi opowiadać o naszych podróżach. - Chłopak pokręcił głową. - Chce panu sam o nich opowiedzieć.

- Masz na myśli, że opowie mi to, co chce mi opowiedzieć - rzekł z naciskiem Mogens. Przez chwilę Tom patrzył na niego zdezorientowany tą grą słów, ale potem roześmiał się ze zrozumieniem.

- Tak, mniej więcej tak. - Wskazał latarnią drzwi. - Możemy już iść? Nie lubię tego miejsca. Poza tym doktor Graves z pewnością już się niecierpliwi.

pan doktor Graves wcale się nie niecierpliwił.

-I Pienił się ze złości. Ledwo wrócili do obozu, zaraz ostrym tonem przy-jó6: wołał obu do swojej kwatery. Profesor nie zdążył nawet

zamknąć za sobą drzwi, gdy Jonathan zaczął histerycznie krzyżeć na Toma.

Całkiem skonsternowany Mogens dłuższą chwilę próbował wyczytać z twarzy doktora, o co mu chodzi. Domyślał się, że nie będzie zachwycony ich spóźnieniem, z drugiej jednak strony nic nie usprawiedliwiała takiego ataku wściekłości. Próbował bronić Toma.

- Uspokój się, Jonathanie - zaczął. - Zwariowałaś? Tom pokazał mi tylko...

- Tak, tak, dobrze wiem, co Tom tylko ci pokazał! - wszedł mu w słowo Graves. - Ile razy zabraniałem ci włączyć się po cmentarzu? Muszę dopiero...

- Dosyć tego! - przerwał mu VanAndt. Sam był zaskoczony, jak ostro zabrzmiały jego słowa. Nie tylko Tom spojrział na niego zdumiony, również Graves urwał w pół słowa i patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma. Mogens odwrócił się ostentacyjnie do chłopaka.

- Wyjaśnię to nieporozumienie - powiedział. - Zabierz się już do pracy, Tom.

Ten przed wyjściem rzucił jeszcze niepewne spojrzenie w stronę Gravesa. Dopiero gdy zniknął za drzwiami, Mogens odwrócił się ponownie do Jonathana.

- Co to ma znaczyć?! - spytał cichym, ale nadal ostrym tonem. - Jeśli chcesz na kogoś krzyżeć, to na mnie. Właściwie zmusiłem Toma, by mi pokazał cmentarz. Wcale nie chciał tego robić.

- Ten głupi, uparty chłopak sam powinien, do diabła, dobrze wiedzieć, czego nie powinien robić! - Graves zacisnął zęby. - Tam jest niebezpiecznie! Nie powinien był podejmować takiego ryzyka. Nie teraz, gdy jesteśmy prawie u celu!

- Nie może być tam aż tak niebezpiecznie - odpowiedział Mogens. - W końcu chłopak mieszkał koło cmentarza przez długie lata i nic mu się nie stało.

| "... A . ■ "

o ' 1

- To zupełnie co innego - podchwycił doktor. Teraz, gdy nie było już Toma, którego widok podsyczał jego złość, nieco się uspokoił. Nadal był zdenerwowany, ale już nie wściekły, jak jeszcze przed chwilą. - Naraził cię na niebezpieczeństwo!

- Ach, co za różnica? - spytał Mogens. - Czy moje życie jest więcej warte niż jego?
- Przynajmniej dla ciebie powinno być więcej warte - odparł Graves. Jeszcze chwilę patrzył na profesora wyzywająco, oczekując reakcji na tę cyniczną uwagę. Gdy VanAndt nie odpowiadał, wzruszył ramionami, podszedł do stołu, gdzie przez chwilę nerwowo szperał w bałaganie, aż w końcu znalazł etui i drżącymi rękoma zapalił papierosa.
- Przepraszam. Jestem... - Znów uniósł ramiona i westchnął, po czym zaczął od nowa: - Zareagowałem zbyt gwałtownie - przyznał. - Przykro mi.
- Powinieneś raczej przeprosić Toma - powiedział profesor, ale tym razem Graves pokręcił tylko głową i roześmiał się nieprzyjemnie.
- Co ty mówisz, Mogensie? Jeśli będziesz przeproszał podwładnych, przestaną darzyć cię respektem. A Tomowi mała bura nie zaszkodzi. - Wypuścił chmurę dymu. - Nie będziemy przecież się kłócić. Mamy zbyt mało czasu, zostały nam dwa dni.
- Dwa dni do czego?
- Do pełni księżyca - przypomniał Graves. - Nawet nie dwa, jutro w nocy będzie pełnia. Myślałem, że wiesz.
- VanAndt westchnął.
- A ja myślałem, że w końcu dałeś spokój z tymi bzdurami.
- Bzdurami? - Jonathan demonstracyjnie zmarszczył czoło. Rzucił niedopałek na podłogę, zgasił go nogą i obszedł szybkim krokiem stół. - Chodź, Mogensie.
- Dokąd?
- Chcę ci pokazać trochę bzdur - odparł Graves. - Chodź!

i
iurkot generatora wydał mu się głośniejszy i bardziej nieregularny niż wcześniej. Jakiś nowy odcień pojawił się w tym dźwięku, ale słyszalny był tylko na ogołoty, że maszyna buczy z wysiłkiem i tylko patrzeć, jak się zepsuje.

Mogens był na siebie zły, że poszedł z Gravesem. Choćby doktor dał mu słowo honoru, że nawet się nie zbliżą do tajemniczej komnaty, była to kolejna porażka VanAndta. Kolejny zgrzyt, kolejne ustępstwo w walce, która i tak musiała niechybnie zakończyć się klęską. Profesor również za to nienawidził Jonathana.

- Tam, po drugiej stronie. - Dotarli do pierwszego pomieszczenia, naturalnej groty, gdzie stał ten duży stół, przy którym pracowała Hyams. Graves wskazał ręką na lewo, w miejsce, gdzie światło lamp elektrycznych już nie docierało. Mogens podążył wzrokiem za ręką doktora, ale dostrzegł tylko plątaninę szarych i czarnych konturów. Mimo że był tu już wiele razy, nigdy nie poświęcił temu pomieszczeniu zbyt wiele uwagi. Przechodził przez nie pospiesznie, traktując jak przedsiónek. Ponadto chciał zawsze jak najszybciej zejść z oczu Hyams i pozostałej dwójce. Teraz zdał sobie sprawę, że nigdy nawet nie zastanawiał się, co właściwie robili tu jego koledzy. Zapraszającym gestem dał Gravesowi znak, by szedł pierwszy. Jonathan nie powstrzymał się wprawdzie od grymasu niezadowolenia, usłuchał jednak Mogensa. Profesor podążył za nim.

Okazało się, że grotka była większa, niż przypuszczał. Prowadziły z niej wejścia do co najmniej dwóch dalszych pomieszczeń, które Jonathan minął bez zainteresowania, Mogens natomiast, przechodząc obok, próbował choć rzucić okiem do wnętrza. Rozczarował się jednak, gdyż zobaczył jedynie puste jaskinie nietknięte ludzką ręką. W jednej z nich Graves umieścił generator wraz z innymi przyrządami technicznymi. Mogens wprawdzie w ciemnościach nie dostrzegł maszyny, ale rozpoznał ją po rżącym buczeniu i czarnych węzłach kabli wijących się przed wejściem.

- Tę część odkryliśmy na samym początku - wyjaśnił Graves. Poruszał się w mroku sprawnie i szybko niczym kot. - Wówczas oczywiście wszystko było zasypane gruzem. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie złamać sobie karku. Tom i ja prawie przez miesiąc sprzątaaliśmy, a drugie tyle zajęło nam zniesienie generatora i położenie kabli.
- Nie mogliście przecież zrobić tego sami - zauważył Mogens z powątpiewaniem w głosie.

- Całkiem sami, tylko ja i Tom - potwierdził Graves. - Musieliśmy to przekłete pudło rozłożyć na części i złożyć z powrotem tu na dole. Przy czym rozłożenie na części było oczywiście prostsze.
- Zaśmiał się cicho. - Bez Toma nigdy by mi się to nie udało. Ten chłopak to geniusz, jeśli chodzi o maszyny. Czasem mam wrażenie, że wystarczy, by rzucił okiem, a wszystko znów zaczyna działać. Zatrzymał się. Mogens słyszał, jak przez chwilę majstruje przy czymś w półmroku. Po chwili ciemności rozświetlił blask lampy naftowej. VanAndt mógł teraz dojrzeć, że doktor stał przed nieforemnym wejściem, które prowadziło do czegoś w rodzaju tunelu z grubo ciosanymi ścianami.
- Chodź, Mogensie, ale uważaj na głowę, strop jest bardzo nisko.
Mimo ostrzeżenia i mimo że tunel mierzył zaledwie kilka kroków długości, profesor aż dwukrotnie uderzył głową

■'M

: 'i re _.

»U-

o twardą skałę. Po chwili, gdy weszli do znacznie większego pomieszczenia, światło lampy Gravesa stało się bledsze. Profesor zrobił ostatni, szybki krok, zanim wyprostował się z ulgą. Jonathan podniósł lampę.

- Gdy odkryliśmy to, zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie poprosić kogoś o radę.

- Gdyby nie wyszło ci z polowaniem na potwory, powinienes się zgłosić do amatorskiego teatru - powiedział Mogens. - Jesteś wystarczająco mało utalentowanym aktorem.

Doktor zaśmiał się wesoło, unosząc wyżej lampę. VanAndt w jednej chwili zapomniał o żartach i zaskoczony uniósł brwi.

Mizerny blask nie wystarczał, by rozświetlić pomieszczenie, jednak profesor od razu się zorientował, co Graves miał na myśli. Nie byli pierwszymi gośćmi w tej grocie. Świadczyła o tym pofałdowana skała pod ich stopami, porwana głębokimi bruzdami, gdzieś tam sztucznie wyrównana. Nawet na niewielkim oświetlonym fragmencie, który być może od setek lat był pograżony w ciemnościach, profesor zauważył przynajmniej trzy dawne paleniska. Musiały płonąć długo i często, ponieważ sadza i popiół trwale wtopiły się w powierzchnię skały.

- To jest... - zaczął osłupiały VanAndt.

- Tak - potwierdził Graves. Jego rozbawiony głos zabrzmiał niestosownie. - To samo powiedziałem, jak zobaczyłem to pierwszy raz.

Mogens właściwie nie słuchał kolegi, nie tylko dlatego, że dziecinne zachowanie Gravesa zaczęło go irytować. Nie słuchałby Jonathana, nawet jeśli ten sformułowałby w tej chwili bardzo odkrywczą tezę naukową. Był oniemiały ze zdumienia.

Przy czym widział coś takiego nie po raz pierwszy...

- Imponujące, nieprawdaż? - spytał Graves wesoło. - Wiesz, o czym pomyślałem? O wykładach profesora 311

Talbota. Z pewnością pamiętasz, jak my, studenci, drżeliśmy na samą myśl o nich. Talbot i jego kultura megalityczna... - Uniósł lampę jeszcze wyżej, tak że jej promień oświetlił nieco większy fragment ściany. - Jednak gdy się na to patrzy, można zrozumieć jego entuzjazm.

- Jonathanie, przestań w końcu paplać - wymamrotał profesor. - Wiesz właściwie, co to jest?

- Oczywiście - odpowiedział doktor. - To raczej ja powinienem spytać, czy ty wiesz.

VanAndt nie był wcale pewien, czy może odpowiedzieć twierdząco na to pytanie. Ściany pokrywały prymitywne rysunki. Wszystkie w zadziwiający sposób przypominały fotografie i ilustracje, z których profesor Talbot rzeczywiście słyszał wśród studentów. Malowidła jaskiniowe liczące tysiące lat, niepowtarzalne, a jednak nie aż tak niezwykle, ponieważ podobne można było znaleźć w Europie, Afryce Środkowej i w Azji.

Ale nie w Ameryce Północnej!

- To... to jest sensacja naukowa - wymamrotał Mogens.

- Owszem - odpowiedział Graves rozbawiony. - Sensacja podobna do odkrycia egipskiej świątyni Anubisa trzydzieści mil na wschód od San Francisco, prawda?

Profesor wpatrywał się w niego bez słowa. Jonathan delectował się jeszcze chwilę konsternacją

Mogensa, nagle spowaźniał.

- Wierz mi, przyjacielu, podczas moich podróży widziałem bardziej niesamowite rzeczy. Ale nie dlatego cię tu przyprowadziłem. Czy nic szczególnego nie rzuciło ci się w oczy?

Owszem, VanAndtowi bardzo wiele rzucało się w oczy, był jednak pewien, że Gravesowi nie chodzi o żadną z nich. Wzruszył więc ramionami.

- Pomijając fakt, że nie wiadomo skąd świadectwo prehistorycznej europejskiej kultury megalitycznej znalazło

"M !

CSir" !if<C Uf

się na kontynencie północnoamerykańskim - powiedział doktor, znów uśmiechając się lekko - niewątpliwie jest to miejsce święte.

Mogens milczał. Doktor nie delectował się zbyt długo jego osłupieniem, wyraźnie czekał na tę chwilę zbyt długo, aby nie przystąpić zaraz do dalszych wyjaśnień.

- Widziałem więcej takich miejsc, Mogensie - rzekł, uciszając gestem potencjalne pytania VanAndta. - Nie, wiem co chcesz powiedzieć, lecz nie mam ani czasu, ani ochoty na prowadzenie z tobą dyskusji teologicznych. Od tamtej straszliwej nocy podobnie jak ty nie wierzę w Boga ani nawet w diabła. Mimo to jestem przekonany o istnieniu świętych miejsc.

-To brzmi niezwykle logicznie - wtrącił profesor z drwiną w głosie. W każdym razie chciał, by tak to zabrzmiało.

- Nazwij to, jak chcesz, jeśli nie przechodzi ci przez gardło określenie „święty” - powiedział Graves niechętnie. - Widziałem takie miejsca, Mogensie. Święte miejsca, gdzie gromadzą się ludzie, odkąd zaczęli czcić swoich bogów. Można je znaleźć wszędzie na świecie. Trzeba tylko uważnie patrzeć lub głęboko kopać. Średniowieczny kościół nad świątynią rzymską, a poniżej jeszcze celtycki kamienny krąg. Głębiej być może prehistoryczny plac rytualny, a gdyby kopać dalej... - Wzruszył ramionami. - Istnieją miejsca szczególne, a ludzie to wyczuwają. Od niepamiętnych czasów gromadzą się w takich miejscach, by wzniesić tam świątynie i sanktuaria. Może czują, że jest tam coś, do czego muszą się modlić.

„Albo coś, co muszą zamknąć” - pomyślał Mogens ze zgrozą. Może było właśnie na odwrót. Może ludzie ustanawiali swoje święte miejsca po to, by je zabezpieczyć.

-Wiedziałeś, że dokładnie nad naszymi głowami miał zostać wzniesiony kościół anglikański? - ciągnął

Jonathan. - Oczywiście jeszcze zanim zauważono, że wszystko pograża się w ziemi. Znajdujemy się właśnie w takim świętym miejscu, Mogensie. Naprawdę sądzisz, że to przypadek? Ta grotta, świątynia egipska, a poniżej inne, jeszcze starsze sanktuarium? A nie wiadomo, co jeszcze odkryjemy za tymi drzwiami.

- Co to ma znaczyć? - spytał Mogens nieufnie. - Czy to kolejna sztuczka, żeby mnie przekonać? Możesz sobie darować...

Graves odwrócił się niewzruszony. Zrobił kilka kroków, po czym dał znać VanAndtowi, by poszedł za nim.

- Widziałem wiele takich malowideł naskalnych - ciągnął. - Prawdopodobnie tak wiele, że stary Talbot pękłby z zazdrości. Różnią się one, rzecz jasna, zależnie od kultury, która je wytworzyła, i od kontynentu, na którym powstały. A jednak jest wiele podobieństw. Niektóre symbole powtarzają się wszędzie, niezależnie od epoki i cywilizacji. Z początku trudno zauważyć te podobieństwa, ale wystarczy wiedzieć, na co zwrócić uwagę. Szczególnie jeden symbol zwraca uwagę. Nie przypominam sobie miejsca, w którym bym go nie widział, czy to by była świątynia, stare pergaminy, czy malowidła jaskiniowe. Ale nigdzie nie był tak wyraźny jak tutaj. - Podniósł latarnię, której promień padł na wybrany fragment ściany.

Mogens usilnie starał się doszukać sensu w beładzie kresek, okręgów, linii i punktów.

Bezskutecznie.

- Aha - powiedział tylko.

Doktor rzucił mu gniewne spojrzenie, zaraz jednak się opanował.

- Jak już powiedziałem, trzeba wiedzieć, czego szukać. To są gwiazdozbiory. Gwiazdozbiory i

układy planetarne, dokładniej rzecz biorąc.

- Rysunki gwiazdozbiorów z epoki kamiennej? - spytał VanAndt z powątpiewaniem.

- Ależ profesorze! - westchnął Graves. - Czy muszę właśnie tobie, archeologowi, wyjaśniać, jak doskonałymi astronomami byli nasi przodkowie? Pomyśl chociażby o Majach, starożytnych Egipcjanach czy też o obserwatorium w Stonehenge!

- To jest chyba nieco starsze - zauważył Mogens.

- Przynajmniej dziesięć tysięcy lat - potwierdził Jonathan. - Przynajmniej według szacunków naszej biednej panny Hyams. - Uśmiechnął się przelotnie. - Czy nazwa Dogonowie coś ci mówi? VanAndt zaprzeczył.

- Cóż, nie dziwi mnie to - ciągnął Graves tonem, w którym zabrzmiała nuta pogardy. - Taka wiedza nie jest chętnie przekazywana na naszych uniwersytetach, ponieważ nie pasuje do wygodnego obrazu świata skostniałych profesorów! - Prychnął lekceważąco, po czym odwrócił się ponownie w stronę malowideł. - Dogonowie to plemię żyjące na afrykańskiej sawannie. Bardzo stare plemię. Nie posiada ono spisanej historii, nie ma więc potwierdzenia w danych liczbowych. Ja osobiście jestem jednak przekonany, że ich kultura jest znacznie starsza nawet od starożytnego Egiptu.

Umilkł i zdawał się czekać na reakcję kolegi. Profesor, by nie tracić czasu, wyświadczył mu tę przysługę.

- I co?

- Wyjaśnij mi jedno, Mogensie - zaczął Jonathan tryumfującym tonem. - Skąd prymitywne, dzikie plemię żyjące z łowiectwa i uprawy roli, które nie wykształciło nawet własnego pisma, mogło wiedzieć o istnieniu Syriusza?

Profesor spojrział na niego bez zrozumienia.

- Syriusz - powtórzył Graves. Sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego. - Gwiazda na...

- Wiem, co to jest Syriusz - przerwał mu niecierpliwie VanAndt. - Nie rozumiem tylko, co on ma wspólnego z tą grota. Przejdź wreszcie do rzeczy, Jonathanie.

W-.f' ,

w*

\A.

- Właśnie przechodzę - zapewnił doktor. - Dogonowie znają tę gwiazdę, jej wielkość, jasność, pozycję na nieboskłonie. Znają również drogę, jaką zakreśla na firmamencie, z dokładnością do sekundy. Wiedzą nawet, ile planet krąży wokół niej oraz jakie mają orbity. Poza tym nie mają bladego pojęcia o astronomii. Byłem wśród nich i badałem ten lud. Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że są jedynie plemieniem głupich, niewykształconych prymitywów. Mimo to o tej jednej gwiazdzie dzikusy wiedzą więcej niż my, mimo stuleci badań i nowoczesnych przyrządów. Istnieje na to tylko jedno wyjaśnienie.

- Jakże mianowicie? - spytał Mogens.

- Ktoś im tę wiedzę przekazał - odparł Graves. - Ktoś, kto przybył właśnie stamtąd.

Profesor zaśmiał się jak z dobrego żartu. '

- Tak, właśnie takiej reakcji oczekiwałem - syknął doktor. - Jakże miałyby być inaczej? W końcu jesteś przecież... - skrzywił się z obrzydzeniem - ... poważnym naukowcem!

- Błagam cię, Jonathanie! - rechotał Mogens. - Stworzenia, które...

- ...przybyły z gwiazd, by zawładnąć ziemią - wszedł mu w słowo Graves. - Przecież właśnie to jest napisane na ścianach komnaty, czyż nie? Sam mi to przeczytałeś, o ile dobrze pamiętam. Czy może tłumaczenie było błędne?

- Doktor Hyams z pewnością przetłumaczyła ci część hieroglifów w świątyni. - Profesor wzruszył ramionami. - Czy uważasz w związku z tym, że Aton i Set oraz inni bogowie egipcjscy rzeczywiście istnieli?

- Kto wie - odpowiedział Graves z taką powagą, że Mogens spojrział na niego przestraszony. - Miliony ludzi wierzą, że wszechmocny Bóg począł ze śmiertelną kobietą syna z krwi i kości, by ten odkupił ludzkie grzechy. Czyż to nie

516 brzmi równie niedorzecznie?

JkJi

- Myślałem, że nie chcesz prowadzić ze mną dyskusji teologicznych - sapnął ze złością VanAndt.

- Bynajmniej nie mam takiego zamiaru - zapewnił Jonathan. - Chciałem ci tylko uświadomić, jak mało wiemy o naszej przeszłości. Starożytni Egipcjanie żyli kilka tysięcy lat temu, Mogensie. Jak możemy sobie pozwolić na wydawanie sądów o czasach, które są od nas odległe o setki tysięcy lat?

Znów na próżno czekał na odpowiedź. W końcu zrezygnowany odwrócił się ponownie do kamiennej ściany. Jego głos przybrał mentorski, bardzo rzeczowy ton.

- To są układy planetarne - powtórzył z mocą.

- Oczywiście, to układ Syriusza - zadrwił profesor.

- Też tak sądziłem w pierwszej chwili - oznajmił Graves niewzruszony - ponieważ przedstawiony tu układ planetarny nie tylko ma o jedną planetę więcej niż nasz. Dwie z nich posiadają pierścienie, a niektóre otacza więcej księżyców, niż jest nam znanych do tej pory. Pokazałem odbicie tego rysunku kilku astronomom. Wszyscy byli zgodni, że jest to mapa naszego Układu Słonecznego, tyle że zawierająca pewne błędy.

VanAndt milczał uparcie.

- To jest mapa naszego Układu Słonecznego - ciągnął doktor lekko urażonym tonem. - Przedstawia ona bardzo szczególny układ planet. Bardzo rzadko spotykany, Mogensie. Układ, który powtarza się raz na kilka tysięcy lat.

- Niech zgadnę - westchnął profesor. - Ten moment nastąpi właśnie dzisiaj.

- Dokładnie tak - potwierdził Jonathan, nie zauważając drwiny.

Jednak tryumfalny uśmiech zniknął natychmiast z jego twarzy, gdy dostrzegł minę VanAndta.

- Może nie dokładnie dzisiaj, lecz niedługo - sprecyzował ze złością. - Układ taki pojawi się wraz z najbliższą

pełnią i utrzyma się przez jakieś dwa, trzy miesiące. Niewykluczone, że będziemy mieli drugą, a nawet trzecią szansę, ale wołałbym na to nie liczyć. Ani Wilson, ani te przekłete krety nie dadzą nam tyle czasu.

- Czasu? - spytał nieufnie Mogens. - Na co?

- Na otwarcie wrót. Jestem pewien, że odpowiedź na wszystkie pytania kryje się właśnie za nimi! Naprawdę cię to nie interesuje? Nie wmawiaj mi, że nie kusi cię rozwiązanie największej zagadki ludzkości.

- Myślałem, że jesteśmy tu z innego powodu. - Głos VanAndta nie zabrzmiał tak swobodnie, jakby sobie tego życzył. Nie miało znaczenia, czy Graves świadomie przesadzał, czy nawet wysłał całą historię z palca, by go zwabić. Dopiął swego. I teraz profesor, jako poważny naukowiec, nie mógłby z czystym sumieniem zaprzeczyć tym fantastycznie brzmiącym hipotezom Jonathana.

- Być może to jeden i ten sam powód - odparł ten tajemniczo. Jego słowa sprawiały wrażenie starannie przemyślanych. Mogensowi stanął przed oczyma Graves siedzący za swoim biurkiem z rękoma opartymi płasko na blacie, z oczami jak dwie wąskie szparki. Rozmyślał, jakimi argumentami lub groźbami przekonać VanAndta, by ten pomógł mu otworzyć bramę. Profesor był pewien, że Jonathan przewidział każdą możliwą reakcję i na każdą z nich przygotował odpowiednią ripostę.

To, że doktor nim manipulował, było dla Mogensa oczywiste, lecz nie miał mu tego za złe. Co więcej, byłby zawiedziony, gdyby Graves nie próbował tego robić. Bez tego jego gra o godność z dawnym kolegą stałaby się żalosna.

- Nie wysilał się, Jonathanie. Nie zmienię swojej decyzji. Nie powinienem być nawet tu przychodzić. - Lecz nawet we własnych uszach profesora te słowa zabrzmiały mało przekonująco. Doktor westchnął, ale również jego rozczarowanie nie było szczere. Stanowiło jedynie część starannie przygotowanego planu.

- Mogensie...

- Możesz mnie teraz odprowadzić - wszedł mu w słowo VanAndt.

- Zanim przypadkiem zmienisz zdanie? - spytał Graves.

Profesor zmierzył go chłodnym wzrokiem, odwrócił się, lekko wzruszając ramionami, i odszedł.

- Zaczekaj, Mogensie! - zawołał Jonathan. - Poświęcę ci, droga jest dość niebezpieczna. Nie chcę, żebyś sobie coś zrobił!

- Moja złamana noga byłaby teraz dla ciebie darem od niebios - odparł VanAndt, nawet się nie odwracając.

- Nie podsuwaj mi takich pomysłów! - Graves szybkim krokiem wyprzedził kolegę, schylając się przy tym, by nie uderzyć się w niski strop tunelu.

W pierwszej chwili Mogens był mu wdzięczny, po chwili jednak przeszedł go zimny dreszcz. Doktor zniknął skulony w korytarzu, a wraz z nim blask jego latarni. Jednak światło wydało się VanAndtowi dziwnie rozwlekłe, jakby panująca tu od wieków ciemność nadała mu kleistą konsystencję. Żółty promień ześlizgiwał się leniwie po skale, zostawiając za sobą strużki, jakby ostre krawędzie i kanty rozdzierały delikatną powłokę rzeczywistości, a z tych ran wypływało... Wystraszony profesor tak mocno zacisnął powieki, że zobaczył świetliste punkciki, a gdy znów je otworzył - tańczące bladozielone cienie.

- Na co czekasz, Mogensie? - Graves zdążył już dotrzeć do drugiego końca tunelu i gestykulował niecierpliwie lampą. - Nie mów, że nagle poczułeś zew badacza!

Serce biło VanAndtowi tak mocno, że doktor musiał je słyszeć na drugim końcu tunelu. Zielonkawe punkciki

If

I-ii

M

LA-I -«.

if

zniknęły, jednak ani upiorne cieniste ramiona, ani cieniutkie smagające macki nie były tylko wytworem wyobraźni...

Mogens podążył za Gravesem. Oczywiście wymyślił sobie te cienie. Ani tu na dole, ani na cmentarzu, ani w żadnym innym miejscu na świecie duchy nie istniały. Nie znajdował się w żadnym świętym, zakętym, magicznym miejscu, lecz w zwyczajnej ciemnej i zimnej podziemnej norze. To z jego nerwami było coś nie tak.

Znów uderzył się w głowę, o wiele mocniej niż za pierwszym razem. Poczul tak silny ból, że łzy nabiegły mu do oczu, ale prawie się z tego ucieszył. Ten ból był namacalny, był częścią realnego świata, dowodem na to, że wciąż twardo stapał po ziemi. Powstrzymał się od syknięcia, a gdy dołączył do Jonathana, przybrał ten sam zacięty wyraz twarzy, co wcześniej.

Graves nawet na niego nie spojrział, lecz odwrócił się na pięcie energicznym, wojskowym ruchem i zaczął iść tak szybko, że profesor z trudem dotrzymywał mu kroku. Po chwili potknął się o kabel, który wcześniej skutecznie ominął, i o mało nie upadł. Jonathanowi z pewnością nie umknęła jego niezręczność, ale nawet się nie obejrzał.

Mogens spojrział na niego ze złością i postanowił w przyszłości pomyśleć trzy razy, zamiast - jak do tej pory - dwa, zanim coś powie w obecności Gravesa. Być może doktor uznał jego żartobliwą uwagę o złamanej nodze za dobry pomysł.

Mimo to przyspieszył kroku, zachowując jednak bezpieczną odległość od doktora. Tłumaczył sobie, że nie chciał pogarszać nie najlepszej atmosfery, jaka między nimi panowała. W głębi duszy wiedział jednak, że nie był to prawdziwy powód. Gdyby szedł bliżej Gravesa, oblałby go zniekształcony owal światła, jaki jego lampa rzucała na podłogę. W ten sposób przekroczyłby granicę między ciem-320 nością a światłem, próg, na którym czaiły się cienie.

zniknęły, jednak ani upiorne cieniste ramiona, ani cieniutkie smagające macki nie były tylko wytworem wyobraźni...

Mogens podążył za Gravesem. Oczywiście wymyślił sobie te cienie. Ani tu na dole, ani na cmentarzu, ani w żadnym innym miejscu na świecie duchy nie istniały. Nie znajdował się w żadnym świętym, zakętym, magicznym miejscu, lecz w zwyczajnej ciemnej i zimnej podziemnej

norze. To z jego nerwami było coś nie tak.

Znów uderzył się w głowę, o wiele mocniej niż za pierwszym razem. Poczł tak silny ból, że łzy nabiegły mu do oczu, ale prawie się z tego ucieszył. Ten ból był namacalny, był częścią realnego świata, dowodem na to, że wciąż twardo stąpał po ziemi. Powstrzymał się od syknięcia, a gdy dołączył do Jonathana, przybrał ten sam zacięty wyraz twarzy, co wcześniej.

Graves nawet na niego nie spojrział, lecz odwrócił się na pięcie energicznym, wojskowym ruchem i zaczął iść tak szybko, że profesor z trudem dotrzymywał mu kroku. Po chwili potknął się o kabel, który wcześniej skutecznie ominął, i o mało nie upadł. Jonathanowi z pewnością nie umknęła jego niezręczność, ale nawet się nie obejrzał.

Mogens spojrział na niego ze złością i postanowił w przyszłości pomyśleć trzy razy, zamiast - jak do tej pory - dwa, zanim coś powie w obecności Gravesa. Być może doktor uznał jego żartobliwą uwagę o złamanej nodze za dobry pomysł.

Mimo to przyspieszył kroku, zachowując jednak bezpieczną odległość od doktora. Tłumaczył sobie, że nie chciał pogarszać nie najlepszej atmosfery, jaka między nimi panowała. W głębi duszy wiedział jednak, że nie był to prawdziwy powód. Gdyby szedł bliżej Gravesa, oblałby go zniekształcony owal światła, jaki jego lampa rzucała na podłogę. W ten sposób przekroczyłby granicę między ciemnością a światłem, próg, na którym czaiły się cienie.

Przemierzyli już połowę grotu, gdy dobiegło ich stękanie i człapanie. W tym samym momencie Mogens dostrzegł postać idącą przez tunel w ich stronę. W słabym świetle lampy Gravesa zobaczył jednak tylko czarny, zniekształcony zarys. Lecz czego nie dopatrzyły się oczy, dopowiedziała wyobraźnia. Jeszcze zanim Jonathan unióś wyżej lampę, profesor ujrzał olbrzymie nastroszone stworzenie o szcze-ciniastej sierści, szpiczastych lisich uszach i straszliwych łapach, na których zbliżał się do nich człapiącym krokiem. Profesor nie zdołał stłumić krzyku przerażenia.

Gdy Graves unióś lampę, światło przemieniło potwora w Toma. Chłopak szedł rzeczywiście mocno zgarbiony, przez co powłóczył nogami. Również dziwacznie zniekształcony cień nie miał nic wspólnego z potworem. Tom nióś na barkach olbrzymią podłużną skrzynię. Sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał się załamać pod jej ciężarem. Skrzynia była znacznie większa od niego, a sądząc po ociężałych krokach chłopaka i jego umęczonej twarzy, ważyła zapewne więcej niż on sam.

Usłyszawszy krzyk Mogensa, Tom przystanął w pół kroku i omal nie runął na ziemię razem ze skrzynią. Graves odwrócił się do profesora i zmarszczył pytająco brwi. VanAndt chrząknął niewyraźnie i pospieszył chłopakowi na pomoc.

Zdażył zapobiec katastrofie. Tom dzielnie walczył ze swoim ciężarem, ale utraciwszy raz równowagę, nie mógł jej odzyskać. Nieporadnie przechylił się do przodu i na bok. W ostatniej chwili Mogens zdażył podeprzeć skrzynię rękoma.

Ważyła tyle, że również profesor zachwiał się, a potem uklął pod jej ciężarem. Drewniane pudło wyślizgnęło mu się z dłoni i uderzyło z hukiem o podłogę, bo również Tom ostatecznie przegrał walkę i wypuścił skrzynię. W ten sposób postawili ciężar na ziemi - wprawdzie gwałtownie, jednak bez większych uszkodzeń.

*!n

% V 'i i

Przemierzyli już połowę grotu, gdy dobiegło ich stękanie i człapanie. W tym samym momencie Mogens dostrzegł postać idącą przez tunel w ich stronę. W słabym świetle lampy Gravesa zobaczył jednak tylko czarny, zniekształcony zarys. Lecz czego nie dopatrzyły się oczy, dopowiedziała wyobraźnia. Jeszcze zanim Jonathan unióś wyżej lampę, profesor ujrzał olbrzymie nastroszone stworzenie o szcze-ciniastej sierści, szpiczastych lisich uszach i straszliwych łapach, na których zbliżał się do nich człapiącym krokiem. Profesor nie zdołał stłumić krzyku przerażenia.

Gdy Graves unióś lampę, światło przemieniło potwora w Toma. Chłopak szedł rzeczywiście mocno zgarbiony, przez co powłóczył nogami. Również dziwacznie zniekształcony cień nie miał nic wspólnego z potworem. Tom nióś na barkach olbrzymią podłużną skrzynię. Sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał się załamać pod jej ciężarem. Skrzynia była znacznie większa od niego, a sądząc po ociężałych krokach chłopaka i jego umęczonej twarzy, ważyła zapewne więcej niż on

sam.

Usłyszawszy krzyk Mogensa, Tom przystanął w pół kroku i omal nie runął na ziemię razem ze skrzynią. Graves odwrócił się do profesora i zmarszczył pytająco brwi. VanAndt chrząknął niewyraźnie i pospieszył chłopakowi na pomoc.

Zdażył zapobiec katastrofie. Tom dzielnie walczył ze swoim ciężarem, ale utracił równowagę, nie mógł jej odzyskać. Nieporadnie przechylił się do przodu i na bok. W ostatniej chwili Mogens zdażył podeprzeć skrzynię rękoma.

Ważyla tyle, że również profesor zachwiał się, a potem ukląkł pod jej ciężarem. Drewniane pudło wyślizgnęło mu się z dłoni i uderzyło z hukiem o podłogę, bo również Tom ostatecznie przegrał walkę i wypuścił skrzynię. W ten sposób postawili ciężar na ziemi - wprawdzie gwałtownie, jednak bez większych uszkodzeń.

* * \

- Do diabła, uważajcie! - Graves podszedł szybko i manipulował lampą, by przyjrzeć się skrzyni dokładnie. - Czy coś się stało?

- Mnie nie - odparł Mogens ze złością - twojej cennej skrzyni najwyraźniej też nic. Podniósł się ze stękaniem, rzucając zatroskane spojrzenie na Toma. Chłopak odpowiedział mu szybkim potrząśnięciem głową i przelotnym, ledwo widocznym uśmiechem. Potem spojrzał na doktora ze strachem, którego nie zdołał ukryć.

- Mam nadzieję - warknął ten. Postawił lampę na podłodze, ukląkł i drżącymi rękoma dotknął drewna. - Nie masz pojęcia, jak ważna może okazać się ta skrzynia.

- Ale jestem pewien, że zaraz mi to powiesz, Jonathanie - odpowiedział drwiąco profesor. Zwrócił się do Toma: - Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. - Chłopak wstał i wygładził ubranie. Mogens zauważył, że miał dziurę w spodniach nad prawym kolaniem. Zdawało mu się, że pod rozdarciem dostrzegł krew. Nic jednak nie powiedział. Tom nie chciałby, żeby mu natrętnie matkować.

Spojrzał teraz na chłopaka innym okiem niż jeszcze pół godziny temu. Sam w końcu doświadczył, jak ciężka była skrzynia. W jaki więc sposób ten siedemnastolatek zdołał ją przytargać sam przez cały tunel? I jak znieść po drabinie?

Graves tymczasem skończył oględziny, obszedł skrzynię na kolanach i nachylił się nad nią.

VanAndt usłyszał ciężki, metaliczny szczęk.

- Pomóż mi - rozkazał doktor.

Ton wypowiedzi nie spodobał się profesorowi, ale tajemnicza skrzynia wzbudziła jego ciekawość. Powoli, bardzo ostrożnie obszedł ją i kucnął obok Jonathana. Teraz, gdy przyjrzał się skrzyni z bliska, przypomniał sobie rozmowę

z Tomem w samochodzie, gdy ten odebrał go z dworca w San Francisco. Skrzynia rzeczywiście wyglądała jak trumna, aczkolwiek bardzo masywna. Mierzyła ponad sześć stóp długości i prawie dwie szerokości, a zrobiono ją, o ile się nie mylił, z dębowych desek. Deski nie były zbite, lecz starannie skrecone śrubami i wzmocnione żelaznymi taśmami. Szczęk, który dał się wcześniej słyszeć, wydawały dwa solidne zamki zatrzaskowe trzymane przez grube sprężyny. Graves chwycił dłońmi wieko. Ruchem głowy poprosił Mogensa o pomoc. Pokrywa była bardzo ciężka, musiała ważyć kilka cetnarów.

Wnętrze skrzyni jeszcze bardziej zaskoczyło VanAndta. Spód i ściany wyścielał dziwny materiał przypominający raczej metal niż tkaninę. W środku umieszczone były pęta na ręce i nogi. Gdy całkiem otworzyli wieko, Mogens dostrzegł mnóstwo otworów wentylacyjnych.

- To jest... - zająknął się.

- ...właśnie to, co myślisz - kiwnął głową Graves. Nachylił się. Palcami uważnie zbadał wnętrze skrzyni. Dopiero po dłuższej chwili wsparł pięści na udach i odetchnął z ulgą. - Chyba nic nie jest uszkodzone.

- Nie... nie masz chyba zamiaru tego zrobić? - spytał profesor skonsternowany.

- Złapać jedną z tych bestii? - Doktor skinął energicznie głową. - Mam zamiar. A co ty myślałeś?

- Ale... - zaczął VanAndt, lecz Jonathan znów mu przerwał.

- Jak sobie to wyobrażałeś? Jak inaczej mielibyśmy przekonać świat o istnieniu tych potworów? Myślałeś, że wystarczy, jak wstąpimy na podium i poopowiadamy trochę o naszych przeżyciach? - Potrząsnął gniewnie głową. - Potrzebujemy dowodu, Mogensie, niezbitego dowodu! Musimy złapać jedną z tych bestii, i to żywą!

Profesor wpatrywał się w niego przerażony. Uświadomił sobie, że pochłonięty własną nienawiścią do dawnego kolegi nawet nie myślał o tym, co Jonathan właściwie zamierza.

- Ty chyba nie mówisz poważnie - wymamrotał.

- Masz jakiś lepszy pomysł? - spytał Graves uszczypliwie. - Jestem zawsze otwarty na konstruktywne propozycje.

- Ale jak... - Mogens na próżno szukał odpowiednich słów, próbując równocześnie poukładać myśli. - Jak chcesz tego dokonać? - jęknął. - W jaki sposób chcesz złapać jedną z tych... bestii?

- Ależ powinieneś być się już domyślić, drogi profesorze! - odpowiedział doktor, uśmiechając się z drwiną. - W jaki sposób łapie się ofiarę, która nie chce się dać złapać? Za pomocą przynęty.

J*

Choć Mogens chciał pomóc Tomowi, ten uparł się, że również pozostałe dwie skrzynie znieśie sam. Profesor wymógł tylko tyle, że chłopak pójdzie do panny Preussler, żeby opatrzyła mu kolano. Dwie godziny później przyjechał szeryf Wilson. VanAndt był akurat w swojej kwaterze, gdzie wrócił, by poukładać myśli i podjąć ostateczną decyzję. Oczywiście ani jedno, ani drugie mu się nie udało. Gdy usłyszał warkot silnika samochodowego, a wyjrzawszy przez okno, dostrzegł wóz policyjny, poczuł ogromną ulgę. Ruszył zygzakiem przez rozmokły plac, starannie omijając kałuże, które od przedniego wieczoru stały się bardziej błotniste, jednak ani trochę mniejsze.

Wilson zatrzymał się przed domem Gravesa i jedną nogę postawił już na ziemi, ale jego prawa ręka nadal spoczywała na kierownicy. Kiedy Mogens podszedł do niego, właśnie po raz trzeci naciskał klakson. Nieprzyjemne trąbienie nie wywołało jednak zamierzonego skutku. Za to otworzyły się drzwi innego domu, w progu którego stanęła panna Preussler. Zmierzyła Wilsona pełnym nagany spojrzeniem.

- Na pana miejscu przestałbym hałasować - powiedział profesor.

Szeryf odwrócił się gwałtownie. Przez chwilę wyglądał zupełnie bezradnie, lecz nadal nie zdejmował ręki z kierownicy.

- Mówię poważnie, na pana miejscu dobrze bym się zastanowił, zanim naraziłbym się pannie Preussler - ciągnął Mogens. - Niejeden źle na tym wyszedł. - Obszedł samochód i dodał z uśmiechem na twarzy: - Nie wyłączając mnie.

Gospodyni nadal stała w drzwiach z rękoma wspartymi o swoje pełne biodra. Była zbyt daleko, by można było dojrzeć wyraz jej twarzy, ale Mogens czuł dobrze sobie znany karcący wzrok. Wilson poczuł chyba to samo, bo nie tylko zdjął rękę z klaksonu, ale i cofnął się o krok. Skinął głową pannie Preussler, dotykając dwoma palcami runda kapelusza. Gospodyni, rzuciwszy mu ostatnie lodowate spojrzenie, weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

- Moją gospośnią - wyjaśnił Mogens.

- Zabrał pan ze sobą gospośnię? - zdziwił się szeryf.

- Powiem inaczej: nie mogłem jej powstrzymać.

Przez usta Wilsona przemknął przelotny uśmiech.

- Tak, chyba rozumiem, o czym pan mówi, profesorze. - Nagle znów zrobił się poważny. -

Właściwie przyjechałem porozmawiać z doktorem Gravesem. Nie wie pan przypadkiem, gdzie jest?

- Sądzę, że pracuje - odparł VanAndt.

Szeryf spojrział na niego pytająco, ale Mogens nie podjął tematu. Nie był aż tak zły na Gravesa, by wbijać mu w plecy.

u

- f

■Ł i-

I

- Jeśli przyjechał pan po mundur, który był mi pan łaskaw pożyczyć, to musi się pan niestety uzbroić w cierpliwość. Panna Preussler uparła się, żeby go wyprać.

Twarz Wilsona spochmurniała. Nie to chciał usłyszeć.

- Z tym nie ma pośpiechu - mruknął niechętnie. - Teraz chciałbym zamienić słówko z doktorem.

VanAndt spojrział bezwiednie na duży namiot pośrodku błotnistego placu. Wilson również podążył zamyślonym wzrokiem w tamtą stronę, a między jego siwymi brwiami zarysowała się głęboka bruzda.

- Poślę po Toma, by przyprowadził doktora Gravesa - powiedział prędko Mogens. t

- Bardzo proszę - odparł Wilson. - Ale może pan też będzie mi mógł odpowiedzieć na kilka pytań.

Profesor pożałował, że w ogóle wyszedł z domu. Lepiej było poczekać, aż szeryf, nic nie wskórawszy, po prostu odjedzie.

- Jeśli będę w stanie panu pomóc...

- O, w to nie wątpię! - Wilson zdjął kapelusz i zaczął nim obracać w dłoniach, udając, że się zastanawia. Nie był jednak dobrym aktorem. - Dziś rano miałem gościa, profesorze. Doktora Steffena, pamięta pan go?

- Geolog. - Mogens w ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie użyć określenia „kret”, które preferował Graves.

Policjant skinął głową.

- Gdyby pan rano został kilka minut dłużej, spotkałby go pan. Ale może to lepiej, że tak się nie stało. Obawiam się, że jego i doktora Gravesa nie można nazwać przyjaciółmi.

VanAndt nie zareagował. Nie skinął choćby głową.

- Doktor Steffen był dość wzburzony - ciągnął Wilson. - Twierdzi, że minionej nocy znów miało miejsce trzęsienie ziemi. - Jego wzrok stał się bardzo czujny.

- Niczego nie czułem.

4 i

- Nikt nie czuł - przyznał szeryf - ale doktor Steffen upiera się, że trzęsienie ziemi miało miejsce. Pokazał mi wydruk z urządzeń pomiarowych. Właściwie niewiele z niego zrozumiałem. - Uczynił bezradny gest, który jednak nie przekonał Mogensa. - Prawdę powiedziawszy, dla mnie były to tylko kolorowe linie i kreski. Ale doktor Steffen twierdził, że te wykresy stanowią dowód kolejnego trzęsienia ziemi. Był bardzo zaniepokojony. Upierał się, że, jak to się nazywa... epicentrum? - Spojrzął na profesora, marszcząc czoło, a gdy ten skinął głową, mówił dalej: - Otóż, że epicentrum znajdowało się dokładnie pod waszym obozem.

- Niczego nie zauważyłem - powtórzył VanAndt. - Doktor Graves również. Gdyby tak było, z pewnością by mi o tym powiedział.

- Oczywiście - kiwnął głową Wilson, po czym zmienił taktykę. - Czym pan się tu właściwie zajmuje, profesorze?

- Wie pan, że nie mogę tego zdradzić, szeryfie - odparł Mogens. - Mogę jedynie zapewnić, że zajmujemy się badaniami czysto archeologicznymi.

- To znaczy, że państwo coś wykopują.

VanAndt uśmiechnął się pod nosem.

- Jest pan uparty, szeryfie, to trzeba panu przyznać. Ale muszę pana rozczarować, niczego nie wykopujemy. Jedynie oglądamy pewne rzeczy. Bardzo stare rzeczy. Ale żadne z naszych poczynąń nie mają prawa wywołać choćby najlżejszego trzęsienia ziemi.

Wilson zignorował uśmiech Mogensa i żartobliwy ton jego wypowiedzi.

- Doktor Steffen jest odmiennego zdania - stwierdził poważnie. - Nie powinien pan tego lekceważyć, profesorze. Jest renomowanym naukowcem i zna wielu wpływowych ludzi. Może panom przysporzyć kłopotów.

- Czy to jest groźba, szeryfie? - spytał VanAndt, natychmiast jednak pożałował swoich słów. Sam nie wiedział, dlaczego zareagował w ten sposób. Ostatnią rzeczą, jakiej w tym momencie pragnął, było jednoznaczne opowiedzenie się po stronie Gravesa i świadome prowokowanie

Wilsona.

Policjant jednak nie wziął sobie tego nietaktu do serca.

- W żadnym razie, profesorze - powiedział niewzruszony. - Ale doktor Steffen nie da spokoju. Z tego, co wiem, jest właśnie w drodze do San Francisco. Chce przedsięwziąć odpowiednie kroki w celu uzyskania dostępu do waszego wykopaliska. - Pokręcił głową. - Przykro mi, jeśli pan mnie źle zrozumiał, profesorze. Nie chciałem panu grozić, raczej pana ostrzec. Jestem odpowiedzialny za spokój i porządek w tym miasteczku. Ta kłótnia trwa już od roku i musi wreszcie zostać zakończona. Niestety ani z doktorem Gravesem, ani z doktorem Steffenem konstruktywna rozmowa nie jest możliwa. Miałem cichą nadzieję, że może pan jest rozsądniejszy.

- To zależy, co pan rozumie pod pojęciem „rozsądniej-szy” - westchnął Mogens.

- Nie jestem w stanie uspokoić doktora Steffena, póki nie wiem, co tutaj się dzieje - rzekł poważnie szeryf.

VanAndt rozłożył ręce.

- Wie pan, że nic nie mogę w tej kwestii zrobić. Instrukcje doktora Gravesa są jednoznaczne. Ryzykowałbym utratę posady.

- Daleki jestem od tego, żebym chciał wpędzać pana w kłopoty, profesorze - zapewnił Wilson pospiesznie. Mogens docenił, że choć nie był zbyt dobrym aktorem, przynajmniej zadał sobie trud, by to kłamstwo zabrzmiało przekonująco. - Jednak z pewnością lepiej by było, gdybym miał choć nikłe pojęcie o pracach, jakie prowadzicie.

- Wie pan coś na temat kultury megalitycznej, szery-523 fie? - spytał VanAndt.

U a '

ą 'li

(

m

r tCrn'

i <tr

'u

Policjant zamrugął oczyma.

- A nie cierpi pan na klaustrofobię? - ciągnął Mogens.

Wilson ponownie mrugnął.

- Lęk przed ciasnymi pomieszczeniami - wyjaśnił profesor.

- Nie - odparł Wilson. - Przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo.

Mogens zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym wskazał ręką namiot.

- Miejmy nadzieję, że się pan nie myli - powiedział. - W przeciwnym razie czekają pana bardzo nieprzyjemne chwile.

Policjant uniósł brwi zaskoczony.

- Pan...?

- Mam nadzieję, że przyda się panu zastępca szeryfa, który nie znosi broni i wozi się ze swoją gosposią - uśmiechnął się profesor. - Bo jeśli spotkamy doktora Gravesa, być może będę potrzebował nowej posady.

Przez całą drogę na dół Mogens na próżno się zastanawiał, dlaczego właściwie to robi. Było mu obojętne, czy Graves będzie wściekły, mimo to czuł się jak zdrajca.

Przekonywał sam siebie, że koniec końców wyświadcza Jonathanowi przysługę. Nie mógł ocenić, czy przyrzady Steffena rzeczywiście zarejestrowały jakiś wstrząs, czy był to jedynie pretekst do wtargnięcia na teren wykopaliska. Zgadzał się jednak z Wilsonem co do Steffena. Graves nie doceniał jego determinacji. Geolog był gotów na wszystko, by sprawdzić, co robią tam na dole. A

zauważyłby z pewnością znacznie więcej niż Wilson.

Jak się okazało, szeryf nie cierpiał wprawdzie na klau-strofobię, jednak z trudem poradził sobie z zejściem po drabinie i zajęło mu to dwa razy więcej czasu niż VanAndtowi. Kilka razy noga zsunęła mu się ze szczebla i gdy dotarli na dół, Mogens miał wrażenie, że tylko cudem Wilson nie spadł i nie skręcił karku - co swoją drogą mogłoby się Gra-vesowi spodobać.

- Żle znoszę schodzenie po drabinach - przyznał policjant, uśmiechając się nerwowo. Ręce mu drżały, czoło miał zroszone potem. - Prawdę mówiąc, najpewniej się czuję, gdy stąпам twardo po ziemi. Tak już mam od dziecka.

- W takim razie powinien pan dziękować Bogu, że nie urodził się pan trzydzieści lat wcześniej - powiedział profesor. Wilson uniósł pytająco lewą brew, a Mogens dokończył: - Wówczas, przy pańskim zawodzie, musiałby pan jeździć konno.

Policjant zaśmiał się z grzeczności, choć ta uwaga niezbyt go rozśmieszyła.

- Proszę za mną. Odtąd będziemy stąpać po twardym gruncie - wskazał mu drogę VanAndt. Wilson wymamrotał coś na kształt „bardzo śmieszne”. Starł wierzchem dłoni pot z czoła i dołączył posłusznie do Mogensa, gdy ten odwrócił się i nieco przygarbiony zniknął w niskim tunelu.

- Mają państwo światło elektryczne - zauważył szeryf z uznaniem. - Doktor Graves nie oszczędzał, widzę, na niczym.

Mogens skinął tylko głową i przyspieszył nieco kroku. Starł się skoncentrować na odgłosach dochodzących z wewnątrz. Na wszelki wypadek nawet nie próbował sobie wyobrazić, co będzie, jeśli spotkają w grocie Gravesa. Dobiegło go jednak tylko równomierne buczenie generatora.

- Nawet w mieście nie wszędzie jest elektryczność - ciągnął Wilson. - Zresztą, prawdę mówiąc, wolę światło gazowe i takie mam w biurze. Czy ta cała nowoczesność naprawdę ułatwia życie? No może łatwiej jest przekręcić włącznik, żeby zapalić światło, ale niech pan powie, czy to rzeczywiście aż takie ułatwienie? A co, jak któreś z tych urządzeń na prąd przestanie działać? Lampę naftową potrafi naprawić każde dziecko. Dawniej sami je robiliśmy ze starej puszki i knota. Ale co zrobić, gdy zepsuje się taki generator?

Mogens nie odpowiedział, zresztą szeryf wcale tego nie oczekiwał. Wilson zapewne nie do końca wiedział, co mówi. Paplał tylko, by ukryć zdenerwowanie.

- Doktor Graves musi być zamożnym człowiekiem -ciągnął tym samym nerwowym tonem. - To wszystko musiało kosztować majątek. Długo pan go zna?

- Studiowaliśmy razem - odpowiedział Mogens. - Ale później straciliśmy się z oczu.

Ostatnie pytanie Wilsona wydało się profesorowi wyjątkowo irytujące. Rzeczywiście, Graves opowiadał Mogensowi, że kupił cały ten teren. Nawet jeśli ziemia nie była specjalnie droga, i tak musiała kosztować więcej pieniędzy, niż VanAndt kiedykolwiek posiadał. Do tego koszty samochodów, generatora, przyrządów naukowych oraz zawrotne kwoty na pensje, no bo Hyams i pozostałym z pewnością zaoferował nie mniej niż Mogensowi. Inaczej jak skusiłby ich do wyjazdu na takie odludzie? Koniec końców przedsięwzięcie musiało kosztować Gravesa fortunę.

Profesor zaczął się zastanawiać, skąd Jonathan wziął tyle pieniędzy Jego rodzice nie należeli do zamożnych. W czasach, gdy studiowali wspólnie na Harvardzie, Graves nie dysponował żadnymi oszczędnościami. To raczej Mogens udzielał mu czasem krótkoterminowych pożyczek, choć sam nie był majętny.

Dotarli do końca tunelu, a tym samym do groty, która teraz była prawie całkiem ciemna. Tom wyłączył wszystkie lampy elektryczne. Z boku, tuż przy miejscu, gdzie ustawili rano skrzynię, stały teraz kolejne dwa drewniane pudła przypominające trumny, na szczęście na tyle daleko, że nie można się było o nie potknąć, wychodząc z tunelu. Wilson nie zwrócił na nie uwagi. Rozglądał się dokoła szeroko otwartymi oczyma.

Mogens zauważył z niepokojem, że drewniane drzwi prowadzące do korytarza zdobionego hieroglifami stały otwarte na oścież, a wewnątrz paliło się światło. Odwrócił się pospiesznie - jednak nie na tyle szybko, by wzbudzić podejrzliwość szeryfa - niby przypadkiem zasłaniając wejście do korytarza.

- To, co może pana zainteresować, znajduje się tam z tyłu - powiedział.

Wilson spojrzał na niego nieufnie. ,

- Skąd pan wie, co mnie interesuje, profesorze? - spytał.
- Chciał pan wiedzieć, czym się tu zajmujemy. - Mogens wzruszył ramionami. - Może się pan rozejrzeć, gdzie pan chce, aczkolwiek wątpię, czy zauważy pan to, co jest naprawdę interesujące.
- Ponieważ jestem tylko głupim gliną z zapadłej miejsciny? - mruknął Wilson.
- Ponieważ to, co odkryliśmy, na pierwszy rzut oka jest raczej mało spektakularne - sprostował nieco zdenerwowany Mogens. - Ale jak już wspomniałem, może pan sam się rozejrzeć. Nie mamy żadnych tajemnic. - Udało mu się wypowiedzieć te słowa swobodnym tonem, ale nie wiedział, na ile jeszcze starczy mu cierpliwości. Przez ostatnie dwadzieścia minut dał Wilsonowi spory kredyt zaufania, jednak szeryf nie wysiłał się, by go spłacić. Policjant przez dobre pięć sekund lustrował wnętrze, zanim, nieco rozluźniony, zdjął kapelusz i powiedział:

- Proszę, profesorze, niech pan pójdzie przodem.
rano skrzynię, stały teraz kolejne dwa drewniane pudła przypominające trumny, na szczęście na tyle daleko, że nie można się było o nie potknąć, wychodząc z tunelu. Wilson nie zwrócił na nie uwagi. Rozglądał się dokoła szeroko otwartymi oczyma.

Mogens zauważył z niepokojem, że drewniane drzwi prowadzące do korytarza zdobionego hieroglifami stały otwarte na oścież, a wewnątrz paliło się światło. Odwrócił się pospiesznie - jednak nie na tyle szybko, by wzbudzić podejrzliwość szeryfa - niby przypadkiem zasłaniając wejście do korytarza.

- To, co może pana zainteresować, znajduje się tam z tyłu - powiedział.

Wilson spojrzał na niego nieufnie.

- Skąd pan wie, co mnie interesuje, profesorze? - spytał.
- Chciał pan wiedzieć, czym się tu zajmujemy. - Mogens wzruszył ramionami. - Może się pan rozejrzeć, gdzie pan chce, aczkolwiek wątpię, czy zauważy pan to, co jest naprawdę interesujące.
- Ponieważ jestem tylko głupim gliną z zapadłej miejsciny? - mruknął Wilson.
- Ponieważ to, co odkryliśmy, na pierwszy rzut oka jest raczej mało spektakularne - sprostował nieco zdenerwowany Mogens. - Ale jak już wspomniałem, może pan sam się rozejrzeć. Nie mamy żadnych tajemnic. - Udało mu się wypowiedzieć te słowa swobodnym tonem, ale nie wiedział, na ile jeszcze starczy mu cierpliwości. Przez ostatnie dwadzieścia minut dał Wilsonowi spory kredyt zaufania, jednak szeryf nie wysiłał się, by go spłacić. Policjant przez dobre pięć sekund lustrował wnętrze, zanim, nieco rozluźniony, zdjął kapelusz i powiedział:

- Proszę, profesorze, niech pan pójdzie przodem.

,m

iwag;. (t

i.- 'Mm

Mogens odetchnął z ulgą. Teraz nie był z siebie zadowolony, że potraktował Wilsona w tak arogancki sposób. Jego własne zachowanie przypominało mu sposób bycia Gravesa, ale ten policjant sam się prosił. Profesor przesadnie powolnym krokiem podszedł do stołu. Nie zerknął nawet na Wilsona, który przyglądał się z zaciekawieniem leżącym na nim narzędziom, artefaktom, papierom i książkom, chwycił jedną z ponad pół tuzina stojących w tym bałaganie lamp naftowych. Zapaliwszy knot, podał lampę Wilsonowi, po czym drugą wziął dla siebie. Szeryf rzucił jeszcze tęskne spojrzenie w stronę otwartych drzwi, jednak ku uldze Mogensa podążył za nim.

Teraz, gdy grota była jasno oświetlona, wydawała się Mogensowi o wiele przestronniejsza niż rano, gdy szedł tędy za Gravesem. Z początku nie był pewien, czy znajdzie od razu odpowiednie wejście. Było ich znacznie więcej, niż sądził. Zdawało się, że grota jest jedynie początkiem prawdziwego labiryntu podziemnych korytarzy. A czas biegł... Mogens i tak nie mógł się nadziwić, że do tej pory nie spotkali Gravesa. I może właśnie dlatego zaczął mieć nadzieję, że wizyta w podziemiach

zakończy się szczęśliwie. Co doktor później powie lub zrobi, zupełnie go nie interesowało. Profesor utwierdził się, tym razem ostatecznie, w decyzji

o opuszczeniu obozu i to jeszcze tego samego dnia. Miał nawet nadzieję, że namówi Wilsona, by podrzucił jego

pannę Preussler do miasta.

Tym razem to nie on potknął się o kable, które wiły się przed wnęką z generatorem. W ich sidła wpadł Wilson.

Płomień jego latarni zadrzał, a Mogensa dobiegło stłumione przekleństwo. Odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak szeryf niezdarnie próbuje złapać równowagę. Kapelusz spadł mu z głowy i potoczył się po ziemi.

- Proszę uważać - ostrzegł Mogens.

1

- Zauważyłem - odparł Wilson ponuro. Podążył wzrokiem za czarnym grubym kablem, który zniknął w wejściu do bocznej groty. Schylił się po kapelusz. Nałożył go, ale zanim się wyprostował, zrobił jeszcze dwa kroki i uniósł latarnię, by oświetlić pomieszczenie. Zaraz potem gwizdnął z uznaniem.

- To się nazywa nowoczesny generator!

Mogens natychmiast znalazł się koło niego. Wystarczył mu rzut oka do środka jaskini, by zrozumieć zdumienie Wilsona.

Maszyna, która ukazała się ich oczom w świetle latarni, musiała być generatorem, który Tom i Graves z takim trudem znieśli tu na dół. No bo czym innym? Jednak nie przypominała niczego, co Mogens widział wcześniej.

Mierzyła cztery stopy wysokości i drugie tyle długości, nie posiadała ani kół zębatach, ani pasów napędowych czy łożysk. Profesor w ogóle nie zauważył żadnych ruchomych części czy jakiegokolwiek innego znajomego mechanizmu, nie mógł się też doszukać choć jednej prostej krawędzi, kąta prostego czy gładkiej powierzchni, spoiny, nawet śruby. Stękająca i trzeszcząca aparatura była tak smolście czarna, że nie odbijała światła latarni, lecz je raczej pochłaniała. VanAndt odnosił wrażenie, że nie była to w ogóle maszyna złożona ręką ludzką, lecz żywe, przygarbione stworzenie podobne do ślimaka, na sam widok którego zrobiło mu się nieswojo.

- Czegoś tak dziwnego jeszcze nigdy nie widziałem - wymamrotał Wilson, spoglądając na Mogensa pytająco. - Czy to w ogóle jest generator?

- Nie jestem inżynierem - mruknął profesor. - Ale cóż innego miałyby to być?

- W każdym razie ta maszyna nie powstała w amerykańskiej fabryce - skwitował szeryf takim tonem, jakby krajowy przemysł nie miał dla niego tajemnic. - Prawdopodobnie

m

iii-

- ri

mi

pochodzi z Europy - dodał, kręcąc głową. - Tam produkują różne dziwne rzeczy.

VanAndt poczuł ulgę, gdy Wilson w końcu stracił zainteresowanie aparatem. Grota znów pograżyła się w ciemnościach. Gdy profesor ruszył dalej, musiał stłumić nieprzyjemne odczucie, że obserwują go niewidzialne, chciwe oczy. Miał wrażenie, że popełnił świętokradztwo już tylko dlatego, że śmiało spojrzeć na dziwną maszynę ukrytą w grocie.

Odegnął tę myśl i zaczął iść tak szybko, że Wilson ledwo mógł go dogonić. Po chwili dotarli do korytarza. Mogens schylił się i wszedł do tunelu. Zupełnie bezwiednie zamknął oczy, by nie widzieć niepokojących cieni, które czały się w głębi. Szeryf zaczął głośno kłać, gdy - tak jak Mogens przed kilkoma godzinami - kilkakrotnie uderzył głową o twardą skałę. Gdy wyszedł z korytarza, znów trzymał kapelusz w rękach.

- Powinien był mnie pan ostrzec, profesorze - mamrotał. - Tu jest niebezpiecznie.
 - Można się do tego przyzwyczaić - odparł Mogens. - Nic się panu nie stało, prawda?
- Wilson obrzucił go jadowitym spojrzeniem, z trudem nakładając kapelusz z powrotem na głowę.
- Mam nadzieję, że to, co zobaczę, warte jest tych akrobacji - bufknął.
 - W to nie wątpię - zapewnił VanAndt. - Proszę za mną!

Uniósł lampę, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do miejsca, które rano pokazał mu Graves. Policjant podążył za nim nieco opieszale. Milczał długą chwilę, marszcząc czoło i wyteżając wzrok w kierunku ściany.

- Obawiam się, że musi mi pan trochę pomóc, profesorze - rzekł po chwili.
- Nie widzi pan? - Mogens zaczął kołysać lampą wahadłowo, aż promień światła wydarł ciemnościom liczące sobie dziesiątki tysięcy lat malowidła. Wszystkie kształty, gra światła i cienia sprawiła, że zdawały się, zbudzone do życia, obserwować przybyszów.

- Już widzę - odparł Wilson, wzruszając ramionami. - Nie rozumiem tylko, co w tym takiego nadzwyczajnego.

- To są malowidła skalne - wyjaśnił profesor. - Liczą sobie dziesiątki tysięcy lat.
- Wiem, co to są malowidła skalne! - powiedział szeryf ostro. - Jak już mówiłem, może jestem głupim, wiejskim gliną, ale nawet ja słyszałem o malowidłach jaskiniowych. Zresztą proszę sobie wyobrazić, że nawet widziałem takie malunki. Kilka lat temu, w Utah.

Wrogość w jego głosie rozbawiła Mogensa, nie dał jednak nic po sobie poznać.

- Takich na pewno jeszcze pan nie widział, szeryfie. Nie chciałem pana urazić. Nawet większość z moich kolegów po fachu nie dostrzegłaby różnicy, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka.

- Ja jej nie wiedzę nawet na trzeci rzut oka - przyznał Wilson.

- A jednak różnica jest spora, proszę mi wierzyć. Te malowidła są szczególne. Gdy będziemy już gotowi zaprezentować nasze odkrycie publicznie, wówczas podręczniki dotyczące czasów prehistorycznych naszego kraju będą wymagały generalnej rewizji.

Wilson spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Właśnie z powodu tych rysunków?

- One w ogóle nie powinny istnieć - odparł Mogens. - Według naszej dotychczasowej wiedzy o tym kraju, w czasach gdy powstały, teren ten nie był jeszcze zamieszkały przez ludzi. - Świadomie odczekał chwilę. - Rozumie pan teraz, dlaczego doktor Graves tak dba, by nikt przedwcześnie nie dowiedział się o naszym znalezisku? Jest to być może najbardziej sensacyjne odkrycie archeologiczne tego wieku!

- Skoro pan tak twierdzi, profesorze... - Policjant sprawiał teraz wrażenie bezradnego.

Profesor musiał się opanować, by nie wyszczerzyć zębów w tryumfalnym uśmiechu. Trafnie ocenił Wilsona. O ile do tej pory szeryf sądził, że ma do czynienia z zarozumiałym naukowcem, o tyle teraz był gotów uwierzyć w każde wyjaśnienie, które by mu Mogens podsunął, byleby brzmiało dostatecznie uczenie.

- Sporo ryzykuję, pokazując panu tę grotę, szeryfie - ciągnął Mogens - ale wydaje mi się, że mogę panu zaufać. Potrzebujemy już tylko kilku dni, by ukończyć prace. Proszę się rozejrzeć. Czy dostrzega pan tu coś, co mogłoby wywołać trzęsienie ziemi? Największą maszyną, jakiej używamy, jest generator.

- Doktor Steffen był zdania, że prawdopodobnie używają panowie ładunku wybuchowego przy pracach wykopaliskowych.

- Ładunku wybuchowego?! - zaśmiał się VanAndt. - Nie. Z całym szacunkiem dla kompetencji naukowych doktora Steffena, ale on jest geologiem, nie archeologiem. Ładunki wybuchowe to jego działka. My pracujemy raczej ze szcoteczkami i pędzlami, a nie z dynamitem.

Za Wilsonem ktoś zaczął cicho, rytmicznie klaskać. Przestraszony Mogens odwrócił się gwałtownie i uniósł lampę. Wówczas Graves klasnął jeszcze dwa razy, wchodząc w krąg światła latarni.

- Brawo - powiedział zimno. - To była płomienna przemowa. Myślałeś kiedyś o tym, żeby zostać kaznodzieją, Mogensie? W każdym razie masz do tego talent.

Jeszcze raz klasnął i postąpił krok do przodu. Z jego oczu zniknął fałszywy, zimny uśmiech, a na jego miejsce pojawił się ślepy gniew.

- Mogę spytać, co tutaj robisz?

»fi-

W 1

Ufc

W 'c Sfki -

P ® i

r-jir

A ,

A O

- Profesor VanAndt przyprowadził mnie tu na moją wyraźną prośbę - wtrącił się Wilson. Graves zignorował go.

- Pytam ciebie, Mogensie - syknął. - Sądziłem, że wyraziłem się jasno w kwestii obecności obcych w podziemiach.

VanAndt już otwierał usta, by się bronić, ale szeryf go ubiegł.

- To była wyłącznie moja decyzja, doktorze - powiedział chłodno, stając przed Jonathanem. Wzrok Gravesa niechętnie przeniósł się z twarzy Mogensa na policjanta. Tępy gniew w jego oczach teraz ustąpił pogardzie.

- Obawiam się, że pan nie ma tu nic do decydowania, szeryfie - powiedział. - To teren prywatny. Zdaje mi się, że już kiedyś o tym wspominałem.

Wilson wyciągnął z kieszeni koszuli poskładaną kartkę i podał ją doktorowi. Ten jednak nie wziął jej, lecz wpatrywał się w papier z odrazą.

- Obawiam się, że to pan jest w błędzie, doktorze - oznajmił szeryf. - Oto decyzja sądowa, która upoważnia mnie do wejścia na teren pańskiej prywatnej posesji w celu zbadania stanu faktycznego.

Mogens był zaskoczony. Skoro Wilson miał decyzję sądową, dlaczego nic o tym nie wspomniał?

- Decyzja sądowa? - upewnił się Graves. Był zaskoczony, patrzył na szeryfa z niedowierzaniem, wyglądał też na nieco wystraszonego. Najwyraźniej nie zamierzał jednak wziąć pisma od Wilsona, mimo że ten wciąż je podsuwał.

W końcu szeryf westchnął i schował dokument.

- Jeszcze minionej nocy złożyłem wnioski. Proszę sobie wyobrazić, że nawet u nas na wsi niektóre sprawy udaje się szybko załatwić.

- Zeszłej nocy? - Jonathan pokiwał głową ze zrozumieniem. - Steffen nie traci czasu. Ile panu zapłacił, szeryfie?

wvfgA) r

ii ,iJ! ?v

o.

U's

- Profesor VanAndt przyprowadził mnie tu na moją wyraźną prośbę - wtrącił się Wilson. Graves zignorował go.

- Pytam ciebie, Mogensie - syknął. - Sądziłem, że wyraziłem się jasno w kwestii obecności obcych w podziemiach.

VanAndt już otwierał usta, by się bronić, ale szeryf go ubiegł.

- To była wyłącznie moja decyzja, doktorze - powiedział chłodno, stając przed Jonathanem. Wzrok Gravesa niechętnie przeniósł się z twarzy Mogensa na policjanta. Tępy gniew w jego oczach teraz ustąpił pogardzie.

- Obawiam się, że pan nie ma tu nic do decydowania, szeryfie - powiedział. - To teren

prywatny. Zdaje mi się, że już kiedyś o tym wspominałem.

Wilson wyciągnął z kieszeni koszuli poskładaną kartkę i podał ją doktorowi. Ten jednak nie wziął jej, lecz wpatrywał się w papier z odrazą.

- Obawiam się, że to pan jest w błędzie, doktorze -oznajmił szeryf. - Oto decyzja sądowa, która upoważnia mnie do wejścia na teren pańskiej prywatnej posesji w celu zbadania stanu faktycznego.

Mogens był zaskoczony. Skoro Wilson miał decyzję sądową, dlaczego nic o tym nie wspomniał?

- Decyzja sądowa? - upewnił się Graves. Był zaskoczony, patrzył na szeryfa z niedowierzaniem, wyglądał też na nieco wystraszonego. Najwyraźniej nie zamierzał jednak wziąć pisma od Wilsona, mimo że ten wciąż je podsuwał.

W końcu szeryf westchnął i schował dokument.

- Jeszcze minionej nocy złożyłem wniosek. Proszę sobie wyobrazić, że nawet u nas na wsi niektóre sprawy udaje się szybko załatwić.

- Zeszłej nocy? - Jonathan pokiwał głową ze zrozumieniem. - Steffen nie traci czasu. Ile panu zapłacił, szeryfie?

Pytam, ponieważ w tej sytuacji jestem gotów przebić jego ofertę.

Mogens nadal stał za Wilsonem, nie mógł więc dojrzeć jego twarzy, ale zauważył, że policjant lekko się wzdrygnął.

- To nie ma nic wspólnego z doktorem Steffenem - podchwycił. - Rozmawiałem z sędzią pokoju zaraz po tym, jak byłem zeszłej nocy na miejscu wypadku i zobaczyłem ślady.

- Ślady?

- Ktoś usunął potajemnie ciała - przypomniał Wilson.

- I co? - spytał Graves. Usiłował zachować spokój, ale przychodziło mu to z wyraźnych trudem. Coś dziwnego zaczęło się dziać z jego twarzą. W jego oczach oprócz pogardy błysnęło również coś innego, mrocznego, a potem jakby zaczęło się rozlewać na całą jego twarz. Mogens o mało nie zrobił kilku kroków w tył, byleby tylko tego nie widzieć. Przemknęło mu przez głowę, czy szeryf też do dostrzegł.

- Tutejsi ludzie są drażliwi, jeśli chodzi o spokój ich zmarłych, doktorze - odparł Wilson. - Tymczasem od tygodni na cmentarzu dzieją się dziwne rzeczy. Chodzą plotki, że W nocy słychać niepokojące odgłosy. Niektórzy twierdzą nawet, że widzieli dziwaczne cienie. Do tego jeszcze zniknęły dwa ciała. Może nawet trzy.

- I co z tego? - Jonathan wzruszył obojętnie ramionami. - Co mnie to obchodzi? Gdyby pan odtransportował obydwa ciała, co właściwie należało do pańskich obowiązków, a nie pozostawił jak śmieci, z pewnością nic by się nie stało.

Mogens instynktownie wstrzymał oddech. Jednak ku jego zaskoczeniu Wilson gładko przełknął również tę prowokację.

- To nie zwierzęta dobrały się do ciał - powiedział spokojnie.

1

- Nie zwierzęta? - Graves roześmiał się zjadliwie. -A cóż innego?

- Tego nie wiem - odparł szeryf. - Są ślady, doktorze. Ślady, jakich nigdy wcześniej nie widziałem, ale nie były to ślady zwierzęcia. W każdym razie ja nie znam takiego zwierzęcia.

- To śmieszne! - wybuchnął Jonathan. - Do czego pan zmierza?

- Do niczego - wzruszył ramionami Wilson. - Relacjonuję tylko, co się wydarzyło. Ludzie gadają. Boją się tego, co tu się dzieje. A przestraszeni ludzie bywają nieprzewidywalni.

Twarz Gravesa robiła się coraz mroczniejsza. Dlaczego policjant tego nie widział?

- Pana słowa odbieram jak groźbę, szeryfie -oznajmił Graves chłodnym tonem.

- Nazwałbym je raczej ostrzeżeniem, ale może je pan interpretować, jak pan chce.

Przez chwilę zdawało się, że chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu poprzestał na pokręceniu głową. Cofnął się na tyle daleko, by objąć wzrokiem zarówno Gravesa, jak i Mogensa. Przez kilka sekund spoglądał to na jednego, to na drugiego, po czym uniósł rękę i dotknął nią kieszeni na piersi, gdzie schował nakaz przeszukania.

- Ten dokument pozwala mi na natychmiastowe zamknięcie całego tego interesu - dodał chłodno. - Proszę podziękować profesorowi VanAndtowi, że nie skorzystam z tej możliwości. Doktor rzucił Mogensowi szybkie spojrzenie. Nie było w nim jednak wdzięczności, raczej wściekłość.

- Jak pan sobie życzy, szeryfie. Wilson zwrócił się teraz bezpośrednio do profesora: •
- Czy mógłby mnie pan odprowadzić do wyjścia?
- Oczywiście. - VanAndt postąpił krok naprzód, lecz Wilson jeszcze raz zatrzymał się, unosząc dłoń.

... •

li ii Mi

- Nie zwierzęta? - Graves roześmiał się zjadliwie. - A cóż innego?
- Tego nie wiem - odparł szeryf. - Są ślady, doktorze. Siady, jakich nigdy wcześniej nie widziałem, ale nie były to ślady zwierzęcia. W każdym razie ja nie znam takiego zwierzęcia.
- To śmieszne! - wybuchnął Jonathan. - Do czego pan zmierza?
- Do niczego - wzruszył ramionami Wilson. - Relacjonuję tylko, co się wydarzyło. Ludzie gadają. Boją się tego, co tu się dzieje. A przestraszeni ludzie bywają nieprzewidywalni. Twarz Gravesa robiła się coraz mroczniejsza. Dlaczego policjant tego nie widział?
- Pana słowa odbieram jak groźbę, szeryfie -> oznajmił Graves chłodnym tonem.
- Nazwałbym je raczej ostrzeżeniem, ale może je pan interpretować, jak pan chce. Przez chwilę zdawało się, że chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu poprzestał na pokręceniu głową. Cofnął się na tyle daleko, by objąć wzrokiem zarówno Gravesa, jak i Mogensa. Przez kilka sekund spoglądał to na jednego, to na drugiego, po czym uniósł rękę i dotknął nią kieszeni na piersi, gdzie schował nakaz przeszukania.

- Ten dokument pozwala mi na natychmiastowe zamknięcie całego tego interesu - dodał chłodno. - Proszę podziękować profesorowi VanAndtowi, że nie skorzystam z tej możliwości.

r

Doktor rzucił Mogensowi szybkie spojrzenie. Nie było w nim jednak wdzięczności, raczej wściekłość.

- Jak pan sobie życzy, szeryfie.

Wilson zwrócił się teraz bezpośrednio do profesora:

- Czy mógłby mnie pan odprowadzić do wyjścia?
- Oczywiście. - VanAndt postąpił krok naprzód, lecz Wilson jeszcze raz zatrzymał się, unosząc dłoń.

- Jeszcze jedno. Dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, muszę panów prosić o pozostanie na terenie obozu.

jL

racając na górę, Mogens zauważył, że zniknęła jedna z trzech przypominających trumny skrzyń. Ku jego uldze Wilson nie zauważył tego faktu, choć przekroczył je, zamiast je obejść. W drodze do samochodu nie odezwał się ani słowem, a gdy profesor poprosił szeryfa, by ten zabrał ze sobą do miasta jego i pannę Preussler, policjant kategorycznie odmówił. Oznajmił, że areszt domowy nałożony na Gravesa dotyczy nie tylko jego i Toma, ale również Mogensa wraz z gospodynią. Gdy Jonathan chyba po raz pierwszy zapukał do drzwi jego domku, a zaskoczony VanAndt zawołał „proszę”, sam nie potrafił powiedzieć, co robił przez ostatnie dwie godziny. Ocknął się z dręczącego pólśnu i ze zdziwieniem stwierdził, że stoi przy swoim pulpicie nad otwartą, nieznaną sobie książką. W ustach czuł nieprzyjemny posmak. Spojrzał na doktora niepewnie, z jeszcze większym zdumieniem zerknął na otwartą książkę, po czym zamknął ją wystraszony i odstawił na miejsce. Teraz dopiero zwrócił się do gościa.

- Jonathanie?

Tamten postąpił krok naprzód i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał najpierw na regał z książkami, potem dopiero na Mogensa.

- Profesorze VanAndt.

W tym momencie Mogens już wiedział, że te odwiedziny przed kolacją nie miały charakteru

towarzyskiego. Ale świadomie, na przekór gościowi, powtórzył nieoficjalnym tonem:

- Jonathanie...

Poskutkowało, przynajmniej na chwilę. Graves zastygł w pół ruchu. Sprawiał wrażenie zirytowanego, zaraz się jednak opanował. Nie czekając na zaproszenie, podszedł do stołu i usiadł.

- Znowu pracujesz, Mogensie? - spytał.

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą, choć w uszach Gravesa takie stwierdzenie musiało zabrzmieć absurdalnie. W końcu zastał go pochylonego nad otwartą książką. Profesor szperał nerwowo w pamięci, za nic jednak nie mógł sobie przypomnieć, o czym w niej czytał. Co więcej, wiedział, że lektura zdradziła mu niezwykle istotną tajemnicę, nie był jednak w stanie uświadomić sobie jaką.

- Rozumiem cię, Mogensie - westchnął Graves. - Na twoim miejscu prawdopodobnie zareagowałbym tak samo. - Zamilkł na moment. Zaraz jednak VanAndt dosłownie poczuł na skórze świdrujący wzrok. - Dobrze, rozumiem. Wolisz grać obrażonego. Zapewne nie powinienem brać ci tego za złe, nawet jeśli, przyznam szczerze, liczyłem, że będzie inaczej. Właściwie przyszedłem, by przekazać ci wiadomość od panny Preussler, że kolacja będzie gotowa za kwadrans. I żeby cię przeprosić.

Zapewne w tym momencie Mogens powinien coś powiedzieć, on jednak uparcie milczał.

- Postąpiłeś słusznie, pokazując Wilsonowi malowidła jaskiniowe - odezwał się po chwili Jonathan. - To była trafna decyzja. Wolę nawet nie myśleć, co ten małomiasteczkowy szeryf mógłby nawyprawiać, gdyby zrobił użytek ze swojego nakazu. A tak uspokoiłeś go. Zresztą nie widział nic istotnego, prawda?

Przez chwilę profesor całkiem poważnie zastanawiał się, czy nie oznajmić, że widział - tylko po to, by zobaczyć, jak Graves blednie i kurczy się z przerażenia. Na samą myśl o tym odczuł satysfakcję. Oczywiście w końcu nie powie-5-4-2 dział nic, potrząsnął tylko przecząco głową.

¿f

Poskutkowało, przynajmniej na chwilę. Graves zastygł w pół ruchu. Sprawiał wrażenie zirytowanego, zaraz się jednak opanował. Nie czekając na zaproszenie, podszedł do stołu i usiadł.

- Znowu pracujesz, Mogensie? - spytał.

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą, choć w uszach Gravesa takie stwierdzenie musiało zabrzmieć absurdalnie. W końcu zastał go pochylonego nad otwartą książką. Profesor szperał nerwowo w pamięci, za nic jednak nie mógł sobie przypomnieć, o czym w niej czytał. Co więcej, wiedział, że lektura zdradziła mu niezwykle istotną tajemnicę, nie był jednak w stanie uświadomić sobie jaką.

- Rozumiem cię, Mogensie - westchnął Graves. - Na twoim miejscu prawdopodobnie zareagowałbym tak samo. - Zamilkł na moment. Zaraz jednak VanAndt dosłownie poczuł na skórze świdrujący wzrok. - Dobrze, rozumiem. Wolisz grać obrażonego. Zapewne nie powinienem brać ci tego za złe, nawet jeśli, przyznam szczerze, liczyłem, że będzie inaczej. Właściwie przyszedłem, by przekazać ci wiadomość od panny Preussler, że kolacja będzie gotowa za kwadrans. I żeby cię przeprosić.

Zapewne w tym momencie Mogens powinien coś powiedzieć, on jednak uparcie milczał.

- Postąpiłeś słusznie, pokazując Wilsonowi malowidła jaskiniowe - odezwał się po chwili Jonathan. - To była trafna decyzja. Wolę nawet nie myśleć, co ten małomiasteczkowy szeryf mógłby nawyprawiać, gdyby zrobił użytek ze swojego nakazu. A tak uspokoiłeś go. Zresztą nie widział nic istotnego, prawda?

Przez chwilę profesor całkiem poważnie zastanawiał się, czy nie oznajmić, że widział - tylko po to, by zobaczyć, jak Graves blednie i kurczy się z przerażenia. Na samą myśl o tym odczuł satysfakcję. Oczywiście w końcu nie powiedział nic, potrząsnął tylko przecząco głową.

- Doskonale! - Doktor odetchnął z ulgą. - Zrobiłeś, co należy. Wilson jest już w swoim biurze i zapewne czuje się bardzo ważny, ponieważ powierzyliśmy mu naszą tajemnicę. Zanim zrozumie, że tak naprawdę chodzi o coś innego, będzie już za późno. Zachowałeś się bardzo rozsądnie, Mogensie. A mnie jak zwykle poniosło.

- Potraktuj to jak prezent na pożegnanie, Jonathanie -odparł Mogens. - Naciesz się nim, ponieważ jest ostatnią rzeczą, jaką dla ciebie zrobiłem.
 - Znów doszliśmy do punktu, w którym obrażony pakujesz walizkę? - wzruszył ramionami doktor. - Który to już raz? Trzeci? Czwarty?
 - Ostatni - zapewnił Mogens. - Możesz mi wierzyć.
- Oczekiwał sprzeciwu, ponownych namów, lecz Graves wzruszył jedynie ramionami.
- Niestety szeryf Wilson nie życzy sobie, abyście ty i twoja urocza panna Preussler zbyt prędko nas opuścili - zauważył, podnosząc się z krzesła. - Ale nie martw się, nie będę cię więcej próbował przekonywać do czegoś, czego sam nie chcesz. - Zrobił dwa kroki w kierunku drzwi, zatrzymał się jednak. - Przemyśl to raz jeszcze, Mogensie. Trudno mi sobie wyobrazić, że rzeczywiście chcesz przepuścić okazję dowiedzenia się, dlaczego Janice musiała umrzeć.
- anna Preussler przygotowała wyśmienitą kolację, jednak tylko Tom ją pochwalił. Graves jak zwykle nic nie jadł, tylko dotrzymywał im towarzystwa, popijając kawę. Mogens niechętnie grzebał w talerzu, czym najwyraźniej również gospodyni odebrał ochotę do jedzenia. Nic nie powiedziała, jednak spojrzała na niego z takim wyrzutem, że po kilku minutach usprawiedliwił się złym samopoczuciem. Wprawdzie panna Preussler z pewnością mu nie uwierzyła, ale sprawiała wrażenie, że przyjęła tę wymówkę do wiadomości. Jedynie Tom zjadł nie tylko swoją porcję, ale również danie profesora, gdy ten podsunął mu je i zachęcił jeszcze skinieniem głowy. Inaczej niż poprzednio Graves nie ponaglał do wyjścia, gdy tylko chłopak przełknął ostatni kęs. Nawet kiedy gospodyni bez specjalnego przekonania podsunęła mu dzbanek z kawą, ochoczo podstawił pustą filiżankę.
- Co się z panem dzieje, doktorze? - spytała panna Preussler, próbując rozluźnić napiętą atmosferę. - Proszę tylko nie mówić, że obudził się pan dziś rano cudownie uleczony ze swojej chorobliwej pracowitości.
 - Wręcz przeciwnie, panno Preussler - odparł Jonathan, pociągając łyk kawy. - Obawiam się, że Tom i ja mamy przed sobą długą noc. Z pewnych względów możemy zacząć prace dopiero około północy i niestety skończymy zapewne dopiero nad ranem.
 - To bardzo nierozsądne, doktorze - zmartwiła się gospodyni. - Nie wie pan, że sen przed północą jest najważniejszy? - Pokręciła głową z dezaprobatą, po czym nagle spytała zdziwiona: - Profesorze, a pan?
 - Profesor VanAndt zdecydował się zakończyć współpracę z nami - oznajmił Graves.
- Panna Preussler spojrzała zaskoczona na Mogensa.
- Czy to prawda?
 - Jutro wyjeżdżam - potwierdził. - Oczywiście jeśli pozwoli na to szeryf Wilson.
 - Och! - Gospodyni sprawiała wrażenie rozczarowanej, czego VanAndt nie mógł pojąć. - Tak nagle się pan zdecydował?
 - Nie mam tu nic więcej do roboty. - Spojrzał na Gravesa, lecz na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. - Zakładam, że będzie mi pani towarzyszyć - ciągnął.
- iał sen. Ale inaczej niż w zwykłym śnie czuł, że śni. Jakby tego było mało, znał również przyczynę tej dziwacznej mary. Zawdzięczał ją nikomu innemu, jak Gravesowi, który mnienie Janice.
- Tak... oczywiście - przytaknęła urywanym głosem gospodyni. - Jestem nieco zaskoczona, ale... cóż, możemy jechać.
- Teraz Mogens zdziwił się nieco. Najwyraźniej wyjazd stanowił dla niej problem, i to duży.
- Tom może odwiedzić panią i profesora VanAndta na dworzec w San Francisco - powiedział Graves. - Proszę się nie obawiać, załatwię sprawę z szeryfem Wilsonem. - Znów pociągnął łyk kawy i spojrzał przelotnie na Mogensa, po czym, zwracając się do panny Preussler, ciągnął: - Mam nadzieję, że do tego czasu odnajdzie pani swojego kota.
 - Tak, zaczynam poważnie martwić się o Kleopatrze -przyznała strapiona gospodyni. - Jeszcze nigdy nie zniknęła na tak długo. Z drugiej strony wszystko jest tu dla niej nowe i obce.
 - Może powinna pani postawić przed drzwiami miseczkę z mlekiem - zaproponował doktor.

Po raz kolejny pociągnął łyk kawy, drwiącym spojrzeniem lustrując VanAndta znad brzegu emaliowanej filiżanki.

- Rzeczywiście, to dobry pomysł! - ucieszyła się panna Preussler.
- Mogens wstał tak gwałtownie, że gospodyni spojrzała na niego wystraszona.
- Dokąd pan idzie, profesorze?
- Na dwór - oznajmił. - Poszukać Kleopatry.

■K

\A

i O

■»Ci

Nic więc dziwnego, że we śnie leżał w łóżku ubrany, nawet w butach, tak jak się położył wieczorem. Nie był już jednak sam. W nogach łóżka stała Janice - o niezmiennych delikatnych rysach, z bujnymi rudymi włosami i oczyma pełnymi melancholii. Miała na sobie tę samą ciemnoczerwoną sukienkę, co tamtej nocy. Mogensowi zdawało się, że czuje lekki zapach spalenizny zmieszany z inną, o wiele bardziej przykrą wonią rozkładu. Była jednak tak słaba, że raczej się jej domyślał, niż rzeczywiście ją czuł.

Część jego świadomości wpadła w panikę na widok Janice, ale druga, na razie silniejsza część Mogensa analizowała zjawę z czysto naukowym zainteresowaniem. Skupił się na jej sukience, w której widział ją po raz ostatni i w której zawsze pojawiała się w jego wyobrażeniach. Jej wspomnienie było tak nierozzerwalnie związane z tą czerwoną sukienką, jakby nigdy nie nosiła innej. I te zadbane, bardzo bujne rude włosy spływające jej na ramiona... Sprawiały wrażenie rozwichrzonych, nawet gdy wyszła prosto od fryzjera. Cała jej powierzchowność emanowała harmonią i siłą, która zadziwiała w zderzeniu z filigranową postacią i łagodnym głosem. VanAndt oczywiście zdawał sobie sprawę, że taki obraz Janice był wyidealizowany i nie całkiem odpowiadał prawdzie. Nie można jednak było zarzucić jego podświadomości braku fantazji, ani tego, że wspomnienie było zawsze takie samo tylko przez czyste wygodnictwo.

Tym razem jednak Mogens dostrzegł drobne różnice. To nie była ta sama Janice sprzed dziewięciu lat. Czas, który minął od strasznej nocy, odcisnął na niej swoje piętno. Była starsza i nawet ładniejsza, niż zachował ją w pamięci. Ładniejsza, bo dojrzała.

W swoim śnie profesor próbował wstać lub chociaż podeprzeć się na łokciach, był jednak jak sparaliżowany. Mógł tylko leżeć bez ruchu i przypatrywać się wspomnieniu, któ-re ucieleśniło się i teraz podchodziło do niego coraz bliżej.

Ogarniał go coraz większy strach, ale nie potrafił określić, czego właściwie się bał. Na pewno nie tylko wspomnienia owej przerażającej nocy. Minęło dziewięć lat, a żaden ból, który nie zdoła człowieka zabić lub doprowadzić do utraty zmysłów, nie utrzymuje się tak długo z niezmienną siłą. Kiedyś budził się zlany potem, z krzykiem i bijącym sercem. Znał dobrze strach, jaki niesie z sobą wspomnienie. Tym razem jednak nie czuł lęku przed przeszłością, lecz miał mroczne przeczucie, wręcz pewność, że niedługo stanie się coś strasznego, czego nie mógł w żaden sposób uniknąć.

Zjawa Janice zbliżała się powoli, posuwicie, jakby płynęła. Nie było widać, żeby stawiała kroki, co ostatecznie powinno go przekonać, że to sen, gdyby jeszcze miał wątpliwości. Serce waliło mu jak młotem, pod językiem zebrała się gorzka żółć. Próbował za wszelką cenę zrzucić kłępiące go niewidzialne pęta - bezskutecznie. Lęk potęgował się z każdą chwilą.

W końcu niepokojący, posuwisty ruch zjawy ustał. Zatrzymała się i zaczęła patrzeć na Mogensa oczyma Janice osadzonymi w twarzy Janice, jednak ani oczy, ani twarz wcale nie należały do ukochanej VanAndta. Była to maska, doskonały płaszcz ochronny, który dziwna istota przywdziała, by podkraść się do niczego niepodejrzewającej ofiary i odciąć jej drogę ucieczki.

Dostrzeżenie owej maski było równoznaczne z przejrzaniem postaci. Twarz Janice zaczęła się zsuwać, jakby straciła oparcie w rzeczywistości i ześlizgiwała się gdzieś niżej, gdzie powstają

koszmary senne. Oczy zjawy wypełniła bezdenna czerń, a pod skórą zaczęło się coś poruszać.
- Dlaczego mnie opuściłeś, Mogensie? - spytała istota, która coraz mniej przypominała Janice. -
Ufałam ci, ale ty mnie zostawiłeś. - Również głos nie brzmiał nawet jak głos ludzki, lecz jak
chlupoczący bulgot, jakby bagno coraz ściślej otaczające dom nagle przemówiło. Postać uniosła

u Z ■ - ■ }i;

v' ;1 o

ręce, ale nie dokończyła ruchu, ponieważ jej dłonie zaczęły topnieć i przeobraziły się w płataninę
robaków i oślizgłych larw. Jeszcze przez chwilę trzymały się zjawy, jakby niewidzialna moc
wtłoczyła je w tę formę, po czym opadły na brzeg łóżka Mogensa.

Wrzasnął przeraźliwie, jakby ktoś wbił mu w pierś rozżarzony sztylet, zaczął się rzucać na wąskim
łóżku, aż w końcu z niego spadł. Uderzył tak mocno twarzą o podłogę, że z bólu aż go zemdlilo. Na
języku poczuł smak krwi. Przetoczył się, stękając, i kątem oka zobaczył cień, który obszedł łóżko i
zbliżał się teraz do niego z drugiej strony -z rozpadającymi się rękoma, rozplywającą się twarzą,
bulgocący niczym bagno...

Śmiertelny strach dodał Mogensowi sił. Poderwał się, uderzył biodrem w kant stołu, aż mebel się
zatrząsł. Profesorowi z bólu oczy zaszyły mgłą, ale dokuśtykał do drzwi i otworzył je gwałtownie.
Zimne powietrze smagnęło go po twarzy. Zataczając się, VanAndt w ostatniej chwili przypomniał
sobie o trzech stopniach, które dzieliły drzwi od błotnistej plaży, i zdołał uniknąć lądowania w
bagnie. Upadł jednak na prawe kolano. Ból, który znów go przeszył, był tak silny, że jęknął głośno.
Łzy napłynęły mu do oczu. Mimo to wstał, cofnął się o krok i zacisnąwszy zęby, opadł na schody.
Dopiero po kilku minutach ból w biodrze zelżał. Profesor drżał na całym ciele. Pod językiem
zebrała mu się cierpka ślina, nie przełknął jej jednak, ponieważ znów dopadłyby go mdłości.
Pochylił się nad bagnem i wypluł gęstą grudkę śluzu, jednak towarzyszące temu obrzydzenie
ostatecznie przeważało szalę. Mogens siedział jeszcze przez kilka minut na schodach i z
zamkniętymi oczami czekał, aż wnętrzości przestaną się buntować. Nawet tak znikomy ruch,
jakim było otarcie dłonią potu z czoła, zdawał się wymagać nadludzkiego wysiłku.

A jednak nagła słabość nie była zła, przynajmniej odwracała uwagę od panicznego strachu, który
wygnał VanAndta z domu. Nie wiedział, do kogo ma mieć pretensje - do Gravesa, który wywołał
wizję, czy do siebie samego, że tak łatwo dawał sobą Jonathanowi manipulować.

Wyprostował ostrożnie prawą nogę. Bolała go i domyślał się, że najpóźniej jutro rano udo pokryje
fioletowy siniak, ale wstał, postąpił krok i odwrócił się w stronę domu. Drzwi były zamknięte, co
Mogens przyjął z ulgą, lecz zaraz sobie uświadomił, że nie ma odwagi ich otworzyć. Resztki
rozsądku okazały się słabsze od urojenia.

Zrobił kilka kroków w kierunku dawnego domu Hyams, zajętego obecnie przez pannę Preussler,
jednak nie zatrzymując się, zmienił kierunek i zaczął iść w stronę namiotu. Była to całkowita
kapitulacja, ale już się tym nie przejmował. Wiedział, że nie zazna spokoju, póki nie przejdzie do
końca drogą, na którą po części zwabił go Graves, a po części sam zdecydował się wstąpić.

Gdy Mogens zszedł po drabinie, inaczej niż ostatniej nocy generator był wyłączony i na dole
panowała nieprzenikniona ciemność. Wcześniej profesor uważał dźwięk generatora za przykry, ale
teraz za nim zatęsknił. Nie chodziło tylko o to, że nie dochodziły go żadne dźwięki. Ta głucha cisza
była niepokojąca i obca. VanAndt miał wrażenie, że rozpostarła tłumiącą płachtę, która dławiała
wszelkie odgłosy. Nawet jego kroki zdawały się bezszelstne. Gdyby na końcu tunelu nie migotało
blade światło, nie starczyłoby mu odwagi i natychmiast by zawrócił.

Największa jaskinia była pusta. Nie zobaczył Gravesa ani Toma, zniknęły również trzy skrzynie. Na
stole paliła

się lampa naftowa, której światło przemieniało chaos papierów, narzędzi i znalezionych
przedmiotów w dziwną płataninę ukośnych linii i cieni.

Majaczyło jeszcze drugie światło, które wskazywało mu drogę. Choć nie było to wcale
zaskoczeniem, Mogensa i tak przeszedł zimny dreszcz, gdy uświadomił sobie, że pali się ono w
korytarzu prowadzącym do świątyni. Jednak już teraz powrót wymagałby więcej odwagi niż dalsza
droga.

Światło było tak jasne, że wypełniało nawet korytarz pokryty hieroglifami, tak że profesor nie musiał się obawiać potknięcia czy wpadnięcia na ścianę. W połowie drogi usłyszał głosy. Niewątpliwie należały do Toma i Gravesa, a jednak w pierwszej chwili miał trudności z ich identyfikacją. Osobliwa cisza, która tak go zaniepokoiła, tu nie tłumiła już wszelkich dźwięków, lecz zmieniała je na tyle, że głos Gravesa wydawał się dziwnie głuchy i zniekształcony, jakby dobiegał spod wody.

Również i to złudzenie Mogens złożył na karby swojego zdenerwowania. Przyspieszył kroku, przez co nie zauważył na wpół otwartej kraty na końcu korytarza i wpadł na nią całym ciałem. Tom, który stał plecami do wejścia, wykonał błyskawiczny półobrót i przez chwilę wyglądał na przerażonego. Graves natomiast nad wyraz swobodnie odwrócił się do VanAndta i przez dobrych pięć sekund patrzył na niego z wyraźnym zadowoleniem. Ostentacyjnie powolnym ruchem sięgnął ręką do kieszeni kamizelki, wydobyl zegarek i otworzył klapkę. Mógł sobie darować ten teatr, Mogens był pewien, że wiedział dokładnie, która godzina.

Doktor zwrócił się nie do niego, lecz do Toma.

- Wygrałem - powiedział wesoło. - Jesteś mi winien dolara.

- Wygrałeś? - spytał zdziwiony profesor.

się lampa naftowa, której światło przemieniało chaos papierów, narzędzi i znalezionych przedmiotów w dziwną plątaninę ukośnych linii i cieni.

Majaczyło jeszcze drugie światło, które wskazywało mu drogę. Choć nie było to wcale zaskoczeniem, Mogensa i tak przeszedł zimny dreszcz, gdy uświadomił sobie, że pali się ono w korytarzu prowadzącym do świątyni. Jednak już teraz powrót wymagałby więcej odwagi niż dalsza droga.

Światło było tak jasne, że wypełniało nawet korytarz pokryty hieroglifami, tak że profesor nie musiał się obawiać potknięcia czy wpadnięcia na ścianę. W połowie drogi usłyszał głosy.

Niewątpliwie należały do Toma i Gravesa, a jednak w pierwszej chwili miał trudności z ich identyfikacją. Osobliwa cisza, która tak go zaniepokoiła, tu nie tłumiła już wszelkich dźwięków, lecz zmieniała je na tyle, że głos Gravesa wydawał się dziwnie głuchy i zniekształcony, jakby dobiegał spod wody.

Również i to złudzenie Mogens złożył na karby swojego zdenerwowania. Przyspieszył kroku, przez co nie zauważył na wpół otwartej kraty na końcu korytarza i wpadł na nią całym ciałem. Tom, który stał plecami do wejścia, wykonał błyskawiczny półobrót i przez chwilę wyglądał na przerażonego. Graves natomiast nad wyraz swobodnie odwrócił się do VanAndta i przez dobrych pięć sekund patrzył na niego z wyraźnym zadowoleniem. Ostentacyjnie powolnym ruchem sięgnął ręką do kieszeni kamizelki, wydobyl zegarek i otworzył klapkę. Mógł sobie darować ten teatr, Mogens był pewien, że wiedział dokładnie, która godzina.

Doktor zwrócił się nie do niego, lecz do Toma.

- Wygrałem - powiedział wesoło. - Jesteś mi winien dolara.

- Wygrałeś? - spytał zdziwiony profesor.

»IK

if <

¡H-

W

nr

m

ij

Graves zamknął klapkę złotego zegarka przesadnie głośno. Po komnacie rozeszło się głuche echo.

- Tom i ja założyliśmy się. On postawił dolara, że albo w ogóle nie przyjdiesz, albo dopiero po północy, ja natomiast postawiłem dwadzieścia, że zjawisz się najpóźniej o jedenastej. - Uniósł głowę. - Ledwo zdążyłeś. Jeszcze osiem minut i drogo bym za ciebie zapłacił, Mogensie.

- Powinieneś być mi o tym powiedzieć, Tom - mruknął VanAndt. - By zaszkodzić doktorowi, zniósłbym jeszcze przez dziesięć minut nawet towarzystwo panny Preussler.

- Nie wiedziałem, że aż tak mnie nienawidzisz - westchnął Graves, chowając zegarek. - Nie

jest dobrze, gdy podwładni zaczynają się sprzymierzać.

- Szczególnie gdy mają ku temu powód - zauważył Mogens. - Oczywiście oddam ci tego dolara, Tom.

Jonathan skrzywił się w uśmiechu, po czym nagle spowaźniał.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Prawdę mówiąc, wcale nie byłem tego pewien.

Sklamał - profesor był o tym przekonany. Graves ani przez chwilę nie wątpił, że przyjdzie. Po prostu to wiedział. VanAndt darował sobie jednak komentarze. Zamiast tego zrobił kilka kroków, rozglądając się uważnie dokoła.

Tak jak w innych pomieszczeniach, również i tu światło było wyłączone, jednak Tom i Graves zapalili przynajmniej pół tuzina lamp naftowych, które oświetlały komnatę nawet zbyt jasno, nadając jej nowy wygląd. Krawędzie wygładziły się, kontury przedmiotów rozmyły. Szpiczaste zęby posągów Anubisa i ostry dziób Horusa utraciły swój groźny wygląd.

Lecz stały tu te trzy złowieszcze, przypominające trumny skrzynie. Wieka dwóch z nich były otwarte, a między nimi piętrzyła się pozornie chaotyczna platanina lin,

supłów i metalowych bloczków. Mogens podążył wzrokiem za jedną z najgrubszych lin.

Przechodziła przez skomplikowany wielokształt i była przymocowana do sufitu, gdzie wisiało kilka sieci splecionych z grubych sznurów.

- Widzę, że nie czekaliście beczynnienie - powiedział z uznaniem, tłumiąc równocześnie nagły przypływ złości na widok stalowych gwoździ wbitych przez Gravesa w sufit zdobny we freski liczące sobie pięć tysięcy lat.

„Dobry Boże, i ten człowiek jest naukowcem?!“ - westchnął w duchu VanAndt.

- Pochwały należą się Tomowi - odparł Jonathan. - Właściwie on wykonał całą pracę, ja mówiłem mu tylko, co ma robić.

- Tak - wymamrotał Mogens. - Tak myślałem.

Graves przekrzywił głowę i spojrzał na niego, mrużąc oczy.

- W każdym razie cieszę się, że przyszedłeś nam pomóc... Bo zakładam, że nam pomożesz, prawda?

- Nie - odparł profesor szorstko. - Nie chcę wam pomagać. Nie chciałem tu nawet przychodzić.

- Dobrze cię rozumiem - pokiwał głową doktor. - Ale wierz mi, to słuszna decyzja. Jeśli osiągniemy sukces, nie tylko w krótkim czasie zostaniesz w pełni zrehabilitowany, ale również będziemy wiedzieć, co się stało z Janice i resztą. Może już nikogo więcej nie spotka taki los.

- Jeśli osiągniemy sukces - zauważył Mogens ochryłym głosem. Wpatrywał się w sieci zawieszane u sufitu.

Niedowierzenie kolegi rozbawiło Gravesa. Wyciągnął papierośnicę z kieszeni kurtki i otworzył, jednak gdy Tom rzucił mu wystraszone spojrzenie, natychmiast zamknął ją z powrotem.

- Przepraszam - wymamrotał. - Zapomniałem. - Mogens spojrzał na niego pytająco, a Graves dodał: - Ghule mają bardzo rozwinięty zmysł węchu.

- Ghule?

- Trzeba je jakoś nazwać, prawda? - Doktor znów wzruszył ramionami. - Na dłuższą metę to uciążliwe mówić ciągle o stworzeniach, istotach czy potworach. Wszystko gotowe? - zwrócił się do Toma.

- Tak - potwierdził chłopak. - Ale na wszelki wypadek sprawdzę jeszcze linkę alarmową. Graves popatrzył za nim i pokręcił głową, gdy Tom zniknął za barką żalobną.

- Dobry chłopak - powiedział. - Czasem zastanawiam się, co bym bez niego zrobił.

Opowiadałem ci, że kiedyś uratował mi życie?

Mogens nie był pewien, mimo to skinął potakująco głową. To wyznanie ani trochę go nie zdziwiło. Właściwie już sam nie wiedział, co tutaj było prawdą, a co grą Jonathana, mimo to akurat Tomowi był gotów ślepo zaufać. Poza tym miał wobec niego wyrzuty sumienia. To, że w domku chłopaka panował taki brud i bałagan, nie czyniło go jeszcze potworem. Ponieważ VanAndt sam stał się

niegdyś ofiarą niesprawiedliwego osądu, był szczególnie wyczulony na tym punkcie. Graves znów spojrział na zegarek. Sprawiał wrażenie nieco zasepionego, czego Mogens nie omieszkiał skomentować. Graves jednak pokręcił tylko głową i zmrużywszy oczy, spojrział w kierunku, gdzie zniknął Tom.

- Przychodzą zazwyczaj koło północy - powiedział. - Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że ma to związek z pozycją księżyca.

- A nie Syriusza? - Mogens pożałował tej uwagi, jeszcze zanim zdążył wypowiedzieć ją do końca, ale i tak nie mógłby się od niej powstrzymać.

Tym razem wyjątkowo Jonathan poprzestał na krzywym spojrzeniu i nie podjął dyskusji.

- Przepraszam - wymamrotał profesor.

-4

- Nieważne! - Graves machnął ręką.

Czarna rękawiczka powlekająca jego palce poruszyła się przy tym w niepokojący sposób, który przywiódł Mogensowi na myśl rozpadające się dłonie Janice. Odwrócił wzrok i przełknął głośno ślinę.

- Jesteś zdenerwowany - zauważył doktor. - Ja też, możesz mi wierzyć.

To wyznanie rozżłościło Mogensa, tym razem jednak zapanował nad sobą i powstrzymał się od uwagi, którą miał na końcu języka. Zauważył, że otacza ich głębszy mrok.

- Powiedziałem Tomowi, żeby zgasił lampy - powiedział Graves, któremu nie umknęło ledwo zauważalne wzdrygnięcie Mogensa. - Reagują na światło. Wydaje mi się, że sprawia im ono ból. Najwyraźniej mają bardzo wrażliwe oczy.

Profesorowi zdawało się, że nawet płomyk ostatniej latarni, która stała przy nogach doktora, przygasa pod naporem mroku. Serce zaczęło mu mocniej bić, gdy zobaczył przysadzisty cień, który wynurzał się przed nimi z ciemności. Chociaż dobrze wiedział, że nie mógł to być nikt inny jak Tom, przez chwilę niemal widział szpiczaste lisie uszy, błyszczące zębiska i żarzące się na czerwono oczy. Mimo to podążył za Gravesem niosącym latarnię. Jonathan zniknął zaraz za olbrzymim kamiennym blokiem, który kiedyś być może stanowił cokół jakiegoś posągu. Ciemność miała przynajmniej jedną dobrą stronę - nikt nie widział, jak VanAndtowi drżą ręce.

Chłopak dołączył do nich i na znak Jonathana skrył się za innym kamiennym blokiem. Drwiący głos rozsądku powtarzał Mogensowi: „To Tom, przecież to Tom”, mimo to z coraz większym trudem opierał się wrażeniu, że twarz chłopaka zaczęła się zmieniać, wydłużać, upodabniać do psiej mordy pełnej straszliwych zębów. Z palców wyrosły mu mordercze pazury, na głowie szpiczaste uszy

i szpeciniaste futro. VanAndt przeraził się - jeśli już teraz wyobraźnia podsuwała mu takie wizje, to co się wydarzy, gdy rzeczywiście stanie oko w oko z jedną z bestii?!

- Masz ze sobą broń? - spytał Gravesa.

- Po co? Chcemy schwytać ghula żywego.

- A jeśli on będzie odmiennego zdania?

Doktor ruchem głowy wskazał sufit.

- Te sieci dostałem od człowieka, który zwykle zaopatruje myśliwych polujących na grubą zwierzynę w Afryce. Są wystarczająco mocne, by ujarzmić rozwścieczonego goryla.

- A jeśli ghule są silniejsze od rozwścieczonych goryli?

- No to będziemy mieć kłopoty - uśmiechnął się Graves. Zaraz jednak potrząsnął uspokajająco głową. - Nie martw się Mogensie. Mam już nieco doświadczenia z tymi stworzeniami, to padlinożercy, nie drapieżniki.

- Zupełnie jak hieny, a przecież są niebezpieczne.

- Zwykle nie są agresywne - upierał się Jonathan. - Wiedzą, że ich gatunek może przetrwać, tylko gdy nikt nie będzie wiedział o ich istnieniu.

Mogens spojrział znacząco na Toma.

- Jego "ojciec je zaatakował. - Doktor od razu odgadł, co VanAndt ma na myśli. - Nawet najłagodniejsze zwierzę broni się, gdy zostanie napadnięte.

- A matka Toma? - Mogens starał się mówić cicho, by chłopak nie usłyszał, ale najwyraźniej

nie do końca mu się to udało, ponieważ odwrócił głowę i spojrzął na profesora wzrokiem pełnym bólu i gniewu.

- Być może chciały tylko bronić swojego terytorium - odparł Graves bez przekonania.

- A Janice? - spytał Mogens gorzko. - Czy przed Janice również musiały bronić terytorium? Graves wzruszył ramionami.

- Jesteśmy tu właśnie po to, by wyjaśnić tę kwestię. I cicho, bo je spłoszysz.

Nie był to jednak prawdziwy powód, dla którego nakazał milczenie. Profesor pojął, że Graves nie chciał ciągnąć rozmowy, bo wiedział na ten temat mniej, niż dawał do zrozumienia.

Nagle doktor chwycił lampę i przykręcił knot. Światło zbladło, rzucając jedynie słabą poświatę, która tym bardziej podkreślała czerń. W mroku tym czaił się strach.

Jonathan uniósł dłoń i dał znak Tomowi. Mogens nie mógł dojrzeć, co robi chłopak, ale już chwilę później jedna z lin zaczęła się naprężać i usłyszał ciche, rytmiczne skrzypienie. Wieko ostatniej, zamkniętej dotąd skrzyni, uniosło się. Dziwny, lekko słodkawy zapach uderzył w nozdrza profesora. Woń była mu obca, ale równocześnie w nieprzyjemny sposób znajoma. Dopiero po chwili zidentyfikował zapach. Z niedowierzaniem, ale i przerażeniem wciągnął jeszcze raz powietrze.

- To jest...

- A czego się spodziewałeś? - wszedł mu w słowo Graves. Jego głos był cichy, ale podobny do syku żmii. - Że zwabimy je doczesnymi szczątkami kota panny Preussler? - Pokręcił gniewnie głową. - Te potwory żywią się mięsem ludzkim, Mogensie.

- Ale ty... ty... - VanAndt zaczął się jąkać, w końcu zamilkł. Czego by nie powiedział, Jonathan skwitowałby to złośliwą uwagą. W dodatku słusznie. Graves przecież go nie okłamał, to raczej on, Mogens, uparcie zamykał oczy na rzeczywistość.

Wpatrywał się jeszcze chwilę w doktora skonsternowany. Słodkawy zapach rozkładającego się ciała przybrał na sile. Mogens z bijącym sercem wychylił się z kryjówki i wyteżył wzrok, by dojrzeć zawartość skrzyni. Choć światło było słabe, jego oczy zdążyły już na tyle przywyknąć do półmroku, że zdołał zajrzeć do drewnianej trumny. Po chwili tego pożałował.

Hyams nie wyglądała tak, jak wyobrażał sobie nieboszczyków. Zdawała się raczej spać. Na szyi miała otwartą ranę. Niegdyś biała bluzka teraz mocno poszarzała. Lecz VanAndt musiał przyznać, że Graves miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, by obmyć jej twarz i zamknąć oczy.

- To jest... Hyams - wykrztusił Mogens. - Dobry Boże, Jonathanie... ty... doktor Hyams...?

- Mówiłem ci, że potrzebujemy przynęty - odparł tamten chłodno.

- Ale Hyams! - westchnął profesor. - Na miłość boską, Graves, co ty zrobiłeś?!

- Nic nie zrobiłem - odparł Jonathan ostro, równocześnie nakazując skinieniem ręki, by VanAndt usiadł i nie hałasował. - Doktor Hyams zginęła w wypadku, już zapomniałeś?

- Ale... nie możesz jej przecież... - wyjąkał Mogens. - Na litość boską, Jonathanie! Przecież... przecież pracowałeś z tą kobietą niemal przez rok! Znałeś ją! Nie możesz jej przecież... użyć jako przynęty!

- Jestem pewien, że doktor Hyams nie miałaby nic przeciwko - odpowiedział Graves niewzruszony - Czego ktoś taki jak ona mógłby sobie życzyć bardziej, niż nawet po śmierci służyć nauce? - Uśmiechnął się złośliwie. - Myślałeś, że w tej trumnie leży Kleopatra?

- Ale... myślałem... po tym jak szeryf Wilson opowiadał o zbezczeszczonych grobach...

- Ach, rozumiem! - przerwał mu szyderczo doktor. - Myślałeś, że Tom i ja zakradliśmy się nocą potajemnie na cmentarz i wykopaliśmy ciało jakiegoś biedaka. - Potrząsnął energicznie głową. - Czy to według ciebie byłoby lepsze?

- Do diabła, tak! - wrzasnął Mogens. - Różnica byłaby ogromna! I, do diabła, dobrze o tym wiesz, ty potworze. - Ostatnie zdanie wypowiedział już rzeczywiście ciszej.

- Skończyłeś? - spytał ironicznie Graves.

VanAndt wpatrywał się teraz w niego w milczeniu.

- Jak już mówiłem, wszyscy jesteśmy zdenerwowani - powiedział Jonathan - dlatego nie mam ci za złe. Ale dosyć tego! Jeśli nasze zadanie cię przerasta, możesz odejść. Nie będę miał o to do ciebie pretensji. Jeśli jednak chcesz zostać, wypraszam sobie tego typu uwagi. Rozumiemy się?

Obaj uczeni mierzyli się wzrokiem, lecz i tak było jasne, kto wygra - podobnie jak we wszystkich poprzednich bitwach, które dotąd stoczyli. Graves po prostu tak miał, że zawsze wygrywał. Mogens pierwszy spuścił wzrok i skinął głową w milczeniu.

- Dobrze - powiedział Jonathan. - Ale teraz już naprawdę przestańmy rozmawiać. To już niedługo.

Przynajmniej tu miał się mylić. Być może na zegarze wcale nie upłynęło wiele czasu, jednak profesorowi dłużył się on w nieskończoność. Co chwilę zdawało mu się, że słyszy szmery albo że widzi w półmroku przysadzistą, ciężko stąpającą postać. Aż w końcu stąpanie stało się realniejsze, a zarys o lisich uszach, który wynurzył się przed nimi z ciemności, już nie był kolejnym przywidzeniem.

Był ghulem.

Mogens miał wrażenie, że zamienia się w sopel lodu. Myślał, że był przygotowany na ten moment, ostatecznie już nie po raz pierwszy od czasu straszliwej nocy na cmentarzu koło Harvardu widział jednego z tych potworów. Dopiero teraz jednak pojął, że na niektóre rzeczy nie można się przygotować.

Cień, który pojawił się przed VanAndtem, był takim samym potworem jak ten, który porwał Janice, jego osobistym demonem.

- Ani słowa więcej! - syknął Graves. Mogens ani na moment nie oderwał wzroku od przysadzistego cienia, czuł

«i

itfij

yBpł a

- Skończyłeś? - spytał ironicznie Graves.

VanAndt wpatrywał się teraz w niego w milczeniu.

- Jak już mówiłem, wszyscy jesteście zdenerwowani - powiedział Jonathan - dlatego nie mam ci za złe. Ale dosyć tego! Jeśli nasze zadanie cię przerasta, możesz odejść. Nie będę miał o to do ciebie pretensji. Jeśli jednak chcesz zostać, wypraszam sobie tego typu uwagi. Rozumiemy się? Obaj uczeni mierzyli się wzrokiem, lecz i tak było jasne, kto wygra - podobnie jak we wszystkich poprzednich bitwach, które dotąd stoczyli. Graves po prostu tak miał, że zawsze wygrywał. Mogens pierwszy spuścił wzrok i skinął głową w milczeniu.

- Dobrze - powiedział Jonathan. - Ale teraz już naprawdę przestańmy rozmawiać. To już niedługo.

Przynajmniej tu miał się mylić. Być może na zegarze wcale nie upłynęło wiele czasu, jednak profesorowi dłużył się on w nieskończoność. Co chwilę zdawało mu się, że słyszy szmery albo że widzi w półmroku przysadzistą, ciężko stąpającą postać. Aż w końcu stąpanie stało się realniejsze, a zarys o lisich uszach, który wynurzył się przed nimi z ciemności, już nie był kolejnym przywidzeniem.

Był ghulem.

Mogens miał wrażenie, że zamienia się w sopel lodu. Myślał, że był przygotowany na ten moment, ostatecznie już nie po raz pierwszy od czasu straszliwej nocy na cmentarzu koło Harvardu widział jednego z tych potworów. Dopiero teraz jednak pojął, że na niektóre rzeczy nie można się przygotować.

Cień, który pojawił się przed VanAndtem, był takim samym potworem jak ten, który porwał Janice, jego osobistym demonem.

- Ani słowa więcej! - syknął Graves. Mogens ani na moment nie oderwał wzroku od przysadzistego cienia, czuł

-_-

jednak, że Jonathan był cały spięty. Chwilę później unióśł dłoń i ukradkiem dał znak Tomowi. Profesor obserwował, jak zarys zbliża się w ich kierunku. Serce biło mu coraz mocniej, a krew zdawała się składać z mrożonej wody pełnej lodowych igiełek.

Ghul był coraz bliżej, a jego ruchy stawały się coraz bardziej powolne. Mogens miał wrażenie, że

zaczął podejrzliwie węszyć. Nie szedł prosto do otwartej trumny ze zwłokami Hyams, lecz rozglądał się ostrożnie na boki. Jego groźne, czerwone ślepia obserwowały nieufnie przynętę i dwie pozostałe trumny. Potwór przynajmniej raz spojrzął Mogensowi prosto w oczy, tak że profesor był pewien - musiał zostać dostrzeżony. Bestia przystanęła na moment, by po chwili wahania ruszyć dalej.

Ghul zatrzymał się dosłownie na wyciągnięcie ręki od trumny i spojrzął w górę. Nie mógł zauważyć sieci, a jednak coś mu przeszkadzało. Jednak w końcu nachylił się nad zwłokami Hyams. Wysunął pazury, by wbić je w swój łup.

- Tom! - wrzasnął Graves.

Potwór błyskawicznie uniósł głowę. Mogens nie mógł dojrzeć, co chłopak zrobił, ale prawie jednocześnie z krzykiem Jonathana rozległ się metaliczny dźwięk i szurgot. Profesorowi zdawało się, że cały strop świątyni zaczął drżeć.

Ghul zareagował błyskawicznie. Zaczął się rzucać na wszystkie strony, wyjąc przy tym jak postrzelony wilk, jednak ciężka sieć w końcu zwała go z nóg, a straszliwe wycie zmieniło się w obłądny krzyk wściekłości.

- Światło! - wrzasnął Graves. - Mogens, zapal światło!

Doktor wyskoczył zza kamiennego bloku, również Tom biegł już w stronę ghula szamotającego się w sieci.

Mogens chwycił lampę, którą Jonathan zostawił na ziemi. Światło było zbyt słabe, by rozświetlić salę, nawet gdy podkręcił knot, lecz kątem oka widział, jak Graves i Tom prawie jednocześnie dopadli ghula i rzucili się na niego jak szaleni. VanAndt zrobił krok w ich stronę. Patrzył, jak Jonathan i jego młody pomocnik walczyli z potworem, ale sam bał się zbliżyć.

- Pomóż nam! - krzyknął doktor. - Mogens, on jest dla nas za silny!

VanAndt postąpił kolejny krok. Serce waliło mu jak młotem. Ogarnął go śmiertelny strach spowalniający ruchy niczym lepka smoła, był w stanie myśleć jedynie o ucieczce.

- Mogensie, na miłość boską! - wrzeszczał Graves. Zaraz potem zawtórował mu Tom:

- Profesorze!

To właśnie głos Toma, nie Gravesa, wyrwał go z odrętwienia. Nie przestał się bać, wręcz przeciwnie, ale odzyskał zdolność ruchu. Z krzykiem rzucił się przed siebie, niestety zaraz potem runął jak długi, zaplątawszy się w jeden ze sznurów, które chłopak rozciągnął po całej sali.

Instynktownie zasłonił twarz rękoma. Liny co prawda złagodziły uderzenie, jednak przez chwilę leżał ogłuszony. Gdy się w końcu podniósł, zobaczył, że walka przybrała dramatyczny obrót.

Ciężka sieć, choć na początku zwała ghula na ziemię, teraz jedynie ograniczała jego ruchy. Potwór zdążył już podnieść się na kolana, kłapał zębami i z furią walił pięściami na prawo i lewo. Grube sieci chroniły Gravesa i chłopaka przed jego zębami i pazurami, nie byli jednak w stanie poskromić bestii. Tom rzucił się ghu-lowi na plecy, ale nie zdołał go powalić - równie dobrze mógłby próbować chwytów zapaśniczych w walce z niedźwiedziem grizzly.

- Pomóż nam, do diabła! - sapał Graves. - Musimy go przewrócić!

Mogens nie miał pojęcia, dlaczego tak właśnie należało zrobić, ale rozkazujący ton podziałał. Gdy skoczył ku po-5 o O tworowi, doktor uczynił coś, co w pierwszej chwili wydało

33*-,r

- -i'*, '

'li--)ulr .. •r' - »

'jm ,

rr>:: r

się VanAndtowi równie bezsensowne, jak wysiłki Toma. Graves wziął rozbieg i całym ciężarem ciała uderzył w bestię. Ghul zawył i usiłował go złapać. Również teraz sieć na goryle chroniła doktora przed zębami bestii, jednak Mogens usłyszał dźwięk targanego materiału. Doktor zatoczył się, wydając przy tym tłumiony okrzyk.

- Jonathanie, na miłość boską, jesteś ranny? - jęknął profesor.

Graves z szeroko otwartymi oczami zerknął na ubranie. Pazury ghula niczym brzytwy rozcięły kurtkę i koszulę, ciało jednak cudem pozostało nietknięte.

- Szybko! - krzyknął Tom. - Długo już go nie utrzymam!

Rzeczywiście, ghul zdołał się bardziej wyprostować. Kłapiący pysk i pazury ciągle plątały się w sieci, jednak była to kwestia tylko kilku chwil, gdy zrzuci z pleców chłopaka, a zaraz potem będzie wolny.

Dwaj uczeni wspólnie natarli na bestię. Potwór ryczał z wściekłości i próbował ich odepchnąć, jednak we trzech zdołali go przewrócić. Ghul runął ciężko na bok, omal nie przygniatając Toma swoim ciężarem. Mogens i Graves błyskawicznie owinięli go szczelną siecią. Bestia kopła, wymachiwała łapami i kłapała pyskiem na oślep, jednak im bardziej desperacko się broniła, z im większą wściekłością się szamowała, tym bardziej grzęzła pośród sznurów. Po kilku chwilach ghul właściwie sam się unieszkodliwił, szybciej i skuteczniej, niż byliby to w stanie uczynić jego przeciwnicy. Wściekły skowyt przerodził się w przejmującą grozą warkot.

Graves, ciężko sapiąc, cofnął się o krok.

- Czy ktoś jest ranny? - spytał.

Profesor wzruszył ramionami. Co prawda biodro nie było już jedynym miejscem jego ciała, które jutro zamieni się w jeden wielki siniak, ale poza potłuczeniami nic mu

I

'Włtiaa

nie dolegało. Również Tom wyszedł z tego cało, a jedynym uszczerbkiem, jakiego doznał Jonathan, była rozcięta kurtka i koszula.

- Dobrze - powiedział Mogens z zapalem. - Wsadźmy go do skrzyni, szybko.

Chociaż spętany potwór był bezbronny, VanAndt musiał zebrać się na odwagę, by jeszcze raz podejść bliżej i pomóc towarzyszom wciągnąć go do przygotowanej skrzyni. Nie poszło im łatwo. Ghul ważył dwa razy więcej, niż by można przypuszczać. Choć wzrostu postawnego mężczyzny, był zbudowany o wiele potężniej od cyrkowych siłaczy. W dodatku tylko częściowo skrępowany, wyjąc, rzucał się na wszystkie strony. Mogens miał już kilka siniaków więcej, natomiast Tom otrzymał tak silnego kopniaka w brzuch, że aż jęknął z bólu. W końcu udało im się jednak wtłoczyć potwora do skrzyni. Podczas gdy Mogens i Tom przytrzymywali ghula, Graves w tym czasie zaciskał na lewej łapie potwora stalowe kajdanki przyśrubowane do wewnętrznej strony skrzyni. Doktorowi starczyło jeszcze sił, by skrępować drugą łapę, potem jednak padł na podłogę wyczerpany. Tom musiał więc pozostawić szalejącego potwora Mogensowi, sam zaś długo zakuwał pozostałe kończyny ghula w stalowe obręcze. W końcu, ciężko dysząc, opadł na podłogę obok Gravesa. Krew ciekła mu z nosa, ale nie miał siły otrzeć jej z twarzy.

Wreszcie również profesor zsunął się z piersi potwora. Chociaż ghul był już unieszkodliwiony, VanAndt pospiesznie odczołgał się w tył, aż uderzył ramieniem i głową w drugą, pustą skrzynię. Wieko trzasnęło, budząc echo.

- Udało nam się, Mogensie. - Graves z trudem łapał powietrze. - Sam w to nie mogę uwierzyć, ale udało nam się. Wiesz w ogóle, co to oznacza?

- Tak - odpowiedział profesor niechętnie. - Że ju-3i2 tro rano zapewne nie będę mógł się ruszać. - Jego twarz

J-

* H;'

wykrzywił ból. Czuł odrętwienie w całym ciele, a w uszach nadal mu dzwoniło.

- Udało nam się! - powtórzył doktor. - Było to w dodatku łatwiejsze, niż myślałem.

- Łatwiejsze?!

Graves próbował się podnieść, lecz ponownie opadł na podłogę, jęcząc przy tym głośno. Ledwo złapał oddech, ciągnął:

- Nadal nie masz pojęcia, czego właściwie dokonaliśmy, prawda?

Mogens rzeczywiście nie wiedział. I nie był wcale pewien, czy chce wiedzieć.

Podniósł się z trudem, podszedł do otwartej skrzyni i nachylił się nad nią z bijącym sercem.

Chociaż potwór był podwójnie skrępowany, VanAndt zachował dystans, tak by pozostać poza zasięgiem jego pazurów i zębów. Graves również zbliżył się do ghula, a Tom poszedł po lampę.

Mogens poczuł wdzięczność dla chłopaka, gdy zauważył kątem oka, że Tom po drodze zamknął wieko trzeciej skrzyni, w której leżało ciało Hyams.

VanAndt na próżno próbował wykrzesać z siebie choć odrobinę dumy z odniesionego zwycięstwa. Wręcz przeciwnie, strach wcale nie zelżał, przybrał tylko inną formę. Nawet uwięziony ghul budził grozę. Mogens oszacował jego wagę na przynajmniej dwieście pięćdziesiąt funtów samych mięśni. Gdy VanAndt po raz pierwszy zobaczył skrzynie, uważał, że ciężkie dębowe deski, stalowe taśmy oraz masywne kajdany na ręce i nogi to spora przesada. Teraz zastanawiał się, czy bestia nie napnie się i nie uwolni.

- Co za kolos! - wymamrotał.

- Tak - przyznał Graves. - Gdy na niego patrzę, to się zastanawiam, czy nie należałoby zmienić swoich przyzwyczajęń żywieniowych.

Mogens zmierzył go zimnym wzrokiem.

~"TU

¡UF'

- Jesteś niesmaczny, Jonathanie - powiedział. Doktor uśmiechnął się ironicznie.

- Nasz przyjaciel jest chyba odmiennego zdania. To bynajmniej nie największy egzemplarz, jaki do tej pory widziałem.

Dla profesora jednak ten okaz był wystarczająco duży. Mógłby rozszarpać niedźwiedzia, ponadto była od niego taka wściekłość, że Mogens poczuł na plecach zimny dreszcz. Najgorsze jednak było uczucie obcowania z zupełnie obcą istotą, tak nierealną, że VanAndtowi trudno było zaakceptować, że prawdziwą.

Graves schylił się i kilka razy mocno szarpnął siecią.

- Co ty robisz? - spytał profesor.

- Samiec - mruknął do siebie Jonathan. Nie wyglądał na zadowolonego.

- No to co, że samiec? - wzruszył ramionami Mogens.

- Nic, nic - odparł pośpiesznie doktor. - Tyle że wszystkie ghule, które do tej pory widzieliśmy, były samcami. I to właśnie jest dziwne.

- Może tylko samce wyruszają na poszukiwanie pokarmu - rzucił VanAndt.

- To by było nietypowe - odparł Graves. - W przypadku większości zwierząt drapieżnych to raczej samice polują albo też poszukują pokarmu wspólnie z samcami.

- Czy sam nie mówiłeś, że mamy tu do czynienia z gatunkiem zupełnie nieznanym, o którym prawie nic nie wiemy?

Jonathan przez chwilę patrzył zamyślony na profesora, po czym skinął bez przekonania głową.

- Może masz rację. Mimo wszystko to dziwne. No ale mamy jednego osobnika, który na pewno pomoże nam znaleźć odpowiedzi na część pytań.

Ghul, zupełnie jakby zrozumiał jego słowa, potrząsnął 3 łańcuchami kajdankami i zawył przeciągle. Mogens instynktownie

'tX'ivr

r •

zrobił krok do tyłu, również Graves się wzdrygnął. Tom, który wracał z drugą latarnią, przystanął i spojrzął w mrok, z którego dopiero co się wynurzył.

- Co zamierzasz z nim teraz zrobić? - spytał VanAndt.

- Po pierwsze, trzeba go stąd wynieść - stwierdził Graves. Jego głos zabrzmiał nieco nerwowo. - Tom przywiózł ostatnio z miasta materiał na solidną, mocną klatkę. Możemy ją złożyć w ciągu godziny.

-I co dalej?

Doktor odpowiedział dopiero po chwili, gdy przebrzmiał żaloszny skowyt potwora:

- Szeryf Wilson ma w biurze telefon. Wszystko jest już przygotowane, muszę jeszcze tylko zadzwonić w kilka miejsc. Przy odrobinie szczęścia jutro wieczorem możemy go zawieźć do San Francisco i zaprezentować publicznie oraz oczywiście pokazać gronu naszych szanownych

kolegów. - Westchnął. - Wiesz, co wywoła nasze odkrycie. Spróbują wszystkiego, by udowodnić, że jesteśmy hochsztaplerami.

W tym momencie profesor zdał sobie sprawę, że najgorsze jeszcze przed nim. I nie omieszkał wspomnieć o tym Gravesowi.

- Masz' rację - powiedział Jonathan, po czym zwrócił się do chłopaka. - Tom!

Tom postawił latarnię w nogach skrzyni z pytającym wyrazem twarzy.

- Sieć? j

Doktor zastanawiał się przez chwilę, po czym ku uldze Mogensa potrząsnął przecząco głową.

- Lepiej zostawmy, jak jest, nic mu nie będzie.

Ghul zawył ponownie. Nie próbował już wyswobodzić się z obręczy, być może zrozumiał, że to nie ma sensu. Jego skowyt był przeciągły i żalospny, brzmiał jak wołanie o pomoc. Przestraszony Mogens próbował odpędzić od siebie tę

myśl, ale pobudzona wyobraźnia podpowiadała mu, że na ten jęk odpowiedział drugi skowyt, tylko póki co bardzo daleki. Z trudem się otrząsnął.

A może nie było to jednak złudzenie...

Podniósłszy wzrok, zobaczył, jak Graves i Tom, obaj trupio bladzi, wpatrywali się w ciemność po drugiej stronie barki żałobnej.

Patrzyli w stronę tajemnego przejścia, które wiodło do drugiej sali świątynnej.

- Tom! - szepnęła wystraszony doktor. - Tom, zamknij drzwi! Szybko!

Chłopak dopiero po chwili ocknął się z odrętwienia i skoczył do przodu, ale było już za późno. Nie zdążył zrobić nawet dwóch kroków, gdy rozległ się głuchy łoskot, a zaraz potem odgłos kruszonej skały. Jeden z rydwanów, stojący dokładnie na granicy między zupełną ciemnością a cieniem, zaczął się chybotać. Liczące sobie pięć tysięcy lat malowane drewno zostało skruszone jednym uderzeniem, a posąg konia runął na ziemię rozbity na drobne części.

Jeszcze gdy odłamki rzeźby toczyły się po podłodze, na jej miejscu wyrósł przysadzisty cień o lisich uszach. Niepokojące, żarzące się na czerwono oczy patrzyły wprost na nich. Ustało przerażające wycie, usłyszeli natomiast dźwięk budzący jeszcze większą grozę - cichy, głuchy, mrozący krew w żyłach warkot.

Tom również zamarł na kilka sekund, potem jednak krzyknął przeraźliwie, uniósł ręce i z gołymi pięściami rzucił się na ghula.

Nie zdołał go dopaść.

Inny potwór, który niczym nagle zbudzony do życia cień wyszedł z mroku, skoczył na chłopaka i powalił go na podłogę. Krzyk Toma urwał się, gdy przywaliło go ciało bestii.

Mogensa to nie zaskoczyło. Był zbyt przerażony, aby cokolwiek mogło go zdziwić. Rzeczywistość stała się

koszmarem, a koszmar rzeczywistością. Chociaż zupełnie bezbronny i sparaliżowany, absurdalnie Mogens odczuł ulgę, gdy ghul wynurzył się całkowicie z cienia i przekształcił w muskularną, włochatą postać. Profesor nie miał wątpliwości, że zaraz umrze, ale przynajmniej zostanie mu oszczędzone najgorsze. Zdawało mu się bowiem, że zobaczył zjawę Janice ze swojego koszmaru. Wołał już śmierć z łap tych potworów.

Ghule zbliżały się powoli. Przestały warczeć, zamiast tego Mogens słyszał węszenie i ziajanie, którym towarzyszyły głębokie pomruki. Poczul młący, słodkawy odór, który wcześniej uważał za smród zgnilizny, zanim pojął, że był to zapach stworzeń, które tak długo żywiły się gnijącym mięsem, aż w końcu zapach ich pożywienia stał się ich własnym.

- Mogensie, na litość boską, biegnij! - wrzasnął Graves. W pierwszej chwili profesor ani drgnął, ale doktor obrócił się na pięcie i pociągnął go za sobą tak gwałtownie, że ten omal się nie przewrócił. Przebiegł nieporadnie kilka kroków za doktorem, aż w końcu odzyskał równowagę i wyrwał się Jonathanowi.

- Tom! - wysapał. - One mają Toma! Musimy mu pomóc! '

Graves odwrócił się pospiesznie.

- Pomóc? Oszalałeś? W jaki sposób? Człowieku, biegnij!

Ale i na to było już za późno! Profesor dojrzał ghule zaledwie kilka kroków od niego, a miał już

okazję się przekonać, jak niewiarygodnie szybkie potrafią być te pozornie ociężałe stworzenia. Mógł wybrać ucieczkę i śmierć tchórze albo zrobić to, co powinien był zrobić dziewięć lat temu - stawić czoła przeznaczeniu. Odwrócił się ku potworom. Nie czuł lęku. Widział już, co potrafiły zdziałać ich pazury. Wiedział, że to nie potrwa długo.

Bestie podeszły jeszcze bliżej, ale ku zdziwieniu Mogensa zatrzymały się. Stworzenia groziły mu, wydając głuche, warczące dźwięki, obydwaj wyszczerzyły zęby, unosząc przy tym górną wargę. Mogens czuł ich złość, ale choć każdy z potworów mógł go w jednej chwili rozszarpać na kawałki, nie zrobiły tego. W ich oczach VanAndt wyczytał coś pomiędzy respektem a lękiem. Graves miał rację, to byli padlinożercy, nie drapieżcy. Podobnie jak sępy czy hieny zmuszone do walki stawały się niebezpiecznymi przeciwnikami, unikały jednak starcia tak długo, jak było to możliwe. Bardzo powoli i ostrożnie, by nieopatrznym ruchem nie sprowokować ich do ataku, Mogens uniósł ręce i zaczął się wycofywać. Jeden z potworów kłapnął szczęką, ale był to tylko sygnał ostrzegawczy. Bardzo ostrożnie profesor zrobił kolejny krok w tył.

Za potworami poruszył się cień i VanAndt usłyszał cichy jęk.

- Tom, na litość boską, nie wstawaj! - wydusił. - Nie ruszaj się!

Zrobił jeszcze kilka kroków, aż w końcu stanął obok Gravesa.

- Mogensie, co... - zaczął doktor.

- Cicho! - przerwał mu pospiesznie profesor tak wystraszony, że Jonathan natychmiast zamilkł. - One nic nam nie zrobią! Spójrz! Wydaje mi się, że chcą tylko uwolnić swojego! Rzeczywiście, ghule nie poszły za Mogensem, lecz - ciągle jeszcze węsząc nieufnie, warcząc i wygrażając w stronę naukowców - zbliżyły się do trumny, w której leżał uwięziony padlinożerca. VanAndta przeszły ciarki, gdy zobaczył, z jaką łatwością ich pazury rozszarpały grube sznury. Chwilę później pękły żelazne obręcze i uwięziony potwór w stronę Mogensa ostrymi jak brzytwa zębami. Cuchnąca, spieniona ślina kapłała mu z pyska, ale nic nie wskazywało na to, żeby chciał rzucić się na profesora i Gravesa.

Ghul dołączył do swoich towarzyszy, którzy węsząc i warcząc, zbliżali się właśnie do skrzyni z ciałem Hyams. Jednym uderzeniem łapy rozbili na kawałki grube wieko z dębowych desek, przy drugim ciosie odleciały metalowe wzmocnienia pokrywy. Jeden z potworów schylił się i sycząc tryumfalnie, uniósł ciało archeolog w górę.

Gdzieś za Mogensem i Gravesem rozległo się pobrzękiwanie. Profesor zerknął przez ramię i zobaczył żółtawe światło majaczące w tunelu pokrytym hieroglifami.

- Hop, hop, doktorze! Profesorze! - dobiegł ich dobrze znany, przenikliwy głos. - To ja, Betty Preussler! - Z tunelu wynurzył się płomień świecy, a zaraz za nim gospodyni VanAndta. Niosła tacę z naczyniami i parującym dzbankiem. - Pomyślałam, że skoro mnie panowie nie posłuchali i pracują całą noc, przynajmniej przyniosę mocną kawę.

- Na miłość boską! - jęknął Mogens. Usłyszał ruch za sobą i krzyknął na całe gardło: - Panno Preussler! Proszę uciekać! Musi się pani ratować!

Panna Preussler oczywiście nie uciekła, zamiast tego postąpiła jeszcze dwa kroki do przodu. Stała wreszcie i dezorientowana rozejrzała się dokoła, po czym spojrzała na VanAndta i zamrugła oczami.

- Ależ profesorze, chciałam panu tylko...

Mogens usłyszał, jak Graves wrzasnął przerażony i runął na ziemię, po czym sam otrzymał tak silny cios w bok, że wylądował na ścianie i osunął się na kolana. Na chwilę zamroczyło go z bólu. Potem usłyszał krzyk panny Preussler, brzęk metalu i odgłos rozbijanej porcelany, po czym raz jeszcze przerażony krzyk, tym razem o ton wyższy. To właśnie wyrwało profesora z oszołomienia. Z jękiem przetoczył się na bok i zmusił do otwarcia oczu.

Nie mogło minąć wiele czasu. Ghule zniknęły, ale Mogensowi zdawało się, że zdążył jeszcze gdzieś przed sobą dojrzeć rozmyty cień jednego z nich. Rozpaczliwe krzyki panny Preussler przycichły wprawdzie, lecz nadal dało się je dosłyszeć. Profesor przycisnął dłoń do zranionego boku

Jonathan również uderzył o ścianę po przeciwległej stronie wejścia i upadł. Podciągnął kolana, a rękami zasłonił twarz. Jeden z ghuli stał nachylony nad nim, warczał i ślinił się, grożąc pazurami,

ani razu jednak go nie uderzył. Drugi potwór zarzucił sobie przez ramię ciało Hyams i oddalił się, utykając. Wówczas z tunelu wyszedł trzeci. Ten chwycił pannę Preussler i uniósł w górę bez najmniejszego wysiłku. Gospodyni krzyczała z całych sił, biła pięściami i kopała jak opętana. Próbowwała nawet podrapać porywacza, ale na tej bestii wysiłki starszej kobiety nie robiły najmniejszego wrażenia. Zrozpaczony Mogens w przyływie odwagi błyskawicznie wstał i rzucił się na ghula.

Nie zdołał przewrócić bestii czy choćby zmusić jej do wypuszczenia bezradnie wierzgającej ofiary. Ghul warknął gniewnie i leniwym ruchem, jakby od niechcienia, odtrącił Mogensa. Cios odebrał profesorowi oddech, a ostre jak brzytwy pazury rozcięły mu koszulę. Miał mniej szczęścia, niż wcześniej Graves. Poczuł ostry ból i zobaczył cztery głębokie, równoległe rysy biegnące od uda do pachy. Znow osunął się na kolana i przewrócił na bok. Ciepła krew spływała mu po boku, a ból stał się tak dojmujący, że VanAndt pragnął już tylko stracić przytomność.

Nie doznał jednak tej łaski, przeciwnie, odzyskał pełną świadomość. Chciał się w końcu uwolnić od męki, było jednak coś ważniejszego niż strach i cierpienie. Podniósł się z trudem, ale natychmiast znow upadł na zraniony bok. Znalazł jednak w sobie dość siły, by pokonać ból i jeszcze raz wstać. i zgięty wpół zmusił się do zrobienia kolejnego kroku. Cichnące krzyki gospodyni stały się jeszcze bardziej desperackie.

- Mogensie, co ty robisz?! - wrzasnął Graves.

VanAndt zignorował go, zrobił jeszcze jeden krok i zacisnął zęby, by stłumić jęk. Nie miał odwagi spojrzeć na siebie, ale czuł, że ubrania miał mokre i ciężkie od krwi. Mimo to pokuśtykał dalej i jęcząc, z trudem się wyprostował. Udało mu się nawet odrobinę przyspieszyć kroku. Głos panny Preussler był jeszcze słyszalny, więc żyła. Musiał ją ratować. To nie może się wydarzyć jeszcze raz, nie może jeszcze raz zawieść...

- Mogensie, zwariowałaś?! - wrzasnął za nim Graves. -Stój! One cię zabiją!

Profesor szedł dalej, choć tracił siły z każdym krokiem. Jednak znow przyspieszył. Omal się nie przewrócił, gdy zahaczył stopą o głowę rozbitego posągu konia, w końcu jednak dotarł do ukrytego przejścia. Figura kota była roztrzaskana na drobne kawałki, również drzwi znaczyło pęknięcie, jakby ktoś rozrąbał je siekierą. Za nimi rozwierała się czarna otchłań.

Promyk światła musnął Mogensa i VanAndt zatrzymał się przy otwartym przejściu.

Zdezorientowany odwrócił głowę. Graves ciągle jeszcze siedział przy ścianie obok wyjścia i nadal krzyczał do profesora, żeby tu został. Tom zareagował o wiele rozsądniej - nie tylko poszedł za Mogensem, ale też chwycił po drodze dwie zapalone latarnie.

- Profesorze, na litość boską, proszę zaczekać!

VanAndt zrobił jeszcze pół kroku, po czym zatrzymał

się zaskoczony, że jest do tego w ogóle zdolny. Wszystko wokół wirowało, ale jego mała to obchodziło. Przestał myśleć o bólu, więc i on przestał mu doskwierać, mimo że rany krwawiły coraz obficie. Mogens czuł słodkawy, żelazisty

B&T-- Ä •

y U-:'!' u ■ > ■

lA.ruTSPi •

i O ''!

jit"

Tin

r.'

I'.V

IT .

zapach, który z pewnością działał na ghule jak przynęta. A jednak to on chciał polować na bestie, nie one na niego.

Tom dołączył do profesora, ciężko dysząc. Latarnia, którą trzymał w dłoni, drżała tak silnie, że jej migoczący płomień zdawał się ożywiać hieroglify na ścianach. W drugiej dłoni chłopaka pobłyskiwało coś metalowego, być może broń. Chłopak miał twarz zalaną krwią, ale Mogens nie

potrafił powiedzieć, czyją.

- Poradzi pan sobie?

Grota przestała się kręcić wokół Mogensa, a świat zaczął zastygać - niestety groził, że go przygniecie swym ciężarem. VanAndt oddychał z trudem, jakby każdy kolejny wdech dostarczał mu mniej powietrza niż poprzedni. Zrozumiał, że musiał stracić dużo krwi.

- Tak - wymamrotał.

Tom przez chwilę sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zatroskanego. Minęło kilka cennych sekund z czasu, który pozostał profesorowi, zanim chłopak zdecydował się ostatecznie i skinął głową.

- Dobrze - powiedział i wyciągnął dłoń do Mogensa. Przedmiot, który w niej trzymał, a który VanAndt uznał wcześniej za broń, okazał się masywną lampą. Roztaczała jasne światło i ostry zapach karbidu. Zdawała się jednak ważyć tonę i profesor musiał ją chwycić obiema rękami, a i tak nie był pewien, czy po przejściu kilku kroków jej nie upuści.

Chłopak obrócił się na pięcie i szybkim krokiem wszedł do tunelu. Mogens, ku własnemu zaskoczeniu, nie tylko był w stanie podążyć za swoim przewodnikiem, ale i dotrzymać mu kroku. Głos rozsądku, który ostatkiem sił próbował krzyczeć, że idą na pewną śmierć, stawał się coraz bardziej przytłumiony. Mogens rzeczywiście czuł, jak życie ulatuje z niego gwałtownymi falami. Ból stopniowo zamieniał się w niemal przyjemne uczucie osłabienia. Ale nie zwracał już na to uwa-

. 5 7 2 gi. Nie mógł po raz drugi popełnić tego samego błędu. Jłr- i' "■' -
,t >

Przy końcu tunelu Tom sporo już wyprzedzał Mogensa. Nerwowo płasający płomień lampy oddalał się stopniowo, aż w końcu zniknął, ale chwilę później znów się ukazał, tym razem bladejszy i jakby rozproszony. Chłopak, pokonawszy stertę gruzu, wszedł do komnaty, którą na przeciwległym krańcu zamykała żelazna brama. VanAndt usłyszał, że Tom coś woła, lecz nie zrozumiał jego słów. Być może nie było to nawet wołanie, lecz alarmujący krzyk.

Profesor próbował dołączyć do Toma, ale sił starczyło mu tylko na tyle, by wdrapać się na stertę gruzu. Tu upadł. Lampa wysunęła mu się ze śliskich od własnej krwi rąk i wciąż świecąc, przekoziółkowała ze stukiem na drugą stronę hałdy. Tam to przygasła, to znów rozbłysła jasno, a promienie niczym sztylety przecinały ciemność i wydobywały z niej fragmenty rzeźb oraz elementy dziwacznych twarzy. Lecz Mogens, choć bliski omdlenia, dostrzegał nie tylko cienie. Dokładnie na granicy padającego światła i zupełnego mroku coś się poruszało. Jakieś niepokojące, bezkształtne stworzenie...

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i lampa ostatecznie zgasła. Komnatę ogarnęła litościwa ciemność, kładąc kres obłędowi, który zaczął ogarniać profesora.

Mrok panował jednak tylko przez chwilę, zaraz bowiem rozbłysła lampa Toma. Mogens myślał, że nie zobaczy już nic gorszego niż owe płasające cienie z pogranicza światła i mroku. Mylił się jednak.

Wąski promień światła nie prześliznął się tym razem po ścianach, by zbudzić do życia hieroglify i płaskorzeźby, lecz padł prosto na olbrzymią bramę na drugim końcu komnaty.

Brama była otwarta.

Lecz nie pusta.

u

ym razem od początku wiedział, że to sen. Świadomość ta nie pomogła jednak VanAndtowi przewy- cięży strachu, który mu towarzyszył. We śnie pojawili się Janice i Graves, dało się także odczuć obecność panny Preussler, chociaż gospodyni nie było widać ani słysać.

- Dlaczego zostawiłeś ją w potrzebie, Mogensie? - spytała Janice. - Nie powinienes być tego robić po raz kolejny. Najpierw zdradziłeś mnie, teraz ją.

Zbliżała się powoli. Jej włosy poruszały się jak targane wiatrem, chociaż profesor nie czuł najmniejszego podmuchu. Zresztą może nie były to wcale włosy, lecz kłębowisko cienkich jak włos

węzy, których bezokie głowy macały na oślep dookoła siebie. Czyż nie słyszał cichego skrobania i drapania, jakby ocierały się o siebie tysiące maleńkich, łuskowatych ciał?

- Przynosisz nieszczęście każdej kobiecie, która znajdzie się na twojej drodze - ciągnęła Janice, zbliżając się do niego, aż w końcu stanęła przy łóżku.

Mogens próbował się poruszyć, lecz nie był w stanie i gdy tylko spojrzał na siebie, zrozumiał dlaczego. Nie miał dłoni ani stóp. Jego kończyny zrosły się z wyświechtanym prześcieradłem, jakby... „Profesorze! Słyszysz mnie pan?”... wytarte płótno zaczęło trawić jego ciało. Płócienne prześcieradło?! Przecież nie używali tu prześcieradeł z płótna, tylko...

- Zawsze wiedziałam, że jesteś nieudacznikiem - ciągnął nieubłaganie głos Janice. -

Nieudacznik wartego pokochania, ale jednak nieudacznik. Mężczyzna, na którym kobieta nie może polegać w trudnych chwilach.

Jej wężowe włosy zakołysały się jakby na potwierdzenie tych słów. Również Graves, który dotąd stał nieporuszony i w milczeniu wpatrywał się w Mogensa swymi szakalimi oczyma, teraz pokiwał głową.

- Najpierw ja, a teraz biedna panna Preussler - powiedziała Janice. - Dwie na dwie, nie można tego nazwać dobrym wynikiem. Nawet z naukowego punktu widzenia.

- W szczególności nie z naukowego punktu widzenia - zgodził się z nią Graves. Zaciągnął się papierosem i jego twarz zniknęła za chmurą gęstego, siwego dymu... „Mogensie, do diabła, obudź się!”... Zaczął ścierać rękawiczki. Palce, które się z nich wyłoniły, nie były palcami, lecz wiązką cienkich, bezokich robaków splecionych w warkocze różnej długości, tak że dopasowywały się do czarnego skózanego więzienia.

Mogens jeszcze raz spróbował poruszyć ręką lub nogą, ale na próżno. Jego członki coraz głębiej wrastały w szare płótno, z którego skapywał gęsty żółtawy balsam. Nagle rozległ się szelest, który to narastał, to znów cichł. Janice podeszła jeszcze bliżej. Ziemia drżała pod ciężarem jej stóp... „Obudź się, na miłość boską!”... Jej włosy się nastroszyły - miliony cienkich, bezokich kobr gotowych do ataku...

W końcu VanAndt otworzył oczy. Oblęd szybko i bezgłośnie wycofał się w mroczne rejony, z których wypełznął. Koszmar przeistoczył się w niewiele mniej przygnębiającą rzeczywistość. Znów był w swojej kwaterze. Janice zniknęła, a przy jego łóżku stał Graves. Jego oczy nie były już ślepiami szakala. Mogens spojrzał na swoje dłonie i zdrtwił z przerażenia.

Podniósł się z krzykiem, patrząc na swoje dłonie i stopy zmienione w jakieś nieforemne bryły pokryte ohydny szarym płótnem. Włóknista masa pochłonęła mięśnie i kości i zaczęła...

- Mogensie! Na litość boską, uspokój się! Wszystko w porządku! To był tylko sen!

Dłonie Gravesa powleczone czarną skórą docisnęły go delikatnie, tak że opadł z powrotem na przepecone prześcieradło. Jonathan powtórzył raz jeszcze:

- To był tylko sen.

Głos rozsądku podszeptował Mogensowi, że doktor mówi prawdę. Umysł naukowca starał się rzeczowo podejść do problemu, był jednak coraz słabszy i mało przekonujący. Na dole, w ciemnościach tunelu profesor przekroczył pewną granicę, spoza której nie było już odwrotu, przynajmniej nie bez konsekwencji.

Znów spojrzał na swoje ręce. Oczywiście nie przeobraziły się w prześcieradło, za to bardzo bolały. Nie wyglądały jak te, które znał. Ktoś bardzo niezręcznie owinał je bandażem. Brudnawa gaza ścisnęła dłonie tak mocno, że nie był w stanie nawet poruszyć palcami.

- Nie martw się, Mogensie - powiedział Jonathan, gdy zauważył zdezorientowanie profesora. Po chwili dodał fałszywie optymistycznym tonem: - Nie jest tak źle, jak się wydaje.

Janice, która nadal gdzieś tu była, tyle że niewidzialna, pokręciła w milczeniu głową, a niepokojące spojrzenie jej szakalich oczu skarciło doktora za kłamstwo.

- Źle się czuję - wymamrotał VanAndt. Graves nadal starał się utrzymać minę i ton głosu

ojca, który tłumaczy synowi, że świat nie kończy się z powodu jednej białej drzazgi.

- To tylko kilka zadraśnięć. Wyglądają paskudnie i prawdopodobnie są dość bolesne, ale nic ci nie będzie. Tom cię opatrzył. - Doktor zacisnął wargi. - To dobry chłopak, ale obawiam się, że akurat pielęgniarka to z niego żadna.

Mogens uniósł dłonie, by jeszcze raz dokładniej im się przyjrzeć. Nic dziwnego, że nie mógł poruszać palcami. Tom rzeczywiście nie miał pojęcia o pielęgnacji chorych, gdyż ręce Mogensa wyglądały, jakby tkwiły w grubych, jednopalcowych rękawiczkach. Tyle że z gazy i bandażu, zamiast z włóczki. Profesor zastanawiał się, czy rzeczywiście chodziło o nieporadność Toma, czy może przyczyna tkwiła

w czym innym. Ręce piekły go tak dokuczliwie, jakby je wsadził do kwasu.

Co najdziwniejsze, nie pamiętał, żeby zranił się w dłonie...

Przypomniawszy sobie natomiast błyszczące zęby kłapiące mu przy twarzy oraz ostre jak sztylety pazury, które bez żadnego wysiłku, z precyzją skalpela rozciąły mu skórę.

VanAndt podniósł się energicznie, przez co nie tylko zapiekło go mocniej w boku, ale również spadł cienki koc. Pomijając liczne opatrunki, profesor był całkiem nagi.

- Właściwie spełniło się twoje marzenie - powiedział Graves, siląc się na uśmiech. -

Prawdopodobnie jesteś pierwszym archeologiem na świecie, który wie z własnego doświadczenia, jak czuje się mumia. - Rozsiadł się wygodnie i ceremonialnie zapalił papierosa.

Mogens spojrział na niego ponuro. Spróbował się wyprostować, zrezygnował jednak, gdy poczuł zawroty głowy.

Doktor pokręcił głową z niezadowoleniem. Wypuścił w stronę Mogensa chmurę śmierdzącego dymu i powiedział: '

- Nie powinieneś się jeszcze za bardzo ruszać, stary. Rany nie są, dzięki Bogu, tak głębokie, jak myśleliśmy, jednak straciłeś dużo krwi.

- Co się stało? - spytał Mogens i z czystej przekory uniósł się nieco wyżej. Nie lubił, gdy Graves nazywał go „starym”. Do diabła, ten gość był od niego pół roku młodszy!

- Gdybym to wiedział! - odparł Jonathan, wypuszczając kolejny kłęb siwego dymu. VanAndt zakaszlał ostentacyjnie, ale on nie zwrócił na to uwagi. - Zdaje się, że coś poszło nie tak - dodał.

- Coś poszło nie tak? - westchnął profesor. Nadal nie mógł odtworzyć pełnego obrazu minionej nocy, ale na pewno nie powiedziałby, że „coś poszło nie tak”.

Doktor zmierzył go tylko chłodnym spojrzeniem, wzruszył lekko ramionami i jeszcze raz zaciągnął się papierosem.

Profesor z wysiłkiem szperał w pamięci, jednak natrafiał jedynie na chaos w gmatwaniu bezsensownych, budzących trwogę obrazów. Czuł, że dałoby się je poskładać w logiczną całość, teraz nie był jednak w stanie tego zrobić. Czy to możliwe, że tak naprawdę nie chciał sobie przypomnieć, co się wydarzyło?

Mogens usiłował przyjąć nieco wygodniejszą pozycję, ale wykorzystał też okazję, by ukradkiem rzucić okiem na Gravesa i rozejrzeć się za Janice. Nadal stała w półmroku jako cień mierzący go niepokojącymi, szakalimi oczyma. Jej usta szeptały bezgłośnie dwa słowa, których Mogens za wszelką cenę starał się nie pamiętać.

- Panna Preussler! - wypalił jednak. Nagle wróciła mu pamięć, wbił wzrok w Gravesa i wyszeptał jeszcze raz: -Panna Preussler, Jonathanie! Co... co z nią?

Z mroku doszedł go drwiący głos Janice:

- Przecież wiesz, głuptasie. Przydarzyło jej się to samo, co wszystkim kobietom z tobą związanym.

Doktor wzruszył tylko ramionami i pokręcił lekko głową.

- Boże drogi, Jonathanie - jęknął VanAndt. - Panna Preussler jest we władaniu tych... tych potworów... albo nawet już nie żyje, a ciebie stać tylko na wzruszenie ramionami?

- A czy wróciłaby do nas cała i zdrowa, gdybym wybuchnął teraz płaczem? - spytał Graves zimno. - Zapewniam cię, że nikomu nie jest bardziej żal twojej żalostnej gospodyni niż mnie. Ale co się stało, to się nie odstanie.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia? - wyszeptał profesor z niedowierzaniem. Tak jak jeszcze przed chwilą nie mógł sobie przypomnieć, co się stało, tak teraz nie był w stanie odpędzić straszliwych wspomnień.
- To był eksperyment, który wymknął się spod kontroli - odparł Jonathan, nadal pozornie niewzruszony. Jednak jego głos był wyraźnie ostrzejszy. - Powiedziałem już, że mi przykro! Ale czasem nauka wymaga ofiar.
- Wymaga ofiar? - wybełkotał z niedowierzaniem VanAndt.
- Ja również poniosłem ofiarę - odparł Graves. - I ty, Mogensie, jeśli wolno mi przypomnieć. Czy może już zapomniałeś o tej zabitej deskami dziurze, z której cię wyciągnąłem?
- Nie - mruknął niechętnie profesor. Z trudem się opanował, by nie wrzasnąć na doktora. O ile do tej pory przypisywał mu resztki człowieczeństwa, tak teraz uznał, że jest go zupełnie pozbawiony. - Jest tylko pewna różnica. Nas nikt nie zmusił, żebyśmy tam poszli, wiedzieliśmy, z jakim wiąże się to ryzykiem. Panna Preussler nie miała pojęcia, co jej grozi. Jonathan chciał coś odpowiedzieć jeszcze ostrzej, ale zmienił zdanie i wstał gwałtownie.
- Jej też nikt nie kazał schodzić do nas! Przeciwnie, wyraźnie jej zabroniłem! - Władczym gestem zmusił Mogensa do milczenia i ciągnął spokojnym głosem: - Jesteś teraz zdenerwowany Mogensie. Dobrze to rozumiem, po tym co przeszedłeś. Odpocznij trochę, przyjdę później, mam ciekawe nowiny.

4

ogens odczekał tylko, aż Graves zamknął za sobą drzwi, po czym spuścił nogi z łóżka i wstał. Spróchniałe deski podłogi były tak zimne, że przeszedł go lodowaty dreszcz. Koc opadł na podłogę. Profesor próbował po niego sięgnąć, ale zabandażowane ręce odmawiały posłuszeństwa. Spojrzał markotnie

agjfcfi

St}

Ł-.ii

.,! • a

in. iv

ii"

A

m

na zmięty pled u swoich stóp i zaczął się rozglądać za ubraniami. Dojrzał je obok drzwi leżące w nieładzie na stercie. Podszedł, powłócząc nogami, i schylił się po nie z trudem. Z ubrań pozostały jedynie strzępy. Spodnie, kurtka, kamizelka i koszula były jakby pocięte brzytwą i tak przesiąknięte skrzące krwią, że gdy Mogens uniósł materiał, zaszeleścił on jak jesienne liście. Ubrania nie nadawały się do użytku, nie pomogłyby nawet żadne zabiegi Betty Preussler.

Gdyby jeszcze tu była...

Jakże często przeklinał ją w duchu, gdy irytowała go swoimi podchodami i zmanierowanym sposobem bycia! Jakże często życzył jej wszystkiego co najgorsze, gdy wracał do domu i stwierdzał, że znów szperała w jego rzeczach, że nawet korespondencję poddała gruntownym oględzinom. Nieraz życzył jej, by zadławiła się jednym ze swoich przeklętych ciasteczek cynamonowych, którymi wiecznie go zamęczała, albo żeby się potknęła o swoje wszechobecne wiadro i skręciła sobie kark. Ale jednego na pewno nigdy jej nie życzył - śmierci.

A już na pewno nie takiej śmierci. Mogens próbował odegnąć tę myśl, ale osiągnął efekt wręcz przeciwny do zamierzonego. Domyślał się, że nie był to przypadek. Prawdopodobnie z litości świadomość oszczędzała mu najgorszych obrazów. Jeden z nich stanął mu jednak z całą wyrazistością przed oczami - Betty Preussler z przeszywającym krzykiem na ustach i wzrokiem

pełnym przerażenia uwieczona w silnym uścisku potwora.

Dlaczego zeszła na dół? Dobry Boże, coś tak żalostnego jak dzbanek kawy, który przyniosła im wbrew zakazowi, kosztował ją życie!

Ale tak to jest, gdy ktoś się pcha nieproszony... Pod tym względem Graves rzeczywiście miał rację, 350 nawet jeśli swoje argumenty ubrał w wysoce niestosowne słowa. Nikt nie prosił panny Preussler, by zeszłej nocy schodziła do świątyni. Nikt jej nie prosił, by przyjechała tu z Thompson, a raczej puściła się w pościg za profesorem. Nikt też nie nalegał, żeby tu została, gdy zaczęły się dziać straszne rzeczy.

- To nie była moja wina - powiedział do zjawy Janice, która nadal stała w cieniu, wpatrując się w niego szakalimi oczyma.

Słowa przyniosły zamierzony skutek. Czyniąc pannę Preussler współwinną, odciążał siebie. Nawet jeśli dobrze wiedział, że to kłamstwo nie omami go na długo, w tym momencie potrzebował jednego - jasności umysłu.

- To nie była moja wina, słyszysz? Ostrzegłem ją przecież.

Zjawa Janice warknęła cicho, jakby zawiedziona, i zniknęła bezgłośnie. Za plecami Mogensa rozległ się głos:

- Profesorze?

VanAndt odwrócił się tak gwałtownie, że zakreśliło mu się w głowie i musiał się podeprzeć, by nie stracić równowagi. Nie usłyszał ani otwieranych drzwi, ani wchodzącego Toma. Chłopak stał dwa kroki za nim i spoglądał na Mogensa zatroskany. Pod pachą ścisnął zawiniątko, a w rękach trzymał tacę przykrytą świeżą serwetką.

- Profesorze - powtórzył - czy wszystko w porządku?

Mogens nie potrząsnął przecząco głową, spojrzał tylko na Toma z urazą.

- Z kim pan rozmawiał?

Już miał powiedzieć szorstkim tonem: „z nikim”, i uciąć dalszą rozmowę, jednak zamiast tego zmusił się do uśmiechu i odpowiedział cicho:

- Z nikim, kogo mógłbyś zobaczyć.

Pokuśtykał ostrożnie w stronę łóżka i opadł na jego brzeg z bijącym sercem. Gdy schylił się po koc, ręce drżały mu tak mocno, że nie był w stanie go podnieść. Te kilka f-

kroków tak go wyczerpało, jakby wędrował cały dzień po górach.

Chłopak nadal patrzył na niego zdezorientowany, więc Mogens dodał, uśmiechając się smutno:

- To tylko duch z mojej przeszłości, odwiedza mnie od czasu do czasu.

Ku swojemu zaskoczeniu profesor zauważył, że Tom dobrze go zrozumiał, bo skinął tylko głową i postawił tacę na stole. Zawiniątko położył na jednym z krzesel.

- Pomyślałem, że przyniosę panu coś do jedzenia - odezwał się. - Na pewno jest pan bardzo głodny. Bez obawy - dodał pospiesznie, gdy zobaczył, że VanAndt marszczy czoło - to nie ja gotowałem. Zostało jeszcze z wczoraj.

- Dziękuję - powiedział Mogens. - Rzeczywiście jestem trochę głodny. Ale skąd wiedziałeś? - „Trochę głodny” to było mało powiedziane. Choć wykończony, zjadłby konia z kopytami.

- Ależ profesorze! - Tom uśmiechnął się protekcyjnie. - Po utracie takiej ilości krwi to zupełnie normalne.

- A o tym skąd wiesz? - dopytywał się VanAndt.

Nie potrafił zinterpretować wyrazu twarzy Toma, gdy ten zaczął mówić, ale z pewnością był on... dziwny.

- Pracuję już od wielu lat z doktorem Gravesem, profesorze. W tym czasie wystarczająco często go pielęgnowałem, by przyswoić sobie podstawową wiedzę medyczną.

Mogens przyjrzał się, marszcząc czoło, swoim nieudolnie opatrzonym dłoniom, na co chłopak dodał pospiesznie:

- To nie ja pana bandażowałem.
- Nie ty?

Tom z przesadną energią pokręcił głową.

- Doktor Graves chciał koniecznie sam zabandażować panu rękę. Nie jestem może dobrym kucharzem, ale za coś

takiego bym się wstydził. Poza tym rany nie są aż tak ciężkie, jeśli chce pan znać moje zdanie. - Wzdrygnął się wystraszony, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział te słowa nieodpowiednim tonem, uśmiechnął się i dodał cicho: - Ale nie widziałem dokładnie.

Mogens przyjrzał się Tomowi i również na jego nadgarstkach, szyi i kostkach odkrył szarawy bandaż wystający spod ubrań. Odezwały się w nim wyrzuty sumienia. Do tej pory nie przyszło mu nawet do głowy, że chłopak też może być ranny.

- To nic takiego - machnął ręką Tom, gdy zauważył na sobie spojrzenie Mogensa. - Tylko kilka zadrapań.

Najwyraźniej nie chciał na ten temat rozmawiać, a VanAndt uznał, że ma do tego prawo.

- Przynajmniej byłeś na tyle rozsądny, że nie dałeś się zabandażować Gravesowi - stwierdził. Tom roześmiał się, ale nic nie powiedział, więc VanAndt zmienił temat.

- Doktor Graves często był ranny?

- Owszem, zdarzało się - odpowiedział chłopak i wyraźnie skrępowany przestąpił z nogi na nogę. Zmusił się do ironicznego uśmiechu i drwiąco pogroził Mogensowi palcem. - Chce mnie pan wy badać, profesorze.

VanAndt był nadal poważny.

- Tak - odparł wprost. - Nie uważasz, że już najwyższy czas, żebyś mi wszystko opowiedział, Tom?

- Nie bardzo rozumiem, profesorze...

- Nie udawaj głupiego, Tom, i nie traktuj mnie tak, jakbym ja był głupi - powiedział Mogens, choć łagodny ton nieco łagodził szorstkość jego słów. - Graves zdradził mi już wiele, ale na pewno nie wszystko.

- Nie wiem, o czym pan mówi, profesorze. - Głos chłopaka stał się bardzo chłodny. - Jeśli jest coś, czego pan nie

•V.

1.ft

rozumie, powinien się pan zwrócić do doktora Gravesa. Ja jestem tylko jego pomocnikiem.

Temperatura w pokoju z miejsca spadła o kilka stopni i VanAndt pożałował swoich słów. Tom był ostatnią osobą, której miałby coś do zarzucenia. Ale skoro już zaczął mówić, chciał skończyć. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale czuł, że jego czas się kończy.

- To prawda. Niestety doktor unika moich pytań. Na dole kryje się więcej, niż liczący sobie pięć tysięcy lat grób, mam rację?

Twarcz chłopaka przybrała zacięty wyraz. Mogens pojął, że nic więcej z niego nie wydusi. Na próżno nadwreżył ich kruchą relację.

- Muszę już iść, profesorze - powiedział Tom lodowato. - Jest późno, a mam jeszcze dużo do zrobienia. - Odwracając się, wskazał zawiniątko leżące na krześle. - Przyniosłem panu czyste ubrania. Doktor Graves uważa wprawdzie, że powinien pan przespać się przynajmniej kilka godzin, ale pewnie i tak pan tego nie zrobi.

Właśnie miał nacisnąć klamkę, gdy VanAndt powiedział jeszcze:

- Ostatnie pytanie, Tom...

Ten zatrzymał się niechętnie i spojrzał przez ramię na profesora.

- Wczoraj w nocy - ciągnął Mogens - w komnacie uniosłeś lampę i oświetliłeś bramę...

Chłopak skinął głową. Twarcz mu skamieniała.

- Co tam zobaczyłeś? - spytał VanAndt.

Tom przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę patrzył na niego obojętnie.

- Nie wiem, o czym pan mówi, profesorze - rzucił chłodno i prawie wybiegł.

35+ .

4 V. :

i

rozumie, powinien się pan zwrócić do doktora Gravesa. Ja jestem tylko jego pomocnikiem.

Temperatura w pokoju z miejsca spadła o kilka stopni i VanAndt pożałował swoich słów. Tom był ostatnią osobą, której miałby coś do zarzucenia. Ale skoro już zaczął mówić, chciał skończyć. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale czuł, że jego czas się kończy.

- To prawda. Niestety doktor unika moich pytań. Na dole kryje się więcej, niż liczący sobie pięć tysięcy lat grób, mam rację?

Twarz chłopaka przybrała zacięty wyraz. Mogens pojął, że nic więcej z niego nie wydusi. Na próżno nadwerężył ich kruchą relację.

- Muszę już iść, profesorze - powiedział Tom lodowato. - Jest późno, a mam jeszcze dużo do zrobienia. - Odwracając się, wskazał zawiniątko leżące na krześle. - Przyniosłem panu czyste ubrania. Doktor Graves uważa wprawdzie, że powinien pan przespać się przynajmniej kilka godzin, ale pewnie i tak pan tego nie zrobi.

Właśnie miał nacisnąć klamkę, gdy VanAndt powiedział jeszcze:

- Ostatnie pytanie, Tom...

Ten zatrzymał się niechętnie i spojrzał przez ramię na profesora.

- Wczoraj w nocy - ciągnął Mogens - w komnacie uniosłeś lampę i oświetliłeś bramę...

Chłopak skinął głową. Twarz mu skamieniała.

- Co tam zobaczyłeś? - spytał VanAndt.

Tom przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę patrzył na niego obojętnie.

- Nie wiem, o czym pan mówi, profesorze - rzucił chłodno i prawie wybiegł.

v

\ m.. gmsam

Mogens był na siebie wściekły. Nie tylko postawił Toma w niezręcznej sytuacji, ale jeszcze go uraził i stracił jedyne sprzymierzeńca. Z drugiej strony zastanawiał się, dlaczego właściwie chłopak tak się przestraszył jego pytania.

Odpowiedź była jednak oczywista. Mogens sam się zdziwił, że nie przyszła mu do głowy od razu: chłopak zobaczył coś, co go przestraszyło, ale wcale nie był tym widokiem zdziwiony.

Ale dlaczego on sam nie mógł sobie przypomnieć, co tam było?

Czuł, że jego myśli schodzą na tory, które zaraz przywołają ukrytą w cieniu zjawę Janice, więc zajął myśli bardziej prozaicznym problemem. Tom przyniósł mu wprawdzie czyste ubrania, ale z zabandażowanymi rękoma profesor nie był w stanie ich włożyć. Właśnie, co właściwie dolega jego dłoniom?! Tom twierdził, że obrażenia nie są ciężkie, a Graves upierał się, że chce opatrzyć Mogensa osobiście. A Jonathan nigdy nie robił nic bez powodu.

VanAndt postanowił usunąć bandaż, ale gaza tak ciasno opinała dłonie, że nie mógł ruszyć choćby końcem palca. Musiał pomóc sobie zębami, by naderwać opatrunki.

Poczuł ból tak ostry, że łzy napłynęły mu do oczu. Najgorszy był jednak posmak, który pozostał na języku. Graves musiał nasączyć bandaż jakąś maścią. Mogens wyraźnie czuł posmak jakiegoś ohydneho specyfiku. Mimo to dalej pracował nad rozsoplaniem opatrunku, luzował jedno włókno po drugim, aż w końcu mokry bandaż opadł ciężko na podłogę.

Widok, który mu się ukazał, wprowadził go w zdumienie. Zapomniał na chwilę nie tylko o dokuczliwym bólu, ale i o mdłościach.

Bolało go tak, jakby ghule obdarły mu dłonie ze skóry i połamały wszystkie kostki, więc spodziewał się makabrycznego widoku. Tymczasem nie dojrzał nawet najmniejszego zadrapania, najwyżej lekkie zaczerwienienia w kilku miejscach. Po chwili zdał sobie również sprawę, że po usunięciu bandażu ból szybko ustąpił. Pozostało jedynie nieprzyjemne swędzenie.

Pospiesznie zdjął bandaż również z prawej ręki, a jego oczom ukazał się podobny widok. Dostrzegł tylko kilka zadraśnień, prawdopodobnie pamiątek po tym, jak przewrócił się na stercie gruzu w tunelu. Także w tej dłoni ból przeszedł zaraz po zdjęciu gazy.

Zauważył też, że skórę miał pokrytą cienką warstwą lepkiej substancji, która wydzielalała ostrą, choć nie tak przykrą woń, jak wydawało mu się wcześniej. Czym, do diabła, Graves wysmarował mu ręce? I przede wszystkim dlaczego?

Tom był na tyle przewidujący, że przyniósł mu nie tylko snte śniadanie, ale również miskę z czystą wodą. Gdy Mogens zmył już całkowicie kleistą maź i starannie wytarł dłonie, jego podejrzenie zmieniło się w pewność. Ból nie był spowodowany obrażeniami, lecz wywołany przez maść, którą Graves nasączył bandaże!

Mogens w pierwszej chwili chciał pobiec do Jonathana i wykrzyczeć mu to wszystko, ale szybko się uspokoił. To nie miaoby sensu. Doktor zbyłby go porcją wymijających półprawd i stałby się czujniejszy. Zresztą VanAndt miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Sądząc po rozmiarze, ubrania musiały należeć do Toma. Nie były też całkiem czyste. Mimo to profesor założył je i rzucił się na jedzenie jak wilk. Chłopak przygotował mu obfitą porcję, lecz chociaż Mogens zjadł wszystko do ostatniego kęsa, wciąż nie był syty.

Przetrzęsnał mizerne pozostałości swoich ubrań w poszukiwaniu zegarka, ale go nie znalazł.

Okiennice w jedynym oknie domu były zamknięte, lecz odrobina światła

i

wpadała do środka przez wąskie szpary między nimi. Było więc jeszcze rano.

Mogens rzucił tęskne spojrzenie w stronę rozgrzebanego łóżka. Prześcieradło było tak przepecone, że nawet tu czuł jego nieprzyjemny, kwaśny zapach. Nie położył się jednak, miał przecież tak mało czasu, a tak wiele pytań.

Mimo zawrotów głowy, które dopadły go, gdy tylko wyszedł z kwatery, skierował się przez błotnisty plac w stronę domu Gravesa.

Gdy wyszedł, zauważył, że źle oszacował porę dnia - pomylił wschód z zachodem. Słońce nie wstawało, było już dobrze po południu, pewnie między drugą a trzecią. Leżał więc nieprzytomny przynajmniej dwanaście godzin. Bóg jeden wie, co w tym czasie wydarzyło się w podziemiach...

Wciąż czuł w ustach nieprzyjemny posmak i nawet na tym krótkim odcinku, jaki dzielił go od domu Gravesa, musiał się zatrzymać, by zaczerpnąć tchu. Odpoczywając, jeszcze raz zerknął na swoje dłonie.

Nie były takie zupełnie bez skazy, jak mu się zdawało wcześniej. Nie dostrzegł wprawdzie nic prócz kilku drobnych zadrapań, ale skóra, przede wszystkim na wewnętrznej stronie dłoni, była zaczerwieniona. Zauważył też dwie czy trzy sączące się ranki, które umknęły jego uwagi w przyćmionym świetle w domu.

Zacisnął najpierw jedną, potem drugą dłoń, upewniając się, że poza tym wszystko z nimi w porządku, po czym ruszył dalej.

Zastukał delikatnie do drzwi, a gdy Graves nie otwierał, zapukał głośniejszym głosem. Nikt mu jednak nie odpowiedział.

Odwrócił się zawiedziony i przez chwilę błądził wzrokiem po szerokim placu i rozrzuconych wokół niego budynkach. Jonathan mógł być dosłownie wszędzie - gdzieś w obozie albo na dole w świątyni. Mogens nie miał siły, by go szukać.

Nacisnął klamkę, a gdy ta - ku jego zdumieniu - ustąpiła, wszedł do środka. Poczł się niezręcznie, ale machnął na to ręką. Po tym wszystkim, co się stało, formy towarzyskie nie miały znaczenia.

Również tutaj okiennice były zamknięte, tak że z początku VanAndt dostrzegł tylko rozmyte cienie. Spróbował sobie przypomnieć ustawienie mebli we własnej kwaterze, by bez uszczerbku dotrzeć przynajmniej do okna, ale zaraz uderzył o krzesło, które upadło z głośnym hukiem. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że mógł zostawić otwarte drzwi.

W końcu dotarł do okna, otworzył je i pchnął na zewnątrz stare okiennice. Światło słoneczne, które wpadło do środka, najwyraźniej bywało tu rzadkim gościem. W powietrzu unosiła się masa kurzu, który migotał jak rój maleńkich, złotawych owadów, które podleciały zbyt blisko światła. Przez

ową chwilę, gdy ustępowała ciemność, przedmioty wokół Mogensa zdawały się czyhać na intruza z otwartymi paszczami, wpatrywać się w niego natarczywie niczym w łup...

Mogens odegnał tę niepokojącą myśl i nazwał się w duchu tchórzem, podchodząc do dwóch pozostałych okien, by je otworzyć. Zdołał sobie nawet wmówić, że robi to z powodu ciemności oraz duchoty utrudniającej oddychanie. W rzeczywistości jednak bał się cieni i przyczajonych za nimi stworzeń.

Dopiero gdy do domku wpadło więcej świeżego powietrza, Mogens zdał sobie sprawę, jak bardzo tu wcześniej śmierdziało - papierosami, długo stojącym jedzeniem i starymi książkami. Z tymi zapachami mieszała się jeszcze inna woń, której nie potrafił określić, ale zdecydowanie najbardziej przykra.

Nie przyszedł tu jednak, by wyrobić sobie zdanie na temat higieny i nawyków żywieniowych Gravesa. Musiał z nim porozmawiać. Trzykrotne przemierzenie pokoju i otwarcie okien okazało się ogromnym wysiłkiem, więc postanowił usiąść i poczekać.

Mogens skierował się na drżących nogach w stronę dużego fotela za biurkiem, jedyne mebla w tym pokoju, który zdawał się w miarę wygodny. Przez chwilę siedział bez ruchu z zamkniętymi oczami, słuchając przyspieszonego rytmu własnego serca. Puls powoli wrócił do normy, a Mogens napawał się przyjemnym uczuciem mrowienia, jakie towarzyszyło ustąpieniu ciężkości w członkach. Dopiero po dłuższej chwili, gdy minęły zawroty głowy, odważył się znów unieść powieki.

Może byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił. Pokój był wypełniony słońcem pewnie po raz pierwszy od miesiący, a mimo to światło nie rozjaśniało całego pomieszczenia. Stało się fo samo co wcześniej, gdy otwierał okno. W tym nieuchwytnym momencie, gdy ciemność rozproszyła się pod jego powiekami, ale do źrenic nie dotarło jeszcze słońce, Mogens znów miał wrażenie, że wkroczył w inny wymiar, w niepokojące królestwo półmroku. W przestrzeni tej żyły stworzenia przepelnione niewysłowioną nienawiścią do wszystkiego, co żyło i czuło.

Również ta chwila minęła tak szybko, że Mogens nie zdążył się nawet przestraszyć, ale nagle poczuł wściekłość na Gravesa. Uczucie to nie było dla niego nowością. Nie po raz pierwszy również odczuwał strach przed ciemnością - dziecinny i niegodny naukowca, ale nie potrafił tego w sobie zwalczyć. Bał się nocy i jej mieszkańców. Już myślał, że zdołał pokonać te zmy, odpokutować przynajmniej w części za zdradę Janice, ale teraz Graves odebrał mu nawet tę

? ' 0

M\

!M ■i

'•dl

p89

--4 —

•¿ij

fP

¿i.

■*■> 5L

iast

tm p

l■ t o

w

l

i

I'.«

<

■r

małą łaskę. Dług wcale nie był spleciony, wizje powróciły, a wraz z nimi strach. Może już nigdy nie spojrzysz bez lęku na zachód słońca?

A może był po prostu wyczerpany i nie myślał trzeźwo? Wstał tknięty nagłym niepokojem i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju, aż w końcu przystanął przy ciężkim regale z książkami za biurkiem Gravesa. Nie żeby rzeczywiście interesowały go lektury doktora, lecz miał po prostu nawyk przeglądania książek w miejscach, w których znalazł się po raz pierwszy. Zazwyczaj była to dobra metoda na wyrobienie sobie wstępnego zdania na czyjś temat. Choć akurat opinię o Jonathanie miał wyrobioną... Chciał jednak odwrócić myśli od tego straszego momentu, który zdawał się wcale jeszcze nie przeminąć. Cienie zniknęły, a otchłań między dniem i nocą przynajmniej na chwilę się zasklepiła, jednak pokój doktora wydawał mu się nie do końca prawdziwy. Mogens nie potrafił sprecyzować tego odczucia, ale coś tu było nie tak, jakby świat stracił na moment stabilność i przegiął się w nieznaną sobie dotąd stronę. Może znajomy kształt regału z książkami i widok w większości znanych profesorowi tytułów pozostały czymś w rodzaju koła ratunkowego, którego mógł się uchwycić, by nie stracić całkowicie poczucia rzeczywistości? VanAndt poważnie się zaniepokoił, czy nie stoi na granicy obłądzenia. Nie był silnym człowiekiem ani fizycznie, ani psychicznie. Nieraz zastanawiał się, jak to możliwe, że po owej strasznej nocy sprzed dziewięciu lat zdołał zachować zdrowe zmysły, co nie udało się niejednej osobie z żelaznym charakterem. Nigdy nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, ale teraz przyszło mu do głowy, że może już od dawna nie jest w pełni władz umysłowych.

Drżącymi dłońmi chwycił pierwszą z brzegu książkę i otworzył ją. Był to podręcznik o starożytnym Egipcie,

,T J»

{ 4

i i<#

którego egzemplarz stał również w jego własnej bibliotece na stacji u panny Preussler w Thompson, a który znał tak dobrze, że niektóre fragmenty potrafił wyrecytować z pamięci. Mimo to w pierwszej chwili nie umiał złożyć liter w sensowną całość. Wpatrywał się w tekst, ale równie dobrze mógłby mieć przed oczami zwoje hieroglifów.

- Mogę zapytać, co ty tutaj robisz? - dobiegł go z tyłu ostry głos.

Mogens odwrócił się gwałtownie z poczuciem winy na twarzy, niemal wypuszczając przy tym książkę z rąk. Graves nie tylko zupełnie bezgłośnie wszedł do domu, ale także do biurka zbliżył się tak cicho, że doktor nie usłyszał kroków. Doktor wyglądał na bardzo rozgniewanego.

- Jonathan - jęknął VanAndt.

Twarz Gravesa spochmurniała jeszcze bardziej.

- Cóż, przynajmniej pamiętasz, jak mam na imię, skoro już zapomniałeś, czyj to dom.

- Wcale nie zapomniałem - odparł Mogens, jak mu się zdawało, równie chłodnym i pewnym siebie tonem, co jednak nie zrobiło na doktorze najmniejszego wrażenia.

- Jeśli tak, to jestem wielce zdumiony. Czy może grzebanie w cudzych rzeczach masz na co dzień w zwyczaju?

W pierwszej chwili profesor nie zrozumiał do końca jego słów. Spojrzał zdumiony na otwarty tom, potem na Jonathana.

- Ale przecież to tylko książka...

- Mimo wszystko to moja książka - syknął Graves. - Nie podoba mi się, gdy ktoś przekopuje moje rzeczy. A już na pewno, kiedy mnie przy tym nie ma. - Obszedł biurko, wyszarpnął z rąk VanAndta podręcznik egiptologii. Próbował go odstawić na miejsce, ale był tak zły i

zdenerwowany, że tylko zagiął okładkę. W końcu rzucił książkę gniewnym ruchem na biurko i spojrzawszy Mogensowi wyzywająco w oczy. - Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?! - sapnął.

Tron

Profesor cofnął się gwałtownie. Spodziewał się, że doktor nie będzie zadowolony, ale to, co zobaczył w jego oczach, nie było gniewem, lecz niepohamowaną furją. Czuł, że jeszcze chwila, a Jonathan rzuci się na niego z pięściami.

- Chciałem... chciałem tylko z tobą porozmawiać - powiedział zdezorientowany. - Zapewniam cię, że...

- Wsadź sobie gdzie chcesz swoje zapewnienia! - przerwał mu Graves. Mogens zrobił jeszcze dwa chwiejne kroki w tył.

Być może właśnie ta reakcja przywołała doktora do porządku. Jeszcze przez moment patrzył na VanAndta, jakby chciał go zabić, ale po chwili zakłopotany przestąpił z nogi na nogę i wyciągnął rękę w stronę Mogensa. Zaraz ją jednak opuścił, gdy profesor wzdrygnął się i na wszelki wypadek cofnął jeszcze o krok.

- Ja... - Graves przejechał nerwowo czarną rękawiczką po ustach. Przełknął ślinę. - Przepraszam cię, Mogensie - powiedział w końcu. - Nie... nie wiem, co we mnie wstąpiło. Zachowałem się jak idiota. Wybacz mi.

- Już dobrze - odparł VanAndt. Nie było to nawet kłamstwo. Właściwie nie gniewał się na doktora, był na to zbyt zdumiony.

- Nie, wcale nie jest dobrze - zaprzeczył nerwowo Jonathan. - Ja nie wiem, co... - Urwał w pół zdania, kręcąc głową bezradnie i w końcu gwałtownie się odwrócił. Wziął książkę z biurka i przesadnie powolnym, precyzyjnym ruchem odstawił ją na miejsce. - Przepraszam. Jesteśmy chyba trochę zdenerwowani po wczorajszej nocy. Przyjmiesz moje przeprosiny?

- Oczywiście - kiwnął głową Mogens. - Poza tym miałeś poniekąd rację, nie powinienem był tu wchodzić nieproszony.

Graves z ostentacją odwrócił się powoli w stronę VanAndta. Zdążył już całkowicie zapanować nad sobą.

- Oczywiście. - Graves spojrzawszy na niego zdziwiony. - A ty nie?

- Ja... na pewno nie - odparł profesor urywanym głosem. - Skąd ci to przyszło do głowy? Już zapomniałeś, co się tam zdarzyło zeszłej nocy?

- W żadnym razie - zapewnił z irytacją Graves. - Ale ty najwyraźniej tak. - Uciszył kolegę gniewnym gestem, zanim ten zdążył odpowiedzieć. - Rozwiązanie prawie mamy w garści, Mogensie! Jeszcze tylko kilka godzin, nie rozumiesz tego? Największe naukowe odkrycie tego wieku, a raczej wszech czasów, a ty mnie pytasz, czy chcę jeszcze raz zejść do świątyni?

Postradałeś zmysły?

VanAndt milczał. Nie chciał znów oglądać furii Jonathana, jednak sama myśl o zejściu do świątyni napawała go panicznym strachem.

- Co spodziewasz się znaleźć na dole? - spytał najspokojniej, jak tylko potrafił.

Graves wpatrywał się w niego z przesadnym zdumieniem.

- Mówisz poważnie?

- Rzeczywiście - zauważył. - Nie powinieneś być. Co ty tu w ogóle robisz? Chcesz się zabić, przyjacielu? Powinieneś leżeć w łóżku! Właściwie powinieneś być w szpitalu, a już na pewno pod opieką lekarską.

- Dlaczego więc nie jestem? - spytał profesor.

- Ponieważ obawiam się, że nie mamy na to czasu - odpowiedział Graves poważnie. - Dziś jest ostatni dzień, Mogensie. Za kilka godzin zajdzie słońce. Powinieneś wykorzystać ten czas, by nabrać trochę sił.

Minęło kilka chwil, zanim VanAndt pojął, co Graves miał na myśli. Poczuł, jak blednie.

- Chcesz jeszcze raz zejść na dół? - wymamrotał z niedowierzaniem.

A

- Jeszcze nigdy nie byłem tak poważny jak w tej chwili, Jonathanie - odparł Mogens. - Byłem na dole i widziałem, co się tam kryje, ale coraz bardziej zaczynam wątpić, czy obydwaj widzieliśmy to samo.

Doktor milczał, ale twarz drżała mu niespokojnie. Profesor czuł, że uderzył we właściwą strunę. I wiedział, że Graves znów go okłamał.

- Nie chodzi ci wcale o świątynię, mam rację? - spytał VanAndt.

Graves milczał zacięcie, co tylko wzmogło podejrzliwość Mogensa.

- Nigdy nie chodziło ci o tę starożytną egipską świątynię - ciągnął. - Wcale nie chciałeś niczego udowodnić światu. Nie wiem, dlaczego tu jesteś, ale nie chodzi ci o sensację naukową. Taką wersję przedstawiłeś tylko tym głupcom, którzy dla ciebie pracowali. No tak... i oczywiście mnie. Czego szukasz tak naprawdę? ,

Na chwilę z twarzy Gravesa opadła maska pewności siebie i przez niemal nieuchwytny moment zdawało się VanAndtowi, że dojrzał prawdziwe oblicze doktora. Zobaczył człowieka z płonącymi oczyma, znękaną twarzą i zatwardziałą duszą, szaleńca, którego życie i praca były opętane tylko jedną myślą. Tak, Jonathan był opętany. Mogens nie wiedział tylko przez co.

- Jesteś szalony - wymamrotał Graves zrezygnowanym tonem, ale zarazem pełnym zrozumienia.

Profesor uświadomił sobie, że chwila prawdy minęła bezpowrotnie. Przez moment miał możliwość zobaczyć Jonathana, jakim był naprawdę. Ujrzał człowieka, który wycierpiał przynajmniej tyle, ile on sam, i którego los bynajmniej nie był godny pozazdroszczenia. Teraz jednak zapanował nad sobą, a Mogens wiedział już, że nie zdoła zburzyć po raz drugi muru, który Graves wznosił wokół siebie. W każdym razie nie tu i nie teraz.

- Nie mam ci tego za złe - ciągnął doktor. - Jeśli ktoś tu jest winny, to ja. Nie powinienem był zostawiać cię w tym stanie samego.

- To nadal nie jest odpowiedź na moje pytanie - przypomniał Mogens, chociaż wiedział, że te słowa nie mają już sensu. - Nigdy nie chodziło ci o to, by udowodnić światu, czy choćby naszym kolegom po fachu, że faraonowie byli tu pięć tysięcy lat przed Kolumbem, prawda? Szukałeś czegoś zupełnie innego.

Graves jednak zdążył już odbudować swój mur i to wyższy, solidniejszy niż poprzednio. Wzrok miał zimny. Mimo to VanAndt dodał świadomie, niemal wbrew sobie:

- Co masz nadzieję znaleźć na dole, Graves?

Ten pokręcił tylko głową. Sięgnął do kieszeni, wygrzebał z niej papierosa i pudełko zapalek. Jego twarz zniknęła za chmurą siwego, wolno snującego się dymu.

- Twoje zachowanie składam na karb stanu, w jakim się obecnie znajdujesz - powiedział. - Mam też do siebie pretensje, że cię tak nadwerżyłem. Tam na dole nic nie ma Mogensie. Nic ponad to, co już obydwaj widzieliśmy. Ale czy to ci nie wystarcza? - Zaciągnął się kolejny raz, prawdopodobnie by uzyskać efektowną pauzę, i ułożył usta w lekko ironiczny uśmiech. - A ty uważasz, że czego szukam? Kamienia filozoficznego albo świętego Graala?

Mogensowi mignęło w głowie zatarte dotąd wspomnienie. Lampa Toma oświetliła bramę, jej olbrzymie, ozdobione malowidłami skrzydła były szeroko otwarte, a za nimi... Obraz ten wciąż umykał profesorowi, ale miał wrażenie, że dzieje się tak, bo w głębi duszy nie chce sobie przypomnieć, co zobaczył.

- Co zrobimy teraz w sprawie panny Preussler? - zmienił temat VanAndt.

Graves nadal palił papierosa niewzruszony.

- A co chcesz uczynić w tej kwestii, przyjacielu? - spytał z drwiną. - Chcesz za nią zmówić modlitwę? Proszę bardzo.

Mogens z trudem się opanował. Odpowiedział tak spokojnie, że sam był zaskoczony:

- Nie możemy tej sprawy tak po prostu zostawić. W końcu zginął człowiek.

- I co w związku z tym?

- Musimy jakoś zareagować. Zawiadomiłeś szeryfa Wilsona?

Na twarzy doktora zarysował się nieklamany wyraz zdumienia.

- Szeryfa Wilsona?!

- Oczywiście - przytaknął profesor. - Graves, ta biedna kobieta nie żyje! W takich przypadkach zawiadamia się władze, czyż nie?

- Być może. - Oczy Jonathana stały się wąskie jak szparki. - Oczywiście dopełnię tego obowiązku, jutro.

- Jutro?! - wykrzyknął VanAndt. - Co to ma znaczyć „jutro”?

- Kiedy już będziemy mieli wszystko za sobą - zaczął Graves. - Jak tylko...

- Ale nie możemy tak długo czekać! - przerwał mu profesor. - Już dawno powinniśmy byli zawiadomić szeryfa! Wychodziłem z założenia, że Tom zrobił to jeszcze zeszłej nocy! Graves mierzył go przez chwilę pogardliwym spojrzeniem.

- Powoli zaczynam się jednak obawiać o twoje zdrowie psychiczne, przyjacielu. Czy ty wiesz w ogóle, co mówisz?

- Panna Preussler nie żyje! - wybuchnął Mogens.

Doktor skinął głową i powiedział.

- Tego jeszcze nie wiemy. Nawet Wilson ci powie, że ktoś, kogo trupa nie widziałeś, jest co najwyżej zaginiony.

- A co chcesz uczynić w tej kwestii, przyjacielu? - spytał z drwiną. - Chcesz za nią zmówić modlitwę? Proszę bardzo.

Mogens z trudem się opanował. Odpowiedział tak spokojnie, że sam był zaskoczony: -Nie możemy tej sprawy tak po prostu zostawić. W końcu zginął człowiek.

- I co w związku z tym?

- Musimy jakoś zareagować. Zawiadomiłeś szeryfa Wilsona?

Na twarzy doktora zarysował się niekłamany wyraz zdumienia.

- Szeryfa Wilsona?!

- Oczywiście - przytaknął profesor. - Graves, ta biedna kobieta nie żyje! W takich przypadkach zawiadamia się władze, czyż nie?

- Być może. - Oczy Jonathana stały się wąskie jak szparki. - Oczywiście dopełnię tego obowiązku, jutro.

- Jutro?! - wykrzyknął VanAndt. - Co to ma znaczyć „jutro”?

- Kiedy już będziemy mieli wszystko za sobą - zaczął Graves. - Jak tylko...

- Ale nie możemy tak długo czekać! - przerwał mu profesor. - Już dawno powinniśmy byli zawiadomić szeryfa! Wychodziłem z założenia, że Tom zrobił to jeszcze zeszłej nocy! Graves mierzył go przez chwilę pogardliwym spojrzeniem.

- Powoli zaczynam się jednak obawiać o twoje zdrowie psychiczne, przyjacielu. Czy ty wiesz w ogóle, co mówisz?

- Panna Preussler nie żyje! - wybuchnął Mogens. Doktor skinął głową i powiedział.

- Tego jeszcze nie wiemy. Nawet Wilson ci powie, że ktoś, kogo trupa nie widziałeś, jest co najwyżej zaginiony.

Prawdopodobieństwo znalezienia jej całej i zdrowej nie jest zbyt duże, przyznaję. Może nawet powinniśmy życzyć naszej żalostnej pannie Preussler, żeby już nie żyła. Na razie są to jednak tylko nasze dywagacje. Przypuszczenia, dla których nie mogę ryzykować mojej wieloletniej pracy! - VanAndt chciał zaprotestować, ale Graves wypuścił kolejną chmurę dymu w jego stronę jak rozdrażniony smok. - Potrafisz sobie wyobrazić, co by się stało, gdybyśmy teraz poszli do Wilsona? Najpóźniej po godzinie roiliby się tu od policjantów, a niewiele później od reporterów i gapiów! Nie mówiąc już o naszych szanownych kolegach z naprzeciwka! Przetrzęsneliby wszystko i postawili na głowie. Nie zaprzepaszczę dziesięcioletniej pracy, tylko dlatego...

- ...że zginął człowiek? - wszedł mu w słowo profesor.

- ...że nie możesz zaczekać jednego dnia! - dokończył Graves rozgniewany. - O co ci chodzi, Mogensie?! Nie wymagam od ciebie niczego niezgodnego z prawem ani nawet niemoralnego! Jeden dzień to wszystko, o co cię proszę! Jeśli o mnie chodzi, jutro rano możesz pojechać do San Francisco i rozpawiać z największą tamtejszą gazetą. Możesz to wszędzie roztrąbić, nie mam nic przeciwko. Możesz okryć się sławą, nawet to jest mi obojętne! Ale jeśli dzisiaj ktoś się dowie, co

znaleźliśmy na dole, cała praca na nic. A na to nie mogę pozwolić!

- Nadal nic nie rozumiesz - wymamrotał VanAndt wstrząśnięty. - Śmierć człowieka naprawdę cię nie wzrusza?

- Owszem, wzrusza - odpowiedział Graves pospiesznie. - Masz rację. Ale to nie była nasza wina. Ani twoja, ani moja. Tragiczny w skutkach zbieg okoliczności, ciąg nieszczęśliwych wypadków. Natomiast jeśli porzucimy wszystko, nad czym tak długo pracowałem... nad czym obydwa tak długo pracowaliśmy, za co tak słono zapłaciliśmy, Mogensie, to jej śmierć okaże się nie tylko straszna, ale i bezsensowna. O to ci właśnie chodzi?

Mogens miał wrażenie, że stoją na wieży Babel, na której właśnie dokonało się pomieszanie języków. Niby obaj mówili po angielsku, a mimo to słowa jednego były niezrozumiałe dla drugiego. Profesor jeszcze nie tak dawno zastanawiał się, czy nie postradał zmysłów. Teraz widział, że to raczej z Gravesem nie wszystko jest w porządku. Ten człowiek był szalony, a może nawet niebezpieczny.

- Przykro mi - powiedział VanAndt cicho, jednak pewnym głosem - ale nie zejdem na dół raz jeszcze. Ani dziś, ani jutro, ani kiedykolwiek indziej. Spakuję się teraz i poproszę Toma, żeby odwiózł mnie do miasta. Powiadomię szeryfa, co się tu stało.

- Tom nie będzie miał czasu - odparł zimno Graves.

- W takim razie pójdę pieszo.

- W twoim stanie? - wzruszył ramionami doktor. - Nie wygłupiaj się!

- Może będziesz miał szczęście i padnę po drodze z wyczerpania - zapowiedział poważnie Mogens, patrząc w wąskie oczy przyćmione dymem. - Dawno powinienem był odejść. Panna Preussler jeszcze by żyła.

- Może w ogóle nie powinienes być tu przyjeżdżać - parsknął Jonathan.

- To ty mnie tu ściągnąłeś - przypomniał profesor.

- Nawet mnie wydaje się to niekiedy błędem. - Graves ściągnął usta pogardliwe.

Mogens zrezygnował z odpowiedzi. Graves był od niego sporo wyższy, szerszy w ramionach i zapewne przynajmniej trzydzieści funtów cięższy. W czasach studenckich niejednokrotnie dostawał propozycję grania w uniwersyteckiej drużynie piłkarskiej. On jednak zupełnie nie interesował się sportem. Od tamtego czasu jego forma wyraźnie spadła, ale nadal musiał być dużo silniejszy od Mogensa. Profesor zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie zechce zmusić go do pozostania siłą. Prędko jednak odegnał tę myśl.

w.

•->3

U

W

- Odchodzę - powiedział. - Żegnaj, Jonathanie.

Doktor zgrzytnął zębami, ale nie powiedział ani słowa.

VanAndt odwrócił się w końcu gwałtownie i podszedł do drzwi.

- Mogensie, proszę! - usłyszał, gdy już naciskał kłamek.

Wiedział, że jeśli teraz się odwróci, przegra. A jednak to zrobił, postanowił tylko, że wytrzyma spojrzenie Gravesa.

- Porozmawiajmy, Mogensie - poprosił ten. - Proszę cię o pięć minut.

- Jedną.

- Pięć - upierał się doktor. - Potem każę Tomowi odwieźć cię do miasta, jeśli nadal będziesz tego chciał.

Najrozsądniej byłoby odmówić. Graves nie zaproponowałby takiego układu, gdyby nie był przekonany, że skłoni VanAndta do zmiany decyzji. Może miał nawet w zanadrzu rozsądne argumenty, kto wie? Mogens nie chciał się jednak dać przekonać. W jednym Graves rzeczywiście miał rację - życia panie Preussler nie przywróci, zresztą i tak by nie mógł zapobiec nieszczęściu. Z kolei doktor mylił się w innej kwestii - gdyby teraz profesor dał spokój i odczekał jeden dzień, dopiero wówczas śmierć Betty Preussler byłaby bezsensowna. Zostawiłby ją w potrzebie tak samo

jak kiedyś Janice.

- Masz rację - westchnął Graves. - Jestem gburem. Nie powinienem był tego mówić. Ale od tego tak wiele zależy, Mogensie! Tylko jedna jedyna noc. Cóż mam zrobić? Paść na kolana i błagać cię?

- To by nic nie dało. Masz jeszcze pół minuty - dodał VanAndt spokojnie.

Jonathan zgasił w przepelnionej popielniczce nawet nie do połowy wypalonego papierosa. Zrobił to tak energicznie, że na leżące wokół papiery posypały się drobne iskierki. Potrząsnął głową i zapalił nowego papierosa. Jego ręce poruszały się w dziwny, niepokojący sposób. Mogens znów miał wrażenie, że pod rękawiczkami doktora coś się wiło i drgało nieustannie. Odwrócił gwałtownie głowę, Graves zdążył jednak zauważyć badawcze spojrzenie.

- Nigdy nie pytałeś mnie, co właściwie stało się z moimi dłońmi, Mogensie - zauważył.

Przeciwnie, profesor zadał mu już to pytanie, nie otrzymał jednak satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że nie to samo, co z moimi - wypalił bez namysłu. Po chwili ta spontaniczna i właściwie zupełnie bezsensowna odpowiedź zaniepokoiła jednak jego samego.

- Nie - potrząsnął głową doktor. Zmarszczył czoło i zaciągnął się dymem kolejny raz. - Jak widzę, zdjąłeś bandaż.

- Tak - odpowiedział Mogens. - Kwas solny, którym były nasączone, palił mi skórę.

- Nie był to zbyt mądry pomysł. Pokaż!

Chociaż VanAndt brzydził się dotyku Gravesa, automatycznie wystawił dłonie, jak dziecko, któremu nauczyciel każe pokazać, czy umyło ręce. Dotyk Jonathana był wyjątkowo nieprzyjemny. Rękawiczki były zwykłymi rękawiczkami ze starej skóry, ale pod nimi profesor wyczuwał jakieś dziwne ruchy, skurcze i rozkurcze. Musiał opanowywać się z całych sił, by nie wyrwać dłoni i nie schować ich za plecami.

Doktor zdawał się być zadowolony z wyniku oględzin, ponieważ uwolnił w końcu ręce Mogensa.

- Najwyraźniej masz szczęście. Ale nigdy nie wiadomo. Obserwuj skórę przez następne dni.

- Odkąd zdjąłem to świństwo, czuję się o wiele lepiej - powiedział VanAndt. - Co miałaś na celu? Trochę się nade mną poznęcać?

- Maść jest dość nieprzyjemna, przyznaję - odparł Graves - ale działa.

- Na co działa? - spytał Mogens.

- Dotykałeś bestii - przypomniał Jonathan.

- I co z tego? Chcesz mi wmówić, że są trujące?

- Nie w typowym znaczeniu tego słowa, ale nie zapominaj, Mogensie, że te potwory są padlinożercami. Kto wie, jakie zarazki kłębią się w ich futrze.

- Albo w zębach?

- Tom opatrzył ci również pozostałe rany - odparł doktor. - Ale bez obaw, zastosował inną maść.

- To pocieszające - powiedział profesor sucho. - Dlaczego trwonisz swój cenny czas na rozmowy o zarazkach i maściach? Połowa z twoich pięciu minut już minęła.

- Skąd wiesz, skoro nie masz zegarka? - Graves wypuścił w jego stronę kolejną chmurę śmierdzącego dymu. - Pięć minut minie, jak ja powiem.

Mogens darował sobie sprzeciw, nie miałyby to najmniejszego sensu. Kłótnia tylko by wszystko przedłużyła. Jeśli tylko mógłby sobie zaoszczędzić kilkugodzinnej wyprawy do miasta, coż znaczyło tych kilka minut?

- Wybacz - powiedział Jonathan. Prawdopodobnie sam zauważył, że przesadził. - Trudno... trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. Nie nawykłem do proszenia.

- Wiem - odparł profesor. - I chyba wiem, co chcesz powiedzieć, ale moja decyzja jest ostateczna. - Skinął stanowczo głową, by dodać mocy swojej deklaracji: - Odchodzę.

- I co zrobisz? - zainteresował się Graves. - Opowiesz szeryfowi, co spotkało biedną doktor Hyams i panną Preussler? - Potrząsnął głową i spojrzał na Mogensa podejrzliwie, ale też wyzywająco. -

Proszę, zastanów się, przyjacielu. Bo widzisz, ja i Tom zeznamy co innego. Szeryf Wilson zna mnie już od jakiegoś czasu. Nie twierdzą, że darzy mnie

;<Af

sympatią czy choćby szacunkiem, ale ty jesteś dla niego całkiem obcy. Komu będzie bardziej skłonny uwierzyć?

- Uważam szeryfa Wilsona za bardzo mądrego człowieka. - VanAndt był rozczarowany. Nastawił się, że Jonathan zacznie mu grozić, a ten zapowiadał jedynie mało wyrafinowane matactwa. - Nie wątpię, że dojdzie do prawdy.

- Mogensie, proszę! - powiedział Graves. - Naprawdę chcesz wszystko porzucić?

- Tam na dole nie ma nic, co byłoby godne tej ceny - odparł profesor.

- Takie słowa z twoich ust? - wymamrotał wzburzony Graves. - Jesteś człowiekiem nauki tak jak ja! Czy naprawdę zapomniałeś już o naszych marzeniach? Wszystkie te historie, których słuchaliśmy z zapartym tchem wtedy na uniwersytecie, wszystko to, co sami chcieliśmy kiedyś osiągnąć?...

- Nie - pokręcił głową Mogens. - Ale tak samo nie zapomniałem, co sam mi opowiedziałeś, Jonathanie. Czy o tym, co opowiedział mi Tom. A już na pewno nie zapomniałem, co sam widziałem na własne oczy. Co musi się stać, żebyś zrozumiał, że obudziliśmy siły, którym nie jesteśmy w stanie stawić czoła?

Doktor znów zaciągnął się papierosem. VanAndt wyczytał w jego twarzy, że postanowił zmienić taktykę.

- Dobrze więc - westchnął w końcu Graves. - Prawdopodobnie nie ma to już znaczenia. Prędzej czy później i tak byś się dowiedział. Najpóźniej dziś w nocy.

- Czego?

- Masz rację - powiedział Jonathan - na dole jest rzeczywiście coś więcej niż tylko starożytny grobowiec faraonów. Więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Mogens potrafił wyobrazić sobie wiele, ale czuł równocześnie, jak łapczywie chwycił właśnie przynętę rzuconą a-OZ przez Gravesa. Przynętę nie tylko mało oryginalną, ale w dodatku niezbyt przebiegle dobraną. Profesor od razu zauważył haczyk, a mimo to go połknął. W końcu naprawdę nadal był, jak nazwał go Graves, człowiekiem nauki. Myślał, że niezliczone noce, gdy budził się z koszmarów złany potem, i smutne, ciągnące się w nieskończoność godziny jednakowych dni spędzonych w uniwersyteckich lochach już dawno stłumiły w nim głód nauki. Okazało się, że nie. Nigdy nie przestał zadawać sobie pytania „dlaczego?”.

- Nie - powiedział jednak.

- Nie? - powtórzył Graves z niedowierzaniem. - Nawet nie wiesz jeszcze, co odkryłem!

- I wcale nie chcę wiedzieć! - zawołał Mogens. - Masz rację, Jonathanie, jestem człowiekiem nauki tak jak ty. Ale jest między nami pewna różnica. Ja uważam, że są rzeczy, o których wcale nie powinniśmy wiedzieć.

- Gdyby wszyscy myśleli w ten sposób - prychnął doktor pogardliwie - nadal siedzielibyśmy na drzewach i obrzucali się nawzajem patykami!

- Tak T- pokiwał głową profesor - niewykluczone. Ale za to panna Preussler może byłaby nadal przy życiu.

- I Janice również - przypomniał Graves.

Mogens wiedział oczywiście, że Jonathan powiedział to tylko, by go zranić, ale ta świadomość nie sprawiła mu ulgi. Poczł, że zalewa go fala gniewu. Przez moment pragnął tylko rzucić się doktorowi do gardła.

Tyle że jemu pewnie o to właśnie chodziło. W obawie, że mogą go ponieść emocje, Mogens odwrócił się i bez słowa wyciągnął rękę do klamki. W tym samym momencie ktoś popchnął

gwałtownie drzwi od zewnątrz. Do pokoju wpadł Tom. Był wyczerpany.

- Panna Preussler! - wybełkotał. - Szeryf Wilson!

- Co się dzieje? Opanuj się! - przywołał go do porządku Graves. - Co się stało z panną Preussler i szeryfem?

•ii sm

o

Chłopak musiał kilka razy zaczerpnąć powietrza, by móc w ogóle mówić dalej.

- Przyjechał szeryf Wilson! - wydusił z siebie. - Znalazł pannę Preussler! Ona żyje!

Jeszcze przed chwilą Mogens nie był pewien, czy starczy mu sił na przemierzenie błotnistej drogi. Teraz, gdy wybiegł za Gravesem i Tomem, nawet nie czuł zmęczenia. Dotarł do kwatery panny Preussler tylko chwilę po tamtych. Pospiesznie okrążył wóz szeryfa i jednym susem pokonał trzystopniowe schodki prowadzące do domu.

O mały włos nie wpadł na Wilsona, który stał tuż za drzwiami i prawie całkowicie blokował wejście swoimi szerokimi ramionami. Profesorowi nie umknęło, że szeryf zmierzył go tyleż pogardliwym, co nieufnym spojrzeniem.

W tym momencie jednak zupełnie go to nie interesowało. Przemierzył prawie cały pokój dwoma dużymi krokami. Gdy zobaczył postać leżącą na wąskim łóżku polowym, cofnął się gwałtownie, tłumiąc jęk. Podczas biegu nie mógł zebrać myśli, ale wyobrażenia dręczyła go najstraszliwszymi obrazami. Teraz zobaczył na własne oczy, co spotkało pannę Preussler.

Na jej ciele Mogens nie dostrzegł poważniejszych obrażeń. Całą szerokość łóżka szczelnie wypełniała swoją tuszą, włosy miała zmierzwiłone i brudne. Na twarzy, rękach i nagich ramionach widniało zaledwie kilka zadrapań. Od pach po łydki była owinięta szarym, wełnianym kocem, zapewne wyjętym z samochodu Wilsona. Również jej nagie stopy były odrapane i pokryte brudem. Była więc niby cała

i zdrowa, ale profesor nigdy nie widział oczu, w których malowałyby się taka groza.

- Co... co się z panią stało? - wyszeptał.

Tom, który klęczał, trzymając dłoń panny Preussler, spojrzał na Mogensa raczej gniewnie niż z troską czy współczuciem.

- Szeryf Wilson z pewnością zaraz nam to wyjaśni - zauważył obojętnie Graves.

- Obawiam się, że nie będę w stanie - odparł Wilson.

Nie tylko doktor odwrócił się powoli w jego stronę

i uniósł pytająco lewą brew. Również VanAndt spojrzał na szeryfa z konsternacją.

- Co to ma znaczyć, że nie będzie pan w stanie? - spytał Jonathan.

Policjant wzruszył ramionami. Mogens nie potrafił ocenić, czy był to gest bezradności, czy raczej z trudem tłumionej irytacji. Wilson, zanim odpowiedział, również podszedł do łóżka, zmarszczył czoło i przez dłuższą chwilę przypatrywał się zamyślony pannie Preussler.

- Miałem nadzieję, że to panowie będą mogli mi odpowiedzieć na kilka pytań.

- My? - zdziwił się Graves. Jego lewa dłoń zaczęła lekko pulsować pod powłoką czarnej skóry. - Ale skąd my mielibyśmy coś wiedzieć?

Wilson oderwał wzrok od na wpół przytomnej kobiety i powolnym, ostentacyjnym ruchem odwrócił się do Jonathana.

- Cóż - odparł - po pierwsze, ta kobieta najwyraźniej mieszka tu z panami. Po drugie, znalazłem ją bardzo niedaleko tego miejsca.

- Gdzie? - wyrwało się profesorowi.

To pytanie, a może również ton jego głosu wyraźnie zdradzający poczucie winy, spowodowały, że Graves rzucił

w

»A

I -.',

It -

Wt

mu przeszywające spojrzenie. Szeryf przez dłuższą chwilę przyglądał się VanAndtowi badawczo.

- Na starym cmentarzu. Zaraz koło muru graniczącego z drogą. Wie pan gdzie?

Mogens czuł się coraz bardziej nieswojo pod spojrzeniem szeryfa. Gdy go poznał, myślał, że ma do czynienia z serdecznym i szczerym, ale niekoniecznie byстрыm policjantem, który robi wszystko, by sumiennie wypełniać swoje obowiązki. Teraz jednak uświadomił sobie, jak bardzo się mylił. Wilson ani nie był półgłówkiem, ani nie wywierało na nim wrażenia wyniosłe zachowanie Gravesa czy tytuły naukowe ich obu. Nie mógł oczywiście wiedzieć, co tu się wydarzyło, ale wyczuwał, że mają z tym coś wspólnego.

- Znalazł ją pan w takim stanie? - upewnił się doktor. - To znaczy...

- Naga, jeśli o to panu chodzi, tak - powiedział szeryf niewzruszony, ponownie skupiając całą swoją uwagę na Gravesie. - Zachowywała się histerycznie. Minęło sporo czasu, zanim usłyszałem pierwsze logiczne słowa. Gdybym nie wiedział, że jest tutaj z panami, zawiózłbym ją do miasta do lekarza. Co ona tutaj w ogóle robi?

- Panna Preussler jest z nami dopiero od kilku dni - odparł Jonathan. Wskazał na Mogensa. - A dokładniej jest tu z profesorem VanAndtem.

Mogens był pewien, że Graves nie przez przypadek wymienił jego tytuł naukowy. Nie umknęło to również Wilsonowi i raczej wzbudziło jego czujność niż go udobruchało. Szeryf jeszcze raz odwrócił się do Mogensa i zmierzył go od stóp do głów badawczym spojrzeniem.

- Ach, rzeczywiście, profesorze... - powiedział. - Pana... gospościa, tak pan mówił, prawda?

- To trochę skomplikowana historia - wtrącił prędko 4-00 Graves, zanim Mogens zdążył odpowiedzieć. - Ale nie ma

-Ł

T
m

nic wspólnego z tym, co przytrafiło się panie Preussler. - Kilka razy potrząsnął głową z przesadną energią, po czym nachylił się lekko nad panną Preussler, udając, że nic nie pojmuję. - Nie miała na sobie ubrania, mówi pan? - upewnił się. - Czy została...?

- Również mnie przyszło to do głowy - odparł Wilson. - Pytałem ją o to, ale twierdzi, że nie. Przynajmniej z tego - znów łypnął nieufnie okiem w stronę VanAndta - co zdołałem zrozumieć.

- Ale dlaczego nie zabrał jej pan do miasta? - spytał Jonathan. - Przecież ta kobieta potrzebuje lekarza!

- Oczywiście - zgodził się szeryf. - Ale ona życzyła sobie, żeby ją koniecznie przywieźć tutaj. Próbowałem ją przekonać, no ale nie mam prawa do niczego zmuszać ofiary przestępstwa. Chciała, żeby ją tutaj przywieźć. Do niejakiego Mogensa.

- To ja - odpowiedział pośpiesznie profesor.

- Mogens...? - powtórzył Wilson. - Czy nie mówił pan, że nazywa się pan...

- Mogens VanAndt. Jestem Flamandczykiem. Moi rodzice pochodzą z Brukseli.

- To w Europie, prawda? - spytał policjant.

Mogens zdziwił się. Nawet spośród studentów, których uczył przez ostatnie dziewięć lat, nie wszyscy wiedzieli, gdzie leży Bruksela.

- Tak - skinął głową - ale dorastałem tutaj. Od czwartego roku życia jestem obywatelem amerykańskim, jeśli to pana interesuje.

Dobroduszna iskra, która nadal jeszcze tliła się gdzieś w oczach szeryfa, nagle znikła. Mogens zrozumiał, że popełnił błąd. Sam już nie wiedział, dlaczego zachował się prowokująco.

- Skąd pan wie, że panna Preussler padła ofiarą przestępstwa? - zapytał Graves oschle.

Wilson zmierzył go niemal pogardliwym spojrzeniem i ostentacyjnie odwrócił się do Mogensa.

- Panna...

- Preussler - odpowiedział profesor. - Betty Preussler. Mogę podać adres, jeśli panu potrzebny.

- To nie będzie konieczne - odparł policjant. - Przynajmniej nie w tej chwili. Zakładam, że zostaną tu państwo jeszcze trochę, na wypadek gdybym miał jakieś pytania.

- A jakież to pytania? - zainteresował się Graves.
- Na przykład kiedy po raz ostatni widzieli panowie pannę Preussler. - Policjant zmierzył go chłodnym spojrzeniem. - I czy ma ona w zwyczaju biegać nago po cmentarzu. Jonathan zignorował drugie pytanie.
- Wczoraj wieczorem - westchnął. - Panna Preussler przygotowała nam kolację, znakomitą zresztą, potem rozeszliśmy się do swoich kwater. Chodzimy wcześniej spać, bo pracujemy po czternaście godzin dziennie, a czadem nawet dłużej.
- A dzisiaj? - spytał Wilson.
- Pracowaliśmy od samego rana - odparł doktor. - Śniadanie przygotowujemy sobie sami. Panna Preussler nie jest naszą kucharką. Przyjechała tu w odwiedziny do profesora VanAndta. Dlatego też nikt nie zauważył jej zniknięcia. Wydaje mi się, że powinniśmy wszyscy podziękować panu w imieniu panny Preussler. Strach pomyśleć, co by było, gdyby nie zjawił się pan w odpowiednim momencie.
- To nie był przypadek - wyjaśnił szeryf. Graves uśmiechnął się lekko, wygrzebał papierosa z kieszeni kamizelki i zapalił zapałkę.
- A co? - spytał, zaciągając się i wypuszczając dym Wilsonowi prosto w twarz.
- I tak jechałem do pana, doktorze - odparł policjant niewzruszony.
- Dlaczego?
- Obawiam się, że w niezbyt przyjemnej sprawie. - Policjant nie ukrywał, że słowa te sprawiły mu satysfakcję. - Mam przekazać panu pismo sądowe.
- Jakiej treści? - spytał Jonathan z kamienną twarzą. Panna Preussler wydała dziwny dźwięk, który może miał być słowem, ale nie zabrzmiał jak nic zrozumiałego. Mimo to Wilson rzucił pełne poczucia winy spojrzenie w jej stronę, po czym wskazał na drzwi.
- Lepiej omówmy tę kwestię na zewnątrz - zaproponował. Jonathan wzruszył lekko ramionami i bez słowa skierował się do wyjścia. Zdążył jeszcze rzucić Mogensowi ostrzegawcze spojrzenie, by nie poszedł przypadkiem za nim. Profesor jednak nie miał takiego zamiaru. Odczekał, aż Graves i szeryf zniknęli za drzwiami, po czym przysiadł ostrożnie na brzegu łóżka i ujął dłoń panny Preussler. Była ciepła, wręcz nieprzyjemnie rozpalona. Gospodyni zareagowała na dotyk dopiero po dłuższej chwili. Z trudem odwróciła głowę i spojrzała na VanAndta. W końcu na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech.
- Profesor...
- Mogens - poprawił ją. - Przyjaciele mówią do mnie Mogens. - Uczynił szybki gest, by powstrzymać pannę Preussler od odpowiedzi. Widział, ile trudu sprawia jej mówienie. - Proszę odpoczywać - ciągnął. - Już wszystko dobrze, jest pani z nami. Tutaj nikt już pani nie skrzywdzi. Tom spojrzał na niego, jakby miał pewne wątpliwości co do prawdziwości tego stwierdzenia. Również gospodyni nie wyglądała na uspokojoną.
- Chciałaby się pani czegoś napić? - spytał VanAndt. Panna Preussler przejechała koniuszkiem języka po wargach, zupełnie jakby musiała sprawdzić, czy rzeczywiście jest spragniona. Mogens chciał poprosić Toma o coś do

picia, ale chłopak już sam wstał i podszedł do stołu. Wrócił jednak nie z kubkiem, lecz z płaską, emaliowaną miską i gąbką, którą delikatnie zwilżył pannie Preussler usta. Czekał cierpliwie, aż zliże ostatnie krople z gąbki, potem zanurzył gąbkę jeszcze raz, wycisnął starannie i zaczął jej ostrożnie myć twarz i szyję.

Delikatność, z jaką chłopak wykonywał te czynności, wzruszyła profesora. Mimo żartobliwych swarów panna Preussler i Tom polubili się od pierwszej chwili. Być może chłopak widział w niej kogoś w rodzaju matki, którą stracił tak wcześnie.

- Czuje się pani teraz lepiej? - spytał, gdy odstawił miskę na podłogę i wytarł ręce w kurtkę. Mogens był pewien, że mimo jej oplakanego stanu, w oczach panny Preussler pojawił się cień dezaprobaty.

- Znacznie lepiej - powiedziała. - Dziękuję, Thomasie, jesteś dobrym chłopcem. Widać było, że poczuł się zażenowany. Wstał pospiesznie, odniósł miskę na stół i przez dłuższą chwilę krzątał się hałaśliwie.

Gdy wrócił, dobiegł ich z zewnątrz zdenerwowany głos Gravesa. Chwilę później rozległo się trzaśnięcie drzwi samochodu i cichnący odgłos silnika.

- Chyba jest wściekły - zauważył chłopak.

W tej samej chwili drzwi otwały się z impetem i do pokoju wtargnął rozgniewany doktor.

- Póglówki! - pomstował. - Przeklęta banda ignorantów! I oni mają czelność nazywać siebie naukowcami!

- Co się stało? - spytał VanAndt.

Jonathan potrząsnął gniewnie złożoną kartką papieru z urzędową pieczęcią.

- Nasi drodzy koledzy z naprzeciwna - rzucił.

- Geolodzy? - spytał Tom.

- Krety - wypluł z siebie doktor. - Ale nie ujdzie im to płazem! Ci tak zwani naukowcy jeszcze mnie popamiętają! - Nagle z jego twarzy zniknął wyraz gniewu, ustępując miejsca ironicznemu uśmiechowi. - Czy byłem przekonujący? - spytał.

Mogens zamrugnął oczami, chłopak również spojrzał na niego zdumiony. Graves uśmiechnął się jeszcze szerzej i niedbałym ruchem schował pismo do kieszeni marynarki.

- Mam nadzieję, że byłem przekonujący. W końcu nie chciałem sprawić zawodu naszemu drogiemu stróżowi prawa.

- Co to za pismo ci przekazał? - zapytał profesor.

- Decyzję sądową, za którą stoją nasi szanowni koledzy. - Machnął ręką. - Zakazuje ona mnie i wszystkim członkom mojego zespołu schodzenia do groty, zanim komisja biegłych nie przekona się, czy nasza praca nie stanowi zagrożenia dla otoczenia. Potrafię już sobie wyobrazić - dodał pogardliwym tonem - jaki będzie skład tej komisji.

- Nie możemy pracować? - spytał Tom z niedowierzaniem.

- Pod groźbą grzywny w wysokości tysiąca dolarów - potwierdził wesoło doktor. - Za każdorazowe złamanie zakazu.

- Ale przecież nie mają do tego prawa! - zaprotestował chłopak.

- Obawiam się, że jednak tak. - Graves klepnął otwartą dłońią w kieszeń, w której schował dokument.

- Jak brzmi uzasadnienie? - zainteresował się Mogens.

Jonathan westchnął.

- Nasi szanowni koledzy - odpowiedział, kładąc nacisk na każde słowo, jakby mówił o czymś wyjątkowo obrzydliwym - są zdania, że nasze prace wykopaliskowe zakłócają ich pomiary. Ponadto „nie można wykluczyć, że

fH

y, ■

' i JI

- Tym razem masz rację, drogi profesorze - odpowiedział Graves wesoło. - Jak wiadomo, papier jest cierpliwy. Zanim Wyatt Earp Wilson zrozumie, co zamierzam zrobić z jego decyzją sądową, już będzie po wszystkim. Dzisiejsza doba jest decydująca, nie zapominaj o tym. Potrzebujemy już tylko jednej nocy.

Profesorowi nie spodobały się te słowa, ale darował sobie komentarz. Odwrócił się z powrotem do gospodyni. Wyraz jej twarzy był bardzo wymowny. Mogens dobrze wiedział, co sądziła o tak dobitnych słowach, jakich dopiero co użył Graves. A decyzja sądowa była dla niej świętością niewiele mniejszą niż tablice z dziesięciorgiem przykazaft.

- To wszystko nie ma teraz znaczenia, panno Preussler - powiedział Mogens. - Najważniejsze, że pani żyje i znów jest z nami. Bardzo się wszyscy o panią martwiliśmy. Prawdę mówiąc, obawiałem się już najgorszego, gdy zobaczyłem, jak te... potwory panią porwały.

Jej wzrok zagubił się na chwilę w dali wypełnionej przerażającymi stworzeniami, może w jej własnym świecie między dniem a nocą. Opanowała się jednak zadziwiająco szybko i nawet zmusiła

usta do lekkiego uśmiechu, chociaż oczy nie wyrażały tego samego. Rękę zacisnęła nieco mocniej na palcach VanAndta.

- Mówiłam panu, że nie powinien pan zadawać się z tym bezbożnym człowiekiem, profesorze - przypomniała. A więc wróciła do swojej opinii o Gravesie wyrobionej jeszcze w Thompson. - Wiedziałam, że to się źle skończy.

- Bądź co bądź żyje pani, moja droga - odparł doktor chłodno. - Czego szukała pani na dole, panno Preussler?

prace stanowią również zagrożenie dla miasta oraz życia i zdrowia jego mieszkańców". Idioci! Nie sprawiał wrażenia, jakby rzeczywiście go to poruszało czy złościło, czego VanAndt nie omieszkiał skomentować.

- Nie uważa pan, że to najpierw pan powinien odpowiedzieć mi na kilka pytań, doktorze? - spytała po dłuższej chwili.

- Nie. - Graves spokojnie pokręcił głową. - Proszę mi wierzyć, moja droga, będzie lepiej, jeśli nie będzie pani wiedziała nic na temat wszystkich tych rzeczy. Lepiej dla nas i lepiej dla pani. Widziała już pani i tak za dużo. Nie bez powodu wyraźnie zakazaliśmy pani schodzić na dół. - Pokiwał głową i dodał: - Najważniejsze, by opowiedziała nam pani, co zobaczyła za tymi drzwiami, rozumie to pani chyba, prawda?

- Jonathanie, daj w końcu spokój - powiedział Mogens zmęczony. - Nie chce na ten temat mówić, nie rozumiesz tego?

- Proszę mu pozwolić, profesorze - sprzeciwiła się panna Preussler. - Doktor Graves to zły człowiek, od początku to czułam. Może sama jestem sobie winna. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

- Rzeczywiście, nie powinna pani była - odparł profesor poważnie. - Choć oczywiście ucieszyłem się na pani widok.

- Panno Preussler - naciskał Graves - co pani widziała?

Gospodyni zignorowała go. Jeszcze silniej ścisnęła dłoń Mogensa.

- Te stworzenia, profesorze - szepnęła. - Te potwory... proszę mi powiedzieć, że przyjechał pan tu, by je zniszczyć.

- Nie - odparł VanAndt z ubolewaniem. - Nie wiedziałem, że istnieją, a przynajmniej nie tutaj.

- Ale jak już się pan dowiedział?

- Obawiam się, że leży to poza naszymi możliwościami, droga panno Preussler - wtrącił się Graves. Tym razem Mogens był wdzięczny, że wszedł mu w słowo. - W każdym razie dopóki nie zdradzi nam pani, co widziała.

Profesor musiał się powstrzymać, by nie wstać i nie wymierzyć Gravesowi policzka, by wreszcie zamilkł. Pewnie by to uczynił, gdyby gospodyni nie trzymała go mocno za rękę. Nawet Tom wpatrywał się dłuższą chwilę w doktora z wyrazem niepohamowanego gniewu.

- Ale zniszczy je pan? - upewniła się panna Preussler. - Te straszne potwory, doktorze. One nie mają prawa istnieć na tej ziemi.

- Co zobaczyła pani za drzwiami? - upierał się Graves.

- Więcej, niżbym sobie życzyła. I niż powinnam była zobaczyć. Te potwory... były... były ich takie niezliczone ilości...

Mogens i Tom wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Dużo ich było? - spytał VanAndt.

- Dziesiątki. - Głos panny Preussler przycichł, a oczy znów spochmurniały. - O ile nie setki. Nie widziałam dobrze, trzymały mnie mocno. Tak się bałam, to było straszne!

- Nie musi pani o tym mówić, jeśli pani nie chce - powiedział Mogens cicho.

Graves obrzucił go wrogim spojrzeniem, ale panna Preussler pokręciła głową i rzuciwszy profesorowi pełne wdzięczności spojrzenie, ciągnęła:

- Nie mogę panu wiele więcej powiedzieć, doktorze. Bałam się ogromnie. Było bardzo ciemno. Tych stworzeń są w każdym razie ogromne ilości. Proszę mi powiedzieć, że je pan zniszczy.

Jonathan milczał.

- Jak im pani uciekła? - spytał Tom nerwowo.
- Nie uciekłam im - odparła panna Preussler.
- Nie uciekła pani?! - wykrzyknął zaskoczony Graves. - Jak mamy to rozumieć?
- Zaciągnęły mnie do tego straszego miejsca - powiedziała cicho. - Chyba musiałam szybko zemdleć. Pamiętam jeszcze bardzo długie schody prowadzące na dół. Tam był

dom i... - Głos odmówił jej posłuszeństwa. Jej uścisk stał się nagle tak silny, że Mogensa zabolą ręką, nie próbował się jednak wyswobodzić. Czuł, jak ciężko było pannie Preussler mówić dalej. Ale wyraźnie chciała mówić, by nie załamać się pod ciężarem tych strasznych wspomnień.

- Potwory były wszędzie. - Jej głos zadrżał. - Zdarły... zdarły ze mnie ubrania. Wszystkie. Byłam pewna, że mnie zabiją. Ale one tylko mnie... dotykały i obwąchiwały.

- Obwąchiwały? - upewnił się Graves. Wyglądał na zainteresowanego, ale niespecjalnie zdziwionego.

- Tak. - Z trudem przełknęła ślinę. - To było straszne. Takie poniżające. Obwąchiwały mnie wszędzie... naprawdę wszędzie. Myślałam, że umrę ze wstydu, ale nie mogłam nic zrobić.

- Już dobrze - powiedział Mogens łagodnie. - To tylko zwierzęta, panno Preussler, bezmózgie potwory. Nie musi się pani wstydzić.

- I potem po prostu panią wypuścili? - spytał doktor.

- Nie - pokręciła głową gospodyni. - W którymś momencie straciłam przytomność. Ocknęłam się dopiero na cmentarzu. Potworów już nie było.

- Potem znalazł panią szeryf Wilson - domyślił się Mogens.

Panna Preussler zacisnęła usta. W jej oczach nagle pojawiły się łzy.

- To było takie... takie poniżające - wyszeptala drżącym głosem. - Tak się wstydzę.

- Nie musi pani. - VanAndt pogładził ją delikatnie po dłoni. - Już jest po wszystkim. Proszę teraz trochę odpocząć, potem Tom zawiezie nas samochodem do miasta. Przy odrobinie szczęścia dziś wieczorem będziemy już w pociągu, który zawiezie nas do domu.

- Ale to niemożliwe, profesorze - powiedziała panna Preussler.

■PPI: ff' iii

- Słucham?

- Nie możemy tak po prostu uciec - wyjaśniła. - Nie chodzi o mnie, profesorze. Na dole widziałam... coś jeszcze.

- Co takiego? - spytał Mogens z bijącym sercem.

- Nie byłam jedyna. Tam jest więcej kobiet, żywych kobiet.

jk

łonce zaszło dobrą godzinę temu. Od tej pory Mogens już kilkanaście razy otwierał i zamykał wieko swojego kieszonkowego zegarka. Choć był pewien, że powtarzał tę czynność w dość regularnych odstępach, za każdym razem zdawało mu się, że minęło mniej czasu. Gdy po raz kolejny otworzył wieko, by w świetle jedynej, prawie wypalanej świeczki na biurku Gravesa powtórzyć rytuał, miał wrażenie, że od poprzedniego razu wskazówki ani drgnęły.

- Mogensie?

VanAndt oparł się pokusie, by rzucić gniewne spojrzenie Gravesowi siedzącemu po drugiej stronie biurka. Zresztą, nawet jeśli by to uczynił, wątpił, czy udałoby mu się przeniknąć wzrokiem zasłone z dymu papierosowego. Doktor palił praktycznie bez ustanku. Mogens nie wiedział, czy jest to oznaka zdenerwowania, czy Graves chciał się napawać do woli swoim nałogiem, bo kto wie, czy to nie będzie ostatni papieros...

Niemal ostentacyjnym ruchem profesor zamknął wieko zegarka, schował go do kieszeni kamizelki i świadomie odpowiedział na pytanie Gravesa dopiero po kilku sekundach.

- Oczywiście, że jestem zdenerwowany. A ty może nie? Jonathan przekrzywił głowę. „

- Nie jestem pewien. To znaczy właściwie powinienem być, prawda? Ale czuję się... dziwnie.

- Dziwnie? - Mogens uniósł pytająco brwi. - Na twoim miejscu bałbym się dużo bardziej niż na własnym.

Graves zaśmiał się cicho.

- Mógłbyś mi to wyjaśnić?

- Zakładam, że wiesz lepiej niż ja, co nas czeka na dole.

- Obawiam się, że będę musiał cię rozczarować - odparł doktor. - Wiem tylko, że przez te wszystkie lata nigdy nie byłem tak blisko tajemnicy jak teraz. A odpowiadając na twoje pytanie, oczywiście, że się boję. Gdyby tak nie było, nie byłbym człowiekiem.

Profesor pomyślał, że człowieczeństwo Jonathana to temat na długą i ożywioną dyskusję, ale teraz na pewno nie był na nią odpowiedni czas. Przyłapał się na tym, że znów chciał sięgnąć do kieszeni kamizelki. Cofnął pospiesznie rękę, jednak ruch ten nie umknął Gravesowi.

- Jeszcze ponad trzy godziny do północy, Mogensie -uspokoił go. - Dlaczego nie pójdziesz do swojej kwatery i nie spróbujesz trochę się przespać? Tom obudzi cię na czas.

- Przespać się? - powtórzył VanAndt. - Potrafiłbyś zasnąć na moim miejscu?

- Nawet na swoim nie potrafię. - Graves zaciągnął się mocno. Pośród siwej chmury rozbłysnął maleńki, czerwony ogień, po czym szybko zgasł. - Masz ochotę na partię szachów?

- Szachów? - upewnił się Mogens niedowierzającym tonem. - Naprawdę chcesz grać teraz w szachy?

- Dlaczego nie? - wzruszył ramionami doktor. - Znam ludzi, którzy zadowolają się spoglądaniem co chwilę na zegarek. Ja uważam, że szachy to o wiele lepsza metoda na zabicie czasu. To bardzo uspokajająca gra, poza tym wyostża uwagę na sprawy istotne, a i jedno, i drugie może się niedługo okazać pomocne.

I

U

-k

miśh,

itr

m

, I o

Nie czekając na odpowiedź, wstał, podszedł do komódki i wrócił po chwili ze skórzanym etui, z którego wyciągnął kunsztowne szachy Każda z figurek stanowiła małe arcydzieło, chociaż nie były większe niż paznokiec niemowlęcia. Miały jednak mały defekt.

- Co to za szachy? - wzruszył ramionami VanAndt.

- A co z nimi nie tak? - spytał Graves, ustawiając już bierki po swojej stronie, począwszy od wieży.

- Są białe.

- To dlatego, że zostały wykonane z kości słoniowej -wyjaśnił doktor nieco rozbawionym głosem.

- Ale one są wszystkie białe! - zaprotestował Mogens. -Po obydwu stronach.

- Cóż, kość słoniowa jest biała...

- Ale jak mamy grać, skoro nie można rozróżnić, które są czyje?

Jonathan bez słowa zaczął ustawiać szachy Mogensa. Profesor nadal nie potrafił określić, co w ruchach jego palców było nieprawdziwego i odrażającego, wciąż jednak twierdził, że poruszają się w sposób, do jakiego ludzkie palce nie są zdolne. Pomyślał, że Graves mógłby być doskonałym szulerem.

- Masz na myśli, że trudno odróżnić przyjaciela od wroga? - zaśmiał się Jonathan. - Jak w prawdziwym życiu -dodał, gdy skończył układać bierki i rozsiadł się wygodnie w fotelu. - To wyjątkowe szachy, Mogensie. Są bardzo stare i cenne, ale nie wyciągnąłem ich tylko dlatego, żeby zagrać z wyjątkowym człowiekiem.

- Dlaczego więc?

- Figury różnią się między sobą, trzeba tylko dobrze się przypatrzeć. Ponadto trzeba dobrze zapamiętywać ustawienie swoich bierek. Tak jak wspominałem, jak w prawdziwym życiu. -

Machnął ręką w kierunku profesora. - Ty
418 zaczynasz, masz białe.

Nie czekając na odpowiedź, wstał, podszedł do komódki i wrócił po chwili ze skórzanym etui, z którego wyciągnął sztuczne szachy. Każda z figurek stanowiła małe arcydzieło, chociaż nie były większe niż paznokcie niemowlęcia. Miały jednak mały defekt.

- Co to za szachy? - wzruszył ramionami VanAndt.
- A co z nimi nie tak? - spytał Graves, ustawiając już bierki po swojej stronie, począwszy od wieży.

- Są białe.

- To dlatego, że zostały wykonane z kości słoniowej - wyjaśnił doktor nieco rozbawionym głosem.

- Ale one są wszystkie białe! - zaprotestował Mogens. - Po obydwu stronach.

- Cóż, kość słoniowa jest biała...

- Ale jak mamy grać, skoro nie można rozróżnić, które są czyje?

Jonathan bez słowa zaczął ustawiać szachy Mogensa. Profesor nadal nie potrafił określić, co w ruchach jego palców było nieprawdziwego i odrażającego, wciąż jednak twierdził, że poruszają się w sposób, do jakiego ludzkie palce nie są zdolne. Pomyślał, że Graves mógłby być doskonałym szulerem.

- Masz na myśli, że trudno odróżnić przyjaciela od wroga? - zaśmiał się Jonathan. - Jak w prawdziwym życiu - dodał, gdy skończył układać bierki i rozsiadł się wygodnie w fotelu. - To wyjątkowe szachy, Mogensie. Są bardzo stare i cenne, ale nie wyciągnąłem ich tylko dlatego, żeby zagrać z wyjątkowym człowiekiem.

- Dlaczego więc?

- Figury różnią się między sobą, trzeba tylko dobrze się przypatrzeć. Ponadto trzeba dobrze zapamiętywać ustawienie swoich bierek. Tak jak wspominałem, jak w prawdziwym życiu. -

Machnął ręką w kierunku profesora. - Ty zaczynasz, masz białe.

Nie czekając na odpowiedź, wstał, podszedł do komódki i wrócił po chwili ze skórzanym etui, z którego wyciągnął sztuczne szachy. Każda z figurek stanowiła małe arcydzieło, chociaż nie były większe niż paznokcie niemowlęcia. Miały jednak mały defekt.

- Co to za szachy? - wzruszył ramionami VanAndt.

- A co z nimi nie tak? - spytał Graves, ustawiając już bierki po swojej stronie, począwszy od wieży.

- Są białe.

- To dlatego, że zostały wykonane z kości słoniowej - wyjaśnił doktor nieco rozbawionym głosem.

- Ale one są wszystkie białe! - zaprotestował Mogens. - Po obydwu stronach.

- Cóż, kość słoniowa jest biała... >

- Ale jak mamy grać, skoro nie można rozróżnić, które są czyje?

Jonathan bez słowa zaczął ustawiać szachy Mogensa. Profesor nadal nie potrafił określić, co w ruchach jego palców było nieprawdziwego i odrażającego, wciąż jednak twierdził, że poruszają się w sposób, do jakiego ludzkie palce nie są zdolne. Pomyślał, że Graves mógłby być doskonałym szulerem.

- Masz na myśli, że trudno odróżnić przyjaciela od wroga? - zaśmiał się Jonathan. - Jak w prawdziwym życiu - dodał, gdy skończył układać bierki i rozsiadł się wygodnie w fotelu. - To wyjątkowe szachy, Mogensie. Są bardzo stare i cenne, ale nie wyciągnąłem ich tylko dlatego, żeby zagrać z wyjątkowym człowiekiem.

- Dlaczego więc?

- Figury różnią się między sobą, trzeba tylko dobrze się przypatrzeć. Ponadto trzeba dobrze zapamiętywać ustawienie swoich bierek. Tak jak wspominałem, jak w prawdziwym życiu. -

Machnął ręką w kierunku profesora. - Ty zaczynasz, masz białe.

Profesor był niemile zaskoczony. Graves najwyraźniej poduczył się w ostatnich latach. Nadal nie

był mistrzem, jednak grał o wiele lepiej. W dodatku większość uwagi Mogensa absorbowało zapamiętanie położenia wszystkich szesnastu bierok. Dwa czy trzy razy, gdy chciał sięgnąć po którąś, doktor potrząsnął drwiąco głową, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że pomylił figurę. Profesor stracił skoczka i trzy pionki, ale nieubłaganie napierał na pozycje Jonathana. Po zaledwie dwudziestu kilku ruchach

W pierwszej chwili VanAndt nie był pewien, czy w ogóle wziąć udział w tym dziwnym pojedynku, czy może po prostu wstać i wyjść. Mimo to nachylił się nad biurkiem i przyjrzał uważnie miniaturowym bierkom. Graves miał rację, różniły się nieco, choć profesor nie wiedział, czy będzie je mógł zidentyfikować, gdy porzucą swoje szeregi i zaczną przedzierać się na stronę przeciwnika. Ale w końcu co miał do stracenia oprócz odrobiny czasu, który i tak dłużył się niemiłosiernie?

Rozpoczął grę klasycznie, przesuwając pionek dwa pola do przodu. Graves skrzywił się i w odpowiedzi uczynił równie automatyczny ruch. Mogens zauważył ku własnemu zaskoczeniu, że już po kilku ruchach pochłonęła go całkowicie nie tyle gra, co niemal obsesyjna myśl, by tej partii nie przegrać. Dawniej, w czasach studenckich dziewięć na dziesięć partii wygrywał VanAndt. Jednak te nieliczne zwycięstwa, które odnosił Jonathan, były bez wyjątku szybkie i druzgocące. Należał do nieobliczalnych graczy, którzy w gruncie rzeczy nie są zbyt dobrzy, a już na pewno nie kreatywni, ale czasem skłonni do niemal nonsensownych reakcji, którymi wytrącają przeciwnika z równowagi i wyprowadzają go w pole. Mogens zdał sobie sprawę, że Graves tak właśnie go zaskoczył, by sprowadzić tutaj. Dosłownie wywiódł w pole. Ale po raz ostatni - to mu solennie obiecał. właściwie nie było wątpliwości co do wyniku rozgrywki. VanAndt zaproponował Gravesowi remis, na który ten jednak się nie zgodził.

- Nie można się nigdy poddawać, zanim gra nie zostanie rzeczywiście zakończona - powiedział. - Już dawno przyswoiłem sobie tę zasadę. Gdyby nie ona, prawdopodobnie nie byłoby mnie wśród żywych.

Mogens nawet nie podniósł wzroku znad szachownicy. Czuł, że przeciwnik powiedział to tylko po to, by sprowokować go do jakiegoś konkretnego pytania czy reakcji. Nie miał jednak ochoty z nim dyskutować, poza tym wiedział, że gdy tylko podniesie wzrok, natychmiast straci rozeznanie na szachownicy.

- Wiesz, że nie ma jej tam na dole, prawda? - spytał nagle Graves.

- Kogo? - Mogens wzruszył ramionami. Lecz tak naprawdę chciał tylko ukryć dreszcz, który przebiegł mu po całym ciele.

- Janice - odpowiedział doktor.

Tym razem profesor wzdygnął się tak mocno, że Graves nie mógł tego nie zauważyć.

Jonathan przesunął do przodu jedyną wieżę, jaka mu pozostała, zagrażając profesorowi. Ten już sięgnął ręką po gońca, by wykorzystać ten oczywisty prezent, zaraz jednak cofnął ją i z namysłem przesunął wzrokiem po szachownicy. Nie dostrzegał zasadzki, co nie znaczy, że jej nie było.

- Jesteś mi winny odpowiedź - przypomniał Graves.

- Dlaczego? - spytał Mogens niechętnie.

- Wiem, że twoja zmiana nastawienia może mieć tylko jeden powód. Masz nadzieję, że tam w dole odnajdziesz Janice. Oczywiście wiesz, że to niemal wykluczone, ale chcesz się upewnić.

VanAndt zbił wieżę. Jeśli nawet dał się właśnie złapać w pułapkę, to tak kunsztownie zastawioną, że nie

v "I

dostrzegłby jej, nawet gdyby wpatrywał się w szachownicę przez następną godzinę.

- Pleciesz bzdury, Jonathanie - powiedział umyślnie szorstkim tonem. - Jeśli panna Preussler mówi prawdę, to jest naszym psim obowiązkiem iść tam na dół i uwolnić te biedne kobiety z niewoli potworów.

- Jeśli mówi prawdę? - powtórzył Graves i zrobił jeszcze jeden zupełnie bezsensowny ruch, który już całkowicie zbił Mogensa z tropu. - Czyżbyś nagle zwątpił w szczerość panny Preussler?

- Nie - odparł Mogens. - Ale jak sama przyznała, uległa panice. Prawdopodobnie ogarnęła ją

kompletna histeria, ja w każdym razie z pewnością tak bym zareagował na jej miejscu. Do tego jeszcze te potwory, które Bóg wie co jej zrobiły. Nie byłbym w każdym razie zdziwiony, gdyby miała halucynacje.

Doktor na dobrą minutę skupił się na szachownicy.

- Straciłeś więc nadzieję na odnalezienie Janice? - spytał niemal mimochodem.
- Jonathanie, co to ma znaczyć?! - zdenerwował się profesor. - Zrobię, czego ode mnie żądasz, i będę ci po raz ostatni towarzyszył do tej przeklętej komnaty. Co ty chcesz osiągnąć? Chcesz mnie trochę podreńczyć z czystej złośliwości?
- Nie. - Graves przesunął hetmana, zbijając wieżę VanAndta. - Chcę wygrać, szach mat. Mogens wpatrywał się zdumiony w szachownicę. Wyciągnął dłoń w stronę planszy, cofnął ją z powrotem i pokręcił z konsternacją głową.
- Tylko mi nie mów, że poruszyłeś ten temat, żeby odwrócić moją uwagę.
- Wykorzystuję każdą okazję, która się nadarza - powiedział Graves spokojnie. - Przyznajesz więc, że cię pokonałem?
- Jeśli nalegasz... - Profesor wzruszył ramionami. - Choć nie rozumiem, jak to się stało. Ale proszę cię bardzo, pokonałeś mnie.
- I to twoim własnym hetmanem - uśmiechnął się z satysfakcją Jonathan.

VanAndt dopiero teraz zrozumiał sytuację.

- To oszustwo - oburzył się.
- Przecież powiedziałem, Mogensie, wykorzystuję każdą okazję, która się nadarza.
- Oszukując? - spytał profesor pogardliwie.
- Zawsze grałeś lepiej - odparł spokojnie doktor. - Gdybym trzymał się reguł, tobym cię nie pokonał.
- Oszukujesz więc?
- Zmieniam reguły - poprawił go Graves. - Czasem to jedyny sposób na przetrwanie.

Mogens nie był pewien, co to miało znaczyć i czy w ogóle doktorowi chodziło o cokolwiek, czy tylko chciał z niego zakpić. Miał ochotę zmieść szachownicę ze stołu. Powstrzymał go przed tym jedynie respekt dla antyku. Wstał.

- Masz rację - powiedział. - Pójdę do siebie i spróbuję trochę odpocząć.

Rozczarowana mina doktora sprawiła mu wiele satysfakcji. Cały ten teatrzyk musiał być przygotowaniem do większego przedstawienia, ale profesor nie miał ochoty go oglądać. Choć rozum podpowiadał, że może lepiej byłoby zostać i wysłuchać Jonathana...

Kilkanaście pierwszych kroków po wyjściu z domu pokonał biegiem, potem zwolnił i w końcu przystanął. Musiał zrobić kilka głębokich wdechów, zanim się uspokoił. Czy jeszcze kilka minut temu uwierzyłby, że Graves po raz kolejny wywiedzie go w pole? Zrobi mu na złość ot tak, z czystej złośliwości.

Stał przez chwilę bez ruchu i czekał, aż serce przestanie mu łomotać. Może przypisywał zbyt duże

znaczenie

drobnostkom? Wszyscy byli zdenerwowani i bali się tego, co ich czeka i co...

Pod jego stopami zadrżała ziemia.

Nie było to właściwie drżenie, lecz echo, jakby głęboko w ziemskich czeluściach poruszyło się coś gigantycznego i zaraz potem ponownie zapadło w sen. Wstrząs nie był zbyt silny, Mogens zastanawiał się nawet, czy odczułby go, gdyby nadal siedział w kwaterze Gravesa, a jednak był zaniepokojony. Niby nic się nie wydarzyło - ziemia nie pękła, firmament nie spadł mu na głowę. Nie usłyszał ani brzęku tłuczonego szkła, ani huku walących się budynków. Żaden ptak nie poruszył się na gałęzi, żaden pies nie zaszczekał. VanAndt z niepokojem pomyślał, że może to wcale nie było trzęsienie ziemi. Może to rzeczywistość zadrżała, a wstrząs wcale nie był realny, tylko przeznaczony wyłącznie dla przeczulonych zmysłów profesora.

Za Mogensem trzasnęły drzwi. Wzdrygnął się przestraszony, a serce znów zaczęło mu łomotać. Ręce drżały. W pierwszym momencie zobaczył tylko cień, po chwili rozblęsnął w ciemnościach czerwony ogień.

- Ty też to poczułeś?
- Oczywiście. - Graves podszedł powoli, wyrzucił niedopałek i napalił kolejnego papierosa. - Nie tylko ja.

Wskazał głową w kierunku drugiego końca placu. W domu Toma zapaliło się światło, a chwilę później jego promień padł na zewnątrz przez otwarte drzwi. Dziwny uśmiech przebiegł przez twarz doktora, zanim cofnął się pół kroku i uniośł głowę, by spojrzeć na niebo.

VanAndt podążył za jego wzrokiem. Niebo było tak przejrzyste, że gwiazdy wyglądały jak dziurki w smolisto-czarnej tekturze podświetlonej silnym światłem. Przez chwilę, zanim Mogens rozpoznał znane mu gwiazdy i ich konstelacje, zdało mu się, że zawirowały w lekkim tańcu, by ułożyć się w nowy, tajemniczy wzór.

Gdy jednak zamrugał, gwiazdy wróciły na swoje dawne miejsca. Kolejne złudzenie... Może za szybko biegł? No i przecież poprzedniej nocy został ranny, a nie był człowiekiem przyzwyczajonym do podobnych przygód. W normalnych warunkach już sama utrata krwi przykułaby go na kilka dni do łóżka. I tak jak na siebie czuł się zadziwiająco dobrze. Jednak zejść w tym stanie na dół, by prawdopodobnie wdać się w walkę z ghumami, których były dziesiątki, o ile nie setki - to było czyste szaleństwo!

Tom podszedł do nich. Na rozmokłej ziemi jego kroki wydawały dziwne, chlupoczące odgłosy. Chłopak skinął głową profesorowi i stanął obok Gravesa, by również spojrzeć w niebo. '

- Zaczyna się, prawda? - zapytał cicho po chwili.
- Tak - powiedział doktor. - Zaczyna się.

Na te słowa VanAndta przeszedł lodowaty dreszcz. Natomiast Jonathan wydawał się... szczęśliwy. Nieludzko szczęśliwy.

Mogens jeszcze raz podniósł głowę. Rozgwieżdżone niebo wyglądało majestatycznie, nie dostrzegł na nim jednak nic szczególnego.

- O czym właściwie mówicie? - Ledwie to powiedział, odniósł wrażenie, że jego głos zabrzmiał świętokradczo.

Przywołał się w myślach do porządku. Nie miał zamiaru ulegać pseudofilozoficznej gadaninie doktora.

- Nigdy nie zastanawiałeś się, co jest tam w górze? - spytał Graves. Głos jego nadal brzmiał dziwnie, teraz Mogensowi wydało się, że był raczej pełen czci niż szczęścia.

- Gwiazdy - wzruszył ramionami profesor.

- Oczywiście - uśmiechnął się Jonathan. - Ale między gwiazdami? I za nimi, Mogensie?

- Za gwiazdami? Co przez to rozumiesz?

- Życie, Mogensie, życie - odpowiedział Graves. - Nigdy nie zastanawiałeś się, czy tam w górze istnieje życie?

-

\ . fżW fMi

Ludzie tacy jak my albo inne dziwniejsze jeszcze stworzenia?

Oczywiście, że zadawał sobie to pytanie, jak każdy. Ale skoro nikt nie znał odpowiedzi, tym bardziej nie uważał, żeby teraz był odpowiedni moment do takich dyskusji. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, gdyż za ich plecami zabrzmiał stanowczy głos:

- Cóż to za bluźniercze bzdury, doktorze!

Przestraszony Mogens odwrócił się gwałtownie, Graves natomiast odczekał dłuższą chwilę, zanim z umyślną powolnością zmierzył gospodynię profesora rozbawionym wzrokiem.

- Panno Preussler! Co pani tutaj robi, moja droga? Powinna pani leżeć w łóżku i wypoczywać.

Lecz ona podeszła jeszcze dwa kroki, wsparła dłonie na krągłych biodrach i przeszła sporo od niej wyżej Gravesa takim spojrzeniem, że nagle zmałał.

- Tak, to byłoby dla pana wygodniejsze - stwierdziła. - Wówczas nie słyszałabym tej pańskiej bluźnierczej gadaniny, prawda?

Zaraz odwróciła się w stronę Mogensa.

- A pan, profesorze? - powiedziała, kręcąc głową. Jej głos zabrzmiał jednak nieoczekiwanie

łagodnie, była raczej rozczarowana czy zatroskana, niż zła. - Pan stoi i słucha tej paplaniny i nie reaguje w żaden sposób? Człowiek z pana wykształceniem? Spodziewałam się po panu więcej. VanAndt w pierwszej chwili nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Gdy widział ją jakieś dwie godziny temu, leżała w łóżku blada jak papier, wyczerpana i przestraszona. Nie był nawet pewien, kiedy będzie miała siłę podnieść się z łóżka. Teraz wszystko to minęło jak ręką odjął. Gospodyni nie tylko umyła się, ubrała i uczesała, lecz znów stała się dawną, rezolutną Betty Preussler. Kobieta, która w swoim otoczeniu nie tolerowała niczego, co było niezgodne z jej

..... "

■ .. . • - " 3M " •; jfct* ' •;

światopoglądem, urągałoby porządkowi, higienie lub przyzwoitości. Mogensowi trudno było uwierzyć, że człowiek jest zdolny tak szybko dojść do siebie.

- Błagam panią, moja droga - odezwał się Graves. - Proszę nie wyładowywać swojego słusznego gniewu na biednym profesorze. Prowadziliśmy tylko dyskusję naukową, to wszystko.

- Dyskusję naukową, tak? - Oczy panny Preussler iskrzyły zaczepnie. - Być może nie rozumiem nic a nic z naukowych kwestii omawianych przez panów, doktorze, w końcu jestem tylko starą, głupią kobietą z prowincjonalnego miasteczka. Poznają jednak, gdy ktoś bluźni przeciw Panu, nawet jeśli próbuje ukryć tę herezję pod mądrymi słówkami.

Przez chwilę doktor wyglądał na zbitego z tropu. Mogens z trudem opanował złośliwy uśmiech. Jeden jedyny raz w ciągu tych minionych lat usiłował przeprowadzić tego typu dyskusję ze swoją gospodynią i próby tej nigdy już nie powtórzył. Graves ani nie wiedział, jak grząski to temat, ani nie cieszył się u panny Preussler taką sympatią. I zamiast zmienić temat, brnął w niego dalej:

- Ależ błagam panią, panno Preussler! Nikt nie chciał pani obrazić ani zakwestionować pani wiary, zapewniam panią. Proszę za mną, moja droga. - Wyciągnął rękę, by położyć ją na ramieniu gospodyni, ale zaraz ją cofnął zmiażdżony gniewnym wzrokiem. Chrząknął nerwowo, po czym wzruszył lekko ramionami, zmusił się ponownie do uśmiechu i wskazał ręką niebo. - Jestem daleki od kwestionowania czy umniejszania dzieła bożego. Widzi pani gwiazdy?

Panna Preussler skinęła głową.

- Jak pani myśli, ile ich jest? - spytał Jonathan.

- Dużo - odparła. - Tysiące.

Doktor potrząsnął głową.

- Więcej. Miliony, panno Preussler, wiele milionów, już tylko w samej Drodze Mlecznej. Wie pani, co to jest Droga Mleczna?

Mogens domyślił się, że zadając to pytanie, Graves stracił resztki sympatii gospodyni, o ile w ogóle jeszcze darzyła go jakąkolwiek życzliwością.

- Już sama Droga Mleczna składa się z milionów gwiazd, a wiele spośród innych gwiazd - Jonathan wskazał rozżarzoną końcówką papierosa na firmament, jakby chciał wypalić w nim jeszcze jedną dziurę - tylko dla nas wygląda jak gwiazdy z powodu znacznej odległości.

Tymczasem tak naprawdę to ogromne zbiory gwiazd wielkości naszej Drogi Mlecznej.

- Bardzo interesujące - powiedziała panna Preussler chłodno. - A co dokładnie chce pan przez to powiedzieć, doktorze?

- Że wszechświat jest nieskończenie wielki, droga pani. Każde z tych maleńkich światełek to tak naprawdę słońce, równie ogromne i życiodajne jak nasze. A ilości takich słońc nie potrafimy sobie nawet wyobrazić.

- I co z tego wynika? - spytała rozdrażniona.

Mogens instynktownie cofnął się o pół kroku.

- Na przykład to, panno Preussler - zaczął Jonathan - że trudno sobie wyobrazić, jak przy tej niezliczonej ilości słońc cud życia mógł się zdarzyć tylko raz.

- Pan nasz stworzył ludzi na swoje podobieństwo - odparła. - Sam pan powiedział, doktorze, że to cud. Ni mniej, ni więcej.

- Ale czy w Biblii jest napisane, że Bóg stworzył tylko ludzi? - zapytał Graves uprzejmie. Gospodyni profesora głośno wciągnęła powietrze.

- Doktorze, nie zniosę dłużej tych bluźnierstw!

- Ależ panno Preussler, chciałem...

- Dosyć! - przerwała mu jeszcze ostrzej. - To herezja, doktorze. Proszę mi wierzyć, gdyby nie było z nami tego chłopaka, usłyszałby pan odpowiedź, na jaką pan zasługuje. Więc lepiej o tym nie mówmy. Ile czasu nam zostało?

- Nam? - Jonathan zamrugał oczyma. - Co rozumie pani przez „nam”, panno Preussler?

- Zakładam, że nadal zamierzają panowie zejść na dół i uwolnić te biedne kobiety.

- Oczywiście - odparł Graves - ale pani nie zamierza chyba...

- ...towarzyszyć panom? - przerwała mu gospodyni. - Ależ oczywiście, że pójdę z wami.

- Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić. - Doktor pokręcił głową.

- A ja się obawiam, że nie może mi pan w tym przeszkodzić - odpowiedziała stanowczo panna Preussler.

Twarz Gravesa spochmurniała, a oczy przybrały wyraz, który już w czasach studenckich sprawiał, że koledzy omijali Jonathana szerokim łukiem. Tak zacisnął szczęki, że Mogens nie zdziwiłby się, gdyby za chwilę wypluł odgryzioną końcówkę papierosa. Jonathan nie wybuchnął jednak, tak jak przewidywał profesor, lecz po chwili milczenia powiedział spokojnie:

- Panno Preussler, obawiam się, że nie zrozumiała pani do końca, o co tutaj chodzi. Na dole może być... dość niebezpiecznie. Szczerze mówiąc, liczę się z tym, że będziemy zmuszeni stoczyć walkę z potworami.

- I dlatego nie chce pan narażać na niebezpieczeństwo takiej biednej, bezbronnej kobiety jak ja. - Jej głos kipiał sarkazmem. - Udowodniłam już chyba, że potrafię się sama o siebie zatroszczyć, doktorze.

- To niemożliwe! - powiedział Jonathan. - Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności i...

- Nikt tego od pana nie wymaga - przerwała mu panna Preussler. Jej głos stał się nagle dużo spokojniejszy i łagodniejszy, co według Mogensa było niewątpliwym znakiem, że uważa temat za zamknięty. - Będę towarzyszyć panu, Thomasowi i profesorowi. Koniec dyskusji.

- Panno Preussler, błagam panią, proszę być rozsądną! - Graves załamał bezradnie ręce. - Te potwory to prawdopodobnie nie największe niebezpieczeństwo, jakie czeka nas na dole. W razie potrzeby nie byłibyśmy nawet w stanie pani bronić!

- Chce pan przez to powiedzieć, że będę dla pana tylko kulą u nogi? - Gospodyni pokręciła głową. - I w tym względzie mogę pana uspokoić, doktorze. Już raz, z boską pomocą, umknęłam tym potworom i nie potrafię sobie wyobrazić, że stało się tak bez przyczyny. Na dole są jeszcze inni ludzie, których trzeba uratować.

- I właśnie dlatego się tam wybieramy, panno Preussler! - odparł Jonathan tonem, który zapewne uważał za nieznośny sprzeciwu, jednak w uszach Mogensa zabrzmiał desperacko. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, zapewniam panią, ale...

- Idę z panami! - przerwała po raz kolejny. - Chyba że przeszkodzi mi pan w tym siłą.

- Proszę mnie nie prowokować, panno Preussler. - Graves zmrużył oczy.

- W takiej sytuacji - ciągnęła gospodyni niewzruszona - byłabym rzeczywiście zmuszona pójść natychmiast do miasta i poinformować o wszystkim szeryfa Wilsona.

W panującej ciemności trudno było coś zobaczyć, ale Mogensowi zdawało się, że Graves całkowicie pobladł.

- Nie mogłaby pani tego zrobić! - jęknął.

- Byłabym wręcz zmuszona do tego kroku - poprawiła go. - Tam na dole znajdują się ludzie w śmiertelnym

£ p • * V -

niebezpieczeństwie, doktorze. Jestem zobowiązana im pomóc. A skoro nie mogę uczynić tego sama, muszę przynajmniej poinformować władzę.

- Spacer do miasta piechotą? - odparł Graves pogardliwie i popełnił tym samym swój

najgorszy błąd. - Dotarłaby tam pani późno tylko po to, by pocałować klamkę u drzwi biura szeryfa. Panna Preussler uśmiechnęła się uroczo.

- Ależ o czym pan mówi, doktorze? Do obozu pana szanownych kolegów jest najwyżej godzina drogi, a to nie jest dużo nawet dla kobiety w moim wieku. Jestem pewna, że tam będę mogła liczyć na transport do miasta. '

Twarz Gravesa skamieniała.

- To się nazywa szantaż, wie pani o tym.

- Nie przesadzaj, Jonathanie - wtrącił się Mogens. Nawet nie ukrywał złośliwego uśmiechu. - Według mnie panna Preussler wykorzystuje tylko wszystkie możliwości. Dobry znajomy opowiadał mi nie tak dawno, że czasem trzeba zmienić reguły, by nie przegrać gry...

Zarówno gospodyni, jak i Tom spojrzeli na niego bez zrozumienia, czy Gravesa natomiast zapalały żądzą zabijania. Zaciągnął się tak mocno papierosem, że jego końcówka rozżarzyła się na chwilę niemal do białości, po czym cisnął go ze złością na ziemię i podniósł nogę, by go rozdeptać.

Nagle zmarszczył brwi, zrobił komiczny krok do przodu na wyprostowanych nogach i przykucnął.

- Co się dzieje? - spytał chłopak. Jego głos zabrzmiał alarmująco.

Doktor nie odpowiedział. Pochylił się do przodu i już chciał oprzeć ręce na ziemi, ale w ostatniej chwili je cofnął. Mogens zauważył, że na twarzy Gravesa pojawił się nagle strach.

Również profesor kucnął i spojrzał w miejsce, gdzie upadł niedopałek. Nadal żarzył się czerwono. Gdy się

H

nachylił, uderzył go w nozdrza ostry zapach przypominający smród przypalonego mięsa. I nie było to urojenie, niedopałek nie wpadł w błoto, lecz leżał na jakimś białym żyjątku, które teraz wiło się, próbując strącić żar.

- Dobry Boże! - krzyknęła panna Preussler. - Cóż to jest?

Graves cofnął się pół kroku. Mogens też o mało nie odskoczył z krzykiem obrzydzenia na ustach. Stworzenie było podobne do ślimaka, ale nie posiadało oczu ani czulek, było znacznie grubsze, jednak niewiele dłuższe od niedopałka. Skórę miało niemal przezroczystą, tak że można było dostrzec maleńkie organy, które pulsowały w szalonym tempie, walcząc z żarem coraz głębiej wnikałym w ciało.

- Doktorze - jęknęła panna Preussler - błagam, proszę wybawić to biedne stworzenie od cierpień!

Graves przez chwilę wpatrywał się w nią ze zdziwieniem, VanAndt również. Tom zaś po raz kolejny udowodnił, że jest człowiekiem o wiele bardziej praktycznym niż ci dwaj naukowcy. Zapalił małą karbidową lampkę, którą przyniósł ze sobą, i gdy rozbłysło jasne światło, zaskoczony profesor ujrzał, że ślimakopodobny robał nie był jedynym pełzającym po obozie.

Panna Preussler pisnęła przeraźliwie i przysłoniła usta dłońmi, Njogens natomiast jęknął zniesmaczony. Dokąd sięgało światło latarni, cała ziemia usiana była ruchliwymi żyjątkami.

Niezliczone ilości nagich, pełzających i wijących się stworzeń wypełniło ślady ich butów. VanAndt ponownie usłyszał ten sam nieprzyjemny, chlupoczący dźwięk, który rozlegał się podczas chodzenia, ale tym razem zabrzmiał w jego uszach naprawdę przerażająco. Stworzenia szczelnie wypełniły także koleiny i wszelkie bruzdy w ziemi, włączając jedne na drugie, staczając się i znów pełzną.

- Chryste Panie, profesorze, co to jest? - wyjąkała gospodyni.

1.
"i'

nachylił, uderzył go w nozdrza ostry zapach przypominający smród przypalonego mięsa. I nie było to urojenie, niedopałek nie wpadł w błoto, lecz leżał na jakimś białym żyjątku, które teraz wiło się, próbując strącić żar.

- Dobry Boże! - krzyknęła panna Preussler. - Cóż to jest?

Graves cofnął się pół kroku. Mogens też o mało nie odskoczył z krzykiem obrzydzenia na ustach.

Stworzenie było podobne do ślimaka, ale nie posiadało oczu ani czulek, było znacznie grubsze, jednak niewiele dłuższe od niedopałka. Skórę miało niemal przezroczystą, tak że można było dostrzec maleńkie organy, które pulsowały w szalonym tempie, walcząc z żarem coraz głębiej wnikającym w ciało.

- Doktorze - jęknęła panna Preussler - błagam, proszę wybawić to biedne stworzenie od cierpień!

Graves przez chwilę wpatrywał się w nią ze zdziwieniem, VanAndt również. Tom zaś po raz kolejny udowodnił, że jest człowiekiem o wiele bardziej praktycznym niż ci dwaj naukowcy. Zapalił małą karbidową lampkę, którą przyniósł ze sobą, i gdy rozbłysło jasne światło, zaskoczony profesor ujrzał, że ślimakopodobny robal nie był jedynym pełzającym po obozie.

Panna Preussler pisnęła przeraźliwie i przysłoniła usta dłońmi, Mogens natomiast jęknął zniesmaczony. Dokąd sięgało światło latarni, cała ziemia usiana była ruchliwymi żyjątkami. Niezliczone ilości nagich, pełzających i wijących się stworzeń wypełniło ślady ich butów. VanAndt ponownie usłyszał ten sam nieprzyjemny, chlupoczący dźwięk, który rozlegał się podczas chodzenia, ale tym razem zabrzmiał w jego uszach naprawdę przerażająco. Stworzenia szczelnie wypełniły także koleiny i wszelkie bruzdy w ziemi, włączając je jedno na drugie, staczając się i znów pełzając.

- Chryste Panie, profesorze, co to jest? - wyjąkała gospodyni.

I

nachylił, uderzył go w nozdrza ostry zapach przypominający smród przypalonego mięsa. I nie było to urojenie, niedopałek nie wpadł w błoto, lecz leżał na jakimś białym żyjątku, które teraz wilo się, próbując strącić żar.

- Dobry Boże! - krzyknęła panna Preussler. - Cóż to jest?

Graves cofnął się pół kroku. Mogens też o mało nie odskoczył z krzykiem obrzydzenia na ustach. Stworzenie było podobne do ślimaka, ale nie posiadało oczu ani czulek, było znacznie grubsze, jednak niewiele dłuższe od niedopałka. Skórę miało niemal przezroczystą, tak że można było dostrzec maleńkie organy, które pulsowały w szalonym tempie, walcząc z żarem coraz głębiej wnikającym w ciało.

- Doktorze - jęknęła panna Preussler - błagam, proszę wybawić to biedne stworzenie od cierpień!

Graves przez chwilę wpatrywał się w nią ze zdziwieniem, VanAndt również. Tom zaś po raz kolejny udowodnił, że jest człowiekiem o wiele bardziej praktycznym niż ci dwaj naukowcy. Zapalił małą karbidową lampkę, którą przyniósł ze sobą, i gdy rozbłysło jasne światło, zaskoczony profesor ujrzał, że ślimakopodobny robal nie był jedynym pełzającym po obozie.

Panna Preussler pisnęła przeraźliwie i przysłoniła usta dłońmi, Mogens natomiast jęknął zniesmaczony. Dokąd sięgało światło latarni, cała ziemia usiana była ruchliwymi żyjątkami. Niezliczone ilości nagich, pełzających i wijących się stworzeń wypełniło ślady ich butów. VanAndt ponownie usłyszał ten sam nieprzyjemny, chlupoczący dźwięk, który rozlegał się podczas chodzenia, ale tym razem zabrzmiał w jego uszach naprawdę przerażająco. Stworzenia szczelnie wypełniły także koleiny i wszelkie bruzdy w ziemi, włączając je jedno na drugie, staczając się i znów pełzając.

- Chryste Panie, profesorze, co to jest? - wyjąkała gospodyni.

#1K

nachylił, uderzył go w nozdrza ostry zapach przypominający smród przypalonego mięsa. I nie było to urojenie, niedopałek nie wpadł w błoto, lecz leżał na jakimś białym żyjątku, które teraz wilo się, próbując strącić żar.

- Dobry Boże! - krzyknęła panna Preussler. - Cóż to jest?

Graves cofnął się pół kroku. Mogens też o mało nie odskoczył z krzykiem obrzydzenia na ustach. Stworzenie było podobne do ślimaka, ale nie posiadało oczu ani czulek, było znacznie grubsze, jednak niewiele dłuższe od niedopałka. Skórę miało niemal przezroczystą, tak że można było dostrzec maleńkie organy, które pulsowały w szalonym tempie, walcząc z żarem coraz głębiej

wnikającym w ciało.

- Doktorze - jęknęła panna Preussler - błagam, proszę wybawić to biedne stworzenie od cierpień!

Graves przez chwilę wpatrywał się w nią ze zdziwieniem, VanAndt również. Tom zaś po raz kolejny udowodnił, że jest człowiekiem o wiele bardziej praktycznym niż ci dwaj naukowcy. Zapalił małą karbidową lampkę, którą przyniósł ze sobą, i gdy rozblysło jasne światło, zaskoczony profesor ujrzał, że ślimakopodobny robak nie był jedynym pełzającym po obozie.

Panna Preussler pisnęła przeraźliwie i przysłoniła usta dłońmi, Mogens natomiast jęknął zniesmaczony. Dokąd sięgało światło latarni, cała ziemia usiana była ruchliwymi żyjątkami. Niezliczone ilości nagich, pełzających i wijących się stworzeń wypełniło ślady ich butów. VanAndt ponownie usłyszał ten sam nieprzyjemny, chlupoczący dźwięk, który rozlegał się podczas chodzenia, ale tym razem zabrzmiał w jego uszach naprawdę przerażająco. Stworzenia szczelnie wypełniły także koleiny i wszelkie bruzdy w ziemi, włączając je jedno na drugie, staczając się i znów pełzając.

- Chryste Panie, profesorze, co to jest? - wyjąkała gospodyni.

I

anr

-'A.

ii

i : i • ,

Nawet gdyby profesor znał odpowiedź na to pytanie, nie byłby w stanie wydusić ani słowa.

Oczywiście te małe żyjątka nie stanowiły zagrożenia, ale ich widok był tak dziwaczny i odrażający, że Mogensowi ścisnęło się gardło. W dodatku VanAndt miał wrażenie, że ich ciągły ruch odbywa się wedle jakiegoś ściśle określonego wzoru niczym u mrówek. Poszczególne robaki pełzły pozornie bez ładu, jednak w innym miejscu profesor dostrzegł całą ich czwórkę, która zataczała zacieśniające się kręgi wokół jakiegoś sobie tylko znanego punktu. Zupełnie jakby wciągał je jakiś niewidzialny wir...

- Proszę się nie obawiać, panno Preussler - powiedział Graves. - To... to tylko ślimaki.

Obrzydliwe, ale nie niebezpieczne. Widocznie trzęsienie ziemi wywabiło je spod ziemi. - Głos jednak mu drżał i widać było, że z trudem panuje nad sobą.

Tom uniósł lampę nieco wyżej, tak że rzucała teraz wprawdzie bledszy, za to szerszy krąg światła. Dalej też cały plac ich obozu wił się i drgał. Chlupoczący dźwięk wzmógł się jeszcze bardziej, a Mogensowi wydało się nagle, że przebija przez niego coś jakby szept. Równie nikły jak ruch tych obrzydliwych stworzeń, jednak wyraźnie słyszalny.

- Może powinniśmy jednak wrócić do domów - zaproponował Tom.

Nikt nie wyraził sprzeciwu, nawet Graves. Profesor odwrócił się w stronę panny Preussler, jednak Tom go uprzedził. Już prowadził gospodynię pod rękę, oświetlając jej drogę latarnią. VanAndt poczuł przez chwilę irracjonalny przyływ zazdrości, czego się momentalnie zawstydził.

Skupił się na tym, by nadażyć za Gravesem, a jednocześnie w miarę możliwości nie wdeptywać w robactwo. Próby te nie przyniosły jednak rezultatu. Odrażające żyjątka pękały pod ciężarem stóp, wydając przy tym cichy, nieprzyjemny odgłos. Mogens czuł, że odrywając podeszwy od

JS

IC--1

Mriv

1 'Hrsf

J.'r

f: 4 lift

IS

ziemi, ciągnie za sobą kleistą maź. Jego żołądek zaczął się buntować. Gdy w końcu dotarł do domu, nie wpadł w histerię tylko ze względu na pannę Preussler.

Graves zdążył już otworzyć drzwi i wszedł do środka. Mogens chciał pójść za nim, a właściwie musiał, ponieważ panna Preussler zbliżała się już pewnym krokiem i nie sprawiała wrażenia, jakby

miała się zatrzymać tylko dlatego, że jakiś roztrzęsiony profesor zatarasował wejście. Mimo to VanAndt zatrzymał się na chwilę, kucnął i uwolnił stopy z oklejonych śluzem butów. Przepuścił gospodynię i spojrzął na Toma, który szedł ostatni. Gdy był już na schodach, tak jak profesor przystanął na chwilę. Uniósł wyżej latarnię.

Cały plac opanowały śluzowate stwory. Po wirze nie został ani ślad, ale Mogens zauważył, że stworzeń było jeszcze więcej, niż myślał.

- O mój Boże - wymamrotała panna Preussler. Stała obok Mogensa i spojrzała na zewnątrz przez jego ramię. - Co to jest? Doktorze, co to za okropne robaki?

- Nie wiem - odpowiedział Graves. Zdążył już zapanować nad sobą. - Jestem archeologiem, moja droga, biologia to nie moja dziedzina.

- Dopiero co powiedział pan, że wie... - Gospodyni chrząknęła i zaczęła od początku zmienionym głosem: - Nie, proszę być wobec mnie szczerym, pan dobrze wie, co to oznacza.

- Chciałbym, żeby tak było. Daję pani słowo, że nie wiem. Zakładam, że to rodzaj ślimaków czy robaków, a może jeszcze jakieś inne żyjątka.

- W takiej ilości? - Panna Preussler pokręciła głową. - Nie mogę w to uwierzyć.

Minęła dłuższa chwila, zanim Graves odpowiedział. Mogens zauważył, że w jego głosie pobrzmiwała nuta troski.

' Uli

< !St :

- Ale taka jest prawda. Myślę, że trzęsienie ziemi wywabiło je na powierzchnię.

- Trzęsienie ziemi? - powtórzyła gospodyni.

- Tak - upierał się Jonathan. Po chwili dodał jednak dużo ciszej: - Albo coś innego.

4

hociaż w namiocie na środku placu paliły się dwie lampy, to ciemność i tak kryła się po kątach jak stado strwożonych szczurów, wpełzała w szpary i za kamienie, wtulała się w przedmioty, okrywając cieniem ich kontury. Jednak istniała, czaiła się za rozedrganą granicą bladej poświaty, czekała w dole szybu - przepastna, gotowa ich wchłonąć. Stawić jej czoła z jedyną bronią w postaci marnej lampy? Śmieszne, wręcz przerażające!

- O czym pan myśli, profesorze?

Mogens ocknął się wystraszony, ale potrzebował jeszcze chwili, by dotarło do niego, że to głos panny Preussler. Z trudem odwrócił głowę i spojrzął na nią.

Siedziała po turecku po drugiej stronie szybu, nie dotykając plecami plandeki, i patrzyła na niego z troską. Miała na sobie prostą sukienkę z grubej bawełny bez ozdób czy zbędnych falban, które mogłyby przeszkadzać podczas wspinaczki, wysokie półbuty oraz kapelusz z szerokim rondem, odpowiedni raczej na angielski hipodrom niż na wyprawę w czeluście ziemi. Biły od niej taki spokój i taka ufność, że syk lamp wydał się VanAndtowi łagodniejszy.

- O niczym - odpowiedział po dłuższej chwili.

- O niczym? - Gospodyni potrząsnęła lekko głową. - Nie da się myśleć o niczym, mój drogi panie profesorze.

- Tylko trochę... filozofowałem - dodał cicho po chwili wahania.

- Oczywiście, że się pan boi - powiedziała. - Nie chce się pan tylko do tego przyznać, ponieważ jest pan mężczyzną i nie lubi pan okazywać słabości przy kobiecie. Ale odwaga bez lęku to nie odwaga, lecz głupota.

Mogens zaśmiał się cicho.

- Myślałem, że chciała pani posłuchać, o czym rozmyślałem.

- Nie podzieli się pan ze mną swoimi filozoficznymi przemyśleniami?

Mogens spojrział ukradkiem w stronę wejścia. Gdzie podziewał się Graves? Poszedł dobre dziesięć minut temu szukać Toma i do tej pory nie wrócił. VanAndt przyłapał się na tym, że niemal w równym stopniu nie mógł doczekać się jego powrotu, co pragnął, by już w ogóle nie wracał.

Przypomniało mu się, co kiedyś czytał o nastrojach żołnierzy przed bitwą. Wielu z nich podobno nie mogło się już doczekać momentu ataku, chociaż każdy dobrze wiedział, że tylko część z nich

przeżyje. Gdy czytał tę relację, wydała mu się absurdalna, ale teraz dobrze rozumiał odczucia żołnierzy. Nie ma nic gorszego niż czekanie.

- Profesorze - znów zagadnęła go panna Preussler - chciał mi pan coś opowiedzieć.

Mogens nie sądził, by gospodynię rzeczywiście interesowały jego przemyślenia, ale i tak obdarował ją krótkim, pełnym wdzięczności spojrzeniem.

- Rozmyślałem o ciemności.

- Też w dole? - Panna Preussler wskazała drabinę, która wystawała z szybu. - Boi się pan jej?

- Nie - odparł pospiesznie VanAndt, ale gospodyni nie była tak głupia, żeby uwierzyć w tak dziecinne kłamstwo.

- Nad ciemnością? - Potrząsnęła energicznie głową. - Po co zastanawiać się nad ciemnością? Mamy przecież lampy. Profesor spojrzął na boki, gdzie czały się cienie.

n o

- Mimo to ona istnieje - zauważył. - Ona zawsze istnieje, panno Preussler. Była pierwsza. O tym jest mowa nawet w pani Biblii.

Gospodyni zmarszczyła brwi. Mogens dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie spodobał jej się dystans, z jakim potraktował Biblię.

- I rzekł Bóg: niech stanie się światłość - odparła karcąco.

- Tak, ale Bóg musiał spełnić jeden warunek - powiedział Mogens. - Musiał istnieć, rozumie mnie pani? Właśnie o to chodzi. Zanim był Bóg, nie było nic, tylko ciemność.

- Bóg zawsze istniał - powiedziała panna Preussler surowo. - I zawsze będzie istniał.

Mogens nie miał ochoty na prowadzenie dyskusji teologicznych, a już na pewno nie z nią. Mimo to ciągnął:

- Być może, panno Preussler, ale zostawmy na chwilę Boga na boku... - Uniósł dłoń. - Wiem, wiem, że pani zdaniem to niemożliwe, ale pozwólmy sobie na to tylko na tę chwilę. Cóż nam zostanie? Coś musi istnieć, by mogła stać się światłość. Energia, ruch, entropia...

- Bóg? - zaproponowała gospodyni.

- Bóg - powtórzył niewzruszony profesor. - Obojętnie co. Coś musi jednak istnieć, a wszystko, co istnieje, kiedyś minie. Ciemność za to jest zawsze. To scena, na której toczy się nasze życie. Nawet gdy spadnie ostatnia zasłona, ciemność nadal będzie istniała.

Ku zaskoczeniu Mogensa panna Preussler rzeczywiście przez chwilę zastanawiała się usilnie nad jego słowami, ale potem potrząsnęła głową.

- Nie wierzę. Czy to właśnie takich bzdur uczy się na uniwersytetach? W takim razie nie dziwię się, że z naszą młodzieżą jest tak źle.

- Przede wszystkim pod względem punktualności. - iftjć Graves wszedł pochylony i, przesadnie stękając, kucnął na

F

-Jb

skraju szybu. Trzasnęło mu w kolanach. - Będę musiał zamienić z Tomem słówko, gdy to wszystko się skończy. Nie wiem, gdzie ten chłopak się podziewa. Za każdym razem, gdy jestem tu, on jest tam i odwrotnie.

- Pewnie bawi się w kotka i myszkę - zauważył Mogens rozbawiony.

Jonathan przeszył go wzrokiem, powstrzymał się jednak od komentarza. Przez chwilę patrzył badawczo w dół, jakby chciał wydobyć z ciemności odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania.

- Mamy już niewiele czasu - powiedział w końcu.

VanAndt wyciągnął z kieszeni zegarek, otworzył klapkę i dodał przestraszony:

- Do północy zostało już tylko kilka minut.

Graves spojrzął na niego pogardliwe.

- Przecież nikt nie powiedział, że musimy być na dole dokładnie w godzinę duchów - zauważył uprzejmie.

- Myślałem...

- Według moich obliczeń brama powinna się otworzyć w ciągu następnej godziny i pozostać

otwarta do jutra w południe. Oczywiście nie mogę określić tego czasu co do minuty, ale jestem prawie pewien, że moje przypuszczenia się sprawdzą.

Mogens spojrział na niego poirytowany. Jonathan nie wspominał do tej pory nic na temat jakichkolwiek wyliczeń. Profesor był wręcz pewien, że nawet teraz te słowa wymknęły mu się przez nieuwagę.

- Jaka brama? - spytała panna Preussler nieufnie. - Chyba nie chce pan się znowu zajmować jakimiś niechrześcijańskimi rytuałami, doktorze.

- Przed - poprawił ją Graves arogancko. - Przedchrześcijańskimi, moja droga, nie niechrześcijańskimi. - Nadal był zły, że nie zdołał odwiedzić gospodyni od towarzyszenia im w wyprawie.

- To dla mnie żadna różnica, doktorze - oświadczyła. - Herezja to herezja.

Graves zacisnął zęby i wstał gwałtownie.

- Pójdę jeszcze raz poszukać Toma - zagrzmiał. - I może przy okazji nazbieram drewna na stos.

VanAndt pokręcił głową, mimo to wykonał uspokajający gest do panny Preussler. Cieszył się w duchu z każdej szpilki, którą wbiła doktorowi, ale z drugiej strony wiedział, że za kilka godzin będą całkowicie zdani na siebie nawzajem. Przyszła pora na zawieszenie broni.

- Tak, wiem, już dobrze - zreflektowała się gospodyni. - To było głupie z mojej strony. Ale trudno mi znaleźć w sobie choć krztynę sympatii dla tego człowieka.

- Tak jak mnie - odparł Mogens.

- Dlaczego pan w takim razie do niego przyjechał?

Profesor wiedział doskonale, że lepiej byłoby nie odpowiadać na to pytanie albo wykrócić się jakimś kłamstwem, ale czuł równocześnie, że powinien jej chociaż teraz powiedzieć prawdę.

- Myślałem, że to moja ostatnia szansa.

- Ostatnia szansa? Na co?

- Na powrót do prawdziwego życia - odparł cicho. - Na ucieczkę od wszystkiego. Tego okropnego uniwersytetu, tego dusznego, zaściankowego miasteczka. Od tego straszego pokoju i od pani.

- Och! - jęknęła panna Preussler.

- Wtedy tak myślałem - ciągnął Mogens niewzruszony. - Ale szybko spostrzegłem, jak bardzo się myliłem. Może zawsze jesteśmy niezadowoleni z tego, co mamy, i dopiero gdy to tracimy, zauważamy, jak było cenne. - Siedział zbyt daleko od gospodyni, by móc ująć jej dłoń, ale chętnie by to uczynił. Miał wrażenie, że też to odczuła. - Mówiłem pani już wcześniej, że nie powinna była pani tu przyjeź-

■ -

•V- . .

V\t.....•. X

dzać - ciągnął. - To samo tyczy się mnie. Nie powinienem był zaufać Gravesowi. Ten człowiek to potwór.

- Dlaczego więc pan to zrobił?

- To długa historia - machnął ręką VanAndt.

- I pewnie ma związek z pana przybyciem do naszego dusznego, zaściankowego miasteczka - domyśliła się panna Preussler. Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego pytająco. - Chodziło o kobietę?

- Tak - ku swojemu zaskoczeniu Mogens usłyszał własny głos.

- Ale nie chce pan o tym rozmawiać?

Jeśli istniała na świecie osoba, której mógłby, ba, nawet chciałby opowiedzieć tę straszną historię, to była nią właśnie panna Preussler. Tylko nie teraz.

- Później - powiedział. - Pewnego dnia będę gotów na tę rozmowę.

- Ale skoro przyznaje pan, że zaufanie doktorowi Gravesowi było błędem - ciągnęła - to dlaczego nadal pan go słucha? - Wskazała szyb. - Przecież widzę, jak bardzo boi się pan zejść na

dół. Dlaczego pan po prostu nie odepjdzie? Nikt pana nie zmusza do powrotu w to straszliwe miejsce.

- Tak samo chyba jak pani, prawda? - zauważył Mogens.

Panna Preussler pokręciła energicznie głową.

- Jeśli zdecyduje się pan odejść - zapowiedziała poważnie - pójde razem z panem. Obojętne, co miałyby się wydarzyć.

Profesor poczuł głęboką wdzięczność, ale i ogromny wstyd, gdy przypomniał sobie, co wcześniej o niej myślał. Tymczasem najwyraźniej tylko ją na całym świecie obchodziła jego osoba.

- Nie mam wyboru - westchnął z żalem. Również pod tym względem Graves miał rację. Wiedział, jak śmiesznie

I

a

i?>>>

-
m

M i >

• t'-'it'd li

l O l • ' : '

_ Jh.

sam.

małe były szanse na odnalezienie Janice, ale musiał spróbować.

Na chwilę zapadła krępująca cisza. Mogens niemal odetchnął z ulgą, gdy po kilku minutach poruszyła się plandeka i do środka wszedł Graves, tym razem z Tomem.

VanAndt uniósł brwi zaskoczony wyglądem chłopaka. Tak samo jak Graves miał na sobie coś w rodzaju stroju tropikalnego - wysokie buty i hełm, do którego była przymocowana lampa górnicza. Wyglądał komicznie, ale i tak jako jedyny z nich okazał się człowiekiem praktycznym. Niósł olbrzymi plecak, a w każdej ręce karabin. Z kolei Graves w prawej dłoni trzymał żarzący się papieros, a w lewej zakręcony słoik z jednym z owych białych ślimaków.

- Schowały się z powrotem pod ziemią - wyjaśnił, zauważywszy pytający wzrok Mogensa. - Zdażyłem jeszcze złapać tylko jednego osobnika. Później go zbadamy.

- Ale dlaczego wzięłeś go ze sobą?

- Nigdy nie wiadomo, gdzie zawiedzie nas podróż, nieprawdaż? - Jonathan wzruszył ramionami. Spojrzał kilka razy to na profesora, to na pannę Preussler. - Gotowi?

Mogens wstał bez słowa i zaniepokojony musnął wzrokiem broń, którą trzymał w rękach Tom. Oczywiście pomysł zabrania karabinów uznał za słuszny, mimo to na ich widok zrobiło mu się nieswojo.

Chłopak źle zinterpretował jego spojrzenie i podał mu jeden z karabinów. Wystraszony Mogens potrząsnął głową i cofnął się o krok. Panna Preussler z kolei zerknęła na olbrzymi plecak ze stelażem. Nie tylko wystawał sporo ponad głowę Toma, zapewne też ważył niemal tyle, co on

- Co ty, na Boga, taszczysz ze sobą, Thomasie? - spytała gospodyni. - Masz zamiar wyruszyć na biegun północny? Tom wyszczerzył się w uśmiechu.

- Wszystko, co potrzebne, panno Preussler. Ubrania na zmianę, jedzenie na tydzień, probówki, koce, sprzęt fotograficzny doktora, amunicję, spiwory, naftę do lamp...

- Fortepian też? - spytała z uśmiechem.

- Wiedziałem, że o czymś zapomniałem - powiedział chłopak. - Mam po niego skoczyć?

- Dość tych wygłupów - przerwał im Graves. Kłapnęło wieczko zegarka. - Już pora na nas. - Ruszył w stronę szybu, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę i podał chłopakowi słoik ze ślimakiem. - Weź to.

anowała absolutna cisza. Tak jak ciemność była pierwotnym stanem rzeczy, tak cisza musiała panować, na długo zanim we wszechświecie odbił się echem pierwszy dźwięk. Była jeszcze gorsza od ciemności. Mrok mogli rozproszyć światłem lamp, które pomagały im badać teren jak macająca wokoło ręka ślepego. Natomiast cisza w podziemiach zdawała sferę uparcie opierać wszelkim dźwiękom.

Mogensa przeszły ciarki. Nawet głęboko pod ziemią nigdy nie było zupełnie cicho. Nawet gdy nie szumiał generator, profesorowi wydawało się, że słyszy ledwo wyczuwalne tchnienie samej ziemi, podobne do ludzkiego, choć nieskończenie wolniejsze. Tym razem nic. W dodatku cisza panowała nie dlatego, że tu na dole nie było niczego, co mogłoby wydawać jakikolwiek odgłos - był tego pewien. Czuł obecność jakiejś siły, która wypełniała przestrzeń i nie dopuszczała do siebie żadnych dźwięków.

Droga wydawała się Mogensowi o wiele dłuższa niż wcześniej. Nigdy nie zadał sobie trudu policzenia kroków

od wejścia do pierwszej komnaty, mimo to był pewien, że tym razem potrzebowali na dotarcie tu dwa razy więcej czasu niż zwykle. Panna Preussler szła tak blisko VanAndta, że szorstki materiał jej sukni muskał czasem jego ramię. Profesor zastanawiał się, czy gospodyni zdaje sobie sprawę, jak bardzo dodaje mu otuchy samą swoją obecnością. Miał nadzieję, że on jej również.

Graves i Tom szli kilka kroków przed nimi, wreszcie przystanęli. Doktor uniósł latarnię i poruszył nią, tak że światło prześliznęło się powoli po kamiennych ścianach. Ruch jego ręki był ostrożny i niepewny, jakby czegoś szukał. Najwyraźniej był pewien, że to coś musi tu gdzieś być, ale jednocześnie się bał, że może to przeoczyć. Tom uniósł karabin i podążył lufą za drżącym światłem latarni. Mogens przypomniał sobie ostry, metaliczny brzęk odbezpieczanej broni, jak również to, że ten dźwięk nie wywołał nawet najmniejszego echa.

- Czego szukasz? - spytał, gdy dołączyli do pozostałej dwójki.

Jonathan gniewnym gestem nakazał ciszę i nadal, świecąc latarnią, skrupulatnie badał ściany. Światło wydzierając ciemnościom dziwny zbiór osobliwości z naturalnych form skalnych oraz płaskorzeźb bogów, by zaraz potem znów pograć je w mroku. Prześlizgujący się promień stwarzał pozory życia, ale też jakby potęgował ciszę.

- Coś tutaj jest - wymamrotał profesor. Serce biło mu bardzo powoli i ciężało.

Graves ponownie uciszył go władczy gestem, mimo to odpowiedział:

- Mam taką nadzieję.

Tom opuścił nieco broń, co uspokoiło trochę Mogensa, i ruszyli dalej. Ku zaskoczeniu VanAndta wcale nie udali się w kierunku tunelu pokrytego hieroglifami. Zaskoczony profesor wymienił spojrzenie z panną Preussler. Gospodyni

poprawiła uchwyt lampy górniczej, które ona i profesor dostali od Toma, ustalili jednak, że na razie nie będą ich używali, aby zaoszczędzić paliwo.

Szli powoli, przystając raz po raz, gdy Graves zatrzymywał się i badał światłem ściany, skałę pod stopami, a kilka razy nawet strop olbrzymiej podziemnej sali. Im bardziej oddalali się od wejścia, tym mniej było malowideł ściennych, a wkrótce widzieli wokół już tylko szorstki kamień nietknięty ludzką ręką. Wtem promienie latarni padły na niskie, nie-foremne przejście i zagubiły się w zupełnej czerni.

- Co to jest, profesorze? - szepnęła panna Preussler.

Mogens był tu już wcześniej i wiedział, co znajduje się po drugiej stronie wąskiego przejścia, ale kompletnie nie rozumiał, dlaczego Graves ich tu przyprowadził. Wzruszył więc tylko ramionami i podążył za Tomem.

Chociaż wiedział o niskim stropie, i tak dwukrotnie uderzył się w głowę, zanim dotarł do miejsca, gdzie mógł stanąć prosto. Sądząc z dźwięków dobiegających zza jego pleców, gospodyni przeprawa przez tunel nie szła wiele lepiej, chociaż Mogens podejrzewał, że miała trudności wynikające raczej z tuszy niż wzrostu.

Rozejrzał się po niewielkiej grocie. Graves oświetlał lampą przeciwległą ścianę pokrytą malowidłami skalnymi Dogonów. Wydawały się profesorowi prymitywne i niezdarne, lecz

równocześnie miał wrażenie, że zawierają coś, czego brakowało hieroglifom, płaskorzeźbom i rzeźbom z innych części świątyni. Nie potrafił jednak sprecyzować, co to było.

Jonathan jeszcze raz pobieżnie oświetlił ściany, zatrzymał wiązkę światła w jednym miejscu, po czym wyłączył lampę. Panna Preussler wzdrygnęła się wyraźnie.

- Tom - powiedział Jonathan - zgaś światło.

Chłopak usłuchał i nagle zapanowała absolutna ciemność. Gospodyni wciągnęła powietrze przez zęby.

- Doktorze, czy uważa pan, że to dobry...

- Cisza! - przerwał jej Graves. Mogens był pewien, że uczynił przy tym gniewny ruch. -

Proszę popatrzeć!

Ciemność była tak nieprzenikniona, że w pierwszej chwili VanAndt nie mógł niczego dojrzeć. Po chwili jednak zobaczył, że się mylił.

Przed nimi tliło się blade niebieskozielone światełko niespokojne jak blask świecącego owada.

Nawet w zupełnych ciemnościach oczy Mogensa dopiero po chwili dopatrzyły się porządku w pozornie przypadkowym tańcu maleńkich świecących drobinek.

- Czy to to, doktorze? - spytał chłopak. Głos drżał mu z podniecenia. - Czy to to?

- Tak, Tom - odparł doktor. - To - szepnął tonem głębokiego szacunku.

- O czym mówisz, Jonathanie? - Profesor zrobił krok, by wyminąć Gravesa, ale ten chwycił go szybko za ramię.

- Nie! - rozkazał. - Nie dotykaj, tylko patrz. Nie poznajesz?

Mogens przyglądał się zjawisku skupiony, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Świecące punkciki nadal były zbiorem iskierek, które krążyły wokół siebie niczym drobinki kurzu na wietrze. Choć nie, w tym pozornym chaosie coś wydało mu się znajome...

Nagle pojawił. Już raz widział ten wzór, tylko nie w postaci świetlnych punkcików unoszących się w powietrzu, lecz ciemnych, prymitywnych, lecz precyzyjnych rysunków wyrytych w prastarych ścianach grotu.

- Mój Boże - wydusił z siebie. - Przecież... przecież to Syriusz!

- Tak, w położeniu sprzed pięciu tysięcy lat - potwierdził Graves. Słysząc było z jego głosu, że rozpiera go duma. - Dawna ojczyzna Dogonów.

VanAndt doznał nagle złudzenia, że ciemność zaczyna krążyć wokół niego równie szybko jak płały wokół siebie maleńkie odbicia gwiazd. Nie był astronomem, ale Syriusz jest gwiazdą, którą łatwo rozpoznać - choćby dlatego, że nie ma drugiej równie jasnej. Krążące przed nim drobinki wyobrażały właśnie Syriusza i gwiazdy w jego układzie.

- Ale przecież to jest... niemożliwe - wyjąkał. - To...

- ...dzieło szatana! - dokończyła z przekonaniem panna Preussler. Mogens nie mógł tego dostrzec, ale był pewien, że jego gospodyni się przeżegnała.

- Piękne - wyszeptał Jonathan. - Proszę się przyjrzeć, jak precyzyjne są te ruchy! Jaka elegancja i dokładność! Jestem pewien, że gdybyśmy mieli możliwość porównać orbity...

- Ja nadal twierdzę, że to diabelskie dzieło! - powtórzyła panna Preussler. Głos jej drżał, ale równocześnie stał się ostry, niemal rozkazujący. Jednak na próżno VanAndt próbował doszukać się w nim choć cienia paniki czy hysterii. - Natychmiast opuśmy to niegodne miejsce! Chodźmy, profesorze!

Chwyciła go za rękę i pociągnęła siłą w kierunku wyjścia. Mogens instynktownie próbował się opierać, ale po chwili gospodyni otrzymała wsparcie z zupełnie nieoczekiwanej strony.

- Ma pani rację, moja droga - przytaknął Graves. - Musimy zaraz iść. Ale proszę jeszcze o chwilę cierpliwości. Nie chcę, żeby ktoś zrobił sobie krzywdę.

W ciemnościach usłyszeli grzechotanie, a zaraz potem trzask zapalanej zapałki. VanAndt poczuł się rozczarowany, gdy maleńki płomyk zniweczył taniec gwiazd. Po chwili, oślepiiony światłem lampy, zasłonił oczy ręką, również panna Preussler przymknęła powieki i odwróciła się wystraszona. W popłochu opuściła grotę, a Mogens

poszedł w jej ślady. Zatrzymał się jednak na chwilę, chcąc ostatni raz zerknąć na prastare rysunki.

Niestety latarnia Gravesa oślepiła go tak mocno, że nie dojrzał niczego prócz kolorowych błysków i

gwiazdek tańczących na jego własnej siatkówce.

Gdy wrócili do dużej groty, Jonathan zrobił jeszcze kilkanaście kroków i poczekał, aż Tom ze swoim ogromnym plecakiem przecisnie się przez wąską szczelinę w skale. Chłopak w końcu tego dokonał, ale zachwiał się i nieomal przewrócił, czym ściągnął na siebie gniewne spojrzenie doktora.

- Miałem rację - zwrócił się Graves do profesora tryumfalnym tonem. - Dobry Boże, Mogensie, od początku miałem rację!

VanAndt na próżno szukał odpowiedzi, która by choć w części oddawała chaos jego uczuć i myśli. I tym razem panna Preussler go ubiegła.

- Niech pan się nie waży wzywać imienia Pana w takim miejscu! - zawołała oburzona.

- Ależ panno Preussler, błagam! - westchnął Jonathan. Odwrócił się, niemal oslepiając ją ostrym światłem lampy. - Panno Preussler, to wszystko nie ma nic wspólnego ani z Bogiem, ani z diabłem. A już na pewno nie z bluźnierstwem.

- Niech pan się nie waży... - zaczęła gospodyni, ale tym razem przerwał jej Mogens.

- Obawiam się, że muszę przyznać doktorowi rację - powiedział.

Gospodyni odwróciła się do niego bardzo powoli z wyrazem bezgranicznego zdumienia w oczach. Mogens jednak ciągnął tym samym tonem, wskazując głową w stronę groty:

- Rozumiem dobrze, że przestraszyła się pani zjawiska, którego właśnie byliśmy świadkami. Proszę mi wierzyć, ja

nie czułem się inaczej. A jednak obawiam się, że tym razem jest pani w błędzie. To zdarzenie nie ma nic wspólnego z czarami czy z działalnością szatana. - Ale czy rzeczywiście tak było? Jako naukowiec był przekonany o prawdziwości swych słów, mimo to cichy, ale natrętny wewnętrzny głos podpowiadał mu co innego.

- Profesorze! - wydusiła z siebie panna Preussler z niedowierzaniem. - Co też pan opowiada? VanAndt potrząsnął głową.

- Nie wszystko, czego nie rozumiemy i przed czym odczuwamy lęk, jest dziełem szatana.

- To prawda, panno Preussler - przyznał Graves. - Nawet jeśli nadal się pani boi, zjawisko, które dopiero co widzieliśmy na własne oczy, jest niezbitym dowodem na to, że gdzieś pośród gwiazd istnieją inne istoty. Może się to nam wydawać niepokojące czy wręcz napawać lękiem, ale proszę mi wierzyć, to nie czart maczał w tym palce.

- Proszę przestać! - przerwała mu drżącym głosem gospodyni.

- Dobrze panią rozumiem - uśmiechnął się Jonathan. - Nawet jeśli mi pani nie wierzy, doskonale potrafię sobie wyobrazić, co pani teraz czuje. Myślałem podobnie, gdy natrafiłem na pierwsze wskazówki. Minęło sporo czasu, zanim byłem gotowy przejrzeć na oczy. Pani pojmowanie religii i wiary być może różni się od mojego, ale ja też wierzę we Wszechmogącego, który stworzył wszechświat i nad nami czuwa.

Panna Preussler patrzyła na niego zupełnie zbita z tropu.

- Nie wierzę panu - powiedziała, jednak bez większego przekonania. - Prawdziwy chrześcijanin nie wysuwa takich heretyckich tez.

- Ale czy dzieło boskie nie jest tym wspanialsze, jeśli wierzy się, że Bóg stworzył więcej światów niż tylko nasz? -

spytał Graves łagodnie. - Tysiące, może nawet miliony milionów ludów, które w niego wierzą?

Gospodyni profesora zupełnie osłupiała. Już miała niemal automatycznie odeprzeć atak, ostatecznie jednak pokręciła tylko bezradnie głową. Zamiast odpowiedzieć, spojrzała na Jonathana gniewnie, Mogensa obrzuciła spojrzeniem pełnym wyrzutu, po czym odwróciła się gwałtownie i podeszła do Toma, który stał kilka kroków dalej.

Graves patrzył za nią, kręcąc głową, ale VanAndt miał wrażenie, że jego spojrzenie wcale nie było już gniewne czy aroganckie, lecz wręcz łagodne. Doktor uniósł lampę i odwrócił się.

- Chodź, Mogensie - powiedział. - Pójdziemy przodem. Wydaje mi się, że panna Preussler chce pobyć chwilę sama. Nie obawiaj się, z Tomem jest bezpieczna.

Profesor wahał się wprawdzie przez chwilę, ale w końcu uznał, że Jonathan ma rację. Nigdy nie widział swojej gospodyni tak wstrząśniętej, nawet rano, gdy przywiózł ją szeryf Wilson.

W milczeniu dołączył do Gravesa i ruszyli razem w tym samym kierunku, z którego przyszli.

Dopiero po dłuższej chwili spojrzął przez ramię i upewniwszy się, że panna Preussler i Tom są daleko, nawiązał do przerwanej rozmowy:

- To było genialne, Jonathanie. Nigdy nie sądziłem, że ktoś będzie w stanie tak zbić z tropu pannę Preussler.

Zdawało mu się, że oczy doktora rozbłysły rozbawieniem.

- Kto powiedział, że zbiłem ją z tropu? - spytał.

- Znów zmieniałeś reguły, prawda? - domyślił się Mogens.

Graves potrząsnął energicznie głową. - Wcale nie. Naprawdę jestem przekonany o tym, co powiedziałem.

Tym razem zbił z tropu Mogensa.

- Chcesz mi powiedzieć, że nagle zacząłeś wierzyć w Boga?

- Istotnie, powiedziałem, że wszystkie światy we wszechświecie zostały stworzone przez Boga - przyznał Graves. - Ale czy powiedziałem, przez jakiego?

Mogens podążał za Gravesem i za bladym świątynnym światelkiem lampy - za każdym krokiem miał coraz większy mętlik w głowie. Gdyby mógł sobie wyobrazić tę sytuację wcześniej, spodziewałby się zapewne, że najpierw będzie tylko patrzył, nie wierząc własnym oczom, potem zaczną go dręczyć wątpliwości, aż w końcu zawładnie nim ciekawość, gdy jego naukowy umysł otrzyma dostateczną ilość czasu do namysłu, sprecyzuje wątpliwości i rozważy argumenty za i przeciw. Tak się jednak nie stało.

Widok tańczących gwiazd obezwładnił go całkowicie. Nie było miejsca na wątpliwości, zastrzeżenia czy logiczne argumenty. Gdy stał w prastarej grocie i przyglądał się fascynującemu tańcowi Syriusza i jego planet, wiedział, że Graves mówi prawdę.

Teraz jednak zaczęły go nurtować wątpliwości. Oczywiście nawet najbardziej krytyczna część jego ścisłego umysłu przyznawała, że jaskinia Dogonów jest niezwykłym miejscem. Największy sceptyk nie mógłby przecież zaprzeczyć zjawisku, które widział na własne oczy. Ale czy liczące sobie pięć tysięcy lat malowidła i garstka tańczących światełek rzeczywiście były dowodem na tezę Gravesa? Odpowiedź na to pytanie brzmiała zdecydowanie „nie”. Mogens znał pokusę, której ulegali nawet ludzie starannie wykształceni, gdy bardzo chcieli udowodnić swoje

TO

i

-1 ■.

i

założenia. Słyszał i czytał o całej masie historii związanych z ogromnymi pomyłkami oraz zwykłymi oszustwami. Wraz z Gravesem w czasach studenckich spędzili niejedną noc na wyśmiewaniu pomyłek i błędnych interpretacji cieszących się dobrą opinią profesorów i uznanych specjalistów.

- Tom! - Głos doktora zabrzmiał tak ostro, że VanAndt wzdrygnął się wystraszony i rozejrzał niespokojnie dokoła.

Byli już przy końcu korytarza pokrytego hieroglifami, co Mogens uświadomił sobie dopiero teraz. Graves stanął i wyciągnął rękę. Światło lampy górniczej, którą trzymał w drugiej dłoni, niknęło w ciemnościach. Mogens mógłby przysiąc, że coś się tam poruszyło.

- Podaj broń! - zażądał doktor. Chwycił karabin i wsunął go sobie wprawnym ruchem pod ramię. Spojrzął na VanAndta, by dodać: - Chyba będzie jednak lepiej, gdy zostaniesz nieco w tyle, by mieć oko na pannę Preussler. Tak na wszelki wypadek.

W uszach profesora nie zabrzmiało to przekonująco. Jeśli rzeczywiście chodziło tylko o zachowanie środków ostrożności, dlaczego stał się nagle taki nerwowy?

Mogens poczekał, aż gospodyni podejdzie do niego, i już miał razem z nią ruszyć dalej, kiedy Graves zatrzymał go skinieniem ręki.

- Zapalcie lampy, zaraz będziemy na miejscu.

Panna Preussler natychmiast wykonała polecenie, Mogens też chciał to zrobić, ale dopiero wtedy zauważył, jak trzęsą mu się ręce. Tylko dzięki pomocy Toma ledwo słyszalny syk zapalanej lampy przerodził się w szept, który wchłonęły zdobione ściany. VanAndt mógłby przysiąc, że coś w ciemnościach odpowiedziało na ten dźwięk. Spostrzegł również, że chłopak był bardzo spięty. W

jego oczach Mogens tylko raz widział taką powagę - gdy Tom opowiadał o śmierci swoich rodziców.

Chciał podać profesorowi drugi karabin, ale ten potrząsnął głową wystraszony. Odczuwał wstręt do broni, ponadto był pewien, że Tom sprawniej się nią posługuje.

- Jak pan uważa, profesorze - powiedział chłopak, wzruszając ramionami. - Proszę w takim razie iść za mną.

Byli już blisko końca tunelu. Światło lamp padało właśnie na stertę gruzu i gubiło się w czerni komnaty. Mogens miał nadzieję, że widok ten przywoła wspomnienia poprzedniej nocy, ale czuł jedynie narastający strach. Nadal nie mógł sobie przypomnieć, co zobaczył za otwartą bramą. Panna Preussler zwolniła kroku, tak że dystans między Gravesem a nimi znów się zwiększył.

- Jak to się stało, że taki miły młody człowiek jak pan ma do czynienia z kimś takim jak doktor? - spytała.

VanAndt domyślił się, że umyślnie chciała zostać w tyle. Mówiła wprawdzie szeptem, tu jednak ściany wchłaniały wszystkie dźwięki i wypluwały je z powrotem zniekształcone i głośniejsze. Zapewne dlatego jej głos zabrzmiał jak głos czarownicy z bajki, która wabi dzieci do stojącego otworem pieca. '

- Byliśmy kiedyś... - zaczął Mogens automatycznie, zamilkł jednak zamyślony. Miał na końcu języka „przyjaciółmi”, ale słowo to nie chciało mu przejść przez gardło. Panna Preussler spojrzała na niego pytająco. W końcu wzruszył lekko ramionami i dokończył: - Studiowaliśmy razem.

- Na uniwersytecie, jak się domyślam - powiedziała gospodyni.

Graves rzucił przez ramię pogardliwe spojrzenie, najwyraźniej dosłyszawszy jej słowa. Łagodność i spokój Jonathana ulotniły się bez śladu. Chwila, w której stali w grocie

v t

r- ■ > i

WimE&łłs

»j ■

l

.JZL. ____

<Y ■ «łj8

W m

łLi]]

m

mx

Mil;

iv pi- w

Wsm

i patrzyli na fascynujący taniec gwiazd, zmieniła ich jedynie na moment. Może rozbudziła nieznane im dotąd uczucia, które drzemały głęboko? Ale teraz było po wszystkim, znów weszli w swoje zwykłe role. Co dziwne, Mogensa to wręcz uspokoiło.

- Niech zgadnę, profesorze - ciągnęła panna Preussler. Oczywiście również ona zauważyła, że

szeptanie nie ma sensu. Zapewne dlatego mówiła teraz normalnym tonem, nie zniżając głosu, jednak przedziwna akustyka tunelu teraz z kolei tłumiła jej słowa. - To ma coś wspólnego z kobietą, o której mi pan mówił.

Tym razem Graves nie rzucił już krzywych spojrzeń przez ramię, lecz odwrócił się gwałtownie, tak że światło jego lampy przebiegło w gniewnym pląsie po ścianach, stropie i podłodze. Zmierzył VanAndta nienawistnym spojrzeniem, jednak znów powstrzymał się od komentarza i po chwili odwrócił głowę.

- Tak, z Janice - odpowiedział cicho Mogens. - Ale to nie było tak, jak sobie pani zapewne wyobraża, panno Preussler.

Ku jego zaskoczeniu zwykle wścibska gospodyni nie drążyła tematu. I właśnie dlatego wyjaśnił, choć początkowo nie miał takiego zamiaru:

- To straszna historia, nie chcę o tym rozmawiać. Mogę powiedzieć tylko, że Janice wtedy zginęła z mojej winy. Tylko i wyłącznie z mojej winy.

Nie musiał patrzeć na pannę Preussler, by wiedzieć, że mu nie uwierzyła. Pojął już, że nie była wcale głupia, jak przez te wszystkie lata niesłusznie zwykł ją oceniać w duchu. Lecz dopiero teraz zaczął się przekonywać, że na swój sposób była mądrą i serdeczną osobą, nawet jeśli czasem zupełnie nagle potrafiła wpadać w furję.

- Jeśli przeżyjemy tę noc, profesorze - powiedziała - musimy szczerze porozmawiać.

- Coraz bardziej wątpię, czy wyjdziemy stąd cało - rzucił Graves zjadliwie. - Z ogromną przykrością muszę zepsuć wam, gołąbeczki, magiczny moment pojednania, jestem jednak zmuszony prosić was, żebyście się w końcu zamknęli!

Ostatnie słowa niemal wykrzyczał. Panna Preussler zamrugnęła tylko oczami i spojrzała na niego w skupieniu. Zdaniem Mogensa, uznała, że reagowanie na tego typu zachowanie uwłaczałoby jej godności. Profesor natomiast zrobił przestraszoną minę i przystanął na moment. Graves skinął głową z zadowoleniem i ruszył dalej.

Jego zadowolenie nie było jednak uzasadnione. Również VanAndt nie dał się Gravesowi zastraszyć, chodziło o coś innego. Na skraju kręgu światła rzucanego przez lampę dojrzał Janice. Oczywiście była widoczna tylko dla niego i tak naprawdę wcale jej tam nie było, z czego Mogens po raz pierwszy w pełni świadomie zdał sobie sprawę. Równocześnie wiedział, że prawdziwa Janice czeka na niego gdzieś tam w ciemnościach. Po raz pierwszy myśl ta nie wystraszyła go, lecz przeciwnie, bardzo uspokoiła.

- Co za niemożliwy człowiek - powiedziała w końcu panna Preussler.

Graves tym razem nie zareagował, lecz przyspieszył kroku i za chwilę znalazł się przy stercie gruzu. Tom już miał się zacząć na nią wdrapywać, ale doktor powstrzymał go, po czym skinął na Mogensa i jego gospodynię.

- Proszę mi wybaczyć ten grubiański ton - powiedział. - Jestem trochę... zdenerwowany.

Panna Preussler zmierzyła go zimnym wzrokiem.

- Musimy się teraz zachowywać cicho - ciągnął szeptem. - I bardzo ostrożnie.

- Uważa pan, że rzeczywiście - panna Preussler wskazała głową na karabin tkwiący pod jego lewym ramieniem - będzie to potrzebne?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Jonathan. - Obawiam się wręcz, że jeśli będzie nam potrzebny, nie na wiele się już zda. - Pokręcił przekornie głową. - Ale lepiej być zabezpieczonym, nieprawdaż?

- Nieprawdaż - potwierdziła gospodyni. Mogens z trudem powstrzymał się od złośliwego uśmiechu.

Gravesa ta odpowiedź jednak nie rozśmieszyła. Spojrzał poważnie na pannę Preussler.

- To ostatni moment, by jeszcze zmienić zdanie, proszę pani. Jeszcze może pani zawrócić.

- Czy pan ma problemy ze słuchem, doktorze? - odpowiedziała ze słodkim uśmiechem na ustach. - Sądziłam, że wyraziłam się jasno.

- Być może nie będziemy już mieli możliwości powrotu...

Gospodyni jeszcze raz zmierzyła go pogardliwym wzrokiem, po czym podkasła sukienkę, odwróciła się na pięcie i z zadziwiającą zręcznością zaczęła się wspinać na stertę. Gdy była

niedaleko szczytu, przykłęka i ostatni kawałek przeszła się na czworakach. Na górze położyła się płasko na brzuchu, znieruchomiła i zaczęła bacznie obserwować otoczenie z wysokości swojej kryjówki.

Mogens obrzucił Gravesa tryumfalnym spojrzeniem.

- Nie podoba mi się to - wyszeptał doktor. - Naprawdę może być niebezpiecznie, wiesz o tym? - Potrząsnął karabinem. - Mówiłem poważnie. Jeśli będziemy ich potrzebować, mogą nam już niewiele pomóc.

- Dlaczego więc taszczymy je ze sobą? - spytał VanAndt.

- Ponieważ... ach, nieważne! - teraz Graves odwrócił się gwałtownie na pięcie i podążył za panną Preussler.

Mimo sprawności ruchów zrobił podczas wspinaczki dużo więcej rumoru niż jego poprzedniczka, również

..ffff

tsx

W

inf.

znacznie później niż ona przyłgął do podłoża, przez co z pewnością łatwiej było go dojrzeć od drugiej strony hałdy. Mogens spojrzął za nim i pokręcił głową, ale w tym samym momencie Tom, nieco zniecierpliwiony, uczynił zachęcający ruch ręką, więc profesor sam zaczął się wspinać.

Chwilę później wszyscy leżeli obok siebie niczym czterej żołnierze z bijącym sercem wypatrujący z okopów nieprzyjaciela.

Jednak po drugiej stronie usypisk nie było nic widać. Tom i Graves skierowali lampy w głąb olbrzymiej komnaty, ale jasne światło z każdym metrem zdawało się słabnąć, zupełnie jakby nie padało na puste pomieszczenie, lecz w czarną wodę głębin oceanicznych, gdzie nie miało już mocy, a nawet prawa bytu. Wtedy tu i ówdzie można było dojrzeć niewyraźne kontury wyzierające z ciemności, które jednak uparcie odmawiały przybrania sensownych kształtów. Tutaj kawałki gruzu, które nieubłaganie przypominały o przemijalności wszystkiego, co stworzone ręką ludzką, i o bezsensowności starań człowieka, by złamać to odwieczne prawo. Tam znowuż fragment posągu boga, pół człowieka, pół ptaka, w którego oczach tliła się drwina, ale i przestroga. Jeszcze gdzieś indziej odłupany kawałek okładziny, na którym popękane hieroglify tworzyły nowy mroczny sens. Panna Preussler, a chwilę później Mogens też unieśli lampy i zrobiło się nieco jaśniej. Wtedy profesora przeniknął strach. Dobrze pamiętał trzęsienie ziemi, które w jednej chwili zniszczyło świątynię, ale nie przypominał sobie, aby spustoszenia były tak ogromne. Kolumny leżały poprzewracane i rozłupane, okazałe posągi bogów pospadały z cokołów i spoczywały teraz na podłodze rozbite w drobne kawałki. Całe płyty okładziny odpadły od ściany i tworzyły żałosne kupki gruzu pod kamiennymi ścianami. Niegdyś imponująca mozaika podłogowa teraz wyglądała

jak poprzecinane bruzdami i szczelinami dno wypalonego słońcem jeziora.

Graves i Tom powoli wodzili lampami we wszystkie strony. Ich światła nie starczało, by rozjaśnić całą komnatę, lecz Mogens dojrzał, że zniszczony był tylko obszar niedaleko wejścia, nie cała komnata. Teraz był pewien, że gdy widział to pomieszczenie ostatnim razem, było w znacznie lepszym stanie.

- Obawiam się, że masz rację - zgodził się Graves, gdy VanAndt powiedział mu o swym spostrzeżeniu. - Musiało mieć miejsce kolejne trzęsienie.

W jego głosie można było wyczuć troskę, która była zapewne wywołana myślą o stabilności podłoża i tysięcy ton skały nad ich głowami. Mogens nie doszukał się w nim natomiast żalu po stracie, który sam tak dotkliwie odczuwał. Tak niedawno jeszcze komnata ze swoimi cudami i pradawnymi skarbami stanowiła istną archeologiczną perłę. Biorąc pod uwagę, jak mało pozostało po państwie faraonów, nawet zniszczona wciąż stanowiła cenny skarb, ale nie mogła się już równać z tym, co Mogens widział tu jeszcze kilka dni temu. Oprócz żalu w serce profesora zaczął się wkradać bezsensowny gniew. Dlaczego los dał mu taki prezent, by zaraz potem go odebrać?

- Wygląda na to, że jest spokojnie - powiedział Graves.

- Ma pan na myśli, że nie ma potworów? - spytała panna Preussler.

Zamiast odpowiedzieć, Jonathan ponownie uniósł lampę, po czym skinął na Toma. Chłopak również skierował światło we wskazanym kierunku, a po nim także VanAndt i jego gospodyni. Mogens miał wrażenie, że strumień światła odbił się od jakiegoś kształtu, może schodów prowadzących do olbrzymiej bramy i jej strażników, a może tylko od kawałka

L

żli . *

gruzu. A jeśli trzęsienie ziemi zasypało bramę? Profesor zadrżał na samą myśl o tym. Płające światło dawało złudzenie ruchu w ciemnościach, tak że profesor musiał się pilnować, by wyobraźnia znów nie przejęła kontroli nad rozumem.

Graves przesunął lampę w bok. Światło przewędrowało przez salę i zatrzymało się po drugiej stronie hałdy. Tom podniósł się, bezgłośnie zsunął na dół i uniósł karabin w gotowości.

- Panno Preussler - powiedział doktor.

- Tak, wiem, moja ostatnia szansa na powrót. - Podniosła się. - Już pan o tym wspominał.

Jonathan wzruszył tylko ramionami i pospieszył za Tomem. Gospodyni wyciągnęła rękę, by pomóc Mogensowi. Zapomniał teraz o dumie, zwłaszcza że rany znów zaczęły dawać o sobie znać rwącym bólem, i z wdzięcznością przyjął pomocną dłoń. Panna Preussler bez wysiłku wciągnęła go na górę, co profesora już jakoś nie zaskoczyło.

- Cieszyłbym się, gdyby usłuchała pani doktora Gravesa. Tym razem wyjątkowo ma rację.

- Miałabym zostawić pana samego z tym okropnym człowiekiem? Na pewno nie.

Mogena ześliznął się z rozczapierzonymi rękoma na drugą stronę hałdy równie szybko jak Tom i Graves, ale ku swojemu ubolewaniu nawet w przybliżeniu nie tak cicho jak oni. Porwał za sobą lawinę drobnych kamyczków i kawałków gruzu, która zsunęła się z hukiem, budząc przeciągłe echo. VanAndta ogarnęła groza, gdy zobaczył, jak kamień wielkości pięści przeturlał się i wpadł w szczelinę w podłodze, nie wywołując przy tym najmniejszego odgłosu. Do tej pory zakładał, że świątynia jest wydrążona w litej skale, więc spodziewał się, że podłoże jest stabilne. Tymczasem stąpali po popękanej pokrywie głębokiej studni.

- Za mną - polecił Graves. - I bardzo proszę cicho.

Profesor starał się stawiać stopy jak najciszej, choć miał

wrażenie, że sam łomot jego serca wystarczyłby, aby komnata zawaliła się ostatecznie. Z drugiej strony nie sądził, by miało to większe znaczenie, czy zachowują się głośno, czy cicho. Ghuli nie widział, a gdyby rzeczywiście czyhały w ciemnościach, już dawno by zaatakowały.

Tom potknął się o kamień, przeklął głośno i zaraz rzucił ukradkowe spojrzenie na pannę Preussler. Ona jednak nie zwróciła uwagi na niestosowne zachowanie chłopaka. Jej uwagę przykuł kamień, o który potknął się Tom. Był to fragment rozbitego posągu przedstawiającego człowieka z głową drapieżnego ptaka.

- Ta rzeźba jest... niepokojąca - powiedziała po chwili wahania. - Jaki lud to wyrzeźbił?

- Zapewniam panią w każdym razie, że nie jest to dzieło diabła, panno Preussler - odparł Jonathan z kpiną. - To raczej wytwór kultury, która tworzyła wspaniałe dzieła, gdy świat nie miał jeszcze pojęcia, co to chrześcijaństwo.

- Sztuka starożytnego Egiptu bynajmniej nie jest mi obca, doktorze - poinformowała gospodyni. - Profesor wystarczająco często dzielił się ze mną swoją wiedzą. Nawet taka stara i głupia kobieta jak ja dobrze wie, że leży przed nami posąg Horusa.

Graves obrzucił ją lekko zirytowanym spojrzeniem, a Mogens zerknął na pannę Preussler zaskoczony. Rozmowy z nią o jego pracy i kulturze starożytnego Egiptu sprowadzały się do tego, że gospodyni co chwilę wyrażała dezaprobatę, iż tak rozsądny i inteligentny człowiek jak VanAndt zajmuje się bezbożnikami. Teraz dostrzegł w niej zakłopotanie. Domyślał się, że gospodyni nie zaczerpnęła tej wiedzy z uczonych dyskusji, tylko z książek stojących na półkach w jego pokoju. A więc przeglądała je podczas nieobecności profesora! Nie wiedział, czy zmieszala się z powodu własnego

Podeszli już tak blisko pod bramę, że można było dojrzeć jej detale. Do tej pory Mogens niemal

panicznie bał się spojrzeć wprost na nią, teraz nie miał jednak wyjścia. Zebrał się na odwagę i zmusił do spojżenia prosto przed siebie.

Dziwne, nieforemne schody były popękane i usiane odłamkami gruzu. Jedna z olbrzymich kolumn leżała przewrócona, druga wprawdzie nadal stała, ale nadłamana i wyraźnie przygięta ku dołowi. Posągi demonicznych strażników, które stały po obu stronach bramy, spadły ze swoich cokołów i rozkruszyły się w drobny mak, co Mogens przyjął z niewysłowioną ulgą.

Jednak rzeźb na pewno nie zniszczyło trzęsienie ziemi. Jakaś tajemnicza siła otworzyła bramę od środka z takim impetem, że czarne figury zostały po prostu zdmuchnięte ze swoich postumentów. VanAndt wzdrygnął się mimowolnie, gdy przeszło mu przez myśl, że nawet szakalogłowe ghule nie miały tyle siły.

- Tam panią zaciągnęły? - spytał Graves.

wścibstwa, czy raczej dlatego, że treść tych bluźnierczych ksiązek okazała się jednak interesująca, skoro zapamiętała przynajmniej jedno z imion pogańskich bóstw.

- Mimo wszystko - ciągnęła niepewnym tonem - coś tu jest... nie tak.

- Niewielu ludzi miało okazję trzymać w rękach prawdziwe dzieło sztuki egipskiej - powiedział Mogens. - Większość eksponatów w naszych muzeach, jak i prawie wszystkie przykłady, które widziała pani w moich książkach, to tylko kopie kopii.

Panna Preussler nie powiedziała nic więcej, tylko spojrzała na profesora podejrzliwie. Może ją również te posągi i malowidła przytłaczały nie tylko swoją autentycznością, ale czuła bijącą z nich jakąś nieludzką siłę - tak jak VanAndt.

i. -

W S

X

w

■ u

Ł

m.;

Panna Preussler skinęła głową bez słowa, zaciskając usta. Doktor powiódł lampą najpierw w prawo, potem w lewo, oświetlając uszkodzone posągi i łupiny pokryte hieroglifami, po czym skierował snop światła prosto w otwartą bramę. Serce profesora zaczęło bić mocniej.

Za wrotami panowała ciemność, tyle że jeszcze gęstsza. Być może stamtąd właśnie, z ziemskich czeluści, wypełzła i zalała komnatę.

- Tom! - rzucił rozkazująco Jonathan.

Chłopak bez wahania wszedł po schodach. Przeszedł przez wrota ostrożnie, ale bez wahania, rozejrzał się na boki i przez chwilę tylko patrzył w mrok. Światło jego lampy wydawało się ledwie dostrzegalną iskrą.

- Nic tam nie ma - powiedział wreszcie. - Tylko coś w rodzaju schodów.

- Coś w rodzaju schodów? - spytała panna Preussler cicho.

Mogens zwalczył w sobie strach i ruszył, by to sprawdzić.

Za bramą rzeczywiście nie było nic strasznego, jedynie duże, zupełnie puste pomieszczenie. Drżące światło ich lamp płasało po ścianach z czarnego kamienia bez napisów czy ozdób. Profesor, sądząc po okazałości bramy, spodziewał się zobaczyć kolejny skarb dla archeologa. Tymczasem nic takiego nie było, VanAndta zdziwił natomiast delikatny zapach wody morskiej unoszący się w powietrzu.

Tom wskazał lampą na lewo, w kierunku, w którym przed chwilą patrzył w takim skupieniu.

Graves, a za nim Mogens, bez słowa podążyli w tamtą stronę.

Odkrycie chłopaka rzeczywiście wyglądało jak początek konstrukcji, którą przy odrobinie dobrej woli i fantazji można było nazwać schodami. VanAndt widział raczej wąski, nieregularny tunel prowadzący ostro w dół i wyłożony szeregiem stopni.

Każdy z nich był inny. Niektóre maleńkie i płaskie, przewidziane jakby dla karlich stóp, inne tak olbrzymie, że wydawały się niemożliwe do pokonania nawet przez wysokiego człowieka. Część ułożono ukośnie względem siebie, a niektóre były tak dziwacznie powykręcane, że Mogens na sam

ich widok odczuwał lekkie zawroty głowy.

- Jest pani pewna, że właśnie tędy panią wlekły? - spytał Graves.

VanAndt dobrze rozumiał powątpiewanie w jego głosie. Nie był pewien, czy odważyłby się zejść po tych schodach, choć miał przecucie, że w najbliższym czasie będzie musiał się o tym przekonać. Jednak nawet ghuli nie podejrzewał

o transportowanie tędy stawiającej opór ofiary, i to rozmiarów oraz wagi swojej gospodyni.

Panna Preussler nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę patrzyła z powątpiewaniem na wyłożony stopniami tunel.

- Nie wiem - powiedziała niezdecydowanie. - Wszystko działo się tak szybko, a... - Przerwała, pokręciła głową

1 dodała, tym razem zdecydowanym głosem: - Tak. Jestem pewna. Tarfitędy w dół.

- Skoro tak pani mówi... - wymamrotał Jonathan bez entuzjazmu. Jeszcze raz powiódł powoli lampą dokoła nieregularnej sali. W świetle widać było tylko szorstką, pokrytą bruzdami skałę, na której gdzieś połykiwała woda albo może kryształki soli. Pomieszczenie wydawało się Mogensowi coraz dziwniejsze. Dlaczego zamykała je kunsztowna brama strzeżona przez dwóch monstrualnych strażników, skoro w środku nie było nic ciekawego?

- Potrzebna nam będzie lina - oznajmił Graves.

Tom oparł karabin o ścianę, nic nie wskazywało jednak na to, by zamierzał zdjąć plecak. Bez słowa, z zaciśniętymi zębami zaczął schodzić w dół.

- Tom? - spytał Graves.

¥ - - ' -

•-jI.

itr

'n

- Chwileczkę, doktorze - odparł chłopak przez zaciśnięte zęby. - Proszę pozwolić mi coś sprawdzić.

Jonathan nie wyglądał na zachwyconego, ale nie protestował. Również Mogens powstrzymał się od komentarza, ale wciągnął wystraszony powietrze, gdy Tom zachwiał się i byłby spadł, gdyby nie wczepił błyskawicznie palców w chropowatą skałę. Uśmiechnął się do profesora, by go uspokoić, i ostrożnie zaczął schodzić dalej. Po chwili ramiona i głowa chłopaka zniknęły w tunelu, a zaraz potem również jego ogromny plecak.

- Tak jak myślałem - dobiegł ich głos z dołu.

- Co? - spytał Graves.

- Niżej będzie łatwiej.

VanAndt spojrział w dół z bijącym sercem i zobaczył twarz Toma kilka stóp niżej. Chłopak stał na lekko rozstawionych nogach, a wyprostowanymi rękami wspierał się o ściany tunelu. Wyglądał jak alpinista, który schodzi w dół kamiennego komina.

- Tu jest zakręt - powiedział. - Dalej będzie o wiele łatwiej. Może panna Preussler pierwsza?

- O ile naprawdę chce... - mruknął Graves.

Gospodyni obrzuciła go wzgardliwym spojrzeniem,

ukłękła i podtrzymywana przez Toma zaczęła nogą macać pierwszy stopień. Gdy Jonathan i VanAndt chwycili wyciągnięte ręce panny Preussler, osunęła się bardzo powoli w dół. Profesor miał wrażenie, że ręce wysunęły mu się ze stawów. Usłyszeli stękanie Toma, zaraz jednak zawołał:

- Już dobrze, mogą panowie puścić!

Mogens chętnie usłuchał, zwłaszcza że rany w boku zaczęły pulsować jak oszalale. Po piersi spłynęła mu ciepła strużka. Przynajmniej jedna z dopiero co zagojonych ran musiała znów się otworzyć.

Graves spojrział na niego krytycznie.

- Tak - odparł Mogens zdyszany. - Potrzebuję tylko... chwilę...

Doktor zdawał się być innego zdania, ale wzruszył tylko ramionami i zaczął schodzić w dół w ten

sam sposób co panna Preussler, tylko o wiele szybciej. Jednak gdy przez moment zawisł uchwycony chropowatej skały, zsunęła mu się jedna z rękawiczek. Tylko trochę i na krótką chwilę, wystarczyło jednak, by Mogens zdążył spojrzeć na rękę Gravesa.

Nie potrafił nawet powiedzieć, co właśnie zobaczył. Nie była to skóra ani na pewno ludzkie ciało. Czarna rękawiczka zsunęła się jak skórka z kielbasy, gdy ściąga się ją po gotowaniu. Pod spodem zobaczył coś białego, pulsującego, podobnego do wiązki błyszczących, poskręcanych ze sobą nerwów.

Minęła chwila i doktor zniknął mu z oczu. Został sam.

Serce biło VanAndtowi jak szalone. Został z jedną lampą, która właściwie powinna wystarczyć na oświetlenie tak niewielkiego pomieszczenia. Jednak nie wystarczyła. Ciemność rzuciła się na niego ze wszystkich stron.

- Chodź, Mogensie! - Głos Gravesa był głuchy i zniekształcony, jakby dobiegał z głębokiego szybu. Rozchodzące się echo jeszcze bardziej podsyciło strach profesora. - Tom ma rację, tu na dole jest łatwiej. Podaj broń!

Profesor czubkami palców chwycił oparty o ścianę karabin i podał go Gravesowi. Potem uklęknął i zaczął schodzić w dół. Liczył na to, że Tom i Graves pomogą mu tak jak pannie Preussler, ale ich głosy zdawały się oddalać. Nie miał odwagi spojrzeć w dół, więc zamknął oczy, aż poczuł pod stopami poziomą skałę.

- Mogensie, ostrożnie - doszedł go z tyłu głos Gravesa. - Uważaj na...

m

- mm 1

U>

Ki;

Odwrócił się i wyprostował, wzdychając z ulgą, i uderzył przy tym tak mocno głową w skałę, że go na chwilę zamroczyło.

- ...głowę - dokończył Jonathan. Mogens był pewien, że złośliwa nuta w jego głosie nie była jego urojeniem.

Stękając, przejechał rozczapierzonymi palcami po włosach, ale nie poczuł krwi, choć z bólu aż go mdliło.

- Nie przejmuj się - powiedział Graves wesoło. - Wszystkich nas to spotkało.

VanAndt nie miał ochoty patrzeć na wyszczerzoną w uśmiechu twarz Jonathana, więc zerknął w górę. I ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

- Czy mówiłam już panu, że jest pan niemożliwy, doktorze? - spytała panna Preussler.

- Wielokrotnie, moja droga - odparł Graves. - Wielokrotnie.

Profesor nie słuchał ich, ponieważ to, co zobaczył, kazało mu zapomnieć na chwilę nawet o przesywającym bólu głowy. Ściany pokrywał ten sam czarny kamień, co w pomieszczeniu za bramą. Strop był co najmniej sześć stóp nad ich głowami, ale gdy wyciągnął rękę, palce trafiły na opór.

- Ależ to... niemożliwe - wymamrotał.

Nie natrafiał wcale na niewidzialną przeszkodę, nie -widział, jak jego palce dotykają skały dwa metry nad jego głową, chociaż nawet nie wyprostował do końca ręki!

- Interesujące, prawda? - spytał Graves z nieskrywaną dumą.

- Raczej przerażające - pokręciła głową panna Preussler.

- Myślę, że to raczej z naszymi myślami coś jest nie tak - odparł doktor.

- Może z pańskimi, doktorze - rzekła gospodyni uszczypliwie.

- Nie, nie. Mówię poważnie, moja droga. Z tym miejscem coś jest nie w porządku. Obawiam się, że nasze ludzkie zmysły nie są wystarczające, by poradzić sobie z taką geometrią.

- Co za wierutne brednie! - Panna Preussler aż tupnęła.

Graves potrząsnął głową, uśmiechając się.

- Jak pani uważa. Ale dopóki nie znajdziemy lepszego wytłumaczenia, nie powinniśmy ufać do końca własnym zmysłom.

Mogens tylko jednym uchem przysłuchiwał się tej rozmowie. Nie rozumiał, jak jego kolega może mówić z taką swobodą o rzeczach zupełnie niewyobrażalnych. Po chwili wahania ponownie uniósł rękę i z nie mniejszym zdumieniem zobaczył, jak jego palce natrafiają na opór, choć nie mógł doszukać się żadnego zniekształcenia perspektywy czy innych dowodów złudzenia optycznego.

- Dlatego właśnie nie chciałem użyć liny - wyjaśnił Tom. - Nie byłem pewien, czy będzie ją do czego przywiązać.

- I zdałeś się na swój zmysł dotyku. - Jonathan z uznaniem pokiwał głową. - To było bardzo mądre posunięcie, Tom.

Chłopak uśmiechnął się zadowolony. Również na VanAndcie jego przezorność zrobiła wrażenie.

Choć mimo wszystko coś mu nie pasowało...

- Chodźmy dalej - powiedział Graves. - Ostrożnie.

Wysunął się naprzód i zaczął iść, spokojnie i pewnie stawiając stopy. W lewej ręce trzymał karabin, prawą, w której miał lampę, wyprostował przed sobą. Właściwie nawet nie tyle szedł, co ciągnął stopy po ziemi, jakby nie ufał pozornie masywnej skale. Wyglądał dość komicznie, ale już po chwili profesor zobaczył na własne oczy, że te środki ostrożności miały sens, gdy wyciągnięta dłoń nagle dotknęła skalnego występu oddalonego przynajmniej o długość ramienia.

■

■"ił

M

Lampa zakołysała się i niemal zgasła. Chwilę później potknął się o coś.

Również Mogensowi i pozostałej dwójce nie szło lepiej. Wiele razy uderzyli się boleśnie o odległą skałę, raz VanAndt niemal upadł, gdy chciał się oprzeć o występ tuż obok, który okazał się o wiele bardziej oddalony, niż na to wyglądał.

Przeszli w ten sposób spory kawałek tunelu. Nagle Graves zniknął za rogiem, który powinien być oddalony o jakieś trzydzieści stóp. Mogens podążył za nim i znalazł się w dużej, nieregularnej grocie.

- Była pani tutaj? - spytał Graves gospodynię profesora. Panna Preussler rozejrzała się dokoła.

- Nie jestem pewna - powiedziała w końcu niezdecydowanie. - Nie wydaje mi się, żeby mnie tu przyprowadziły. Nie przypominam sobie.

Graves wyglądał na nieco rozdrażnionego, starał się tego jednak nie okazać. Uniósł latarnię i ostrożnie wyciągnął rękę w stronę stalagmitu wielkości człowieka, który był oddalony o dobre dziesięć kroków. Jego palce sięgnęły w pustkę. Doktor skinął głową, jakby był bardzo zadowolony z tego, co zobaczył. Podeszedł ostrożnie do czarnego, kamiennego nacieku i dotknął go lekko.

Mogens zauważył, że wracając, Jonathan poruszał bezgłośnie ustami. Prawdopodobnie liczył kroki.

- To by było chyba na tyle - mruknął. - Tutaj wszystko wydaje się być normalne. Nadal powinniśmy jednak uważać.

- To chyba jednak nie tędy - pokręciła głową panna Preussler.

- Dopiero co powiedziała pani, że nie wie pani, czy już tu była - zirytował się Graves. - Sama pani przyznała, że kilka razy straciła pani przytomność i była pani, delikatnie

46 6 mówiąc, trochę zdenerwowana.

SfS '

feg-t

m

[tM i> A •'

«S'

m

<Am

i

i

A

Z

u i:

- Dlaczego nie powie pan od razu, że wpadłam w histerię, skoro to ma pan na myśli? - spytała zaczepnie.

- Ponieważ wcale nie miałem tego na myśli - westchnął Jonathan. - Może jest to droga, którą pani przebyła, a może nie. Jest duże prawdopodobieństwo, że nie tylko jedna droga prowadzi na dół. Poprzestańmy więc na tym, że przyjąłem pani zastrzeżenia do wiadomości.

Mogens przyznał mu w duchu rację, ale te słowa znów podsyciły także jego zaniepokojenie. Zastanawiał się, co tamten miał na myśli, mówiąc „na dół”.

Panna Preussler, jakby odczytała jego myśli, odpowiedziała:

- Nie wie pan, doktorze, co nas tam czeka!

- Nie - przyznał niewzruszony. Potrząsnął mocno głową, by stłumić w zarodku sprzeciw panny Preussler. - Już za późno, żeby zawrócić, więc wkrótce się dowiemy.

Mogens nie potrafił określić, jak długo szli w zupełnych ciemnościach, w których tylko czasem pojawiały się rozmyte cienie. To ostry szpic z czarnej lawy czy obsydianu sterczący zaczepnie w stronę niewidzialnego, kamiennego nieba nad ich głowami, to przysadzisty kształt podobny go skamieniałego gнома, gdzie indziej znów filigranowa siateczka przypominająca koralowce. I zniknął lęk profesora - bo to był znajomy, zupełnie naturalny mrok, nie owo straszne, mieszające zmysły królestwo cieni, przez które przechodzili wcześniej. Wcześniej VanAndt bez powodzenia próbował znaleźć logiczne wyjaśnienie swoich odczuć. Teraz już zaczynał rozumieć - tunel był wypełniony niewidocznym, bezwonnym gazem, który zaburzał u nich postrzeganie rzeczywistości, albo wystąpiła tam anomalia związana z siłą ciężenia czy innym prawem natury. Przychodziło mu na myśl jeszcze więcej równie przekonujących wytłumaczeń, równocześnie czuł jednak, że żadne z nich nie było zgodne z prawdą.

- Dlaczego nie powie pan od razu, że wpadłam w histerię, skoro to ma pan na myśli? - spytała zaczepnie.

- Ponieważ wcale nie miałem tego na myśli - westchnął Jonathan. - Może jest to droga, którą pani przebyła, a może nie. Jest duże prawdopodobieństwo, że nie tylko jedna droga prowadzi na dół. Poprzestańmy więc na tym, że przyjąłem pani zastrzeżenia do wiadomości.

Mogens przyznał mu w duchu rację, ale te słowa znów podsyciły także jego zaniepokojenie. Zastanawiał się, co tamten miał na myśli, mówiąc „na dół”.

Panna Preussler, jakby odczytała jego myśli, odpowiedziała:

- Nie wie pan, doktorze, co nas tam czeka!

- Nie - przyznał niewzruszony. Potrząsnął mocno głową, by stłumić w zarodku sprzeciw panny Preussler. - Już za późno, żeby zawrócić, więc wkrótce się dowiemy.

Mogens nie potrafił określić, jak długo szli w zupełnych ciemnościach, w których tylko czasem pojawiały się rozmyte cienie. To ostry szpic z czarnej lawy czy obsydianu sterczący zaczepnie w stronę niewidzialnego, kamiennego nieba nad ich głowami, to przysadzisty kształt podobny go skamieniałego gнома, gdzie indziej znów filigranowa siateczka przypominająca koralowce. I zniknął lęk profesora - bo to był znajomy, zupełnie naturalny mrok, nie owo straszne, mieszające zmysły królestwo cieni, przez które przechodzili wcześniej. Wcześniej VanAndt bez powodzenia próbował znaleźć logiczne wyjaśnienie swoich odczuć. Teraz już zaczynał rozumieć - tunel był wypełniony niewidocznym, bezwonnym gazem, który zaburzał u nich postrzeganie rzeczywistości, albo wystąpiła tam anomalia związana z siłą ciężenia czy innym prawem natury. Przychodziło mu na myśl jeszcze więcej równie przekonujących wytłumaczeń, równocześnie czuł jednak, że żadne z nich nie było zgodne z prawdą.

- Dlaczego nie powie pan od razu, że wpadłam w histerię, skoro to ma pan na myśli? - spytała zaczepnie.

- Ponieważ wcale nie miałem tego na myśli - westchnął Jonathan. - Może jest to droga, którą pani przebyła, a może nie. Jest duże prawdopodobieństwo, że nie tylko jedna droga prowadzi na

dół. Poprzestańmy więc na tym, że przyjąłem pani zastrzeżenia do wiadomości.

Mogens przyznał mu w duchu rację, ale te słowa znów podsyciły także jego zaniepokojenie. Zastanawiał się, co tamten miał na myśli, mówiąc „na dół”.

Panna Preussler, jakby odczytała jego myśli, odpowiedziała:

- Nie wie pan, doktorze, co nas tam czeka!

- Nie - przyznał niewzruszony. Potrząsnął mocno głową, by stłumić w zarodku sprzeciw panny Preussler. - Już za późno, żeby zawrócić, więc wkrótce się dowiemy.

Mogens nie potrafił określić, jak długo szli w zupełnych ciemnościach, w których tylko czasem pojawiały się rozmyte cienie. To ostry szpic z czarnej lawy czy obsydianu sterczący zaczepnie w stronę niewidzialnego, kamiennego nieba nad ich głowami, to przysadzisty kształt podobny go skamieniałego gnoma, gdzie indziej znów filigranowa siateczka przypominająca koralowce. I zniknął lęk profesora - bo to był znajomy, zupełnie naturalny mrok, nie owo straszne, mieszające zmysły królestwo cieni, przez które przechodzili wcześniej. Wcześniej VanAndt bez powodzenia próbował znaleźć logiczne wyjaśnienie swoich odczuć. Teraz już zaczynał rozumieć - tunel był wypełniony niewidocznym, bezwonnym gazem, który zaburzał u nich postrzeganie rzeczywistości, albo wystąpiła tam anomalia związana z siłą ciężenia czy innym prawem natury. Przychodziło mu na myśl jeszcze więcej równie przekonujących wytłumaczeń, równocześnie czuł jednak, że żadne z nich nie było zgodne z prawdą.

W końcu drżące światło przestało niknąć w ciemnościach i trafiło na opór. Po kilkunastu krokach stanęli pod kamienną ścianą, w której nie było nawet szczeliny, nie mówiąc już o przejściu.

- A teraz, droga panno Preussler? - spytał Graves.

- Mówiłam przecież, że nie... - zaczęła.

- Proszę powiedzieć, w którą stronę - wszedł jej w słowo Jonathan.

- Dobrze, no to w prawo.

- Znakomicie. - Jonathan kiwnął głową i skierował się w lewo. - Czuje pani prąd powietrza, moja droga? Ten delikatny zapach wody morskiej? Proponowałbym jednak iść w kierunku, z którego dochodzi, zamiast się od niego oddalać.

Mogens rzucił gospodni błagalne spojrzenie, by nie reagowała na tę wypowiedź. Ku jego uldze powstrzymała się od odpowiedzi, chociaż wyraźnie miała ją już na końcu języka. VanAndta zaskoczyła nagle kłótność doktora, ale może był to tylko jedyny znany mu sposób radzenia sobie ze zdenerwowaniem.

Ponadto Graves miał rację. Ciąg powietrza stawał się coraz silniejszy, a zapach morskiej wody bardziej intensywny. Przeszli jeszcze kilkadziesiąt kroków, w końcu Jonathan przystanął.

- Światło - powiedział. - Zgaście lampy. Profesor ani myślał go słuchać.

- A jeśli te bestie gdzieś tu na nas czyhają?

- Wówczas światłem możemy je jedynie zwabić. Poza tym jestem przekonany, że teraz są zajęte czym innym.

VanAndt postanowił nie drażnić tematu. Gdy Tom i panna Preussler zgasili latarnie, zrobiło się zupełnie ciemno, ale na bardzo krótko. Już po kilku sekundach postać Gravesa znów wyłoniła się z ciemności jako strzępiasty kontur otoczony jasnozieloną poświatą. Mogens stanął tuż obok

niego. Kilka kroków przed sobą zobaczył szczelinę w skale, na jakieś trzy stopy, ale o wiele szerszą. Jej widok mimowolnie skojarzył się Mogensowi z wyszczerzonym w złośliwym uśmiechu pyskiem smoka.

- Byłeś tu już - domyślał się Mogens.

- Ani razu - odparł Graves. - Po prostu domyśliłem się, że na dole musi być światło. Potwory mają może wrażliwe oczy, ale jednak je mają. Gdyby żyły w zupełnych ciemnościach, nie potrzebowałyby ich.

Po tych słowach bardzo ostrożnie ruszył przed siebie. Widać było, że się boi, choć nigdy by się do tego nie przyznał nawet przed samym sobą. Kucnął przy szczelinie i zajrzał w głąb.

- Jest spokojnie - powiedział. - Możecie podejść.

Schylił się energicznie, przeszedł pod zwisającą skałą i wyprostował po drugiej stronie. Bariera miała niewiele ponad stopę grubości, więc nadal powinien być widoczny po drugiej stronie. Jego postać zdawała się jednak rozplątać w zielonkawej poświacie.

- Jonathanie?! - zawołał Mogens, po czym zaczął bacznie nasłuchiwać.

Nie otrzymał odpowiedzi, więc kucnął i zajrzał do środka. Zdawało mu się, że dostrzegł cień, ale nie był pewien.

- Graves? - spytał jeszcze raz, nie ukrywając już zaniepokojenia.

Coś zaszurało, a po chwili zza skały doszedł przyduszo-ny głos doktora:

- Mogensie, na miłość boską, pomóż mi!

Profesor prześliznął się prędko pod skałą i wyskoczył tak energicznie po drugiej stronie, że uderzył się w głowę i zaciskając zęby, ponownie padł na kolana.

- Wiedziałem, że to podziała! - Jonathan wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. - Z ciebie jednak porządny

VanAndt zmierzył go chmurnym wzrokiem, rozcierając obolałą głowę.

- Wolę nie mówić, co jest z ciebie.

- Bardzo rozsądnie z twojej strony - odparł Graves. Szyderczy śmiech zniknął nagle bez śladu. - Uważaj, nie zrań się znowu, musimy być w dobrej formie.

Mogens zapomniał o wszystkim, co powiedział doktor, gdy wyprostował się i rozglądął dokoła. Stali na skalnej półce w ścianie olbrzymiej groty. Choć nie, trudno określić tym słowem przestrzeń, której drugiego krańca nie sięgał wzrokiem. Najwyższy punkt kamiennego firmamentu musiał znajdować się przynajmniej ćwierć mili nad ich głowami. Ogromna jaskinia nie była pusta. Pod nimi roztaczało się miasto, jakiego VanAndt nigdy wcześniej nie widział.

W pierwszej chwili nie potrafił powiedzieć, czy rzeczywiście jest to miasto, czy przypadkowy zbiór dziwacznych form skalnych, jak podpowiadał mu analityczny umysł. Właściwie - gdyby miał polegać na pierwszym skojarzeniu - powiedziałby, że to żywe stworzenia, które zastygły skamieniałe w pół ruchu. Jednak ich ilość i wielkość sprawiły, że uznał je za domy jakichś stworzeń, choć nie tylko dziwacznie poustawiane - jedne były częściowo zburzone, podupadłe, inne sprawiały wrażenie nigdy nieukończonych. Najgorsze było jednak to, że mimo całej obcości przyprawiającej o zawroty głowy, mimo nieeuklidesowej geometrii miejsca, coś w tym mieście wydało mu się dziwnie znajome.

- I co? - wyszeptał Graves. - Czy zbyt wiele obiecywałem, Mogensie?

Profesor nie był w stanie odpowiedzieć ani nawet skinąć głową. Chociaż widok monstrualnego, podziemnego miasta napawał go ogromnym lękiem, nie mógł się oprzeć fascynacji. Usłyszał, jak wystraszony Tom gwałtownie zaczerpnął

U ııı

-w

.

. -in

rf:l-] i % i Ū:

fi-1

powietrza, gdy ujrzał ten sam niesamowity widok. VanAndt nawet teraz nie był w stanie zareagować w żaden sposób. Widok przed jego oczami wżarł się niczym kwas w jego myśli. Dopiero gdy Graves chwycił go za ramię i obrzucił zniecierpliwionym spojrzeniem, wyrwał się z odrętwienia i odwrócił gwałtownie. Musieli pomóc pannie Preussler, której tusza przysparzała trudności z przecięnięciem się przez wąski otwór. Gospodyni nabawiła się przy tym kilku niegroźnych zadrapań, natomiast jej duma z pewnością ucierpiała znacznie bardziej. Zamiast podziękować swoim wybawcom, zmierzyła ich karcącym wzrokiem.

- Teraz przekonał się eksperymentalnie, że panna Preussler nie mogła dostać się na dół tą drogą - powiedział Jonathan rozbawiony.

Już chciała powiedzieć mu coś do słuchu, lecz tylko jęknęła przerażona i zasłoniła ręką usta. Mimo słabego, zielonkawego światła Mogens zauważył, że zbladła zupełnie, a jej oczy pociemniały z przerażenia.

- Dobry Boże - wyjąkała. - Co to jest?

Graves przekrzywił głowę, oczy zamieniły mu się w wąskie szparki.

- Czy nie mówiła pani, że już tu była? - spytał podejrzliwie.

- Nie... - Panna Preussler spojrzała na Mogensa, szukając u niego pomocy, potem odwróciła się niczym w transie z powrotem w stronę miasta. - To znaczy... nie tutaj. Ja nie... - Głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Nie widziała pani wszystkiego, prawda? - pomógł jej profesor.

- Byłam... w... w jakimś domu - wyjąkała gospodyni. - W czymś w rodzaju domu. To znaczy... myślałam, że...

- Już dobrze - powiedział pocieszająco VanAndt, bo nie była w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Rzucił jeszcze miażdżące spojrzenie Gravesowi, który już gotował się do kolejnej złośliwej uwagi.

- Co to jest, profesorze? - zapiszczała po chwili panna Preussler. - Proszę mi powiedzieć, co to jest!

Mogens chętnie sam poznałby odpowiedź na to pytanie. Był w stanie jedynie bezradnie pokręcić głową. Czuł się pusty, przytłoczony wielkością i obcością tego widoku.

Mimo to ciągle było w nim coś niepokojąco znajomego.

- Czy to jest... coś w rodzaju ich miasta? - zapytał Jonathana.

- Nie jestem pewien. Nie zakładałem, że żyją w norach czy jaskiniach. Na to wydawały mi się jednak zbyt ucywilizowane, ale to... - Potrząsnął głową. - Nie wiem - przyznał.

- Skąd dochodzi to światło? - zaciekawiał się Tom. Mogens spojrzał na niego bezradnie, ale Graves miał już gotową odpowiedź, zdaniem profesora zbyt prędko, choć musiał przyznać, że brzmiała przekonująco.

- Widzicie te świecące plamy na ścianach i pod sklepieniem? - Zatoczył szeroki krąg ręką. Rzeczywiście dostrzegli na skałach duże, nieregularne plamy podobne do niedbale wyszarpanych skrawków zielonego płótna, które promieniowały bladym, zielonkawym światłem, rozświetlając olbrzymią grotę. Poświata poszczególnych plam była ledwo zauważalna, ale ich łączny blask dawał światło niemal tak mocne, jak księżyc w pełni przy bezchmurnym niebie.

- Domyślam się, że to świecące grzyby albo inne nieznanne organizmy, które samoistnie promieniują.

- I nie jest to dzieło szatana? - Panna Preussler spojrzała na doktora badawczo.

Jego oczy znów błysnęły gniewnie, ale Mogens rzucił mu szybkie, przywołujące do porządku spojrzenie. Jak profesor

MSk-

w takich chwilach chwycił się kurczowo rozumu i logiki, tak jego gospodyni uciekała się do swojej niewzruszonej wiary. Jonathan chyba to zrozumiał, bo zrezygnował ze złośliwych docinków i odpowiedział rzeczowym tonem:

- Takie zjawisko nie jest czymś nadzwyczajnym, moja droga. Nauka zna liczne formy życia, które wytwarzają światło. Nie widziała pani nigdy świetlika?

- Oczywiście, że widziałam - odparła panna Preussler. - Ale przecież to zupełnie co innego!

- Dlaczego? W gruncie rzeczy to dokładnie to samo. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę spytać Mogensa. Potwierdzi, że takie zjawisko nie jest niczym niebywałym. Istnieją ryby głębinowe, które mają na pysku świecący wabik i przyciągają w ten sposób ofiary. Są też liczne rośliny, których blask przyciąga, a potem oślepia owady. To - wskazała na pierwszą z brzegu świecącą plamę - nie jest niczym innym. Zdziwiający, do tej pory nieznanne organizmy, ale na pewno nie cud, a tym bardziej nie dzieło szatana.

VanAndt miał wrażenie, że pannę Preussler nie do końca usatysfakcjonowało to wyjaśnienie, ale nie

sprzeciwiała się już. Rzuciła tylko Mogensowi szukające pomocy spojrzenie. Wyglądała na lekko urażoną, gdy on nie zareagował w sposób, jakiego się spodziewała. W końcu wskazała przekornym ruchem na grotę.

- I chce mi pan może powiedzieć, że to wszystko jest dziełem ludzkiej ręki?

- Bynajmniej. - Graves pokręcił smutno głową.

Mogens sądził, że gospodyni miała na myśli gigantyczne

miasto w dole, ale gdy przyjrzał się jej dokładnie, zrozumiał, że się mylił. Jej pełne przerażenia oczy nie były skierowane na dziwaczne domy i ruiny. Przyglądała się stromej skarpie, nad którą stali, usianej jasnymi kamieniami. I to była druga pomyłka Mogensa.

To, co miał za kamienie, w rzeczywistości było kośćmi. Czaszki, żebra, miednice, piszczele, kręgosłupy, łopatki... Całe zbocze usłane było ludzkimi szczątkami.

Mogens powstrzymał się od pokusy wyciągnięcia zegarka i spojrzenia na cyferblat. Całą uwagę skupił na zejściu po zboczu pokrytym luźno usypanymi kośćmi - tak by się nie przewrócić, a jednocześnie w miarę możliwości jak najmniej dotykać trupich szczątków. Oszacował, że dotarcie do stóp wzgórza zajęło im dobre pół godziny.

Na dole podłóża nie pokrywała wprawdzie metrowa warstwa ludzkich kości, ale i tu co chwilę jakąś napotykali - zapewne z powodu niestabilności zbocza. Gdy po nim szli, chcąc nie chcąc, co chwilę stracali lawinę koziółkujących czaszek i zsuwających się piszczeli, które zdawały się machać do nich złośliwie. Większość szczątków na dnie wielkiej jaskini musiała spaść tu dużo wcześniej - były stare i zmurszałe, niekiedy wręcz trudno już było rozpoznać, jaką część szkieletu kiedyś stanowiły. VanAndta od dziecka fascynowały dawne kultury i upadłe królestwa. W czasach studenckich i wcześniej zwiedził niejedną grob i wiele razy miał okazję widzieć czaszki. Gdyby jeszcze wczoraj ktoś mu przepowiedział, że na widok grobu strach ściśnie mu gardło, roześmiałby się w głos. Ale ten grób nie był zwyczajną mogiłą.

Mały cmentarz za obozem Gravesa miał zaledwie sto lat, a miasto, którego mieszkańcy grzebali tam swoich zmarłych, było zbyt małe, aby mogły to być szczątki jedynie tamtejszych ludzi. Nawet jeśli w tym samym miejscu ą-ją- było kiedyś święte miejsce wcześniejszych mieszkańców,

K

na przykład cmentarz Indian, tysiąclecia nie starczyłyby na zebranie tak ogromnej ilości szczątków. Potwory musiały sprowadzać swoje ofiary również z bardzo odległych stron.

- Tam, przed nami! - Wyciągnięta dłoń Gravesa wskazywała na niski, dziwnie powykręcany mur oddalony od nich o kilkanaście kroków. Można byłoby sądzić, że jest to zastygła w przypadkowym kształcie lawa, gdyby nie drzwi i wiele otworów okiennych wyraźnie wykutych z rozmysłem. Zastanawiali się dłuższą chwilę, co począć dalej. Mogens zaproponował, by zawrócić i przyjść tu później lepiej przygotowanym. Doktor nie raczył nawet odpowiedzieć, ale i sam profesor nie powiedział tego całkiem poważnie. Zniszczenia, które zobaczył na górze w świątyni, uświadomiły mu, że może już nie być żadnego „później”. Sala mogła się zawalić przy kolejnym, najmniejszym nawet wstrząsie. Nie pozostało im więc nic innego, jak podążyć dalej raz obraną drogą, mimo że stąpanie po kościach zmarłych napawało ich lękiem.

Na szczęście do tej pory nie natrafili na żadne ślady ghuli ani innych, być może jeszcze gorszych mieszkańców tego zakazanego, podziemnego świata. Olbrzymia grota wyglądała na wymarłą.

VanAndt nie mógł powiedzieć, żeby tego żałował, ale mimo wszystko był tym zaniepokojony.

Z jednej strony cieszył się, że do tej pory nie spotkali żadnego z szakalogłowych potworów, z drugiej jednak za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, gdzie były. Przemknęło mu przez głowę, że ich czwórka przypomina wojowników, którzy pod osłoną nocy podkradają się do twierdzy zajętej przez nieprzyjaciela. Myśl ta wcale nie była taka śmieszna.

Przyspieszył nieco kroku i zdołał wyprzedzić Toma, który szedł spory kawałek przed nim, choć teraz powoli zaczęły mu się uginać kolana pod ciężarem olbrzymiego plecaka. Panna

-fr

fit fi

Preussler natomiast cały czas szła powoli, za to równym tempem i z takim zacięciem, że to Mogens musiał jej dotrzymać kroku, a nie odwrotnie. Również teraz dotarła przed nim do ściany, którą wskazał wcześniej Graves i bez wahania przeszła przez drzwi. Profesor zrobił jeszcze kilka kroków i udało mu się dotrzeć do celu przed zdyszonym Tomem.

Znaleźli się w nieregularnym, zupełnie pustym pomieszczeniu. Panowała tu prawie zupełna ciemność, ponieważ na ścianach nie było świecących plam.

- Dopiero tutaj jesteśmy chyba bezpieczni - powiedział Graves. On również sapał ciężko, co trochę podniosło Mogensa na duchu. - Powinniśmy chwilę odpocząć, kilka minut.

- Czy nie mówiłeś wcześniej, że mamy niewiele czasu? - spytał profesor, nadal jeszcze z trudem łapiąc powietrze.

Jonathan zaczął szperać pod kurtką, w końcu wyciągnął zegarek na cienkim, złotym łańcuszku i otworzył klapy. Z trudem odczytał godzinę w nikłym świetle.

- Kilka minut nie robi wielkiej różnicy - stwierdził. - Niczego to nie zmieni, jeśli będziemy biegli bez opamiętania.

- Dziwne - odrzekł Mogens - a ja myślałem, że właśnie to do tej pory robiliśmy.

W odpowiedzi Graves tylko zmierzył go lodowatym wzrokiem. Zniecierpliwiony skinął władcym gestem na chłopaka.

- Tom, zapal światło.

Ten, całkiem wyczerpany, stał oparty plecami o ścianę i próbował zapanować nad sobą, by się nie przewrócić. Zebrał się jednak w sobie, skinął głową i zaczął niezręcznie majstrować przy swojej latarni. Widok ten nappełnił Mogensa gniewem i lękiem. Odkąd poznał Toma, chłopak bez słowa skargi, sumiennie wykonywał wszystkie rozkazy doktora, teraz jednak był u skrajności wytrzymałości.

- Uważa pan, że to dobry pomysł? - spytał.

- Żeby zapalić światło? - Jonathan skinął głową. - Jak najbardziej.

- A jeśli one nas zobaczą?

- Ghule? - Graves rozejrzał się ostentacyjnie wokoło. - A widzisz tu jakieś?

- Nie - wtrąciła się panna Preussler - ale one mogą widzieć nas.

Doktor pokręcił głową, uśmiechając się szyderczo.

- Wątpię. Proszę mi wierzyć, moja droga. Jeśli byłyby gdzieś w pobliżu, z pewnością nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. - Odwrócił się z powrotem do Toma i powiedział, tym razem już zniecierpliwiony: - Co się dzieje z tą lampą?

- Już, chwileczkę, doktorze. - Chłopak usiłował zapalić knot, ale jego ruchy były tak nerwowe, że o mało nie przewrócił lampy. Udało mu się dopiero za czwartym razem. Salę wypełniło białe światło, oślepiając ich przyzwyczajone już do zielonkawej poświaty oczy. Mogens raczej usłyszał, niż zobaczył, jak Graves przeszedł na drugi koniec pomieszczenia. Próbował mruganiem pozbyć się łez, które napłynęły mu do oczu przez zbyt ostre światło, to jednak nie pomogło, więc w końcu otarł je ręką. To również niewiele pomogło. Nawet gdy jego oczy zdążyły przyzwyczać się już do nowych warunków, wciąż nie widział wyraźnie. Światło i cień zbyt ze sobą kontrastowały, a wszystkie linie zdawały się mieć przesadnie ostre kontury. A może przyczyna tkwiła nie tyle w zawodnym ludzkim wzroku, co w tym pomieszczeniu?

Przypomniał sobie dziwne doznania z tunelu ze stopniami.

- Panno Preussler, gdzie są ci pani... więźniowie? - spytał Jonathan. Stał wyprostowany przy przeciwległej ścianie i zdawał się badać z wielkim zainteresowaniem coś, czego profesor nie mógł dojrzeć.

?

- Nie... nie jestem... pewna - odrzekła niezdecydowanie. Również ona mrugała oczami z powodu rażącego światła. - Wydaje mi się, że nie byłam... w tej części miasta.

- Może nawet nie w tym mieście? - Mówiąc to, Graves nadal przyglądał się ścianie, w końcu uniósł dłoń i opuszkami palców przejechał ostrożnie po szorstkim kamieniu. Zanim gospodyni zdążyła odpowiedzieć, skinął na wszystkich, by podeszli.

VanAndt niechętnie ruszył się spod drzwi. Dopiero gdy był dwa kroki od ściany, dostrzegł, że nie jest ona tak surowa, jak mu się zdawało. Na kamieniach były wyryte linie i kształty podobne do prymitywnych rysunków skalnych, jakie widział w grocie Dogonów, tyle że o wiele prostsze i bardziej niezdarne.

- Co o tym sądzisz? - zapytał doktor, choć widać było, że sam ma już własną hipotezę, a może nawet gotowe rozwiązanie zagadki.

- To naprawdę nie jest moja specjalność - mruknął Mogens wymijająco.

- Ale masz jeszcze dwoje oczu zdolnych do patrzenia, prawda? - Doktor nadal wodził po liniach i konturach palcem wskazującym. Również teraz Mogens miał nieprzyjemne wrażenie, że coś pulsuje pod czarną skórą jego rękawiczek. Lekkie, arytmiczne drgania, które zdawały się wprawiać w ruch wydrążone w kamieniu kreski.

Nagle profesor zrobił coś, na co jeszcze pół godziny temu nie starczyłoby mu odwagi. Stał tuż obok Gravesa, wyciągnął szybko rękę i chwycił go za przegub dłoni. Oczy Jonathana otworzyły się szeroko ze zdumienia. Instynktownie próbował wyswobodzić rękę, ale VanAndt trzymał go mocno.

- Nie uważasz, że najwyższa pora, żebyś nam powiedział, o co tu właściwie chodzi? - spytał Mogens. Rękę Gravesa

trzymał w taki sposób, że nie dotykał czarnej skóry rękawiczek, ale ostentacyjnie taksował je wzrokiem.

Doktor jeszcze raz spróbował wyszarpnąć rękę, ale gdy żelazny uścisk Mogensa na to nie pozwolił, w końcu skinął głową. Wówczas profesor puścił jego przegub i cofnął się o krok.

- Naprawdę nie wiesz? - spytał, kręcąc lekko głową Jonathan. - Dziwne, byłem pewien, że już dawno się domyśliłeś.

- Czego się miałem domyślić? Przestań w końcu mówić zagadkami. - Głos VanAndta był zmęczony, prawie zrezygnowany.

- Jak myślisz - ciągnął Graves - dlaczego cię tu sprowadziłem, Mogensie?

Profesor spojrział na niego, nic nie rozumiejąc, więc w końcu odparł:

- Ponieważ potrzebujesz mojej pomocy.

- Twojej pomocy, tak, oczywiście. - Z jakichś powodów odpowiedź ta zdawała się rozbawić Gravesa. - A przy czym? Przy odkopaniu liczącej sobie pięć tysięcy lat świątyni? Albo odszyfrowaniu pisma hieroglificznego na ścianach? - Roześmiał się nieprzyjemnie. - Nie miej mi tego za złe, Mogensie, ale do takich zadań istnieją lepiej wykwalifikowani specjaliści. Na przykład nasza biedna panna Hyams była koryfeuszem w tej dziedzinie, co zresztą sam zauważyłeś.

VanAndt spojrział na niego nienawistnie.

- Dlaczego więc?

- Ponieważ ty wierzysz, Mogensie - wyjaśnił Graves. - Ponieważ jesteś chyba jedyną znaną mi osobą, która wie, że wiara faraonów nie była stekiem głupich przesądów! Przekonałeś się o tym owej straszliwej nocy na cmentarzu, ale również wcześniej już o tym wiedziałeś. Wyczułem to

m

4'

w •fi E

r-

it

już przy naszym pierwszym spotkaniu. Dlatego właśnie zabiegałem o twoją przyjaźń.

- Szkoda, że nigdy nie udało ci się jej zaskarbić - mruknął profesor. To było żalosne. Sam usłyszał, jak głupio zabrzmiały jego słowa. Naprawdę nie zależało mu na przyjaźni człowieka, którym pogardzał, mimo to zabolalo go, że starania Jonathana od początku były czystą kalkulacją. Graves nie zadał sobie nawet trudu, by zareagować na tę uwagę.

- Zawsze czuleś, że jest coś jeszcze, prawda? - ciągnął. Zmieniła się barwa jego głosu, co zaniepokoiło Mogensa. Od takiego entuzjazmu do obsesji jest mniej niż krok.
 - Co... co masz na myśli?
 - Jak długo trwało państwo faraonów?! - wykrzyknął doktor i zaraz sam sobie odpowiedział. - Trzy tysiące lat? Cztery? Nikt tego nie wie dokładnie, ale ta kultura przetrwała dłużej niż jakkolwiek inna na świecie.
 - Do czego zmierzasz? - przerwał mu profesor podejrzliwie. Zaczął się już wszystkiego domyślać. A raczej wiedział już na pewno. Cały czas wiedział, jednak myśl ta była tak absurdalna, że nie pozwalał jej nabrać realnych kształtów.
 - Naprawdę myślisz, że przez tyle czasu tylu Egipcjan mogło się mylić? - Graves zaczął gestykulować w podnieceniu, ale VanAndt miał nieprzyjemne wrażenie, że to raczej jego dłonie same się poruszają, pociągając za sobą ręce. - To niemożliwe, Mogensie! To wynika z logiki. To, czego szukali, istnieje naprawdę.
 - O czym mówi ten szaleniec? - spytała panna Preussler wysoce zaniepokojona. - Czego szukali faraonowie?
- Jonathan nawet nie spojrział w jej kierunku, ale Mogens odpowiedział cicho:
- Nieśmiertelności, panno Preussler. Prawie wszystko, co robili starożytni Egipcjanie, było związane z dążeniem do nieśmiertelności. Do życia po śmierci.
- * m I—
.i;

? r

- Co za bzdury! - skomentowała.
- Doktor rzucił jej gniewne spojrzenie, ale w końcu ściągnął jedynie pogardliwie usta i ciągnął tym samym żarliwym tonem:
- Jestem przekonany, że mieli rację! Byli na dobrej drodze, ale stosowali niewłaściwe środki. VanAndt musiał dobrze przemyśleć swoje następne słowa. Iskry w oczach Gravesa migotały jeszcze żywiej, również ton jego głosu coraz bardziej niepokoił profesora. Jedno nieprzemyślane słowo mogło wystarczyć, żeby wywołać katastrofę.
 - Widziałem w swoim życiu niejedną mumię, Jonathanie - powiedział, świadomie zwracając się do niego po imieniu. - I wierz mi, żadna z nich nie nosiła znamion życia czy nieśmiertelności.
 - Ponieważ użyłeś niewłaściwych środków! - Doktor machnął niecierpliwie ręką. - Cel, który obrali, był dobry, ale droga zła. Bo skąd mogli o tym wiedzieć? Nawet ja zrozumiałem to dopiero po latach wypełnionych licznymi bolesnymi porażkami.
 - No tak, przecież dysponujesz o wiele większym doświadczeniem niż egipcscy arcykapłani, którzy mieli jedynie trzy tysiące lat na zajmowanie się tą kwestią - zadrwił Mogens.
 - To byli mimo wszystko prymitywni ludzie - stwierdził Graves. - Osiągnęli zadziwiająco wysoki poziom kultury, ale byli prymitywni. Próbowali rozwiązać problem naukowy przy pomocy zabobonów. Nie mogło im się udać.
 - Podczas gdy pan stara się rozgryźć zabobon metodami naukowymi - wtrąciła panna Preussler. - Jakież to oryginalne!
 - Trzy tysiące lat, Mogensie! - powiedział entuzjastycznie Jonathan, ignorując słowa gospodyni. - Naprawdę sądzisz, że podjęli się tego nadludzkiego wysiłku, nie posiadając nawet najmniejszych dowodów? - Potrząsnął zdecydowanie głową. - Z pewnością nie. Faraonowie wiedzieli, że ich bogowie istnieją!
 - Tak? - spytał profesor. - A skąd?
 - Ponieważ ich widzieli! - stwierdził Graves tryumfalnie. - Tak samo jak ja.
 - Jesteś szalony - wymamrotał Mogens.
 - Szalony? Tak?! - Na twarzy doktora nadal gościł niczym niezmacony uśmiech obłąkanego. -

A gdybym miał dowód?

- Dowód? - powtórzył VanAndt. - Jaki niby dowód?

- Długo to trwało - odparł Jonathan - o wiele za długo, ale w końcu to pojąłem. A wiesz gdzie? W jedynym na świecie miejscu, które jest do tego stworzone.

Wskazał energicznie ręką na Toma, który siedział w kucki przy ścianie. Był tak wyczerpany, że jedynie podniósł na niego zmęczony wzrok.

- Tom i ja byliśmy w Afryce. Staliśmy w cieniu Wielkiej Piramidy w Gizie, gdy wreszcie to sobie uświadomiłem.

- Co? - wrzucił ramionami Mogens. - Że postradałeś rozum? Dobry Boże, nie mów mi tylko, że przyszliśmy tu po to, by uwolnić cię od chorych wytworów wyobraźni.

- Że szukaliśmy w złym miejscu - kontynuował Graves. - To Syriusz, Mogensie. Wiedziałeś, że piramidy w Gizie są ustawione dokładnie według pozycji Syriusza?

- Nie - odparł profesor. - Wcale nie są. Nikt poważny nie uznaje tej teorii.

- Tak sądzą ci wszyscy ignoranci! - zapalił się doktor. - To prawda, Mogensie! Nie według pozycji dzisiejszego Syriusza, lecz według tej sprzed wielu tysięcy lat. Dlaczego Syriusza nazywa się również Psią Gwiazdą? Dogonowie zrozumieli to i starożytni Egipcjanie również. Ich bogowie nie byli wytworami chorej fantazji, lecz istniali naprawdę.

482 Byli żywymi istotami tak jak my, a przybyli z Syriusza.

Urwał wyczerpany. Jego wzrok był pełen oczekiwania, a potem gniewu, gdy nie doczekał się reakcji, jakiej oczekiwał.

- Nie wierzysz mi - zauważył jednak spokojnie.

- A dlaczego miałbym ci wierzyć? - prychnął VanAndt. - Jestem przecież tylko głupim ignorantem.

- Udowodnię ci to - powiedział Graves i zaczął powoli ściągać rękawiczki.

Panna Preussler krzyknęła przeraźliwie.

Jk

Jego, co ukazało się spod rękawiczek Jonathana, nie można było nazwać dłońmi. Nie było to nawet ludzkie ciało. Gdy Graves zsunął do końca czarną skórę, Mogens nie mógł wyjść ze zdziwienia, że intuicyjnie już dawno odkrył prawdę - były to pulsujące, luźno skręcone wiązki wijących się, bezokich robaków. Po chwili rozszczępiły się, wydając przy tym odrażający, chlupoczący dźwięk, i z przegubów doktora wyrastały już długie, giętkie pęki cienkich, niemal bezbarwnych nitek, które falowały miarowo jak białe wodorosty w wodach niewidzialnego oceanu. *

- Graves, dobry Boże! - jęknął Mogens. - Coś ty zrobił?

Panna Preussler wydała ponowny krzyk, który tym

razem bardziej przypominał skomlenie, i zakryła dłońmi usta. Nawet Tom przyglądał się tej scenie z przerażeniem, choć było widać, że on jeden znał tajemnicę Jonathana.

- Chciałeś dowodu, Mogensie - powiedział doktor. Podniósł ręce jak przekupka zachwalająca dwa bukiety szczególnie egzotycznych kwiatów, po czym podskoczył kilka razy w miejscu jak szalony. - Chciałeś dowodu? - zakrakał raz jeszcze. - Proszę bardzo! Czy to ci wystarczy?

- Tak - wymamrotał przerażony VanAndt. - Wystarczy.

- Och, rozumiem! - odparł Graves, chichocząc wariacko. - Uważasz, że jestem szalony, prawda? Myślisz, że postradałem rozum, tak? - Potrząsnął energicznie głową i ponownie zafalował mackami. Nagle obłęd zniknął bez śladu, jakby doktor zrzucił maskę. - Czy właśnie to chciałeś zobaczyć? - spytał chłodno.

Profesor nie zrozumiał do końca jego słów, a już na pewno nie był w stanie nic powiedzieć.

- Schowaj to - jęknął ze strachem. - Schowaj to, Jonathanie!

Graves wydał z siebie dziwny dźwięk, który chyba miał być śmiechem. Powoli opuścił ręce, zatrzymał swoje niby-dłonie na wysokości oczu i na jego twarzy pojawił się wyraz najwyższej koncentracji. W pierwszej chwili nic się nie zmieniło, potem jednak pozornie chaotyczne ruchy miotających się witek powoli zaczęły podlegać pewnemu schematowi. Stopniowo drgające macki znów zaczęły się splatać ze sobą, aż w końcu utworzyły coś na kształt zdeformowanej dłoni ludzkiej. Widok ten był jeszcze gorszy od poprzedniego. VanAndt mimo wszystko łatwiej zniósł

rozszczeplenie znanej formy niż diabelską karykaturę dłoni, która powstała teraz.

Jęknął i zamknął oczy, lecz i tak wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku.

- I to ma być twój dowód? - usłyszał swój własny głos. Zdziwił się, że był w stanie mówić. - Dowód na co? Że już dawno definitywnie oszalałeś?

- Potrafię zrozumieć twoją reakcję, Mogensie - odrzekł Jonathan spokojnie, tonem tak swobodnym i rozbawionym, że profesor mimowolnie otworzył oczy i spojrzał na niego.

Graves zdążył już założyć jedną z rękawiczek. Czarna skóra pulsowała i drgała, jakby jej zawartość próbowała rozpaczliwie wydostać się na zewnątrz. Teraz doktor był

- Tak - wymamrotał przerażony VanAndt. - Wystarczy.

- Och, rozumiem! - odparł Graves, chichocząc wariacko. - Uważasz, że jestem szalony, prawda? Myślisz, że postradałem rozum, tak? - Potrząsnął energicznie głową i ponownie zafalował mackami. Nagle obłęd zniknął bez śladu, jakby doktor zrzucił maskę. - Czy właśnie to chciałeś zobaczyć? - spytał chłodno.

Profesor nie zrozumiał do końca jego słów, a już na pewno nie był w stanie nic powiedzieć. »

- Schowaj to - jęknął ze strachem. - Schowaj to, Jonathanie!

Graves wydał z siebie dziwny dźwięk, który chyba miał być śmiechem. Powoli opuścił ręce, zatrzymał swoje niby-dłonie na wysokości oczu i na jego twarzy pojawił się wyraz najwyższej koncentracji. W pierwszej chwili nic się nie zmieniło, potem jednak pozornie chaotyczne ruchy miotających się witek powoli zaczęły podlegać pewnemu schematowi. Stopniowo drgające macki znów zaczęły się splatać ze sobą, aż w końcu utworzyły coś na kształt zdeformowanej dłoni ludzkiej. Widok ten był jeszcze gorszy od poprzedniego. VanAndt mimo wszystko łatwiej zniósł rozszczeplenie znanej formy niż diabelską karykaturę dłoni, która powstała teraz.

Jęknął i zamknął oczy, lecz i tak wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku.

- I to ma być twój dowód? - usłyszał swój własny głos. Zdziwił się, że był w stanie mówić. - Dowód na co? Że już dawno definitywnie oszalałeś?

- Potrafię zrozumieć twoją reakcję, Mogensie - odrzekł Jonathan spokojnie, tonem tak swobodnym i rozbawionym, że profesor mimowolnie otworzył oczy i spojrzał na niego.

Graves zdążył już założyć jedną z rękawiczek. Czarna skóra pulsowała i drgała, jakby jej zawartość próbowała 45 4 rozpaczliwie wydostać się na zewnątrz. Teraz doktor był zajęty naciąganiem drugiej rękawiczki. Uśmiechał się, ale VanAndt zauważył, że jest bardzo skupiony, a na czole wystąpiły mu krople potu. Cokolwiek robił w tej chwili, wymagało to od niego dużego wysiłku.

- Ja prawdopodobnie też przestraszyłbym się na śmierć, gdybym bez przygotowania został skonfrontowany z podobnym widokiem - ciągnął. - Na szczęście miałem pewien... okres przejściowy, by przyzwyczać się do niego.

- Więc to jest twój dowód - powtórzył profesor raz jeszcze. Ku własnemu zaskoczeniu udało mu się opanować.

- Jak najbardziej - przytaknął Graves. Naciągnął do końca drugą rękawiczkę. Spojrzał badawczo na dłonie, by się upewnić, czy obydwie rękawiczki są dobrze założone, po czym zwrócił się do panny Preussler: - Proszę mi wybaczyć, moja droga. Chętnie oszczędziłbym pani tego przedstawienia, ale obawiam się, że nie mamy już czasu na dłuższe wyjaśnienia. Odpowiadając na twoje pytanie, Mogensie, spodziewałem się po tobie, jako po naukowcu, większego spokoju.

- Spokoju? - sapnął VanAndt. - Wobec czegoś takiego?

- Powinieneś wiedzieć, że również chybiony krok jak najbardziej może być uznany za dowód - odparł doktor. - To, co przydarzyło mi się wówczas, było straszliwym wypadkiem. W dodatku wypadkiem z własnej winy, spowodowanym przez niecierpliwość i zachłanność. Jeśli istnieje jakiegokolwiek usprawiedliwienie, wiedz, że byłem młody, niedoświadczony i niecierpliwy. - Uniósł demonstracyjnie dłonie. Chociaż tkwiły już z powrotem w rękawiczkach, profesor musiał się powstrzymać, by nie krzyknąć z przerażenia. - Ale zapłaciłem za swoją głupotę, Mogensie.

Eksperymentowałem z rzeczami, o których nie miałem pojęcia.

0 mały włos nie straciłem życia, ale cena, jaką zapłaciłem,

1 tak jest bardzo wysoka. Jednak mam niezbyty dowód na to, że byłem na dobrej drodze.

" - A

■ Mi;

■ «k' •• . »

- By stracić również resztę ciała? - wzruszył ramionami VanAndt.

- A czyja coś straciłem? - Graves spojrzął na niego ironicznie. - Nadal mam dłonie, tylko trochę... inne. - Zacisnął w pięść najpierw prawą, potem lewą, otworzył je gwałtownie i zaczął szybko poruszać palcami, jakby grał na niewidzialnym fortepianie. - Widzisz? Nie są ciałem obcym. Nadal są mi posłuszne. Mogę wręcz robić rzeczy, które wcześniej były niemożliwe. Moje ciało nie zmieniło się. Rozumiem dobrze, że takie dłonie cię przerażają, ale ja się ich nie boję. Są dziesięć razy silniejsze niż twoje czy czy-jekolwiek inne. Ponadto nie da się ich zranić. Mam w nich czucie i odczuwam ból jak każdy, ale mogę je wsadzić do wrzącej wody, dotknąć nimi rozżarzonych węgli, a każda rana goi się w ciągu kilku godzin lub dni.

- I... i to jest ta pana... nieśmiertelność? - wyszeptwała panna Preussler. Głos drżał jej z przerażenia.

Jonathan potrząsnął energicznie głową.

- Nie rozumie pani! To był błąd! Obrąłem złą drogę, tak samo jak starożytni Egipcjanie, ale ja w porę to zrozumiałem. Ta droga - wyciągnął w stronę gospodyni rozczapierzone palce - jest zła. Z pewnością nie jest przeznaczona dla ludzi. Ale wskazała mi drogę słuszną. Teraz jesteśmy blisko celu.

- Jakiego znów celu? - spytał profesor.

- Niewiele dzieli nas od tych, którzy przynieśli na ziemię nieśmiertelność. Od bogów starożytnego Egiptu.

Mogens zobaczył kątem oka, że panna Preussler zbiera się do ostrej odpowiedzi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - uprzedził ją.

- Tej nocy otwiera się brama do gwiazd - oznajmił doktor. - Teraz, dzisiaj. Już się otworzyła.

- Brama do gwiazd - powtórzył VanAndt. Starał się, by zabrzmiało to jak pytanie, ale nie zdołał ukryć złośliwości i twarz Gravesa wykrzywiła się w gniewnym grymasie.

- Jak myślisz, co robiłem przez ostatnie dziesięć lat, głupcze? - warknął. - Szukałem na całym świecie dowodów na moją teorię i w końcu je znalazłem. Są wszędzie! Trzeba tylko otworzyć oczy. Przodkowie Dogonów byli tutaj i nadal są. Tylko gdy gwiazdy są ułożone w tej szczególnej konfiguracji, otwiera się brama do ich ojczyzny i przychodzą tu, by sprawdzić, jak radzą sobie ich dzieci. Spotkamy ich, Mogensie! Nie rozumiesz? Staniemy twarzą w twarz z bogami z gwiazd. Spojrzymy w oczy historii!

Zamilkł i opuścił ręce wyczerpany. Iskry obłędu w jego oczach przygasły, ale nie znikły całkiem. Z czoła i skroni spływał mu pot. Wyraźnie czekał, aż VanAndt odpowie, ten jednak milczał.

Cóż miał powiedzieć?

- I dlatego przyprowadził nas pan tutaj? - wymamrotała panna Preussler wstrząśnięta. -

Naprawdę zrobił pan to wszystko, ponieważ liczy pan na spotkanie z jakimiś... bożkami z gwiazd?

- Nie oczekiwałem, że pani mnie zrozumie - odparł Graves zimno. - Ponadto ostrzegąłem panią przed tą wyprawą.

Mogens powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Teraz nie miał już ani cienia wątpliwości, że Graves wpadł w obłęd, w dodatku szczególnie zdradliwy i niebezpieczny rodzaj obłędu, który czał się pod przykrywką pozornie rozsądnego zachowania i przekonujących wypowiedzi. Nie zmieniało to jednak faktu, że byli w ogromnym niebezpieczeństwie.

- Na pewno tutaj i dzisiaj? Jesteś pewien? - upewnił się.

Jonathan skinął głową.

- Tego, że stanie się to dzisiaj, byłem pewny już od dawna. Moje wyliczenia są prawidłowe. Natomiast, że tutaj... -wzruszył ramionami - ...szczerze mówiąc, do niedawna jeszcze nie byłem pewien. Ale teraz, gdy znaleźliśmy to... tak. Teraz jestem pewien.

Odwrócił się nagle i skinął na profesora.

- Chodź, zobacz!

VanAndt ogarnięty złym przeczuciem usłuchał niechętnie. Graves zaczął coraz energiczniej gestykulować, drugą ręką wskazując w podnieceniu kamienny mur.

- Popatrz tutaj! I tutaj! - Przy każdym słowie jego palec jak sztylet dźgał ścianę, gdzie spotykały się lub krzyżowały dziwaczne wzory. - Nie widzisz?

Profesor niczego nie dostrzegał. Linie, które dla doktora zdawały się mieć tak kolosalne znaczenie, dla niego były jedynie gryzmołami. Pokręcił głową bez słowa.'

- Nie widzisz, Mogensie? - nie dowierzał Graves. - Więc miałaś rację, jesteś ignorantem.

- Jestem przede wszystkim archeologiem, Jonathanie - odparł VanAndt najspokojniej, jak potrafił. - Ale jeśli chcesz usłyszeć moje prywatne zdanie, to te bazgroły nic nie znaczą.

Jego odpowiedź raczej rozbawiła Gravesa, niż rozzłościła.

- Skoro tak, to pokażę ci coś, co cię naprawdę przekona. Swoją drogą mógłbyś coś zrobić w zamian za zawrotne honorarium, jakie ci płacę.

- A co miałyby to być?

Jonathan wyszczerzył nagle zęby w szerokim uśmiechu.

- Już zapomniałeś, dlaczego tu przyszliśmy? Sądzę, że twoja kochana przyjaciółka, panna Preussler, nadal pragnie grać bohaterkę i uwolnić biednych jeńców. Moje pla-ny wyglądają trochę inaczej. Nie martw się, nie będę już długo potrzebował twojej pomocy. Nie będę też od ciebie wymagał, byś narażał swoje cenne ciało i nieśmiertelną duszę. Oczekuję, że będę mógł jeszcze raz lub dwa wykorzystać twoje zdolności. Co zrobisz później, to już nie a-SS moja sprawa. - Odwrócił się ostentacyjnie i skierował do drzwi. - Jeśli o mnie chodzi, jestem umówiony na spotkanie z bogami.

Jeśli w ogóle istniała sytuacja, do której Mogens mógłby porównać swoje położenie, to czuł się jak szczur w labiryncie podczas eksperymentu obłąkanego naukowca. Już dawno przestał liczyć, ile razy znaleźli się w ślepej uliczce, ile razy dotarli do przepaści, ile murów nagle przed nimi wyrosło i ile razy zawracali z drogi, którą wcześniej pokonali z wielkim trudem. Nie był nawet pewien, czy rzeczywiście zbliżali się do celu, czy może od niego oddalali.

Było mu to obojętne. Logiczna część jego umysłu już dawno zarzuciła chęć doszukania się w tym podziemnym labiryncie jakiegoś systemu. Profesor nie byłby nawet zdziwiony, gdyby się okazało, że otoczenie przechodzi metamorfozę, ledwie je miną. Miał wrażenie, że błądzą w skamieniałych arteriach olbrzymiego podziemnego stworzenia pogrążonego we śnie od milionów lat.

Nie zagubił się przynajmniej w czasie - dzięki zegarkowi kieszonkowemu, na który co jakiś czas spoglądał. Było po drugiej w nocy, co oznaczało, że upłynęła ponad godzina od momentu, gdy przeszli przez bramę w komnacie, choć zmęczenie podpowiadało mu, że znacznie więcej. Jedna z ran na piersi VanAndta znów się otworzyła, koszula i spodnie były po prawej stronie mokre i ciężkie od krwi, a gdy przystawał na chwilę, zostawiał za sobą czerwone ślady.

Panna Preussler już dwa razy zwróciła mu na to uwagę, ale on zbywał ją zdawkową odpowiedzią. Nagle Graves zatrzymał się i rozejrzał dokoła ostrożnie, ale też ze złością - już nie pierwszy raz tej nocy. Również

Mogens przystanął, choć od doktora dzieliło go dobrych dziesięć kroków. Jeśli jednak miałyby się okazać, że znów trafili na ślepy zaułek i muszą zawrócić, przynajmniej oszczędziłby sobie nieco wysiłku.

Mogens przestraszył się własnych myśli. Skoro już teraz zaczął liczyć każdy krok, to co będzie za godzinę czy dwie?

- Żle się pan czuje, profesorze?

Nawet głos panny Preussler potrzebował chwili, by przebić się przez mgłę wyczerpania i strachu. Powolnym ruchem odwrócił się do niej i potrząsnął głową, a nawet zmusił usta do uśmiechu. Gdy spojrzął jednak na wyraz twarzy gospodyni, uświadomił sobie, że jego uśmiech był raczej grymasem bólu.

- Proszę się nie martwić, jakoś wytrzymam.

- Oczywiście, że pan wytrzyma - powiedziała gospodyni, grożąc mu palcem. - Należy pan do ludzi, którzy zawsze twierdzą, że mają się dobrze, nawet gdyby pływali na środku oceanu bez koła

ratunkowego z kamieniem uwiązany do nóg. Dlaczego wy, młodzi ludzi, musicie zawsze mylić odwagę z głupotą? Przecież to nie hańba przyznać się, że się człowiek źle czuje.

- Nie jestem już taki młody, panno Preussler - zauważył Mogens delikatnie.

- W porównaniu ze mną, owszem - odparła.

Mogens zbliżał się powoli do czterdziestki, ale zrezygnował z podkreślania tego faktu, ponieważ ona i tak o tym wiedziała. Wzruszył tylko ostrożnie ramionami i poratował się, tym razem świadomie, nieco skrzywionym uśmiechem.

- Ma pani rację - przyznał. - Bywało lepiej.

- Rana znów się otworzyła - stwierdziła panna Preussler. - Proszę pokazać - zażądała.

sr

Z ociąganiem zaczął ściągać kurtkę, podczas gdy Graves i Tom dyskutowali o czymś, żywo gestykulując.

Kurtka była już ciężka od krwi. Położył ją ostrożnie na kamieniu obok, zdjął koszulę i zacisnął zęby, gdy panna Preussler, nie pytając nawet o pozwolenie, zaczęła bez ceregieli odwijać bandaż.

- Bardzo źle to wygląda? - spytał, gdy skończyła i rzuciła nasączoną krwią szmatę na ziemię.

- Gdybyśmy byli teraz w domu, powiedziałabym, że nie - odparła, ale mimo wszystko pokręciła głową i dodała z uśmiechem: - Poradzimy sobie.

- Aż tak jest źle?

- Nie wiem, kto zakładał ten bandaż, ale najwyraźniej nie miał pojęcia, jak to się robi - powiedziała.

- Wydaje mi się, że Tom.

- Cóż, na pewno chęci miał dobre... Rana nie wygląda groźnie. Potrzebuję tylko czegoś, żeby ją sensownie zabandażować. - Zastanawiała się przez chwilę, po czym kucnęła i oderwała szeroki na dłoń pas materiału z dołu sukni.

- Może powinniśmy spytać Toma - zaproponował Mogens. - Na pewno ma bandaże w swoim plecaku.

- Tak, na pewno. - Panna Preussler wstała, sapiąc. - Ręce w górę i proszę zacisnąć zęby. Może zboleć.

Rzeczywiście zabolalo, ale był to ból, który choć w pierwszym momencie wycisnął mu łzy z oczu, równocześnie zwiastował ukojenie. Gospodyni zacisnęła bandaż, aż prawie zaparło mu dech w piersiach. Jednak choć nowy pas materiału momentalnie zabarwił się na ciemno, VanAndt czuł, że krwawienie stopniowo ustępuje.

- No, kilka godzin snu, porządny posiłek i odzyska pan dawne siły.

- Co, u diabła, się tam dzieje? - usłyszeli głos Gravesa.

- Panna Preussler zmieniała mi opatrunek - odparł Mogens, odwracając się z trudem w stronę Jonathana.

- Ale po co? Idziemy na pokaz mody? Profesor powstrzymał się od ostrej odpowiedzi, którą miał na końcu języka i sięgnął po kurtkę. Przyszło mu to z niejakim trudem, ale i tak ubrał się dużo wolniej, niż było to konieczne - z czystej radości, że zdenerwuje tym Gravesa. Choć było to dziecinne, poprawiło VanAndtowi humor.

- Dokąd idziemy? - spytał, próbując z zaciśniętymi zębami wcisnąć ramię w rękaw, tak by rana nie otworzyła się ponownie. - Znowu z powrotem?

- Tom znalazł przejście - odparł doktor z mściwą satysfakcją. - Wygląda na to, że tędy prowadzi dalsza droga.

Wydawało się, że chce dodać coś jeszcze, ale zmarszczył tylko czoło i popatrzył z dezaprobatą na leżący na ziemi zakrwawiony bandaż.

- Uważasz, że to dobry pomysł? Ten zapach może zwabić ghule.

„Gdyby były gdzieś w pobliżu - pomyślał Mogens - już dawno by się tu zjawiły”.

- One są padlinożercami, Jonathanie. Nie sądzę, żeby zapach krwi mógł je zwabić - powiedział profesor.

- Jak mówiłeś? Jaka jest twoja specjalność? - spytał Graves, na próżno próbując wepchnąć nogą materiał pod kamienie. - Archeologia? Poprzestań więc na komentowaniu wykopalisk. Mogens nie powiedział nic, chociaż miał ochotę zrobić uszczypliwą uwagę. Panna Preussler również milczała i też przychodziło jej to z wielkim trudem. Od straszliwego przedstawienia, jakie zaserwował im Jonathan, nie zamieniła z nim ani słowa. Mogens pożałował, że nie obrał podobnej strategii.

- Idziemy! - Graves obrócił się na pięcie i ruszył tak „,4,92 szybko, że VanAndt z trudem mógł go dogonić. Tom czekał

' S

■ i U

już na końcu wąskiego zaułka ograniczonego z obydwu stron czarnymi pionowymi ścianami. Profesor na próżno wypatrywał drzwi czy innego przejścia. Dopiero gdy dotarli niemal do końca uliczki, nagle pojawił się przed nimi otwór wysoki na pięć stóp. Za nim widać było białe, łagodne światło lampy Toma.

Zaskoczony Mogens cofnął się o krok, a wówczas otwór zniknął. Gdy pochylił się znów do przodu, przejście znów było widoczne. Kolejna zagadka nie do rozwiązania. Lecz to, co zobaczył za tym osobliwym przejściem, było już raczej cudem niż zagadką.

Pierwszą niespodziankę stanowiło samo wejście. Patrząc od zewnątrz, było zupełnie zwyczajne, prostokątne. Jednak wystarczyło je przekroczyć, by znaleźć się w innym świecie i innym czasie.

- Zdumiewające, prawda? - spytał Graves. - Najwyraźniej powoli zbliżamy się do celu. „Zdumiewające” nie było według VanAndta odpowiednim słowem. To, co zobaczył, określiłby raczej jako niepokojące. Sala była dużo większa, niż się spodziewał, a dwie z czterech ścian pokrywały staroegipskie malowidła i błyszczące hieroglify

- Czyż to wszystko nie jest fantastyczne? - Jonathan rozłożył szeroko ręce. - Mam nadzieję, że wynagrodzę ci tym to i owo. Większość twoich kolegów dałaby sobie ręce pociąć, by móc spojrzeć na to choć raz.

Profesor spojrział przelotnie na czarne rękawiczki doktora. Milczał. Coś z tą komnatą było nie tak, chociaż nie potrafił powiedzieć co. Przeszedł kilka kroków, mijając Gravesa, zatrzymał się i ponownie rozejrzał uważnie dokoła. Sala mierzyła po przekątnej jakieś dwadzieścia metrów i na pierwszy rzut oka wydawała się kwadratowa, chociaż żaden z kątów nie był prosty. Sufit był zawieszony tak nisko, że Jonathan stał przygarbiony, jak więc poruszały tu ghule sporo wyższe od Gravesa? Gdy podniósł wzrok, znalazł odpowiedź. Malowidła na stropie w wielu miejscach były brudne i wytarte, a gdzieś tam nawet odpadała farba. Z pewnością niejedynemu ghuł uderzył się tu w głowę.

Do tylnej części komnaty światło lampy nie docierało, mimo to Mogensowi wydawało się, że widzi kontury szerokich, kamiennych schodów prowadzących w dół. Delikatny morski zapach, na który prawie przestali zwracać uwagę, ponieważ stale im towarzyszył, tutaj był o wiele intensywniejszy, powietrze natomiast stało się wyraźnie chłodniejsze. Tuż obok profesora widniał na ziemi duży, prostokątny odcisk, być może ślad po stojącym tu kiedyś ołtarzu.

- I co, Mogensie? - spytał Graves lekko gderliwym tonem, najwyraźniej niezadowolony, że ten nie pochwalił jego odkrycia. - Co powiesz?

VanAndt milczał. Podeszedłszy do ściany, powiódł uważnie wzrokiem po malowidłach i napisach. Wówczas zrozumiał. Nie była to sztuka starożytnego Egiptu, wyglądała bardzo podobnie, ale nią nie była. Rysunki nie pochodziły z królestwa faraonów, a pismo obrazkowe nie było tak naprawdę hieroglifami. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby ktoś próbował - nawet z talentem, ale niezbyt fachowo - stworzyć imitację.

- Co tam jest napisane? - spytał Jonathan podniecony. -Przetłumacz, Mogensie!

- Obawiam się, że nie potrafię - pokręcił głową profesor.

- Co to ma znaczyć, że nie potrafisz?! - warknął doktor. - No to po co, do diabła, zabrałem cię ze sobą?

- Żeby przetłumaczyć starożytne pismo - odpowiedział VanAndt spokojnie. - Ale to nie są hieroglify. Tylko trochę je przypominają.

Graves wpadł w gniew.

- Co za bzdury? - Zaczął wymachiwać rękami w stronę ściany - Przecież to są...
- ...symbole pisma bardzo podobnego do egipskich hieroglifów - przerwał mu Mogens cicho, ale tak stanowczo, że doktor nie odważył się wejść mu w słowo, lecz patrzył na niego zdumiony i trochę wystraszone.

- Nie wiem, kto stworzył to pismo - ciągnął profesor. - Jeśli interesuje cię moje pierwsze wrażenie, powiedziałbym, że napisał je ktoś, kto starał się imitować hieroglify, ale nie potrafił ich odczytać. - Wzruszył smutno ramionami. - Mniej więcej jak analfabeta, który kopiuje na chybił trafił litery ze słownika, a potem dziwi się, że słowa nie mają sensu.

Doktor przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu, potem na zamyślonego.

- Uważasz, że ktoś próbował pisać hieroglify, nie potrafiąc ich odczytać?

- Właśnie tak - potwierdził Mogens.

- A jeśli było dokładnie odwrotnie? - spytał Graves. - Jeśli to jest oryginał?

VanAndt wpatrywał się w niego zdumiony. Ta myśl była absurdalna, a zarazem tak przemawiająca do wyobraźni, że zaczął się zastanawiać, dlaczego sam na nią nie wpadł. Jeśli był pewien czegokolwiek, co wiązało się z tym pismem, to tylko tego, że jest niewyobrażalnie stare. Choć było niezniszczone, z intensywnymi i błyszczącymi kolorami, jakby farba została dopiero co nałożona na kamienne ściany, jednak Mogens czuł niemal namacalnie tysiące lat, które te rysunki miały za sobą. Za nimi rozległ się hałas, po czym z czeluści dobiegł ich zniekształcony głos Toma:

- Doktorze! Profesorze!

Błyskawicznie znaleźli się przy schodach. VanAndt przezornie puścił Gravesa przodem, ponieważ ów sprawiał wrażenie, jakby chciał go stratować.

Kilkanaście stopni, wijąc się, wiodło stromo w dół, tak że nawet w normalnych okolicznościach i przy jasnym świetle Mogens miałby opory, by postawić na nich choć stopę. Jednak doktor zbiegł po nich w mgnieniu oka, a profesor znacznie ostrożniej ruszył za nim. Wpadli na siebie na dole, gdzie Jonathan gwałtownie się zatrzymał. VanAndt już miał przeprosić go za niezręczność, ale... Słowa dosłownie uwięzły mu w gardle. Pomieszczenie, do którego prowadziły schody, było olbrzymią naturalną grota. Z wypukłego sklepienia sterczały dziwaczne wapienne nawisy, gdzieś kapłała woda. Ziemia też nie była gładka, lecz pokryta rysami i rowkami. Wszystkiemu temu Mogens poświęcił jednak tylko rzut oka. Potem jego wzrok utkwiał na dobre w czarnych falach wąskiego kanału dzielącego grota na dwie części.

Była tam łódź. Wąska rufa i cienki dziób wyginały się do góry, przez co przypominała prostą łódź trzcinową, jakie jeszcze po dziś dzień pływają na niektórych rzekach Afryki Północnej. Zrobiona była z błyszczącego, hebanowego drewna, mierzyła około siedmiu metrów długości, a jej wygięte końce zdobiły złote okucia. Na środku artystycznie ociosane słupy podtrzymywały ogromny, kunsztownie pomalowany baldachim, pod którym stał czarny kamienny blok, na nim zaś wygrawerowana była dziwaczna postać.

Sarkofag! A łódź, na której go złożono, mogła być tylko egipską barką pogrzebową.

Mogens uświadomił sobie, że być może jest pierwszym człowiekiem od tysięcy lat, który widzi to чудо na własne oczy - nie rysunek w książce czy kopię w muzeum, lecz oryginał, który zapewne od wieków spoczywa tu na wodach kanału. Zresztą łódź nie wyglądała dokładnie tak, jak ją pamiętał z książek. Niektóre szczegóły się różniły. Ta była większa niż znane mu rekonstrukcje, całość sprawiała bardziej eleganckie wrażenie, ale jednocześnie wydawała się

%,.. f > , 1PRPP ■

<§gs" ,fcj -l,-,lii- .<• 11 >£ *>; uM

! ■ *

ociężała. I czegoś brakowało. Dopiero po kilku sekundach profesor zorientował się, o co chodziło.

- Załoga - wymamrotał.

Graves spojrzął na niego bez zrozumienia.

- Na dziobie i rufie powinny stać ludzkiej wielkości posągi Anubisa - wyjaśnił VanAndt. -

Jeden przy sterze, drugi jako nawigator na dziobie. Ale może na łodzi nie pływają posągi, lecz... -

„Lecz ich pierwowzory”, chciał powiedzieć, ale nie dokończył zdania.

W końcu otrząsnął się z odrętwienia. Minał Jonathana i z bijącym sercem stanął na brzegu wąskiego kanału. Nadal był przejęty czią, ale równocześnie czuł, że z łodzią było coś nie tak, podobnie jak z malowidłami i napisami w poprzedniej sali. Wyglądała tylko na kopię czegoś, co znał.

- Może to właśnie jest oryginał, na wzór którego zostały wykonane wszystkie kopie - zastanowił się znów Graves, zupełnie jakby czytał w jego myślach.

- Lepiej dla nas, żeby tak nie było - powiedział Tom. Podszedł do kanału i przystanął kilka kroków od brzegu. W skupieniu patrzył na sarkofag. Wyraz twarzy chłopaka nie spodobał się profesorowi.

- Co masz na myśli? - spytał. - Dlaczego...?

Urwał w pół zdania, gdy znalazł się obok Toma i spojrzął na matową powierzchnię czarnego sarkofagu.

Wizerunek na sarkofagu przedstawiał leżącą postać wysokiego, muskularnego mężczyzny w królewskim stroju. Pasiasta szata sięgała mu do kolan, na stopach miał sandały sznurowane aż po łydkę, przepasany był kunsztownym, zdobionym złotem pasem. W skrzyżowanych na piersi rękach trzymał coś w rodzaju berła.

Lecz jeśli podobizna rzeczywiście przedstawiała głowę istoty złożonej wewnątrz sarkofagu, a nie jedynie dziwaczną maskę, z pewnością nie było to stworzenie, które kiedykolwiek stąpało po ziemi. Głowa była o wiele większa od ludzkiej i wyrastała prosto z ramion. W miejscu twarzy widniała łuskowata powierzchnia, na której rysowały się wąziutkie szczeliny w miejscu ust i nosa. Oczy natomiast stwór miał ogromne, tępo utkwione w dal. Krótki, mocny papuzi dziób odbierał mu resztki podobieństwa do człowieka. Zamiast włosów na czubku czaszki wyrastał płetwowy grzebień, który zniknął na karku. Szyję spowijała kosmata broda, nie składała się jednak z włosów, lecz z płataniny długich na palec, mięsistych czulków.

- Co... co to... jest? - zaskrzeczał Graves. ,

Mogens nie odpowiedział, lecz oderwał wzrok od strasznej twarzy i spojrzął raz jeszcze na dłonie, w których tkwiło berło. Zauważył tylko cztery palce, między którymi rozciągała się błona pławna.

- Kto wie - powiedział cicho zachrypniętym głosem, na próżno starając się, by zabrzmiało to sarkastycznie. - Może oryginał, na wzór którego zostali stworzeni starożytni Egipcjanie.

- To nie jest śmieszne - odparł doktor.

I wcale nie miało takie być. Profesor sam wystraszył się własnych słów.

- Mam nadzieję, że to nie bogowie, z którymi się umówiłeś, Jonathanie - powiedział.

Graves wciągnął głośno powietrze, ale w tym samym momencie dotarł do nich z góry głos gospodyni:

- Profesorze? Tom? Wszystko w porządku?

- Oczywiście! - zawołał pospiesznie Mogens. - Proszę zostać na górze, panno Preussler, schody są dość niebezpieczne. Tom odkrył tylko kanał, zaraz wracamy.

Jonathan rzucił mu szybkie, pełne wdzięczności spojrzenie. Choć z zupełnie różnych powodów, obydwóm zależało na tym, by panna Preussler nie zeszła na dół i nie zobaczyła wizerunku niepokojącego bóstwa.

ftSa

n!

'a'- Su

. ** . -

- Zastanawiam się, dokąd prowadzi ten kanał - wymamrotał Tom. Kucnął zadumany i włożył lewą rękę do wody, a prawą przytrzymał się łodzi, by nie stracić równowagi. VanAndt zaniepokoił się, gdy to zobaczył, ale nic nie powiedział.

Chłopak zanurzył dłoń, po czym ostrożnie dotknął językiem czubków palców. To wzbudziło jeszcze większe obawy profesora.

- Słona. To woda morska. - Tom wytarł rękę o spodnie. - Kanał musi być połączony z morzem.

- Tutaj? - spytał Mogens z powątpiewaniem. - Tak daleko od morza?
- Do morza nie jest wcale tak daleko - zauważył Graves. - W linii prostej... - Zastanawiał się przez chwilę. - Dwie, może trzy mile, nie więcej. Droga, którą przyjechaliście, prowadzi spory kawałek wzdłuż wybrzeża. Nie zauważa się tego, bo od morza oddzielają ją wzgórza. W pamięci profesora nagle odżyły strzępy wspomnienia związane z morzem, ale zaraz ulotniły się, nim przybrały realniejsze kształty. Nie było to jednak miłe wspomnienie, co wcale nie zdziwiło Mogensa. Z chwilą zejścia w podziemia znaleźli się w świecie, w którym mogli spotkać jedynie grozę i niepokój.
- Co tam jest w wodzie? - Jonathan wskazał na prawie nieruchomą taflę za łodzią. Coś pływało po powierzchni i trochę poniżej, jakby trupie włosy. Tom chciał to sprawdzić, ale doktor go powstrzymał. - Wodorosty - powiedział. - Kanał rzeczywiście musi być połączony z morzem. Chodźmy, nie każmy dłużej czekać naszej kochanej pannie Preussler. Skierował się szybkim krokiem w stronę schodów. Mogens ostatni raz obrzucił spojrzeniem odrażającą postać na sarkofagu. Wciąż był śmiertelnie przerażony jej widokiem, ale równocześnie wkradła się w jego serce niezdrowa

vfl

W

•■li • J

¿V.A.

■ i -i „, in &i&ili; >'■'!-

wręcz ciekawość, co zobaczyliby, gdyby podnieśli wieko czarnej skrzyni. Wyglądało na ciężkie, ale we trzech daliby radę.

Odegnął tę myśl przestraszony i dołączył do Gravesa.

Gospodyni czekała na nich mocno zniecierpliwiona. Już sam wyraz jej twarzy uświadomił Mogensowi, że nie wierzy, jakoby na dole nie znaleźli nic nadzwyczajnego. Doktora, który dotarł na górę pierwszy, nie zaszczyciła nawet spojrzeniem. *

- A więc? - spytała VanAndta.

- Woda - odparł. - Tom odkrył kanał. Ale nie jest to woda pitna.

- Co my tu w takim razie jeszcze robimy?

Graves gniewnym ruchem skinął na profesora.

- Spójrzmy jeszcze raz na te rysunki. Rzuciło mi się w oczy coś jeszcze. Chodź. - Przebiegł niecierpliwie wzrokiem po malowidłach i wskazał palcem miejsce w dolnej części obrazu. - Tam. Widzisz?

Mogens od razu zorientował się, co Jonathan miał na myśli. Nieznany artysta namalował tu kanał i pływającą po nim barkę pogrzebową. Perspektywa była co prawda zupełnie fałszywa, ale można było doszukać się również pomieszczenia, w którym stali. VanAndtowi przez moment zdawało się, że widzi nawet cztery postacie stojące przed ścianą, na której widać było namalowaną barkę pogrzebową i cztery jeszcze mniejsze postaci, które stały przed malowaną ścianą, na której... ale oczywiście to musiało być tylko urojenie. W pierwszej chwili niemal roześmiał się z psikusa, jakiego splatała mu własna wyobraźnia, ale zaraz niepokój wrócił. Musiał uważać, by samemu dla siebie nie stać się największym zagrożeniem.

- To może być coś w rodzaju mapy - powiedział Graves.

500

0v V

Tgy" U ' ■ -JJ. -

- Możliwe - kiwnął głową Mogens. Gdy zaczął sobie przypominać drogę, którą przebyli, rozpoznał nawet niektóre budynki i ulice, jakie minęli po drodze. Zauważył coś jeszcze. Na początku było to jedynie przecucie, tym bardziej mgliste, im usilniej próbował je sprecyzować. A jednak im dłużej patrzył na malowidła, tym bardziej znajome

wydawały mu się symbole i rysunki. Nadal jeszcze nie tworzyły żadnego sensu, ale profesor nagle nabral pewności, że zdołałby je odszyfrować, gdyby miał na to trochę czasu.

- Odkryłeś coś? - spytał doktor. VanAndt musiał przyznać z niechęcią, że Jonathan był świetnym obserwatorem. Skinął głową niezdecydowanie.

- Nie jestem pewien - mruknął wymijająco. - Ale możliwe, że mógłbym odszyfrować niektóre z tych hieroglifów.

- Na co więc czekasz?

- To nie jest takie proste... - zaczął profesor. Graves chciał mu ostro przerwać, ale Mogens podjął rzeczowym, nieznoszącym sprzeciwu tonem: - To nie jest zwyczajny starożytny dialekt, który można by po prostu przetłumaczyć. Nie jestem nawet pewien, czy mam rację. Dostrzegam pewne podobieństwo do pisma hieroglificznego Egipcjan, ale to jeszcze nie musi niczego oznaczać. Nawet hieroglify do tej pory zostały rozszyfrowane tylko w niewielkiej części.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć? - spytał z niepokojem Jonathan.

- W normalnych okolicznościach potrzebowalibyśmy miesięcy na wysunięcie pierwszych ostrożnych tez.

- Niestety okoliczności nie są normalne.

- Właśnie! W takim razie nic w tym chyba dziwnego, że potrzebuję choć kilku minut. -

VanAndt niecierpliwie machnął ręką. - Dlaczego Tom i ty nie postudiujecie trochę mapy? Jeśli rzeczywiście jest to mapa, byłoby to korzystne.

Graves był najwyraźniej zbyt zaskoczony jego energią, aby się sprzeciwiać. W każdym razie spojrział na niego zdumiony, wzruszył ramionami i odwrócił się ostentacyjnie, by spełnić żądanie Mogensa.

Profesor szybko pożałował swoich słów. Niewykluczone, że pospieszył się również ze swoją deklaracją. Powierzchnowe podobieństwo można było stwierdzić, także porównując książkę, napisaną po angielsku i po portugalsku. Litery wyglądały tak samo, nawet niektóre słowa były do siebie bardzo podobne, lecz tu się kończyły wspólne cechy. Chcąc przetłumaczyć tekst z jednego języka na drugi, trzeba je znać i tyle. Nawet jeśli Mogens potrafiłby odczytać hieroglify, wcale nie był pewien, czy w ogóle chce zrozumieć tekst zapisany na ścianie.

Tak naprawdę wolałby, żeby go tu wcale nie było.

A jednak wyzwanie wciągnęło VanAndta w swoją sieć. Było tak, jak się obawiał - niby część rozumiał, ale ogólny sens całości wciąż mu się wymykał. Musiał co chwilę rewidować swoje pomysły i zaczynać od nowa. Jednak stopniowo odczytywane znaki zaczęły nabierać znaczenia, choć wątplęgo i niepewnego, jakby coś w umyśle profesora wcale nie chciało do końca zrozumieć tych znaków.

Po dłuższej chwili poddał się. Możliwe, że zadanie było nie do rozwiązania albo że za wiele wymagał od siebie w tak krótkim czasie.

- To nie ma sensu - powiedział zrezygowany.

- Wiesz to już po kilku minutach? - spytał Graves drwiąco. - Czy nie powiedziałeś sam, że już na samo wysunięcie pierwszych ostrożnych tez potrzebowalibyś całych miesięcy?

- Tak, i nie zmieniłem zdania - odparł Mogens. - Dlatego właśnie po kilku minutach nie jestem w stanie nic ci powiedzieć. - Wzruszył ramionami. - Niektóre z symboli wydają mi się znajome, ale całość nie ma żadnego sensu. - Jonathan nadal wpatrywał się w niego wyzywająco wrogim

MS

- < 'i! « !l

wzrokiem, więc VanAndt niechętnie uniósł rękę i wskazał po kolei kilka symboli i kartuszy - Na przykład ten znak mógłby być odpowiednikiem staroegipskiego słowa oznaczającego władcę albo króla. Następny można by przetłumaczyć jako plon, równie dobrze mógłby jednak oznaczać biegunkę, która była częstą chorobą w starożytnym Egipcie. Ten symbol z kolei oznacza wodę, ale prawdopodobnie także ulicę lub życie. Wszystko razem nie tworzy żadnej logicznej całości. Może jest to wiersz, może ostrzeżenie albo tylko nazwa ulicy, jeśli to rzeczywiście mapa.

- Chyba rzeczywiście masz za mało czasu i spokoju - odparł Graves, niespodziewanie pełnym

zrozumienia tonem - albo po prostu musiałbyś mieć więcej tekstu, by porównać go z tym, co pamiętasz. Może pocieszy cię to, że przynajmniej Tom i ja do czegoś doszliśmy. Teraz jestem pewien, że jest to mapa. - Doktor uśmiechnął się nawet. - I że jesteśmy już blisko celu. puścili budynek tą samą drogą, którą przyszedli, potem skierowali się jednak na lewo i przeszli kilkanaście kroków wzdłuż ścian przypominających jakieś wielkie skamieniałe stworzenie. Nagle pojawiła się przed nimi wąska szczelina, w której Graves zniknął bez wahania. Ciemność pochłonęła go, jakby przekroczył niewidzialną granicę. Mogens zebrał się na odwagę i podążył za nim. Tu czekała go nieprzyjemna niespodzianka. W szczelinie, przez którą przedarł się po omacku, było nie tylko ciemno, ale i zimno jak w chłodni. Wystarczyło kilka kroków, a gdy wyszedł po drugiej stronie, był cały zdrtwiałły, nawet ubranie mu przemarzło i szeleściło przy każdym ruchu. Wyglądało na to, że Graves miał rację. Do tej pory podziemny krajobraz przypominał pejzaż z koszmaru sennego, teraz u ich stóp widniało wspaniałe miasto, którego plan doktor tak uważnie wcześniej studiował. VanAndt oniemiał z wrażenia.

Przez chwilę miał poczucie, że cofnęli się tysiące lat w czasie. Pod nimi rozciągały się starożytne Teby, Karnak w okresie swojego rozkwitu, Achetaton tak okazały, jakim wymarzyli go sobie jego twórcy, ukończony z przepychem, jakiego oni nigdy nie zdołali osiągnąć. Widać było świątynie, okazałe aleje, wzdłuż których ciągnęły się nadnaturalnej wielkości kamienne posągi i zdobione budynki mieszkalne. W sercu tego olbrzymiego, ciągnącego się w każdą stronę przynajmniej na pół mili miasta wyrastała gigantyczna piramida ze złotym, błyszczącym zwieńczeniem. Widok ten zaparł Mogensowi dech w piersiach i nappełnił go uczuciem bezgranicznego szczęścia.

Minęła dłuższa chwila, zanim euforia profesora nieco zelżała. Chciwie chłonał poszczególne obrazy, z trudem odrywając wzrok od jednego cudu i przenosząc go na następny. Przypominał wygłodniałego człowieka, który nagle znalazł się przy suto zastawionym stole i dłuższy czas nie może się zdecydować, po co sięgnąć.

Jednak przy tym stole niektóre z potraw były zatrute... VanAndt z początku nie potrafił powiedzieć, co jest nie tak. Cały ten przepych zdawał się spowijać cień, coś jak delikatny zapach zgnilizny, którego nie sposób zatuszować nawet najdroższymi perfumami. Tutaj cień, który nie miał prawa istnieć w tym miejscu, tam linia załamująca się pod niezrozumiałym dla ludzkiego oka kątem, gdzie indziej znowu ozdoba zakończona chciwie nastroszonym pazurem. Miało się wrażenie, że ten świat jest jak łuszczący się obraz, spod którego wyziera o wiele starszy, mroczniejszy

Mogens nie zauważył, kiedy pojawił się obok niego Tom, a zaraz potem panna Preussler. Chłopak nie powiedział ani słowa, tylko stanął jak słup soli, gospodyni natomiast wydała bliżej nieokreślony dźwięk i zasłoniła ręką usta.

- Jesteś pewien, że chcesz zejść na dół, Jonathanie? - spytał profesor.

- Czy jestem pewien? - Graves zaśmiał się przeszywająco. - Postradałeś zmysły, Mogensie? Żadna siła mnie od tego nie powstrzyma!

VanAndt nic już nie powiedział, bo i po co? Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz doktora, by uświadomić sobie, że dalsza perswazja nie ma sensu.

Jonathan odwrócił się do panny Preussler.

- Czy to tutaj pani była? Tutaj panią zawlekły?

- Nie... nie jestem pewna - odparła, wciąż patrząc jednak tylko na Mogensa. - Było... - Przez chwilę na próżno szukała odpowiednich słów, w końcu wzruszyła bezradnie ramionami. - Byłam... to wszystko wyglądało inaczej, ale byłam tam.

- A gdzie dokładnie? - spytał profesor. - Jeńcy, o których pani mówiła... w którym budynku są uwięzieni?

- Nie... nie jestem pewna - powtórzyła z ociąganiem. - Ale poznam to miejsce, gdy je zobaczę.

- Przejechała nerwowo grzbietem dłoni po twarzy. Na jej włosach połyskiwał szron, podobnie jak na ubraniach szeleszczących przy każdym ruchu. Ale chłód w jej oczach miał inne źródło.

- Nie chcę tam iść - powiedziała cicho. - To miejsce... to piekło.

- Ależ moja droga - Graves rozłożył ręce - rozumiem, że jest pani wystraszona tym widokiem. Szczerze mówiąc, ja również czuję się nieswojo. To, co pani widzi, to część zupełnie obcego świata! Tak różni się od naszego, że nigdy nie będziemy w stanie go zrozumieć. Nawet nasze

zmysły nie potrafią go ogarnąć. Nic dziwnego, że się pani boi. Ale wcale

Mx

nie ma takiej potrzeby, wręcz przeciwnie! Nie rozumie pani, jaki prezent otrzymaliśmy od losu? Jesteśmy być może pierwszymi ludźmi, którzy mają szczęście oglądać to miasto.

Panna Preussler spojrzała na niego podejrzliwie, najwyraźniej zaczęła podejrzewać, że postradał rozum. Już miała odpowiedzieć, ale przypomniała sobie chyba, że postanowiła nigdy więcej nie rozmawiać z Jonathanem. Odwróciła się bezradnie do Mogensa i popatrzyła na niego niemal błagalnym wzrokiem.

- Zrozumiem, jeśli nie będzie pani chciała tam wrócić - powiedział VanAndt. - Tom i ja możemy sami spróbować odnaleźć więźniów. Ale musi nam pani powiedzieć gdzie...

- Nie powiedziałam, że nie pójdę - przerwała mu - powiedziałam tylko, że tego nie chcę.

- To wzruszające! - zniecierpliwiał się doktor. - Łza się w oku kręci na widok pani odwagi i ofiarności. Co do Toma, to muszę panią zawieść. Obawiam się, że będę potrzebował jego pomocy. Mogens nie mógł się powstrzymać od rzucenia ukradkowego spojrzenia na Toma. Widok chłopaka nieco go zaniepokoił. Chłopak bez ruchu wpatrywał się w podziemne miasto, na jego twarzy widać było zdumienie i strach, tyle że strach zdecydowanie brał górę. Ale było coś jeszcze. Jego oczy pałały taką zaciętością, że VanAndta przeszedł lodowaty dreszcz.

- Tom? - zagadnął.

W pierwszej chwili chłopak w ogóle nie zareagował. Potem jednak wzdrygnął się lekko, oderwał wzrok od dziwacznych domów i ulic i wykrzywił usta w nieszczerym uśmiechu.

- Wszystko w porządku, profesorze - powiedział. - Jestem tylko zaskoczony. Z tym się nie liczyłem.

- Jak chyba nikt z nas - odparł Mogens.

- Na dole z pewnością czeka na nas jeszcze więcej cudów - dodał Graves. - Ale nie zobaczymy ich, jeśli będziemy tu dłużej stać i rozmawiać.

„Co niekoniecznie byłoby takie złe” - pomyślał VanAndt i sam się zdziwił. Jako naukowiec był w euforii i nie dbał, jakie mroczne tajemnice jeszcze zobaczy. Z drugiej strony odczuwał narastający lęk. Z każdym coraz cięższym oddechem lepiej rozumiał pannę Preussler. Też nie miał wyboru, musiał iść na dół, ale jednocześnie za żadne skarby nie chciał tego uczynić. Ogarniała go coraz większa groza na samą myśl, że musi postawić stopę w tym strasznym mieście.

- Ale gdzie są potwory? - wymamrotała panna Preussler. - Gdy byłam tu wczoraj, były ich setki. Co się z nimi stało?

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - Doktor wzruszył ramionami. - Powinniśmy się cieszyć, że ich tu nie ma. - Rozejrzał się w skupieniu dokoła, po czym wskazał ręką na prawo. - Tam jest most.

Dla tworu, który ochrzcił tym mianem, Mogens bez trudu znalazłby sto innych, mniej pochlebnych określeń, ale bez wątplenia ta kamienna kładka prowadziła w dół ku miastu wtulonemu w olbrzymi podziemny krater. By jednak do niej dotrzeć, musieli mimo wszystko pokonać karkołomny fragment zbocza, torując sobie drogę pośród ostrych jak brzytwa kamieni. Potem było jeszcze gorzej. Kamienny łuk prowadzący do miasta robił wrażenie solidnego i szerokiego, ale gdy zaczęli nim schodzić, okazało się, że było to złudzenie. Oczy mówiły, że most jest solidny i masywny, ale zmysł równowagi podpowiadał, że tak nie jest. Profesor cały czas miał wrażenie, że musi wyciągać ręce na boki, by nie spaść. Zdawało mu się, że most zmienia nie tylko szerokość, ale i kształt.

Powtarzał sobie z uporem,

że prawdopodobnie jest tak, jak powiedział Graves pannie Preussler - to nie z ich otoczeniem było coś nie w porządku, raczej ich ludzkie zmysły myliły się, ponieważ nie potrafiły poradzić sobie w nowych warunkach.

W końcu udało się. Graves pierwszy postawił stopę na terenie miasta. Na moment zastygł z zamkniętymi oczami, więc musieli poczekać, aż zakończy swój rytuał.

Mogens spojrzał na gospoдинię pytającym wzrokiem.

- Dokąd teraz? - Rozejrzała się bezradnie dokoła. W końcu po dłuższej chwili wahania wskazała duży, malowany kunsztownymi farbami budynek na planie kwadratu

oddalony od nich zaledwie o jakieś pięćdziesiąt metrów.

- Tam - powiedziała, by dodać ciszej: - Tak mi się wydaje.

- Teraz nie mamy na to czasu - rzucił Jonathan niecierpliwie. - Zostało nam już tylko kilka godzin.

- Do czego? - zdziwił się Mogens.

- Nie słuchałeś mnie, głupcze?! - warknął doktor. - Brama jest otwarta! Droga do Psiej Gwiazdy stoi otworem!

- I co z tego? - spytał VanAndt spokojnie. Znow przeszył go lodowaty dreszcz, bo coraz lepiej rozumiał, że obłęd Gravesa może być dla nich niebezpieczny.

- I co z tego?! - jęknął doktor. - Mogensie! Możemy stanąć przed ich obliczem, nie rozumiesz? Nie możemy zmarnować takiej szansy!

- Co dokładnie masz na myśli? - ponowił pytanie profesor. Co prawda domyślał się odpowiedzi, ale chciał ją usłyszeć.

- W tej chwili jesteśmy raczej bezpieczni. Nie byłem pewien, czy słusznie zinterpretowałem stare pisma, ale teraz nie mam już wątpliwości. Dopóki brama jest otwarta, słudzy zdają się być pogrążeni w śnie. Ale obudzą się, gdy tylko się brama zamknie, a jeśli nadal tu będziemy, zabiją nas.

tik- ■

- Słudzy?

Twarz Gravesa wykrzywił niecierpliwy grymas.

- Ghule. - Machnął gniewnie ręką. - Nazywaj je, jak chcesz. W każdym razie nie stanowią dla nas zagrożenia, dopóki nie popełnimy żadnego błędu.

- W takim razie chwila jest odpowiednia na uwolnienie więźniów - zasugerował VanAndt. Reakcja Gravesa była dokładnie taka, jakiej się spodziewał.

- Oszalałeś? - jęknął. - Zostały nam jeszcze dwie godziny, najwyżej trzy! Nie mamy czasu na takie romantyczne bzdury!

- Ratowania życia ludzkiego nie nazwałbym romantyczną bzdurą - odrzekł Mogens spokojnie.

Graves opanował się w ostatniej chwili. Nie wybuchnął, tylko pokręcił głową z politowaniem:

- Teraz nie jest odpowiedni moment na takie szlachetne gesty. A już na pewno nie na bezsensowne.

- Ratowanie ludzkiego życia nie jest bezsensowne - upierał się profesor.

- Jeśli takie próby mają szansę powodzenia, to nie - pokiwał głową Jonathan. Zwracając się do panny Preussler, dodał łagodniejszym tonem: - Bardzo mi przykro, moja droga, ale prawda jest taka, że tym ludziom już nie da się pomóc. Proszę mi uwierzyć, byli straceni, gdy tylko wpadli w łapy potworów.

- A skąd pan o tym wie? - spytała panna Preussler, zapominając o swoim postanowieniu.

- Wiem dużo na temat tych istot - stwierdził Graves. - Rozgryzłem oczywiście tylko niewielką część ich tajemnic, jednak przez ostatnie dziesięć lat udało mi się sporo o nich dowiedzieć. Nie ma czasu, by wyjaśniać to pani teraz, poza tym prawdopodobnie i tak by pani nie zrozumiała, ale proszę mi wierzyć, że tych nieszczęsnych ludzi nie da się już uratować. Nikt, kto raz dostał się w ręce tych stworzeń, nie uchodzi cało.

- Nikt? - powtórzyła panna Preussler drwiąco.

Jonathan z przekonaniem pokiwał głową.

- Pani jest pierwszą osobą, która im umknęła. I nie rozumiem, dlaczego tak się stało.

- Skoro był wyjątek, to mogą zdarzyć się kolejne. - Gospodyni profesora uczyniła gniewny gest i ciągnęła znacznie ostrzejszym tonem: - Dosyć tego, doktorze! Pan'jest potworem! Jak pan śmie zakładać, że byłabym gotowa zrezygnować z ratowania życia choć jednego człowieka tylko po to, by spotkać się z tymi... pańskimi odmieńcami! Poszukam tych więźniów, nawet sama!

- I tym zaryzykuje pani wszystko? - uśmiechnął się kpiąco Graves. - Jeśli obudzi pani sługi, wszystko będzie stracone. Wówczas nie tylko nie zdoła pani uwolnić więźniów, ale przypieczeruje

pani nasz los.

- Trudno. - Wzruszyła ramionami.
- Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić - odparł Graves.
- A w jaki sposób chce mi pan przeszkodzić? - spytała panna Preussler niemal przyjaznym tonem. - Siłą?
- Jeśli będzie to konieczne - potwierdził doktor.

Mogens stanął u boku swojej gospodyni i skrzyżował prowokacyjnie ręce na piersi. Oczy Jonathana zamieniły się w wąskie szparki. Dłuższą chwilę usiłował zmrozić VanAndta wzrokiem, a gdy to mu się nie udało, rzucił wyzywające spojrzenie w stronę Toma.

Zakłopotany chłopak spuścił wzrok i spojrzał w innym kierunku.

- Mogensie, bądź rozsądny! - zaklinał Graves niemal błagalnym tonem. - Postaraj się chociaż zrozumieć, o czym mówię!
 - Obawiam się, że zrozumiałem aż za dobrze - powiedział profesor smutno.
 - Nie sądzę! Los podarował nam ogromną szansę, być może największą, jaką zaoferował ludzkości. Nie rozumiesz, czego możemy się od nich nauczyć? Co mogą nam dać?
- Mogens nadal patrzył na niego smutno. Wiedział, że przegrali. Ta rozmowa nie miała najmniejszego sensu. Zamiast odpowiedzieć, spojrzał znacząco na dłonie Jonathana ukryte w czarnych rękawiczkach i pokręcił głową.

- Ale ja muszę tam iść! - Doktor prawie krzyknął, wskazując energicznie obydwoma rękami olbrzymią piramidę w sercu miasta. - Nie pojmujesz?! Jest dokładnie tak, jak mówią stare pisma! Widziałem na mapie! W piramidzie jest brama! I jest otwarta!

Właściwie wbrew własnej woli profesor raz jeszcze uniósł głowę i spojrzał ku ogromnej budowli. Na sam jej widok zakręciło mu się w głowie. Piramida proporcjami i wielkością odpowiadała dokładnie piramidzie Cheop-sa, z tym że jej czas nie zdołał naruszyć. Nawet pokryty szczerem złotem szpic, który w przypadku piramid egipskich dawno padł już ofiarą czasu i ludzkiej chciwości, tutaj błyszczał dumnie na wierzchołku.

- Dobrze więc! - wrzasnął Graves. - W takim razie pójdę sam. Jestem głęboko rozczarowany twoją postawą, Mogensie. I twoją również, Tom. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, liczyłem na nieco więcej lojalności.

Nie odpowiedzieli. Chłopak odwrócił się w drugą stronę i zacisnął usta.

- Nie wiecie, co tracie - wymamrotał Jonathan, pokręcił jeszcze raz głową i ruszył szybkim krokiem w kierunku piramidy.

VanAndt chciał popatrzeć za nim, ale zmysły znów spletały mu figła. Chociaż doktor wcale nie biegł, jego po-

'i

Ir

iŁJMt'

■T

a .

i

Nf Iś i

stać skurczyła się już po kilku krokach i zaraz zniknęła im z oczu.

- Dziękuję, Tom - powiedziała panna Preussler łagodnym głosem. - To było bardzo odważne z twojej strony.

- Nie - zaprzeczył chłopak. Wskazał głową w stronę piramidy. - Odwagą byłoby raczej towarzyszenie doktorowi, ale tego nie mogę zrobić. To miejsce jest złe.

Mogens nie potrafiłby ująć tego trafniej. Był oszołomiony prostotą tej myśli niewymagającej

objaśnień czy uzasadnień. Nawet logicznie myśląca część umysłu profesora milczała, chociaż jeszcze niecałą godzinę temu poddałaby w wątpliwość istnienie absolutnego zła czy dobra. Były to przecież pojęcia, które nie przystawały do ram świata opisywanego przez naukę. Może to jednak nie był przypadek, że istoty żyjące na tym świecie najpierw czuły, a dopiero potem zaczęły myśleć. VanAndt z trudem powrócił do rzeczywistości.

- Ruszajmy - powiedział. - Nie wiem, ile czasu nam zostało, ale obawiam się, że niewiele. Rzucił pytające spojrzenie na Toma, chłopak jednak skinął tylko niepewnie głową. Pierwszy skierował się w kierunku wskazanym przez pannę Preussler. Ledwo zrobił kilka kroków, a powtórzył się ten sam niepokojący efekt, co w przypadku Gravesa. Chociaż wcale nie szedł szybko, wydawało się, że pędzi co sił w nogach, jakby każdy krok był dziesięć razy dłuższy niż w rzeczywistości. Mogens chwycił gospodynię za ramię, żeby jej nie zgubić, i pospieszyli za Tomem. Z każdą chwilą mieli coraz silniejsze wrażenie, że robią coś niewłaściwego. Nadal nie natrafili na najmniejszy ślad mieszkańców tej podziemnej nekropolii, mimo to profesor ciągle miał wrażenie, że obserwują go niewidzialne, zachłanne oczy. Nie miał już odwagi nawet zerknąć w kierunku olbrzymiej piramidy górującej nad miastem jak

>4.. .f ii-

I i * . - .

irr-i W

m

~ . i

w,

kamienny bóg. Mógł sobie nawet zabronić patrzeć na nią, ale na niewiele by się to zdało, ponieważ nie mógł jej zabronić wpatrywać się w niego. Myśl ta była zupełnie absurdalna, a jednak wszyscy czuli w tym momencie to samo - piramida śledziła ich. Nie istoty, które ją stworzyły i być może wciąż zamieszkiwały, ale sama monumentalna budowla.

Weszli na jedną z szerokich alei, które przecinały miasto w regularnych odstępach i schodziły się przy piramidzie. Nieświadomie, zupełnie instynktownie zachowywali jak największy odstęp od budynków stojących wzdłuż drogi, choć jeśli ktoś ich obserwował, tylko ułatwiali mu zadanie.

Panna Preussler znów zdawała się czytać w jego myślach albo raczej jej przemyślenia podążały w podobnym kierunku. Rozglądała się coraz częściej i bardziej nerwowo dokoła, aż w końcu wymamrotała:

- Nie rozumiem. Gdzie one się podziały?

- Może Graves ma rację - odparł Mogens. - Tom?

Właściwie nie liczył na jego odpowiedź. Jednak po przejściu kilku kroków chłopak odpowiedział, nie patrząc mu w oczy:

- Naprawdę nie wiem, profesorze. Doktor Graves nigdy nie opowiadał mi wiele o wynikach swojej pracy. Dowiedziałem się trochę przez przypadek, trochę sobie dopowiedziałem, ale...

- Ale nie wierzyłeś w to wszystko, prawda? - VanAndt skończył za niego i spuścił wzrok, przygryzając dolną wargę. - Bo i jak miałeś w to uwierzyć? Ja nadal nie wierzę, chociaż widzę na własne oczy.

- Powinienem być uwierzyć - Tom rzucił mu krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie. - Doktor Graves... tyle dla mnie zrobił. Wiem, że nie ma pan o nim najlepszego zdania, profesorze, i domyślam się, że ma pan ku temu powody. Ale mnie uratował życie i... - Przez chwilę szukał odpowiednich słów, w końcu wzruszył ramionami. - W każdym razie jestem mu winien więcej, niż kiedykolwiek będę w stanie mu odpłacić.

- Thomas, to bzdura - powiedziała panna Preussler. - Ten człowiek zawarł pakt z diabłem. Nie jesteś mu nic winien. Cokolwiek dla ciebie zrobił, robił to z egoistycznych pobudek. Nie rób sobie wyrzutów. - Zmieniła nagle temat, wskazując na lewo. - Tam.

Jej wyciągnięta ręka wskazywała olbrzymią budowlę, która przypominała Mogensowi zniszczoną mastabę. Była pomalowana na kolorowo i z daleka robiła niertial przyjazne wrażenie. Teraz farby wydawały się matowe, a całość budziła grozę. VanAndt zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdy

zobaczył olbrzymie posągi stojące po obu stronach otwartego wejścia. Z daleka myślał, że to sfinksy, ale kamienni strażnicy byli równie mało podobni do sfinksów, co postać na sarkofagu do człowieka.

- Może... powinien był pan wziąć broń, którą Graves panu proponował, profesorze - powiedziała panna Preussler nerwowo.

Mogens zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nią zaskoczony. Wiedział, że gospodyni, tak jak i on, odczuwa wstręt do broni. Mimo to pokiwała kilka razy głową i dodała, wskazując na mastabę:

- W środku jest ich bardzo dużo.

- Jeśli doktor Graves ma rację, teraz śpią - przypomniał Tom. - A raczej ma.

- Wszystkie? - upewnił się Mogens.

- Doktor Graves opowiadał mi kiedyś, że są jedynie sługami dawnych bogów - powiedział chłopak. - Był zdania, że to istoty niższego rzędu.

- Ależ nie istnieją żadne istoty niższego rzędu, Thomasie - poprawiła go panna Preussler z lekką naganą w głosie.

I»"-

Ip

i

; <i' r~

m\

W

- Doktor Graves w każdym razie twierdził, że stopniem rozwoju niewiele przewyższają zwierzęta - upierał się Tom. - Że są kimś w rodzaju wojowników. Rzadko rozmawiał ze mną na ten temat i nie wszystko rozumiałem, jeśli mam być szczerzy. Ale wydaje mi się, że doktor uważał, że zapadają w rodzaj... snu, gdy brama jest otwarta.

- Tylko czemu miałyby to służyć? - nie dowierzała panna Preussler.

- Tego nie wiem - odparł chłopak, po chwili jednak dodał cicho: - Może sami bogowie się ich boją.

Głos gospodyni profesora stał się surowy.

- Skończ w końcu z tymi bzdurami o bogach i potężnych istotach, Thomasie! Nie ma żadnych bogów, Tom. Jest tylko jeden jedyny Bóg, który na pewno nie boi się tych potworów.

- Ale doktor Graves... - zaczął Tom.

- ...jest opętany, to proste! - przerwała mu panna Preussler. - A teraz nie chcę już słyszeć nic więcej o tym człowieku i o jego szalonej gadaninie!

Trudno było ocenić reakcję chłopaka. W pierwszej chwili, gdy spojrzał na urażoną gospodynię, oczy rozbłyły mu wrogością - jak ocenił profesor. Potem zmusił się do nieśmiałego uśmiechu i już miał odpowiedzieć, gdy usłyszeli głośny strzał.

Tom odwrócił się gwałtownie jak dźgnięty nożem i zbladł jak papier.

- Doktor Graves! - Rozejrzał się gorączkowo, próbując ustalić kierunek, z którego padł strzał.

- Doktor Graves! - wydusił z siebie raz jeszcze.

- Tom, nie! - krzyknął VanAndt, ale było już za późno.

Chłopak obrócił się na pięcie i zaczął biec, a wyciągnięta ręka Mogensa zawisła w próżni. Tom zniknął po dwóch krokach wchłonięty przez zniekształconą perspektywę miejsca. Jeszcze przez chwilę było słychać jego kroki, zaraz jednak ucichły.

- Na miłość boską, profesorze - wyszeptała panna Preussler - niech pan go powstrzyma!

Ale jak miał to zrobić? VanAndt rzeczywiście wykonał pół kroku za Tomem, ale natychmiast stanął. Chłopak rozplynął się bez śladu, jakby nigdy nie istniał. Profesora zmroziło, gdy uświadomił sobie, że nie potrafił nawet powiedzieć z całą pewnością, gdzie pobiegł, jakby pojęcie kierunku nie miało racji bytu w tym podziemnym świecie.

- Dajmy spokój, panno Preussler - powiedział cicho. - Nie sędzę, żebyśmy byli w stanie ściągnąć go z powrotem. Nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest.

- Pewnie ma pan rację - zgodziła się przygnębionym głosem. - Biedny chłopak! - Westchnęła ciężko, po czym odwróciła się powoli do Mogensa ze zwieszoną głową. - Chodźmy profesorze. Są jeszcze inni, którzy potrzebują naszej pomocy.

4

Przekroczyli bramę. Wbrew ich obawom wewnątrz budynku nie czyhało żadne niebezpieczeństwo. Mogens był nieco rozczarowany skromnością pomieszczenia, w którym się znaleźli. Ich oczom ukazała się prostokątna, zupełnie pusta sala z wysokim sufitem i oszczędnie pomalowanymi ścianami, które były w fatalnym stanie. W wielu miejscach odpadł tynk, odsłaniając zniszczony mur. Jedna z olbrzymich belek podtrzymujących strop była złamana, przez co cała konstrukcja dachu zapadła się do środka. Mogens zaczął się zastanawiać, czy z resztą budynków w tym mieście nie było podobnie. Czy to, co uważał za dowód zupełnie obcej, niepojętej perspektywy,

nie świadczyło po prostu o rozkładzie i ruinie? Nie wierzył w takie wyjaśnienie, ale też nie odrzucał go całkowicie. Na czymkolwiek polegałaby tajemnica tego podziemnego miasta - czy rzeczywiście było wzniesione przez istoty z Psiej Gwiazdy, czy też z Ziemi - z pewnością było ono niewyobrażalnie stare. Nikt wcześniej nie badał miasta liczącego sobie pięć tysięcy lat, dlatego trudno powiedzieć, jak wyglądałoby po tak długim czasie.

Stało się jeszcze coś nieoczekiwanego. Chociaż wszechobecny rozkład wewnątrz budynku zaskoczył go, równocześnie uspokoił. Myśl, że nawet te niepokojące świadectwa obcej kultury zniszczył zab czas, była krzepiąca. Wielkie istoty, o których mówił Graves, być może były bogami, ale najwyraźniej śmiertelnymi.

- Gdzie teraz? - spytał Mogens.

Panna Preussler wzdrygnęła się, gdy jego głos przeszył głuchą ciszę. Ciemność po drugiej stronie wejścia wchłonęła słowa i odbiła je jako zniekształcone echo. Mogens był zmuszony zweryfikować swoje przemyślenia, które w tym momencie straciły rację bytu. Echo i w jakiejś hali fabrycznej, i w średniowiecznym kościele podlega tym samym prawom. To, czy odbija je stary mur, czy nowy, nie ma nic do rzeczy.

- Teraz? Nie jestem pewna - odpowiedziała panna Preussler szeptem. - Schodziło się po schodach w dół, dość daleko - dodała po chwili wahania.

Profesor nie odpowiedział, tylko odstawił lampę i zaczął przeszukiwać kieszeń kurtki, aż w końcu znalazł pudełko zapalek. Nawet tak proste zadanie jak zapalenie lampy karbidowej przysporzyło mu nie lada trudności. Do tej pory podobnymi drobiazgami zajmował się Tom. VanAndt potrzebował dłuższej chwili, by rozgryźć prosty mechanizm otwierający szklaną osłonkę, co z kolei umożliwiło dostanie się do knota. Z lampą gospodyni poradził sobie już o wiele szybciej.

Gdy salę rozjaśniło zimne światło obu latarni, Mogens trafił na kolejną zagadkę - nie dostrzegł nigdzie ani odrobiny pyłu, mimo że ściany były wszędzie popękane, a dźwigar nad ich głowami nie był jedyną złamaną belką. Profesor pomyślał o trzęsieniu ziemi, które spustoszyło komnatę świątynną na górze. Nie znał się na inżynierii, ale był niemal pewien, że ten budynek nie wytrzymałby silnego wstrząsu.

Przeszli przez kilka kolejnych wrót, które prowadziły do równie pustych i wielkich pomieszczeń, aż natrafili na zamknięte drzwi. Nie pasowały stylem do pozostałych elementów wnętrza, ponadto wydały się VanAndtowi znajome.

Były mniejsze niż ich podobizna w górnej komnacie świątynnej, zrobione z porowatego, przez wieki niemal skamieniałego drewna i miały tylko jedno skrzydło. Wygrawerowano na nich jednak takie same znaki i symbole. Mogens był przekonany, że widnieją tam ku przestrodze. Po obydwu stronach drzwi, tak jak na górze, wznosiły się dwa posągi strażników - hybryda człowieka i ohydneho zwierzęcia. Choć profesor widział je nie po raz pierwszy, aż się wzdrygnął.

- Straszne - wymamrotała panna Preussler. - Tylko chory umysł był w stanie stworzyć coś takiego.

- Prawdopodobnie... to tylko ostrzeżenie - powiedział profesor bardzo powoli. Z trudem znosił widok tych stworzeń, ale może wcale nie dlatego, że każdy ich szczegół wyglądał tak realistycznie. Chociaż niemal rozpaczliwie się przed tym bronił, ożyło w jego pamięci świeże wspomnienie - prawie identyczna, chociaż mniejsza istota, której wizerunek był wyryty w czarnym drewnie sarkofagu...

- Ostrzeżenie?! - syknęła gospodyni. - W takim razie powinniśmy się do niego zastosować, tak? - spytała i przeszła pewnym krokiem między olbrzymimi posągami strażników, uniosła lampę, a drugą rękę oparła rozczapierzonymi palcami o drzwi. Mogens wzdrygnął się jak rażony prądem. Przez ułamek sekundy był święcie przekonany, że stanie się coś przerażającego - kamienni strażnicy ożyją i rzucają się na nich albo rozstąpi się ziemia i pochłonie nieszczęsną pannę Preussler.

Tymczasem najbardziej dramatyczną rzeczą, jaka ich spotkała, była smużka kurzu...

Gospodyni bez trudu otworzyła drzwi, uniosła lampę nieco wyżej i poświeciła przez szparę, po czym odwróciła się do Mogensa. Już miała zacząć mówić, ale ściągnęła brwi, przekrzywiła głowę i spojrzała z wyraźnym niepokojem.

- Profesorze?

VanAndt nerwowo przejechał językiem po ustach. Nie był w stanie nic powiedzieć. Nagle pożałował, że nie wziął karabinu od Toma.

- Profesorze - powtórzyła panna Preussler, gdy po dłuższej chwili nie otrzymała odpowiedzi - czy wszystko w porządku?

Mogensowi w końcu udało się oderwać wzrok od niepokojących rzeźb.

- Oczywiście... Byłem tylko... - Przez chwilę szukał odpowiednich słów. - Widok tych... stworzeń ogromnie mnie przestraszył. - Wskazał ręką na posągi. Wydawało mu się tylko, czy rzeczywiście jeden z nich przekreślił głowę lekko w lewo? I czy ręka drugiego posągu nie uniosła się odrobinę?

Panna Preussler najwyraźniej nic takiego nie zauważyła. Choć też spojrzała jeszcze raz badawczo na kamienne figury, jej reakcją był jedynie lekko drwiący uśmiech.

- Czy nie powinno być dokładnie odwrotnie, profesorze? Czy to nie ja powinnam wpaść w histerię, a pan próbować mnie uspokoić?

a - ; 1

- To było wszystko zaplanowane - odparł, uśmiechając się nerwowo. - Dając pani poczucie, że trzeba mnie uspokajać, tak naprawdę to ja panią uspokajam. W ten sposób nie ma pani czasu myśleć o własnym strachu, rozumie pani?

- Doprawdy wyrafinowane - odparła. - Czy trzeba studiować, żeby wymyślić taki nonsens?

- Przynajmniej dziesięć lat - potwierdził Mogens.

Roześmiali się, co z miejsca rozluźniło atmosferę. Panna Preussler bez ceregieli otworzyła drzwi na oścież i weszła do środka.

Korytarz po drugiej stronie nie różnił się od dużej hali, z której przyszli. Miał podobnie prostą budowę i też był w złym stanie. Podobieństwo jednak topniało z każdym krokiem. Mimo ewidentnych oznak upadku hala była niemal klinicznie czysta. Tutaj natomiast napotykali coraz więcej gruzu i pyłu. Powietrze było nasycone kurzem i śmierdziało.

Już po kilkunastu krokach musieli się przedzierać przez olbrzymie sterty gruzu, a silne światło lamp wydobywało z wszechogarniającej ciemności jedynie kontury przedmiotów. Panna Preussler znacznie przyspieszyła kroku i chociaż starała się to ukryć, VanAndt wiedział, że nie szła jeszcze szybciej tylko ze względu na niego.

Dotarli do schodów, o których mówiła wcześniej. Gospodyni zatrzymała się i próbowała poświecić na dół. Niewiele można było dojrzeć, ale przykry zapach dochodził właśnie stamtąd. Zimne, białe światło wydarło ciemnościom kilka pierwszych stopni. Ich wygląd różnił się znacznie od surowej geometrii budynku. Sprawiały wrażenie, jakby ktoś wyrąbał je w skale gołymi rękami.

- Proszę puścić mnie przodem - powiedział, chociaż tak naprawdę wolałby, żeby to ona zeszła pierwsza.

Panna Preussler potrząsnęła głową.

- Te schody są bardzo strome. Gdybym straciła równowagę i spadła na pana, nie byłby mnie pan w stanie podtrzymać, prawda?

Nie dała profesorowi możliwości jeszcze raz zagrać dżentelmena. Sapiąc, zniknęła w otworze. Wydawało się, że idzie z trudem i z przesadną ostrożnością, a jednak Mogens ledwo za nią nadązał. Schody rzeczywiście były bardzo strome i wydawały się nie mieć końca. Gdy znowu stanęli na płaskiej powierzchni, VanAndt szacował, że zeszli jakieś dwanaście metrów w dół. Zatrzymał się, zamknął oczy i odetchnął kilka razy głęboko, czekając, aż miną zawroty głowy. Schody wijące się wkoło jak skamieniała skorupa ślimaka, ze stopniami różnej wysokości i szerokości, najwyraźniej zaburzyły poczucie równowagi u profesora.

Ledwie przestało mu się kręcić w głowie, poczuł mdłości. Śmierdziało zepsutą wodą, ekskrementami, zgnilizną i ostrą wonią drapieżnych zwierząt.

- Tam, przed nami - wskazała panna Preussler. - Teraz sobie przypominam. To już niedaleko. „Czy to znaczy, że wcześniej wcale nie pamiętała i szła na chybił trafił?” - pomyślał Mogens w panice.

Przez ostrożność nie zadał tego pytania na głos.

Gdy znaleźli się na dole, zniknęło jakiegokolwiek podobieństwo do budowli stworzonej ręką ludzką czy przez inną istot- obdarzoną rozumem. Schody zawiodły ich do labiryntu jaskiń. Do strasznego odoru dołączyły równie nieprzyjemne dźwięki. Najpierw było to ciężkie, rytmiczne bulgotanie wcale nieprzypominające szmeru wody, lecz chlupot lepkiej substancji. Zaraz usłyszeli też głucho, zawodzące wycie, które profesor bardzo chciałby uznać tylko za jęk wiatru uderzającego o krawędzie skał. Od czasu do czasu w uszy wdzierał się łoskot, jakby kamień spadł ze

• fi-

. -rf-
' JrH

stropu lub został kopnięty przez szponiastą stopę, czasami dźwięk przypominający głuchy jęk. Na ścianach znów zobaczyli świecące plamy - bakterie, grzyby, porosty, mikroorganizmy czy jeszcze coś innego, czego VanAndt nie potrafił w żaden sposób zidentyfikować.

Panny Preussler to wszystko nie wytrąciło z równowagi, wręcz zaczęła iść jeszcze pewniejszym krokiem. Przemierzyła kilka różnej wielkości grot i korytarzy. Mogens starał się przekonać sam siebie, że jej zdecydowanie bazowało na pewności, a nie tylko na wierze w szczęście. Nagle stanęła przestraszona i dała znak profesorowi, by uczynił to samo.

- Cicho! - wyszeptała i zgasiła lampę. Zaniepokojony Mogens uczynił pospiesznie to samo. Po kilku sekundach ich oczy, przyzwyczajone do ostrego światła lampy karbidowej, oswoiły się z łagodnym, rozmywającym kontury zielonkawym blaskiem.

- Tam, po drugiej stronie - szepnęła gospodyni. - Wydaje mi się, że tam właśnie byłam. VanAndtowi nie spodobał się niepewny ton jej głosu, ale nie było już odwrotu. Panna Preussler przycisnęła się pod kolejnym nawisem skalnym, po czym zastygła w bezruchu. Profesor zobaczył, że zasłoniła sobie usta ręką, by nie krzyknąć. Jednym susem znalazł się przy niej.

O mało sam nie krzyknął, gdy zobaczył, o co prawie potknęła się jego gospodyni.

Był to ghul. Stworzenie siedziało w kucki dziwnie pochylone do przodu, głowa ze szpiczastymi uszami i szaka-lim pyskiem była spuszczone, a łapy wyciągnięte daleko do przodu. Pozycją przypominał modlącego się muzułmanina, lecz zielonkawe światło odbijające się w szeroko otwartych, zastygłych w bezruchu oczach potwora, nadawało mu wyraz dzikości, nie uniesienia towarzyszącego modlitwie.

- Na litość boską, profesorze, proszę ostrożnie - wyszeptała panna Preussler, gdy VanAndt zbliżył się do klęczącej postaci.

Mogens w końcu kucnął tuż obok ghula. Serce waliło mu ze strachu, a ręce drżały tak mocno, że instynktownie zacisnął je w pięści. A jednak czuł podświadomie, że potwór nie stanowił zagrożenia. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Czy on... jest martwy? - wyszeptała gospodyni.

- Nie - odparł profesor. - Ale coś... - Wzruszył bezradnie ramionami i wyciągnął rękę w kierunku kosmatego ramienia, nie śmiał go jednak dotknąć. - Nie wiem - przyznał w końcu. - Wydaje mi się, że śpi, ale nie jestem pewien. - Właściwie skłamał. Był niemal pewien, że potwór nie śpi, lecz zapadł w stan dziwnego odrętwienia. Oczy miał szeroko otwarte i mrugał nimi od czasu do czasu, VanAndt miał również wrażenie, że słyszy jego ciężki oddech. Mimo to był niemal pewien, że mógłby dotknąć, a nawet przewrócić potwora, a ten by się nie obudził.

- Może Graves ma rację, że wszystkie śpią - powiedział. - Chodźmy. Tylko ostrożnie. Jego uwaga była zupełnie zbędna. Panna Preussler obesła potwora szerokim łukiem. Mogens zauważył, że wstrzymała przy tym oddech.

Okazało się, że śpiących ghuli jest dużo więcej. Im dalej zgłębiali się w podziemny labirynt, natrafiali na tym więcej stworzeń zastygłych w modlitewnej pozie. Profesor zatrzymywał się kilka razy, by spojrzeć na którąś ze śpiących bestii, nie odważył się jednak dotknąć żadnej z nich. Zauważył, że wszystkie patrzyły w tę samą stronę. Ale mógł to być przypadek.

- Niepokojący widok - wyszeptała gospodyni. - Nie wiem, czy nie wolałabym, żeby nie spały.

- Na litość boską, profesorze, proszę ostrożnie - wyszeptała panna Preussler, gdy VanAndt zbliżył się do klęczącej postaci.

Mogens w końcu kucnął tuż obok ghula. Serce waliło mu ze strachu, a ręce drżały tak mocno, że instynktownie zacisnął je w pięści. A jednak czuł podświadomie, że potwór nie stanowił zagrożenia. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Czy on... jest martwy? - wyszeptała gospodyni.

- Nie - odparł profesor. - Ale coś... - Wzruszył bezradnie ramionami i wyciągnął rękę w kierunku kosmatego ramienia, nie śmiał go jednak dotknąć. - Nie wiem - przyznał w końcu. - Wydaje mi się, że śpi, ale nie jestem pewien. - Właściwie skłamał. Był niemal pewien, że potwór nie śpi, lecz zapadł w stan dziwnego odrętwienia. Oczy miał szeroko otwarte i mrugał nimi od czasu do czasu, VanAndt miał również wrażenie, że słyszy jego ciężki oddech. Mimo to był niemal pewien, że mógłby dotknąć, a nawet przewrócić potwora, a ten by się nie obudził.

- Może Graves ma rację, że wszystkie śpią - powiedział. - Chodźmy. Tylko ostrożnie. Jego uwaga była zupełnie zbędna. Panna Preussler obesła potwora szerokim łukiem. Mogens zauważył, że wstrzymała przy tym oddech.

Okazało się, że śpiących ghuli jest dużo więcej. Im dalej zgłębiali się w podziemny labirynt, natrafiali na tym więcej stworzeń zastygłych w modlitewnej pozie. Profesor zatrzymywał się kilka razy, by spojrzeć na którąś ze śpiących bestii, nie odważył się jednak dotknąć żadnej z nich. Zauważył, że wszystkie patrzyły w tę samą stronę. Ale mógł to być przypadek.

- Niepokojący widok - wyszeptała gospodyni. - Nie wiem, czy nie wolałabym, żeby nie spały.

- Na litość boską, profesorze, proszę ostrożnie - wyszeptała panna Preussler, gdy VanAndt zbliżył się do klęczącej postaci.

Mogens w końcu kucnął tuż obok ghula. Serce waliło mu ze strachu, a ręce drżały tak mocno, że instynktownie zacisnął je w pięści. A jednak czuł podświadomie, że potwór nie stanowił zagrożenia. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Czy on... jest martwy? - wyszeptała gospodyni.

- Nie - odparł profesor. - Ale coś... - Wzruszył bezradnie ramionami i wyciągnął rękę w kierunku kosmatego ramienia, nie śmiał go jednak dotknąć. - Nie wiem - przyznał w końcu. - Wydaje mi się, że śpi, ale nie jestem pewien. - Właściwie skłamał. Był niemal pewien, że potwór nie śpi, lecz zapadł w stan dziwnego odrętwienia. Oczy miał szeroko otwarte i mrugał nimi od czasu do czasu, VanAndt miał również wrażenie, że słyszy jego ciężki oddech. Mimo to był niemal pewien, że mógłby dotknąć, a nawet przewrócić potwora, a ten by się nie obudził.

- Może Graves ma rację, że wszystkie śpią - powiedział. - Chodźmy. Tylko ostrożnie. Jego uwaga była zupełnie zbędna. Panna Preussler obesła potwora szerokim łukiem. Mogens zauważył, że wstrzymała przy tym oddech.

Okazało się, że śpiących ghuli jest dużo więcej. Im dalej zgłębiali się w podziemny labirynt, natrafiali na tym więcej stworzeń zastygłych w modlitewnej pozie. Profesor zatrzymywał się kilka razy, by spojrzeć na którąś ze śpiących bestii, nie odważył się jednak dotknąć żadnej z nich.

Zauważył, że wszystkie patrzyły w tę samą stronę. Ale mógł to być przypadek.

- Niepokojący widok - wyszeptała gospodyni. - Nie wiem, czy nie wolałabym, żeby nie spały.

•r'

'•itf

- Na litość boską, profesorze, proszę ostrożnie - wyszeptała panna Preussler, gdy VanAndt zbliżył się do klęczącej postaci.

Mogens w końcu kucnął tuż obok ghula. Serce waliło mu ze strachu, a ręce drżały tak mocno, że instynktownie zacisnął je w pięści. A jednak czuł podświadomie, że potwór nie stanowił zagrożenia. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Czy on... jest martwy? - wyszeptała gospodyni.

- Nie - odparł profesor. - Ale coś... - Wzruszył bezradnie ramionami i wyciągnął rękę w kierunku kosmatego ramienia, nie śmiał go jednak dotknąć. - Nie wiem - przyznał w końcu. - Wydaje mi się, że śpi, ale nie jestem pewien. - Właściwie skłamał. Był niemal pewien, że potwór nie śpi, lecz zapadł w stan dziwnego odrętwienia. Oczy miał szeroko otwarte i mrugał nimi od czasu do czasu, VanAndt miał również wrażenie, że słyszy jego ciężki oddech. Mimo to był niemal pewien, że mógłby dotknąć, a nawet przewrócić potwora, a ten by się nie obudził.

- Może Graves ma rację, że wszystkie śpią - powiedział. - Chodźmy. Tylko ostrożnie. Jego uwaga była zupełnie zbędna. Panna Preussler obeszła potwora szerokim łukiem. Mogens zauważył, że wstrzymała przy tym oddech.

Okazało się, że śpiących ghuli jest dużo więcej. Im dalej zgłębiali się w podziemny labirynt, natrafiali na tym więcej stworzeń zastygłych w modlitewnej pozycji. Profesor zatrzymywał się kilka razy, by spojrzeć na którąś ze śpiących bestii, nie odważył się jednak dotknąć żadnej z nich. Zauważył, że wszystkie patrzyły w tę samą stronę. Ale mógł to być przypadek.

- Niepokojący widok - wyszeptała gospodyni. - Nie wiem, czy nie wolałabym, żeby nie spały. VanAndt był innego zdania. Już miał odpowiedzieć, gdy za nim rozległ się cichy, zawodzący jęk. Odwrócił głowę zaniepokojony. Serce przestało mu na chwilę bić.

Nie zdawało mu się. To było stękanie. Przed nimi poruszała się niewyraźna, blada postać, w zielonkawym świetle przypominająca zjawę. Mimo to Mogens dostrzegł, że była to kobieta - brudna, owinięta w podarte łachmany, z długimi kołtunami włosów opadającymi na twarz. Mimo to Mogens poznał ją od razu.

To była Janice.

J*

W < v i

' & . J i

:>y~" - -jkiłk 1

dy Mogens się ocknął, leżał na boku zwinięty w pozycji embrionalnej. Drżał na całym ciele. Serce biło mu szybko, a pierwszym uczuciem, jakiego doznał, było ogromne pragnienie. Bolała go szyja, z trudem otworzył oczy.

- Proszę nie wstawać, profesorze.

Pamięć nie wróciła od razu, ponieważ w pierwszej chwili głos wydał mu się zupełnie obcy. Spojrzał w oczy pochylonej nad nim kobiecie i dopiero po dłuższej chwili poznał swoją gospodynię.

- Wszystko w porządku? - spytała.

VanAndt chciał odpowiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Gardło nadal bolało go dotkliwie. Wydobył z siebie jedynie bezradny skrzek.

- Chwileczkę. - Panna Preussler zniknęła, a po chwili wróciła z płaską metalową manierką i

przytknęła mu ją do ust.

Mogens łyknął automatycznie i w pierwszej chwili za-

.....'-----*-----'

, j TA czął kaszleć, z trudem łapiąc powietrze

iii:

t

<r ? -r

a ■

J i, , M« ,

l

- Nie tak łąpczywie. - Gospodyni cofnęła manierkę. Profesor mógł się mylić, ale miał wrażenie, że wypowiedziała te słowa lekko ironicznym tonem.

- To... nie jest woda - wydusił z siebie VanAndt.

- Oczywiście, że nie - odparła panna Preussler. - Najlepsza whiskey z Kentucky, ma przynajmniej dwanaście lat. Lepiej się pan czuje?

Próbował odpowiedzieć, ale zaniósł się kaszlem. Nie pijał alkoholu, wręcz go nie znosił, musiał jednak przyznać, że ciepło, które rozeszło mu się w żołądku, było zdecydowanie przyjemne.

Chociaż paliło go gardło, jakby je wypłukał rozcieńczonym kwasem, ból wywołany przez alkohol przywrócił sprawność strunom głosowym.

- Tak - powiedział w końcu z trudem.

Panna Preussler popatrzyła na niego z powątpiewaniem, potem wzruszyła ramionami, sama przytknęła piersiówkę do ust i pociągnęła dużo większy łyk.

- Co się stało? - wymamrotał profesor. - Naprawdę nie wiem... to znaczy... proszę mi wybaczyć, że...

- Powinien się pan zdecydować, czy nie może sobie pan przypomnieć, czy to, czego nie może pan sobie przypomnieć, jest dla pana po prostu krepujące. - Gospodyni z łagodną drwiną w głosie zakręciła butelkę i schowała ją w fałdach sukni, gdzie najwyraźniej musiała być ukryta kieszeń. Zmierzyła VanAndta na wskroś poważnym wzrokiem.

Zamiast odpowiedzieć, Mogens usiadł i odwrócił głowę. Nie byli sami. Kilka kroków od nich przy ścianie siedziała w kucki drżąca postać. Nogi miała przyciągnięte do ciała i siedziała niemal w takiej pozycji, w jakiej on leżał na ziemi. Rękami osłaniała głowę, oczy zakrywały jej brudne kosmyki czarnych włosów, mimo to profesor niemal czuł strach w jej wzroku.

ruchem, podszedł i kucnął pół kroku przed nią.

jej rękę i opuścił delikatnie w dół. Wystraszona próbowała się cofnąć, ale za plecami miała tylko chropowatą ścianę. Podciągnęła kolana jeszcze bliżej ciała. Cała drżała, źrenice miała rozszerzone ze strachu.

Nie były to oczy Janice. Tak samo jak twarz. Kobieta nie była do niej nawet podobna - o wiele za młoda, za to tak wychudzona i wyniszczona, że sprawiała wrażenie staruszki. O ile dobrze rozpoznał rysy jej twarzy ukryte pod brudem i strupami, była Azjatką. Usta miała spękane, w dolnej szczęce brakowało jej prawie wszystkich zębów. Ponieważ sukienka, którą miała na sobie, była potargana na strzępy, VanAndt widział, że reszta ciała znajdowała się w równie opłakanym stanie. Kobieta była nie tylko zagłodzona, ale ewidentnie przez długi okres maltretowana.

- Rozumie mnie pani? - spytał.

Właściwie nie liczył na odpowiedź, ale jej reakcja zaparła mu dech w piersiach. Kobieta zaczęła drżeć jeszcze silniej i znów próbowała odsunąć się od Mogensa. Jej wypełniony łękiem wzrok wbijał się w niego jak rozgrzany do czerwoności sztylet.

Profesorowi zabrakło słów, przejechał tylko bezradnie językiem po ustach.

- Nie... nie musi się pani bać - wymamrotał. - Nic pani nie zrobię.

Słowa te miały efekt wręcz przeciwny. Kobieta zaczęła kwilić i skryła twarz w dłoniach.

- To nie ma sensu - powiedziała cicho panna Preussler. - Obawiam się, że to biedactwo nic nie rozumie. Ja też już próbowałam. Może nie mówi po angielsku.

VanAndt cały czas patrzył prosto w twarz młodej kobiety. Nie powiedział już nic, chociaż teoria gospodyni nie wydała mu się przekonywająca. Dziewczyna bała się samego dźwięku jego głosu. Wyciągnął ostrożnie otwartą dłoń, pokazując, że nie zamierza nikogo bić. Młoda kobieta zaczęła skowyczeć jeszcze głośniejsze i silniej drżeć na całym ciele.

Gdy oddalił się od niej o kilka kroków, a rozmawiając z panną Preussler, nawet nie patrzył w jej kierunku, nadal siedziała przycupnięta przy ścianie. Zasłoniła rękami głowę jak dziecko, które zostało zbite i boi się kolejnego ciosu.

- Nie wydaje mi się... - zaczął ostrożnie, ale gospodyni natychmiast mu przerwała.

- Spróbuję jeszcze raz. Może uspokoiła się trochę.

Mogens nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że niczego nie osiągnęła. Ale cóż miał powiedzieć? Że w żadnym wypadku nie mogą zabrać ze sobą tego biednego stworzenia, ponieważ byłaby im tylko ciężarem, a nawet mogła narazić ich na niebezpieczeństwo? Niewątpliwie byłoby to zgodne z prawdą, o czym panna Preussler też na pewno wiedziała, ale wypowiedzenie tych słów postawiłoby go na równi z Gravesem.

Wzruszył więc tylko ramionami i odwrócił się ostentacyjnie. Uczynił to bardzo powoli, by nieprzemysłanym ruchem nie przestraszyć dziewczyny jeszcze bardziej. Skierował się do wyjścia po drugiej stronie grotu. Również stamtąd przeświecało dobrze już mu znane zielonkawe światło, ale VanAndt na wszelki wypadek chwycił lampę i zaczął grzebać w kieszeni kurtki, chcąc mieć w pogotowiu pudełko zapalek.

Nie przydały się. Wysokie na pięć stóp przejście prowadziło do wąskiego korytarza, który rozszerzał się w kierunku wyjścia oddalonego o jakieś dwadzieścia kroków. Z każdym krokiem ściany były coraz gładziej, aż w końcu przekształciły się w precyzyjnie ułożony mur. Na końcu korytarza zielone porosty zostały starannie usunięte, ale w czerwonożółtym świetle padającym zza kolejnych drzwi Mogens wyraźnie zobaczył malowidła ścienne zdobiące

i.

BP ! V;vi ••

i o

J>

w

j-f.'

—

T i

-r."

olbrzymie kamienne płyty. Gdy podszedł bliżej wyjścia, do smrodu dołączył zapach palącego się drewna. Schylił głowę, chociaż framuga miała przynajmniej dwa metry wysokości, i z bijącym sercem wszedł do kolejnego pomieszczenia, bezwiednie unosząc latarnię.

Tak jak w dużej hali na górze było tu zupełnie pusto, jednak sala nosiła ślady o wiele większych zniszczeń. Część sufitu zawałiła się, odsłaniając wąski szyb nieregularnych kształtów, który najwyraźniej prowadził na powierzchnię. Przez jedną ze ścian od dołu do góry ciągnęła się szeroka na dłoń rysa. W migoczącym świetle profesor dojrzał tańczące drobinki kurzu. Gdy zbliżył się do szczeliny, zauważył, że na podłogę nadal sypał się z niej pył. Cokolwiek się tu wydarzyło, musiało to być bardzo niedawno. VanAndt znów pomyślał o lekkim trzęsieniu ziemi, które miało miejsce wieczorem. Nie miał pojęcia, jak głęboko zesłi, jednak to, co na górze odczuli jako lekki wstrząs, tu mogło być potężnym kataklizmem.

Mogens spojrzał zamyślony w kierunku, z którego przyszedł. Z oddali dobiegł go głos panny Preussler. Nie rozumiał, co mówiła, ale brzmiało to niezwykle łagodnie. Może rzeczywiście udało

jej się zdobyć zaufanie kobiety. Niestety nawet w takim przypadku dziewczyna byłaby dla nich ogromnym ciężarem, choć na pewno o wiele mniejszym, niż gdyby musieli ciągnąć ją siłą. Nagle wystraszył się własnych myśli. Przybyli tu, by odnaleźć i uwolnić więźniów. Dlaczego więc teraz usilnie szukał pretekstu, by zostawić dziewczynę? Otrząsnął się prędko i znów zaczął oglądać salę. Rysunki ścienne, które przetrwały trzęsienie, były dla niego równie zagadkowe jak wszystko inne w tej części miasta.

Profesor chciał zbadać drogę przed nimi, ale obawiał się oddalić od panny Preussler i dziewczyny.

Pomieszczenie

<EL? " , r

"W__> ij.

miało jeszcze drugie wyjście. VanAndt postanowił pójść nim kawałek i zawrócić, gdy natrafi na rozgałęzienie dróg.

Nie zdążył jednak nawet wyjść z sali. Gdy tylko ruszył, usłyszał za sobą szuranie i odwrócił się wystraszony. Jednak to były tylko panna Preussler i ciemnowłosa dziewczyna. Mogens uniósł brwi zaskoczony. Gospodyni trzymała dziewczynę za rękę, ale nie ciągnęła jej za sobą siłą, jedynie prowadziła.

- Szybko zdobyła pani jej zaufanie - zauważył zaskoczony VanAndt.

- Sama byłam zaskoczona - przyznała gospodyni. Po chwili dodała zamyślona, ale z nutą ironii w głosie: - Właściwie uspokoiła się natychmiast, gdy tylko pan zniknął, profesorze.

- Tak? - spytał Mogens. Zmusił się do łagodnego uśmiechu i podszedł do dziewczyny. - Nie bój się. Jesteśmy...

Urwał w pół słowa. Dziewczyna jęknęła przerażona, puściła rękę panny Preussler i jednym susem znalazła się za nią jak dziecko za plecami matki. Profesor zatrzymał się w pół kroku zaskoczony, również gospodyni przez chwilę sprawiała wrażenie bezradnej. Spojrzeniem dała mu do zrozumienia, by nie podchodził bliżej. Próbowwała się odwrócić, ale młoda kobieta trzymała ją tak mocno, że nie mogła wykonać żadnego ruchu.

- Co się z tobą dzieje?! - zawołała. - Nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi!

Dziewczyna zaczęła bronić się jeszcze gwałtowniej. Chwyciła jeszcze bardziej kurczowo suknię panny Preussler, próbując równocześnie skulić się za jej plecami. Mogens automatycznie postąpił krok do przodu, wówczas dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i chwyciła się jeszcze mocniej.

- Profesorze, proszę odejść! - jęknęła gospodyni. -Prędko!

)

m t %

IKA.

0

Mogens był tak zaskoczony, że usłuchał od razu. Zdezorientowany cofnął się tyłem kilka kroków, a dziewczyna rzeczywiście zaraz się uspokoiła. Nadal wprawdzie trzymała kurczowo swoją przewodniczkę, ale przynajmniej przestała krzyżeć. Panna Preussler zdołała się wyswobodzić

1 przytuliła dygocącą dziewczynę.

- Proszę nie podchodzić, profesorze - ostrzegła. Uspokajała młodą kobietę, gładząc ją jedną ręką po głowie, a drugą przyciskając mocno. Dziewczyna odwzajemniła uścisk, jednak ani na chwilę nie spuszczała oczu z VanAndta.

- Obawiam się, że mamy problem - powiedział ostrożnie.

Gospodyni zareagowała dokładnie tak, jak się spodziewał. Nie powiedziała wprawdzie nic, ale rzuciła mu przez ramię gniewne, wymowne spojrzenie.

Profesor czekał cierpliwie. Niesłusznie gniewał się na pannę Preussler, ponieważ uspokoiła przestraszoną dziewczynę w kilka minut. Choć Mogensowi dłużyły się one w nieskończoność, nie miał wyjścia. W końcu gospodyni skinieniem głowy dała znać, że mogą iść dalej.

- Czy wspominałem już, że mamy problem? - przypomniał VanAndt.

- Tak - odparła panna Preussler. Mogens na próżno czekał na dalszą część zdania. W końcu odwrócił się, wzruszając ramionami.

- Proszę powiedzieć, jeśli będę szedł zbyt blisko - bąknął. Wiedział, że zabrzmiało to głupio i dziecinnie, jednak nie mógł się powstrzymać. Gospodyni nie odpowiedziała, ale Mogens zauważył, że ruszyła dopiero, gdy oddalił się od nich o kilka kroków. Już miał na końcu języka uszczypliwą uwagę, ale ostatecznie zachował ją dla siebie.

Opuścili salę. Nie zdążyli przejść nawet dziesięciu kroków, gdy trafili na pierwsze rozgałęzienie.

Profesor stanął niezdecydowany. Korytarz prowadził w obie strony,

m* w.,

jb

kończąc się z każdej z nich kolejnym przejściem rozświetlonym zielonkawym światłem.

- Gdzie teraz? - spytał, odwracając się do panny Preussler i dziewczyny. - Rzucamy monetą czy ma pani jakieś przeczucie?

Również gospodyni zatrzymała się. Nadal prowadziła dziewczynę, teraz obejmując ją troskliwie. W oczach dziewczyny znów pojawił się lęk, gdy tylko zobaczyła, że stanął i odwrócił się do nich, ale twarz panny Preussler promieniała pewnością siebie i determinacją.

Sam nie wiedział, co przeraziło go bardziej.

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, wzruszył ramionami i ruszył na lewo. Znów dopiero po kilku sekundach usłyszał za sobą kroki, które po chwili ucichły. Odwrócił się i zobaczył, że panna Preussler przystanęła. Dziewczyna wyrwała się z jej objęć i ciągnęła ją z całej siły za rękę. Nie pisnęła nawet, ale coraz gwałtowniej potrząsała głową, a drugą ręką wskazywała przeciwny kierunek.

- Najwyraźniej boi się iść w tamtą stronę - powiedziała gospodyni. - Może powinniśmy jej posłuchać.

Mogens patrzył przez chwilę niezdecydowany na zielonkawe światło bijące z końca korytarza. Nie dostrzegł w tej poświacie nic nadzwyczajnego, ale kimkolwiek była towarzysząca im kobieta, na pewno orientowała się lepiej od nich w podziemiach. Mimo to wzbraniał się przed zawierzeniem życia dziewczynie, której nie znali i która nie była już przy zdrowych zmysłach.

Nagle ziemia zatrzęsała się pod jego stopami. Bardzo delikatnie, ale po chwili z jej wnętrza dobył się głuchy zgrzyt. Na ten dźwięk profesor od razu pomyślał o dwóch płytach kontynentalnych ścierających się ze sobą z ogromną siłą, o walących się górach i rozżarzonej lawie tryskającej spod ziemi. Sporym wysiłkiem woli błyskawicznie otrząsnął się z tej strasznej wizji. Byłby nawet skłonny uwierzyć, że

P

■:, r >

fil

'C":

u ■ -szi <aj«ag}i >'

i o' •

" ifi"

li l

poniosła go wyobraźnia, ale usłyszał, jak panna Preussler sapnęła przestraszona, a z sufitu posypał się pył. Z daleka dobiegł ich hałas, coś musiało spaść na ziemię.

- Dobrze więc - zdecydował. - Chodźmy w drugą stronę.

Już po pierwszym kroku musiał stanąć, bo dziewczyna zaraz otworzyła szeroko oczy z przerażenia i przycupnęła za panną Preussler. Poczekał więc, aż kobiety wycofają się do drugiego korytarza.

- Może to raczej my powinniśmy iść przodem? - zapytała gospodyni.

- Wykluczone - odparł. Zanim panna Preussler zdążyła się sprzeciwić, wyprzedził ją i zaczął iść korytarzem w przeciwnym kierunku.

Okazało się, że nie był to najlepszy pomysł. Przy każdym zakręcie czy rozgałęzieniu musieli powtarzać ten sam skomplikowany manewr, bo dziewczyna wpadała w panikę, gdy tylko się

zbliżył. Mimo to Mogens brnął dalej. Było mu już obojętne, czy postępuje mądrze, czy nie. Niemądrze było w ogóle tu przychodzić.

Zwolnił dopiero, gdy znaleźli się przy końcu korytarza. Uniósł lewą dłoń, dając swoim towarzyszkom do zrozumienia, by również zwolniły. Za drzwiami na końcu korytarza zobaczył olbrzymie pomieszczenie rozświetlone zielonkawym światłem. VanAndt prawie przestał zauważać przykry zapach, który cały czas im towarzyszył, ale teraz odór ze zdwojoną siłą uderzył go w nozdrza. Poczł mdłości. Przystanął na chwilę i z trudem wciągnął powietrze. Zaraz poczuł pod językiem kolejną falę gorzkiej zółci.

Ściany komnaty były starannie ociosane i pomalowane. Mogens szacował, że pomieszczenie musi mieć przynajmniej ponad sto stóp szerokości i kilkakrotnie więcej długości.

<Fmm m4 r\

Sufit podziemnej sali był jednak zawalony, a ściany wszędzie nosiły ślady pęknięć. Strop, niegdyś kunsztownie zdobiony, wspierany przez cały las grubych, kamiennych kolumn, teraz w wielu miejscach zwiślał jak źle rozpięty namiot, a pośrodku sali zapadł się zupełnie. Profesor widział to wszystko jak przez mgłę, ponieważ dziwne rośliny, teraz oderwane od podłoża, zdawały się zatracić swoją naturalną zdolność świecenia.

Uwagę Mogensa przykuło jednak coś, co przstraszyło go o wiele bardziej niż ślady pozostawione przez trzęsienie ziemi. W sali były nie tylko gruzy...

Tuż za drzwiami zobaczył przynajmniej pół tuzina ghuli. Większość tkwiła w tej samej pozycji modlitewnej, co pierwszy potwór. Jednak przynajmniej dwa leżały na ziemi dziwnie wykręczone.

- Profesorze? - W głosie panny Preussler pobrzmiwał niepokój.

- Proszę tam zostać - odpowiedział Mogens. - Przynajmniej przez moment.

Z bijącym sercem ruszył w głąb sali. Pożałował, że nie zapalił lampy. By zrobić to teraz, chociaż trzymał w dłoni pudełko zapalek, musiałby na chwilę odwrócić wzrok od ghuli, a wbrew logice był przekonany, że potwory rzucą się na niego, gdy spuści je z oczu. Tylko wokół siebie naliczył ich dziesięć, a jeszcze więcej w słabiej oświetlonej części sali. Kolana drżały mu tak mocno, że z trudem stawał prosto stopy

Mimo to szedł dalej. Żaden z potworów nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, chociaż, jak zdążył się zorientować, ghule wcale nie były pogrążone we śnie ani nieprzytomne. Oczy miały szeroko otwarte, słyszał ich ciężkie oddechy.

- Profesorze? - znów dobiegł go z korytarza głos panny Preussler. - Wszystko w porządku?

« 1 . i O 1

- Jeszcze tylko chwilę - odparł. Wolałby, aby nie zmuszała go do mówienia. Rozum podpowiadał mu, że nie miało znaczenia, czy zachowywał się głośno, czy cicho, mimo to był coraz mocniej przekonany, że przy najdrobniejszej nieostrożności ghule wyrwą się z dziwaczного odrętwienia i rzucą na niego. W końcu stłumił w sobie strach i poszedł dalej. Jego uwaga skupiła się teraz w mniejszym stopniu na dwóch innych potworach.

Te były bez wątpienia martwe. Jeden z nich leżał wykręcony jakby w przedśmiertnym spazmie. Profesor nie potrafił stwierdzić, w jaki sposób zginął. Natomiast w przypadku drugiego nie było żadnych wątpliwości. Leżał na boku w wielkiej, na wpół zaschniętej już kałuży krwi. W miejscu, gdzie powinna się znajdować jego głowa, leżał długi na jakieś dwie stopy kamienny blok.

Mogens klęknął niepewnie obok zabitego potwora, nie miał jednak odwagi go dotknąć. Chociaż akurat ten ghul już na pewno nie stanowił żadnego zagrożenia, napawał go jeszcze większym lękiem niż jego żyjący pobratymcy.

Profesor wstał i spojrział w górę. W suficie brakowało kilku kamiennych bloków. Nagle odwrócił się jak rażony piorunem, gdy usłyszał za sobą ciche stęknienie.

Gdyby ghul rzeczywiście chciał się na niego rzucić, VanAndt miałby marne szanse ucieczki. Lecz potwór tylko uniósł się, opierając prawą ręką na posadzce, i przez chwilę zastygł w tej pozycji, drżąc na całym ciele. Potem jęcząc, powoli opadł na bok i znieruchomiał ponownie.

Serce Mogensa waliło jak młot, ale nie wydarzyło się już nic więcej. Bestia pozostała w bezruchu, czasem tylko z jej muskularnej piersi dobywał się żalony jęk, a kończyny drgały lekko. Wówczas profesor zdobył się na odwagę, żeby nie powiedzieć - szaleństwo. Zamiast uciec, póki było to możliwe, podszedł do ghula i pochylił się nad nim ostrożnie.

M

>|S ii

•T' -.

- Jeszcze tylko chwilę - odparł. Wolałby, aby nie zmuszała go do mówienia. Rozum podpowiadał mu, że nie miało znaczenia, czy zachowywał się głośno, czy cicho, mimo to był coraz mocniej przekonany, że przy najdrobniejszej nieostrożności ghule wyrwą się z dziwnego odrętwienia i rzucą na niego. W końcu stłumił w sobie strach i poszedł dalej. Jego uwaga skupiła się teraz w mniejszym stopniu na dwóch innych potworach.

Te były bez wątpienia martwe. Jeden z nich leżał wykręcony jakby w przedśmiertnym spazmie. Profesor nie potrafił stwierdzić, w jaki sposób zginął. Natomiast w przypadku drugiego nie było żadnych wątpliwości. Leżał na boku w wielkiej, na wpół zaschniętej już kałuży krwi. W miejscu, gdzie powinna się znajdować jego głowa, leżał długi na jakieś dwie stopy kamienny blok.

Mogens klęknął niepewnie obok zabitego potwora, nie miał jednak odwagi go dotknąć. Chociaż akurat ten ghul już na pewno nie stanowił żadnego zagrożenia, napawał go jeszcze większym lękiem niż jego żyjący pobratymcy.

Profesor wstał i spojrzał w górę. W suficie brakowało kilku kamiennych bloków. Nagle odwrócił się jak rażony piorunem, gdy usłyszał za sobą ciche stęknienie.

Gdyby ghul rzeczywiście chciał się na niego rzucić, VanAndt miałby marne szanse ucieczki. Lecz potwór tylko uniósł się, opierając prawą ręką na posadzce, i przez chwilę zastygł w tej pozycji, drżąc na całym ciele. Potem jęcząc, powoli opadł na bok i znieruchomiał ponownie.

Serce Mogensa waliło jak młot, ale nie wydarzyło się już nic więcej. Bestia pozostała w bezruchu, czasem tylko z jej muskularnej piersi dobywał się żalony jęk, a kończyny drgały lekko. Wówczas profesor zdobył się na odwagę, żeby nie powiedzieć - szaleństwo. Zamiast uciec, póki było to możliwe, podszedł do ghula i pochylił się nad nim ostrożnie.

VanAndtowi ścisnęło się gardło, gdy popatrzył stworzeniu w oczy i zobaczył rozumne spojrzenie. Ghul nie tylko był świadomy, ale obserwował go uważnie!

Mimo to Mogens nachylił się jeszcze niżej. Przeszedł go lodowaty dreszcz, kiedy zobaczył otwartą ranę w boku potwora. Również w niego musiał trafić spadający kamień. Chociaż na pewno stwór cierpiał i przeczuwał nadchodzącą śmierć, starał się leżeć spokojnie i nie wydawać żadnych dźwięków.

- Profesorze, co...? - Usłyszał szybkie kroki panny Preussler, które ucichły gwałtownie. - Dobry Boże, co to jest?

Mogens z trudem oderwał wzrok od umierającego ghula, by na nią spojrzeć. Gospodyni stała krok za nim i wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w drżącą postać. Ręką przysłoniła usta, jakby chciała stłumić krzyk. W zielonkawym świetle zacierającym kolory jej przerażona twarz wyglądała trupio blade.

- Wydaje mi się, że Graves miał rację - wymamrotał VanAndt. - One są pogrążone w czymś w rodzaju... odrętwienia. Nie wiem dlaczego, ale musimy...

Ziemia zadrżała. Tym razem nie był to lekki wstrząs, lecz silne tąpnięcie, które nieomal zwaliło ich z nóg. Huk odbił się przeciągłym echem od ścian, a na ziemię poleciał pył i grad drobnych kamieni, które jakimś cudem nie trafiły jednak ani w Mogensa, ani w pannę Preussler. Powietrze nagle przesiąkło kurzem, tak że trudno było oddychać.

- Musimy... stąd uciekać. - Profesor zaczął kaszleć. -Cały ten kram zaraz runie w dół! Gospodyni z wyraźnym wysiłkiem oderwała oczy od umierającego potwora i spojrzała na VanAndta. Miał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale jej usta poruszały się, nie wydając żadnego

dźwięku. Chyba po raz pierwszy zobaczył w jej oczach równie paniczny lęk. Z zadziwiającą w takim momencie trzeźwością umysłu zastanawiał się, co pocnie,

1 , • V '* „

VanAndtowi ścisnęło się gardło, gdy popatrzył stworzeniu w oczy i zobaczył rozumne spojrzenie. Ghul nie tylko był świadomy, ale obserwował go uważnie!

Mimo to Mogens nachylił się jeszcze niżej. Przeszedł go lodowaty dreszcz, kiedy zobaczył otwartą ranę w boku potwora. Również w niego musiał trafić spadający kamień. Chociaż na pewno stwór cierpiał i przeczuwał nadchodzącą śmierć, starał się leżeć spokojnie i nie wydawać żadnych dźwięków.

- Profesorze, co...? - Usłyszał szybkie kroki panny Preussler, które ucichły gwałtownie. - Dobry Boże, co to jest?

Mogens z trudem oderwał wzrok od umierającego ghula, by na nią spojrzeć. Gospodyni stała krok za nim i wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w drżącą postać. Ręką przysłoniła usta, jakby chciała stłumić krzyk. W zielonkawym świetle zacierającym kolory jej przerażona twarz wyglądała trupio bledo.

- Wydaje mi się, że Graves miał rację - wymamrotał VanAndt. *- One są pogrążone w czymś w rodzaju... odrętwienia. Nie wiem dlaczego, ale musimy...

Ziemia zadrżała. Tym razem nie był to lekki wstrząs, lecz silne tąpnięcie, które nieomal zwaliło ich z nóg. Huk odbił się przeciągłym echem od ścian, a na ziemię poleciał pył i grad drobnych kamieni, które jakimś cudem nie trafiły jednak ani w Mogensa, ani w pannę Preussler. Powietrze nagle przesiąkło kurzem, tak że trudno było oddychać.

- Musimy... stąd uciekać. - Profesor zaczął kaszleć. -Cały ten kram zaraz runie w dół!

Gospodyni z wyraźnym wysiłkiem oderwała oczy od umierającego potwora i spojrzała na VanAndta. Miał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale jej usta poruszały się, nie wydając żadnego dźwięku. Chyba po raz pierwszy zobaczył w jej oczach równie paniczny lęk. Z zadziwiającą w takim momencie trzeźwością umysłu zastanawiał się, co pocnie,

I

■

"< 1

-i

*

'«&■. \$ te

i

W

W

VanAndtowi ścisnęło się gardło, gdy popatrzył stworzeniu w oczy i zobaczył rozumne spojrzenie. Ghul nie tylko był świadomy, ale obserwował go uważnie!

Mimo to Mogens nachylił się jeszcze niżej. Przeszedł go lodowaty dreszcz, kiedy zobaczył otwartą ranę w boku potwora. Również w niego musiał trafić spadający kamień. Chociaż na pewno stwór cierpiał i przeczuwał nadchodzącą śmierć, starał się leżeć spokojnie i nie wydawać żadnych dźwięków.

- Profesorze, co...? - Usłyszał szybkie kroki panny Preussler, które ucichły gwałtownie. - Dobry Boże, co to jest?

Mogens z trudem oderwał wzrok od umierającego ghula, by na nią spojrzeć. Gospodyni stała krok za nim i wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w drżącą postać. Ręką przysłoniła usta, jakby chciała stłumić krzyk. W zielonkawym świetle zacierającym kolory jej przerażona twarz wyglądała trupio bledo.

- Wydaje mi się, że Graves miał rację - wymamrotał VanAndt. One są pogrążone w czymś w rodzaju... odrętwienia. Nie wiem dlaczego, ale musimy...

Ziemia zadrżała. Tym razem nie był to lekki wstrząs, lecz silne tąpnięcie, które nieomal zważyło ich z nóg. Huk odbił się przeciągłym echem od ścian, a na ziemię poleciał pył i grad drobnych kamieni, które jakimś cudem nie trafiły jednak ani w Mogensa, ani w pannę Preussler. Powietrze nagle przesiąkło kurzem, tak że trudno było oddychać.

- Musimy... stąd uciekać. - Profesor zaczął kaszleć. -Cały ten kram zaraz runie w dół! Gospodyni z wyraźnym wysiłkiem oderwała oczy od umierającego potwora i spojrzała na VanAndta. Miał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale jej usta poruszały się, nie wydając żadnego dźwięku. Chyba po raz pierwszy zobaczył w jej oczach równie paniczny lęk. Z zadziwiającą w takim momencie trzeźwością umysłu zastanawiał się, co pocnie,

* ' rA\<i

S

jiv? i? :m

m

gdy panna Preussler rzeczywiście wpadnie w panikę i zrobi coś głupiego. Ważyła dwa razy tyle co on i, jak udowodniła dziś rano, mimo zaawansowanego wieku była w doskonałej kondycji. Mogens nie sądził, by mógł ją łatwo obezwładnić.

Groźna chwila minęła jednak równie szybko, jak przyszła. Nieokiełznany strach w oczach gospodyni zgasł i teraz wydawała się raczej zawstydzona, że niemal straciła nad sobą kontrolę. Potem cofnęła się o krok, wyciągnęła demonstracyjnie rękę i bez słowa wyjęła zapalki z ręki profesora. Zapaliła lampę i oślepiony VanAndt zamknął oczy.

- Tłumaczył mi pan bardzo obszernie, że to miasto istnieje od pięciu tysięcy lat, profesorze - powiedziała spokojnie. - Więc wytrzyma jeszcze kilka godzin.

Mogens darował sobie wyjaśnianie, że prawdopodobieństwo katastrofy rosło nie tylko proporcjonalnie do wieku ruin, ale przede wszystkim do liczby kolejnych wstrząsów. Rozejrzał się ostrożnie dokoła, przyzwyczajając wzrok do ostrego światła. Trudno było mu to przyznać, ale gospodyni zapewne miała rację, chociaż powód był zupełnie inny. Nawet jeśli udałoby im się od razu znaleźć drogę powrotną, w co VanAndt wątpił, potrzebowaliby przynajmniej godziny, by dotrzeć na powierzchnię. Nie mieli więc innego wyjścia, jak podjąć ryzyko.

- Pięć tysięcy lat! - powtórzyła panna Preussler karcącym tonem. - Przecież każdy wie, że Pan Bóg stworzył świat cztery tysiące lat temu! Gdy wydostaniemy się stąd, profesorze, będziemy musieli poważnie porozmawiać.

Mogensowi przemknęło przez myśl, że w takim razie nie jest pewien, czy w ogóle chce się stąd wydostać. Odebrał gospodyni zapalki, po chwili i jego lampa już świeciła.

- Gdzie jest dziewczyna? - spytał.

Panna Preussler przez chwilę wpatrywała się w niego skonsternowana, po czym krzyknęła i błyskawicznie wybiegła z sali.

VanAndt wodził lampą dokoła, próbując oświetlić tylną część hali, ale na próżno. Zobaczył tylko, że zniszczenia w tylnej części były jeszcze poważniejsze, niż sądził z początku. Runął tam cały strop, a grube kamienne kolumny leżały połamane jak trzcina lub wystawały z morza gruzu jak maszty zatopionych statków. Tysiące ton skały i kamiennych bloków leżało na ziemi nie dalej niż czterdzieści kroków od niego. Jeśli siedziały tam ghule, nie miały najmniejszych szans.

W przesuającym się świetle rozbłysło coś jasnego i z pewnością nie był to płasający tuman kurzu. Mogens zniżył lampę i dojrzał, że u stóp olbrzymiej sterty gruzu coś się poruszało. Czyżby jednak któryś z potworów przeżył katastrofę?

Po chwili wahania profesor podszedł bliżej. Chociaż rozsądek podpowiadał mu, że ghul nie stanowi żadnego zagrożenia, wolał zachować ostrożność. W końcu śmiertelnie ranione zwierzęta bywają bardzo agresywne.

Nie zobaczył jednak żadnego z szakalogłowych. To, co zobaczył w silnym świetle lampy karbidowej, przywiodło mu na myśl obrzydliwe ślimaki, które widzieli w obozie, tyle że to stworzenie było znacznie większe i jeszcze bardziej ohydne. Spadające kamienie częściowo je zmiażdżyły, tak że Mogens mógł się jedynie domyślać jego wcześniejszych rozmiarów, ale nawet

pozostała część była większa od męskiej ręki. Ciało tej istoty składało się z segmentów jak dżdżownice, jednak wciąż bardziej przypominała mu ona ślimaka. Stworzenie to również było przezroczyste, tak że widział pulsujące wewnątrz organy.

VanAndt uniósł stopę, by dobić obrzydliwego ślimaka, w końcu zmienił jednak zamiar i powiodł powoli lampą wokoło. Odkrył na ziemi jeszcze więcej wstrętnych, ciężko rannych stworzeń. W końcu promień światła zatrzymał się na ręce wystającej ze sterty gruzu.

Była to ręka ludzka.

Profesor rzucił się na kolana i zaczął obydwoma rękami odgarniać gruz. Ktokolwiek leżał pod tą stertą, miał marne szanse na przeżycie. Nie zmieniało to jednak faktu, że leżał przed nim przysypany człowiek.

Coraz szybciej i energiczniej odrzucał kamienie, ciskał na bok odłamki skał, które normalnie z trudem by dźwignął. Dokopał się w końcu do ramienia, klatki piersiowej i twarzy. Tak samo gwałtownie, jak zaczął grzebać, teraz bezradnie opuścił ręce.

Nic już nie mógł zrobić. Oprócz licznych, raczej niegroźnych zadrapań nie dostrzegł większych obrażeń, ale szeroko otwarte oczy ciemnowłosej kobiety nie zdradzały żadnych oznak życia.

- Już jesteśmy, profesorze - dobiegł go z tyłu głos panny Preussler. - Proszę sobie wyobrazić, że to biedne dziecko było rzeczywiście...

Urwała nagle przestraszona, dojrawszy, co Mogens właśnie odkopał. VanAndt wzdrygnął się zaniepokojony, gdy zobaczył dziewczynę uczeploną obydwoma rękami ramienia gospodyni. Gdy dostrzegła zmarłą, profesor obawiał się najgorszego, jej twarz i oczy były jednak obojętne.

Mimo to Mogens powiedział prędko:

- Może byłoby lepiej, gdyby...

Panna Preussler w mig go pojęła. Delikatnie, ale stanowczo oswobodziła się z uścisku dziewczyny i otoczyła ją ramieniem, próbując odciągnąć chociaż kawałek na bok. Ta cofnęła się posłusznie o krok, potem jednak stanęła, usiłując jedną ręką zabrać gospodyni lampę, a drugą wyciągając w stronę pogrążonego w ciemności wierzchołka hałdy. Zaczęła stawiać coraz większy opór pannie Preussler i gestykulowała coraz energiczniej.

- Najwyraźniej chce tam iść. - Gospodyni rzuciła profesorowi błagalne spojrzenie.

Potrząsnął zdecydowanie głową.

- To zbyt niebezpieczne. - Już na samą myśl o dalszym zagłębianiu się w labirynt gruzu, niebezpiecznych pułapek i ostrych jak brzytwa kamieni zrobiło mu się słabo.

Dziewczyna nie przestawała jednak gestykulować i szarpać się z panną Preussler. W końcu puściła swoją przewodniczkę i z zadziwiającą zręcznością zaczęła wspinać się na stertę gruzu.

Gospodyni z początku patrzyła za nią przerażona, po chwili jednak w jej oczach pojawiła się zacięta stanowczość. Uniosła lewą ręką lampę nad głowę, drugą zakasała sukienkę i ruszyła za dziewczyną.

Mogensa ogarnęło przerażenie, jednak szybko ustąpiło miejsca rezygnacji. Oszczędził sobie przywoływania panny Preussler i przemawiania jej do rozsądku. Ruszył za kobietami.

Wdrapanie się na hałdę było trudniejsze, niż sądził. Sterta gruzu, połamanych bloków i płyt kamiennych tylko wyglądała na stabilną. Tymczasem spod dłoni i stóp ciągle osuwał się żwir, czasem większy kamień staczał się z hukiem w dół. Na domiar złego VanAndt usłyszał gdzieś w górze groźnie brzęmiący zgrzyt, a może był to tylko wytwór jego wyobraźni. Dwa razy upadł i zsunął się spory kawałek w dół zbocza, w końcu jednak dotarł na szczyt.

Panna Preussler wyciągnęła do niego dłoń i gdyby Mogens był nieco bardziej wyczerpany i sfrustrowany, za to trochę mniej dumny, z pewnością skorzystałby z jej pomocy. Teraz jednak tylko spojrzał na nią rozdrażniony i pokonał te kilka ostatnich metrów o własnych siłach. Przy okazji złamał sobie boleśnie paznokiec i uderzył się tak mocno w ramię, że rana znów zaczęła krwawić. W końcu stanął z zaciśniętymi zębami obok gospodyni, sapiąc z wyczerpania. Zmierzyła go ni to lekceważącym, ni to rozbawionym, ale z pewnością wyrażającym dezaprobatę wzrokiem.

Dziewczyna jednak zniknęła, chociaż nie mogła zejść daleko - Mogens nadal słyszał jej ciężki oddech i kroki, którym towarzyszył odgłos osuwających się kamieni. W końcu zdołał oświetlić ją lampą.

Młoda kobieta odwróciła przestraszona głowę i spojrzała na nich, mrużąc oczy. Światło zdawało się

napawać ją strachem. Ruszyła przed siebie z zadziwiającą zręcznością, jakby całe życie nie robiła nic innego, tylko wspinała się po ruinach i pokonywała niewidzialne przeszkody.

Myśli panny Preussler podążyły najwyraźniej w tym samym kierunku, ponieważ już miała ruszyć za dziewczyną. Tym razem jednak Mogens chwycił ją mocno za ramię i przytrzymał.

- Chce się pani zabić?

- Ale...

- Żadne „ale”! - uciął profesor. Panna Preussler, która nigdy wcześniej nie słyszała tak ostrych słów z jego ust, otworzyła szeroko oczy z niedowierzaniem i wpatrywała się w niego osłupiała.

Mogens ciągnął dalej nieco ciszej, ale równie zdecydowanym tonem: - Musimy stąd uciekać! Grota może się zawalić w każdej chwili, nie pojmuje pani tego?

Odczuł niemal ulgę, gdy w końcu dojrzał w jej oczach strach. Przez chwilę patrzyła na niego jeszcze pytająco, po czym skierowała snop światła na sufit.

VanAndt wystraszył się nie na żarty. Doszedł do wniosku, że jego szacunki były zbyt optymistyczne. Niegdyś kunsztownie malowany strop teraz już prawie nie istniał. Tylko jeden jedyny, dziwnie wygięty słup niedaleko chronił sufit przed zupełnym zawaleniem. Profesor uświadomił sobie w panice, że kolejne wstrząsy powtarzają się coraz częściej. Ostatni miał miejsce pięć czy sześć minut temu, ile więc czasu zostało im jeszcze?! Kolejny mógł przyjść w każdym 340 momencie, a gdy nastąpi, sala zawali się jak domek z kart!

m

A m

4 Wy

- Ale nie możemy jej tak po prostu... - zaczęła panna Preussler.

- Co? - wszedł jej w słowo Mogens. Pokręcił głową z ubolewaniem. - Proszę mi wierzyć, panno Preussler, tak samo jak pani nie chcę opuszczać w potrzebie tego biednego stworzenia, ale musimy uciekać. Nawet nie byłibyśmy w stanie jej dogonić.

Rzeczywiście kroki prawie zupełnie już ucichły, a gdy Mogens poświecił za dziewczyną, z ciemności wynurzył się jedynie gruz i tuman kurzu.

- Naprawdę chce pani tam pójść? - spytał.

Gospodyni milczała, a profesor poczuł się tchórzem,

niemał zdrajcą. Nie w stosunku do tej młodej kobiety, dla której prawdopodobnie i tak nie mogli już wiele zrobić, ale wobec panny Preussler, która liczyła na jego pomoc i wsparcie. Po kilku chwilach powiedział cicho, łagodnie:

- Panno Preussler... Betty... Musimy stąd uciekać, i to szybko.

- Tak - wyszeptwała. Wydawało się VanAndtowi, czy w jej oczach zabłyśły łzy? - Ma pan rację, profesorze.

Odetchnął z ulgą. W tym samym momencie doszedł ich z ciemności przeraźliwy krzyk.

Panna Preussler zerwała się tak gwałtownie, że sam ten ruch zwałił ją ponownie z nóg i upadła na kolana. Wstała jednak błyskawicznie i skoczyła przed siebie, wymachując latarnią, jakby chciała rozciąć ciemność ognistym sztyletem. Przez chwilę Mogens był tak przerażony, że wpatrywał się w nią bez ruchu. Ale cóż mógł zrobić, ruszył za nią.

Chociaż biegł, nie zwracając już na nic uwagi, nie mógł nadażyć za gospodynią. Próbował przyspieszyć, ale to wytrąciło go tylko z rytmu i omal się nie przewrócił. Gdy odzyskał równowagę, panna Preussler prawie zniknęła mu z oczu, lecz nagle stanęła. Światło jej lampy przestało drżeć nerwowo, w skupieniu utkwiała wzrok gdzieś przed sobą. Mogens jeszcze nie widział, co tak przykuło jej uwagę. W końcu dotarł do niej, ciężko dysząc.

- Co pani sobie wyobra...? - Słowa uwięzły mu w gardle, gdy zobaczył, gdzie padało światło jej lampy.

Tuż przed gospodynią sufit był zupełnie zwalony, ale obok wystawał spod gruzu cudem ocalały fragment pękniętej kolumny. Dzięki niemu sufit nie zapadł się całkowicie, pozostawiając pod sobą niewielką niszę.

Miejsce to stało się śmiertelną pułapką. Mogens naliczył przynajmniej pół tuzina ciał leżących w kałużach krwi. Domyślał się, że kobiety - bo były to wyłącznie kobiety - uciekły tutaj, gdy nastąpił ostatni wstrząs. Ocalały słup uchronił je przed zmiążdżeniem przez strop, który spadł niczym tłok ogromnej prasy, nie uratował ich jednak przed śmiercią - na ofiary posypał się bowiem grad kamiennych odłamków. Los podarował im kilka dodatkowych chwil życia, by potem tym brutalniej je odebrać.

- Czy to są... te kobiety, które pani widziała? - spytał niepewnie. Nie panował do końca nad własnym głosem.

- Wydaje... mi się... - Panna Preussler mówiła równie cichym, urywanym głosem. Przesunęła nerwowo dłoń po brodzie i ustach. - Ale... nie jestem pewna, czy... - Urwała.

Mogens dobrze ją rozumiał. Kobiety musiały szybko wyzionąć ducha, ale z pewnością nie była to lekka śmierć. Zostały dosłownie ukamienowane, a ich ciała stanowiły straszliwy widok. Jediną żywą istotą w tej niesymetrycznej wnęce była ciemnowłosa dziewczyna, która klęczała kilka kroków od nich, kiwając się to w tył, to w przód. Ale przynajmniej już nie krzyczała.

- Niech pani się nią zajmie - powiedział VanAndt. -Bardzo proszę.

Gospodyni w końcu wyrwała się z odrętwienia i podeszła do dziewczyny. Również profesor zebrał się na odwagę i zrobił kilka kroków w stronę pierwszego ciała. Gdy kucnął,

■ : • A <■ W'

H

"f

rozległ się przenikliwy trzask. Na szczęście tylko jego stawów, nie sufitu nad ich głowami. Kobieta była martwa, musiały zabić ją kamienie spadające z góry. Jej twarz wyrażała raczej zaskoczenie niż ból, co świadczyło o tym, że śmierć szybko ją zabrała. Mogens nie potrafił oszacować wieku zmarłej. Mogła być niewiele starsza od niego, ale sprawiała wrażenie niedołęznej i wyniszczonej.

- Profesorze - usłyszał głos panny Preussler. Zignorował ją i podszedł do kolejnego ciała, i kolejnego, aż w końcu zbadał wszystkie.

Była to najbardziej przerażająca czynność, do jakiej się zmusił, ale Mogens czuł, że to jego obowiązek - musiał sprawdzić, czy rzeczywiście żadna z kobiet nie żyła. Przyłapał się jednak na tym, jaką zgrozą przejmowała go myśli, że mógłby znaleźć kogoś żywego.

- Profesorze! - powiedziała panna Preussler jeszcze raz. Jej głos zabrzmiał nieco skrzekliwie. VanAndt jednak kontynuował oględziny, aż przekonał się, że wszystkie kobiety były martwe. Odkrycie to napełniło go bezsilnym gniewem, ale z drugiej strony odczuł ulgę, czego ogromnie się wstydził.

- Profesorze! - Tym razem w głosie gospodyni wyczuł rosnącą panikę. Odwrócił się zaniepokojony i zastygł, nie dowierzając własnym oczom.

Dziewczyna nadal klęczała i kiwała się. Miała zamknięte oczy i przyciskała do piersi owinięte w szmaty zawiniątko. Mogensowi zdawało się, że nuci rytmicznie. Tknięty złym przecuciem wstał i podszedł bliżej. Gdy zobaczył, co jest w zawiniątku, niepokój ustąpił grozie.

Było to dziecko.

Ale nie zwykłe dziecko.

Miało najwyżej cztery miesiące, ale na pewno nie było ludzkim dzieckiem. Jego skórę pokrywał gęsty jasnobrązowy puszek, który z czasem przekształciłby się zapewne s-**.

4

PsK „K -"f - '

ii i HAtf i'

'i o

w szpeciniaste futro. Rączki, chociaż maleńkie, już teraz bardziej przypominały łapy drapieżnego zwierzęcia niż ludzkie dłonie. Zamiast twarzy VanAndt zobaczył głowę szakala.

Był to mały ghul.

ogens dłuższą chwilę wpatrywał się w straszną istotę w ramionach dziewczyny. Miał wrażenie, że traci grunt pod nogami, choć nie z powodu kolejnego wstrząsu. Wszystko wokół niego wirowało. Groza, która go ogarnęła, w mniejszym stopniu wiązała się z tym, co zobaczył, a raczej z tym, co ten widok oznaczał. Myśl ta była zbyt groteskowa, a zarazem przerażająca, by mogła z całą świadomością dotrzeć do VanAndta.

- Ono nie żyje, profesorze - powiedziała panna Preussler cichym, bezdźwięcznym głosem. - Proszę spojrzeć.

Bardzo ostrożnie podeszła do dziewczyny i wyciągnęła ręce w kierunku zakrwawionego zawiniątka, nie dotknęła go jednak. Młoda kobieta cofnęła się gwałtownie, wystraszona, i mocniej przycisnęła niemowlę do siebie. Gdyby Mogens nie był tak zszokowany widokiem ghula, z pewnością zauważyłby od razu, że dziecko zabiły spadające kamienie albo że udusiło się w kłębach pyłu. Szmaty otulające jego ciało były mokre od krwi, a przy otwartym pysku, już teraz uzbrojonym w drobniutki, ostre jak igły zęby, zakrzepła cienka strużka ciemnoczerwonej krwi.

Ziemia zadrżała lekko. Z sufitu posypał się pył, a chwilę później usłyszeli głośny huk gdzieś wyżej.

- Musimy uciekać - powiedział Mogens nerwowo. - Panno Preussler, proszę, musi ją pani jakoś uspokoić. Pro-

544 szę ją skłonić do zostawienia tego... czegoś.

.w-

(lip

v

li w

Tak jak się spodziewał, gospodyni rzuciła mu surowe spojrzenie. Zrobiło mu się przykro, ale po prostu nie potrafił nazwać dzieckiem tego wstrętnego stworzenia. Patrzył na pannę Preussler i zrozpaczoną dziewczynę, równocześnie nasłuchując, czy kamienie nie trzeszczą podejrzenie albo czy ziemia nie drży pod stopami. Po tym, co zobaczył, niemal wpadł w histerię. Wprawdzie rozsądek podpowiadał mu, że musi istnieć jakieś sensowne wyjaśnienie, równocześnie jednak był pewien, że istniało tylko jedno - jakkolwiek absurdalne by się nie wydawało.

- Ma pan rację, profesorze - zgodziła się niepewnie gospodyni. - Spróbuję.

Widać było, jak nieswojo się czuje, podchodząc drugi raz do dziewczyny i ostrożnie wyciągając do niej rękę. Na twarzy nadal miała wymalowany strach i współczucie, ale widać było, że lęk coraz bardziej przeważa.

- Musisz je tu zostawić, rozumiesz? - wyszeptwała. - Wiem, jak się czujesz. Bardzo... mi przykro, ale nie możemy zabrać twojego dziecka.

Dziewczyna skuliła się bojaźliwie, ale nie próbowała już cofnąć się przed panną Preussler.

Pozwoliła jej się nawet przytulić, ale zakrwawione zawiniątko przycisnęła do piersi jeszcze mocniej.

Ziemia zatrzęsała się, choć nieznacznie. Nie było kolejnego huku, ale z sufitu znów posypał się pył, niedaleko roztrzaskał się o ziemię kamienny blok wielkości ludzkiej głowy.

- Panno Preussler! - ponaglił Mogens zdenerwowany.

- Musisz je tu zostawić, rozumiesz mnie? - powtórzyła cicho gospodyni. Delikatnie pogładziła dziewczynę po głowie. Ta nie wzbraniała się, ale gdy panna Preussler chciała drugą ręką sięgnąć po zawiniątka, wyrwała się i odskoczyła. Błysnęła oczami i wydała z siebie dźwięk przypominający gniewne fukanie kota.

t"-l i i. i \

M)

>\\A t

fi

O4-- •

-L

%

I i-iii" ' "

CIA I

ii :

'1

- Panno Preussler! - niemal krzyknął profesor. Uczyniła w jego kierunku gniewny gest ręką i znów zaczęła uspokajać dziewczynę. VanAndt wiedział już, że nie ma to najmniejszego sensu. Pewnie nawet nie rozumiała, co do niej mówią.

- To nie ma sensu - powiedział na głos. Było za późno na delikatną perswazję. Jeśli w ciągu minuty stąd nie wyjdą, będą straceni. Podszedł do gospodyni, odsunął ją bez namysłu na bok i wyciągnął rękę po dziecko.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Jej połamane, ostre jak brzytwa paznokcie przejechały po dłoni Mogensa, zostawiając głębokie, piekące zadrapania. Profesor, w ostatniej chwili zdążył odrzucić w tył głowę i uniknąć ciosu w twarz. Zatoczył się niezręcznie i uderzył w słup, który zadygotał pod jego ciężarem. Kolejny raz posypał się pył z sufitu. Ziemia zadrżała, tym razem o wiele dłużej, i znów usłyszeli niepokojący huk. Teraz VanAndt był pewien, że nie był to odgłos ścierających się ze sobą płyt skalnych. To powietrze grzmiało pod wpływem niewyobrażalnej siły, która kłębiła się pod nimi w sercu ziemi.

Mogens był przerażony, ale i dziwnie apatyczny. Pojął, że kolumna wcale nie zadrżała pod naporem jego ciała, tylko w tym samym czasie nastąpiło kolejne trzęsienie ziemi. Choć na razie grunt jedynie lekko dygotał, wiedział, że nadchodzi być może największy do tej pory wstrząs. Odgłos spadającego pyłu i drobnych kamyczków przekształcił się w jednostajny dźwięk podobny do szumu wodospadu. Profesor niemal fizycznie odczuwał coraz większy nacisk na kamienny słup za swoimi plecami.

- Uciekajmy! - krzyknął.

Panna Preussler ani drgnęła i tylko spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, również dziewczyna pozostała w tej samej pozycji. Martwe dziecko przyciskała do piersi, a drugą rękę zacisnęła w pięść i uniosła. Gdzieś spadł

kamień. Coś musnęło ramię Mogensa i wbiło się tuż obok niego w ziemię z taką siłą, że na nogi posypał mu się grad drobnych odłamków. VanAndt jednym susem znalazł się przy dziewczynie. Śmiertelny strach nie tylko dodał mu siły, ale i zwinności. Niemal bez trudu chwycił ją za nadgarstki i pociągnął za sobą. Kątem oka zobaczył, że gospodyni w końcu wyrwała się z odrętwienia i dołączyła do nich.

Na wpół oślepiiony rzucił się w kierunku, gdzie spodziewał się znaleźć wyjście. Delikatne drżenie ziemi przekształciło się w gwałtowne wstrząsy. Coraz więcej kamieni spadało z sufitu. Żołądek podszedł Mogensowi do gardła, gdy kątem oka zobaczył, jak ostatnia kolumna powoli zaczyna się uginać. Rozpaczliwie przyspieszył kroku, lecz droga przed nim wydawała się nieskończenie długa. Może biegli w złym kierunku? W głąb walącej się sali zamiast do zbawiennego wyjścia?! Światło tańczyło jak oszalałe we wszystkich kierunkach niczym blask lampy rufowej stateczku, który znalazł się w sercu gwałtownego sztormu. To, co zobaczył w szalejącym kalejdoskopie światła i ciemności, bardziej go zmyliło, niż pomogło ustalić drogę ucieczki. Kamienie wciąż spadały wokół. Za nimi rozbrzmiał tak potężny huk, jakby zwała się cała ściana. Stopa Mogensa trafiła w próżnię. Próbował instynktownie cofnąć się, by złapać równowagę, ale było już za późno.

Upadł, wypuszczając nadgarstek dziewczyny, i tak mocno uderzył plecami i tyłem głowy o ziemię, że zabrakło mu tchu. Lampa karbidowa wysunęła mu się z ręki, zrobiła w powietrzu dwa koziołki i rozbiła się w drobny mak. Mogens czekał na wybuch czy słup ognia, ale światło po prostu zgasło. Mimo to nie zapanowała zupełna ciemność. Niedaleko dostrzegł delikatne, zielonkawe światło. Na wpół zamroczony wstał na czworaka i mruganiem usiłował pozbyć się pyłu, który naleciał mu do oczu.

Starania te tylko pogorszyły sytuację. Pył drażnił spojówki jak papier ścierny, z bólu łzy napłynęły mu do oczu. Jak przez mgłę zobaczył chwiejny słup światła muskający sufit z drugiej strony sterty gruzu. W całym tym chaosie VanAndtowi zdawało się, że słyszy gdzieś koło siebie przejmujące kwilenie, ale nie widział niczego prócz spadających kamieni i pyłu.

Ogromny blok skalny wielkości niewielkiego domu wbił się w ziemię tuż obok niego. Siła była tak ogromna, że Mogens wyleciał w górę i upadł kawałek dalej. Wylądował na czymś miękkim, co jęknęło boleśnie. Wstał prędko i instynktownie chwycił dziewczynę, pociągając ją za sobą. Panna Preussler niezręcznie zsunęła się za nimi<ze zbrocza. Ku swojemu zaskoczeniu Mogens zobaczył, że wyjście jest kilka kroków przed nimi.

Udało im się. Dobrnął do wyjścia z trudem, siłą ciągnąc opierającą się dziewczynę. Nie potrafił później powiedzieć, ile razy trafił go kamień. W normalnych warunkach wystarczyłby jeden taki cios, by zwalić go z nóg, on jednak nie czuł bólu i o niczym nie myślał, pozwalając prowadzić się instynktowi. Nadal trzymał z żelazną siłą rzucającą się dziewczynę. Tuż za nim szła gospodyni, krzycząc coś histerycznym głosem, ale nie rozumiał jej słów. Dotarł w końcu do zbawiennego korytarza. Po kilku krokach uderzył w ścianę i bezradnie osunął się na ziemię.

Musiał na chwilę stracić przytomność, ponieważ gdy otworzył oczy, pólleżał, oparty głową o ścianę, a przed nim klęczała panna Preussler. Potrząsała go za ramię, krzycząc wciąż to samo słowo. W końcu zrozumiał, że woła „profesorze!”.

- Wszystko w porządku - wymamrotał. Język nie chciał go słuchać, usta miał pełne pyłu. Udało mu się odsunąć jej rękę. Przynajmniej przestała trząść jego ramieniem jak 7 oszalała, przez co uderzał tyłem głowy o twardą skałę.

- Lepiej się pan czuje, profesorze? - spytała drżącym głosem.

Mogens chciał odpowiedzieć, ale nie był w stanie. Próbował odchrząknąć, przez co zaczął się tylko dusić. Gardło paliło go, jakby napił się kwasu.

- Na pewno czuje się pan lepiej? - upewniła się panna Preussler.

VanAndt, kaszłąc i z trudem łapiąc powietrze, z wysiłkiem kiwnął głową. O dziwo, zadowolona się tą odpowiedzią. Spojrzała mu raz jeszcze w oczy i podeszła do dziewczyny, która siedziała z podkulonymi nogami po drugiej stronie korytarza, przyciskając do piersi poszarpane zawiniątko. Huk i dzwonienie w uszach powoli ustępowało, Mogens mógł teraz usłyszeć, że dziewczyna cicho nuci, kiwając się w takt piosenki. Niespodziewanie widok ten poruszył go tak bardzo, aż łzy napłynęły mu do oczu.

To, co zobaczył, bynajmniej go nie uspokoiło. Trzęsienie ziemi nie oszczędziło również korytarza. Strop pokrywały rysy i uskoki, a przy wejściu ściany były wręcz zmiżdżone. Sala za przejściem w ogóle zniknęła. Mogensa przeszedł lodowaty dreszcz, gdy uświadomił sobie, że cudem uniknął śmierci. Ale niebezpieczeństwo przecież jeszcze nie minęło.

Odchrząknął i powiedział zachrypłym głosem:

- Musimy iść dalej. Nie sądzę, żeby ten korytarz wytrzymał kolejny wstrząs.

- A co z nią? - spytała panna Preussler. - Na pewno nie zostawi dziecka.

- Jeśli o mnie chodzi, może je zabrać ze sobą - westchnął profesor zrezygnowany. - Potem się tym zajmiemy.

Z trudem wstał, podpierając się o ścianę i zamknął na chwilę oczy. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak źle, nawet po ataku ghuli. Ale musiał zebrać siły.

- Chodźmy. - Nie czekając na reakcję gospodyni, odwrócił się i ruszył korytarzem. Dopiero przy pierwszym skrzyżowaniu stanął i zerknął przez ramię. Kobiety szły w znacznej odległości, według VanAndta zbyt powoli. Wolał nie zastanawiać się, ile czasu pozostało do następnego wstrząsu i czy będzie równie silny jak poprzedni.

Ziemia zadrżała, gdy prawie dotarli do schodów, i był to najsilniejszy z dotychczasowych wstrząsów. Cały korytarz drżał i wyginał się jak olbrzymi kamienny wąż, a z głębi labiryntu doszedł ich potężny huk. Mogens był jednak zbyt zmęczony, aby cokolwiek czuć, nawet strach. Odczekał po prostu, aż wstrząsy miną, i zmęczonym gestem dał do zrozumienia pannie Preussler, by poszły przodem.

Wahała się.

- Ale tam jest więcej... - zaczęła. »
- Wiem - przerwał jej Mogens zrezygnowanym, choć stanowczym tonem. - Ale nie możemy zawrócić. Powinna być pani zadowolona, jeśli uda nam się uratować chociaż ją.

Gospodyni chwilę patrzyła na dziewczynę i jej potworne dziecko smutnym wzrokiem, w końcu skinęła lekko głową. Bez słowa chwyciła młodą kobietę za rękę i chciała przejść obok Mogensa, ale dziewczyna zeszywniała natychmiast i zaczęła wpatrywać się w niego szeroko otwartymi, wystraszonymi oczyma. Prawdopodobnie całkowicie straciła do niego zaufanie, po tym jak próbował odebrać jej zawiniątko. Odwrócił się więc w milczeniu i pierwszy zaczął wchodzić po schodach.

. fj'V?:-"

h i;a „.

T ie, to nie było złudzenie. Schody naprawdę wydłu-J \ żyły się, a ich pokonywanie wymagało od Mogensa

---- niewiarygodnego wysiłku. Szybko zrozumiał, że

trzęsienie ziemi musiało spowodować osunięcie się pod-550 ziemnego labiryntu o jakieś kilkanaście stóp. I tak mieli

szczęście, skoro schody nie zawały się, lecz rozciągnęły jak gumowy wąż. Wiele stopni było jednak wyrwanych albo poluzowanych, tak że profesor bał się postawić na nich stopę. Był zaskoczony, gdy udało mu się w końcu dotrzeć na górę i stanąć przed bramą.

Padł wyczerpany na ziemię. Nie miał siły nawet zerknąć na swoje towarzyski.

Kobiety były już niedaleko. Dziewczyna pokonywała schody z zadziwiającą zręcznością, zwłaszcza że mogła pomagać sobie tylko jedną ręką. Panna Preussler brnęła do przodu ociężale, ale tak stanowczo, że Mogens nie był pewien, czy zatrzyma się, gdy do niego dotrze.

Nie miał zamiaru tego sprawdzać. Chociaż odpoczywał tylko chwilę, zdołał wstać i pójść dalej.

Mało brakowało, a uczyniłby ostatni krok w swoim życiu.

Może ocalał dzięki osłabieniu. Zdecydowanie przecenił swoje siły, ponieważ gdy przekroczył bramę, zatoczył się, dzięki czemu o włos uniknął pazurów ghula, który czyhał po drugiej stronie. Pazury potwora zostawiły głębokie bruzdy w drewnianych drzwiach, a na VanAndta posypał się deszcz drobnych drzazg. Przypadł instynktownie do ziemi i uniknął drugiego, jeszcze silniejszego ciosu.

Trzeci jednak okazał się celny.

Mogens miał szczęście, że potwór trafił go wierzchem łapy, a nie pazurami. Mimo to cios ściał go z nóg. Profesor poleciał do tyłu i uderzył o ścianę z taką siłą, że zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Ghul szeknął tryumfalnie i podszedł do niego. VanAndt, przewidując kolejny ruch potwora, zrobił unik, dzięki czemu umknął miażdżącej stopie bestii. Ostre jak brzytwa pazury u nóg ghula rozcięły Mogensowi ubranie, ale nie tknęły ciała. Przetoczył się na plecy, chwycił go obydwoma rękami za kostkę i próbował przewrócić.

Wysiłki te na nic się nie zdały. Chociaż z całej siły szarpał potwora za nogę, ów nawet tego nie zauważył. Profesor chciał kopnąć go w podbrzusze, ale trafił tylko w udo. Tym razem musiało ghula zabość, ponieważ zawył gniewnie i zdzielił profesora tak mocno, że ten potoczył się kilka metrów po śliskiej podłodze. Obraz rozmył mu się przed oczami.

Cudem nie stracił przytomności, lecz na dalszą walkę nie miał sił. Chciał wstać, ale ręce ugięły mu się pod ciężarem własnego ciała.

Ghul szedł ku niemu niespiesznie, jakby wiedział, że tym razem ofiara już nie umknie. Mogens nie był w stanie się podnieść, a co dopiero uciekać. Zresztą dokąd? Jeśli potwory ocknęły się z dziwnego odrętwienia, to byli zgubieni.

Nagle VanAndt usłyszał przeraźliwy krzyk. Potwór odwrócił się, warcząc. Również profesor z trudem obrócił głowę i zobaczył pannę Preussler z dziewczyną. Właśnie przekraczały bramę.

Gospodyni wpatrywała się w bestię szeroko otwartymi oczyma, natomiast młoda kobieta nie sprawiała nawet wrażenia wystraszonej, raczej nieco zaskoczonej. W jej oczach również tlił się lęk, ale nie tak silny, jakiego spodziewał się Mogens.

- Panno Preussler! - krzyknął. - Proszę uciekać! Ale było już za późno. Gospodyni otrząsnęła się w końcu z odrętwienia, lecz wystarczył jeden skok ghula, a już był przy niej. Błysnęły mordercze pazury i zaczęły zbliżać się do gardła panny Preussler.

Nie strach o własne życie, lecz dopiero ten widok dodał profesorowi sił na tyle, że skoczył na równe nogi, rzucił się na potwora i z całym impetem uderzył go w bok. Tym razem nawet dla potwora było to za wiele. Profesorowi za-chrząścił wprawdzie staw w ramieniu, a ból spowodował mdłości, ale i ghul zatoczył się, po czym upadł.

Niestety równie szybko wstał z powrotem na nogi.

VanAndt podnosił się jeszcze raz z zaciśniętymi zębami, próbując mruganiem pozbyć się łez, a bestia już szła w jego stronę, wymachując łapami. Ślina kapła jej z pyska, oczy pałały żądzą mordy.

Potwór uniósł pazury. Mogens zastanawiał się z zimną krwią, w jaki sposób ghul go zabije - pazurami czy szybkim chapnięciem za gardło. Dziwne, ale prawie się nie bał, odczuwał najwyżej lęk przed bólem, nie przed samą śmiercią.

Potwór zawył ochryple i skoczył na niego, ale z tyłu rozległ się świst kuli, która rozsadziła czerep bestii. Ghul runął na ziemię w połowie skoku. Kończyny drgały mu w konwulsjach. VanAndt cofnął się bezradnie o krok i rozejrział przerażony.

Drugi, znacznie większy ghul, którego do tej pory nawet nie zauważył, skoczył ku niemu z wyciem. Mogens zasłonił twarz rękoma i cofnął się o krok.

- Profesorze, na ziemię!

Ledwie padł na kamienną posadzkę, rozległ się strzał. Kula przeleciała tak blisko niego, że VanAndt poczuł gorące powietrze, po czym trafiła ghula w ramię. Potwór zatoczył się i zrobił jeszcze krok, zanim trzeci strzał trafił go precyzyjnie w pierś i zabił na miejscu.

Mogens dłuższą chwilę leżał jak sparaliżowany, patrząc na nieruchomego ghula. Nie rozumiał, co się stało, nawet gdy podeszła do niego panna Preussler i próbowała postawić go na nogi. Dopiero gdy usłyszał za sobą kroki, zaczął powoli dochodzić do siebie. Usiadł i odwrócił się, ignorując wyciągniętą dłoń gospodyni. Nie wierzył własnym oczom.

- Profesorze, może pan już wstać - powiedział Tom, szczerząc się w szerokim uśmiechu. - Były tylko te dwa, na razie jesteśmy bezpieczni.

- Thomasie, chłopcze kochany! - westchnęła panna Preussler z ulgą. - Bóg cię przysłał, jestem pewna! Zjawiłeś się w samą porę!

- O, jestem tu już od dłuższej chwili! - Tom spojrzał figlarnie na Mogensa. - Chciałem zobaczyć, jak sobie poradzi profesor. Bił się bardzo dzielnie.

VanAndt odwzajemnił jego uśmiech, ale wcale nie był pewien, czy chłopak rzeczywiście żartuje. Właściwie nie chciał tego wiedzieć.

- Dziękuję.

- Nie ma za co! - Chłopak znów wyszczerzył się w uśmiechu. Potem nagle zrobił się poważny. - Jest pan ranny? - spytał.

- Lekko - odparł Mogens i miał nadzieję, że rzeczywiście tak było. Spróbował wstać, co przyszło mu z pewnym trudem, ale najwyraźniej był cały.

Tom zmierzył go krytycznym wzrokiem, najwidoczniej jednak doszedł do podobnych wniosków. Potem odwrócił się do panny Preussler. Gdy zobaczył dziewczynę, na jego twarzy pojawił się mało przekonujący wyraz, jakby udawał zdziwienie.

- Kto to jest? - spytał.

- Nie wiemy, jak ma na imię - wyjaśnił prędko Mogens, zanim panna Preussler zdążyła coś powiedzieć. - Była na dole. - Wskazał głową drzwi.

- Gdzie byłeś, Thomasie? - spytała gospodyni. - Profesor i ja baliśmy się, że już cię nie zobaczymy żywego.

- Niewiele brakowało - odparł chłopak nieoczekiwanie opryskliwym tonem, dając do zrozumienia, że nie chce na ten temat rozmawiać. Zaraz jednak znów się uśmiechnął. - Jest ich więcej na dole?

- Na dole wszystko jest zawalone - machnął ręką VanAndt. - Ledwo udało nam się uciec.

fer*

- Miał pan niesamowite szczęście, profesorze - pokiwał głową Tom. Mrugnął oczami niepewnie, gdy zobaczył zawiniątko na rękach dziewczyny, ale powstrzymał się od komentarza.

- Co się dzieje z Gravesem? - spytał Mogens.

- Nie najlepiej, ale poradzi sobie, jestem pewien. Przeżył już gorsze rzeczy.

- Graves żyje? - upewniał się VanAndt, nie dowierzając. Sądził, już nigdy go nie zobaczy. - Gdzie jest?

- W niewielkim pomieszczeniu na lewo od wejścia - odpowiedział chłopak, wskazując ręką. - Właściwie na prawo, patrząc z tej strony. Ale proszę go ostrzec, gdy będzie się pan zbliżał. Jest zdenerwowany i ma przy sobie broń.

- Lepiej chodźmy wszyscy razem - zaproponowała panna Preussler. - Niekoniecznie mam ochotę przebywać dłużej w towarzystwie - spojrzała przelotnie na martwe ghule - tych potworów. Mogens skinął głową. Również on czuł się nieswojo w towarzystwie bestii, obojętnie, martwych czy żywych.

- Chodźmy - powtórzył Tom. Przesadnie szerokim gestem zarzucił sobie na ramię karabin, co właściwie do niego nie pasowało. Pewnie chciał sobie w ten sposób dodać odwagi. - Proszę uważać. Wprawdzie widziałem tylko te dwie bestie, ale nigdy nie wiadomo.

Zdawał się oczekiwać, że profesor pójdzie pierwszy. Gdy ten ani drgnął, chłopak wzruszył ramionami i ruszył ku wyjściu. Panna Preussler i dziewczyna odczekały, aż Mogens odstąpi kilka kroków na bok. Ta młoda dzikuska nie bała się go ani odrobiny mniej.

Gdy wyprzedzała profesora, przyjrzał się uważnie jej twarzy.

Widok martwego dziecka, które z całej siły przyciskała do siebie, nadal przyprawiał go o dreszcze, natomiast

większą uwagę przykuło spojrzenie, jakim kobieta obrzuciła martwe ghule. Zarówno Tom, jak i panna Preussler nieświadomie obeszli ciała szerokim łukiem, dziewczyna natomiast nieszczególnie zwracała uwagę na trupy. Przeszła tak blisko ghula, że niemal potrafiła stopą jego rękę.

Przypuszczenia Mogensa potwierdzały się - ona wcale nie czuła strachu przed ghumami. Owszem, był w niej jakiś respekt, ale nie przerażenie, jakie on odczuwał na samą myśl o istnieniu tej straszliwej krzyżówki człowieka i zwierzęcia. Ciemnowłosa nie obawiała się ich bardziej niż na przykład rybak morza - które może być niebezpieczne, ale znacznie mniej, gdy wiadomo, jak wobec niego się zachować.

Profesor zdał sobie sprawę, że dziewczyna bardziej boi się jego niż potworów!

Przerwał te ponure rozważania i przesunął wzrokiem po ścianach sali. Nie potrafił powiedzieć, czy ślady zniszczeń są stare, czy powstały podczas ostatniego wstrząsu. W każdym razie budynek nie był zniszczony w takim stopniu, jak podziemny labirynt. Na powierzchni prawdopodobnie tylko urządzenia geologów zarejestrowały cokolwiek, a ludzie nawet nic by nie poczuli.

Nagle Mogens zdał sobie sprawę, w jak obcym i nieznanym świecie się znalazł. Od powierzchni ziemi dzieliło go nie więcej niż sto pięćdziesiąt stóp, mimo to świat ten był niczym obca planeta. Ile jeszcze tajemnic kryje się pod ich stopami?

Tom przystanął nagle i zawołał: - Doktorze, to ja, Tom! Znalazłem profesora i pannę Preussler. Idziemy do pana.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale zdawał się tym nie przejmować. Dał wprawdzie znak gospodyni i dziewczynie, by zczekały przed wejściem, i zdjął karabin z ramienia, ale próg przekroczył bez wahania. Gospodyni podążyła za

nim, a gdy również Mogens ruszył, dziewczyna szybko przyłączyła się do swojej przewodniczki, zerkając na niego podejrzliwie.

Sala była nieznacznie mniejsza niż ta, z której przyszli, ale w o wiele lepszym stanie. Sufit i ściany pozostały prawie nienaruszone, również freski robiły wrażenie nietkniętych zębem czasu.

Kilkanaście pochodni, w większości wypalonych do połowy, wypełniało pomieszczenie intensywnym światłem i ostrym, pobudzającym do kaszlu zapachem.

Graves siedział pod przeciwległą ścianą z podkurczonymi nogami. Mogensowi wystarczyło jedno

przelotne spojrzenie, by przekonać się, że Tom nie bez powodu był wyjątkowo ostrożny. Na kolanach Jonathana leżał karabin, który ten ścisnął kurczowo.

Był zupełnie przemoczony. Włosy kleiły mu się do głowy i opadały w strąkach na twarz. Z ubrań kapąca woda, która zdążyła już utworzyć sporą kałużę. Drżał na całym ciele, a gdy VanAndt zbliżył się do niego ostrożnie, zobaczył, że twarz miał zapadłą i poszarzałą, jakby nie widzieli się co najmniej przez lata.

- Dobry Boże, Jonathanie - wyszeptał profesor - co się z tobą stało?

Doktor dopiero po kilku sekundach, drżąc, uniósł głowę. Oczy miał nieprzytomne, pełne grozy.

- Woda - wyjąkał. - Jest... pełna wody, Mogensie.

- Co jest pełne wody?

Ręce Gravesa zacisnęły się mocniej na kolbie i lufie karabinu, jakby potrzebował przedmiotu, którego mógłby się ucześcić, by nie stracić poczucia rzeczywistości.

- Woda, Mogensie - wymamrotał jeszcze raz. - Żyją w wodzie!

- Kto żyje w wodzie? - spytał VanAndt zdezorientowany. Po chwili zaczął pojmować. - Piramida? - spytał. - Byłeś w piramidzie? Widziałeś ich?

Jonathan pokręcił głową. Zaczął dygotać jeszcze mocniej.

- Byłem tam, Mogensie - wyszeptał. - Brama. Jest otwarta.

Profesor otworzył szeroko oczy.

- Brama? - powtórzył. - Byłeś tam? Widziałeś ich? Graves skinął głową. Wyraz przerażenia w jego oczach

jeszcze się nasilił.

- Wszystko jest pod wodą. Tam są... całe miasta. Nieprawdopodobne rzeczy. Widziałem ich, Mogensie.

- Bogów egipskich?

Doktor poruszył głową, ale trudno było zrozumieć, co ten gest miał oznaczać.

- Mieszkańców Psiej Gwiazdy. To nie są bogowie. Są... -Przełknął z trudem ślinę, zdjął lewą rękę z karabinu i otarł nią usta.

- Kim? - spytał VanAndt podniecony. - Kim są, Jonathanie?

Oczy Gravesa zapłonęły na chwilę, a profesor miał wrażenie, że doktor jest bliski szaleństwa.

Potem jednak nieoczekiwanie spojrzenie Jonathana nabrało blasku, błędne migotanie zgasło w ułamku sekundy, powrócił za to dawny wyraz arogancji i lekceważenia.

- Nikim - stwierdził. - Później porozmawiamy o tym w spokoju. Teraz należałoby stąd uciekać. - Nie dodał: „póki jest to możliwe”, ale Mogens wiedział, że ma to na końcu języka.

- Obudziły się, prawda? - spytał cicho.

- Ghule? - Graves zdawał się zastanawiać przez chwilę nad tym pytaniem, po czym potrząsnął głową. - Nie, tylko kilka, które przyszły tu za nami. Ale i tak nie zostało nam wiele czasu.

Zdjął drugą rękę z karabinu, by wyjąć zegarek z kieszeni <558 i otworzyć go kciukiem.

- Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, mamy niecałą godzinę.

- Godzinę - powtórzył Mogens niezdecydowanie. - A potem co się stanie?

- Brama już zaczęła się zamykać - odparł Jonathan. -Obawiam się, że najpóźniej przy jej zatrzaśnięciu wyrwą się z odretwienia... - Urwał w pół zdania. Uniósł brwi, gdy zobaczył szczupłą, ciemnowłosą postać obok panny Preussler.

Kobiety stały kilka kroków za Mogensem. Gospodyni jak zwykle zmierzyła Gravesa wzrokiem pełnym dezaprobaty, oczy dziewczyny natomiast wyrażały ciekawość, ale i z trudem skrywany lęk.

- Widzę, że odniosłeś sukces - powiedział doktor zmienionym tonem. - Aczkolwiek niewielki. Mogens uznał, że Jonathan znów jest sobą.

- Dla innych nie mogliśmy już nic zrobić. Byliśmy na dole, w labiryncie, ale zawalił się zupełnie. Ledwo zdołaliśmy stamtąd uciec.

- Tak, tego się obawiałem - mruknął Graves. - Najwyraźniej otwieranie i zamykanie się bramy ma pewne skutki uboczne. Nic w tym dziwnego, jeśli uświadomić sobie, jak ogromna siła potrzebna jest, by... - Znów przerwał w pół zdania. Jego oczy zmieniły się w dwie wąskie szparki. - Co ona ma na rękach? - wymamrotał.

Nie czekając na odpowiedź Mogensa, wstał i zaczął iść zwawym krokiem w kierunku dziewczyny. Zareagowała dokładnie tak, jak spodziewał się profesor. Odskoczyła gwałtownie w tył, przycisnęła zawiniątko obydwoma rękami do piersi i schowała się za plecami panny Preussler. Jonathan wprawdzie zmarszczył czoło zdziwiony, ale nie zatrzymał się. Stał dopiero, gdy gospodyni zastąpiła mu drogę.

- Proszę dać spokój, doktorze - powiedziała chłodno.

- Dlaczego? - podchwycił Graves.

- Ponieważ to biedne dziecko jest zdezorientowane i wystraszone - odrzekła panna Preussler. - I wydaje mi się, że boi się mężczyzn.

- Doprawdy? - prychnął Jonathan. Podszedł jeszcze krok w jej stronę i wyciągnął rękę. - Pokaż, co tam masz!

- Co z pana za straszny człowiek, doktorze! - wykrzyknęła panna Preussler, kręcąc głową. - Nie potrafi pan sobie wyobrazić, co to dziecko przeszło? - Rzuciła mu wyzywające spojrzenie, a gdy nie otrzymała odpowiedzi, dodała: -Ale prawdopodobnie jest to panu obojętne.

- To, co powie, może mieć decydujące znaczenie dla naszego życia - odparł Graves. - Również dla pani, panno Preussler. '

- Jeśli to prawda, mamy problem - wtrącił Mogens. Jonathan odwrócił się do niego niechętnie i uniósł brwi pytająco. VanAndt musiał się powstrzymać od złośliwego uśmiechu. - Ona nie potrafi mówić.

- Jak praktycznie! - zadrwił doktor. - A co trzyma na rękach? - Uniósł jeszcze raz dłoń, lecz dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej za plecami gospodyni.

- Proszę mi pozwolić spróbować jeszcze raz - powiedziała panna Preussler pospiesznie. - Może uda mi się ją przekonać do mówienia. Ale pod warunkiem, że przestanie ją pan zastraszać, prostaku!

Jej gniewne słowa tylko rozbawiły Gravesa.

- Pięć minut - powiedział. - Najwyżej pięć. Tom, Mogens, chodźcie!

Skinął na obydwu i odwrócił się energicznie w stronę drzwi. Po drodze zabrał jeszcze karabin oparty o ścianę. Gdy przechodził obok, profesor poczuł delikatny zapach prochu i pomyślał o strzale, który usłyszeli tuż przed zniknięciem chłopaka. Cokolwiek wydarzyło się w piramidzie, pierwsze spotkanie współczesnego człowieka z mieszkańcami Syriusza zdawało się mieć nie do końca przyjazny charakter.

VanAndt odczekał, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu panny Preussler. Rozpierała go ciekawość.

- Nie opowiecie mi, co was spotkało? - zapytał.

- Może później. - Graves machnął niecierpliwie ręką. -Nie oczekujesz chyba, że w takim pośpiechu opowiem ci

0 być może najważniejszym wydarzeniu w historii ludzkości.

Profesor nie oczekiwał właściwie, że Jonathan opowie mu cokolwiek, w każdym razie nic, o czym by już i tak nie wiedział.

- Chciałem tylko wyrazić ulgę, że widzę cię całego

1 zdrowego. Panna Preussler i ja bardzo się o ciebie martwiliśmy.

- Tak, jestem pewien, że serce wam pękało - prychnął doktor. - Rozumiem cię, Mogensie. Ja na twoim miejscu prawdopodobnie wyciągnąłbym ze mnie prawdę siłą! Ale muszę cię prosić o jeszcze trochę cierpliwości. Muszę... przemyśleć niektóre sprawy. Później wszystkiego się dowiesz, daję ci słowo.

- A jeśli nie uda nam się stąd wydostać? - spytał VanAndt.

<

- Jeśli nie zdołamy tego dokonać w ciągu godziny - odrzekł spokojnie Graves - wówczas wszyscy z pewnością zginiemy. Wtedy moje doświadczenia nie będą już miały znaczenia, prawda? Mogens nie wątpił, że wcale nie o to chodzi. Po prostu Jonathan nie chciał zdradzać swoich tajemnic, a może jego wspomnienia były zbyt przerażające nawet dla niego. Choć wrócił do swojego aroganckiego tonu, widać było, że wiele wycierpiał.

Dotarli prawie do wyjścia. Tom zdjął karabin z ramienia i nakazał im gestem, by zaczekali w tyle.

- Rozejrzę się. Chyba dopadłem wszystkie, ale nigdy nie wiadomo. Proszę tu poczekać.
 - Bądź ostrożny - powiedział doktor. - I pospiesz się.
- Tom załadował broń i już po kilku krokach niemal zniknął im z oczu, ale tym razem przyczyną nie było dziwne zniekształcenie perspektywy, jak wcześniej w mieście. To raczej Tom zaraz po opuszczeniu mastaby zaczął się poruszać niczym najlepszy indiański tropiciel. W mgnieniu oka przemykał z jednej kryjówki do drugiej.
- Dobry chłopak - pokiwał głową Graves. - Czasem nieco prosty, ale bardzo przydatny. Bez niego już bym nie żył.
 - Ja również - powiedział Mogens, po czynu poprawił się: - My również.
 - Chodzi o te dwa ghule, które wysledziliśmy koło drzwi? - domyślił się Jonathan.
- Mogens automatycznie skinął głową. Dopiero po chwili dotarło do niego, co właściwie usłyszał.
- Skąd wiesz, że były dwa? - spytał. Gdy Graves nie odpowiedział, profesor dodał po chwili drżącym z gniewu głosem: - Widziałeś je. Widziałeś, że czyhały na nas za drzwiami, ale nie uważałeś za stosowne przyjść nam z pomocą.
 - Tom jest doskonałym strzelcem, jak zapewne mogłeś sam się przekonać - odparł doktor chłodno. - Ja byłem wtedy... niedysponowany. - Odwrócił się na pięcie. - Sprawdźmy, jak idzie pannie Preussler jej łagodna perswazja.
 - Czy nie powinniśmy poczekać na Toma? - spytał VanAndt.
 - Po co? - Jonathan nawet się nie zatrzymał. - Tom da sobie radę, a jeśli natknie się na niebezpieczeństwo, z którym nie będzie mógł sobie poradzić, my prawdopodobnie też nie będziemy w stanie mu pomóc.
 - Ale może jest w takim razie powód, by spróbować!

'S
'fi-

- Bzdura! - warknął doktor. - Jesteśmy naukowcami, Mogensie, nie żołnierzami! Co się z tobą dzieje? Nagle odkryłeś w sobie zmysł poszukiwacza przygód?
 - Skoro rzeczywiście tak myślisz, po co ci ten karabin?
 - Ponieważ warto go mieć, zwłaszcza że są z nami kobiety. Czy nie wspominałem ci, że kocham się namiętnie w pannie Preussler?
 - To świetnie się składa! - syknął profesor. - To samo wyznała mi panna Preussler o swoich uczuciach wobec ciebie. Nie wiedziała tylko, jak ma ci to dać do zrozumienia. - Spojrzał na Gravesa najbardziej dobrodusznie, jak tylko potrafił. - Jestem gotowy wziąć na siebie rolę swatki, jeśli chcesz.
 - Rozumiem, że ze względu na dawną przyjaźń...
- Mogens nie powiedział już ani słowa. Gdy wrócili do sali, gospodyni nadal przemawiała do dziewczyny. Strach w oczach tamtej nie był już tak intensywny. Jednak gdy panna Preussler usłyszała kroki, podniosła szybko rękę, aby jeszcze nie podchodzili. Profesor chwycił prędko Jonathana za ramię.
- Lepiej jej słuchaj. Cieszę się, że dziewczyna przynajmniej do niej ma trochę zaufania. Panicznie boi się obcych.
- Graves rzucił mu wprawdzie gniewne spojrzenie i odtrącił jego rękę, ale poczekał, aż gospodyni skinie głową.
- Podejdźcie, panowie, bliżej - powiedziała. - Ale nie za blisko. I nie wystraszcicie jej.
- Doktor skrzywił się, ale posłuchał. Następne kilka kroków przebył powoli i natychmiast przystanął, gdy tylko panna Preussler zmarszczyła czoło z dezaprobatą. Był jednak na tyle blisko, by zobaczyć, co znajduje się w zawiniątku.
- Czy to jest... dziecko? - spytał z wahaniem.
 - Jeśli tak chce pan to nazwać - odparła gospodyni i odsunęła chustę, by mógł zobaczyć twarz martwego niemowlęcia.

M:
 \ a fK
 VVT
 'Z'1
 u ! | <2\$. ',IA.A I'
 .' i <V ■

Hi

Reakcja Gravesa zaskoczyła VanAndta. A właściwie nie reakcja, co całkowity jej brak. Nie wyglądał nawet na zdumionego, najwyżej zainteresowanego.

- W każdym razie niewątpliwie jest to nieżywe dziecko - zauważył. - Dlaczego w takim razie nosi je ze sobą?

- Dlaczego nie spróbujesz zabrać jej tego dziecka, Jonathanie? - spytał Mogens. Spojrzał na swoje ręce. Zdrapania przestały krwawić, nadal piekły jednak diabelsko. Pomyślał, że gdy będą już z powrotem w obozie, musi poprosić pannę Preussler, by dokładnie zdezynfekowała mu rany. Kto wie, jakie bakterie żyły pod paznokciami dziewczyny. Już po chwili roześmiał się w duchu z własnych myśli. Było kilka spraw, które powinny go martwić znacznie bardziej...

- Porozmawiała pani z nią? - zwrócił się Graves do gospodyni profesora.

- Nie - odparła przygnębiona. - Albo nie potrafi mówić, albo nie chce. Wydaje mi się jednak, że raczej nie potrafi. Jediną rzeczą, którą wiem o niej z całą pewnością, jest to, że boi się mężczyzn. - Wzruszyła niepoczieszona ramionami. - Oraz że wzbrania się przed zostawieniem tego martwego dziecka.

- Może dlatego, że to jej własne dziecko - zauważył Jonathan spokojnie.

Panna Preussler zbladła jak papier.

- Co pan opowiada? To... to coś nie jest człowiekiem.

- Z jednej strony na pewno nie - potwierdził doktor. -Z drugiej strony, owszem. Panno Preussler, obawiam się, że ta nieszczęsna młoda dama jest matką tego strasznego stworzenia.

- To jakiś absurd! - upierała się gospodyni, ale wzrok, jakim zmierzyła dziewczynę, nagle stał się niepewny, pełen trwogi.

- To potwierdza moje przypuszczenia - wymamrotał Graves. - Nawet jeśli przyznaję, że chciałbym się mylić.

fclfer

a i': . 'jf-

Nm'w

'tffrr

- Jakie przypuszczenia, Jonathanie? - spytał VanAndt.

Doktor zignorował go. Dłuższą chwilę patrzył na dziewczynę skoncentrowany, po czym zwrócił się do gospodyni.

- Bardzo panią przepraszam, moja droga, ale obawiam się, że muszę pani zadać dość niestosowne pytanie.

- Już nic mnie chyba bardziej nie zaskoczy niż ten widok - westchnęła, wskazując na zawiniątko.

- Pani nigdy nie była zamężna, prawda? - spytał po chwili.

- Zgadza się.

- Ale z pewnością pani... to znaczy... czy pani kiedyś...

- Tak? - syknęła.

Graves odchrząknął zmieszany i patrząc na wszystkie strony, tylko nie na nią, w końcu wypalił:

- Czy pani może mieć dzieci, panno Preussler?

- Słucham? - wydusiła z siebie gospodyni.

- Czy miała pani kiedyś okazję sprawdzić, czy może rodzić dzieci? - zapytał. - Jeśli byłaby

pani zameżna, oczywiście - dodał pośpiesznie.

Nawet w przyćmionym świetle pochodni Mogens zobaczył, że cała spąsowiała, ale wybuch, którego się spodziewał, nie nastąpił.

- Był... pewien młody mężczyzna wiele lat temu. Miał poważne zamiary wobec mnie. Chcieliśmy się pobrać, ale on pochodził z bardzo zamożnej i wpływowej rodziny z Południa, w dodatku był jej ostatnim męskim potomkiem. Rodzina obawiała się, że linia na nim wygaśnie, jeśli nie będzie miał dzieci.

- Nalegali więc, by poddała się pani odpowiednim badaniom? - domyślił się Jonathan.

- Tak - potwierdziła. Mówiąc to, spojrzała na Mogensa. Widział, jak trudno przychodziło jej mówienie o równie intymnych szczegółach. - Wynik nie był zgodny z naszymi

<ms f ,

t. P] I •

oczekiwaniami. Nie mogę mieć dzieci. Pan Bóg nie udzielił mi tej łaski.

- Proszę się cieszyć, że tak jest - pokiwał głową Jonathan. - Bóg był dla pani łaskawy.

Prawdopodobnie pani niepłodność sprawiła, że pani żyje i jest wśród nas.

- Co to ma znaczyć? - zaniepokoił się profesor. Graves ciągnął zwrócony do panny Preussler:

- Pamięta pani, co mi pani opowiadała? Ghule badały panią, również... w miejscach intymnych. Wydaje mi się, że pozwoliły pani odejść tylko dlatego, że nie może pani mieć dzieci.

- Bzdura! - wykrzyknął profesor. I rzeczywiście bardzo chciał w to wierzyć. Po chwili spytał ostrym głosem: - Skąd te stworzenia miałyby to wiedzieć? *

- Tego nie wiem. Może ustaliły to węchem, albo wyczuły w jakiś inny sposób. Niektóre zwierzęta mają bardzo wyostrzone zmysły, Mogensie, a te nie pochodzą nawet z naszego świata. Ponadto taka teza pasuje do tego, co udało mi się ustalić przez ostatnie lata.

Mogens nadal nie chciał zaakceptować tego, co usłyszał, ale w głębi serca już dawno zrozumiał, że to prawda. Mimo to powiedział:

- Nie chcesz nam chyba wmówić...

- ...że te potwory porywają kobiety, by się z nimi rozmnażać? - wszedł mu Graves w słowo. - Wzruszył ramionami. - Wiem, że nigdy nie widziałem żeńskiego osobnika tych bestii. Oraz że od dłuższego czasu porywają kobiety, po których ginie wszelki ślad. Dopowiedz sobie, proszę, resztę.

- Ale to jest niemożliwe! - upierał się VanAndt. - Przecież to zupełnie obcy gatunek! Jak mogą parzyć się z ludźmi?

- Jak sam przed chwilą powiedziałaś, Mogensie - odparł doktor - to zupełnie obcy gatunek.

Nie wiemy, co mogą,

>566 a czego nie. Nie wiemy nawet, czy istoty, które poznaliśmy,

W- ,'

to rzeczywiście te same stworzenia, które przywędrowały tu dawno temu. Może wcześniej były zupełnie inne. Może postać, w jakiej je znamy, to mieszanka naszych ras.

Profesor miał wrażenie, że Graves odsłonił jedynie fragment swej wiedzy. Zanim jednak postawił odpowiednie pytanie, wmieszała się panna Preussler.

- Proszę wybaczyć, doktorze. Nie jestem naukowcem i nie rozumiem za wiele z pana słów, ale to, co pan mówi, wydaje mi się niedorzeczne.

- Czyżby? - spytał Jonathan lekko rozbawiony.

- Nawet jeśli ma pan rację odnośnie pochodzenia tych istot, to jak może rozwinać się gatunek, którego przedstawicielami są jedynie osobniki męskie? - Uśmiechnęła się niepewnie. - Nawet jeśli nie mam za wiele doświadczenia w tych sprawach, wydaje mi się, że to nie jest możliwe.

- Bardzo słuszna uwaga - pochwalił ją doktor. - Prawdę mówiąc, nie wiem tego. Nikt nie wie, dlaczego sprowadzono tutaj te istoty. Może nie było w planach, by się zały. Niewykluczone, że zostały stworzone sztucznie.

- Sztucznie? - powtórzyła gospodyni z niedowierzaniem.

- Być może - sprecyzował Graves. - Albo sprowadzono je, by wykonały jakieś konkretne zadanie. Może miały być tylko robotnikami albo strażnikami... i nie wydaje mi się, by miały tu zostać. Coś się nie powiodło. Niewykluczone, że uciekło kilka osobników, które znalazły sposób na rozmnażanie się.

- I o tym wszystkim cały czas wiedziałeś? - wyszeptał Mogens przerażony.

- Nie wiedziałem - poprawił go Jonathan. - Domyślałem się albo raczej obawiałem się, że tak jest.

- I nikomu o tym nie powiedziałaś? - głos VanAndta zaczął drżeć. Gdyby miał trochę więcej sił, krzyknąłby Gravesa.

- Nie powiedziałem? - powtórzył doktor, spoglądając na niego w dziwnie zamyślony, ale i obojętny sposób. - Ale komu?

- Wszystkim! Policji! Wojsku! Władzom! Mnie!

Jonathan uśmiechnął się łagodnie.

- Ale co miałem powiedzieć? Uprzejmie donoszę, że według moich podejrzeń istoty z obcego świata od lat uprawiają u nas swój nieczyny proceder? Informuję z niepokojem, że porywają kobiety, by rodziły im dzieci? Że żyją pod cmentarzami i odżywiają cię ciałami zmarłych? - Pokręcił głową.

- Kto by mi wierzył?

- Ja - odpowiedział z przekonaniem Mogens. Głos zaczął mu drżeć jeszcze silniej. Z trudem skupia wzrok na doktorze, a jeszcze więcej trudności sprawiało mu sformułowanie jasnej myśli. - Ja - wyszeptał raz jeszcze.

- Wiem - odrzekł Graves. - Byłbyś zapewne jedyny, przyjacielu, ponieważ je widziałeś. Ale nie mogłem ci tego powiedzieć.

- Dlaczego? - wymamrotał profesor. Fala gorąca załazała mu oczy, ale nie wstydził się tych łez.

- Nie byłeś na to gotowy. Co miałem ci powiedzieć? Że wiem, co stało się z Janice? -

Potrząsnął stanowczo głową. - Załamałbyś się, Mogensie. Nie mogłem ci tego powiedzieć.

VanAndtowi głos ostatecznie odmówił posłuszeństwa, a łzy płynęły mu po twarzy strumieniami. W sercu szalała burza. Na próżno starał się wskrzesić w sobie choć cień nienawiści czy złości na Gravesa. Doktor miał rację. Nawet jeśli by mu wierzył, załamałby się. Może rzeczywiście jedyną rzeczą, która utrzymywała go przy życiu przez minione dziewięć lat, była nadzieja, że Janice żyje i że ją jeszcze kiedyś zobaczy. A jednak myśl o tym, jak wyglądało jej życie po porwaniu, była tak straszna, że wolałby na własne oczy zobaczyć ją martwą.

rf

i

ifi ir i.fk'

A

>

IrUu

- Nie powiedziałem? - powtórzył doktor, spoglądając na niego w dziwnie zamyślony, ale i obojętny sposób. - Ale komu?

- Wszystkim! Policji! Wojsku! Władzom! Mnie! Jonathan uśmiechnął się łagodnie.

- Ale co miałem powiedzieć? Uprzejmie donoszę, że według moich podejrzeń istoty z obcego świata od lat uprawiają u nas swój nieczyny proceder? Informuję z niepokojem, że porywają kobiety, by rodziły im dzieci? Że żyją pod cmentarzami i odżywiają cię ciałami zmarłych? - Pokręcił głową.

- Kto by mi wierzył?

- Ja - odpowiedział z przekonaniem Mogens. Głos zaczął mu drżeć jeszcze silniej. Z trudem skupiał wzrok na doktorze, a jeszcze więcej trudności sprawiało mu sformułowanie jasnej myśli. - Ja - wyszeptał raz jeszcze.

- Wiem - odrzekł Graves. - Byłbyś zapewne jedyny, przyjacielu, ponieważ je widziałeś. Ale nie mogłem ci tego powiedzieć.

- Dlaczego? - wymamrotał profesor. Fala gorąca zalała mu oczy, ale nie wstydził się tych łez.
- Nie byłeś na to gotowy. Co miałem ci powiedzieć? Że wiem, co stało się z Janice? -
Potrzęsnała stanowczo głową. - Zalałaś się, Mogensie. Nie mogłem ci tego powiedzieć.
VanAndtowi głos ostatecznie odmówił posłuszeństwa, a łzy płynęły mu po twarzy strumieniami. W sercu szalała burza. Na próżno starał się wskrzesić w sobie choć cień nienawiści czy złości na Gravesa. Doktor miał rację. Nawet jeśli by mu uwierzył, zalałaś się. Może rzeczywiście jedyną rzeczą, która utrzymywała go przy życiu przez minione dziewięć lat, była nadzieja, że Janice żyje i że ją jeszcze kiedyś zobaczy. A jednak myśl o tym, jak wyglądało jej życie po porwaniu, była tak straszna, że wolałby na własne oczy zobaczyć ją martwą.

ter
i i*

Odwrócił energicznie głowę i spojrzał znów na dziewczynę. Nie odwróciła oczu. Dojrzał w nich ostrożną ciekawość, ale i straszną pustkę. Nie wiedział o niej nic - ani jak ma na imię, ani skąd pochodzi, ani jak dostała się w ręce ghuli. Pewien był jednego - wszystko co ludzkie, dawno zostało jej odebrane. Krzywda, jaką ghule wyrządziły swoim ofiarom, nie ograniczała się do przemocy fizycznej. To nieszczęsne stworzenie było już tylko strachem i bólem i Mogens czuł, że nie da się jej uratować, że nie można jej już przywrócić zatraconego człowieczeństwa.

- Więc to są ci pana bogowie z gwiazd, doktorze - powiedziała gorzko panna Preussler. - Istoty, którym poświęcił pan całe swoje życie. Bo nie robił pan nic innego, tylko ich szukał, mam rację? I co? Opłaciło się?

Jonathan nie odpowiedział od razu. Chociaż Mogens widział tylko jego profil, dostrzegł, że toczył z sobą niemą walkę.

- Może myliłem się - szepnął bardzo cicho. - Może nie są jednak bogami.

- Skąd ta nagła zmiana poglądów? - spytała gospodyni.

- Nigdy nie miałem wyrobionego zdania na ich temat, panno Preussler - odpowiedział Graves poważnie. - Jestem naukowcem i jako taki byłem ciekaw.

- Ach tik? - Spojrzała na jego ręce. - Tylko tyle?

- Porozmawiamy o tym później - uciał doktor, odwracając się do VanAndta. - Czy oprócz tej biednej dziewczyny byli jeszcze jacyś żywi?

- Nie. - Sformułowanie tej prostej odpowiedzi przyszło mu z ogromnym trudem. W jego głowie nadal panował chaos.

- Trzęsienie ziemi? - domyślił się Graves.

- Na dole wszystko się zawaliło - odpowiedziała panna Preussler, wyręczając profesora. - Ale to nie oznacza, że nie ma tam już żywych. Gdy byłam tu zeszłej nocy...

- Niewykluczone - wszedł jej w słowo doktor. - Jestem nawet pewien, że są jeszcze inni, ale obawiam się, że teraz nie możemy dla nich nic zrobić. Mamy niewiele czasu na ucieczkę. - Wyjął zegarek i otworzył wieko. - Pół godziny, dokładniej rzecz biorąc.

- Nie ruszę się stąd, dopóki choć jeden człowiek jest w mocy tych bestii! - oznajmiła gospodyni zdecydowanie.

- W takim razie zginie pani - odparł Graves - i nie uratuje pani nikogo. Nawet tej dziewczyny. Panna Preussler chciała ostro odpowiedzieć, ale Jonathan potrzęsnała głową i ciągnął nieco podniesionym, lecz nadal jeszcze łagodnym głosem:

- Proszę być rozsądną. Nikomu nic z tego nie przyjdzie, jeśli zginie, a tak właśnie się stanie, gdy brama się zamknie i ghule się obudzą.

- Ale... nie możemy ich tak po prostu zostawić w potrzebie... - Gospodyni sprawiała wrażenie niepewnej, a zarazem zdecydowanej, chociaż w przekorny sposób.

- Możemy tu wrócić - stwierdził doktor. Wskazał na dziewczynę. - Ona i jej dziecko będą stanowiły dowód, wówczas będą musieli nam uwierzyć. Możemy tu wrócić z innymi i położyć kres temu piekłu. Ale pod warunkiem, że przeżyjemy następną godzinę.

Panna Preussler milczała w nieskończoność. Widać było po niej, że bije się z myślami podobnie jak Mogens. Za nic w świecie nie chciała tu zostawić ani jednego człowieka, ale słowa Gravesa były oparte na żelaznej logice, której nie mogła odmówić słuszności. Spojrzała bezradnie na dziewczynę,

w końcu skinęła głową.

- Dobrze, ale proszę nie myśleć, że będzie pan mógł się z tego wykręcić, doktorze. Słowo honoru, że naprawdę zamierza pan tu wrócić i zlikwidować to diabelskie siedlisko?

- Ma pani moje słowo - rzekł poważnie Jonathan.

570

MS-fcl'1

Uv»

M

Profesor miał swoje zdanie na temat wartości słowa honoru Gravesa, mimo to zdawało mu się, że przynajmniej w tej chwili mówił całkiem poważnie. Co, do diabła, przeżył we wnętrzu piramidy?...

- Chodźmy w takim razie - powiedziała panna Preussler.

om wrócił, gdy właśnie zbliżali się do wyjścia. Mo-ł gens nie potrafił powiedzieć, czy to nieludzkie mia-znów zaczęło oszukiwać jego wzrok, czy chłopak _____ to świadomie - w każdym razie pojawił się bez ostrzeżenia znikąd, tak że przestraszył nawet Gravesa.

Co zdziwiło profesora, dziewczyna nie zareagowała na pojawienie się chłopaka. Nie był jednak pewien, co będzie, kiedy opuszczą budynek, a potem miasto.

- Jak sprawy stoją? - spytał doktor.

- Niedobrze - odpowiedział Tom bez ogródek.

- Znaleźli nas? - zaniepokoił się Jonathan.

- Kto? - Mogens zrozumiał, że coś przed nim ukryli. -O kim mówisz?

Zarówno Graves, jak i Tom zignorowali go.

- Właściwie nie - odparł chłopak. - Ale obawiam się, że nie wrócimy tą samą drogą.

Widziałem kilku na drodze do wejścia.

- O kim ty mówisz? - powtórzył VanAndt. - Graves! Twierdziłeś, że bestie śpią!

- Zgadza się - odrzekł Jonathan niewzruszony. - Obawiam się, że chodzi o pewien rodzaj... strażników.

- Których pan zaalarmował, wdzierając się do piramidy - odgadła panna Preussler.

- Obwinianie mnie niestety nie zmieni niczego w naszym położeniu - stwierdził i zwrócił się do Toma: - Iłu ich jest? Myślisz, że poradzimy sobie w dwa karabiny?

Tom spojrzał przelotnie na Mogensa i kobiety, po czym pokręcił w milczeniu głową.

- W takim razie musimy pomyśleć o innej drodze -zmartwił się doktor.

- A kanał? - spytał profesor.

- Jaki kanał? - Panna Preussler zamieniła się w słuch.

- W kanale była słona woda - przypomniał Tom. - Jestem niemal pewien, że kanał jest połączony z morzem.

- O jakim kanale panowie mówią? - zniecierpliwiła się gospodyni. - Doktorze! Profesorze!

- Łódź jest wystarczająco duża dla nas wszystkich -ciągnął chłopak niewzruszony.

- Jaka łódź? - spytała panna Preussler ostro. - Profesorze!

- Tom odkrył łódź - wyjaśnił Mogens niechętnie. -1 kanał, który prawdopodobnie prowadzi na zewnątrz.

Gospodyni spojrzała na niego ze złością.

- I domyślam się, że do tej pory nie było potrzeby informowania mnie o tym.

- Nie chcieliśmy pani niepotrzebnie niepokoić, moja droga - powiedział Jonathan swoim aroganckowyniosłym tonem. - Poza tym do tej pory kanał nie wydawał nam się potrzebny. - Spojrzał ponownie na Toma. - A droga do niego jest bezpieczna?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Na co więc czekamy? - ponagliła panna Preussler. -Jeśli rzeczywiście mamy tak mało czasu, nie powinniśmy go marnować na zbędną gadaninę.

Doktor poprzestał na lekkim wzruszeniu ramionami, po czym zwrócił się do Toma:

- Dobrze, my pójdziemy przodem. Mogensie, ty i kobiety za nami, gdy damy wam znak.

Profesor chciał zapytać, o jaki znak chodzi, ale Graves i chłopak już zniknęli za drzwiami. Tom znowu przeistoczył się w inną osobę. Szedł z kocią zrećznością, którą VanAndt tak wcześniej podziwiał. Jonathan podążał za nim szybko, ale jego ruchy były niezdarne. Obydwaj oddalali się szybciej, niż to właściwie było możliwe. I nie mogliby już usłyszeć Mogensa.

Oddalili się w tym samym kierunku, z którego wcześniej wszyscy przybyli. Chłopak zniknął za jednym z olbrzymich posągów stojących wzdłuż alei albo po prostu wessała go zniekształcona optyka podziemnego miasta.

- Przykro mi z powodu tej łodzi - powiedział VanAndt do gospodyni. - Powinniśmy byli pani o niej powiedzieć, ale jej odkrycie naprawdę wydawało mi się mało istotne. -Tylko czy rzeczywiście była to prawda? W głębi duszy wiedział, że nie.

- Już dobrze - odparła panna Preussler nieoczekiwanie łagodnym, niemal matczynym tonem, który uświadomił mu, że jej gniew i oburzenie dotyczyły wyłącznie Gravesa. - Muszę... muszę panu podziękować, profesorze.

Mogens odwrócił się do niej zdziwiony.

- Za co?

Gospodyni ociągała się przez chwilę. W końcu powiedziała, nie patrząc mu w oczy:

- To, co zrobił pan wcześniej, było bardzo odważne.

- Nie rozumiem...

- Ten potwór, który mnie zaatakował - wyjaśniła. - Zabiłby mnie, gdyby pan się na niego nie rzucił. Zaryzykował pan życie, żeby mnie ratować.

VanAndt wzruszył ramionami zakłopotany i poczuł, jak wargi układają mu się w głupawy uśmiech. Niby miała

%

;4i

Mg

Ĺ A

m ■

P

r i-! N

a

rację, ale nie do końca. Bez wątpienia, atakując ghula, naraził życie, ale nie miało to nic wspólnego z odwagą. Po prostu działał instynktownie.

- Chciałem właściwie...

- ...uniknąć podziękowań, wiem - przerwała mu panna Preussler. - Dlatego właśnie tak trudno było mi podjąć ten temat. - Potrząsnęła głową, a jej oczy przybrały zaskakująco łagodny wyraz. - Jest pan takim dobrym człowiekiem, profesorze. Obawiam się, że przez długi czas byłam wobec pana niesprawiedliwa.

- Dlaczego? - spytał Mogens.

Panna Preussler, zanim odpowiedziała, odwróciła się do czarnowłosej wciąż ściskającej martwego potworka i spojrzała na nią smutno.

- Dziewczyna, o której mi pan opowiadał. Pana przyjaciółka...

- Janice.

- Janice - potwierdziła gospodyni. - Te potwory ją porwały?

- Tak - odrzekł VanAndt gorzko. - Byłem przy tym. Stało się to z mojej winy.

- Bzdura! - Potrząsnęła głową panna Preussler. - Nie wierzę panu.

- Ale taka jest prawda - wymamrotał. - Uprowadziły ją na moich oczach, a ja nie zrobiłem nic, by im w tym przeszkodzić.

Gospodyni uczyniła niezadowolony gest, jakby chciała wymazać jego słowa.

- A co miał pan zrobić?! Rzucić się na potwory z gołymi rękami? Zginałby pan niechybnie.

- Wiem - przytaknął. Ale może właśnie powinien był zginąć, próbując uratować Janice?

Tymczasem on po prostu stał i patrzył sparaliżowany ze strachu, i nie zrobił nic. Dlaczego dziewięć lat temu nie zareagował tak samo jak przed dziewięcioma minutami? Panna Preussler miała rację, nic by to nie zmieniło. Zostałby zabity, w najlepszym razie ciężko ranny, a ghul i tak porwałby Janice. Ale on nawet nie próbował jej ratować i to było najgorsze.

- Proszę nie robić sobie wyrzutów, profesorze - powiedziała gospodyni. Najwyraźniej nietrudno było odgadnąć jego myśli. - Niczego by to nie zmieniło. - Zmusiła się do uśmiechu, który jednak był równie mało przekonujący, co wesoły ton jej dalszych słów. - Jeśli chce pan coś jeszcze zrobić dla tej biednej dziewczyny, proszę mi pomóc i mieć oko na doktora Gravesa.

- Nie ufa mu pani? - zapytał, choć było to oczywiste.

- Naturalnie, że nie - odparła. - Teraz zapewne nawet on wierzy w to, co mówi. Ale potem zmieni zdanie. Ludzi takich jak Graves znam aż za dobrze. Gdy wydostaniemy się stąd, zastanowi się, co robić dalej. Człowiek jego pokroju nigdy nie pozwoli na to, by to wszystko zostało zniszczone. A ja z kolei nie dopuszczę, by tak się stało.

Jej słowa zabrzmiały śmiertelnie poważnie. Miała rację. Coś przstraszyło Gravesa i wzburzyło do głębi. Teraz na pewno nie wątpił, że tu wróci, ale później będzie inaczej. Jonathan Graves nigdy nie pozwoliłby na zniszczenie podziemnego miasta, nigdy nie przyznałby, że jego obsesja była błędną drogą.

Mogens był tego pewien tym bardziej, że sam czuł głęboki żal, że te fantastyczne artefakty, drogocenne skarby i prastara wiedza mają zostać zniszczone. Nawet on czuł, jak łatwo byłoby ulec kuszącym podszeptom. Bez względu na strach, jakiego doświadczyli, odkryli przecież nieoceniony artefakt z zupełnie obcego świata, który umożliwiłby nie tylko im, ale i całej ludzkości ogromny krok w przyszłość. Lud, który wznosił to niesamowite miasto, pokonał otchłań między gwiazdami, podczas gdy ludzie dopiero nieśmiało próbowali oderwać się od powierzchni swojej planety na kruchych skrzydłach z płótna i drewna. Unicestwienie tych wszystkich cudów, rozbicie nawet najmniejszego kamienia czy zniszczenie choć jednego obrazu było dla archeologa niczym dźgnięcie sztyletem w serce. To byłaby zbrodnia!

A jednak nie mogło się stać inaczej. Za niepojętymi zjawiskami i zaawansowaną wiedzą czaiło się wielkie niebezpieczeństwo. Profesor czuł je cały czas, nie odkąd znalazł się w podziemiach, lecz o wiele wcześniej, może już w dniu porwania Janice. Jednak dopiero teraz był gotów przyznać to przed samym sobą - trafili na absolutne zło. Nie wątpił, że zdołają pokonać ghule oraz inne niebezpieczeństwa i pułapki, czyhające na nich tu na dole i że w końcu zamkną bramę do gwiazd lub wykorzystają ją do własnych celów. Przecież to właśnie im, trójce słabych ludzi nieposiadających nic prócz własnych rąk i chęci przetrwania, udało się stawić czoła tylu niebezpieczeństwom. Sam fakt, że nadal żyli? świadczył

o tym, że ich wrogowie nie byli niepokonani. Mogli odnieść nad nimi zwycięstwo i mogli zachować skarb, jaki pozostawili przybysze z Syriusza. Ale cena, jaką musieliby za to zapłacić - oni i być może cała ludzkość - byłaby zbyt wysoka.

- Uważa pan, że jest pan coś winny tej dziewczynie - ciągnęła panna Preussler. - I ma pan rację, profesorze. Ma pan obowiązek położyć kres temu koszmarowi, bo nic więcej nie możemy dla niej zrobić. Ale możemy sprawić, by więcej niewinnych istot nie musiało dzielić jej losu.

Mogens chciał odpowiedzieć, ale w tym momencie wrócił Graves. Chociaż nie mógł słyszeć ani słowa z ich rozmowy, coś najwyraźniej przykuło jego uwagę. Zmarszczył brwi

i spojrzał na nich podejrzliwie. W końcu wzruszył ramionami, jakby sam w myślach zadał sobie pytanie, ale zaraz potem uznał je za nieistotne.

- Droga wydaje się wolna - oznajmił. - Jeśli więc możecie przerwać na chwilę rozmowę, byłby to zapewne odpo-

• (ś wiedni moment, by wyruszyć.

Iw

VanAndt minął go bez słowa i wyszedł z budynku. Miał wrażenie, że teraz w podziemiach jest dużo zimniej. Wydechane powietrze zamieniało się w kłęby pary. Panna Preussler spojrzała zaskoczona do góry, a profesor dostrzegł gęsią skórę na jej nagich ramionach.

- To musi mieć jakiś związek z bramą - powiedział Jonathan. - Im bliżej piramidy, tym jest zimniej. - Wskazał głową w kierunku, gdzie zniknął Tom. - Pospieszmy się.

Ruszyli natychmiast, a Mogens odetchnął w duchu, widząc, że dziewczyna nie stawia żadnego oporu. Również gospodyni wyraźnie spadł kamień z serca. VanAndt nie wierzył jednak, by czarnowłosa już całkiem przestała sprawiać im kłopoty.

Szybko okazało się, że miał rację.

Opuścili szczęśliwie aleję i miasto, ale gdy dotarli do mostu, kobieta nagle stanęła. Panna Preussler chwyciła ją za ramię, jednak dziewczyna wyrwała się i cofnęła o krok.

- Panno Preussler, proszę! - zawołał Graves. - Mamy bardzo mało czasu.

- Niech pan będzie cicho - odparła niechętnie gospodyni i z łagodnym uśmiechem zwróciła się do swojej podopiecznej: - Nie bój się. Zaprowadzimy cię w bezpieczne miejsce. Ty też chyba chcesz się stąd wydostać, prawda? Uciec od tych strasznych potworów.

Uniosła rękę, chcąc uspokoić dziewczynę, ale ten gest miał skutek przeciwny do zamierzonego.

Czarnowłosa cofnęła się jeszcze o krok, przycisnęła jeszcze mocniej do piersi zawiniątko z martwym dzieckiem i potrząsnęła stanowczo głową. W jej oczach znów pojawił się śmiertelny strach.

- Tak, wiem, boisz się - westchnęła panna Preussler. - Gdybym chociaż wiedziała, czy mnie rozumiesz... - Przekrzywiła głowę i spojrzała na dziewczynę pytająco, nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi.

- Panno Preussler! - nalegał Graves. - Proszę!

wsp W > ■

A lite

Tym razem zignorowała go zupełnie.

- Musisz nam zaufać - mówiła łagodnie, ale z naciskiem do uwolnionej kobiety. - Te potwory niedługo się obudzą. Jeśli nadal tu będziemy, zabiją nas, a ciebie znów porwą. A tego przecież chyba nie chcesz, prawda?

Znów nie otrzymała odpowiedzi. W tym momencie cierpliwość doktora się wyczerpała.

Przeklinając pod nosem, przeszedł obok panny Preussler i wyciągnął rękę w kierunku dziewczyny.

Gospodyni uczyniła gest, jakby chciała go zatrzymać, ale Jonathan po prostu odsunął ją na bok.

- Nie mamy czasu na takie bzdury! - warknął. Czarnowłosa zareagowała dokładnie tak, jak spodziewał

się Mogens. Przycisnęła mocno dziecko do piersi i równocześnie zamachnęła się wolną ręką.

VanAndt poznał już jej ostre paznokcie i w głębi duszy życzył doktorowi, by on również przekonał się, do czego są zdolne. Jonathan jednak błyskawicznie chwycił nadgarstek dziewczyny, wykręcił jej rękę i równocześnie drugą dłonią uderzył ją w twarz, aż się zachwiała. Panna Preussler krzyknęła oburzona, a przestraszony profesor wciągnął powietrze przez zęby. Na Gravesie nie zrobiło to wrażenia, wręcz przeciwnie, podszedł jeszcze bliżej młodej kobiety i wyrwał jej zawiniątko.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i chciała się rzucić na doktora, ale on pchnął ją tak, że upadła na kolana. Natychmiast się podniosła i zaatakowała ponownie. Jonathan po raz drugi rzucił ją na ziemię. Przy kolejnym ataku wymierzył dziewczynie cios grzbietem dłoni, który po raz trzeci powalił ją na kolana. Tym razem skuliła się, zasłoniła usta dłońmi i zaczęła jęczeć z bólu.

- Graves, co pan wyprawia?! - wydusiła z siebie panna Preussler.

Nie raczył jej odpowiedzieć. Spojrzał na szlochającą kobietę bez cienia współczucia, czekając, aż podniesie wzrok. J 8 Martwe dziecko trzymał w wyciągniętej ręce.

■ ' * ' A , :

ifell f-T'

- Chcesz to? - syknął. - Nie ma problemu. Dostaniesz je z powrotem, gdy przejdziemy na drugą stronę.

- Graves, pan... - zaczęła gospodyni, ale doktor przerwał jej ostrym tonem:

- Proszę się zamknąć, szanowna pani! Nie mam ochoty dać się zabić tylko dlatego, że

przejmuje się pani humorami szalonej kobiety! Jeśli pragnie odzyskać dziecko, pójdzie z nami. Ale jeśli pani chce, może pani tu zostać i nadal ją pocieszać. Ja w każdym razie idę. Mogensie, idziesz ze mną?

Nie czekając na odpowiedź, obrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem przez most. Panna Preussler patrzyła za nim wściekła, ale i przerażona, VanAndt natomiast nie mógł się zdecydować, co począć. Bezwzględność Jonathana oburzyła go tak samo jak gospodynię, ale z drugiej strony wbrew sobie musiał przyznać, że on ma rację. Od każdej minuty mogło zależeć ich życie.

Dziewczyna dłuższą chwilę patrzyła szeroko otwartymi oczyma za Gravesem, dysząc ciężko, potem z jękiem zerwała się na równe nogi i pobiegła za nim. Doktor, słysząc kroki, rzucił jej przez ramię drwiące spojrzenie i przyspieszył. Kobieta mogła go dogonić dopiero przy drugim krańcu mostu.

- Ten człowiek to potwór - wymamrotała panna Preussler.

- Tak - przyznał Mogens, po chwili dodał jednak: - Ale najwyraźniej jego metoda poskutkowała.

Gospodyni spojrzała na profesora z oburzeniem, potrząsnęła wzdrgniętą głową i podążyła za Gravesem i dziewczyną. VanAndt, ledwo postawił nogę na moście, znów zobaczył, że zmysły drwią sobie z niego. Jeszcze raz spojrzał przez ramię w tył. Miasto nadal było spokojne, jakby wymarłe, mimo to czuł obecność obcej siły, która zdawała się śledzić niewidzialnymi oczyma każdy jego krok.

. . .»i.

Prawie bezwiednie podążył wzrokiem wzdłuż ozdobionej olbrzymimi posągami alei aż do ogromnej, niemal czarnej piramidy w centrum miasta. Teraz, gdy już wiedział, co w sobie kryła, wydała mu się jeszcze groźniejsza. Przypominała skulonego, gotowego do skoku potwora, który w każdej chwili mógł się na nich rzucić. Pozłacany szpic skupiał zielonkawe światło niczym złe oko. W którym coś się czaiło. Mogens czuł to i był pewien, że to... coś również wyczuwało ich obecność.

Mogens otrząsnął się z tych myśli i przyspieszył kroku, by dogonić pannę Preussler. Graves, który przeszedł w lekki trucht, był już prawie po drugiej stronie mostu, dziewczyna również. Doktor nie posunął się jednak do ostateczności w swym okrucieństwie. Zanim kobieta dotarła do niego, kucnął i ostrożnie położył martwe dziecko na ziemi. Wstał pospiesznie, cofnął się trzy kroki i zagroził jej drogę odwrotu, gdyby chciała uciekać z powrotem do miasta. Ona jednak nie uciekała. Podniosła dziecko, przycisnęła je mocno do siebie i wcisnęła się w zagłębienie w czarnej skale tuż za mostem. Panna Preussler obsypała Gravesa gradem przekleństw, które on przyjął ze stoickim spokojem, nie próbując się nawet bronić. Gdy VanAndt dotarł do nich, odwróciła się gwałtownie i podeszła do dziewczyny. Kobieta wcisnęła się z całej siły w szorstką skałę. Błądziła dokoła pełnym paniki wzrokiem, w końcu zatrzymała go na Gravesie, który wciąż zagradzał jedyną drogę ucieczki. Uczyniła ruch, jakby rzeczywiście chciała pobiec z powrotem do miasta, ale zaraz ponownie wtuliła się w niszę.

- Proszę cię, moje dziecko, musisz mi zaufać! - powiedziała gospodyni błagalnym tonem.

Wyciągnęła ostrożnie dłoń w stronę dziewczyny, ona jednak tylko przytuliła mocniej martwe dziecko i przywarła do skały. Jej twarz nadal strach.

Panna Preussler odwróciła się wściekła do Jonathana.

- Widzi pan, co pan zrobił?! - wykrzyknęła wzburzona. - Czy przemoc to wszystko, do czego jest pan zdolny?

Graves uniósł pogardliwie lewą brew, podszedł do gospodyni i ignorując gwałtowne protesty, odsunął ją na bok. Równocześnie wystawił lewą rękę w kierunku dziewczyny.

Czarnowłosa zajęczała. Mogens instynktownie wstrzymał oddech, gdy spojrzał na twarz panny Preussler. Widać było, że nie pozwoli znów zrobić krzywdy swojej podopiecznej.

Graves nie próbował jednak odebrać dziewczynie dziecka. Uczynił tylko złośliwy ruch, jakby chciał to zrobić, opuścił jednak szybko ramię i cofnął się demonstracyjnie o krok, wskazując, w którą stronę ma iść. Nie powiedział nic, ale młoda kobieta zrozumiała, czego od niej żąda. Ani na chwilę nie spuszczał oka z doktora, skulona ze strachu, posłusznie wyszła z niszy i ruszyła we

wskazanym kierunku.

- Widzi pani? - Jonathan uśmiechnął się z wyższością. - To działa.
- Czy już mówiłam, że uważam pana za potwora? - spytała panna Preussler szorstko.
- Niejednokrotnie - potwierdził Graves. - Ale jeszcze mi pani podziękuje, moja droga. Proszę teraz ruszać. Mamy mało czasu.

Gospodyni rzuciła mu druzgocące spojrzenie i dołączyła do dziewczyny. Mogens widział, że chciała objąć czarnowłosą ramieniem, ta jednak odtrąciła pannę Preussler. Profesor przestraszył się, że dziewczyna gotowa jeszcze zrobić coś nieprzewidywalnego i zgubić ich wszystkich w najmniej spodziewanym momencie.

- Ile mamy jeszcze czasu? - spytał, podążając w bezpiecznej odległości za kobietami. Graves wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że niedużo. Mam nadzieję, że Tom ma rację i ten kanał rzeczywiście wyprowadzi nas na zewnątrz.
- A jeśli nie? - spytał VanAndt.
- Musi po prostu - odparł Graves. Rozejrzał się z niepokojem. - Widziałem całe mnóstwo tych bestii po drodze do piramidy. Ale nie martw się, Mogensie.
- Ponieważ już wychodziłeś cało z gorszych opresji? - spytał z przekąsem profesor. Jonathan obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

Gorszych raczej nie. Ale rzeczywiście nieraz już wpadałem w poważne tarapaty. Mogens na wszelki wypadek nie spytał w jakie. Żałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę. Nawet jeśli większość drogi mieli już za sobą, czuł, że największe niebezpieczeństwo dopiero na nich czyha. No i gdzie się podział Tom?!

Jakby w odpowiedzi chłopak wyjrzał nagle zza skał jakieś pięćdziesiąt kroków przed panną Preussler. Mimo niepewnego podłoża szedł bardzo szybko. Gospodyni zatrzymała się.

- Tom! - zawołał doktor. - Co jest...
 - Cicho! - jęknął chłopak wystraszony. - Schowajcie się! Szybko!
- Łatwo powiedzieć... Po jednej stronie ścieżki była kamienna ściana, po drugiej przepaść. W czarnej skale widniały liczne rysy i szczeliny, ale żadna z nich nie na tyle szeroka, by mogła posłużyć za kryjówkę. Mogensa na chwilę ogarnęła panika, również Graves rozglądał się dokoła coraz bardziej nerwowo.

- Tam! - zawołał, wskazując miejsce położone kilka kroków za panną Preussler i dziewczyną.
- Musimy wspiąć się na górę!

Mogensa przeszedł zimny dreszcz. Kilka metrów nad kobietami rzeczywiście dostrzegł w skale poziomą szczelinę

- *

wystarczająco dużą, by ich wszystkich pomieścić. Jednak wdrapanie się tam graniczyłoby z cudem - ściana była gładka jak stół, dostrzegł tylko kilka rys i nierówności. Być może alpinista z odpowiednim sprzętem byłby w stanie się tam wspiąć, ale oni raczej nie, a już na pewno nie panna Preussler i dziewczyna z martwym dzieckiem na rękę.

- Nadchodzą! - Tom dobiegł do nich, sapiąc. Mimo zimna był zlany potem. - Są na drodze.
- Widziałeś ich? - spytał Graves.

Chłopak z trudem pokręcił głową. Brakowało mu tchu, dopiero po chwili był w stanie odpowiedzieć:

- Nie. Ale wiem, że kierują się w tę stronę.

Jonathan nie pytał o nic więcej, tylko z ogromną zręcznością zaczął wdrapywać się na niemal pionową skałę. Już po chwili dotarł do gzymsu, podciągnął się, stękając, i na moment zniknął. Potem wyjrzał na dół i zaczął żywo gestykulować.

- Tutaj jest grot. Szybko!

VanAndt zrezygnowany uniósł ramiona, ale zaraz je opuścił, spojrzał bezradnie na pannę Preussler, potem na Gravesa i znów na nią. W oczach gospodyni dostrzegł przerażenie i rezygnację.

- Niech pan idzie - powiedziała. - Ja nie dam rady, ale nie ma powodu, żeby dopadli nas

wszystkich.

- Proszę nie gadać głupot! - krzyknął z góry doktor. -Przyszliśmy tu razem i razem wrócimy.
- Nie jestem kozicą - odparła gospodyni oschle - jeśli umknęło to pańskiej uwadze.
- Nigdy bym pani nie porównał do kozicy, łaskawa pani - odparł Graves. - Tom, pomóż panie Preussler!

Mogens spojrział na chłopaka zdezorientowany. Był pół głowy niższy od niego i nawet jeśli miał wiele ukrytych talentów, nie zmieniało to niestety faktu, że ważył najwyżej połowę z tego, co gospodyni profesora. Również jej myśl musiała podążyć podobną ścieżką, ale Tom nie zastanawiał się długo. Zdecydowanym ruchem podał karabin VanAndtowi, w lekkim rozkroku oparł się plecami o ścianę i splótł ręce na wysokości pępka.

- Co robisz, Thomasie? - spytała panna Preussler niepewnie.

Chłopak uczynił zachęcający ruch głową.

- Proszę wejść na moje dłonie. Podsadzę panią.
- Oszalałeś? - wyrwało się gospodyni.
- Do diabła, niech pani wreszcie zrobi, co mówi! - huknął Graves.

Może jego rozkazujący ton wprowadził ją w takie zdumienie, że usłuchała automatycznie, może zwyciężył w końcu strach przed śmiercią, w każdym razie podkasła sukienkę, z dużym wysiłkiem postawiła prawą stopę na splecionych rękach Toma i sapiąc, dźwignęła się w górę. Chłopak stęknął, ugiął się w kolanach, również panna Preussler omal nie straciła równowagi. Zaczęła wymachiwać rękami, co tylko pogorszyło sprawę, ale podbiegł profesor i podparł jej plecy. W pierwszej chwili był przekonany, że gospodyni zaraz runie jak ścięte drzewo, przygniatając go przy okazji. Ale stał się cud - nie spadła, lecz uderzyła rozłożonymi ramionami w ścianę, a palce instynktownie znalazły gdzieś oparcie.

Tom stęknął i jeszcze bardziej ugiął kolana, gdy podniosła drugą nogę i postawiła na jego ramieniu. Mogens poczuł się tak zaskoczony i bezradny, że omal nie puścił panny Preussler, którą teraz musiał podtrzymywać nie za plecy, lecz za imponujące siedzenie. Graves wysunął się ze swojej kryjówki i wyciągnął do niej dłonie obleczone w czarne rękawiczki.

- Ręce! - wysapał. - Proszę podać mi ręce!

Gospodyni na chwilę zamarła. VanAndt widział, z jakim trudem przełamała się, by dotknąć dłoni doktora. Graves zacisnął mocno dłonie na jej nadgarstkach i zaczął ciągnąć.

- Na co czekacie?! - wysapał. - Tom! Mogens! Pchajcie!

VanAndt jeszcze raz zebrał wszystkie siły, a chłopakowi

udało się obrócić, wsunąć dłonie pod stopy panny Preussler i podnieść ją nieco wyżej. Przypominał jednak cyrkowego siłacza, który wziął na siebie zbyt duży ciężar.

Mimo że gospodyni zdawała się robić wszystko, by im przeszkodzić, jej ciężar nagle zniknął. Profesor zatoczył się, wzdychając z ulgą, i zdążył jeszcze zobaczyć znikające w skalnym otworze koronkowe, sięgające kostek reformy. Potem nogi ugięły się pod nim i upadł na kolana. Również Tom kucnął przy ścianie wyczerpany, ale zaraz wstał i rzucił Mogensowi wyzywające spojrzenie.

- Teraz pan, profesorze - powiedział.

Mogens potrząsnął głową. Serce waliło mu tak mocno, jakby chciało rozsadzić klatkę piersiową, a ramiona i plecy bolały.

- Najpierw ty - wydusił z siebie.
- Ja poradzę sobie sam - odparł chłopak. - Pan też potrafi?

Tego argumentu Mogens nie mógł obalić, chociaż nie był przekonany, czy Tom rzeczywiście będzie w stanie go dźwignąć. Mimo to nie oponował dłużej i tak jak wcześniej panna Preussler postawił stopę na splecionych dłoniach chłopaka, a potem wspiął się na jego ramiona. Poczuł większy respekt dla zręczności gospodyni, gdy samemu przyszło mu balansować w tej pozycji. W końcu przycisnął się do ściany i zdołał złapać równowagę. Stał tak chwilę, bojąc się nawet oddychać, ale zebrał resztki odwagi i ostrożnie wyciągnął ręce do góry. Graves chwycił VanAndta z taką siłą, że aż jęknął z bólu, a Tom pchnął go do góry.

Profesor nie miał pojęcia, skąd chłopak wziął tyle siły. Miał wrażenie, że dosłownie wystrzelił go w

powietrze, ledwo zdążył schylić głowę, by nie uderzyć o skałę. Przeszoro-wał boleśnie biodrami po chropowatym granicie, w końcu znalazł się na górze i padł wyczerpany. Czuł potężne zawroty głowy, ale zdołał jakoś wesprzeć się na łokciach i rozejrzeć. Panna Preussler leżała obok niego na boku. W grocie było ciemno, widział tylko niewyraźny zarys jej twarzy, ale gospodyni szybko odwróciła głowę, gdy zobaczyła, że na nią patrzy.

- Mogensie, do diabła, pomóż mi! - usłyszał za sobą głos Gravesa.

Odwrócił się pospiesznie, przyczołgał do kolegi i wychylił głowę na zewnątrz. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że żadne z nich, nawet panna Preussler, nie poświęciło ani chwili uwagi dziewczynie. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, mogłaby skorzystać z okazji i uciec. Ona jednak wspięła się szybko i zręcznie na ramiona Toma i wyciągnęła do góry prawą rękę, lewą cały czas przyciskając do siebie dziecko. Jednak gdy Jonathan chciał chwycić ją za nadgarstek, odsunęła ją gwałtownie. Dopiero po chwili VanAndt zrozumiał, co ten ruch oznaczał. Pospiesznie wysunął się jeszcze bardziej do przodu, chwycił obydwoma dłońmi rękę dziewczyny i zaczął ciągnąć. Doktor patrzył na niego z drwiącą miną i nie kiwnął nawet palcem, by mu pomóc.

Czarnowłosa, gdy tylko znalazła się na górze, strząsnęła rękę profesora i odpełzła w głąb wnęki. Mogens padł na ziemię i dopiero po chwili mógł z siebie coś wydusić.

- Dziękuję ci... za pomoc, Jonathanie - sapnął zjadliwie.

- Nie uśmiechało mi się, żeby ta dzikuska wydrapała mi oczy. - Graves spojrzał w dół. - Tom! Pospiesz się!

Chłopak podrzucił do góry karabin, doktor chwycił go zręcznie. Tom niczym pająk wdrapał się po niemal gładkiej ścianie.

Zdążył w ostatniej chwili.

Profesor nie widział jeszcze zbliżających się stworzeń, ale w niejasny sposób czuł, że nadchodzą, jakby nagle rozwinął

■
mu się dodatkowy zmysł. Czuł, że zbliża się coś obcego i na wskroś złego.

Wreszcie je zobaczył. Był przekonany, że Tom mówił o ghulach, tymczasem spośród kilkunastu potworów tylko kilka pierwszych okazało się ghulami, resztę stanowiły zupełnie inne istoty.

Do tej pory Mogens sądził, że kombinacja szakala z człowiekiem była najstraszniejszą formą życia, jaką mógł spotkać, ale bardzo się mylił.

Każdy z potworów zbliżających się powoli pochyłą ścieżką miał cechy człowieka i zwierzęcia.

Niektóre natura - o ile to coś, co je stworzyło, mógł nazwać naturą - wyposażyła w skrzydła i zakrzywione dzioby jak u ptaków drapieżnych, inne stworzenia były pokryte łuskami, kolcami lub futrem. Widział przerażające hybrydy człowieka i węża, krokodyla i kobiety, dziecka i skorpion, sokoła i mężczyzny. To były...

Odkrycie to zaskoczyło profesora niczym uderzenie pięścią.

Istoty te nie były przypadkowymi wytworami ewolucji.

Byli to starożytni bogowie egipscy.

VanAndt nie rozpoznał wszystkich stworzeń. Niektóre pewnie nigdy nie zetknęły się z człowiekiem, inne mogły przybyć, dopiero gdy królestwo faraonów już dawno nie istniało. Jednak wiele z nich Mogens rozpoznał: Horusa, Totha, Seta i Ra, Bastet i Sobka oraz pomniejszych bogów, których imion nie znał, lecz ich postaci znał z wizerunków. Widok ten omal nie przyprawił go o szaleństwo.

Nie wiedział, jak udało mu się otrząsnąć. Coś w nim pękło i nieodwołalnie pozostało w świecie półmroku oscylującym między światłem i ciemnością, kryjącym nie tylko szaleństwo, ale też ludzkie nadzieje i lęki.

Jednak nie widok dziwacznej procesji był najgorszy. Profesora bardziej przerażało, że wszystko w tych istotach

wydawało mu się fałszywe, lecz nie potrafił określić dlaczego.

- Co masz na myśli? - spytał Graves.

Mogens spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc.

- Powiedziałeś „nie mają” - wyjaśnił Jonathan. - Co miałaś na myśli?
Nie pamiętał, żeby coś takiego powiedział, ale nie sądził, by doktor nagle zaczął czytać w jego myślach.

- One nie mają prawa bytu - odparł wreszcie cicho zachrypłym, bezbarwnym głosem. Dopiero po chwili zorientował się, że korowód potworów już dawno ich minął.

- Tak, patrząc na nie, można dojść do takiego wniosku, prawda? - podchwycił doktor. VanAndt miał wrażenie, że jest rozbawiony, czego w żaden sposób nie mógł pojąć. - I obawiam się, że rzeczywiście są tak niemile, na jakie wyglądają. Chociaż oczywiście wszystko zależy od punktu widzenia.

- Uważasz, że to jest śmieszne?
Graves potrząsnął energicznie głową.

- Nie - powiedział. - Wcale nie miało być śmieszne. Wybacz, jeśli wyraziłem się niejasno. Potrafię sobie wyobrazić, co przeżyłeś na ten widok, ja za pierwszym razem również byłem przerażony. Są straszne i z pewnością niebezpieczne. Ale akurat ty, jako naukowiec, nie powinienesz zapominać, kim są.

- A kim są pana zdaniem, doktorze? - zapytała gospodyni. Nie ruszyła się z miejsca, ale najwyraźniej słyszała każde ich słowo. Zapewne była przekonana, że mówią o ghulach, bo z głębi skalnej szczeliny nie widziała przecież nadchodzących bestii.

- Stworzeniami z innego świata, panno Preussler - wyjaśnił Jonathan spokojnie.

- Mnie przypominają raczej pomiot szatana.

V.
.1?
*' • , ' "i Ć- T
m I m H '

- Pani nie rozumie - westchnął Graves. - Nie chodzi o nieznaną gatunek, nieznaną zwierzę, które badacze przywieźli z Afryki, Azji czy innej białej plamy na mapie. - Tłumaczył jak zniecierpliwiony nauczyciel, który po raz setny musi wyjaśniać uczniom trudne zagadnienie, choć wie doskonale, że i tak go nie rozumieją. - Te istoty są efektem zupełnie odmiennej ewolucji, panno Preussler. Nie da się ich porównać z żadnym stworzeniem na ziemi.

- Do czego pan zmierza? - spytała gospodyni nieufnie.

- Do tego, że nie trzeba się ich bać. Strach jest zrozumiałą, ale niepotrzebną. Te istoty są zupełnie obce. Nawet my, ludzie, nie potrafimy żyć ze sobą w pokoju, jak może więc pani oczekiwać, że nie będzie miała uprzedzeń do istot z obcego świata?

- Ja nie mam uprzedzeń. Wystarcza mi to, co widziałam. - Panna Preussler rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku dziewczyny siedzącej w najdalszym kącie groty z podkulonymi nogami. Czarnowłosa wciąż wpatrywała się przed siebie pustymi oczami, nucąc monotonna i kołysząc szakale dziecko. Mogens nie był już wcale taki pewien, czy rzeczywiście tak mało rozumiała z tego, co dzieje się dokoła.

Również Graves podążył za wzrokiem gospodyni i pokiwał smutno głową.

- Tak, ma pani rację, panno Preussler. To straszne, co zrobiono tym biednym kobietom. Ale nie należy oceniać tych istot naszą miarą.

- Ależ ja wcale tego nie robię - odparła gospodyni. - Nie potępiam ich, doktorze. Chcę je tylko zabić.

Twarz Jonathana stężała. Nic nie odpowiedział, ale Mogens widział, z jakim trudem panuje nad sobą. Profesor pojął ostatecznie, że panna Preussler miała rację. Graves nie pozwoli na zniszczenie podziemnego świata.

- Wydaje mi się, że możemy iść dalej - wtrącił się Tom. - Już ich nie ma. Doktor spojrział na niego, marszcząc czoło. Wyglądał na rozgniewanego, że Tom ośmielił się przerwać rozmowę i w dodatku powiedział coś z sensem.

- Jeśli o mnie chodzi, możemy iść - powiedział niechętnie. - Ale ty upewnij się, czy rzeczywiście nikt na nas nie czeka.

dy wracali, ziemia zatrzęsa się jeszcze dwa razy. Były to jednak nieznaczące drgania, ostatnie

przypominało lekki dreszcz po pokonanej gorączce. Z podłóża nie wydostawały się już czerwie, a z sufitu nie spadały odłamki. Mimo to odetchnęli z ulgą, gdy dotarli do szczeliny, przez którą wcześniej dostali się do miasta. Droga nie była długa, jednak Graves stawał się coraz bardziej nerwowy i dwa razy wyciągał zegarek. Może wiedział jednak dokładnie, ile czasu im pozostało, a może po prostu się bał. Mogens wolał o to nie pytać.

Doktor pierwszy prześliznął się przez szczelinę i momentalnie pochłonęła go ciemność. Panna Preussler znów musiała przekonywać i uspokajać gestami dziewczynę, w końcu jednak pokonali przeszkodę, a chwilę później dotarli do budynku, pod którym odkryli wcześniej kanał i baręk. Profesor cały czas miał na oku ciemnowłosą towarzyszkę, również Tom co jakiś czas odwracał głowę w jej stronę, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dziewczyna posłusznie podążała za nimi, ale nic nie wskazywało na to, by nabrała zaufania, raczej po prostu pogodziła się z losem. VanAndt schylił się i ostatni przeszedł przez niskie wejście przypominające rozdziawiony pysk bezkształtnego

potwora. Po drugiej stronie musiał unieść rękę, by przysłonić oczy. Ku jego zaskoczeniu pomieszczenie było zalane ostrym światłem. Lampy Gravesa i Toma już się paliły, a chłopak majstrował przy latarni panny Preussler. Profesor spodziewał się raczej, że Graves od razu każe ruszyć w kierunku schodów, by jak najszybciej dotrzeć do łodzi. On jednak podszedł do przeciwległej ściany i uniósłszy lampę, zaczął przyglądać się znakom i rysunkom.

- Co ty, na Boga, robisz, Jonathanie?! - wymamrotał Mogens. - Chodźmy! Uważasz, że to dobry moment na badanie starożytności?

Doktor nawet nie oderwał wzroku od ściany. Uniósł lampę jeszcze wyżej, a czubkami palców drugiej ręki z namaszczeniem przesunął po hieroglifie przedstawiającym krzyżówkę ptaka z jakimś innym, nieznanym stworzeniem.

- Jeśli nie teraz, to niby kiedy, głupcze? - prychnął. -Może już nigdy nie zobaczymy tych obrazów. Może żaden człowiek nigdy już ich nie zobaczy.

- I lepiej, żeby nigdy nie widział - odparł twardo Mogens.

Graves oderwał w końcu wzrok od malowideł, odwrócił powoli głowę i zmierzył go przeciągłym, pogardliwym spojrzeniem.

- Muszę cię przeprosić - powiedział chłodno. - Właśnie nazwałem cię głupcem, ale to nieprawda. Gorzej, jesteś po prostu ignorantem.

VanAndt powstrzymał się od komentarza, który miał na końcu języka. Zamiast tego wzruszył lekko ramionami i spytał raz jeszcze:

- Możemy już iść?

- Jeszcze tylko chwilę. Chcę przynajmniej zrobić zdjęcie tej ściany. Na szczęście byłem na tyle przewidujący, że kazałem wziąć Tomowi mój sprzęt fotograficzny.

- Zdjęcie?! - niemal wykrzyczał profesor. Czy ten szaleniec naprawdę się spodziewał, że będą spokojnie czekać, aż Tom wypakuje aparat, zmontuje go i poczyni wszystkie przygotowania do zrobienia fotografii?! Mogens nie znał się na fotografowaniu, ale wiedział, ile wymaga to czasu. Tak cennego czasu!

Jonathan, przewidując jego sprzeciw, uniósł prędko rękę.

- Nie bój się, to potrwa najwyżej dwie, trzy minuty. Przewidziałem, że będziemy mieć mało czasu i poczyniłem odpowiednie przygotowania. Tom musi tylko ustawić aparat. Daj nauce i reszcie świata choć szansę poznania tego obrazu.

„Nawet jeśli przypłacimy to życiem” - pomyślał Mogens, ale nie powiedział tego na głos. W głębi duszy przyznawał Gravesowi rację. Chodziło tylko o zdjęcie, które później mogło mieć przecież ogromne znaczenie.

Doktor skinął niecierpliwie na Toma.

- Słyszałeś? Zmontuj aparat. Tylko szybko.

- Ryzykuje pan nasze życie z powodu fotografii? - spytała z niedowierzaniem panna Preussler.

- Inni ryzykują nasze życie z powodu wariatki, która resztę życia spędzi w zakładzie dla obłąkanych - wymamrotał Graves złośliwie, nie raczył jednak spojrzeć na gospodynię.

Zajął się ponownie studiowaniem ściany.

- Nie do wiary - wyszeptał po chwili. Jego przepełniony czcią głos zaczął drżeć, a z oczu wycierał entuzjazm, który przeraził Mogensa bardziej, niż gdyby nagle zobaczył ghula. - Dopiero teraz rozumiem. Gdybym wcześniej o tym wiedział!

- O czym mówisz? - wyrwał się VanAndt. Wewnętrzny głos nakazywał mu co prawda nie prowokować niczym

tego szaleńca, ale nie mógł się powstrzymać. - Gdybyś co wcześniej wiedział?

- Ten obraz - powiedział Jonathan, żywo gestykulując wolną ręką. - To nie jest tylko obraz, Mogensie! - wykrzyknął. - To mapa! Mapa ich ojczyzny!

- Plan miasta, wiem - odparł profesor, ale Graves potrząsnął mocno głową. Rozkołysana lampa zaczęła budzić do życia zastygłe na ścianie kształty.

- To mapa tego miasta - potwierdził - ale równocześnie mapa ich miasta rodzinnego, nie widzisz?

VanAndt potrząsnął głową.

-Nie.

- Bo jak byś mógł? - Graves uśmiechnął się dziwnie. -Nie widziałeś tego, co ja. Byłem w piramidzie i widziałem cuda, i to był widok warty całego życia, Mogensie. - Cofnął się o krok i wskazał ręką ścianę. - Zbudowali to miasto na wzór swojej ojczyzny, rozumiesz? Tam - wskazał rysunek piramidy. - To słońce ich ojczyzny, Syriusz. Ten budynek, i ten, i ten - pokazał trzy kolejne symbole, między innymi mastabę, w której profesor był z panną Preussler - to ciała niebieskie krążące wokół Psiej Gwiazdy. Tych kilka kunsztownych budynków to prawdopodobnie satelity. Cud, Mogensie! Już samo to zdjęcie zweryfikuje naszą wiedzę na temat wszechświata i rządzących nim praw!

- Piękna teoria - mruknął Mogens. - Ale nasi koledzy astronomowie ukamieniają cię, gdy im ją pokażesz.

- O nie! - odparł Jonathan pogardliwie. - Bez wątplenia wyśmieją, ale śmiech uwięźnie im w gardle, gdy to zobaczą.

- Co? - spytała panna Preussler z powątpiewaniem. -Gdy co zobaczą, doktorze?

Graves próbował nad sobą zapanować, ale VanAndt, który stał bliżej, zauważył, że wzdrygnął się przestraszony,

a w jego oczach pojawiła się na chwilę konsternacja. Potem pokręcił tylko głową i powiedział:

- Fotografię, moja droga, a cóżby innego? - Odwrócił się do chłopaka. - Czy już... - Urwał w pół słowa. - Tom? Na co czekasz, do diabła? Wyciągaj aparat! Czas ucieka!

Ku własnemu zdumieniu profesor zobaczył, że zwykle ślepo posłuszny chłopak nawet nie kiwnął palcem. Stał nieruchomo i patrzył na Jonathana zakłopotany.

- Tom! - krzyknął ostro Graves.

- Obawiam się... że nie mogę, doktorze - wyjąkał. Mogens nie pamiętał, żeby Tom kiedykolwiek był tak niepewny siebie.

- Co to ma znaczyć? - warknął Jonathan. - Do diabła, wyciągaj aparat albo daj mi ten przeklęty plecak, sam to zrobię!

Podszedł do chłopaka, ale ten cofnął się i powiedział z ubolewaniem:

- Bardzo... bardzo mi przykro, doktorze, ale... zapomniałem aparatu.

- Zapomniałeś? - jęknął Graves.

- Cóż w takim razie, na Boga, targasz w tym plecaku? -spytała panna Preussler zdziwiona.

- Też jestem bardzo ciekaw - dodał Jonathan.

- Bardzo mi przykro - bąknął Tom. - Przygotowałem go, ale w tym pośpiechu musiałem...

- Plecak, Tom! - przerwał mu doktor. - Pokaż mi swój plecak!

Chłopak zacisnął zęby. Wzrok miał niespokojny.

- Plecak! - warknął jeszcze raz Graves, tym razem ostrzej.

Jednym susem znalazł się przy Tomie i dobrał się do sprzączek plecaka. Po krótkiej szarpaninie pociągnął za skórzany rzemień tak niecierpliwie, że sprzączka odpadła i potoczyła się w kąt. Zajrzał do środka, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

- Ale co...?

Tom wyrwał się z krzykiem. Jonathan chciał go powstrzymać, ale chłopak zrobił zręczny unik, odskoczył w bok i wymierzył cios Gravesowi. Doktor zatoczył się, uderzył o ścianę i upadł. Zanim Mogens zrozumiał, co się stało, chłopak wybiegł z sali.

- Ale co...? - wyjąkał profesor i zaniemógł zdumiony, gdy zobaczył, co Jonathan trzyma w ręce. Była to zawinięta w brązowy papier rolka grubości dwóch kciuków, nieco dłuższa od dłoni, zaopatrzona na końcu w lont.

- Na miłość boską, co... co to jest? - wyszeptała panna Preussler.

Graves wpatrywał się w znalezisko.

- Dynamit - warknął. - Ten idiota cały plecak... wypchał dynamitem!

- Dynamitem? - powtórzyła gospodyni ze zgrozą. - Ale dlaczego? Co... co on zamierza?...

- Przeklęty głupiec! - krzyknął Jonathan, skoczył na równe nogi i rzucił pakunek. Mogens instynktownie schował głowę między ramiona i czekał na eksplozję, ale dynamit stuknął tylko lekko w ścianę. Doktor już był przy drzwiach.

- Zapakuj kobiety na łódź, Mogensie! - krzyknął. - Spróbuję go powstrzymać! Jeśli nie wrócę w ciągu dziesięciu minut, ratujcie się!

Ostatnie słowa VanAndt raczej odgadł niż zrozumiał, bo Gravesa już nie było.

- Dynamit? - spytała jeszcze raz panna Preussler. - Ale... nie rozumiem... co zamierza z nim zrobić.

- Obawiam się, że coś bardzo głupiego - odparł Mogens. Potem wskazał na schody. - Graves ma rację, szkoda czasu. Chodźmy, wyjaśnię pani wszystko w drodze.

Już chciał złapać za rękę czarnowłosa dziewczynę, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie powinien tego robić. Odwrócił się, po czym wrócił do drzwi. Zarówno Jonathan, jak i Tom zostawili swoje lampy. Wziął jedną z nich, drugą ustawił tak, by jej światło padało na schody.

Więcej nie mógł dla Gravesa zrobić ani też nie chciał. Zanim ruszył, wyciągnął zegarek i spojrzał na cyferblat. Doktor wyznaczył mu dziesięć minut i tyle też dostanie, ani sekundy dłużej!

Panna Preussler i dziewczyna dotarły do schodów i zeszły kilka stopni, ale teraz młoda kobieta stanęła i nie chciała iść dalej. Gospodyni uspokajała ją, lecz tamta potrząsała tylko głową i z pewnością by zawróciła, gdyby Mogens nie zastąpił jej drogi.

- Na co pani czeka? - spytał profesor niecierpliwie.

- Nie chce iść dalej - odparła panna Preussler. - Wyraźnie boi się czegoś.

VanAndt nie mógł jej tego brać za złe. Schody, zwłaszcza prowadzące w dół, miały prawo napawać ją lękiem po tym wszystkim, przez co przeszła.

Nic nie powiedział, ale spojrzał ostentacyjnie na zegarek. Gospodyni znów zaczęła przekonywać dziewczynę cichym, łagodnym głosem. Straciła kilka minut cennego czasu, ale w końcu zeszły kilka stopni.

Gdy tylko znalazły się na dole, czarnowłosa znów stanęła. Widok barki żałobnej wystraszył nawet pannę Preussler, ale dziewczyna niemal wpadła w panikę. Bała się łodzi bardziej niż Mogensa, bo ruszyła pędem pod górę.

Wpadła na profesora z rozpędu, tak że niemal stracił równowagę. Nie wiedział, czy zanim uderzył plecami o ścianę, złapał ją umyślnie, czy ucpełił się dziewczyny, by samemu nie upaść. W każdym razie zdołał przytrzymać czarnowłosa. W pierwszej chwili szarpała się ze wszystkich

sił, potem poczuł jednak, jak wiotczeje. Przez chwilę musiał ją wręcz podtrzymywać, by nie upadła.

- Profesorze? - spytała zaniepokojona gospodyni.

- Wszystko w porządku - powiedział prędko, mając nadzieję, że to prawda. Ostrożnie chwycił dziewczynę za ramiona, obrócił ją i sprowadził na dół. - Proszę, niech pani ją weźmie. Jest przerażona.

- Nie dziwię się - odparła panna Preussler.

Przyciągnęła czarnowłosa do siebie i mocno objęła. Tym razem dziewczyna nie wzbraniała się, choć z ostrożnego zaufania, jakie żywiła do swojej zażywej towarzyszki, nie zostało ani śladu. Po prostu pozwalała robić ze sobą wszystko niczym zrezygnowana niewolnica. A to się VanAndtowi nie podobało ani trochę. Ta młoda kobieta mogła

ich jeszcze nieraz zaskoczyć...

- Cóż to za... paskudztwo?! - Wykrzyknęła gospodyni, wskazując barcę. - Proszę tylko nie mówić, że to o tej łodzi mówił Graves!

- Obawiam się, że owszem. - Mogens minął ją i szybkim krokiem zbliżył się do kanału. Dobrze rozumiał pannę Preussler. Gdy był tu po raz pierwszy, też oszołomiło go odkrycie tej przedziwnej barki. Zastanowił się przelotnie, co powiedziałyby gospodyni, gdyby zobaczyła kompletną łódź, z posągami Anubisa na dziobie i rufie.

- Nie sądzi pan chyba, że postawię na tym stopę?!

- Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia - odparł VanAndt nieobecny głosem, nie odrywając ani na chwilę wzroku od czarnej barki.

Coś się zmieniło, chociaż nie potrafił powiedzieć co. Jego wzrok nerwowo błędził po czarnej łodzi, ślizgał się po jej dziwacznych konturach i groźnych liniach, po rogach i krawędziach tak powykręcanych, że w Mogensie wszystko krzyczało. Czuł obecność jakiejś siły, czuł niebezpieczeń-

M

L i,

stwo, którego wcześniej nie było. Nie mógł pojąć, dlaczego tak się działo.

Odegnął te myśli i spojrzał na brzeg. Termin, który Graves sam sobie wyznaczył, już prawie upłynął. Zostały mu niecałe trzy minuty, chociaż Mogens nie był pewien, czy w tym czasie zdąży przekonać pannę Preussler i dziewczynę do wejścia na barcę.

- Nie ma żadnej innej drogi, by się stąd wydostać? - spytała gospodyni drżącym głosem.

- Nie sądzę - odrzekł profesor.

Odwrócił się, by rzucić pannie Preussler uspokajające spojrzenie, zmarszczył jednak czoło zaskoczony, gdy zobaczył twarz dziewczyny. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej przelęknionej niż wcześniej, a palce wbiła w zawiniątko z taką siłą, że gdyby dziecko jeszcze żyło, z pewnością by je udusiła.

W spojrzeniu czarnowłosej też było coś nie tak, ale dopiero po chwili VanAndt zdał sobie sprawę dlaczego. Ona wcale nie wpatrywała się w łódź, jej wzrok pomijał ją obojętnie, jakby monstrualna barka była czymś najbardziej oczywistym w świecie. Wpatrywała się w wodę.

Również profesor skoncentrował spojrzenie na czarnej, niemal nieruchomej powierzchni. Taflą wody poruszał słabiutki prąd, zbyt słaby jednak, by rozkołysać łódź. Miał wrażenie, że pod powierzchnią pływało teraz więcej cienkich jak włosy alg, ale poza tym nie zauważył nic szczególnego.

Spojrzeniem dał pannie Preussler do zrozumienia, by uważała na dziewczynę, po czym jednym dużym krokiem wszedł na pokład. Zauważył z ulgą, że barka kołysze się lekko. Mogła przecież nie być prawdziwą łodzią, lecz tylko jakimś rytualnym posagiem.

- Za mną, panno Preussler! - powiedział. - Musimy się pospieszyć!

- A doktor Graves... - zaczęła gospodyni niepewnie.

i * ..tr. -

- Doktor Graves... - VanAndt rozejrzał się za wiosłami - ma jeszcze dwie minuty. Jeśli do tego czasu nie wróci, odpływamy. Sam tak postanowił.

- Ale nie możemy go zostawić w potrzebie! - zaprotestowała panna Preussler.

Mogens spojrzał na nią zaskoczony. Po tym wszystkim, co między nimi zaszło, spodziewał się innej reakcji. Kolejny raz wyszło na jaw, że pod pozorami szorstkości tej starszej kobiety kryło się wielkie serce. Niewątpliwie miała rację. Mimo to jeszcze raz potrząsnął zdecydowanie głową i odetchnął z ulgą, gdy znalazł to, czego szukał. Nie były to wprawdzie wiosła, ale dwa mocne drągi wysokości człowieka nadające się do odpychania łodzi.

- Sam nam tak nakazał - powtórzył, schylając się po drąg. Był niezwykle gładki i masywny,

jakby zrobiony z metalu lub kamienia, a nie z drewna. Mogens musiał użyć obydwu rąk, by go unieść i zanurzyć w wodzie. - Może tym razem wyjątkowo powinniśmy go usłyszeć.

Ku zaskoczeniu profesora drąg bardzo szybko trafił na opór. Kanał najwyraźniej był dość płytki. VanAndt zaparł się całym ciężarem ciała. W pierwszym momencie barka ani drgnęła, ale już po chwili odbiła od brzegu powoli, niechętnie jak uparte zwierzę i zaczęła kołysać się leniwie w miejscu.

- Proszę wsiadać - powiedział. - Czas na nas.

Panna Preussler nie byłaby sobą, gdyby nie zmarnowała kilku sekund na spoglądanie to na niego, to na łódź, w końcu jednak weszła na pokład, pociągając za sobą dziewczynę. Mogens sądził, że czarnowłosa będzie się wzbraniać, ale podążyła bezwolnie, nadal przyciskając do piersi martwe dziecko i wpatrując się pustym wzrokiem w powierzchnię wody. Poddała się i pogodziła z losem może dlatego, że zabrakło jej sił do walki, a może nigdy nie miała okazji nauczyć się bronić.

Dziewczyna przeniosła spojrzenie na czarny sarkofag. Profesor zastanawiał się, czy może widziała kiedyś istotę, na której wizerunek patrzyła. Jeszcze przed godziną uśmiechnąłby się tylko na taką myśl, teraz przeszedł mu po plecach lodowaty dreszcz.

- Proszę wziąć drąg, panno Preussler.

- Czas doktora Gravesa jeszcze nie minął - przypomniała z naciskiem.

VanAndt spojrział na nią rozgniewany, ale nic nie powiedział. Miała rację, nawet jeśli była to kwestia kilku chwil. I nie chodziło przy tym o Gravesa, chodziło o ich sumienia - gospodyni i profesora. Panna Preussler dużo szybciej niż on pojęła, że przez resztę życia zastanawiałby się, czy Jonathan nie dotarł do brzegu w ostatniej chwili. A Mogens już raz zostawił człowieka - powtórzenia tego błędu na pewno by sobie nie wybaczył.

Wcisnął jej drąg do ręki, schylił się po drugi i przeszedł z nim na dziób barki. Zdawało mu się, że powiało chłodem, gdy mijał sarkofag, ale to mogło być złudzenie. Odkąd weszli na łódź, nie całkiem panował nad zmysłami.

Barka sama obróciła się powoli do pozycji, w której zadarty dziób wskazywał kierunek, gdzie kanał nikał w ciemnościach, po czym zatrzymała się, lekko kołysząc na boki. VanAndtowi znów przeszedł po plecach zimny dreszcz. Ale może łódź po prostu ustawiła się z prądem? Nie zdziwiłby się, gdyby barka zaczęła teraz sama płynąć, ale ona zadrżała tylko lekko i stanęła nieruchomo.

Mogens zanurzył drąg w wodzie i jeszcze raz spojrział na zegarek. Czas Gravesa upłynął. Gdyby teraz ruszyli, nie miałby sobie nic do zarzucenia. Jonathan nie zachowałby się inaczej. Profesor nie był pewien, czy zczekałby nawet te umówione dziesięć minut.

- Co Thomas zamierzał zrobić z dynamitem? - spytała 600 panna Preussler urywanym głosem.

- Coś bardzo głupiego - powiedział profesor. - Obawiam się, że to moja wina.

- Dlaczego?

- Powiniennem był się domyślić od razu - odparł półgłosem. - A już na pewno, gdy zobaczyłem ten jego wielki plecak.

- Wszyscy go widzieliśmy - zauważyła gospodyni. - I wszyscy zastanawialiśmy się, co jest w środku, przecież nawet ja żartowałam na ten temat. Ale nikt z nas o to nie zapytał. Ja również.

- Pani nie wiedziała, że rodziców Toma zabiły te bestie - wyznał Mogens gorzko. - Nie sądzę, żeby o tym pani opowiadał, mam rację? - Odwrócił się do niej i ciągnął dalej: - Porwały jego matkę i zabiły ojca niemal na jego oczach. Chłopak ma z nimi porachunki do wyrównania, panno Preussler.

- I sądzi pan, że teraz chce się zemścić?! - zawołała.

- A po co innego miałby targać plecak pełen dynamitu?

Profesor spojrział na schody. Tańczące światło lamp dawało złudzenie, jakby coś poruszało się w ciemnościach. Gravesa jednak nie zobaczył. VanAndt pomyślał o budzącej grozę procejsji potworów, która wcześniej przeszła obok ich kryjówek, i zaczął tracić nadzieję, że zobaczy Toma czy Jonathana żywych. Spojrział na zegarek. Było już trzy minuty po czasie. Nie mógł dłużej czekać, nie miał do tego nawet prawa. Wystawiał na ryzyko życie nie tylko swoje, ale też swoich towarzyszek.

Zacisnął mocniej dłoń na drągu, ale zamiast pchnąć barcę, zamknął z trzaskiem wieko zegarka.

- Nigdy by pan sobie tego nie wybaczył - powiedziała cicho panna Preussler.

- Czego?

- Że go pan zostawił. Powinniśmy jeszcze poczekać. -I jakby czytała w jego myślach, dodała, uśmiechając się

m

'il

<v ■ - -

niewyraźnie: - Właśnie dlatego, że on prawdopodobnie by tego nie uczynił.

- Mimo wszystko nie mamy dużo czasu - odparł. - Najwyżej kilka minut.

Łagodne spojrzenie gospodyni było teraz dla Mogensa o wiele większym wsparciem, niż jakiegokolwiek słowa.

Odwrócił się w kierunku dziobu barki i skierował snop światła na wodę. Pod jej powierzchnią coś się poruszało, ale nie mógł dojrzeć co. Zaciekawiony, ale i zaniepokojony oświetlił toń tuż przy łodzi. Zobaczył algi, a raczej to, co za nie do tej pory uważał, choć teraz przypominało mu raczej płataninę cieniutkich włosów poruszających się własnym rytmem, wcale niezgodnym z ruchami wody. Mogens już kucnął, by dotknąć dziwacznych roślin, gdy coś go tknęło, by tego nie robił. Wyprostował się i już miał sięgnąć po lampę, by przyjrzeć się dokładniej brzegom kanału, gdy usłyszał szmer.

Odwrócił się gwałtownie i oświetlił schody. W tym momencie do sali wpadł Graves. Zrobił kilka ogromnych, niezdarnych susów, po czym upadł na dłonie i kolana. Próbował się podnieść, ale znów stracił równowagę, runął na ziemię i przejechał po szorstkiej posadzce.

Za nim do sali wtargnął ghul.

Potwór pokonał kilka ostatnich schodów jednym skokiem. Również on wylądował na dłoniach i kolanach, ale w odróżnieniu od Jonathana wstał momentalnie. Warcząc groźnie, rozejrzał się za swoją ofiarą. W zimnym świetle latarni błysnęły pazury i zęby, oczy zaświeciły szyderczo. Z jego kłów coś kapkało. Profesor nie potrafił zgadnąć, czy była to ślina, czy krew...

Ghul rzucił się, rycząc, na ofiarę. Pochylony do przodu przypominał olbrzymią małpę. Pazury drapnęły o kamienną posadzkę, wznecając iskry, prawie dosięgły twarzy

Gravesa. Ten odwrócił głowę z krzykiem. Potwór usiłował teraz zmiażdżyć mu głowę swoją olbrzymią, uzbrojoną w ostre pazury stopą. Również tym razem doktor uniknął śmierci, ale stopa bestii wbiła mu się w rękę, miażdżąc mięśnie i kości.

Graves zawył z bólu.

- Mogensie! - zaskrzeczał. - Strzelaj!

Jednak VanAndt nie miał broni. Swój karabin Jonathan musiał gdzieś zgubić, a karabin Toma nadal stał oparty

o ścianę. Profesor patrzył bezradnie na przerażającą scenę, za to panna Preussler skierowała strumień światła prosto na pysk potwora. Ten ryknął, jakby sprawiło mu to ból, zasłonił łapami wrażliwe oczy i cofnął się gwałtownie. Korzystając z tej chwili, Graves wstał i dobiegł do łodzi. Ghul warknął gniewnie i rzucił się za nim. Pazury błysnęły niczym noże. Mogens usłyszał odgłos rozdieranego materiału, a zaraz potem przeraźliwy krzyk Jonathana. Mimo to desperacja dodała doktorowi siłę i znacząc drogę krwią, wpełznął na pokład. Upadł obok VanAndta, aż łódź przechyliła się w jedną stronę, po czym opadła z głośnym pluskiem.

Nagły wstrząs zatrzęsł pokładem barki. Dziewczyna uderzyła w sarkofag i upadła. Również Mogens walczył przez chwilę, by się nie przewrócić, stojąc na rozkraczonych nogach. W końcu złapał równowagę, gdy wsparł się mocno na drągu. Jedynie panna Preussler zachowała przytomność umysłu - gdy biegnący potwór był już dwa kroki od brzegu, pochyliła się i nadstawiła drąg jak pikę. Rozpędzony ghul nie zdołał zmienić kierunku. Uderzył z całej siły w drąg, którego koniec tkwił mocno wsparty o dno kanału. VanAndt miał wrażenie, że słyszy trzask łamanych żeber, a po chwili gniewny ryk potwora przeszedł w chrapliwe rżenie. Ghul upadł na kolana, oplótł rękami tułów

1 zaczął przechylać się na bok.

Profesor liczył na to, że wpadnie do wody, ale ku jego rozczarowaniu potwór zebrał wszystkie siły i zaczął się podnosić.

- Panno Preussler! - wrzasnął Mogens. - Drag! Proszę się odepchnąć.

Równocześnie sam zaparł się ze wszystkich sił o swoją zerdź. Łódź drgnęła i ruszyła ociężale.

Lecz ghul znów był na nogach. Ciężko ranny chwiał się na boki, z półotwartego pyska ciekła krew. Prerażony VanAndt zauważył, że potwór gotuje się do skoku. Mimo odniesionej rany miał jeszcze spory zapas sił. Łódź zdążyła się już nieco oddalić od brzegu, ale nawet Mogens byłby w stanie na nią wskoczyć, co dopiero ta bestia...

Potwór wylądował tuż obok Gravesa. Pod jego ciężarem łódź zakołysała się i niebezpiecznie przechyliła na jedną stronę. Mogens musiał odepchnąć się z całej siły od drąga, by nie przekoziółkować przez burzę. Również ghul, wyjąc, wymachiwał łapami, próbując odzyskać równowagę. Jego pazury cięły powietrze niczym brzytwy, ale zamiast twarzy doktora dosięgły martwego dziecka, które trzymała w ramionach dziewczyna. Niemowlę przeleciało szerokim łukiem i wpadło z chłupotem do wody kilka metrów od barki.

Czarnowłosa wrzasnęła, jakby pazury ugodziły ją samą, obróciła się i wyciągnęła ręce, próbując złapać swoje dziecko. VanAndt był przekonany, że zaraz skoczy do wody i popłynie za nim. Ona jednak, krzycząc przeraźliwie, rzuciła się na ghula. Jej paznokcie rozdrapały mu pysk, pozostawiły głębokie, krwawiące bruzdy i wyłupały jedno z błyszczących oczu. Atak był tak energiczny, że zataczający się potwór ostatecznie stracił równowagę i wypadł przez burzę. Zdążył jednak chwycić dziewczynę i pociągnął ją za sobą.

Prerażony Mogens wyciągnął rozpaczliwie ręce, ale nie mógł pomóc czarnowłosej, stał zbyt daleko. Ghul i dziewczyna zniknęli w pienistych odmętach.

Profesor jednym susem znalazł się przy burcie, również panna Preussler puściła drąg i zaczęła balansować na niepewnym podłożu. VanAndt przechylił się przez burzę, lecz dostrzegł jedynie spienioną wodę, a pod jej powierzchnią dwa bezkształtne, walczące ze sobą cienie. Cały kanał kipiał.

Gospodyni rzuciła się do przodu, ale Mogens odciągnął ją od burty. Coś mu mówiło, że nie mogą dotykać tej wody.

Nagle z toni wynurzyła się dłoń. Profesor chwycił ją automatycznie, pociągnął z całej siły, a wtedy nad powierzchnią pojawiła się również głowa i ramiona dziewczyny. VanAndt chwycił ją również drugą ręką, lecz jasnowłosa wbrew rozsądkowi broniła się przed nim niczym jeden z tych topielców, którzy podobno podczas walki o własne życie potrafią wepchnąć pod wodę własnych wybawicieli. Mogens musiał walczyć, by nie wypaść za burzę. Dopiero z pomocą panny Preussler udało mu się prawie wciągnąć kobietę na pokład.

Prawie, bo nagle coś ją chwyciło pod wodą. Dziewczyna, krzycząc z bólu, pociągnęła profesora i gospodynię w stronę kipieli. Olbrzymia łapa wbiła się jej w udo.

- Jonathan! - wysapał VanAndt.

Graves zdążył się już pozbierać, ale najwyraźniej nie był w stanie im pomóc, choćby chciał.

Mogens zaparł się z całej siły, by wydostać dziewczynę na pokład, podobnie jak panna Preussler.

Ghul jednak nadal trzymał nogę czarnowłosej, ale nie była to tak żelazna siła, jakiej spodziewał się profesor. Potwór sprawiał wrażenie zamroczonego. Wokół jego głowy nadal burzyła się woda, ale piana przybrała kolor

czerwony. Z pustego oczodołu strumieniami wypływała krew, a jego ruchy były coraz bardziej chaotyczne. Może uderzył głową o brzeg kanału albo słabł z upływu krwi.

Mimo to nadal we dwoje nie byli w stanie wyciągnąć dziewczyny. Uczepiła się rozpaczliwie niskiej burty z taką siłą, że aż połamała paznokcie, a jednak znów zniknęła w toni. Łódź zaczęła się przechylać, a Mogens miał wrażenie, że im bardziej on traci siły, tym więcej odzyskuje ich bestia.

Nagle potwór zawył z gniewu i bólu. Gdy VanAndt instynktownie spojrział w jego kierunku, przeszedł go lodowaty dreszcz. Dopiero teraz zauważył, że ghul był spowity cienkimi, błyszczącymi wodorostami. Wcześniej wydawały się czarne, ale nad powierzchnią wody przybierały kolor raczej cielisty, nawet biały. Bestia jedną łapą wciąż trzymała dziewczynę, a drugą

nerwowo usiłowała zedrzeć z pyska i ramion połyskującą płataninę alg, włosów czy może macek. Gdy łódź zakołysała się jeszcze mocniej, profesor uświadomił sobie, że ghul prędzej przewróci barkę lub wyrwie nogę swojej ofierze, niż wypuści ją z uścisku.

- Graves! - zawołał rozpaczliwie. - Pomóż nam!

Nie liczył właściwie na nic, jednak już po chwili doktor pojawił się za nimi i stanął w rozkroku. W ręce trzymał drąg - za długi i zbyt nieporęczny, by zamachnąć się i ogłuszyć nim bestię, ale Jonathan nie taki miał plan. Wbił tępy koniec w twarz ghula tak mocno, że wyłamał mu kilka kłów, a straszliwe stworzenie zaczęło wyc z bólu.

Mimo to nie puściło dziewczyny. Przeciwnie, wbiło pazury jeszcze mocniej, tak że noga zaczęła mocno krwawić.

Graves zaklął i uderzył ponownie, tym razem trafiając ghula w gardło. Chociaż ręka doktora musiała piekielnie boleć i z pewnością uderzenie nie było tak celne, jak zamierzał, cios okazał się skuteczny. Potwór wypuścił nogę

- Zostaw to! - krzyknął Graves.

Ostatni raz pchnął ghula z całych sił drągiem, rzucił kij do środka łodzi i wyjął z kieszeni kurtki scyzoryk. By go otworzyć, miał do dyspozycji tylko prawą rękę i zęby, przez co nóż omal nie wpadł do wody, ale w ostatniej chwili zdołał go chwycić. Pochylił się do nóg dziewczyny.

VanAndt wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma. Czy Graves postradał rozum? Ostrze scyzoryka było niewiele dłuższe od małego palca. Nawet jeśli ofiary, wyrzucił obydwie łapy w powietrze, po czym zanurzył się, bulgocząc. Graves jeszcze raz uderzył drągiem, by wepchnąć go głębiej pod wodę.

- Prędko! - krzyknął. - Ciągnij! Nie wiem, ile go jeszcze utrzymam!

Z pomocą panny Preussler VanAndtowi udało się prawie wciągnąć dziewczynę na pokład. Prawie, bo jakaś siła ściągała ją w dół, choć nie mógł to być ghul.

Graves pchnął potwora drągiem. Udało mu się przycisnąć bestię do dna, ale nadal broniła się rozpaczliwie. Doktor wykrzywił twarz z wysiłku. Widać było, że wytrzymuje już resztkami sił i zaraz albo sam wypuści drąg, albo ghul mu go wytrąci.

Mogens też z coraz większym trudem trzymał dziewczynę. Sapiąc, wychylił się do przodu i w końcu zobaczył, co przytrzymuje ją w dole. Jej nogi były zaplątane w wijące się wodorosty.

Profesor wychylił się i chwycił błyszczące witki, starając się je urwać. Zaraz jednak krzyknął z bólu i zaskoczenia, odskoczył w tył, by opaść bezradnie na pokład obok panny Preussler. Ręce go piekły, jakby je włożył do kwasu, a skóra w miejscu zetknięcia z algami natychmiast się zaczerwieniła.

Zrozumiał, że dziewczyna nie krzyczała ze strachu, lecz z bólu.

niedawno je naostrzył, i tak potrzebowałby godziny na poprzecinanie splątanych włókien!

Za nimi zaczęła burzyć się woda. Mogens omal nie krzyknął, gdy zobaczył ghula pod jej spienioną, różowawą powierzchnią.

Potwór cały był pokryty cieniutkimi, białawymi nitkami, które spętały mu kończyny i pysk, a nawet niczym zachłanne macki wśliznęły się do pustego oczodołu. Fragmenty skóry, które jeszcze prześwitywały spod wodorostów, przypominały jedną wielką krwawiącą ranę, jakby smagające witki rozpuszczały naskórek.

Mogens wpadł w panikę. Mimo piekącego bólu, zacisnął palce na łachmanach dziewczyny i zaczął ciągnąć ze wszystkich sił. Ku jego zaskoczeniu Graves zdołał już odciąć sporą część śluzowatych witek. W końcu pękły ostatnie i czarnowłosa dosłownie wpadła na pokład, przygniatając sobą profesora i pannę Preussler.

Jonathan upuścił nóż, klęknął i gołymi rękoma zaczął odrywać pocięte witki nadal przyklejone do nóg dziewczyny. Jej skóra była zaczerwieniona i krwawiła, a obumarłe macki nie poddawały się łatwo. Mogens podniósł się niezdarnie i już wyciągał ręce, by pomóc doktorowi, ale tamten odepchnął go z całej siły. Profesor stracił równowagę i uderzył tyłem głowy o sarkofag.

- Oszalałeś?! - wysapał Graves. - Zatoszcz się lepiej o to, byśmy stąd w końcu zniknęli!

VanAndt mrugnął kilka razy, by pozbyć się latających mu przed oczami jasnych punkcików. Z bólu poczuł mdłości, ale zacisnął zęby i wstał. Drąg panny Preussler wpadł do wody i dryfował kilka metrów za nimi. Nawet gdyby był bliżej, Mogens nie odważyłby się po niego sięgnąć. Wszędzie

dokoła nich błyszczące witki tworzyły żywy dywan na powierzchni wody. Ghul zniknął w odmętach, ale w miej-ć08 scu, gdzie zatonął, woda nadal pieniała się i bryzgała.

■! L L

Profesor zacisnął ręce na drągu, który upuścił Graves, i podążył pospiesznie na dziób łodzi. Barka płynęła z prądem, jednak bardzo powoli. Gdyby pojawił się kolejny potwór, byłiby zgubieni. Mogens zdecydowanym ruchem zanurzył koniec drąga w wodzie i zaparł się o niego z całej siły. W pierwszej chwili nic to nie dało. Łódź zakołysała się tylko w miejscu, a masa wodorostów zafalowała niespokojnie. Niczym ciekawskie palce witki owijały się wokół drąga, ku przerażeniu VanAndta zaczęły na niego wpełzać, potem jednak szybko opadały z głośnym pluskiem, jakby chciały zbadać zanurzony w wodzie przedmiot, ale szybko traciły nim zainteresowanie.

„Może dlatego, że drąg jest martwy” - pomyślał ze zgrozą profesor. Czymkolwiek były witki, z pewnością nie wodorostami czy jakakolwiek inną nieznaną rośliną. To było zwierzę, prymitywne, ale niebezpieczny drapieznik, który na oślep szukał ofiary.

- Pospiesz się, na Boga! - wysapał Graves. - Niedługo tu dotrą!

VanAndt na wszelki wypadek nie pytał, kogo ma na myśli Jonathan. Zaparł się z całej siły o drąg, aż w końcu barka ruszyła. Wygięty do góry dziób powoli ustawił się z prądem i zaczęli płynąć.

- Mogensie! Podejdź tu - rozkazał doktor.

Profesor jeszcze mocniej zaparł się o drąg, nie zdołał jednak nadać barce większego rozpędu. Spojrzawszy przez ramię, zobaczył pannę Preussler idącą w jego stronę z pobladłą twarzą. Bez słowa wyjęła mu drąg z ręki i odepchnęła barkę z taką siłą, że ta zakołysała się i wyraźnie przyspieszyła.

- Niech pan idzie! - szepnęła. - Nie chcę, żeby była z nim zbyt długo sama.

- Jest pani pewna, że... - zawahał się VanAndt.

Gospodyni kolejny raz napała na drąg. Mogens, widząc, że radzi sobie z tym dużo lepiej niż on, już bez słowa ruszył w stronę Gravesa.

Doktor dawał mu niecierpliwe znaki, by się pospieszył, zbierając równocześnie resztki witek, które pozostały mu na rękawiczkach, i wyrzucając je za burtę. Mogens poczuł lekkie mdłości, gdy zobaczył lewą rękę Jonathana. Ghul zmiażdżył ją doszczętnie. Szwy czarnej rękawiczki były popękane, a na zewnątrz wypływała biała, lepka substancja. Jednak doktor zdawał się tego w ogóle nie zauważać.

Bez słowa chwycił dłonie Mogensa, obrócił je wierzchem do góry i z powrotem, kręcąc przy tym głową.

- Szalony - mamrotał pod nosem. - Kompletnie szalony...

VanAndt nie miał wyjścia, jak znieść te tortury z zaciśniętymi zębami. Dłonie nadal go piekły, jakby je włożył do ognia. Dotyk Gravesa sprawiał, że oczy zaszczyły mu łzami. Z trudem powstrzymywał się od jęku.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażałeś?! - besztął go Jonathan. Najwyraźniej daleki był w tej chwili od współczucia. - Nie wiesz, co ci się może stać po dotknięciu tego świństwa?

- Nie - stęknął profesor. - Skąd miałbym to wiedzieć?

Doktor ściągnął usta z niezadowoleniem i chwycił mocniej rękę kolegi. Mogens wrzasnął z bólu, gdy Graves oderwał białą, wijącą się nitkę i wyrzucił ją za burtę. Rana natychmiast zaczęła krwawić, ale Jonathan nie przejął się tym wcale. Jeszcze kilka razy obejrzał dokładnie dłonie VanAndta, zanim je w końcu uwolnił. Gniew w jego oczach nie ustąpił jednak.

- Masz więcej szczęścia niż rozumu - powiedział, kręcąc głową. - Chciałeś dorobić się takich rączek jak te? - Uniósł obleczone w rękawiczki dłonie i rozczapierzył palce. Pod czarną skórą coś zaczęło pulsować, jakby chciało wydostać się na zewnątrz.

Mogens nic nie odpowiedział. Pochylił się nad dziewczyną, ale nie odważył się jej dotknąć. Nie dlatego, że odczołgała się pospiesznie. Nogi przestraszonej kobiety wyglądały makabrycznie. Stopy i łydki miała niemal obdarte ze skóry, witki zostawiły w skórze głębokie, krwawe pręgi i dziesiątki

drobnych, silnie krwawiących ran.

- Bez obaw! - zaśmiał się Graves. - Zostanie jej tylko kilka blizn. Wydaje mi się, że wszystkie oderwałem.

- Wydaje ci się? - spytał profesor.

Jonathan wzruszył ramionami.

- No dobrze, jestem pewien - poprawił się. - Zadowolony?

- Nie! - odparł VanAndt ostro. Wstał. - Nie byłoby to złym pomysłem, gdybyś od razu nam powiedział, że ta roślina stanowi zagrożenie.

- Nie mogłem przewidzieć, że będziemy mieć z nią tak bliską styczność. Gdybym poinformował cię zawnazas o wszystkich możliwych niebezpieczeństwach, nadal siedzielibyśmy w obozie. - Energicznym ruchem ręki nie pozwolił Mogensowi dojść do słowa. - Dostyc już.

Najważniejsze, że nikt poważnie nie ucierpiał.

- Oprócz ciebie - zauważył profesor, wskazując zmiażdżoną rękę Gravesa.

Doktor zmarszczył czoło i przez chwilę patrzył na Mogensa z wyrazem zupełnego niezrozumienia na twarzy. Potem podążył za jego wzrokiem i wzdrygnął się lekko.

- Ach, to! Drobiazg. Za kilka dni zniknie bez śladu.

VanAndt znów poczuł lekkie mdłości, gdy Graves pomachał mu przed oczami swoją zmasakrowaną dłonią. Rękawiczka wyglądała jak mokry worek wypełniony półpłynną bryją.

- Widzisz? - Wyszczrzył się w szerokim uśmiechu. - Wszystko w porządku.

Profesor pospiesznie przeniósł wzrok na pannę Preussler i dziewczynę z obawy, że zaraz zwymiotuje. Twarz gospodyni wyrażała takie samo obrzydzenie, choć zdawało się ono wywołane nie tyle ręką Gravesa, co raczej nim samym.

- Jest pan nam jednak winien wyjaśnienia, doktorze - powiedziała stanowczo.

Chociaż starała się popychać barkę ostrożnie, co chwilę przez burtę przelewało się trochę wody, w której majaczyły czarne witki. Mogens nie mógł się oprzeć wrażeniu, że do środka powoli wdziera się ręka o tysiącu palców, które chcą ich omotać. Również gospodyni nie udało się całkiem ukryć strachu, jaki wywoływał w niej ten widok.

- Jakiego rodzaju wyjaśnienia? - wzruszył ramionami Jonathan.

- Proszę nie udawać. - Panna Preussler energicznie wskazała głową wijące się w wodzie stworzenia.

Graves zacisnął usta niezadowolony.

- Nie ma powodu do niepokoju. Ta... substancja nie jest niebezpieczna, jeśli zachowa się pewną ostrożność.

- Nie jest niebezpieczna?! - Mogens spojrzał ostentacyjnie na swoje ręce. Owszem, nogi dziewczyny wyglądały jeszcze gorzej, ale to było dla niego marne pocieszenie.

- Zwykle nie wykazuje zainteresowania ludzkimi proteinami - odparł doktor. - Nie wiem, dlaczego nas zaatakowała. Może dlatego, że w pobliżu był ghul.

- Wzięła z niego przykład? - rzucił drwiąco profesor.

Graves parsknął.

- Wciąż mnie zaskakujesz Mogensie. Chociaż zwykle w negatywnym znaczeniu. To powinno brzmieć przekonująco, przynajmniej dla ciebie.

VanAndt spojrzał na Gravesa ze złością, w odpowiedzi ten ze złością zatoczył dłonią dokoła.

- Co się z tobą dzieje?! Zostawiłeś całą swoją wiedzę na górze w obozie? Jak sądzisz, co to jest?

- Łódź - mruknął profesor, domyślając się słusznie, że rozsierdzi tym Jonathana.

- To nie jest pierwsza lepsza łódź, Mogensie. To barka pogrzebowa. A to... - doktor wsparł swoją zmiażdżoną dłoń na czarnym bloku - sarkofag. Oni pochodzą z morza, Mogensie. Przyszli z wody i po śmierci wracają do niej. Może to ich pierwotna postać? To, z czego powstał i czym stają się ponownie po śmierci? Sam nie wiem. - Wzruszył przekornie ramionami. - Ale szczerze mówiąc, wcale mnie to nie interesuje. Przy odrobinie szczęścia za godzinę będziemy to mieli za sobą.

VanAndt spojrzał na sarkofag i zmarszczył czoło. Dziwne, mógłby przysiąc, że przed chwilą na wieko grobowca skapnęło nieco śluzu z rozdartej rękawiczki Gravesa. Ale czarne drewno nie było

zabrudzone. Widocznie się mylił. Niepokojące uczucie jednak pozostało, zwłaszcza że Graves również patrzył przez chwilę na sarkofag ze zmarszczonym czołem.

- Możesz potem robić mi tyle wyrzutów, ile ci się żywnie podoba, teraz jednak mamy inne sprawy na głowie - zmienił temat. - Pomóż mi.

Objął rękami jeden z czterech masztów, na których był wsparty Baldachim nad sarkofagiem, i zaczął nim szarpać z całej siły. Słup ani drgnął, chociaż Jonathanowi z wysiłku oczy nabiegły krwią.

- Do diabła, rusz się! - stęknął.

- Zdajesz sobie sprawę, co próbujesz zniszczyć? - spytał profesor, nie ruszając się z miejsca.

- Tak. Liczący sobie tysiące lat... niepowtarzalny artefakt - wydusił z siebie Graves. - Nie byłoby to... koniec-

< ne, gdybyś... nie wypuścił z rąk drąga. A teraz pomóż mi w końcu... albo zaraz dowiesz się, jak czuł się faraon

w swoim grobie... pod tysiącem ton kamienia. Potrzebujemy czegoś do odpychania łodzi.

Mogens jeszcze dłuższą chwilę wpatrywał się w niego zaskoczony. Doktor niekiedy potrafił zaskakiwać zdrowym rozsądkiem.

Ich wspólne wysiłki również nie przyniosły rezultatów. Chociaż ciągnęli i szarpali z całej siły, maszt ani drgnął. Po kilku minutach zlani potem w końcu się poddali. Nie zdołali nawet rozchwiać krucho wyglądającej podpórki. Mogens wsparł się o sarkofag, ciężko dysząc. Graves pochylony do przodu i oparty dłońmi o uda niemal astmatycznie łąpał powietrze.

- Przed czym... właściwie uciekamy? - wysapał VanAndt. -Przed ghułami?

- Być... może - odparł doktor. - Choć wydaje mi się, że nie odważą się biec za nami aż tu.

Boją się tego, co jest w wodzie.

- Jednego z nich ta roślina nie napawała zbyt wielkim strachem - wtrąciła panna Preussler, ale Graves pokręcił tylko głową.

- Zraniłem go. A to wyjątkowo mściwe stworzenia.

- Coś takiego! - wykrzyknęła gospodyni z drwiną. -Tylko o to chodzi?

Jonathan wyprostował się, wciągnął głośno powietrze i otarł wierzchem dłoni pot z czoła. Przez moment patrzył w wodę zamyślony, po czym wyjął z kieszeni zegarek, otworzył wieko i dłuższą chwilę wpatrywał się we wskazówki, marszcząc czoło.

- Proszę już dać spokój, panno Preussler - powiedział.

W odpowiedzi gospodyni jeszcze mocniej zaparła się o drąg.

- Dlaczego? - stęknęła. - Czy łamię właśnie... jakieś reguły?

61 a- Doktor zamknął zegarek.

- Ten kanał na pewno jest połączony z morzem - oznajmił.

- I co z tego? - sapnęła panna Preussler. - Liczy pan na to, że straż przybrzeżna przyjdzie nam z pomocą?

Graves schylił się po latarnię i skierował jej promień na obmurowane nabrzeże.

- Widzi pani ciemną, grubą na dwa palce linię nad powierzchnią wody, moja droga? - spytał. - Poziom wody obniżył się. Na zewnątrz musiał się właśnie zacząć odpływ.

- I co z tego?

- To, że odpływ zabierze nas ze sobą - wyjaśnił Graves.

Gospodyni zamrugnęła oczami. Jej twarz błyszczała od potu.

- Czy to prawda? - zwróciła się do Mogensa.

- Prawda, prawda - ubiegł go zniecierpliwiony doktor. -Proszę więc się nie nadwierać i zająć się lepiej dziewczyną. Wygląda, że potrzebuje otuchy.

Panna Preussler spojrzała na niego ze złością. Nic jednak nie powiedziała, tylko energicznym ruchem wyjęła drąg z wody, rzuciła go z przesadną siłą tuż pod nogi Gravesa i podeszła do dziewczyny. Jonathan spojrzał na nią z drwiną, po chwili z troską zaczął się przypatrywać ścianom tunelu. Jaskinię zostawili już za sobą, teraz barka niosła ich przez murowany korytarz czy raczej

rurę, której sklepienie znajdowało się zaledwie kilka centymetrów nad drewnianym baldachimem. Czy łódź zbudowano tak, by pasowała do kanału, czy to raczej tunel był do niej dostosowany? Tego profesor nie potrafił odgadnąć, ale po ich koszmarnych przejściach w podziemiach nie miało to już dla niego większego znaczenia.

Uniósł wzrok i zaczął się przyglądać sklepieniu. Było pokryte rysunkami, zatartymi freskami i reliefami. Miał wrażenie, że słyszy szept, upiorny głos gdzieś w głębi duszy, który opowiadał zakazane historie sprzed milionów lat.

- Ile... zajmie nam podróż do wybrzeża? - spytała panna Preussler z wahaniem.

Graves wzruszył ramionami.

- W każdym razie zbyt długo - wymamrotał. - Nie wiem. Jesteśmy oddaleni od brzegu jakieś pięć mil, ale nie mam pojęcia, w jakim tempie się poruszamy. - Westchnął głośno. - Tom może być szybszy.

- Dynamit - domyśliła się gospodyni. - Chce wysadzić coś w powietrze. Ale jesteśmy przecież zbyt daleko, by eksplozja mogła...

- Tom nie chce czegoś wysadzać w powietrze, panno Preussler - przerwał jej Jonathan. - Jest w drodze do piramidy, by ją zniszczyć.

- To przecież śmieszne. Nawet jeśli jestem tylko głupią kobietą, doktorze, wiem, że sto razy większy ładunek nie wystarczyłby na zniszczenie tej olbrzymiej budowli.

Graves uśmiechnął się smutno, spoglądając na profesora.

- Obawiam się, że zamierza wysadzić bramę.

- Połączenie z Syriuszem? - wymknęło się Mogensowi.

- Nie powinien był nigdy zobaczyć tego miejsca, nie powinien był się w ogóle o nim dowiedzieć. To moja wina. Jak mogłem zabrać go tu ze sobą?!

- Co się stanie, jeśli to zrobi? - spytała gospodyni drżącym głosem.

- Tego nie wiem - przyznał doktor. - Nikt nie wie, co nastąpi, gdy tak potężny instrument wymknie się spod kontroli. Może nic. Obawiam się jednak... - Urwał w pół zdania i bezradnie rozłożył ręce.

VanAndta przeniknęła dreszcz przerażenia. Nigdy nie widział bramy, nie był też fizykiem czy astronomem, domyślał się jednak, jakiej niewyobrażalnej siły potrzeba, by pokonać ogromną odległość między gwiazdami. Jeśli cała ta energia była jakoś zmagazynowana w owej „bramie”

— .
i jeśli tuż przy niej nastąpi wybuch... To jakby wrzucić laskę dynamitu do ogromnego arsenału! Raczej do stu, tysiąca, miliona arsenałów...

- Nie wiem, co się stanie, panno Preussler - powtórzył Graves. - Może nic, a może rzeczy, których nie potrafimy sobie nawet wyobrazić.

- Cała jaskinia runie - wymamrotała skonsternowana gospodyni.

- Bardzo możliwe - odrzekł Jonathan poważnie. - A wraz z jaskinią cały nasz świat.

ć może nawet Graves miał rację, że od wybrzeża zieleń ich tylko parę mil, lecz łódź płynęła tak wol-

o, że ta odległość zdawała się rosnąć. Olbrzymie bloki kamienne, z których zbudowany był tunel, oraz płasające w wodzie witki utrudniały oszacowanie tempa, ale Mogens nie sądził, by poruszali się szybciej niż leniwy spacerowicz. Mieli przed sobą raczej dwie godziny podróży niż jedną, choć właściwie to już nie grało roli. I tak nie zdążą, jak uznał VanAndt.

Po słowach Jonathana zapanowała przynębiająca cisza. Nawet panna Preussler musiała zrozumieć, w jak ogromnym znajdują się niebezpieczeństwie. Pozostała już tylko jedna szansa na ocalenie, jakkolwiek straszna - że potwory dopadną Toma, zanim dotrze do piramidy. Profesorowi było wstyd, że ta myśl w ogóle przyszła mu do głowy, jednak nie mógł się jej pozbyć.

Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Jedyнным towarzyszącym im odgłosem był nieprzerwany, aksamitny, usypiający swoim rytmem szmer. Mogens oparł się plecami o burtę

4

i zamknął oczy, ale błogie uczucie trwało tylko chwilę. Ciemność pod powiekami przestraszyła go.

Pospiesznie spojrział na Gravesa, który stał na dziobie wsparty nogą o niską burłę, z lampą w uniesionej ręce. Przypominał VanAndtowi kapitana Ahaba wypatrującego białego wieloryba. Myśl ta była w pewien sposób krzepiąca, równocześnie wywołała jednak dreszcze. Nawet nie dlatego, że scena ta kryła w sobie potężną symbolikę, lecz dlatego, że przywołała zatarte dotąd wspomnienie. Wspomnienie czegoś... wielkiego.

- Dokąd prowadzi ten kanał, Jonathanie? - spytał profesor zamyślony.

- Zakładam, że do morza - odparł Graves z lekką drwiną w głosie - skoro jest wypełniony słoną wodą. Dlaczego pytasz?

Mogens nie potrafił odpowiedzieć od razu. Myśli miał jeszcze niesprecyzowane, a wspomnienia zbyt mgliste, ale wszystkie krążyły wokół Toma.

Nagle już wiedział. To było pierwszego dnia, gdy chłopak odebrał go samochodem z San Francisco. Gdy jechali wzdłuż wybrzeża, Mogens poczuł jakąś olbrzymią, obcą siłę utajoną daleko w morzu, nieznaną i ukrytą, tak cierpliwą, jakby czas dla niej nie istniał. Co powiedział Graves, gdy wrócił z piramidy? Że jest pełna wody.

- Podziwiam pana, profesorze - szepnęła panna Preussler. - Nie wiem, czy na pana miejscu miałabym tyle siły.

- Jakiej siły?

- By nie pytać - odparła.

- Pytać? O co?

- Profesorze, pan wie, że nie jestem zachwycona tym, czym pan się zajmuje, ale rozumiem, że na coś takiego naukowiec czeka całe życie. Z pewnością ma pan tysiące pytań.

„Żeby tysiące... - pomyślał Mogens. - Miliony!”

Oddałby wręcz życie, by choć rzucić okiem na ten fantastyczny świat, o którym mówił Graves.

Mimo to potrząsnął głową.

- Są odpowiedzi, których lepiej nie znać.

- Takie słowa z ust naukowca? - westchnął Jonathan.

Mogens powstrzymał się od komentarza.

- Zwłaszcza człowiekowi nauki do twarzy z odrobiną pokory, doktorze - powiedziała za to gospodyni.

- Jak pani uważa, moja droga - westchnął Graves. Najwyraźniej nie miał ochoty dyskutować z nią na ten temat.

Panna Preussler nie zamierzała jednak poddać się tak szybko. Już miała na końcu języka złośliwą uwagę, gdy nagle z sarkofagu usłyszeli ciche drapanie.

VanAndt wyprostował się jak struna, doktor odwrócił się gwałtownie i spojrział na trumnę szeroko otwartymi oczyma.

- Co...? - zaczęła gospodyni.

- Cisza! - syknął doktor. - Proszę milczeć!

O dziwo, panna Preussler posłusznie zamilkła, wypuściła ostrożnie dziewczynę z objęć i wyprostowała się.

Mogens nasłuchiwał z bijącym sercem. Szmer nie powtórzył się, ale on wciąż go słyszał w swojej głowie. Dźwięk nie był głośny, ale przenikliwy jak zgrzyt noża na szkło, jak chrobot pazurów o lite drewno. Czy nie słyszał również ciężkiego oddechu?

- Co to było? - spytała wreszcie gospodyni.

- Nic - zbagatelizował Graves.

- Nie brzmiało jak nic - upierała się.

- Ale to właśnie było nic! - powtórzył rozzłoszczony Jonathan. - Drewno trzeszczy, nic takiego. Proszę, panno Preussler, nasze położenie jest już wystarczająco trudne, nie możemy do tego sami dać się zwariować.

Uśmiechnął się nawet, próbując w ten sposób nadać swoim słowom nieco łagodniejszy wydźwięk, co j

nie przyniosło zamierzonego rezultatu. Tym bardziej że podchodząc do nich, doktor ominął sarkofag, zachowując jak największy dystans. Gospodyni nic nie powiedziała, ale zmierzyla

wymownym spojrzeniem figurę wyrzeźbioną na trumnie. Po chwili łódź zakołysała się niespokojnie, gdy panna Preussler usiadła, by znów objąć dziewczynę. Niepokojący dźwięk nie powtórzył się, a barka płynęła spokojnie w równomiernym tempie. Wszyscy milczeli. Dziwne szemranie, które tak zaniepokoiło Mogensa, powoli cichło, aż w końcu całkiem ustało, zanim zdążył ustalić jego źródło. Robiło się coraz zimniej. Od czasu do czasu fala zalewała pokład, przez co łódź nabierała wody. Nie mieli jednak żadnego naczynia, którym mogliby ją wylewać, a za nic nie zanurzyliby w niej gołych rąk. Coraz większa kałuża była bowiem pełna wijących się nitek. Go prawda Graves twierdził, że w gruncie rzeczy są nieszkodliwe, ale sam trzymał się od nich z daleka.

Coraz częściej barka zahaczała o jakąś przeszkodę albo szorowała po dnie kanału. Profesor przez całe życie nie schodził z suchego lądu i nie miał żadnego żeglarskiego doświadczenia, ale pamiętał słowa Gravesa o odpływie i sam widział, że poziom wody opada. W dodatku łódź zanurzała się coraz bardziej... Już kiedy wypływali, od dna kanału dzieliło ich najwyżej pół metra wody, teraz nie mogło być więcej niż dziesięć centymetrów. Albo i mniej, bo coraz częściej słyszeli zgrzyty i barka drżała. Bez wątplenia, ktokolwiek ją zbudował, nie przewidział, że prócz sarkofagu na jej pokładzie będą cztery osoby...

- Tam z przodu! - W myśli Mogensa wdarł się nagle głos doktora.

VanAndt wyprostował się i spojrział we wskazanym kierunku, ale nie zobaczył nic prócz wszechobecnej ciemności. Panna Preussler też nie.

Jonathan zatoczył łuk ręką i poświecił lampą. Oślepił przy tym Mogensa, tak że profesor najpierw zobaczył tylko jasne punkciki, które potem zgasły, pozostawiając zielone kształty na siatkówce. Dlatego też nie był pewien, czy to, co zobaczył chwilę później, nie było tylko kolejnym złudzeniem. Zobaczył zamazaną, szarą plamę, która zdawała się cały czas zmieniać kształty, a chwilami zanikać.

- I co? - spytała panna Preussler.

- Udało nam się - odpowiedział Graves podniecony.

- Udało? - powtórzyła gospodyni. - Sądzi pan, że Thomas nie dotarł do celu?

- Prawdopodobnie nie. Gdyby było inaczej, już byśmy nie żyli. My oraz wielu innych. Tego by pani chciała?

- Oczywiście, że nie - odparła oschle. - Ale nie będę robić takich kalkulacji. Proszę sobie wyobrazić, że jednak żałuję chłopaka.

- Ja również, moja droga. - Słowa Jonathana zabrzmiały nawet szczerze. Potem uczynił energiczny ruch ręką i mówił dalej entuzjastycznym tonem: - Nie rozumie pani? Tam przed nami musi być wyjście!

Bładoszara poświata rzeczywiście była bardziej podobna do przytłumionego światła dziennego niż do zielonkawego blasku, który wypełniał podziemne miasto. Mimo to panna Preussler spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Myśli pan, że to słońce? Ale...

- ...to znaczyłoby, że na zewnątrz zrobiło się już widno -przerwał jej podekscytowany Graves.

- Byliśmy na dole dłużej, niż sądziłem, tylko jakie to ma teraz znaczenie? Za kilka minut będziemy na zewnątrz. Udało się!

Mogens nie potrafił podzielać zadowolenia Gravesa. Oczywiście poczuł ulgę, ale po chwili doszedł do wniosku, że minęły najwyżej dwie godziny, odkąd przekroczyli bramę w komnacie świątynnej. Nawet jeśli czas posiadał tę dziwną właściwość, że w obliczu niebezpiecznych wydarzeń dłużył się w nieskończoność, to i tak na zewnątrz nie mogło jeszcze świtać.

- Nasze reguły najwyraźniej nie mają tu zastosowania -wyjaśnił Graves, gdy zauważył wątpiący wzrok VanAndta. - Potem będziesz sobie nad tym łamał głowę, Mogensie. Teraz ważne jest tylko to, że nam się udało.

Profesor nie był tego wcale taki pewny. Tymczasem szara plama światła stawała się coraz większa i wyraźniejsza, zwłaszcza że doktor przestał wymachiwać lampą w tamtym kierunku. Coś jednak było nie tak.

Znów wymienił z panną Preussler szybkie spojrzenie. Był pewien, że dojrzał w jej wzroku niepokój. Zrozumiał, że przytulała dziewczynę nie tylko po to, by zapewnić czarnowłosej trochę ciepła i bezpieczeństwa, ale by podnieść na duchu samą siebie. Poprzedniego poranka pojał ostatecznie, jak silną była kobieta, jednak i najsilniejsi potrzebują otuchy.

Barka sunęła niespiesznie. Szara plama na końcu tunelu przybliżała się stopniowo. Mogens miał wrażenie, że im bliżej są celu, tym łódź płynie wolniej. Nadal nie potrafił powiedzieć, co było nie tak, odczuwał jednak coraz większy niepokój.

Zastanawiając się nad przyczynami spowolnienia łodzi, po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzął w bok. Do tej pory nie było tam widać zbyt wiele. Graves prawie całą podróż trzymał lampę przed sobą, by wypatrywać wystających z wody kamieni lub innych przeszkód. Starania te nie miały właściwie sensu, ponieważ bez wiosła praktycznie byli zdani tylko na dryfowanie swej łodzi, nie mając większego wpływu na jej kierunek ani na prędkość. Teraz Jonathan odsunął lampę na bok, by lepiej widzieć bladą poświatę u wylotu tunelu, i profesor mógł więc zaobserwować, jak 621 bardzo zmieniło się otoczenie.

Gdyby nie widział podziemnego miasta i nie wiedział, na co powinien zwracać uwagę, nie przyszedłoby mu nawet do głowy, że ten tunel nie powstał w sposób naturalny. Czas zatarł prastare freski, hieroglify i rysunki, wygładził reliefy. Niegdyś starannie wyszlifowane kamienne bloki pokrył wielowiekowy nalot, przeżarły je sól i wilgoć, rozmiękczyły pleśń oraz mikroskopijne żyjątka. Gdzieś tam ze stropu musiały oderwać się i wpaść do wody całe bloki, ściany miejscami były zapadnięte.

Im bliżej byli światła, tym więcej zniszczeń dostrzegał. Gdy przekroczyli bramę komnaty świątynnej i zeszli po schodach, odbyli wędrówkę tysiące lat wstecz. Teraz zdawało się, że z każdym przepłyniętym metrem zostawiają za sobą wieki historii. Niepojęta siła, która oszczędziła podziemne miasto przed działaniem czasu, u wylotu tunelu traciła swoją moc. Nawet doświadczone oko Mogensa dostrzegało tu głównie przypadkowe formy gdzieś tylko przecięte linią zbyt regularną, by mogła ją stworzyć natura, albo nadto precyzyjnie wykończony narożnik czy zbyt starannie oszlifowaną wypukłość. Jednak komuś innemu, kto znalazłby się tu przypadkowo, przez głowę by nie przemknęło, że to nie naturalna jaskinia. Również spod powierzchni wody sterczało coraz więcej kamieni i zębów skalnych, wśród których barka cudem znajdowała drogę.

Wtem profesor usłyszał szuranie. Przez kilka kolejnych sekund wmawiał sobie, że to tylko odgłos ocierania się łodzi o kamienie, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że to nieprawda. Tak samo jak wiedział, skąd dochodził dźwięk.

Z sarkofagu.

Szuranie i drapanie. Nie było głośniejsze niż wcześniej, ale jakby bardziej przenikliwe i agresywne. VanAndt nie mógł się oszukiwać - nie był jedynym, który usłyszał niepokojący odgłos. Również panna Preussler

* -

- ■z." *

•ii ■ ' S* i; ifcUt __

k

wyprostowała się nagle jak struna i spojrzała na sarkofag przestraszona. Także mina Gravesa świadczyła dobitnie, że nie jest mu do śmiechu.

- Drewno trzeszczy, tak? - spytała panna Preussler. Jej słowa bez wątpienia miały zabrzmieć sarkastycznie, ale nie zapanowała nad swym drżącym głosem.

Jonathan zdrową dłonią przesunął nerwowo po brodzie.

- A cóżby innego? - wymamrotał.

Z sarkofagu ponownie dobiegło ich natarczywe drapanie.

- Może powinieneś był się chwilę zastanowić, zanim wysłałeś nas na barkę pogrzebową? - mruknął profesor.

- Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru, jeśli sobie przypominasz, przyjacielu - zauważył kąśliwie doktor. - Poza tym, o czym ty mówisz?! Przecież tam nic nie ma. Diabły wyskakujące ze skrzyni w ostatniej chwili, by zniszczyć dzielnych bohaterów? Nawet boję się pomyśleć, jakie

powieści czytywałeś w tym nudnym Thompson.

W tym momencie ponownie rozległo się szuranie. Graves znów przejechał ręką po brodzie, ale tym razem zrobił to lewą, tą zmiążdżoną. Ku zdziwieniu Mogensa nie wyglądała już tak źle jak wcześniej. Gdyby nie zniszczona rękawiczka, różnica między dłońmi nie rzucałaby się nawet w oczy.

- Może... powinniśmy wyrzucić za burtę tę straszną skrzynię? - zaproponowała nerwowo panna Preussler.

- Śmiało! - zachęcił ją doktor. - Szacuję, że waży jakąś tonę. Ale proszę bardzo.

Gospodyni obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i zamilkła. Jonathan odwrócił się ku dziobowi barki i zapatrzył przed siebie. Z sarkofagu po raz kolejny dobiegł przytłumiony dźwięk - tym razem jakby brzęczący. Przy-pominał YanAndtowi odgłos tnących nożyczek.

Docierali jednak już prawie do końca kanału. Na ostatnim odcinku prąd stał się silniejszy i łódź przyspieszyła, nadal jednak wymijała każdą przeszkodę z ogromną precyzją. Przed nimi wyrosła niewielka katarakta. Woda załamywała się i pienila na wystających kamieniach. W normalnych okolicznościach profesora przestraszyłby ten widok, ale teraz ledwie zwrócił na niego uwagę. Wiedział, że łódź poradzi sobie także i z tą przeszkodą. Przestraszyło go raczej to, co zobaczył dalej...

Kanał uchodził do owalnego jeziora. Wypełniało ono dno ogromnej groty przykrytej skalną kopułą. Mogens uświadomił sobie w końcu, dlaczego widok szarawej plamy - niby to zwiastującej światło słońca, wzbudził jego podejrzenia. Poblask wypełniający groty rzeczywiście był światłem dziennym, ale dochodził z niewłaściwego kierunku. Nad nimi wznosiła się olbrzymia kopuła z czarnego kamienia, w którym nie było żadnych szczelin. Jasność biła od wody.

- Chyba mamy problem - westchnął głęboko Graves. Odwrócił się powoli przez ramię, lustrując wzrokiem wąskie brzegi. Prawą ręką jął ugniatać zmiążdżoną dłoń, zupełnie jakby próbował nadać jej odpowiedni kształt.

Barka zaczęła bardzo powoli obracać się w miejscu. Skrobanie i szuranie w sarkofagu było coraz głośniejsze.

- Profesorze... - powiedziała zaniepokojona panna Preussler.

- Wiem! - uciał nerwowo. - Jonathanie...

Doktor uciszył ich, unosząc władczo rękę. VanAndt widział, że myśli intensywnie, jego wzrok nadal błędził niespokojnie po brzegu. Widział, że szuka czegoś konkretnego. Lecz za nic nie może tego znaleźć.

- Jonathanie! - zawołał jeszcze raz Mogens. Z głębi kot - głośny i głuchy.

- Musimy... płynąć - rzucił w końcu Graves, choć w jego głosie pobrzmiwała wątpliwość.

- Oszalałeś? - jęknął profesor.

- To jedyna droga - upierał się doktor. - Myślałem, że tu będzie... - Nie dokończył zdania. W jego oczach czaiła się panika. Coraz bardziej nerwowo wypatrywał czegoś na brzegu.

Mimo bardzo regularnych, kopulastych kształtów, grot z pewnością nie była sztucznym tworem. Może na wąskim brzegu stały niegdyś posągi, ale nawet jeśli tak było, już dawno padły ofiarą czasu. Mogens dojrzał jedynie obłupane, czarne kamienie o przypadkowych kształtach. I ani śladu wyjścia.

- Jonathanie! - niemal krzyknął histerycznie.

Z sarkofagu odpowiedział dźwięk przypominający tarcie metalu o kamień.

- Musimy płynąć - obstawał przy swoim Graves. - To jedyna droga! - Wskazał na szare światło dochodzące spod wody. - Jaskinia musi mieć wyjście na zewnątrz. Sam zobacz!

Płynąć? VanAndt na samą myśl dostał gęsiej skórki. Doktor musiał postradać zmysły. Z pewnością pod jeziorem istniało połączenie z otwartym morzem, o czym świadczyło światło, ale przesmyk musiał się znajdować pięć, może nawet dziesięć metrów pod powierzchnią! To, że wodę pokrywał dywan leniwie falujących witek, nie miało w tej sytuacji większego znaczenia.

Łódź zaczęła się kręcić coraz szybciej, jakby wpadła w wir. Tyle że żadnego wiru nie było! Tafla jeziora pozostała zupełnie gładka, pojawiły się na niej jedynie maleńkie zmarszczki wywołane

ruchem barki. Nie, nawet nie barki - gorzej! Gdy profesor zobaczył swoją pomyłkę, całkiem stracił nadzieję. To płatanina witek nagle zaczęła układać się we wzór wiru wokół łodzi! Jego wcześniejsze skojarzenie było więc uzasadnione.

- Szybko! - wrzasnął Graves. - Płyńcie do brzegu!

Ale było za późno. Rozległ się syk, jakby tysiąc kropeł spadło na rozgrzany metal i nagle z wody wystrzelił las cieniutkich, smagających witek. Graves odskoczył w tył, zasłonił twarz dłońmi, potknął się o sarkofag, a ten, mimo swej ogromnej wagi, zadrżał pod wpływem uderzenia. Wieko zsunęło się z hukiem i wypadło za burzę.

I zobaczyli koszmar.

Wewnątrz znajdowała się żywa wersja reliefu z wieka trumny, w dodatku o wiele większa. Przy tym potężnie zbudowanym, mierzącym jakieś siedem stóp kolosie, nawet ghule wydawały się niewielkie. Trudno było pojąć, jak ten gigant mieścił się w sarkofagu. Pokrojem ciała przypominał niezwykle muskularnego człowieka, z tułowia jednak zamiast rąk wyrastały dwie pary olbrzymich krabich nożyc. Z głowy zamiast włosów wyrastały tysiące cieniutkich, wijących się czułek, tak że przypominała ukwiał. Dwoje oczu wyglądały na ludzkie, a pod nimi przerażony Mogens ujrzał olbrzymi, groźnie wygięty dziób papuzi, wewnątrz którego poruszał się mięsisty język. Jednak wcale nie wygląd potwora najbardziej profesora przeraził. Widział już o wiele szkaradniejsze i bardziej odrażające stworzenia, ale nigdy nie spotkał się z istotą tak obcą.

Graves odwrócił się z przeraźliwym wrzaskiem na ustach i rzucił lampą w stwora. Lampa trafiła w jedno z podniesionych nożycowatych odnóży potwora i pękła. Trysnęła krew, której koloru VanAndt nie zdołał określić, bo sekundę później buchnął ogień i objął część spowijających głowę czułek. Bestia wydała przenikliwy dźwięk podobny do ptasiego jazgotu. Podniosła się i podeszła ciężkim krokiem do doktora, wyciągając straszliwe, nożycowate ręce.

się we wzór wiru wokół łodzi! Jego wcześniejsze skojarzenie było więc uzasadnione.

- Szybko! - wrzasnął Graves. - Płyńcie do brzegu!

Ale było za późno. Rozległ się syk, jakby tysiąc kropeł spadło na rozgrzany metal i nagle z wody wystrzelił las cieniutkich, smagających witek. Graves odskoczył w tył, zasłonił twarz dłońmi, potknął się o sarkofag, a ten, mimo swej ogromnej wagi, zadrżał pod wpływem uderzenia. Wieko zsunęło się z hukiem i wypadło za burzę.

I zobaczyli koszmar.

Wewnątrz znajdowała się żywa wersja reliefu z wieka trumny, w dodatku o wiele większa. Przy tym potężnie zbudowanym, mierzącym jakieś siedem stóp kolosie, nawet ghule wydawały się niewielkie. Trudno było pojąć, jak ten gigant mieścił się w sarkofagu. Pokrojem ciała przypominał niezwykle muskularnego człowieka, z tułowia jednak zamiast rąk wyrastały dwie pary olbrzymich krabich nożyc. Z głowy zamiast włosów wyrastały tysiące cieniutkich, wijących się czułek, tak że przypominała ukwiał. Dwoje oczu wyglądały na ludzkie, a pod nimi przerażony Mogens ujrzał olbrzymi, groźnie wygięty dziób papuzi, wewnątrz którego poruszał się mięsisty język. Jednak wcale nie wygląd potwora najbardziej profesora przeraził. Widział już o wiele szkaradniejsze i bardziej odrażające stworzenia, ale nigdy nie spotkał się z istotą tak obcą.

Graves odwrócił się z przeraźliwym wrzaskiem na ustach i rzucił lampą w stwora. Lampa trafiła w jedno z podniesionych nożycowatych odnóży potwora i pękła. Trysnęła krew, której koloru VanAndt nie zdołał określić, bo sekundę później buchnął ogień i objął część spowijających głowę czułek. Bestia wydała przenikliwy dźwięk podobny do ptasiego jazgotu. Podniosła się i podeszła ciężkim krokiem do doktora, wyciągając straszliwe, nożycowate ręce.

Jonathan osłonił twarz, ale szczypce podążyły za jego ruchem i odcięły mu obydwie dłonie poniżej nadgarstków.

Doktor wydał krótki, przenikliwy krzyk, spojrzął na swoje kikuty, z których trysnęła krew, po czym przeleciał przez burzę. Potwór odwrócił się i zgrzytając nożycami, ruszył w kierunku Mogensa i kobiet. Część głowy i lewe ramię stały w ogniu, w oczach krył się ból i nienawiść. Profesor stał jak sparaliżowany. Gdy nagle...

Zaczęło się od bardzo lekkiego drżenia, zbyt słabego, by choćby zmarszczyć powierzchnię wody.

- Thomas... - powiedziała panna Preussler cicho.

Jakby na potwierdzenie jej słów po jeziorze przeszedł drugi, silniejszy wstrząs. Nawet potwór zatrzymał się i spojrzał z niepokojem w głąb tunelu. Gdzieś zaczęła przyskać woda, jakby się nagle zagotowała. Mogens instynktownie wstrzymał oddech i wyciągnął ręce, by się czegoś przytrzymać. Kołysanie ustało jednak, momentalnie uspokoiła się również woda. Rozkołysane witki - jak sitowie, w którym igra wiatr - poruszały się jeszcze jakiś czas niespokojnie, po czym zamarły.

Nastąpiła absolutna, niepokojąca cisza.

Trwała jedynie sekundę, ale tak się dłużyła, jakby czas stanął w miejscu. Potem Mogens usłyszał trzask, zaś potwór postąpił kolejny krok w ich stronę i ryknął groźnie. Poziom wody w jednej chwili opadł o kilkanaście centymetrów i barka przechyliła się mocno na bok. Nie zatoneła tylko dlatego, że podtrzymała ją gęsta sieć witek. Zaraz potem poziom wody znów gwałtownie się podniósł, wyrzucając łódź w powietrze. Potwór na rozstawionych nogach walczył o utrzymanie równowagi, wymachując rękami. Potem zapadła ciemność.

Latarnie wcale nie zgasły, nie zostało również przesłonięte szarawe światło dzienne, chociaż była to oczywiście pierwsza myśl, która przyszła Mogensowi do głowy. Po

rM

prostu tak jak pierwszy wstrząs na chwilę uciszył wszystkie dźwięki, tak drugi zgasił wszelkie światło. Nagle znów pojawił się biały blask ich lamp. Mogens leżał na plecach i z trudem łapał powietrze. Również tlenu na moment zabrakło.

Barka płasła jak szalona po jeziorze, które z sekundy na sekundę zamieniało się w rwący, podziemny strumień. Światło latarni skakało po wypukłym suficie i ścianach, wszędzie kipiła i przyskała woda, wypluwając w powietrze pianę i tysiące wijących się jak w agonii witek. Nagle huk, piekielne echo niekończącej się eksplozji wypełniło tunel. Zniknął potwór, większość smagających witek, zniknął też Graves.

Panna Preussler coś krzyczała, ale Mogens nie mógł jej zrozumieć. Powietrze wrzało. Profesor złapał się mocno burty, ale nic to nie pomogło. Łódź podskakiwała jak nieujeżdżony koń, który za wszelką cenę próbuje zrzucić jeźdźca. VanAndtem rzuciło o burtę, potem o sarkofag. Rozkołysana barka zaczęła znów kręcić się wokół własnej osi, jakby wciągał ją wir. Ostatnia lampa wypadła za burtę. Nagle wszędzie posypały się kamienie, cała grot drżała i wirowała jak ogromne zwierzę wstrząsane konwulsjami. Odłamki skał spadały na pokład, roztrzaskując drewniane elementy, inne wpadały do wody. Ogromny blok skalny trafił zadartą do góry rufę i odciął ją jak kamienna gilotyna. Nagle woda zniknęła, a barka opadła na dno pokryte mułem i kamieniami, by zaraz potem znów podnieść się, uniesiona kolejną falą.

Mogens przestał już liczyć, ile razy trafiły go skalne odłamki, nie wiedział, co dzieje się z pozostałymi. Był uwięziony w orkanie drgającego światła, przyskającej wody i piekielnego hałasu. Nagle ogromna fala przetoczyła się przez pokład łodzi. Profesor stracił oddech. Świeące plamy na suficie i ścianach rozbłysły jasnym światłem jak sadza wewnątrz komina nagle zajęta ogniem, po czym zgasły.

Grotą wstrząsnęło jeszcze większe uderzenie. Ziemia jęknęła. Spadło jeszcze więcej kamieni, gruzu i odłamków skalnych. Powietrze wibrowało tak mocno, że VanAndt nie był w stanie go wdychać. Czuł w ciele każde najmniejsze ścięgno.

Huk stał się nie do zniesienia, po czym nagle ustał. Profesor był zupełnie głuchy. Nagle łódź przewróciła się i Mogens przeleciał w powietrzu szerokim łukiem, po czym uderzył w wodę. Tafla okazała się twarda jak szyba. Instynktownie próbował wstrzymać oddech i napiąć mięśnie, by choć trochę złagodzić upadek, ale nic to nie pomogło. Uderzenie wycisnęło mu powietrze z płuc i omam nie pozbawiło przytomności. Wir wciągnął go na kilka metrów pod wodę i tak nim zakręcił, że zupełnie stracił orientację. Nawet gdyby był w stanie jeszcze płynąć, nie wiedziałby, gdzie jest góra, a gdzie dół. Płuca paliły go żywym ogniem, kości bolały, jakby wszystkie połamał.

Wypłynął jednak i chciwie zaczerpnął powietrza. Prawie natychmiast wir ponownie wciągnął go w głębiny. Płuca nadal piekły, a każdy ruch sprawiał niewymowny ból, lecz odzyskał orientację i po

kilku na wpół chaotycznych ruchach zdołał się wynurzyć.

Coś złapało go za stopę - czyjaś silna ręka, która chciała ponownie go wciągnąć. Mogens wpadł w panikę i zaczął rozpaczliwie rzucać rękami i nogami, aż pojął, że broniąc się, tylko pogarsza sytuację. Chociaż było to wbrew instynktowi, zmusił się do zachowania spokoju, stłumił potrzebę zaczerpnięcia powietrza i wyplątał ostrożnie stopę z łagodnego uścisku witek. Chwilę później znalazł się z powrotem na powierzchni wody.

Nawet jeśli wydawało mu się to całą wiecznością, pod wodą mógł być zaledwie kilka sekund. Grota nadal drżała. Olbrzymia szczelina dzieliła kamienne sklepienie na dwie 650 nierówne części. Z kanału buchały gęste opary dymu, przez t. r. ,

które błyskało ostre żółtoczerwone światło. Całe jezioro drgało. Tuż obok VanAndta dnem do góry przedryfowała połamana barka. Po pannie Preussler, dziewczynie i Grave-sie nie było śladu.

Wtem zobaczył postać na brzegu.

Stała wyprostowana, bez ruchu, jakby chaos spadających kamieni i pryskającej wody zupełnie jej nie dotyczył. Wyglądała jak cień. Pomachała do Mogensa. Choć widział tylko zarys twarzy, natychmiast ją rozpoznał.

To była Janice.

Oczywiście nie uwierzył własnym oczom. Janice nie żyła, zmarła dziewięć lat temu setki kilometrów stąd, a nawet jeśli nie, nie mogła znajdować się tutaj, a już na pewno nie teraz.

Wyjaśnienie było proste - po prostu bardzo chciał ją zobaczyć.

Mimo to bez zastanowienia popłynął w stronę zjawy.

Odległość do brzegu mogła wynosić jakieś sto stóp, co nawet dla tak niewprawnego pływaka jak on nie stanowiło zbytniego wyzwania. Na szczęście wstrząsy już ustały, choć woda wciąż falowała, kopuła nad jego głową drgała, powietrze wypełniał nieprzyjemny trzask i zgrzyt, a od czasu do czasu do wody nadal spadały z pluskiem kamienie. Mogens pomyślał, że grota może zaraz runąć. Nie znał się wprawdzie na geologii, oceniał jednak, że wstrząs był na tyle silny, by trwale naruszyć jej strukturę.

Chętnie płynąłby szybciej, nie miał jednak odwagi. Woda roiała się od wijących macek, które już wcześniej chwyciły go niczym topielice, była też przesywająco zimna. Płynął jednak, starając się nie zwracać uwagi na głązy spadające ze stropu. Miał nadzieję, że jednak żaden go nie trafi.

Bez uszczerbku, ale doszczętnie wyczerpany dotarł wreszcie do brzegu. Zawisł na nim wykończony, ale rozkoszował się tym, że może swobodnie oddychać. Wiedział jednak, że nie może odpocząć. Był wycieńczony, a zimno dodatkowo odbierało mu siły. Jeśliby zasnął, nie obudzi się nigdy więcej.

Ale był tak niewyobrażalnie zmęczony...

Może wystarczy, jeśli na chwilę zamknie oczy, pozwoli się ciału odprężyć, by zebrać siły. Dwie, trzy sekundy, nie dłużej...

Ktoś zawołał jego imię, a gdy nie zareagował, chłodna dłoń delikatnie musnęła jego policzek.

Ocknął się wystraszony. Serce waliło mu niespokojnie, rozejrzał się nerwowo dokoła.

Nikogo nie zobaczył, nikt też go nie wołał. Tuż obok niego do wody wpadł kamień wielkości piłki, 'a dotyk, który poczuł na twarzy był niczym innym, jak kroplami lodowatej wody pryskającej na wszystkie strony. Przeszedł go zimny dreszcz, gdy zrozumiał, co się właśnie wydarzyło. Zasnął, a podświadomość wybrała ten sposób, by go obudzić.

Mogens podciągnął się z zaciśniętymi zębami i odwrócił głowę. Z tunelu nadal buchał gęsty dym. Jego chmura powoli kładła się płasko nad jeziorem - niemy zwiastun zagłady podziemnego miasta. Olbrzymia eksplozja nie mogła być spowodowana tylko wybuchem dynamitu Toma. Miasto, ze wszystkimi jego cudami i tajemnicami, zostało zniszczone, niewątpliwie również komnata świątynna Gravesa i całe wykopalisko legły w gruzach.

To jednak było mu obojętne. Odczuł przelotnie żal, jedynie gdy pomyślał o chłopaku, który ofiarował życie za tak bezsensowną sprawę jak zemsta. Profesor czuł jednak w głębi duszy, że jeśli istniał na świecie człowiek, którego ofiara z życia miała sens, był nim właśnie Tom. Oby był ostatnim poległym w tej wojnie, która toczyła się tu, w dole od pięciu tysięcy lat...

Olbrzymi blok skalny spadł tuż obok Mogensa. Ocknął się i pomyślał, że jeśli się nie pospieszy,

będzie kolejną, rzeczywiście bezsensowną ofiarą.

Jęknął z bólu, gdy nadgarstki ugięły mu się pod ciężarem własnego ciała. W pierwszej chwili był przekonany, że połamał ręce, ale nie - na szczęście. Stękając, przekreślił się na plecy. Otworzył szeroko oczy z przerażenia, gdy zobaczył strop tuż nad sobą. Głazy drżały. Olbrzymia kopuła przesunęła się, zobaczył, jak wykwita na niej siatka bruzd. Światło słoneczne przedzierało się przez wąskie szczeliny jasnymi snopami, podświetlając kurz wirujący w powietrzu wszystkimi kolorami tęczy. Widok niepokojąco piękny, zbyt piękny...

Liczba świetlnych ostrzy szybko się zwiększała, a jeszcze do niedawna idealnych kształtów kopuła rozstępowała się coraz szybciej. Towarzyszył temu głęboki, jękliwy dźwięk, który nie był hukiem eksplozji czy kruszącej się skały, lecz przypominał ostatnie tchnienie olbrzymiej, prastarej istoty. Trzęsienie ziemi ustało, ale grota waliła się nieubłaganie.

Bez pomocy rąk, które nadal bolały piekielnie, Mogens skoczył na równe nogi i ruszył przed siebie. Masywna skała zaczęła drgać i falować jak namiot cyrkowy targany wiatrem. Również ziemia pod stopami Mogensa poruszała się, ale nie były to silne wstrząsy jak wcześniej, lecz o wiele bardziej niepokojące falowanie, jakby rzeczywiście stał na żywej istocie wijącej się w mękach. Jaskrawe światło słoneczne kłuło VanAndta w oczy, gdy zbliżał się do zygzakowatej szczeliny w ścianie. Był tak oślepiiony, że ledwo widział. Tuż obok niego spadł na ziemię wielki kamień, roztrzaskując się na kawałki i obsypując go gradem ostrych jak igły odłamków. W ścianie powstała druga wąska szczelina, przez którą wtargnęło ostre, złote światło.

'Ti O- ' f

Mogens czuł, jak cała grota chyli się na bok. Z sufitu nadal spadały kamienie. Nagle znikło szare światło dochodzące dotąd z głębi wody. Podwodne połączenie z morzem musiało się zawalić. Śmiertelny strach jeszcze raz dodał profesorowi sił. Przyspieszył, ale coś uderzyło go w ramię i biodro. Krzyknął z bólu, nie zwolnił jednak kroku, przeciwnie, starał się biec jeszcze szybciej. Zostało mu najwyżej kilka sekund i kilkanaście kroków do pokonania. Ostatni raz musiał liczyć na szczęście i mieć nadzieję, że nie zabije go spadający kamień i nie pochłonie rozstępująca się nagle ziemia.

Postać pojawiła się znikąd. Tam gdzie jeszcze przed chwilą biegła zbawienna droga do wolności, stał teraz cień - szczupła sylwetka, której twarzy nie mógł dostrzec z powodu ostrego słońca podświetlającego ją od tyłu. Ale... Janice przecież nie żyła. Resztki rozsądku wszczęły alarm, gdy Mogens skręcił gwałtownie i podążył w kierunku, który wskazywała wyciągnięta ręka zjawy. Nie kierowała go do zbawiennej szczeliny, lecz do drugiej, dopiero co powstałej rozpadliny, dużo bardziej oddalonej i przysłoniętej stertą kamieni, prawdopodobnie zbyt wąskiej, by mógł się przez nią przecisnąć. Logika nie miała teraz jednak władzy nad myślami Mogensa. Biegając dalej, uderzył się o skałę, ale cudem udało mu się odzyskać równowagę. Potem z siłą młotka trafił go w kolano spadający kamień, poczuł też, jak ostry odłamek wbija mu się w ramię i rozcina skórę, a po plecach zaczyna płynąć ciepła strużka krwi. Nic nie było go jednak w stanie zatrzymać, skoro Janice nadal wskazywała ręką szczelinę. Choć zakrawało to na szaleństwo, wiedział, że nie może jej zawieść po raz drugi.

Za nim spadł olbrzymi kawał sufitu, a otwór, przed którym stała smukła postać, zawarł się z głuchym trzaskiem. Gdyby Mogens obrał pierwotną drogę, z pewnością w tej 54- chwili byłby martwy.

■ . dtff ifjj. ' . -i«!

• - • , vi i, •

Chwilę później dotarł do szpary, którą wskazała mu zjawa, precyzyjnie się ostatkiem sił, zatoczył i opadł na zalaną słońcem plażę. Za nim z grzmiotem opadł spory fragment skalnego wybrzeża i zsunął się z ogromnym hukiem do morza. Tego jednak profesor już nie usłyszał.

Stracił przytomność, jeszcze zanim głowa opadła mu na piach.

ym razem nie było to złudzenie. Dłoń, której dotyk poczuł na czole, była równie realna jak głos przema--wiający do niego monotonnym, uspokajającym to-neih. Nadal marzył niemiłosiernie, ponieważ po pas leżał zanurzony w lodowatej wodzie, która z każdą falą odbierała mu coraz więcej

ciepła. Czekał, aż dadzą o sobie znać odniesione rany, ale czuł tylko ćmiący ból wszystkich mięśni. Gdy z trudem otworzył oczy, momentalnie oślepiło go słońce. Syknął i natychmiast zacisnął powieki. Powinien być wczesny świt, ale słońce stało prawie w zenicie i raziło nieznośnie. Mogens przyłapał się na myśli, czy to w ogóle jest jeszcze słońce, które znał, czy może raczej Syriusz.

Ostrożnie odwrócił głowę, aż poczuł, że promienie nie padają mu prosto na twarz. Wtedy ponownie otworzył oczy. Światło było nadal ostre, zwłaszcza że odbijało się od niemal białego piasku plaży, ale już nie tak nieprzyjemne. Na plaży dostrzegł rozmyty cień, a dalej bezkształtny zarys w odcieniu uspokajającej zieleni. Mrugnął kilka razy oczyma, nim odzyskał ostrość widzenia.

- No, niech pan się weźmie w garść, profesorze - powiedział głos. - Nadal pan żyje i z tego co widzę, ocalał pan w jednym kawałku.

Słowa te utwierdziły VanAndta w przekonaniu, że to nie któraś z planet układu Syriusza. Stękając, przekręcił głowę i zobaczył twarz panny Preussler. Wyglądała na zatroskaną.

- Przynajmniej nie jestem w piekle - wymamrotał.

- Jeśli wnioskuje pan to z tego, że ja również tu jestem, profesorze, to może być to sąd zbyt pochopny - odparła gospodyni. - Po tym wszystkim, w czym brałam udział przez ostatnie godziny, z pewnością długo będę się smażyć w ogniu czyszcącym.

Przy tych słowach przybrała kamienną twarz, ale w jej oczach igrały drwiące iskierki. Gdy Mogens wsparł łokcie na piasku, by wstać, potrząsnęła pospiesznie głową i dała mu ręką znak, by położył się z powrotem.

- Nie tak prędko, profesorze. W końcu był pan omdlały przez dziesięć minut, nie ma żartów.

- Nieprzytomny - poprawił ją VanAndt, ostrożnie podnosząc się do pozycji półsiedzącej.

Gospodyni miała rację, natychmiast poczuł zawroty głowy.

- Nieprzytomny? - spytała, mrugając oczami. - A co to za różnica?

- Kobiety mdleją, panno Preussler - odparł, wyciągając nogi z lodowatej wody. - Mężczyźni tracą przytomność.

- Najwyraźniej już lepiej pan się czuje. - Gospodyni wstała.

Mogens ułożył usta w wymuszony uśmiech i również próbował się podnieść, ale pośliznął się na mokrym piasku i upadł niezgrabnie do tyłu.

- Proszę uważać, profesorze - powiedziała panna Preussler z drwiną. - Żeby mi tu pan znowu nie stracił przytom-

! ności.

- Postaram się - stęknął VanAndt. Podniósł się, tym razem o wiele ostrożniej, i przez chwilę stał nieruchomo, dochodząc do siebie z zamkniętymi oczami. Najwyraźniej nic sobie nie złamał ani nie odniósł cięższych obrażeń, lecz

ból mięśni nadal mu dokuczał. Mogens zagryzł zęby, ale właściwie to uczucie było przyjemne, ponieważ dowodziło, że wciąż żyje.

Profesor spojrział pod słońce na południe. Gdzieś za postrzępioną linią wybrzeża w niebo wzbijały się szare obłoki dymu.

- Coś się pali? - zapytał.

Panna Preussler skinęła głową. Nic nie powiedziała, ale coś w jej milczeniu zaniepokoiło Mogensa.

- Chcę wiedzieć, co się stało - rzekł stanowczo. Myślał przez chwilę intensywnie, ale nie doszedł do żadnego wniosku. Nie pamiętał dobrze drogi, którą przyjechał z Tomem do obozu, wówczas nie musiał przecież zwracać na nią uwagi. - Czy to... nasz obóz?

Zamiast odpowiedzieć, gospodyni spojrzała na profesora wzrokiem, który przyprawił go o dreszcze. Potem wskazała wąską ścieżkę wiodącą na strome wybrzeże.

- Byłam na górze. - Jej głos brzmiał... dziwnie, jak uznał Mogens.

- A więc nasz obóz... - wymamrotał.

Najwyraźniej tym razem trzęsienie ziemi było dość silne, by poczuły je nie tylko przyrządy geologów. Zniszczyło nie tylko bbóz, ale również...

- O Boże - wyszeptał VanAndt. - Tylko nie miasteczko! - Wpatrywał się przerażony w pannę Preussler. - Tam mieszkają przecież setki ludzi. Proszę tylko nie mówić, że miasteczko!

- Nie - odrzekła. - Nie miasteczko. To płonie San Francisco.

Mogens patrzył na nią osłupiały.

- Trudno coś więcej powiedzieć - rzekła gospodyni cicho. - Jesteśmy od niego oddaleni co najmniej trzydzieści mil, ale luna zasnuwa cały horyzont. Ogień musi być olbrzymi, skoro dym widać aż tutaj.

- San Francisco? - powtórzył profesor z niedowierzaniem. - Ale... to niemożliwe. Jesteśmy przecież o wiele za daleko...

San Francisco? To nie mogła być prawda. Wybuch miał ogromną siłę, ale nie aż taką. Trzydzieści mil! To niemożliwe!

Otrząsnął się. Kilkanaście kroków za nimi oberwał się cały klif. Wąski pas białego piasku, który od morza oddzielał wysoką na ponad czterdzieści stóp ścianę, zniknął pod stertą kamieni i olbrzymich odłamków. Powstały w ten sposób twór przypominał świeżo usypane molo długie na jakieś sto dwadzieścia stóp, a na końcu spłaszczał się, by ostatecznie zniknąć w odmętach. Pył nadal wisiał w powietrzu i Mogensowi zdawało się, że nadal czuje w nozdrzach zapach startego kamienia i przegniłych wodorostów. Daleko na morzu, na granicy widoczności, coś dryfowało na wodzie. Rozpostarte włosy syreny?... Fale zaczęły się wygładzać, a pył rzednąć. Niedługo to ogromne gruzowisko nie będzie się niczym różniło od wielu innych miejsc w tej części wybrzeża.

- Czy już jest po wszystkim? - spytała panna Preussler cicho.

VanAndt słyszał, że podchodzi do niego, mimo to wzdrygnął się wystraszony. Spojrzała na niego z poczuciem winy i cofnęła z powrotem o krok.

- Gdybym to wiedział... - wymamrotał ponuro, ale zaraz zmusił się do pogodnego uśmiechu. - Tak, myślę, że już po wszystkim!

- Na pewno, profesorze?

Dopiero teraz zauważył, jak źle wyglądała. Światło słoneczne, którego tak dawno nie widział na twarzy gospodyni, dodało jej rysom żywotności, przez co w pierwszej chwili nie zauważył, jak była wyczerpana. Włosy i ubrania kleiły się jej do ciała, cerę miała trupio bladą. Do niedawna jesz-

-!ti

'i»-..

•irrilc-i"

p

ŚSSWWiff sram» «•

•'i p'."

tt

cze gładka twarz teraz była poorana głębokimi bruzdami. Mogens zobaczył w niej człowieka, który utracił złudzenia.

- Po prostu wiem, panno Preussler - odparł, starając się, by jego głos brzmiał swobodnie. - Nie sądzę, by ktokolwiek był w stanie przeżyć coś takiego dwa razy w ciągu życia. A że nie mam zamiaru tak szybko umierać, na pewno jest już po wszystkim.

Gospodyni nadal była poważna.

- Tak się cieszę, że pan żyje, profesorze - powiedziała. -Gdy zobaczyłam, jak góra runęła, byłam pewna, że już po panu. Jak, na miłość boską, udało się panu stamtąd wydostać? Anioły musiały sprawować nad panem pieczę.

- Chyba tak - odparł, uśmiechając się smutno. - Chociaż wydaje mi się, że był to tylko jeden anioł...

Spojrzała na niego nieufnie, niemal podejrzliwie.

- A jak pani wyszła stamtąd cało? - zapytał VanAndt. -Gdy barka wywróciła się...

- Tak, myślałam, że to moje ostatnie chwile - przyznała panna Preussler. - Miałam szczęście.

Nie... - Szukała odpowiednich słów. - Szczerze mówiąc... nie potrafię pływać.

- Nie potrafi pani pływać? - zdziwił się Mogens.

- Nie, i co z tego? - rzuciła niemal opryskliwie. - Nigdy nie miałam okazji się nauczyć.

Ponadto do tej pory byłam zdania, że umiejętność ta nie jest mi potrzebna.

Profesor próbował wyobrazić sobie gospodynię w stroju kąpielowym i nagle wiedział już, dlaczego nigdy nie miała okazji nauczyć się pływać. Przypominałaby groteskowego hipopotama z jakiejś ilustrowanej książeczki dla dzieci.

Panna Preussler rzuciła mu gniewne spojrzenie, jakby potrafiła czytać w jego myślach. Po chwili ciągnęła chłodnym głosem:

- W każdym razie myślałam wówczas, że nie wyjdę z tego żywa. Nie było to przyjemne doświadczenie.

Wył. . ' » 'i

"i118

- W piekielnym wirze i tak by pani niewiele pomogło, gdyby potrafiła pani pływać - zapewnił Mogens pospiesznie. Te słowa zabrzmiały niezręcznie nawet w jego własnych uszach.

- Zapewne - powiedziała nieco udobruchana, nadal jednak szorstkim tonem. - Nie wiem, co działo się potem. Gdy się ocknęłam, leżałyśmy na plaży.

- Leżałyśmy?

- Ta biedna dziewczyna i ja - potwierdziła gospodyni. - Wydaje mi się, że to ona mnie wyciągnęła...

- Ona żyje?! - wykrzyknął VanAndt. - Gdzie? Gdzie ona jest?

- W jaskini, kilka kroków stąd - odparła panna Preussler. - To biedne dziecko było zupełnie zdezorientowane. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie widziała nieba. Sprawiała wrażenie, jakby się go bała, a...

- Gdzie?! Niech pani powie!- przerwał jej Mogens.

Wzrok gospodyni spochmurniał, a głos stał się szorstki.

- Nie ma powodu, by zachowywał się pan tak niegrzecznie, profesorze. Zapomniał pan o swoich wzorowych manierach?

Obrzuciła go karcącym spojrzeniem, odwróciła się powoli, po czym ruszyła przed siebie niespodziewanie szybkim krokiem, z zaczepnie uniesioną głową. VanAndt musiał przyspieszyć, by ją dogonić.

To nie było kilka kroków, ale co najmniej sto. Po drodze profesor próbował jeszcze dwa razy zagadnąć swoją towarzyszkę, chociażby po to, by przeprosić ją za swoje wcześniejsze zachowanie, ale milczała jak grób. W końcu postanowił uzbroić się w cierpliwość.

Dotarli właściwie nie do jaskini, ale pod skalny nawis. Poniżej fale jak od wieków cierpliwie i żmudnie wypłukiwały minerał. Dziewczyna siedziała skulona w najdalszym kącie wnęki jak najdalej od światła słonecznego

Tym razem Graves zareagował, chociaż z pewnym opóźnieniem. Wzrok jeszcze przez moment miał utkwiony nieruchomo w dali. Dopiero po chwili stopniowo wrócił do rzeczywistości.

i najwidoczniej przerażającej ją przestrzeni. Obok niej z wyrazem pustki w oczach siedział Graves. Mogens stanął jak wryty i jęknął:

- Jonathan?!

Przecież VanAndt widział na własne oczy, jak doktora zabija potwór! Nie, wcale nie. Właściwie to nie widział. Widział, jak potwór go okalecza, a potem Graves wpada do wody. Resztę sobie dośpiewał, bo przecież z takimi obrażeniami nie sposób przeżyć.

- Jak...? - wymamrotał profesor bezradnie.

- Gdy doszłam do siebie, zobaczyłam go leżącego na plaży - odparła panna Preussler cicho. - Pomyślałam, że będzie prościej, jeśli go panu pokażę, profesorze. - Uśmiechnęła się lekko i wzruszyła bezradnie ramionami. - Nie wiem, skąd się wziął i dlaczego żyje. Jediną osobą, która może to wiedzieć, jest ta biedna dziewczyna, ale ona nie potrafi mówić.

Mogens spojrzął przelotnie na czarnowłosą, po czym skupił się ponownie na Jonathanie. Nie tylko żył, ale był przytomny, o ile można tak nazwać podobny stan. Ręce doktora spoczywały na kolanach, a na kikutach ktoś, zapewne panna Preussler, położył mu mokrą chustkę. Plecami i tyłem głowy opierał się o skałę. Oczy miał otwarte i mrugał nimi, a raczej raz po raz bardzo powoli unosił i opuszczał powieki. Wzrok utkwiał w sobie wiadomym punkcie w przestrzeni, ale VanAndt

wcale nie chciał wiedzieć, co tam widział.

- Jonathanie? - spytał.

Nie otrzymał odpowiedzi.

- Doktorze?

glpSfe V

•iw

.i rm

<\

- Cholernie długo to trwało - powiedział ciekawym falsetem, który mało przypominał głos znany Mogensowi.

-Co?

- W końcu zdobyłeś się, by mnie tytułować jak należy -wymamrotał cicho Jonathan. - Czy teraz jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi?

- Dlaczego ty, do diabła, jeszcze żyjesz? - spytał VanAndt. - Jak udało ci się uratować?

- To „jeszcze” mam ci za złe - mruknął Graves. Atak suchego kaszlu wstrząsnął całym jego ciałem. Dopiero po dłuższej chwili oddech mu się uspokoił. - Dlaczego żyję?

Doktor uniósł ręce, a chustka się zsunęła. Mogens zamarł instynktownie, oczekując strasznego widoku, lecz ręce Gravesa wyglądały zupełnie inaczej, niż mógł przypuszczać. Nie były to krwawiące kikuty, a dwie? gładkie, białe powierzchnie, pod którymi coś zdawało się ruszać jak robaki. Mogens musiał odwrócić wzrok.

- Czy nie mówiłem ci, że nie tak łatwo mnie zabić? -przypomniał Jonathan.

Zaśmiał się, uniósł dłonie na wysokość twarzy i oglądał je przez dłuższą chwilę. Panna Preussler wydała stłumiony odgłos i kucnęła pospiesznie przy dziewczynie. Z pewnością nieprzypadkowo odwróciła się przy tym plecami do Gravesa, zasłaniając również czarnowłosej widok na jego ręce.

- Jesteśmy zgranym zespołem, nieprawdaż? - zachichotał Graves. - Czy panna Preussler mówiła ci już o San Francisco?

- Nie wiemy wcale na pewno, czy to San Francisco - powiedział VanAndt.

- Owszem, to ono - zapewnił doktor. - Zrobiliśmy swoje. Ale nie martw się Mogensie, nie ponosisz żadnej winy. Prędzej czy później musiało się to stać. Wiedziałeś, że miasto leży na obszarze sejsmicznym? Zarząd miasta wie

¿42 o tym, ale woli zachować tę wiedzę dla siebie, zwłaszcza że

iPAi '

i-i.

<m i

. I» Ł

i-- - '\ " J'

- Cholernie długo to trwało - powiedział ciekawym falsetem, który mało przypominał głos znany Mogensowi.

-Co?

- W końcu zdobyłeś się, by mnie tytułować jak należy -wymamrotał cicho Jonathan. - Czy teraz jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi?

- Dlaczego ty, do diabła, jeszcze żyjesz? - spytał VanAndt. - Jak udało ci się uratować?

- To „jeszcze” mam ci za złe - mruknął Graves. Atak suchego kaszlu wstrząsnął całym jego ciałem. Dopiero po dłuższej chwili oddech mu się uspokoił. - Dlaczego żyję?

Doktor uniósł ręce, a chustka się zsunęła. Mogens zamarł instynktownie, oczekując strasznego widoku, lecz ręce Gravesa wyglądały zupełnie inaczej, niż mógł przypuszczać. Nie były to krwawiące kikuty, a dwie> gładkie, białe powierzchnie, pod którymi coś zdawało się ruszać jak robaki. Mogens musiał odwrócić wzrok.

- Czy nie mówiłem ci, że nie tak łatwo mnie zabić? -przypomniał Jonathan.

Zaśmiał się, uniósł dłonie na wysokość twarzy i oglądał je przez dłuższą chwilę. Panna Preussler wydała stłumiony odgłos i kucnęła pospiesznie przy dziewczynie. Z pewnością nieprzypadkowo

odwróciła się przy tym plecami do Gravesa, zasłaniając również czarnowłosej widok na jego rękę.

- Jesteśmy zgranym zespołem, nieprawdaż? - zachichotał Graves. - Czy panna Preussler mówiła ci już o San Francisco?

- Nie wiemy wcale na pewno, czy to San Francisco - powiedział VanAndt.

- Owszem, to ono - zapewnił doktor. - Zrobiliśmy swoje. Ale nie martw się Mogensie, nie ponosisz żadnej winy. Prędzej czy później musiało się to stać. Wiedziałaś, że miasto leży na obszarze sejsmicznym? Zarząd miasta wie

6+2 ° tym, ale woli zachować tę wiedzę dla siebie, zwłaszcza że

| Li.

fi-'1 ft1;

-fer

~> • -

i« ®fig

'i..».-

ceny ziemi wznoszą się od lat, osiągając astronomiczne wartości. Sami sobie są winni, jeśli teraz niebo wali im się na głowy.

- Cóż z pana za człowiek! - wymamrotała panna Preussler.

Doktor rzucił pogardliwe spojrzenie w jej stronę, powstrzymał się jednak od odpowiedzi i ku uldze Mogensa opuścił wreszcie ręce. Odwrócił się ponownie w stronę profesora. Szyderczy wyraz zniknął z jego oczu, a jego miejsce zajęła gorycz.

- Chcesz wiedzieć, jak udało mi się uratować? - Wskazał głową w kierunku kobiet. - Jak nam wszystkim udało się uratować? Nie chcieli nas, dlatego jesteśmy nadal przy życiu!

Gospodyni odwróciła głowę i popatrzyła na niego z niedowierzaniem, ale i ze strachem. Również dziewczyna zerknęła w jego stronę. Przez chwilę, dosłownie przez ułamek sekundy, którego Mogens miał już nigdy nie zapomnieć, ich spojrzenia się spotkały. To, co przez tę krótką, lecz ciągnącą się w nieskończoność chwilę zobaczył w jej oczach, wstrząsnęło nim do głębi. Wyczytał w nich strach i przerażenie, ale i coś więcej, coś znajomego, co znał i czego pragnął jak niczego innego na świecie.

Chwila szybko przysła, wzrok dziewczyny powędrował dalej. Graves ciągnął gorzko:

- Nie chcieli nas zabić, przyjacielu, rozumiesz? - Zaśmiał się cicho, ale równie dobrze mógł to być szloch. - Uznali, że nie jesteśmy warci nawet tego, by nas zabili. Przewyższają nas tak bardzo, że nawet nas nie zauważają. Jesteśmy dla nich pyłem, może nawet nie istniejemy!

- W każdym razie pokonaliśmy ich - odparł profesor z namysłem. Z trudem skupiał się na słowach Jonathana.

- Pokonaliśmy? - Doktor zaśmiał się przeszywająco. -O nie, Mogensie! Nie pokonaliśmy. Nikt nie może ich

pokonać. Może zwróciliśmy ich uwagę na to, że istniejemy, choć może lepiej byłoby, żebyśmy tego nie robili. - Mówił coraz ciszej. - Tam daleko jest ich o wiele więcej, Mogensie. Tak strasznie dużo...

- Tak - zgodził się VanAndt. - Może...

Mimo to dla niego było już po wszystkim. Spojrzał ponownie na dziewczynę i choć jej oczy były nadal pełne strachu, choć nie mógł w nich dojrzeć tego co wcześniej, wiedział, że to coś nadal się w nich kryło. I na zawsze tam pozostanie. Nawet jeśli nigdy tego już nie zobaczy, sama ta wiedza wystarczała jako wynagrodzenie za wszystkie okropności, których doświadczył.

- Już po wszystkim - powiedział cicho.

Odwrócił się powoli. Nie zdziwił się nawet, gdy na piasku przed jaskinią znów zobaczył rozmytą postać. Po raz pierwszy nie wystraszył się Janice. Zresztą nie było ku temu powodów. Gdy spojrział w jej oczy, uśmiechnęła się, a on wiedział, że nie tylko wypełnił swoje zadanie, ale że wypełnił je dobrze.

KONIEC

z fabryczn

organ fabrycznie sprasowany
Z fabryczną gwarancją JaKości
WW W.StLEMCE-FICTIOH.CDn.PL
Hfi HYtIKU OD ano 1 ROKU

organ fabrycznie sprasowany
fabryka słów

isbn: 978-83-60504-60-4 liczba stron: 472 oprawa: miękka za skrzydełkami

REDHORSE

Michael Peinkofer ODWET ORKÓW

Bracia-orkowie Balbok i Rammar w swojej ojczyźnie są czczeni jak bohaterowie. Objadając się Bru-Milem, popijanym mnóstwem posokowego piwa, toną w bogactwie. Jednak kiedy tak rozkoszują się swawolną, leniwą egzystencją, w Stęchłej Marchii złapany zostaje człowiek, który okazuje się być wysłańcem ludzi: pierwszy raz od początków czasu zdarza się, że proszą oni o pomoc orków, swoich odwiecznych wrogów. Balbok i Rammar wyruszają na swą najniebezpieczniejszą misję - muszą stawić czoła przeciwnikowi, dysponującemu piekielną bronią: przemożną nienawiścią do wszystkiego, cokolwiek żyje na świecie...